

Aleksander Bielajew
GŁOWA
PROFESORA
DOWELLA-ARIEL



Aleksander Bielajew

Głowa profesora Dowella.

Mojej żonie, Małgorzacie Bielajewej

PIERWSZE SPOTKANIE

— Proszę siadać.

Marie Loran usiadła w głębokim skórzanym fotelu.

Czekając, aż profesor Kern otworzy kopertę i przeczyta list, szybkim spojrzeniem ogarnęła gabinet.

Co za ponury pokój! Znakomity jednak do pracy: nic tu nie rozprasza uwagi. Lampa rzuca snop światła tylko na biurko ze stertami książek, rękopisów, z arkuszami korekty. Oko ledwie dostrzeżga solidne meble z czarnego dębu. Ciemne obicia, ciemne draperie. W półmroku połyskują jedynie tłoczone złotem okładki woluminów ukrytych w ciężkich szafach. Długie wahadło ściennego zegara porusza się płynnie i miarowo.

Marie przeniosła wzrok na Kerna i uśmiechnęła się mimo woli: profesor był dokładnie w stylu gabinetu. Jakby wyciosana z pnia dębu ciężka, surowa postać Kerna zdawała się być częścią umeblowania. Duże okulary w rogowej oprawie przywodziły na myśl dwie tarcze zegarowe. Jego szare jak popiół oczy poruszały się wahadłowo, wędrując po linijskich listu. Prostokątny nos, prosty wykrój oczu i ust, wydatny kwadratowy podbródek nadawały twarzy pozór stylizowanej maski dekoracyjnej, zrobionej przez rzeźbiarza kubistę.

„Jak maska do dekoracji kominka” — pomyślała Marie.

— Kolega Sabatier mówił mi już o pani. Tak, potrzebna mi jest asystentka. Zna się pani na medycynie? Świetnie. Czterdzieści franków dziennie. Rozliczenie tygodniowe. Śniadanie, obiad. Stawiam tylko jeden warunek...

Profesor Kern postukał kościstym palcem po stole i zadał nieoczekiwane pytanie:

— Umie pani milczeć? Wszystkie kobiety są gadatliwe. Pani jest kobietą — to źle. Jest pani ładna — to jeszcze gorzej.

— Ale jaki to ma związek...

— Jak najbardziej bezpośredni. Ładna kobieta to kobiecość do kwadratu, czyli podniesienie do kwadratu wszystkich wad kobiecych. Może pani mieć męża, przyjaciela, narzeczonego. Wtedy wszystkie tajemnice biorą w łeb.

— Ale...

— Żadnych „ale"! Powinna pani milczeć jak ryba. Nic z tego, co pani tu zobaczy i usłyszy, nie może wyjść poza te ściany. Czy zgadza się pani na taki warunek? Muszę uprzedzić, że niedotrzymanie go pociągnie za sobą wyjątkowo nieprzyjemne dla pani następstwa. Wyjątkowo nieprzyjemne. Marie była zaskoczona i zaintrygowana...

— Zgadzam się, jeżeli nie kryje się za tym żadne...

— Przepięknie, chciała pani powiedzieć. Może być pani absolutnie spokojna i nie obawiać się żadnej odpowiedzialności...

Ma pani zdrowe nerwy?

— Jestem zdrowa...

Profesor Kern kiwnął głową.

— Czy miała pani w rodzinie alkoholików, neurasteników, epileptyków lub chorych psychicznie?

— Nie.

Kern ponownie kiwnął głową. Następnie wbił swój ostry kościsty palec w przycisk dzwonka elektrycznego.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie.

Na tle panującego w pokoju półmroku, jak na wywoływanej kliszy fotograficznej Marie ujrzała najpierw białka oczu, a następnie wynurzającą się stopniowo z ciemności, połyskującą twarz Murzyna. Czarne włosy i ubranie zlewały się z ciemną draperią drzwi.

— John! Proszę pokazać mademoiselle Marie Loran laboratorium.

Murzyn skinieniem głowy zaproponował przejście do drugiego pokoju i otworzył drzwi.

Marie weszła do zupełnie ciemnego pomieszczenia. Pstryknął kontakt i jaskrawe światło czterech matowych półkul zalało pokój. Marie odruchowo zamknęła powieki. Po mrocznym gabinecie profesora biel ścian raziła oczy... Mieniły się szyby szaf pełnych błyszczących instrumentów chirurgicznych, zimnym blaskiem płonęła stal i aluminium nie znanych Marie aparatów. Polerowane miedziane części dawały ciepłe, żółte refleksy światła. Wężownice, kolby, przewody, szklane cylindry... Szkło, kauczuk, metal...

Pośrodku pokoju stał duży stół do sekcji zwłok. Obok stołu — szklany pojemnik z pulsującym ludzkim sercem. Od serca szły przewody do wielkich butli.

Marie odwróciła głowę i nagle ujrzała coś, co sprawiło, że drgnęła jak porażona prądem.

Patrzyła na nią ludzka głowa — tylko głowa, nic więcej. Była przymocowana do kwadratowej szklanej płytki, którą podtrzymywały cztery wysokie błyszczące metalowe nóżki. Przez otwory w szkłe biegły od przeciętych żył i tętnic prowadzące do butli połączone rurki, z których najgrubsza wychodziła z gardła i łączyła się z dużym cylindrem. Butle i cylinder zaopatrzone były w zawory, manometry, termometry i jakieś nie znane przyrządy.

Głowa, mrugając powiekami, uważnie i ze smutkiem patrzyła na Marie. Nie mogło być żadnych wątpliwości; ta głowa oddzielona od ciała żyła życiem samodzielny i świadomy.

Oszołomiona Marie nie mogła jednak nie zauważyć, że twarz przypomina jej do złudzenia niedawno zmarłego wybitnego chirurga, profesora Dowella, który zasłynął swymi doświadczeniami reanimowania narządów pobranych ze świeżych zwłok. Niejednokrotnie bywała na jego błyskotliwych wykładach i doskonale pamiętała to wysokie

czoło, charakterystyczny profil, gęste faliste, posrebrzone siwizną włosy, niebieskie oczy... Tak, to była głowa profesora Dowella. Tylko wargi uległy zwięzieniu, nos się zaostriął, zapadły policzki i skronie, głębokie cienie legły pod oczyma, a skóra przybrała odcień ciemnożółty, zbliżony do koloru mumii. Ale w oczach było życie, była myśl.

Marie stała jak urzeczona, nie mogąc oderwać wzroku od tych niebieskich oczu.

Głowa bezdźwięcznie poruszyła ustami.

Tego już było za wiele jak na nerwy Marie. Zdawała się bliska omdlenia. Murzyn podtrzymał ją w porę i wyprowadził z laboratorium.

— To straszne, to straszne... — powtarzała Marie, osuwając się na fotel.

Profesor Kern w milczeniu bębnił palcami po stole.

— Proszę mi powiedzieć, czy to głowa...

— Profesora Dowella? Tak, to głowa Dowella, mojego szanownego zmarłego kolegi, przywrócona przeze mnie do życia. Niestety, nie udało mi się wskrzesić go w całości. Nie wszystko przychodzi od razu. Biedny Dowell cierpiał na nieuleczalną jak dotąd chorobę. Umierając, zapisał w testamencie swoje ciało dla doświadczeń naukowych, które zresztą prowadziliśmy wspólnie, poświęciłem nauce całe życie. Niech więc służy jej również moja śmierć. Wolę, by w moim trupie grzebał kolega naukowiec niż robak" — oto, jak brzmi testament profesora Dowella. Otrzymałem do dyspozycji jego ciało. Udało mi się nie tylko ożywić serce, ale i wskrzesić świadomość, mówiąc językiem pospółstwa — „wskrzesić duszę". Co w tym straszego? Za rzecz straszną uważano do tej pory śmierć. Czyż zmartwychwstanie nie było odwiecznym marzeniem ludzkości?

— Wolałabym śmierć od takiego zmartwychwstania.

Profesor Kern wykonał nieokreślony ruch ręką.

— Z pewnością nie jest ono pozbawione mankamentów. Biedny Dowell byłby chyba skrepowany, gdyby przyszło mu publicznie pokazać się w tak... niekompletnym stanie. Dlatego utrzymujemy to doświadczenie w tajemnicy. Mówię „my”, bo takie jest życzenie samego Dowella. Poza tym doświadczenie nie dobiegło jeszcze końca.

— Ale jak profesor Dowell, to znaczy jego głowa, wypowiedział to życzenie? Czy potrafi mówić?

Pytanie wywołało chwilową konsternację profesora Kerna.

— Nie... głowa profesora Dowella nie mówi. Słyszy wszystko, rozumie i może mimiką reagować na pytania...

Pragnąc zmienić temat, Kern zapytał:

— Cóż więc, zgadza się pani na moją propozycję? Świetnie. Oczekuję pani jutro o dziewiątej rano. Proszę jednak pamiętać: milczenie, milczenie i jeszcze raz milczenie.

TAJEMNICZY KUREK

Życie Marie Loran nie należało do łatwych. Miała zaledwie siedemnaście lat, kiedy po śmierci ojca na jej barkach spoczęła opieka nad chorą matką. Niewielkie środki pozostawione przez ojca wystarczyły na krótko, trzeba było uczyć się i utrzymywać rodzinę. Przez kilka lat pracowała jako nocny korektor w redakcji pewnej gazety. Po ukończeniu studiów i uzyskaniu tytułu lekarza bezskutecznie usiłowała znaleźć pracę. Otrzymała propozycję wyjazdu do Nowej Gwinei, gdzie zbierała swe żniwo żółta febra, lecz ani wyjazd w towarzystwie chorej matki, ani rozstanie z nią nie wchodziły w rachubę. Propozycja profesora Kerna stała się dla Marie w takiej sytuacji zbawienna.

Nie bacząc na dziwne warunki tej pracy, zgodziła się prawie bez wahania.

Marie nie wiedziała, że zanim profesor zaproponował jej posadę, zdążył zebrać o niej dokładne informacje.

Pracowała u Kerna już dwa tygodnie. Do jej obowiązków należała obsługa aparatury utrzymującej głowę przy życiu. W nocy zmieniał ją John.

Profesor Kern wytłumaczył, jak należy obchodzić się z zaworami przy butlach. Wskazał duży cylinder, od którego do gardła głowy prowadziła dość gruba rurka, i kategorycznie zabronił odkręcania znajdującego się przy nim kurka.

— Wystarczy go odkręcić, żeby natychmiast uśmiercić Dowella ponownie. Kiedyś wytłumaczę pani system odżywiania głowy i przeznaczenie tego cylindra. Na razie powinna pani znać zasady obchodzenia się z aparaturą.

Kernowi nie spieszyło się jednak z udzielaniem obiecanych wyjaśnień.

W jednej z dziurek nosa Dowella tkwił głęboko mały termometr. Należało wyjmować go o określonych godzinach i rejestrować temperaturę. Butle były również zaopatrzone w termometry i manometry, na których Marie kontrolowała temperaturę i ciśnienie płynów. Doskonale wyregulowana aparatura nie sprawiała kłopotów, pracując z dokładnością chronometra. Przymocowany do skroni Dowella wyjątkowo czuły przyrząd prowadził pomiar i zapis tętna. Taśmę zmieniano raz na dobę. Zawartość butli była uzupełniania podczas nieobecności Marie.

Dziewczyna stopniowo przyzwyczaiła się do swego podopiecznego, a nawet się z nim zaprzyjaźniła.

Kiedy rankiem zaróżowiona od pośpiechu i świeżego powietrza wchodziła do laboratorium, głowa witała ją lekkim uśmiechem i mrugnięciem powiek.

Profesor Dowell nie potrafił mówić, ale już wkrótce między nim a Marie wytworzył się umowny język, co prawda bardzo ubogi, ale przecież można się było porozumieć. Opuszczone

powieki oznaczały „tak”, podniesione — „nie”. Sporo pomagały poruszające się bezdźwięcznie wargi.

— Jak się pan dzisiaj czuje? — pytała Marie.

Na ustach głowy pojawiał się cień uśmiechu; opuszczała powieki, jakby mówiąc: „dziękuję, dobrze”.

— Jak minęła noc?

Te same ruchy w odpowiedzi.

W trakcie rozmowy Marie sprawnie wykonywała poranne obowiązki. Tego dnia, jak zwykle, sprawdziła urządzenia, temperaturę i tętno, zanotowała wyniki w dzienniku. Potem z dużą ostrożnością przy pomocy miękkiej gąbki umyła wodą ze spirytusem twarz Dowella, wytarła watą higroskopijną małżowiny uszne. Zdjęła kawałeczek waty, który uczepił się rzęs. Przemyła oczy, uszy, nos — do ust i do nosa należało w tym celu wprowadzić specjalne rurki.

Uczesała włosy.

Jej ręce sprawnie i umiejętnie dotykały głowy, której twarz stopniowo przybierała wyraz zadowolenia.

— Dzisiaj jest piękny dzień — mówiła Marie. — Błękitne niebo. Czyste, mroźne powietrze. Chciałoby się oddychać pełną piersią. Proszę popatrzeć, jak cudownie świeci słońce, zupełnie jak na wiosnę.

Kąciki ust profesora Dowella opadły. Oczy tęsknie skierowały się w stronę okna, a potem spoczęły na Marie.

Dziewczyna poczerwieniała z lekka, rozzłoszczona na samą siebie. Instynkt wrażliwej kobiety przestrzegał ją przed mówieniem o rzeczach niedostępnych dla Dowella, które mogły przypomnieć mu o ubóstwie obecnego istnienia. Odczuwała matczyną litość, patrząc na głowę profesora, jak na bezbronne, skrzywdzone dziecko.

— No, bierzmy się do pracy — powiedziała spieszenie, żeby zatuszować gafę.

Co rano, przed przyjściem profesora Kerna, odbywał się „przegląd prasy”. Marie przynosiła stosy najświeższych periodyków medycznych i pokazywała je głowie, która uważnie studiowała czasopisma. Kiedy natrafiała na potrzebny artykuł, poruszała brwiami. Marie kładła wówczas te strony na pulpit i głowa pogrążała się w czytaniu. Dziewczyna nauczyła się już, obserwując oczy, odgadywać aktualnie czytaną linijkę i w odpowiednim momencie przewracać kartkę.

Kiedy zachodziła potrzeba zrobienia uwagi na marginesie, głowa dawała znak i Marie przesuwiała palcem po linijkach, uważając na jej oczy, i zaznaczała ołówkiem odpowiedni akapit.

Cel, w jakim Dowell robił te uwagi, był dziewczynie nieznany, a ubogi język mimiczny nie stwarzał możliwości wyjaśnień, dlatego o nic nawet nie pytała.

Pewnego razu, przechodząc przez gabinet profesora Kerna podczas jego nieobecności, zobaczyła leżące na biurku czasopisma ze zrobionymi według wskazówek Dowella uwagami. Obok, na kartce, znajdowały się przepisane ręką profesora Kerna wcześniej zaznaczone miejsca. Dawało to wiele do myślenia.

Dziewczyna przypominała sobie o tym i nie mogła powstrzymać się od pytania. Może Dowell znajdzie jakiś sposób, żeby to wytłumaczyć.

— Proszę mi powiedzieć, po co robimy uwagi na marginesach niektórych artykułów naukowych?

Twarz profesora Dowella przybrała wyraz niezadowolenia. Spojrzał znacząco na Marie, potem na kurek, od którego biegła rurka do gardła, i dwukrotnie uniósł brwi. Była to prośba.

Marie zrozumiała, że profesor domaga się otwarcia zaworu, którego nie wolno było dotykać. Już niejednokrotnie zwracał się do niej z tą właśnie prośbą. Marie tłumaczyła ją na swój

sposób: widocznie chce przerwać tę nieszczęsną egzystencję. Nie mogła więc zdecydować się na otworzenie tajemniczego kurka. Bała się odpowiedzialności, nie chciała być sprawczynią śmierci, mogłaby stracić pracę.

— Nie, nie — odpowiedziała ze strachem. — Jeżeli odkręcę ten kurek, pan umrze. Nie chcę, nie mogę, nie mam odwagi pana zabić.

Twarz Dowella wykrzywił skurcz bezradności.

Mrugnął energicznie po trzykroć...

„Nie, nie, nie. Nie umrę!” — tak zrozumiała to Marie. Wahala się. Dowell zaczął bezdźwięcznie poruszać ustami i dziewczyna odniosła wrażenie, że wargi układają się w słowa: „Proszę otworzyć. Błagam!”. Ciekawość jej była napięta do granic wytrzymałości. Czowała, że kryje się tu jakaś tajemnica.

W oczach Dowella widziała bezgraniczną tęsknotę. Te oczy prosiły, błagały, żądały. Zdawać by się mogło, że cała moc myśli ludzkiej, cały wysiłek woli zawarte są w tym spojrzeniu. Marie podjęła decyzję.

Serce jej mocno biło, a ręka drżała, kiedy ostrożnie odkręcała kurek.

Natychmiast z gardła głowy dało się słyszeć syczenie.

Usłyszała głuchy, słaby, załamujący się głos, przypominający dźwięk zepsutego gramofonu:

— Dzie-ku-ję... pani...

Kurek, którego nie wolno było ruszać, przepuszczał sprężone powietrze z cylindra, które następnie przechodziło przez gardło głowy i wprawiało w ruch struny głosowe, stwarzając możliwość mówienia. Mięśnie i wiązadła krtani nie były już w stanie funkcjonować prawidłowo: powietrze z sykiem wydobywało się z gardła nawet wtedy, gdy głowa milczała. Przecięcie głównych nerwów w okolicy szyi było przyczyną zaburzeń w normalnej pracy strun głosowych i głuchego, wibrującego tembru głosu.

Na twarzy Dowella malowało się zadowolenie. W tym momencie dały się słyszeć kroki w gabinecie i szcęk otwieranego zamka (drzwi laboratorium były zawsze zamykane na klucz od strony gabinetu). Marie ledwie zdążyła zakręcić kurek. Dobiegające z gardła głowy syczenie ustało. Wszedł profesor Kern.

GŁOWA PRZEMÓWIŁA

Minął tydzień od czasu, kiedy Marie odkryła sekret tajemniczego kurka.

Zawarta z Dowellem przyjaźń zacieśniła się jeszcze bardziej. Podczas nieobecności profesora Kerna (jego pobytów w klinice lub na uniwersytecie) odkręcała kurek, kierując do gardła Dowella niewielki strumień powietrza, wystarczający, by mógł mówić szeptem. Równie cicho mówiła sama. Oboje obawiali się, że Murzyn może podsłuchać ich rozmowę.

Te pogawędki miały najwyraźniej zbawienny wpływ na profesora Dowella. Oczy patrzyły z ożywieniem i nawet pobrużdżone zmarszczkami cierpienia czoło wygładziło się nieco. Mówił dużo i chętnie, jakby chcąc nadrobić stracony czas.

Minionej nocy Marie widziała Dowella we śnie i obudziwszy się, pomyślała: „Ciekawe, czy głowa profesora miewa sny?”

— Sny... — cicho wyszeptał Dowell. — Tak, miewam sny. I sam nie wiem, czy sprawiają mi więcej radości, czy bólu. We śnie widzę siebie zdrowego, pełnego sił i po przebudzeniu o wiele mocniej odczuwam swoje nieszczęście. Krzywdę fizyczną i moralną. Pozbawiono mnie przecież wszystkiego, co jest udziałem żywych ludzi. Pozostała mi tylko zdolność myślenia. „Myślę, więc jestem” — z gorzkim uśmiechem zacytował słowa Kartezjusza. — Jestem...

— O czym więc pan śni?

— Nigdy jeszcze nie widziałem siebie w obecnym stanie. Widzę siebie takiego, jakim byłem kiedyś... widzę rodzinę, przyjaciół... Niedawno śniła mi się moja zmarła żona i przeżywałem z nią wiosnę naszej miłości. Betty zraniła kiedyś nogę przy wysiadaniu z samochodu i zwróciła się do mnie jako pacjentka. Zawarliśmy znajomość w moim gabinecie lekarskim. Od początku coś nas zbliżyło. Po jej czwartej wizycie zapytałem, czy zechciałaby obejrzeć leżący na biurku portret mojej narzeczonej. „Ożenię się z nią, jeżeli uzyskam jej zgodę” — powiedziałem. Podeszła do biurka i zobaczyła leżące tam nieduże lusterko; spojrzała w nie, roześmiała się i odrzekła: „Myślę... że nie odmówi”. Za tydzień była już moją żoną. Ta scena przemknęła niedawno przez mój sen... Betty umarła tu, w Paryżu, do którego wróciłem z Ameryki w czasie wojny jako chirurg. Zaproponowano mi katedrę, więc zostałem, żeby być blisko drogiego grobu. Moja żona była wyjątkową kobietą...

Twarz Dowella rozjaśniła się pod wpływem wspomnień, ale natychmiast znów spochmurniała.

— Jak nieskończenie odległe są te czasy!

Zamyślił się, powietrze cicho syczało w gardle.

— Ubiegłej nocy śnił mi się mój syn. Tak bardzo chciałbym go zobaczyć, chociaż raz jeszcze. Nie mam jednak odwagi poddać go takiej próbie... Dla niego umarłem.

— Czy on jest dorosły? Gdzie teraz jest?

— Tak, jest dorosły, mniej więcej w tym samym wieku co pani, może trochę starszy. Skończył uniwersytet. Teraz powinien być w Anglii, u swojej ciotki, siostry mojej żony... Lepiej jednak nie śnić. — Po chwili milczenia ciągnął dalej:

— Dręczą mnie nie tylko sny. Na jawie też mam jakieś przywidzenia. Może się to wydać dziwnym, ale czasami czuję swoje ciało. Nagle mam ochotę odetchnąć pełną piersią, przeciągnąć się, rozłożyć szeroko ręce, jak to czyni znużony

siedzeniem człowiek. Czasem znów odczuwam ból artretyczny w lewej nodze. Śmieszne, prawda? Chociaż pani jako lekarz powinna to rozumieć. Ból jest tak realny, że odruchowo spuszczałam oczy i, oczywiście, widzę poprzez szkło pustą przestrzeń pod sobą, kamienną posadzkę... Chwilami wydaje mi się, że zaczynam mieć atak duszności, i wówczas jestem prawie że zadowolony ze swego „pośmiertnego istnienia”, które przynajmniej uwolniło mnie od astmy... Wszystko to jest oczywiście odruchową działalnością komórek mózgowych, tak ściśle kiedyś związanych z życiem ciała...

— To straszne!... — nie wytrzymała Marie.

— O, tak... Dziwne, kiedy żyłem, wydawało mi się, że moje życie polega na wyłącznej pracy umysłu. Pochłonięty nauką, jakoś nie zauważałem swego ciała i dopiero po jego utracie poczułem, czego mnie pozbawiono. Teraz właśnie, jak nigdy za życia, myślę o zapachu kwiatów, o pachnącym stogu siana gdzieś na leśnej polanie, o dalekich pieszych wycieczkach, szumiącym przyplýwie morza... Nie utraciłem węchu, czucia i pozostałych zmysłów, ale jestem odcięty od całej różnorodnej gamy doznań, dostarczanych nam przez otaczający świat. Siano cudownie pachnie w polu, gdy łączy się z tysiącem innych wrażeń: z zapachem lasu, pięknym zachodem słońca, ze śpiewem leśnego ptactwa. Sztuczne zapachy nie są w stanie zastąpić mi naturalnych. Perfumy „Róża” zamiast kwiatu? Nie zadowoliliby mnie to, podobnie jak głodnego — sam zapach pasztetu. Utraciwszy ciało, straciłem świat — cały ten ogromny, cudowny świat nie zauważanych przeze mnie rzeczy, które można wziąć do ręki, dotknąć i czuć jednocześnie w całości siebie samego. Z jaką rozkoszą oddałbym swoją chimeryczną egzystencję za radość odczucia ciężaru zwykłego kamienia trzymanego w dłoni! Gdyby pani wiedziała, ile przyjemności dostarcza mi dotyk gąbki, kiedy

rano myje mi pani twarz. Przecież ten dotyk to jedyna możliwość odnalezienia się w realnym świecie, która mi pozostała... Wszystko, do czego jestem zdolny, to dotknąć językiem brzegu moich spieczonych warg.

Tego wieczora Marie wróciła do domu roztargniona i przejęta. Stara matka jak zwykle przygotowała dla niej kolację, której Marie nie tknęła. Wypiła tylko szklankę herbaty z cytryną i wstała, zamierzając pójść do swojego pokoju. Zatrzymał ją uważny wzrok matki.

— Jesteś zdenerwowana, Marie? — spytała staruszka. — Masz może jakieś przykrości w pracy?

— Nie, mamusiu, nic się nie stało. Po prostu jestem zmęczona i boli mnie głowa... pójdę wcześniej spać, to minie.

Matka nie zatrzymywała jej, westchnęła tylko, a kiedy została sama, zamyśliła się głęboko.

Od momentu podjęcia tej pracy córka bardzo się zmieniła, stała się nerwowa i skryta. Zawsze łączyła je serdeczna przyjaźń, niszczona teraz przez tajemnicę. Staruszka Loran czuła, że córka coś ukrywa: na wszystkie pytania dotyczące pracy odpowiadała ogólnikowo, w sposób zdawkowy.

— Profesor Kern ma prywatną lecznicę, w której leczy szczególnie interesujące przypadki. Opiekuję się jego pacjentami.

— Jacyż to pacjenci?

— Różni. Zdarzają się chorzy w bardzo ciężkim stanie... — mówiła zasepiona i zmieniała temat.

Matki nie zadowalały takie odpowiedzi. Próbowwała nawet dowiedzieć się czegoś od postronnych osób, ale nie zdobyła żadnych nowych informacji.

„Może zakochała się w Kernie bez wzajemności?” — rozmyślała. Mitygowała się jednak natychmiast: córka nie zataiłaby przed nią swego uczucia. W dodatku Marie jest przecież taka ładna. Kern jest kawalerem i gdyby tylko Marie

była w nim zakochana, z pewnością nie potrafiłby się jej oprzeć. Drugiej takiej dziewczyny nie ma na całym świecie. Nie, powód jest inny... Staruszka wierciła się długo, nie mogąc zasnąć.

Marie także nie spała. Zgasiła światło, żeby nikt jej nie przeszkadzał, i siedziała na łóżku z otwartymi szeroko oczami. Wspominała każde słowo Dowella i starała się wyobrazić sobie w jego sytuacji: powolutku dotykała językiem warg, podniebienia, zębów, myśląc przy tym: „Tylko tyle może zrobić. Może przygryźć wargi, koniuszek języka, może poruszać brwiami. Przewracać oczami. Zamykać je, otwierać. I nic więcej. Aha, może jeszcze ruszać skórą na czole. Nic poza tym...”

Robiła miny, otwierała i zamykała oczy. Gdyby ją matka zobaczyła w tej chwili! Na pewno pomyślałaby, że jej córka postradała zmysły.

Potem Marie zaczęła dotykać swoich ramion, kolan, rąk, głaskała się po piersiach, palcami mierzwiła gęste włosy, szepcząc:

— Mój Boże! Jaka ja jestem szczęśliwa! Jaka bogata!

I pomyśleć, że nie czułam tego!

Zmęczenie młodego ciała zwyciężało. Oczy zamknęły się powoli. I wówczas zobaczyła głowę profesora Dowella, która patrzyła na nią uważnie i ze smutkiem, nagle oderwała się od swojego stolika i poleciała niczym ptak. Marie biegła przodem. Kern rzucał się na głowę profesora jak jastrząb, Kręte korytarze... Ciężkie drzwi... Dziewczyna usiłowała je otworzyć, ale drzwi nie ustępowały i Kern doganiał głowę Dowella, która syczała gdzieś obok ucha Marie... Czowała, że się dusi. Serce waliło boleśnie w piersiach, a odgłosy jego uderzeń odzywały się w całym ciele. Zimny dreszcz przebiegł po plecach... Otwierają się wciąż nowe drzwi... Co za koszmar!...

— Marie, kochanie! Co się dzieje? Obudź się, Marie! Dlaczego tak jęczysz?

To już nie sen. Zaniepokojona matka stoi obok łóżka i głaszcze ją po głowie.

— Nic się nie stało, mamusiu. Miałam zły sen.

— Za często ostatnio miewasz złe sny, moje dziecko...

Staruszka wyszła, wzdychając ciężko, a Marie leżała jeszcze jakiś czas z otwartymi oczami i mocno bijącym sercem.

— Moje nerwy robią się do niczego — powiedziała szeptem i zasnęła mocno.

ŚMIERĆ CZY ZABÓJSTWO?

Kiedyś, przeglądając przed zaśnięciem czasopisma medyczne, Marie natknęła się na artykuł profesora Kerna o najnowszych badaniach naukowych. Znajdowały się w nim fragmenty, w których Kern powoływał się na prace innych naukowców z tej samej dziedziny. Wspomniane partie tekstu, wybrane z periodyków medycznych i książek, pozostawały w ścisłej zgodności z tymi, które zakreśliła Marie podczas porannych zajęć z profesorem Dowellem.

Następnego dnia, przy pierwszej okazji do rozmowy, dziewczyna spytała Dowella:

— Co robi profesor Kern w laboratorium podczas mojej nieobecności?

Po krótkim wahaniu Dowell odpowiedział:

— Wspólnie kontynuujemy pracę naukową.

— To znaczy, że wszystkie te notatki robi pan dla niego? Wie pan, że publikuje pańską pracę pod własnym nazwiskiem?

— Domyślałem się tego.

— Ależ to oburzające! Jak pan mógł dopuścić do takiej sytuacji?

— Cóż mogę na to poradzić?

— Jeżeli pan nie może, ja to zrobię! — gniewnie krzyknęła Marie.

— Ciszej... To nie ma sensu... śmieszne domagać się praw autorskich w moim położeniu. Pieniądze? Na co mi pieniądze? Sława? Co mi da sława? Poza tym... jeżeli wszystko się wyda, praca nie zostanie ukończona. Zależy mi na doprowadzeniu tych badań do końca. Przyznam się pani szczerze: bardzo chciałbym ujrzeć ich wynik.

Marie zamyśliła się.

— Taki człowiek jak Kern jest zdolny do wszystkiego — powiedziała cicho. — Kiedy zaczynałam tu pracę, powiedział, że pan zmarł na nieuleczalną chorobę, a swe ciało przeznaczył do badań naukowych. Czy to prawda?

— Ciężko mi o tym mówić. Mogę się mylić. To prawda... a może... Pracowaliśmy wspólnie nad ożywianiem narządów pobranych ze świeżych zwłok. Kern był moim asystentem. Celem tych doświadczeń było ożywienie odciętej ludzkiej głowy. Ukończyłem wszystkie prace przygotowawcze. Mielśmy już świetne wyniki w eksperymentach ze zwierzętami, a jednak postanowiliśmy ich nie ujawniać, dopóki nie będziemy w stanie wskrzesić i zademonstrować głowy człowieka. Byłem przekonany o powodzeniu tego doświadczenia i oddałem Kernowi rękopis całej mojej pracy po to, by przygotował ją do druku. Jednocześnie pracowaliśmy nad rozwiązaniem innego problemu naukowego, który był również na ukończeniu. W tym czasie miałem straszliwy atak astmy — jednej z tych chorób, które próbowałem zwalczyć, pracując jako lekarz. Prowadziłem z nią długą walkę. O tym, które z nas zwycięży, miał zdecydować czas. Wiedziałem, że może zwyciężyć choroba. Rzeczywiście, zapisałem swe ciało akademii dla prac anatomicznych, chociaż nie przypuszczałem, że właśnie moja głowa zostanie ożywiona. Tak więc... w czasie tego ostatniego

ataku Kern był przy mnie i udzielał mi pomocy lekarskiej. Wstrzyknął mi adrenalinę. Być może dawka była za duża, a może astma zrobiła, co do niej należało.

— Co było potem?

— Asfiksja, krótka agonia — i śmierć, która okazała się tylko utratą przytomności... Potem przeżyłem dość dziwne stany przejściowe. Świadomość powracała bardzo powoli. Wydaje mi się, że przywrócił ją ostry ból w okolicy szyi, który pomału ustąpił. Nie rozumiałem wówczas, co oznacza. Kiedy robiliśmy z Kernem doświadczenia nad ożywianiem psich łbów, zauważyliśmy, że psy po przebudzeniu odczuwają silny ból szyi, a odciętą głowę szarpało tak, że czasem z naczyń krwionośnych wypadały rurki doprowadzające płyn odżywczy. Zaproponowałem wtedy znieczulanie miejsca amputacji, a w celu zabezpieczenia go przed infekcją i nadmiernym wysuszeniem szyja zwierzęcia była zanurzana w specjalnym roztworze Riengena-Locka-Dowella. Płyn ten zawiera substancje odżywcze, znieczulające i bakteriobójcze. Zanurzono w nim właśnie moją szyję. Bez tego zabezpieczenia mógłbym umrzeć powtórnie wkrótce po ożywieniu, podobnie jak działo się to z głowami psów w naszych początkowych doświadczeniach. Powtarzam jednak, że wtedy o tym nie myślałem, Wszystko wokół mnie zlewało się w szarą masę, jak po silnym zamroczeniu alkoholowym. Ale w mózgu już zakiełkowała radosna myśl, że nie umarłem, chociaż świadomość mam zamgloną. Nie otwierając oczu, rozmyślałem o niecodzienności ostatniego ataku. Zazwyczaj mijały one szybko, czasami duszności ustępowały trochę wolniej, ale nigdy dotąd nie zdarzyło mi się utracić przytomności. To było coś nowego, tak jak ten dziwny ból szyi. Zdziwiła mnie jeszcze jedna rzecz: miałem wrażenie, że nie oddycham, a równocześnie nie czułem żadnych duszności. Próbowałem odetchnąć — nie mogłem. Co więcej, nie czułem

klatki piersiowej, nie mogłem jej napędnąć powietrzem, choć usiłowałem napiąć wszystkie mięśnie. „To niemożliwe — myślałem — albo śpię, albo majaczę...” Z trudem zdołałem otworzyć oczy. Ciemność. Stłumiony szum w uszach. Znowu zamknąłem powieki... Wie pani o tym, że kiedy człowiek umiera, jego zmysły przestają funkcjonować nie wszystkie naraz. Najpierw zanika smak, potem wzrok, dopiero na końcu słuch. Powracają prawdopodobnie w odwrotnej kolejności. Po jakimś czasie znowu rozchyliłem powieki i ujrzałem mętne światło, jakby rozproszone w grubej warstwie wody. Zielonkawa mgła wkrótce zaczęła się rozplýwać i zobaczyłem przed sobą rozmazane rysy twarzy Kerna. Usłyszałem już dość wyraźnie jego głos: „Cieszę się, że mogę pana powitać wśród żyjących”.

Ogromnym wysiłkiem woli zmusiłem świadomość do normalnej pracy. Popatrzyłem w dół i tuż pod brodą zobaczyłem blat stołu — wtedy nie było jeszcze tego stolika, tylko zwykły stół, podobny do kuchennego, naprędcie przystosowany przez Kerna do operacji. Chciałem się obejrzeć, ale nie mogłem odwrócić głowy. Obok ujrzałem stół do sekcji zwłok, podobny do pierwszego, tylko trochę wyższy. Leżał na nim czyjś trup bez głowy. Przypatrzyłem się mu i wydał mi się dziwnie znajomy, chociaż klatka piersiowa była otwarta, a głowa odcięta. W pobliżu, w szklanym pojemniku, pulsowało ludzkie serce. Ze zdziwieniem popatrzyłem na Kerna. W żaden sposób nie mogłem jeszcze zrozumieć, skąd się wziął ten stół tuż pod moją brodą i dlaczego nie widzę swego ciała. Próbowałem wyciągnąć dłoń, ale nie poczułem własnej ręki. „Co się stało?” — chciałem spytać Kerna... i tylko poruszyłem bezdźwięcznie ustami. Spojrzał na mnie z uśmiechem. „Nie poznaje pan? — spytał, ruchem głowy wskazując stół sekcyjny. — To pańskie ciało. Teraz uwolnił się pan od astmy na zawsze”. Miał czelność żartować!

Zrozumiałem wszystko. Przyznaję, że w pierwszej chwili usiłowałem krzyczeć, zerwać się ze stołu, zabić siebie i Kerna... Chociaż chyba było inaczej. Rozsądek podpowiadał mi, że powinienem się oburzać, buntować, krzyczeć, a równocześnie byłem zaskoczony lodowatą beznamiętnością, która mnie ogarnęła. Możliwe, że nawet w jakiś sposób dałem wyraz oburzeniu, ale wyglądało to tak, jakbym się niezbyt przejął tym, co zaszło. Moja psychika zmieniła się w niepojęty sposób. Nachmurzyłem się... i milczałem. Nie byłem w stanie przeżywać tak silnie, jak kiedyś. Moje serce bilo w szklanym pojemniku, a zamiast niego pracował jakiś silnik.

Marie z przerażeniem patrzyła na profesora. — I po tym wszystkim... po tym wszystkim pan dalej z nim współpracuje! Gdyby nie Kern, byłby pan teraz normalnym, zdrowym człowiekiem... Jest złodziejem i mordercą, a pan pomaga mu w osiągnięciu szczytów sławy, pracuje na niego. Kern jak pasożyt czerpie siłę z pańskiego mózgu, zrobił z pańskiej głowy akumulator myśli twórczej, zarabiając na tym pieniądze. A pan!... Co pan ma z tego? Jak wygląda pańskie życie?... Jest pan pozbawiony wszystkiego, będąc nieszczęśliwym kikutem, w którym, na domiar złego, jeszcze żyją pragnienia. Kern okradł pana z całego świata. Proszę mi wybaczyć, ale nie mogę tego zrozumieć. Tak pokornie, w milczeniu znosi pan swoje niewolnictwo?

Dowell uśmiechnął się ze smutkiem.

— Bunt głowy? To efektowne. Co mogłem zrobić? Jestem pozbawiony nawet możliwości ostatniego wyjścia, jakie pozostaje człowiekowi — samobójstwa.

— Ale mógł pan odmówić współpracy!

— Jeśli chce pani wiedzieć, mam to za sobą. Jednak mój sprzeciw wywołało nie to, że Kern wykorzystuje mój aparat myślowy, w końcu jakie znaczenie ma nazwisko autora? Ważne jest, by idea weszła w życie i zrobiła swoje.

Buntowałem się dlatego, że nie mogłem przywyknąć do warunków nowej egzystencji. Wołałem śmierć od takiego życia... Opowiem pani o pewnym zajściu, które miało miejsce w tamtych dniach. Byłem kiedyś sam w laboratorium. Nagle przez okno wleciał wielki czarny żuk. Nie wiem, w jaki sposób to stworzenie zawędrowało do centrum dużego miasta. Być może, przywiózł je samochód, wracający z podmiejskiej przejażdżki... Żuk latał sobie naokoło, aż w końcu usiadł na szklanej płytce mojego stolika. Kątem oka śledziłem ruchy tego odrażającego owada i nie mogłem strzepnąć go w żaden sposób. Jego łapki rozjeżdżały się na szkle, mimo to zbliżał się powoli do mnie, szeleszcząc złowrogo chitynowymi skrzydełkami. Nie wiem, czy pani jest w stanie mnie zrozumieć... przez całe życie czułem wyjątkowy wstręt i odrazę do tych owadów. Nigdy nie mogłem się zmusić, żeby ich dotknąć palcem. A tu naraz okazałem się bezbronny w obecności tak mizernego wroga. Dla niego zaś moja głowa była wygodną trampoliną, do której zbliżał się z obrzydliwym szelestem. Po krótkim wysiłku udało mu się zaczepić o włosy mojej brody. Długo uwalniał zaplątane we włosach nóżki, brnąc z mazołem coraz wyżej. W ten sposób dotarł najpierw do zaciśniętych warg, potem do nosa, do oka, w końcu wlaź mi na czoło i spadł stamtąd na podłogę, objając się po drodze o stolik. Ten błąh na pozór przypadek wywarł na mnie wstrząsające wrażenie. Kiedy przyszedł profesor Kern, kategorycznie odmówiłem dalszej współpracy. Wiedziałem, że nie odważy się na publiczny pokaz mojej głowy, a równocześnie nie będzie jej przechowywał w obawie przed konsekwencjami. Mogła stanowić poważny dowód obciążający, liczyłem więc na to, że mnie zabije... Rozpoczęliśmy walkę. Uciekł się do drastycznych środków. Pewnego wieczora przyszedł z przyrządem elektrycznym, przymocował do moich skroni elektrody i przed włączeniem

aparatury przemówił do mnie. Stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, miękko i łagodnie modulując głos, jak prawdziwy inkwizytor. „Drogi kolego — zaczął. — Jesteśmy tu sami, ukryci za grubym kamiennym murem. Zresztą, nawet gdyby mur był cieńszy, niczego by to nie zmieniło, bo zdany całkowicie na moją łaskę, nie może pan krzyczeć. Mogę zadawać panu najwymyślniejsze tortury, pozostając bezkarnym. Ale czy naprawdę musimy uciekać się do tortur? Obaj jesteśmy naukowcami i doskonale się rozumiemy. Wiem, że trudno nazwać pańskie życie przyjemnym, ale nie ma w tym mojej winy. Jest mi pan potrzebny, nie mogę więc uwolnić pana od brzemienia tej egzystencji, pan natomiast nie jest w stanie sam jej przerwać. Zakończmy lepiej sprawę ugodowo. Będzie pan kontynuował pracę...” Poruszyłem brwiami i wyszeptałem bezdźwięcznie: „Nie!” — „Pan mnie martwi. Może papierosa? Wiem, że nie odczuje pan zadowolenia z powodu braku płuc, przez które nikotyna dostaje się do krwi, jednak znajome wrażenia...” Zapalił wyjętego z papierośnicy papierosa, wkładając mi drugiego do ust. Z jaką rozkoszą go wyplułem! „Świetnie — powiedział tym samym uprzejmym, beznamiętnym tonem — zmusza mnie pan do zastosowania innych środków perswazji...” Włączył prąd, który przeszył mój mózg jak rozżarzony świder. „Jak się pan czuje? — spytał tonem troskliwego lekarza. — Boli pana głowa? Może chce pan pozbyć się tego bólu? Wystarczy tylko...” — „Nie!” — wyszeptały moje usta. „Wielka szkoda. Trzeba będzie troszeczkę zwiększyć napięcie. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo mnie to martwi”. Włączył tak silny prąd, że moja głowa zapłonęła ogniem piekielnym. Ból był nie do wytrzymania. Zgrzytałem zębami. Tak bardzo pragnąłem stracić przytomność, ale nawet to nie było mi dane. Zamknąłem tylko oczy i zacisnąłem usta. Kern palił papierosa, puszczał mi w twarz strugi dymu i przypiekał

moją głowę na wolnym ogniu. Nie próbował mnie już przekonywać. Kiedy uchyliłem powieki, stwierdziłem, że rozwścieczył go mój upór. „Niech to diabli! Gdyby pański mózg nie był mi potrzebny, usmażyłbym go i jeszcze dziś nakarmił nim swojego pinczera. Uparty osioł!” Bezceremonialnie zerwał z mojej głowy wszystkie przewody i wyszedł. Ale na radość było za wcześnie. Wkrótce powrócił i zaczął dodawać do roztworów odżywiających moją głowę środków drażniących, które wywoływały koszmarne bóle. Kiedy mimowolnie krzywiłem twarz, pytał: „No i co, kolego? Zdecydował się pan? Jeszcze nie?” Byłem niewzruszony. Poszedł wściekły, obrzucając mnie stekiem wyzwisk. Świątowałem zwycięstwo. Przez jakiś czas Kern nie pojawiał się w laboratorium, a ja z dnia na dzień oczekiwałem zbawiennej śmierci. Na piąty dzień przyszedł jak gdyby nigdy nic, pogwizdując wesoło. Nie spojrzał nawet w moją stronę i rozpoczął pracę. Przez dwa albo trzy dni obserwowałem go, nie wtrącając się do niczego. Ale siłą rzeczy musiało mnie to interesować. Kiedy Kern w trakcie przeprowadzanych doświadczeń pomylił się kilkakrotnie, co groziło zniweczeniem całego naszego dotychczasowego dorobku — nie wytrzymałem i dałem mu znak. „Trzeba tak było od razu” — powiedział z nie tajoną satysfakcją i puścił do mojego gardła strumień powietrza. Wyjaśniłem, na czym polegały jego pomyłki, i od tej pory nieprzerwanie kieruję naszą pracą. Kern okazał się sprytniejszy...

OFIARY WIELKIEGO MIASTA

Marie znienawidziła Kerna od czasu, gdy głowa profesora Dowella powierzyła jej tajemnicę. Niechęć ta rosła z dnia na dzień. Dziewczyna zasypiała i budziła się z tym uczuciem. Widziała Kerna w koszmarnych snach, była wręcz chora z

nienawiści. Ostatnimi czasy przy spotkaniach z Kernem ledwie powstrzymywała się od wygarnięcia mu prosto w twarz: „Morderca!”

W jego obecności była sztywna i oziębła.

— Kern jest obrzydliwym przestępcą! — powtarzała nieraz, kiedy była z Dowellem sam na sam. — Napiszę donos, rozpowiem wszystkim naokoło o tym, co zrobił, nie uspokoję się, dopóki go nie zdemaskuję i nie odsłonię przed światem jego machinacji. Siebie nie będę oszczędzać.

— Ciszej!... Proszę się uspokoić — perswadował Dowell. — Mówiłem już pani, że chęć zemsty jest mi obca. Jeżeli jednak jest pani zgorszona i pragnie zadośćuczynienia, nie będę się sprzeciwiał... tylko proszę nie postępować pochopnie i poczekać, aż skończymy doświadczenia. Kern jest mi w tej chwili równie niezbędny, jak ja jemu. Beze mnie nie może dokończyć pracy, ale ja bez niego także. A przecież tylko to mi pozostało. Niczego już więcej nie będę w stanie stworzyć, niech więc przynajmniej skończy to, co zaczęliśmy.

Z gabinetu dały się słyszeć kroki.

Marie szybko zamknęła zawór i, wciąż jeszcze płonąca oburzeniem, usiadła z książką w ręku. Dowell przymknął powieki, jak człowiek pogrążony w drzemce.

Wszedł profesor Kern.

Podejrzliwie spojrzął na Marie.

— Co się stało? Pani jest zdenerwowana? Czy wszystko w porządku?

— Nic takiego, wszystko w porządku... to tylko kłopoty rodzinne...

— Proszę podać mi rękę, zbadam pani tętno.

Marie niechętnie wyciągnęła rękę.

— Trochę za szybkie. Nerwy... Tak, dla wrażliwych ludzi to chyba zbyt wyczerpująca praca. Ale jestem z pani zadowolony. Podniosę dwukrotnie pani wynagrodzenie.

— Dziękuję bardzo, to zbyteczne.

— Zbyteczne? Kto nie potrzebuje pieniędzy? Przecież pani ma rodzinę.

Marie milczała.

— Jeszcze jedna rzecz. Trzeba poczynić pewne przygotowania. Głowę profesora Dowella umieścimy w pokoju obok... Tymczasowo, kolego, tymczasowo — zwrócił się do profesora. — Pan śpi? Jutro tu przybędą dwa świeżutkie trupy, będziemy mieli jeszcze dwie mówiące głowy do zademonstrowania naukowcom. Czas najwyższy, żeby świat dowiedział się o naszych sukcesach.

Kern znowu bacznie spojrzał na Marie. Aby nie zdradzić się przedwcześnie ze swoją niechęcią, dziewczyna przybrała obojętny wyraz twarzy i szybko zadała pierwsze lepsze pytanie, jakie przyszło jej do głowy:

— Czyje zwłoki mają przywieźć?

— Nie wiem i nikt jeszcze tego nie wie: w tej chwili to jeszcze nie zwłoki, tylko żywi i zdrowi ludzie. Zdrowsi od nas, mogę panią o tym zapewnić. Potrzebne mi są głowy absolutnie zdrowych ludzi. Ale jutro czeka ich śmierć i najpóźniej za godzinę będą już tu, na stole sekcyjnym. Zadbam o to.

Marie, choć spodziewała się po Kernie wszystkiego, spojrzała nań tak przerażonym wzrokiem, że ten zmieszał się na chwilę, a potem wybuchnął śmiechem.

— Nie ma nic prostszego. Zamówiłem w kostnicy parę świeżych trupów. Sedno sprawy tkwi w tym, że miasto, ten współczesny Moloch, żąda codziennie ludzkich ofiar i każdego dnia, z żelazną konsekwencją praw natury, ginie na jego ulicach kilka osób, nie licząc nieszczęśliwych wypadków na budowach i w fabrykach. Tak oto ci skazańcy, pełni sił witalnych, zasną dziś spokojnym snem, nie wiedząc, co ich czeka nazajutrz. Jutro rano wstaną i podśpiewując wesoło zaczną się ubierać, żeby pójść, jak im się zdaje, do pracy, w

rzeczywistości zaś — na spotkanie z nieuchronną śmiercią. W tym samym czasie w innym końcu miasta, nucąc równie beztrosko, będzie się ubierał ich bezwiedny kat: kierowca albo motorniczy. Potem ofiara wyjdzie ze swego mieszkania, a kat wyjedzie z garażu lub zajezdni. Unoszeni potokiem ruchu ulicznego będą uparcie zbliżać się do siebie, aż do fatalnego punktu przecięcia się ich dróg. Później któreś z nich zagapi się na jedną krótką chwilę — i gotowe.

W rejestrach statystyki notującej liczbę ofiar ruchu ulicznego przybędzie jeszcze jeden krzyżyk. Tysiące zbiegów okoliczności doprowadzą do tego punktu wyznaczonego przez sam los, niemniej wszystko odbędzie się z dokładnością mechanizmu zegarka, który sprawia, że dwie poruszające się z różną prędkością wskazówki w pewnym momencie nakładają się na siebie.

Nigdy jeszcze profesor Kern nie był tak rozmowny w obecności Marie. I skąd ta nieoczekiwana hojność? „Podnoszę pani wynagrodzenie...”

„Chce mnie przekupić, przypocholebić się” — pomyślała dziewczyna. — „Chyba podejrzewa, że domyślam się pewnych rzeczy, a nawet niejedno wiem. Nic z tego — mnie nie kupi.

NOWI MIESZKAŃCY LABORATORIUM

Nazajutrz rano na stole sekcyjnym w laboratorium profesora Kerna rzeczywiście leżały dwa świeże trupy.

Nowe głowy, przeznaczone do pokazu publicznego, nie powinny były wiedzieć o istnieniu profesora Dowella w nowym wcieleniu. Dlatego też jego głowa, na polecenie przewidującego Kerna, została przeniesiona do sąsiedniego pokoju.

Męskie zwłoki należały do robotnika około trzydziestki, który zginął w wypadku drogowym. Potężne ciało było poturbowane, w przymkniętych szklanych oczach zamarł strach.

Profesor Kern, Marie i John, ubrani w białe fartuchy, krzatali się wokół stołu.

— Było jeszcze kilka trupów — mówił Kern. — Pewien robotnik spadł z rusztowania, ale nie wziąłem go: mógł mieć wstrząs mózgu. Nie chciałem też kilku samobójców. Ten chłopak wydał mi się dobry. I jeszcze ta... ślicznotka.

Skinął głową w stronę zwłok kobiety o ładnej, ale zniszczonej twarzy, na której znać było jeszcze ślady makijażu. Na obliczu kobiety malował się spokój; tylko uniesione lekko brwi i rozchylone usta wyrażały jakieś dziecinne zdumienie.

— Śpiewaczka z baru. Zginęła na miejscu od zabłąkanej kuli pijanych bandziorów. Proszę spojrzeć — strzał prosto w serce. Gdyby któryś rozmyślnie celował, nie mógłby trafić lepiej.

Profesor Kern pracował pewnie i szybko. Głowy zostały oddzielone od ciał, zwłoki wyniesiono.

Jeszcze kilka minut — i głowy znalazły się na wysokich stolikach. Do gardła, żył i tętnic szyjnych wprowadzono rurki. Kern był w stanie radosnego podniecenia. Zbliżała się chwila jego tryumfu. Nie wątpił w sukces.

Na pokaz i wykład profesora Kerna w towarzystwie naukowym zaproszono wszystkich luminarzy nauki. Poinstruowana odpowiednio prasa zamieszczała artykuły wstępne pełne peanów na cześć geniuszu profesora Kerna. Czasopisma pękały w szwach od jego podobizn. Eksperyment, polegający na ożywianiu oddzielonych od ciał ludzkich głów, wynoszono do rangi olśniewającego sukcesu nauki.

Pogwizdując wesoło, profesor Kern umył ręce, zapalił cygaro i z satysfakcją spojrział na umieszczone przed nim głowy.

— He, he! Widzimy na tej tacy nie tylko głowę Jana Chrzciciela, ale i samej Salome. Piękne spotkanie! Pozostaje tylko przekręcić kurek... i martwi ożyją. Cóż, mademoiselle, proszę wskrzeszać! Niech pani otworzy wszystkie trzy zawory. W tym dużym cylindrze znajduje się sprężone powietrze, a nie trucizna, he, he...

Marie wiedziała o tym od dawna, ale idąc za podszeptem intuicyjnej przebiegłości, nie dała nic po sobie poznać.

Nagle Kern zasępił się i spoważniał. Podszedł do Marie i powiedział, akcentując każde słowo:

— Proszę jednak nie otwierać zaworu powietrznego profesora Dowella. Ma... uszkodzone struny głosowe i...

Przechwyciwszy nie dowierzające spojrzenie Marie, dodał z rozdrażnieniem:

— W każdym razie... zabraniam pani. Radzę być posłuszną, jeżeli nie chce mieć pani dużych nieprzyjemności.

Po czym, znów odzyskawszy dobry humor, zanucił na melodię Prologu z opery Pajace:

— A więc — już zaczynamy!...

Marie otworzyła zawory. Głowa robotnika pierwsza zaczęła dawać oznaki życia.

Prawie niezauważalnie drgnęły powieki, źrenice nabrały przejrzystości.

— Cyrkulacja w normie. Wszystko w porządku.

Nagle poruszyły się gałki oczne ożywającej głowy, wzrok skierował się w stronę jasnego prostokąta okna. Oznaczało to, że z wolna powraca świadomość.

— Żyje! — zawołał radośnie Kern. — Zwiększyć strumień powietrza!

Marie przekręciła kurek prawie do oporu. Powietrze zasyczało w gardle.

— Co to?... Gdzie ja jestem?... — wybełkotała głowa.

— W klinice, przyjacielu — odpowiedział Kern.

— W klinice? — Głowa spojrzała wokół, spuściła oczy i zobaczyła pod sobą pustkę.

— A gdzie moje nogi, moje ręce? Gdzie moje ciało?

— Nie ma, ptaszyno. Roztrzaskane w drobny mak. Ocalała tylko głowa, tułów musieliśmy odciąć.

— Jak to „odciąć”? Nie zgadzam się na coś podobnego! Co to za operacja? Teraz do niczego się nie nadaję. Samą głową nie zarobię na kawałek chleba. Potrzebne mi ręce — bez rąk, bez nóg nikt mnie nie przyjmie do roboty. Wyjdę ze szpitala... Tfu! Wyjdę — ciekawe jak? Co teraz będzie? Trzeba zjeść, wypić... Znam te wasze szpitale. Potrzyście mnie tu kilka dni i wypędzicie. Powiecie: wyleczony. Nie zgadzam się — powtarzał.

Szeroka opalona piegowata twarz, uczesanie, akcent, naiwne spojrzenie błękitnych oczu — wszystko wskazywało na wiejskie pochodzenie tego człowieka. Bieda oderwała go od rodzinnych pól, miasto zniweczyło młode, zdrowe ciało.

— Może dostanę chociaż jakąś zapomogę? A gdzie jest ten?...

— przypomniał sobie nagle, wodząc przerażonym wzrokiem po sali.

— Kto?

— No, ten... który mnie przejechał... Z jednej i z drugiej strony tramwaje, potem samochód, a on prosto na mnie...

— Proszę się nie martwić. Dostanie za swoje. Mam numer tej ciężarówki: cztery tysiące siedemset jedenaście, jeżeli to pana interesuje. Jak się pan nazywa? — spytał profesor Kern.

— Ja? Tom. Tomasz Bush, tak się nazywam.

— Otóż to... Nie będzie panu zbywało na niczym, nie grozi panu głód, chłód czy pragnienie. Nikt nie wyrzuci pana na bruk, proszę się nie obawiać.

— To co, będziecie mnie karmić za darmo czy pokazywać za pieniądze na jarmarkach?

— Pokazać pokazemy, tylko nie na jarmarkach, ale na sesji naukowej. Teraz proszę odpocząć. — Kern spojrział na kobiecą głowę i zauważył z niepokojem: — Coś nasza Salome każe długo na siebie czekać.

— Co to? Też głowa bez ciała? — spytał Tom.

— Widzi pan, postaraliśmy się o damskie towarzystwo, żeby się panu nie nudziło... Marie, proszę zamknąć jego zawór powietrzny, żeby nie przeszkadzał nam swoim gadaniem.

Kern wyjął termometr tkwiący w nozdrzu kobiecej głowy.

— Temperatura jest już wyższa, ale coś za wolno postępuje cały proces ożywienia...

Czas płynął, a głowa nadal nie dawała znaków życia.

Profesor Kern zaczął się denerwować. Chodził po laboratorium, spoglądał na zegarek i każdy jego krok na kamiennej posadzce głośnie echem odzywał się w dużym pomieszczeniu.

Tom ze zdumieniem wodził za nim wzrokiem, bezdźwięcznie poruszając ustami.

W końcu Kern podszedł do głowy kobiety i uważnie obejrzał szklane rurki, stanowiące końcówki kauczukowych przewodów wprowadzonych do tętnic szyjnych.

— Znalazłem przyczynę! Ta rurka jest za luźno osadzona i dlatego cyrkulacja przebiega zbyt wolno. Proszę dać mi szerszą rurkę.

Profesor zmienił rurkę i głowa odżyła w ciągu kilku minut.

Briquet — tak nazywała się kobieta — zareagowała na swój powrót do życia w sposób bardziej burzliwy. Ocknąwszy się ostatecznie, zaczęła krzyczeć zachrypniętym głosem, błagając, żeby ją dobić, byle nie zostawiać w tak potwornej postaci.

— Ach! Moje ciało... moje biedne ciało! Coście ze mną zrobili? Ratujcie mnie albo zabijcie. Nie mogę żyć bez ciała!...

Pozwólcie mi przynajmniej spojrzeć... nie, nie trzeba. Ciało

bez głowy... co za okropność! To potworne. Uspokoiwszy się trochę, powiedziała:

— Mówiliście, że zostałam ożywiona. Brak mi wykształcenia, ale wiem, że głowa nie może żyć bez ciała. Co to — cud czy czarna magia?

— Ani jedno, ani drugie. To osiągnięcie nauki.

— Jeżeli ta wasza nauka czyni takie cuda, to powinna umieć robić coś wręcz przeciwnego. Dajcie mi inne ciało. Ten osioł, George, przedziurawił mnie kulą. Ale jest wiele dziewczyn, które strzelają sobie w łeb. Odetnijcie od takiej ciało i przyszyjcie do mojej głowy. Tylko najpierw pokażcie je mnie — muszę wybrać ładne. Przecież tak nie może być... Kobieta bez ciała! To gorsze od mężczyzny bez głowy.

Potem spojrzała na Marie i poprosiła:

— Niech pani będzie tak uprzejma i poda mi lustro. Długo i uważnie studiowała własne odbicie.

— Okropne!... Czy mogłaby mnie pani uczesać? Sama choćbym chciała, nie mam jak...

— Marie, przybywa pani obowiązków — uśmiechnął się Kern. — W związku z tym podniosę pani wynagrodzenie. Na mnie już czas.

Spojrzał na zegarek, zbliżył się do Marie i szepnął jej do ucha:

— W ich obecności — powiódł wzrokiem po nowo przybyłych — ani słowa o głowie profesora Dowella!

Kiedy Kern opuścił laboratorium, dziewczyna udała się w odwiedziny do Dowella. Oczy profesora smutnie patrzyły na nią, niewesoły uśmiech zastygł na wargach.

— Biedny mój... — wyszeptwała Marie. — Ale już wkrótce będzie pan pomszczony!

Profesor dał znak. Marie otworzyła zawór.

— Lepiej niech mi pani opowie, jak przebiegało doświadczenie... — syczącemu głosowi towarzyszył nikły uśmiech.

ROZRYWKI

Tomowi i Briquet trudniej było się przyzwyczaić do nowej formy swojego istnienia niż profesorowi. Mózg Dowella bowiem zajęty był obecnie tą samą pracą naukową, która absorbowwała go przedtem, tymczasem dla nowych mieszkańców laboratorium — ludzi prostych — bezcielesne życie nie miało sensu. Nic też dziwnego, że bardzo szybko ogarnęła ich tęsknota.

— Czy to jest życie? — skarżył się Tom. — Sterczę tu jak pień. Nic tylko wpatruję się w te ściany...

Przygnębienie „jeńców nauki”, jak żartobliwie nazywał ich Kern, bardzo go niepokoiło: głowy mogły wypaść niekorzystnie w czasie pokazu. Usiłował więc zabawiać je na wszelkie możliwe sposoby. Przyniósł projektor, przy pomocy którego Marie i John urządzali wieczorem seanse filmowe. Biała ściana laboratorium służyła za ekran.

Tom szczególnie gustował w komediach z udziałem Chaplina i Benksa. Oglądając gagi w ich wykonaniu, zapominał na jakiś czas o swej „niepełnej” egzystencji. Z jego gardła wydobywały się nawet dźwięki przypominające śmiech, a oczy zachodziły łzami.

Ale oto skończyły się perypetie aktorów i na białej ścianie pokoju pojawiła się farma. Mała dziewczynka karmi kurczęta, które dziobią ziarna podsuwane im przez troskliwą kwokę. Na tle obory młoda, zdrowa kobieta doi krowę, łokciem odpędzając cielaka, który pcha się do wymienia. Przebiegł kudłaty pies, a w ślad za nim ukazał się farmer, prowadzący za uzdę konia.

Tom wydał chrypiący wysoki dźwięk i nagle krzyknął:

— Nie trzeba, nie trzeba!

John, który kręcił się wokół projektora, nie od razu zrozumiał, o co chodzi.

— Przerwać wyświetlanie! — rozkazała Marie i szybko włączyła światło. Mętny obraz poruszał się jeszcze przez jakiś czas na ścianie, aż w końcu zniknął. John wyłączył projektor.

Marie spojrzała na Toma. W oczach miał łzy, ale już nie ze śmiechu. Całą jego pulchną twarz wykrzywiał grymas czyniący go podobnym do skrzywdzonego dziecka.

— Zupełnie jak u nas na wsi... — pochlipywał. — Krowa... kurka... Wszystko przepadło!

Aparatem zajęła się Marie. Wkrótce znów zgasło światło i po białej ścianie przemknęły cienie. Harold Lloyd uciekał przed prześladowającymi go policjantami. Jednak nic nie było w stanie poprawić humoru Toma. Teraz widok poruszających się ludzi wywoływał w nim jeszcze większe rozgoryczenie.

— Biega, jakby mu kto soli pod ogon nasypał — zrzędził. — Posadzić go na moim miejscu, ciekawe, czy też by tak skakał. Marie próbowała jeszcze raz zmienić program.

Widok arystokratycznego balu całkiem wyprowadził z równowagi Briquet. Denerwowały ją piękne kobiety i ich wspaniałe kreacje.

— Nie trzeba... nie chcę widzieć, jak żyją inni — mówiła.

Seansów zaprzestano.

Odbiornik radiowy stał się centrum zainteresowania na trochę dłuższy okres. Muzyką wzruszali się obydwój, szczególnie tą taneczną.

— Boże, jak ja szalałam w tym tańcu! — krzyknęła kiedyś Briquet, zalewając się łzami.

Znów należało wybrać inny rodzaj rozrywki. Briquet grymasiła, co chwilę domagała się lustra, wymyślała nowe fryzury, kazała malować sobie oczy, pudrować twarz. Denerwowała się z powodu nieudolności Marie, która za żadne skarby nie mogła zgłębić tajników kosmetyki.

— Czy pani nie widzi — irytowała się Briquet — że prawe oko jest mocniej podmalowane od lewego? Proszę unieść lustro trochę wyżej.

Prosiła też o żurnale i modne tkaniny, każąc je drapować wokół stolika, do którego przytwierdzona była jej głowa. Zaczęła miewać coraz większe dziwactwa: tak na przykład pewnego pięknego dnia oświadczyła z nagłym zażenowaniem, że nie może spać w jednym pokoju z mężczyzną.

— Proszę mnie odgradzić na noc parawanem albo przynajmniej książką.

Marie robiła więc „parawan” z dużej otwartej książki, którą ustawiała na szklanej płytce obok głowy Briquet.

Tom też sprawiał im sporo kłopotów. Kiedyś zażądał wina i profesor Kern zmuszony był sprawić mu przyjemność, upijając go niewielką ilością alkoholu dodaną do mieszanek odżywczych.

Czasami Tom i Briquet śpiewali w duecie. Zwiotczałe struny głosowe odmawiały posłuszeństwa — był to żalosny koncert.

— Mój biedny głos... Gdybyście słyszeli, jak śpiewałam przedtem! — cierpiała Briquet, unosząc brwi.

Wieczorem pogrążali się w melancholijnych rozmyślaniach. Niecodziennosc obecnej egzystencji zmuszała nawet te nieskomplikowane natury do refleksji nad istotą życia i śmierci.

Briquet wierzyła w życie pozagrobowe. Tom był materialistą.

— To oczywiste, że dusza jest nieśmiertelna — mówiła Briquet. — Gdyby dusza umierała wraz z ciałem, nie mogłaby wrócić do głowy.

— A gdzie pani miała duszę: w głowie czy w ciele? — sarkastycznie spytał Tom.

— No... w ciele, wszędzie — niepewnie odpowiedziała Briquet, przeczuwając ukryty w tym pytaniu podstęp.

— I co, teraz ta dusza spaceruje po tamtym świecie bez głowy?

— Sam jesteś bez głowy — obraziła się Briquet.

— Akurat na jej brak nie mogę narzekać — nie dawał za wygraną Tom. — Dlaczego dusza głowy nie została na tamtym świecie? Jak tu wróciła? Po tej gumowej kiszce? O, nie — kontynuował już całkiem serio — człowiek jest jak maszyna. Para wprawia ją w ruch, ale jeżeli coś się popsuje, nawet największe ciśnienie nie jest w stanie jej uruchomić...

I oboje zagłębiali się w rozmyślaniach...

ZIEMIA I NIEBO

Wywody Toma nie przekonały Briquet, która, niezależnie od dość swobodnego stylu życia, była głęboko wierzącą katoliczką. Żyjąc burzliwie, nie miała czasu nie tylko na rozmyślania o życiu pozagrobowym, ale nawet na pójście do kościoła. Jednak zaszczepiona w dzieciństwie wiara tkwiła w niej bardzo mocno. Okazało się; że teraz właśnie nadszedł odpowiedni moment, żeby ziarno, rzucone w tych odległych czasach, zakiełkowało. Obecna egzystencja Briquet była straszna, ale śmierć — właściwie możliwość ponownej śmierci — przerażała ją stokroć bardziej. Nocami prześladowały ją koszmary życia pozagrobowego. Migotały piekielne płomienie, widziała, jak jej grzeszne ciało smaży się na wielkiej patelni...

Budziła się, szcękając zębami i dusząc się ze strachu. Duszności odczuwała bardzo dotkliwie: nadmiernie pobudzony mózg wymagał zwiększonego dopływu tlenu. A przecież Briquet pozbawiona była serca — naturalnej pompy, która tak idealnie reguluje ilość dostarczanej do każdego narządu krwi. Usiłowała krzyczeć, żeby obudzić dyżurującego w pokoju Johna, który, dawno znudzony częstym wołaniem,

nie bacząc na zakazy Kerna, wyłączał niekiedy zawory powietrzne, aby móc pospać trochę w spokoju. Briquet otwierała usta jak ryba wyjęta z wody i próbowała krzyczeć, lecz jej krzyk nie był głośniejszy od ziewnięcia ryby w agonii... Po pokoju w dalszym ciągu snuły się chimeryczne cienie, odbłaski piekieł oświetlały ich twarze. Zbliżały się do Briquet, wyciągały okropne szponiaste łapy. Dziewczyna zamykała oczy, ale bez skutku: widziała je nadal. Miała wrażenie, że serce jej zamiera i lodowacieje ze strachu.

— Wielki Boże, czy nie przebaczysz swej nędznej słudze? Jesteś wszechpotężny — szeptała bezdźwięcznie — dobroć Twa jest niezmierna. Grzeszyłam, ale czy to moja wina? Wiesz przecież, jak to się stało. Nie pamiętam matki, któż miał nauczyć mnie cnoty? Głodowałam. Tyle razy błagałam Cię o pomoc! Nie gniewaj się, Panie, nie czynię Ci wyrzutów — lękliwie ciągnęła swą niemą modlitwę — chcę tylko powiedzieć, że nie tak bardzo zawiniłam. W miłosierdziu swym może wyślesz mnie do czyśćca... Byle nie do piekła! Umrę ze strachu!... O Boże, jaka ja jestem głupia, przecież tam się nie umiera! — I znowu powtarzała swą naiwną modlitwę.

Tom także źle sypiał. Ale jego nie prześladowały koszmary z piekła rodem — tęsknił do spraw całkiem przyziemnych. Zaledwie kilka miesięcy temu opuścił rodzinną wieś. Zostawił w niej wszystko, co było bliskie jego sercu, zabrawszy ze sobą na drogę tylko kawałek chleba i swoje marzenia — zapracować w mieście na skrawek ziemi. Wtedy ożeni się z rumianą, hożą Mary, wtedy jej ojciec nie będzie się sprzeciwiał ich małżeństwu. Wszystko runęło tak nagle...

Na białej ścianie swojego więzienia zobaczył farmę i dojącą krowy, wesołą, zdrową kobietę, łudzaco podobną do Mary. Zamiast niego jakiś inny mężczyzna prowadził przez podwórze konia, leniwie odganiającego ogonem muchy. A on,

Tom, tkwi tu nabity na pal, jak strach na wróble! Gdzie jego zdrowe ciało, mocne ręce? Zgrzytnął zębami z rozpacz, potem cicho zapłakał i lzy kapały na szklany stolik.

— Co to? — spytała ze zdziwieniem Marie podczas porannego sprząwania. — Skąd się wzięła ta woda?

Wprawdzie przewidujący John zdążył już otworzyć zawór, ale Tom nie odpowiadał. Niezyczliwie i ponuro spojrział na Marie, a kiedy ta podeszła do głowy Briquet, cicho i chrapliwie wyszeptał za jej plecami:

— Mordercy! — Zapomniał już o kierowcy, który był sprawcą wypadku, i przelał cały swój gniew na otaczających go ludzi.

— Pan coś powiedział? — spojrzała na niego Marie. Tom mocno zacisnął wargi, a jego oczy patrzyły na dziewczynę z jawną niechęcią.

Zdziwiona Marie chciała zapytać Johna o przyczyny złego humoru Toma, ale Briquet zdążyła wcześniej zawładnąć jej uwagą.

— Niech pani będzie tak dobra i podrapie mój nos z prawej strony. Ta niemoc jest okropna... Czy nie ma tam krostki? Dlaczego tak swędzi? Proszę mi podać lustro.

Marie postawiła lustro przed głową Briquet.

— Trochę bardziej w prawo, bo nic nie widzę. Jeszcze trochę... O, tak. Jest zaczerwienienie. Może posmarować kremem?

Marie cierpliwie spełniła jej życzenie.

— Świetnie. Teraz proszę przypudrować. Dziękuję.

Chciałam panią o coś zapytać...

— Słucham.

— Niech mi pani powie... Gdyby tak na przykład wielki grzesznik wyspowiadał się przed księdzem i okazał skruchę, to czy uzyskałby przebaczenie i trafił do raju?

— Oczywiście — odpowiedziała z powagą Marie.

— Tak się boję mąk piekielnych — przyznała się Briquet. — Bardzo proszę, niech pani sprowadzi księdza, chcę umrzeć jak chrześcijanka.

Przewróciła oczami z miną konającej męczennicy. Potem spojrzała na Marie i zawołała:

— Co za ciekawy fason sukienki! Czy to ostatni krzyk mody? Dawno nie miałam najnowszych żurnali. Powróciła już myślami do ziemskich spraw.

— Krótka spódniczka... Ładne nogi zawsze na tym wygrywają. Moje nogi! Moje biedne nogi! Pani je widziała? Kiedy tańczyłam, te nogi doprowadzały mężczyzn do szaleństwa!

Do pokoju wszedł Kern.

— Co słyszać? — zagadnął wesoło.

— Panie profesorze, proszę mnie wysłuchać — powiedziała Briquet. — Nie mogę tak dłużej... musi mi pan dać czyjeś ciało. Prosiłam już pana kiedyś, teraz proszę znowu. Bardzo proszę. Jestem pewna, że zrobi pan to, jeśli tylko zechce.

„Do diabła, a dlaczego by nie?” — pomyślał Kern. Chociaż przywłaszczył sobie cały splendor ożywiania ludzkich głów, to w głębi duszy zdawał sobie jednak sprawę, że udany eksperyment był wyłącznie zasługą profesora Dowella. Dlaczego nie pójść jeszcze dalej? Z dwóch nieboszczyków złożyć jednego żywego człowieka — to byłoby wspaniałe! W przypadku sukcesu cała chwała, zgodnie z prawdą, przypadłaby w udziale tylko jemu. Zresztą, nie od rzeczy będzie skorzystać z pewnych rad Dowella. Tak, ta sprawa z pewnością zasługuje na przemyślenie.

— Naprawdę miałyby pani ochotę jeszcze zatańczyć? — uśmiechnął się Kern i dmuchnął Briquet w twarz dymem z cygara.

— Czy chciałabym? Będę tańczyć dzień i noc. Będę wymachiwać rękami jak wiatrak, będę fruwać jak motyl... Niech mi pan tylko da ciało, młode, piękne kobiece ciało!

— Dlaczego koniecznie kobiece? — odparł przewrotnie Kern.

— Jeśli tylko pani zechce, mogę dać pani ciało mężczyzny.

Briquet popatrzyła na niego zdumiona i przerażona.

— Mężczyzny? Kobiece głowa z ciałem mężczyzny? Nie, nie, to będzie okropieństwo! Jak miałabym się ubierać!

— Przecież nie będzie już pani wtedy kobietą. Stanie się pani mężczyzną z brodą, wąsami i grubym głosem. Nie chciałaby pani zostać mężczyzną? Wiele kobiet o tym marzy.

— Chyba tylko takie, na które mężczyźni nigdy nie zwracali uwagi. Te może zyskałyby co nieco na tej zamianie. Ale ja... nie odczuwam podobnej potrzeby. — I Briquet dumnie uniosła swoje piękne brwi.

— Dobrze, zrobimy tak, jak pani sobie życzy. Zostanie pani kobietą. Postaram się znaleźć odpowiednie ciało.

— O, profesorze, będę panu niewymownie wdzięczna. Może dałoby się to załatwić jeszcze dziś? Widzę już, jaką zrobię furorę, kiedy wrócę do „Chat Noir”...

— Wątpię, czy nastąpi to tak szybko.

Briquet paplała dalej, ale Kern już podszedł do Toma:

— Jak leci, przyjacielu? — zapytał.

Tom nie słyszał rozmowy Kerna z Briquet. Zatopiony we własnych myślach, ponuro spojrzął na niego i nic nie odpowiedział.

Od chwili, kiedy profesor Kern przyrzekł Briquet, że da jej nowe ciało, humor dziewczyny wyraźnie uległ zmianie. Skończyły się koszmary, nie myślała już o życiu pozagrobowym. Wszystkie myśli skierowała ku nadchodzącemu nowemu życiu. Patrząc w lustro, martwiła się, że zeszczuplała jej twarz, skóra nabrała żółtawego odcienia.

Dręczyła Marie prośbami o układanie i czesanie włosów, malowanie twarzy.

— Profesorze, czy zostanę taka chuda i żółta? — pytała Kerna z niepokojem.

— Będzie pani piękniejsza niż przedtem — uspokajał ją Kern.

— Makijaż nic tu nie pomoże, nie ma się co oszukiwać — mówiła po odejściu Kerna. — Mademoiselle Marie, będzie mnie pani nacierać zimną wodą i masować. Porobiły mi się nowe zmarszczki pod oczami i koło nosa, myślę, że znikną po regularnych masażach. Jedna z moich przyjaciółek.. Aha, zapomniałam spytać, czy znalazła pani dla mnie szary jedwab na sukienkę? W szarym mi bardzo do twarzy. Żurnale pani przyniosła? Cudownie! Szkoda, że nie można jeszcze zrobić przymiarki. Nie wiem, jakie będę miała ciało. Chciałabym wysokie, z wąskimi biodrami... Proszę otworzyć żurnal. — Pochłonęło ją studiowanie kobiecych strojów.

Marie nie zapominała o profesorze Dowellu. Opiekowała się nim nadal, czytała mu każdego ranka, ale na rozmowy brakowało im czasu, chociaż miała do profesora sporo pytań. Czowała się coraz bardziej zmęczona i zdenerwowana. Briquet nie dawała jej chwili wytchnienia; Marie zmuszona była nieraz przerywać zajęcia i pędzić na pierwsze zawołanie po to tylko, by poprawić spadający kosmyk włosów lub odpowiedzieć, czy była w sklepie z bielizną.

— Przecież nie zna jeszcze pani swoich wymiarów — z ukrywaną irytacją mówiła Marie, poprawiała szybko Briquet włosy i szła z powrotem do profesora Dowella.

Myśl o przeprowadzeniu szaleńczego eksperymentu całkowicie zawładnęła Kernem. Pracował ze zdwojonym wysiłkiem, przygotowując się do tej skomplikowanej operacji. Często zamykał się w pomieszczeniu, w którym znajdowała się głowa profesora Dowella, i przeprowadzał z nim długie rozmowy. Mimo najszczerzych chęci, nie mógł poradzić

sobie bez wskazówek starego profesora. Dowell przypominał mu o tysiącach trudności, których Kern nie przewidział, a które mogłyby wpłynąć na wynik doświadczenia. Doradził, że należałoby zrobić kilka wstępnych zabiegów na zwierzętach, i sam kierował tymi zabiegami. Co najciekawsze — Dowell, jak przystało na naukowca z prawdziwego zdarzenia, wkrótce sam niezwykle zainteresował się przygotowywanym eksperymentem. Jego twarz jak gdyby odmłodziła, umysł pracował bez zarzutu.

Kern był jednocześnie rad i nierad daleko idącej pomocy Dowella. W miarę postępowania prac przekonywał się coraz bardziej, że sam nie dałby sobie rady. Pozostawało mu cieszyć miłość własną myślą, że przeprowadzenie tego nowego doświadczenia będzie należało już tylko do niego.

— Jest pan godnym spadkobiercą zmarłego profesora Dowella — powiedział pewnego dnia Dowell z ledwie zauważalnym ironicznym uśmiechem. — Gdybym tylko mógł aktywniej uczestniczyć w pracy!

Nie była to ani prośba, ani aluzja. Profesor doskonale wiedział, że Kern nigdy nie zdecyduje się dać mu nowego ciała.

Kern sposepniał i udał, że nie słyszał tego zdania.

— Doświadczenia na zwierzętach dały świetne wyniki — powiedział. — Operowałem dwa psy. Uciałem im głowy, po czym głowę jednego przeszczepiłem drugiemu. Oba są zdrowe, szwy na szyi goją się wspaniale.

— Odżywianie? — spytał Dowell.

— Na razie sztuczne. Podaję im tylko roztwór dezynfekujący z jodyną. Ale niedługo zacznę je karmić normalnie.

Za kilka dni Kern oświadczył:

— Psy odżywiane są normalnie. Zdjąłem opatrunki i myślę, że za jakieś dwa dni zwierzęta będą mogły biegać.

— Niech się pan nie spieszy, poczeka z tydzień — poradził Dowell. — Młode psy robią gwałtowne ruchy głową, szwy mogą popękać. Nie należy ich zbyt forsować. — „Zdąży pan po laury” — chciał dodać, ale powstrzymał się w porę. — Jeszcze jedno. Niech pan trzyma psy w osobnych pomieszczeniach, mogłyby sobie zrobić krzywdę w czasie wspólnych zabaw.

Nareszcie nastał dzień, w którym profesor Kern z triumfem wprowadził do pokoju Dowella białego psa z czarną głową. Pies najwyraźniej czuł się dobrze, miał rozumne spojrzenie i wesoło machał ogonem. W pewnej chwili ujrzał głowę profesora, zjeżył się cały, zawarczał i zaniósł się dzikim jazgotem. Niezwykły widok najwyraźniej zdumiał i przestraszył zwierzę.

— Proszę przejść się z nim po pokoju — rozkazał Dowell.

Kern przespacerował się wzdłuż pokoju, prowadząc za sobą psa. Baczne i wprawne oko Dowella śledziło pilnie ich ruchy.

— Co to? — spytał Dowell. — Pies utyka na lewą tylną łapę. Głos też ma nie najlepszy.

Kern zmieszał się trochę.

— Pies kulał już przed operacją — wyjaśnił — miał przetrąconą łapę.

— Na oko deformacja jest niezauważalna, pomacać, niestety, nie jestem w stanie. Nie mógł pan znaleźć pary zdrowych psów? — spytał Dowell z powątpiewaniem w głosie. — Wydaje mi się, że może pan, szanowny kolego, być wobec mnie zupełnie szczery. Chyba przeciągnął pan proces ożywiania, wydłużył niepotrzebnie „martwą pauzę” w pracy serca i oddechu, a prowadzi to częstokroć, jak powinno być panu wiadome z moich poprzednich doświadczeń, do rozregulowania funkcji układu nerwowego. Ale proszę się zbytnio nie martwić, objawy mogą ustąpić z czasem. Niech

pan tylko uważa, żeby pańska Briquet nie kulą na obydwie nogi.

Kern był wściekły, lecz starał się nie dać tego po sobie poznać. Stał mu przed oczami dawny Dowell — bezpośredni, wymagający i pewny siebie.

„To oburzające! — myślał. — Ta sycząca jak przedziurawiona dętka głowa poucza mnie i kpi z moich błędów, a ja zmuszony jestem wysłuchiwać tego jak sztubak. Jeden ruch ręki — i ten zgniły arbuz wyzionie ducha...” Ale nie ujawniając swych myśli, z uwagą wysłuchiwał jeszcze kilku rad.

— Jestem panu wdzięczny za wskazówki — powiedział, skinął głową na pożegnanie i wyszedł z pokoju.

Humor poprawił mu się już za drzwiami.

„O, nie — pocieszał się w myślach. — Robota jest wykonana doskonale. Dowellowi nie tak łatwo dogodzić. To, że pies utyka i ma zmieniony głos, to głupstwo w porównaniu z tym, co zostało zrobione”.

Przechodząc przez pokój, w którym „mieszkała” Briquet, Kern zatrzymał się i wskazał na psa:

— Mademoiselle Briquet, pani życzenie wkrótce zostanie spełnione. Widzi pani tego pieska? Też miał samą tylko głowę bez ciała, a teraz — proszę spojrzeć — żyje i biega jak gdyby nigdy nic.

— Nie jestem pieskiem — obraziła się Briquet.

— Ależ to tylko niezbędne doświadczenie. Skoro ożył pies, który otrzymał nowe ciało, ożyje i pani.

— Nie rozumiem, co pies ma z tym wspólnego — upierała się Briquet. — Nic mnie nie obchodzi jak tam psy. Niech mi pan lepiej powie, kiedy dostanę ciało. Zamiast mnie ożywić, zajmuje się pan psami.

Kern zrezygnowany machnął ręką, ale uśmiechając się nadal, powiedział:

— Już niedługo. Muszę tylko znaleźć odpowiednie zwłoki... to znaczy ciało, i będzie pani, że tak powiem, kompletna.

Wyprowadził psa i wrócił po chwili z centymetrem. Dokładnie zmierzył obwód szyi Briquet.

— Trzydzieści sześć centymetrów — powiedział.

— Mój Boże, jak ja schudłam! — wykrzyknęła Briquet. — Miałam trzydzieści osiem, a mój numer buta...

Ale Kern już jej nie słuchał. Poszedł do swojego gabinetu i ledwo zdążył usiąść przy biurku, ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę wejść.

Drzwi się otworzyły i weszła Marie. Usiłowała zachować spokój, ale twarz jej zdradzała silne wzburzenie.

DOBRO I ZŁO

— Co się stało? Czy coś nie w porządku z naszymi pacjentami? — spytał Kern, odrywając wzrok od rozłożonych papierów.

— Nie... ale chciałabym zamienić z panem kilka słów.

Kern rozparł się wygodnie w fotelu.

— Słucham panią, mademoiselle Loran.

— Proszę mi powiedzieć, czy rzeczywiście ma pan zamiar dać Briquet ciało, czy tylko pociesza ją pan w ten sposób?

— Chcę naprawdę dać jej ciało.

— I wierzy pan w sukces przedsięwzięcia?

— Oczywiście. Przecież widziała pani psa.

— A Tom... czy jego też zamierza pan postawić na nogi? — ostrożnie zaczęła Marie.

— Dlaczegoż by nie? Już mnie o to prosił, nie mogę jednak pomóc wszystkim naraz.

— A profesora Dowella... — tu nagle poczęła mówić szybko i z przejęciem. — Każdy człowiek ma prawo do życia, do normalnego ludzkiego życia. Ale chyba zdaje pan sobie

sprawę ze znaczenia profesora w porównaniu z Tomem i Briquet. I jeżeli chce pan umożliwić normalne istnienie tym dwojgu, to ileż ważniejsze jest przywrócenie życia profesorowi Dowellowi!

Kern zmarszczył brwi, jego twarz przybrała wyraz napięcia i bezwzględności.

— Profesor Dowell, a ściślej mówiąc, ta profesorska głowa znalazła w pani wspaniałego obrońcę — powiedział, uśmiechając się ironicznie. — Chyba jednak nie ma potrzeby tak namiętnej obrony; proszę się nie gorączkować. To oczywiste, że pomyślałem również o Dowellu.

— Dlaczego więc nie zaczyna pan od niego?

— Właśnie dlatego, że głowa profesora jest cenniejsza od tysiąca innych głów. Zacząłem od psa, zanim przystąpiłem do Briquet, a głowa Briquet jest o tyle ważniejsza od głowy psa, ile głowa Dowella od Briquet.

— Nie można porównywać człowieka z psem.

— Podobnie jak głowy profesora Dowella z głową Briquet. Czy ma pani mi jeszcze coś do powiedzenia?

— Nie, panie profesorze — odpowiedziała Marie, kierując się w stronę drzwi.

— W takim razie ja mam do pani kilka spraw. Proszę zaczekać.

Marie zatrzymała się w progu, patrząc pytająco na Kerna.

— Proszę, niech pani podejdzie bliżej i usiądzie.

Marie, pełna niejasnych obaw, usiadła w wygodnym fotelu. Twarz Kerna nie wróżyła niczego dobrego. Siedząc naprzeciwko dziewczyny, długo i wnikliwie patrzył na nią, aż w końcu Marie spuściła oczy. Potem gwałtownie wstał, prostując całą swą potężną postać, mocno wsparł się dłońmi o stół i pochylony w kierunku Marie, zapytał cicho, ale dobitnie:

— Czy nie otwierała pani zaworu powietrznego przy głowie profesora Dowella? Czy pani z nim przypadkiem nie rozmawiała?

Marie poczuła dreszcz biegnący od koniuszków palców; myśli zaczęły się plątać. Oburzenie, jakie wzbudzał w niej Kern, wciąż narastało; lada chwila gotowa była wybuchnąć.

„Powiedzieć mu prawdę czy nie?” — wahała się Marie. Z jaką rozkoszą rzuciłaby mu prosto w twarz słowo „morderca”, ale otwarty atak mógłby zniszczyć wszystko.

Nie wierzyła, że Kern da Dowellowi nowe ciało. Wiedziała zbyt wiele, żeby móc uwierzyć w taką możliwość.

Marzyła więc tylko o jednym — zdemaskować przed ludźmi przestępstwa Kerna, który zagarnął cały dorobek profesora Dowella. Wiedziała, że Kern nie cofnie się przed niczym i że występując przeciwko niemu otwarcie, naraża swe życie na niebezpieczeństwo. Jednak nie instynkt samozachowawczy był tu czynnikiem hamującym — nie chciała zginąć, nim przestępstwa Kerna zostaną ujawnione. Dlatego musiała kłamać. Ale kłamać nie pozwalało jej sumienie. Nie kłamała jeszcze nigdy w życiu; wychowana w duchu umiłowania prawdy, przeżywała teraz straszliwą rozterkę.

Kern nie spuszczał z niej wzroku.

— Nie musi pani kłamać — powiedział kpiąco — po co obciążać sumienie grzechem obłudy. Rozmawiała pani z Dowellem, wiem o tym, nie ma co zaprzeczać. John podsłuchał kiedyś waszą rozmowę...

Marie milczała, schyliwszy głowę.

— Chciałbym się tylko dowiedzieć, czego dotyczyły te rozmowy?

Dziewczyna poczuła, że krew, która odpłynęła przed chwilą z policzków, znów zapulsowała pod skórą. Podniosła głowę i spojrzała Kernowi prosto w oczy.

— Wszystkiego.

— Aha — powiedział Kern, nie odejmując dłoni od blatu biurka. — Tak też myślałem. Wszystkiego.

Zapanowało milczenie. Marie znowu spuściła oczy, jak człowiek oczekujący na wyrok.

Nagle Kern szybko podszedł do drzwi i zamknął je na klucz. Potem przespacerował się kilkakrotnie tam i z powrotem po pokoju. W końcu bezszelestnie podszedł do Marie i zapytał:

— I cóż zamierza pani zrobić, moja droga? Oddać krwiożerczego potwora o nazwisku Kern pod sąd? Zmieszać z błotem jego imię? Ujawnić przestępstwo? Chyba o to prosił panią Dowell?

— O nie — gorąco zaprzeczyła Marie, zapomniawszy o strachu. — Mogę pana zapewnić, że profesor jest całkowicie pozbawiony chęci zemsty. To wspaniałomyślny człowiek! Nawet... mnie próbował zniechęcić. Niech pan nie mierzy wszystkich własną miarką! — zakończyła wyzywająco z roziskrzonym wzrokiem.

Kern uśmiechnął się i znów rozpoczął swój spacer po gabinecie.

— Tak... No cóż, wspaniale. To znaczy, że miała pani jednak demaskatorskie zamiary i gdyby nie profesor Dowell, Kern już siedziałby w więzieniu. Jeżeli dobro nie może zatryumfować, niech przynajmniej zło zostanie ukarane, Taki był finał wszystkich moralizatorskich powieścideł, które pani czytała. Czyż nie tak, miła moja dziewczynko?

— Tak, zło będzie ukarane! — prawie tracąc panowanie nad sobą, wykrzyknęła Marie.

— Ależ oczywiście, tam, w niebie. — Kern spojrzał na czarny dębowy sufit. — Jednak tu, na ziemi, zwycięża zło i tylko zło. Nawet tak naiwne stworzenie, jak pani, powinno o tym wiedzieć. A dobro... Dobro stoi z wyciągniętą ręką prosząc zło o jałmużnę albo sterczy tam — Kern wskazał ręką w kierunku pokoju, w którym znajdowała się głowa profesora — jak

strach na wróble, rozmyślając o marności wszystkiego, co doczesne,

Zbliżył się do Marie i ściszonego głosem powiedział:

— Pani wie, że mogę Dowella i panią zamienić w pył, w dosłownym znaczeniu, i żywa dusza się o tym nie dowie?

— Wiem, że jest pan gotów popełnić każde...

— Przepęstwo? To świetnie, że pani o tym wie. Przemierzał pokój, snując dalej swe rozważania normalnym już tonem, jakby myślał na głos:

— Cóż więc mam z panią zrobić, piękna mścicielko? Niestety, należy pani do tego gatunku ludzi, którzy nie wahają się przed niczym i w imię prawdy gotowi są założyć koronę cierniową. Jest pani delikatna, wrażliwa, nerwowa, ale nie da się pani zastraszyć. Zabić panią? Dzisiaj, teraz? Dałoby się oczywiście zatrzeć ślady, ale wymagałoby to pewnych zabiegów. A mój czas jest niezwykle cenny. Przekupić panią? Trudniej niż zastraszyć... Niechże mi pani powie, co mam z panią zrobić?

— Zostawić wszystko, jak było... przecież nie doniosłam do tej pory.

— A nie doniesie pani?

Marie zawahała się, a potem powiedziała cicho i stanowczo:
Doniosę.

Kern tupnął nogą.

— Uparta dziewczucha! Wiem już, co pani robi. Proszę natychmiast usiąść przy moim biurku... Niech się pani nie boi, jeszcze nie mam zamiaru dusić pani ani truć.

Marie spojrzała na niego zdziwiona i po chwilowym zastanowieniu przesiadła się na stojący przy biurku fotel.

— W końcu, jest mi pani potrzebna. Jeżeli zabiję panią w tej chwili, będę musiał szukać zastępczyni. Nie mogę mieć żadnej gwarancji, że na pani miejscu nie pojawi się jakiś szantażysta, który odkryje tajemnicę głowy Dowella i zacznie wyłudzać ode mnie pieniądze, a w końcu tak czy owak napisze donos.

Panią już przynajmniej znam. Proszę pisać. „Kochana mamusiu — czy jak tam zwraca się pani do matki — stan zdrowia chorych znajdujących się pod moją opieką wymaga mojej stałej obecności w domu profesora Kerna...”

— Chce mnie pan uwięzić w swoim domu, pozbawić wolności? — zawołała oburzona Marie.

— Otóż to, moja prześwietna pomocnico.

— Nie napiszę takiego listu — stanowczo oświadczyła Marie.

— Dość! — krzyknął nagle Kern tak, że w zegarze ściennym zabręczała sprężyna. — Niech pani zrozumie wreszcie, że nie mam innego wyjścia. Proszę przestać się wygłupiać!

— Nie zostanę u pana i nie będę pisać tego listu.

— Ach tak! Dobrze. Może pani iść, gdzie oczy poniosą. Ale zanim pani odejdzie, będzie pani świadkiem, jak pozbawię życia profesora Dowella i rozpuszczę jego głowę w odczynnikach chemicznych. Może pani wtedy obwieszczać całemu światu, że widziała ją pani u mnie. Nikt w to nie uwierzy, każdy panią wyśmiej. Ale proszę się mieć na baczności! Zemszczę się za ten donos. Chodźmy!

Chwycił Marie za rękę i pociągnął za sobą do drzwi. Dziewczyna miała zbyt mało sił, by stawić opór tej brutalnej przemocy.

Opuścili gabinet i mijając pokój Toma i Briquet prawie w biegu weszli do pomieszczenia, w którym znajdowała się głowa profesora Dowella.

Dowell ze zdumieniem przyjął tę nieoczekiwaną wizytę, a Kern, nie zwracając na niego uwagi, podszedł do urządzeń i gwałtownie przekręcił zawór regulujący dopływ krwi.

Zdziwione oczy profesora spokojnie popatrzyły w stronę zaworu, a potem przeniosły spojrzenie na Kerna i zmieszana Marie. Zawór powietrzny był zamknięty; Dowell nie mógł mówić, poruszał tylko ustami i dziewczyna, przyzwyczajona już do jego mimiki, zrozumiała bezgłośnie pytanie:

„To koniec?”

Po chwili skierowane na Marie oczy Dowella zaczęły mętnieć, powieki rozwarły się szeroko, gałki oczne wyszły z orbit, po twarzy przebiegł skurcz.

Marie krzyknęła histerycznie. Zataczając się podbiegła do Kerna, chwyciła go za rękę i półprzytomna z przerażenia powiedziała zduszonym głosem;

— Niech pan szybko otwiera zawór... Zgadzam się na wszystko!

Kern odpowiedział ledwie zauważalnym uśmiechem.

Wyregulował przyrządy i życiodajny strumień popłynął znowu. Oczy Dowella przybrały normalny wygląd, skurcz zniknął, przejaśniło się spojrzenie. Życie powoli wracało, bo już po chwili Dowell spojrzał na Marie ze zdziwieniem, a nawet rozczarowaniem.

Dziewczyna słaniała się na nogach.

— Zechce pani wesprzeć się na moim ramieniu — zaproponował Kern z galanterią, i dziwna para opuściła pokój. Kiedy Marie znów usiadła przy biurku, Kern powiedział jak gdyby nigdy nic:

— Na czym to stanęliśmy? Aha... „Stan zdrowia pacjentów wymaga mojej stałej — albo nie, proszę napisać: — ciągłej obecności w domu profesora Kerna, który był na tyle uprzejmy, że oddał do mojej dyspozycji piękny pokój z widokiem na ogród. Oprócz tego profesor Kern podniósł trzykrotnie moją pensję, ponieważ dzień roboczy uległ wydłużeniu”.

Marie spojrzała na niego z wyrzutem, ale Kern dodał:

— To nie jest kłamstwo. Ponieważ zmuszony jestem pozbawić panią wolności, więc trzeba to jakoś zrekompensować. Rzeczywiście podnoszę pani wynagrodzenie. Proszę pisać dalej: „warunki mam tu wspaniałe i chociaż pracy jest dużo, czuję się doskonale. Nie

odwiedzaj mnie, profesor nikogo nie przyjmuje, ale żebyś nie tęskniła, będę często do ciebie pisać". Dobrze. Niech pani doda jeszcze od siebie parę czułych słów, jakich zwykła pani używać, tak żeby list nie wzbudzał żadnych podejrzeń.

Jakby zapominając o obecności Marie, zaczął rozmyślać na głos:

— Jasne, że długo to nie potrwa, toteż mam nadzieję, że nie będę pani długo zatrzymywał. Nasza praca dobiega końca, a potem... To znaczy, chciałem powiedzieć, że głowa profesora Dowella nie będzie żyła wiecznie i kiedy zakończy swój żywot... Zresztą i tak wie pani o wszystkim. Krótko mówiąc, kiedy skończymy z Dowellem pracę, będzie to zarazem kres jego istnienia. Po jego głowie nie zostanie śladu, a wtedy będzie pani mogła wrócić do swojej szanownej mamusi. Przestanie pani być dla mnie niebezpieczna. Proszę zapamiętać: jeżeli będzie pani gadała zbyt wiele, mam świadków, którzy w razie konieczności zeznają pod przysięgą, że szczątki profesora Dowella razem z jego głową, nogami i resztą profesorskich atrybutów zostały przeze mnie spalone w krematorium po sekcji zwłok. Krematorium to doskonałe wyjście z sytuacji w takich wypadkach.

Na dzwonek Kerna wszedł John.

— John, zaprowadzisz mademoiselle Loran do białego pokoju z widokiem na ogród. Mademoiselle Loran przeprowadza się do mojego domu. Czeka nas wiele pracy. Spytaj panią o niezbędne rzeczy i przynieś wszystko, co może być potrzebne do wygodnego urządzenia się. Możesz w moim imieniu złożyć zamówienia w sklepach, zapłacę za wszystko. Nie zapomnij o obiedzie dla pani.

Pożegnał się i wyszedł.

John zaprowadził Marie do przeznaczonego dla niej pokoju. Kern nie skłamał: pokój rzeczywiście był piękny — jasny, przestronny, przytulnie umeblowany. Z ogromnego okna

roztaczał się widok na ogród. Ale najbardziej ponure więzienie świata nie byłoby w stanie wpędzić Marie w stan tak głębokiej melancholii, jak ten wesoły, ładny pokój. Dziewczyna krokiem ciężko chorego człowieka dowlokła się do okna i wyjrzała do ogrodu.

„Drugie piętro... za wysoko...” — pomyślała. Zresztą, nawet gdyby mogła uciec, nie zrobiłaby tego — jej ucieczka była równoznaczna z wyrokiem śmierci na profesora Dowella.

Wyczerpana usiadła na kanapie i pogrążyła się w niewesołych rozmyślaniach. Nie mogła określić dokładnie, ile czasu trwał ten stan.

— Podano do stołu — jak przez sen usłyszała głos Johna i podniosła zmęczone powieki.

— Dziękuję bardzo, nie jestem głodna, proszę to sprzątnąć. Znający swoje obowiązki sługa bezszelestnie spełnił polecenie i zniknął.

Marie wróciła do swych myśli. Kiedy w oknach stojącego naprzeciwko domu zapaliły się światła, dziewczyna poczuła się tak samotna, że zdecydowała się złożyć natychmiastową wizytę swym podopiecznym. Miała szczególną ochotę zobaczyć się z Dowellem.

Nieoczekiwana wizyta Marie wyjątkowo ucieszyła Briquet.

— Nareszcie! — zawołała. — Czy już? Już jest?

— Co?

— Moje ciało — powiedziała Briquet takim tonem, jakby mowa była o nowej sukience.

— Nie, jeszcze go nie przynieśli — z mimowolnym uśmiechem odpowiedziała Marie. — Ale wkrótce powinna się pani doczekać.

— Byle jak najprędzej!

— Czy mnie też przyszyją inne ciało? — spytał Tom.

— Oczywiście — uspokoiła go Marie. — Będzie pan zdrowy i silny jak przedtem. Zaoszczędzi pan pieniędzy, wróci do siebie na wieś i ożeni się ze swoją Maryą.

Dziewczyna wiedziała już o wszystkich najskrytszych marzeniach swych pacjentów.

Tom tylko cmoknął.

— Mogliby się pospieszyć.

Marie udała się do pokoju profesora Dowella. Ledwo zdążyła otworzyć zawór powietrzny, profesor natychmiast zapytał:

— Co to wszystko znaczy?

Opowiedziała mu o rozmowie z Kernem i o swym areszcie.

— To oburzające! — wykrzyknął Dowell. — Gdybym mógł pani pomóc... I chyba będę w stanie, jeśli tylko pani najpierw mnie pomoże. — Patrzył gniewnym, zdecydowanym wzrokiem. — Wszystko jest bardzo proste. Wystarczy przekreślić zawory przy rurkach odżywiania, a umrę w tejże chwili. Proszę mi wierzyć, byłem rozczarowany, kiedy Kern przywrócił mi życie. Umrę i Kern wypuści panią na wolność.

— Nigdy nie wrócę do domu za taką cenę! — powiedziała Marie.

— Chciałbym mieć dar krasomówczy Cyncerona, żeby panią przekonać.

Marie przecząco pokręciła głową.

— Nawet Cynceron nie byłby w stanie mnie przekonać. Za żadne skarby nie zdecyduję się przerwać ludzkiego życia...

— Jaki tam ze mnie człowiek... — ze smutnym uśmiechem odparł Dowell.

— Pamiętam, jak pan cytował Kartezjusza: „Myślę, więc jestem” — odrzekła Marie.

— Przypuśćmy, że tak jest w istocie. W takim razie przestanę instruować Kerna. Nie zmusi mnie do pomocy żadnymi torturami. Wtedy sam mnie dobije.

— Nie, nie, błagam pana. — Marie podeszła do profesora. — Proszę mnie wysłuchać. Wcześniej myślałam o zemście, teraz już o czymś innym: Jeżeli Kern będzie w stanie dać głowie Briquet nowe ciało i operacja się uda, jest szansa na pański powrót do życia. Nie Kern, to ktoś inny pana uratuje...

— Niestety, szansa jest jedna na milion — odpowiedział Dowell. — Nie wiadomo, czy nawet Kern poradzi sobie z tą operacją. To zły i występny człowiek, Herostrates do pięt mu nie dorasta pod względem zarozumiałstwa i żądzy sławy, ale jest utalentowanym chirurgiem i chyba najzdolniejszym z moich asystentów. Jeśli nie zrobi tego on, korzystający z moich rad po dzień dzisiejszy, nie zrobi tego nikt. Mam spore wątpliwości co do tego, czy nawet on potrafi przeprowadzić tę niesłychaną operację.

— Ale psy...

— Psy to całkiem co innego. Przed zabiegiem przeszczepienia głów, oba leżały na stole żywe i tryskające zdrowiem. Wszystko odbyło się błyskawicznie. Ale nawet w takiej sytuacji Kern zdołał przywrócić życie tylko jednemu psu: gdyby było inaczej, na pewno przyprowadziłby tu obydwu, żeby się pochwalić. A ciało ludzkie może być dostarczone do laboratorium dopiero po upływie kilku godzin, kiedy to należy brać już pod uwagę prawdopodobieństwo rozkładu. Sama może się pani zorientować co do stopnia trudności zabiegu, przecież ma pani wykształcenie medyczne. To nie to samo, co przyszyć odciętego palca. Trzeba podwiązać i uważnie zeszyć wszystkie żyły, wszystkie tętnice, a co najważniejsze — nerwy i rdzeń kręgowy, bo inaczej pacjent zostanie kaleką. Potem trzeba wznowić obieg krwi... Nie, to nieskończenie trudne zadanie, przekraczające możliwości współczesnych chirurgów.

— A pan nie podjąłby się takiej operacji?

— Wszystko przemyślałem, robiłem nawet doświadczenia na psach i sędzę, że mnie by się to udało...
Drzwi otworzyły się niespodziewanie. Na progu pokoju stał Kern.
— Narada spiskowców? W takim razie nie będę przeszkadzał.
Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

MARTWA DIANA

Briquet myślała, że przyszycie ludzkiej głowy do nowego ciała jest sprawą równie prostą, jak uszycie nowej sukienki. Obwód szyi jest już wiadomy, pozostaje więc dobranie takiego samego obwodu szyi trupa. Przekonała się jednak wkrótce, że sprawa nie jest aż tak łatwa.

Rano zjawili się u niej profesor Kern, Marie i John — wszyscy w białych fartuchach. Na polecenie Kerna głowę Briquet zdjęto ze szklanego stolika i ostrożnie położono twarzą do góry, tak żeby widoczny był cały przekrój szyi. Nie zaprzestano podawania krwi nasyconej tlenem. Kern zagłębił się w obliczeniach i pomiarach.

— Niezależnie od podobieństwa budowy anatomicznej — mówił — każde ciało ludzkie ma swoje cechy indywidualne. Ciężko jest czasem odróżnić, czy ma się do czynienia z zewnętrzną, czy wewnętrzną tętnicą szyjną. Różne są średnice aort, szerokość tchawicy, nawet w wypadku osób o jednakowym obwodzie szyi. Sporo czasu będę musiał poświęcić nerwom.

— Ale jak będzie pan operował? — spytała Marie. — po przystawieniu głowy do tułowia zakryje pan automatycznie całą powierzchnię przekroju.

— W tym właśnie problem. Przemyśleliśmy z Dowellem to zagadnienie. Trzeba będzie wykonać szereg cięć podłużnych od środka ku brzegom. To skomplikowane zadanie. Należy naciąć szyję głowy i zwłok po to, by dostać się do jeszcze nie

obumarłych, aktywnych komórek. Jednak sedno sprawy tkwi w czymś innym. Najważniejsze to zlikwidowanie produktów zaczynającego się rozkładu, usunięcie ognisk infekcji, wyczyszczenie naczyń krwionośnych z zakrzepłej krwi, napełnienie ich świeżą i uruchomienie „motoru” organizmu — serca... A rdzeń kręgowy? Najłżejszy dotyk wywołuje bardzo silną reakcję, brzemienne częstokroć w poważne następstwa.

— Jak ma pan zamiar uporać się z tymi problemami?

— O, to na razie mój sekret. Jeżeli powiedzie się doświadczenie, opublikuję całą historię „zmarwychwstania”. Ale na dzisiaj już dość. Proszę postawić głowę na miejsce i otworzyć dopływ powietrza. Jak się pani czuje, mademoiselle?

— zapytał, zwracając się do Briquet.

— Dziękuję, dobrze. Jestem bardzo zaniepokojona, panie profesorze... Mówiliście tu państwo o wielu niezrozumiałych sprawach, z czego wiem jedno: macie zamiar szatkować moją szyję wzdłuż i w poprzek. Przecież to skandal! Będę miała szyję jak kotlet siekany — wstyd pokazać się ludziom na oczy!

— Postaram się, żeby blizny były prawie niewidoczne. Jednak przeprowadzenie operacji bez jakichkolwiek śladów jest, oczywiście, niemożliwe. Niech pani nie patrzy na mnie tak rozpaczliwie, może pani nosić na szyi aksamitkę albo kolię. Dobrze już, podaruję ją pani w dniu „narodzin”. Aha! Wygląda pani teraz trochę mizernie, ale po powrocie do normalnego życia, naturalnie przytyje pani. Żeby poznać prawdziwy obwód szyi, trzeba będzie panią podtuczyć, i to już teraz, żeby potem nie było żadnych niespodzianek.

— Przecież ja nie mogę jeść — żałośnie odpowiedziała Briquet.

— Będziemy panią tuczyć przez rurkę. Przygotowałem już specjalną mieszankę — dodał, zwracając się do Marie. — Oprócz tego trzeba będzie zwiększyć ilość dostarczanej krwi.

— Czy w skład tej mieszanki wchodzi tłuszcz?

Kern wykonał nieokreślony gest ręką.

— Nawet jeśli Briquet nie przytyje — powiedział zniżonym głosem — to w każdym razie „spuchnie”, a o to mi właśnie chodzi. Tak więc — zakończył — pozostaje najważniejsze: niech pani prosi Boga, mademoiselle Briquet, żeby w najbliższym czasie zginęła jakaś piękność, która użyczy pani pośmiertnie swego wspaniałego ciała.

— Proszę tak nie mówić, to straszne! Musi zginąć człowiek, żebym ja mogła mieć ciało... Boję się, doktorze. Przecież to ciało nieboszczyka. Co będzie, jeśli ona się zjawi i zażąda, żebym je oddała?

— Kto „ona”?

— Nieboszczka.

— Nie będzie miała nóg — roześmiał się Kern. — A gdyby się nawet zjawiła, radzę powiedzieć, że to pani jest górą, bo dała jej pani głowę. Powinna być wdzięczna za taki prezent. Idę na dyżur do kostnicy. Życze mi powodzenia, Pomyślny wynik doświadczenia w dużym stopniu zależał od tego, czy zwłoki będą świeże, dlatego też Kern zaniedbał wszystkie sprawy i spędzał w kostnicy cały swój czas, czekając na szczęśliwy traf.

Z cygarem w zębach chodził po długim korytarzu tak spokojnie, jakby przechadzał się po parku. Na rzędy marmurowych stołów padało matowe światło, na każdym stole leżał trup, już rozebrany i umyty.

Z rękami w kieszeniach, pykając cygarem, Kern mijał kolejne stoły, zaglądał w martwe twarze i od czasu do czasu uchylał skórzaną płachtę, by dokładnie obejrzeć ciało.

Wspólnie z nim chodzili krewni albo przyjaciele zmarłych. Kern traktował ich nieprzyjaźnie, obawiając się, że mogą wyrwać mu z rąk odpowiedni egzemplarz, który przecież tak niełatwo zdobyć. Przed upływem trzech dni do każdego zwłok

mogła sobie rościć prawo rodzina, a po trzech dniach ciało będące już w stanie rozkładu nie interesowało Kerna. Był mu potrzebny całkiem świeży, w miarę możliwości jeszcze ciepły trup.

Hojnie dawał łapówki, żeby zapewnić sobie możliwość otrzymania ciała natychmiast. Numer ewidencyjny można było sfalszować i nieszczęsna ofiara zostałaby zarejestrowana jako „zaginiona”.

„Niełatwo znaleźć Dianę, która odpowiadałaby wymaganiom Briquet” — myślał Kern patrząc na szerokie stopy i spracowane ręce zmarłych. Większość znajdujących się tu zwłok nie należała do osób, które jeżdżą pięknymi samochodami. Kern przespacerował się znów z jednego końca korytarza w drugi — w tym czasie kilka ciał zostało rozpoznanych. Wyniesiono je, a na ich miejsce już przybywały następne. Wśród tych także nie znalazł dla siebie nic odpowiedniego. Owszem, były nawet zwłoki bez głów, ale miały albo nieodpowiednią budowę, albo pokaleczone ciało, albo śmierć nastąpiła zbyt dawno. Dzień dobiegał końca. Kern czuł coraz silniejszy głód i z rozkoszą myślał o kotletach z drobiu przybranych zielonym groszkiem.

„Pechowy dzień” — zawyrokował wyjmując zegarek i kierując się do wyjścia. Mijał tłum kręcących się wśród stołów ludzi, pełnych rozpacz, tęsknoty i przerażenia. Nagle ujrzał nosze, na których spoczywał kobiecy trup bez głowy. Młode ciało lśniło jak biały marmurowy posąg.

„Właśnie o coś takiego mi chodzi” — pomyślał Kern i udał się za sanitariuszami. Zwłoki umieszczono na stole; Kern obejrzał je pobieżnie i upewnił się, że znalazł to, czego szukał. Już miał szepnąć stojącemu obok sanitariuszowi, że zabiera tego trupa, gdy nagle do stołu zbliżył się nędznie ubrany, nie ogolony staruszek.

— To ona, Marta! — powiedział głośno i otarł ręką pot z czoła.

„Co za licho go tu przyniosło!” — zaklął Kern i podszedł do staruszka.

— Rozpoznał pan te zwłoki? Przecież są bez głowy. Staruszek wskazał duży pieprzyk na lewym ramieniu.

— Patrz pan, to na pewno ona.

Kern był zdziwiony spokojem staruszka.

— Kim była dla pana? Żoną? Córką?

— Dobry Boże — odpowiedział rozmowny staruszek. — Niby to siostrzenica, dziesiąta woda po kisielu. Trójka ich była po mojej kuzynce — zmarło się biedaczce, a ten drobiazg został na moim karku Swoich mam czworo, bida z nędzą. Ale co robić, panie? Dzieciaki nie kocięta, pod płótem nie zostawię. Tak żyliśmy sobie, aż tu masz ci los — nieszczęście. Mieszkamy w starym domu, wyganiają nas stamtąd od dawna, a gdzie się mamy podziać? No i doigraliśmy się. Dach się zawalił. Pozostałe dzieci tylko potłuczone, a tej głowę ucięło. Mnie i starej w domu nie było, sprzedajemy pieczone kasztany. Przyszedłem do domu, a Martę już do kostnicy zabrali. Po co? Mówią, że za jednym zamachem w innych mieszkaniach też ludzi przygniotło, niektórzy byli samotni i wszystkich tu dali. Wróciłem do domu — gdzie tam, nawet wejść się nie da. Jakby trzęsienie ziemi...

„Może da się coś załatwić” — pomyślał Kern, wziął staruszka na bok i powiedział:

— Co się stało, to się nie odstanie. Widzi pan, jestem lekarzem, potrzebny mi jest trup. Nie będę owijał sprawy w bawełnę. Dostaje pan sto franków i może wracać do domu.

— Chce ją pan wypatroszyć? — staruszek pokiwał głową z dezaprobatą i zamyślił się. — Jej i tak już wszystko jedno... U nas bieda... Ale zawsze to swoja krew...

— Dwieście...

— Wielka bieda, dzieci głodne... Szkoda Marty, dobra była dziewczucha... bardzo dobra, buzia rumiana, nie takie byle co — tu staruszek pogardliwie machnął ręką w kierunku pozostałych stołów.

„Niezły gagatek! Zdaje się, że zaczyna reklamować swój towar” — pomyślał Kern i postanowił zmienić taktykę.

— Zresztą, jak pan woli — powiedział niedbale. — Trupów tu nie brak, niektóre wcale nie gorsze od pańskiej siostrzenicy.

— Zrobił kilka kroków.

— Zaraz, zaraz, niech pan da pomyśleć — staruszek podążył za nim truchcikiem, wyraźnie nie zamierzając rezygnować z dokonania transakcji.

Kern gotów był święcić tryumf, gdy sytuacja uległa niespodziewanej zmianie.

— Jesteś już? — dał się słyszeć zdenerwowany starczy głos.

Kern obejrzał się i zobaczył zbliżającą się do nich okrągłą starowinkę w śnieżnobiałym czepku. Staruszek na jej widok wydał nieartykułowany dźwięk.

— Znalazłeś? — zapytała starowinka i mamrocząc pod nosem modlitwy obrzucała wszystko wokół błędnym wzrokiem.

Staruszek w milczeniu wskazał ręką zwłoki dziewczyny.

— Gołąbeczko nasza, biedulko kochana! — lamentowała staruszka.

Kern zrozumiał, że czeka go ciężka przeprawa.

— Proszę mnie wysłuchać, szanowna pani — zaczął życzliwie, zwracając się do staruszki. — Rozmawiałem właśnie z pani mężem i z jego słów wynika, że jesteście w dużej potrzebie.

— Jesteśmy albo i nie, ale na niczyją łaskę nie liczymy — ucięła staruszka z godnością.

— Tak, jak widzi pani, jestem członkiem dobroczynnej organizacji pogrzebowej. Mogę pokryć koszty związane z pogrzebem waszej siostrzenicy z funduszu stowarzyszenia i

zająć się całą stroną organizacyjną. Może mi pani zaufać i udać się spokojnie do domu, gdzie oczekują panią dzieci i sieroty.

— Coś ty tu napłótl? — oburzyła się staruszka na męża, a potem rzekła do Kerna: — Dziękuję panu, ale muszę zrobić wszystko jak należy. Damy sobie jakoś radę bez pańskiego stowarzyszenia. No, co się gapisz? — przeszła do zwykłego tonu rozmów z mężem. — Zabieraj nieboszczkę i jedziemy. Mam tu na dole taczki.

Powiedziała te słowa w sposób tak zdecydowany, że Kernowi nie pozostawało nic innego, jak skłonić się sztywno i odejść.

„Co za pech! Wyjątkowo nieudany dzień”. Skierował się do wyjścia, poprosił na bok portiera i powiedział cicho:

— Niech pan pamięta: jeśli trafi się coś odpowiedniego, proszę natychmiast do mnie zatelefonować.

— Może pan na mnie polegać — skinął głową portier, który dostał przedtem pokąźną łapówkę.

Kern zjadł w restauracji obfity obiad i wrócił do domu. Kiedy wszedł do pokoju Briquet, ta przywitała go tradycyjnym ostatnio pytaniem:

— Znalazł pan?

— Znalazłem, ale jak pech, to pech. Musi pani jeszcze poczekać.

— Naprawdę nic się panu nie może trafić? — nie dawała za wygraną Briquet.

— Same pokraki. Jeżeli pani chce, mogę...

— Nie, nie, lepiej poczekam. Nie chcę być pokraka.

Kern postanowił wcześniej położyć się spać, żeby wstać rano i znowu pójść do kostnicy. Nie zdążył jeszcze zasnąć, gdy zaterkotał obok łóżka telefon. Kern zaklął pod nosem i podniósł słuchawkę.

— Halo, słucham. Tak, profesor Kern. Co się stało? Katastrofa kolejowa pod samym dworcem? Masa trupów? Oczywiście, jadę natychmiast. Dziękuję panu.

Ubrał się szybko, zawołał Johna i krzyknął:

— Samochód!

W kwadrans później pędził przez uśpione miasto. Portier nie skłamał. Śmierć zebrała obfite żniwo tej nocy, trupy wnoszono bezustannie. Wszystkie stoły były tak zavalone zwłokami, że wkrótce zaczęto je układać na podłodze. Kern nie posiadał się z radości. Dziękował losowi, że katastrofa nie zdarzyła się w dzień i że wiadomość nie zdążyła oblecieć miasta. W kostnicy nie było osób postronnych. Kern oglądał jeszcze nie rozebrane i nie umyte trupy. Wszystkie były zupełnie świeże. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności! Jedyne co mąciło radość profesora to to, że ów traf nie wziął pod uwagę jego specyficznych wymagań — większość zwłok była poturbowana albo uszkodzona w wielu miejscach. Jednak Kern nie tracił nadziei, ponieważ trupów wciąż przybywało.

— Proszę mi to pokazać — zwrócił się do sanitariusza wnoszącego zwłoki dziewczyny w szarej garsonce. Czaszka była uszkodzona na potylicy, włosy zakrwawione, ubranie też, ale wszystko na swoim miejscu. „Chyba uszkodzenia ciała są nieznaczne... Dobra. Budowa plebejska — widocznie jakaś służąca, ale lepszy rydz niż nic” — myślał Kern.

— A to co? — wskazał nagle na inne nosze. — Mój Boże, toż to skarb! Do diabła, szkoda, że taka kobieta musiała zginąć!

Na podłodze ułożono ciało kobiety o niezwykle pięknej, arystokratycznej twarzy, na której zamarł wyraz głębokiego zdziwienia. Czaszkę miała przedziurawioną nad prawym uchem — śmierć musiała nastąpić błyskawicznie. Na białej szyi widniał sznur pereł, szykowna czarna suknia z jedwabiu była trochę potargana u dołu i rozdarta na ramieniu, naznaczonym przez niewielki pieprzyk. „Tak jak u tamtej —

pomyślał Kern. — Ależ... co za uroda!" — Szybko zmierzył obwód szyi. — „Jak na zamówienie!"

Zerwał cenne perły, rzucił je dozorcóm i powiedział:

— Biorę te zwłoki. Nie mam teraz czasu na dokładne oględziny, zabiorę więc na wszelki wypadek jeszcze te — wskazał na ciało pierwszej dziewczyny. — Szybciej! Owińcie te zwłoki w płótno i wynieście. Słyszycie? Ludzie już się zbierają. Będziecie musieli otworzyć kostnicę i za kilka minut zacznie się tu wściekły zamęt.

Zwłoki zostały wyniesione, ulokowane w samochodzie i szybko dostarczone do domu Kerna.

Przyrządy potrzebne do operacji były już od dawna przygotowane. Nadszedł dzień, a raczej noc zmartwychwstania Briquet. Kern postanowił nie tracić ani chwili.

Obydwa trupy umyto i przeniesiono do pokoju Briquet. Po chwili znalazły się już na stole operacyjnym.

Briquet za wszelką cenę chciała zobaczyć swoje nowe ciało, lecz Kern nie zgodził się na to, zanim przygotowania nie dobiegły końca.

Błyskawicznie odciął obu trupom głowy, które zawinął w płótno i polecił Johnowi wynieść. Zarówno miejsca cięć, jak i cały stół zdezynfekowano, ciała doprowadzono do porządku.

Raz jeszcze obejrząwszy całość krytycznym okiem, Kern z wyrazem troski pokiwał głową. Ciało z pieprzykiem na ramieniu miało nieskazitelnie piękne kształty, zwłaszcza w porównaniu z ciałem „służącej" — kanciastym, szerokim, niezgrabnym, ale mocno zbudowanym. Briquet oczywiście wybierze ciało tej arystokratycznej Diany. Jednak podczas szczegółowych oględzin Kern zauważył u Diany, jak ją nazwał, niewielki defekt: na prawej stopie widniała mała ranka, najprawdopodobniej wynik skaleczenia kawałkiem blachy. Nie stanowiło to zbyt poważnego niebezpieczeństwa,

tym bardziej że natychmiast przemył ranę i można się było nie obawiać zakażenia. Ale sukcesu operacji z ciałem „służącej” był pewniejszy.

— Proszę odwrócić głowę Briquet — powiedział, zwracając się do Marie. Żeby Briquet nie przeszkadzała swoją gadatliwością, zatkało jej usta, czyli odłączono dopływ sprężonego powietrza. — Można otworzyć zawór.

Briquet zobaczyła zwłoki i krzyknęła jak oparzona. W jej oczach widać było przerażenie: jeden z tych trupów ma stać się jej własnym ciałem! Ogarnęły ją wątpliwości: po raz pierwszy tak wyraźnie, do bólu, poczuła całą niezwykłość zabiegu.

— No i co? Jak się pani podobają te tru... ciała?

— Boję się... — ochryple powiedziała Briquet. — Nie myślałam, że to takie okropne... nie chcę...

— Nie chce pani? W takim razie przyszyję do trupa głowę Toma, będzie kobietą. Tom, chce pan natychmiast otrzymać ciało?

— Niech pan zaczeka — przestraszyła się Briquet. — Zgadzam się. Wolę tamto... z pieprzykiem na ramieniu.

— Radziłbym pani wybrać to drugie. Nie jest piękne, ale za to bez szwanku.

— Jestem artystką, a nie praczką — dumnie zauważyła Briquet. — Chcę mieć piękne ciało. I ten pieprzyk... Mężczyźni to lubią.

— Niech będzie — odrzekł Kern. — Mademoiselle Loran, proszę przenieść głowę Briquet na stół operacyjny. Tylko ostrożnie, krwiobieg powinien być zachowany do ostatniego momentu.

Marie czyniła ostatnie przygotowania. Na twarzy Briquet malowało się ogromne napięcie. Kiedy jej głowa została umieszczona na stole, nie wytrzymała i nagle zaczęła krzyczeć tak, jak nie krzyczała jeszcze nigdy:

— Nie chcę! Nie chcę! Nie trzeba! Zabijcie mnie lepiej! Boję się! A-a-a!...

Kern, nie odrywając się od pracy, rzucił do Marie:

— Niech pani natychmiast zamknie zawór i wprowadzi do roztworu środek nasenny!

— Nie, nie, nie!

Zawór zamknięto, Briquet umilkła, ale dalej poruszała ustami i patrzyła błagalnie pełnym przerażenia wzrokiem.

— Panie profesorze, czy możemy robić operację bez jej zgody? — spytała Marie.

— Nie czas teraz na roztrząsanie problemów etycznych — oschle odpowiedział Kern. — Będzie nam potem wdzięczna. Proszę robić to, co do pani należy, albo wyjść i nie przeszkadzać mi w pracy.

Marie wiedziała, że wyjść nie może — bez jej pomocy wynik zabiegu byłby jeszcze bardziej problematyczny. Walcząc ze sobą pomagała Kernowi. Głowa Briquet tak się miotła, że rurki omal nie powypadały z naczyń krwionośnych. przywołano na pomoc Johna, który mocno przytrzymał głowę rękami. Drgawki słabły stopniowo, zamknęły się oczy: środek nasenny zaczął działać.

Profesor Kern przystąpił do operacji.

Ciszę przerywały tylko pojedyncze słowa Kerna, gdy prosił o ten czy inny instrument chirurgiczny. Żyły na czole profesora nabrzmiały od wysiłku. Użył całej swej błyskotliwej techniki, łącząc niezwykłą precyzję ruchów z uwagą i szybkością. Marie mimo nienawiści, jaką żywiła do tego człowieka, nie mogła wyjść z podziwu. Kern pracował jak natchniony artysta, jego zręczne dłonie dokonywały istnych cudów.

Operacja trwała godzinę i pięćdziesiąt minut.

— Koniec — powiedział wreszcie Kern, prostując plecy. — Od dziś Briquet przestała być głową bez ciała. Pozostaje tylko tchnąć w nią życie: zmusić do pracy serce, przywrócić obieg

krwi. Ale z tym już sam sobie poradzę. Może pani odpocząć, mademoiselle Loran.

— Nie jestem zmęczona — odpowiedziała Marie. Nie bacząc na wyczerpanie, bardzo chciała być obecna podczas końcowego aktu tej niezwyklej operacji. Jednak Kern najwyraźniej nie miał ochoty na wtajemniczenie jej w sprawy ożywiania. Powtórzył stanowczo, że powinna wypocząć, i Marie uległa.

Zawołał ją w godzinę później. Wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego, ale twarz mu promieniała.

— Niech pani sprawdzi tętno — zaproponował.

Dziewczyna dotknęła ręki Briquet — tej ręki, która zaledwie trzy godziny temu należała do zimnego trupa. Teraz była już ciepła, z wyczuwalnym tętnem. Kern przystawił do ust Briquet lusterko, które wkrótce zaszło parą.

— Oddycha. Trzeba dobrze otulić naszą nowo narodzoną.

Przez kilka dni powinna leżeć bez ruchu.

Oprócz bandaży Kern założył na szyję Briquet gips. Owinięto ją szczelnie, jak mumię; usta miała zakneblowane.

— Żeby przypadkiem nie zaczęła mówić — wyjaśnił Kern. — Przez całą pierwszą dobę, jeśli serce na to pozwoli, każemy jej spać.

Briquet przeniesiono do pokoju obok sypialni Marie, troskliwie ułożono do łóżka i zastosowano elektronarkozę.

— Będziemy odżywiać ją sztucznie, dopóki szwy się nie zrosną. Opiekę nad nią powierzam pani.

Dopiero po dwóch dniach Kern pozwolił Briquet „oprzytomnieć”.

Była czwarta po południu. Ukośny promień słońca przeciął pokój i padł na twarz pacjentki, która poruszyła brwiami i otworzyła oczy. Nie bardzo wiedząc, co się dzieje, popatrzyła na oświetlone okno, potem na Marie i w końcu spuściła oczy. Nie napotkała wzrokiem pustki: zobaczyła lekko falujące

piersi i ciało — jej ciało, przykryte prześcieradłem. Nieśmiały uśmiech rozjaśnił twarz dziewczyny.

— Proszę leżeć spokojnie i nic nie mówić — powiedziała Marie. — Operacja się udała, teraz wszystko zależy od pani zachowania. Im większy zachowa pani spokój, tym szybciej zacznie chodzić. Na razie będziemy się porozumiewać na migi. Kiedy opuści pani powieki, będzie to oznaczało „tak”, podniesione będą oznaczać „nie”. Czy pani odczuwa ból? Tutaj, tak? Szyja i noga? To minie. Chce pani pić? A może jeść?

Briquet nie czuła głodu, ale chciała pić.

Marie zadzwoniła po Kerna. Przyszedł natychmiast ze swego gabinetu.

— No, jak się czuje nowo narodzona? — Obejrzał Briquet i wydawał się zadowolony. — Wszystko w porządku. Cierpliwości, mademoiselle, niedługo będzie pani tańczyć.

Wydał kilka poleceń i odszedł.

Okres rekonwalescencji ciągnął się dla Briquet nieznośnie. Była przykładną pacjentką: zachowywała cierpliwość, leżała spokojnie i stosowała się do wszelkich poleceń. I oto wreszcie nadszedł dzień, kiedy zdjęto jej opatrunki. Nadal jednak obowiązywał zakaz mówienia.

— Czy czuje pani swoje ciało? — z pewnym wzruszeniem spytał Kern.

Briquet spuściła powieki.

— Niech pani ostrożnie spróbuje poruszyć palcami nóg. Widać było, że próbuje: na twarzy malowało się napięcie, ale palce pozostały nieruchome.

— Wynika z tego, że jeszcze nie wszystkie funkcje układu nerwowego zostały zregenerowane — autorytatywnie stwierdził Kern. — Ale mam nadzieję, że wkrótce wrócą do normy, zdolności ruchowe również. — A w głębi ducha

pomyślał: „Oby tylko faktycznie nie zaczęła kuleć na obydwie nogi”.

„Zregenerowane — jak dziwnie brzmi to słowo” — pomyślała Marie, przypominając sobie zimne ciało na stole operacyjnym. Briquet miała teraz nowe zajęcie: całymi godzinami próbowała poruszać palcami nóg. Marie obserwowała ją z wielkim zainteresowaniem. Pewnego dnia krzyknęła radośnie: — Rusza się! Duży palec lewej nogi!

Sprawy przybrały szybki obrót. Wkrótce zaczęły się poruszać inne palce kończyn, a za jakiś czas Briquet mogła już trochę podnosić nogi i ręce.

Marie była zdumiona: to cud, który widziała na własne oczy.

„Nawet jeśli Kern jest przestępcą — myślała — jednak to człowiek niezwykły. Co prawda bez pomocy Dowella nigdy nie dokonałby tego podwójnego wskrzeszenia. Ale samemu Kernowi nie zbywa na talencie — tak również twierdzi Dowell. Gdyby zechciał wskrzesić profesora! Tego nie robi nigdy”.

Za kilka dni Briquet pozwolono mówić. Okazało się, że ma dość przyjemny głos, załamujący się jednak od czasu do czasu.

— To też minie — zapewniał Kern. — Pośpiewa pani sobie jeszcze.

Rzeczywiście, wkrótce dziewczyna spróbowała zaśpiewać, znów zadziwiając Marie. Górne tony brała głosem dość piskliwym, rażącym, w środkowym rejestrze brzmiał on niewyraźnie, a nawet ochryple. Za to niskie dźwięki były doprawdy czarujące — wspaniały, głęboki kontralt.

„Przecież struny głosowe znajdują się ponad cięciem i należą do samej Briquet — myślała Marie — skąd więc ten podwójny głos, różnica tembru w górnym i dolnym rejestrze? Zagadka fizjologiczna! Czy nie ma to przypadkiem związku z tym, że głowa Briquet jest starsza od jej nowego ciała? Albo

może nastąpiło jakieś zachwianie funkcji układu nerwowego? Nic z tego nie rozumiem... Ciekawe, do kogo należało to młode zgrabne ciało, do jakiej nieszczęsnej kobiety?"

Nie rozmawiając na ten temat z Briquet, zaczęła przeglądać gazety, w których znalazła listę ofiar katastrofy kolejowej. Wkrótce natrafiła na wzmiankę o tym, że zniknęła bez śladu znana włoska artystka Angelica Gay; wiadomo o niej tylko tyle, że jechała tym pociągiem, który uległ katastrofie. Ciała nie odnaleziono, i nad rozwiązaniem tej zagadki głowili się teraz wszyscy reporterzy. Marie była prawie pewna, że Briquet otrzymała ciało zaginionej artystki.

EKSPONAT, KTÓRY UCIEKŁ

Nareszcie nadszedł ten wielki dzień w życiu Briquet, kiedy zdjęto z niej ostatnie bandaże i profesor Kern pozwolił jej wstać.

Podniosła się i wsparta o Marie spacerowała po pokoju. Ruchy miała niezbyt pewne i trochę niezgrabne. Czasami robiła dziwny gest ręką: ramię do pewnego momentu poruszało się płynnie, potem następowało jakieś zahamowanie i — po widocznym wysiłku — kontynuacja ruchu.

— Z czasem to minie — zapewniał Kern.

Niepokoilo go trochę małe skaleczenie na stopie, które goiło się zbyt wolno. Wkrótce jednak wszystko wróciło do normy i Briquet stąpając chorą nogą nie odczuwała bólu. Za kilka dni już próbowała tańczyć.

— Nie rozumiem, jak to się dzieje — mówiła. — Niektóre ruchy nie sprawiają mi żadnego kłopotu, inne przychodzą z trudem. Chyba nie przyzwyczyłam się jeszcze do swego nowego ciała... Jest cudowne! Proszę spojrzeć na nogi, panno Loran. I co za wzrost! Tylko te blizny na szyi... Będę je musiała czymś zasłonić. Ale ten pieprzyk na ramieniu jest

uroczy, nieprawda? Uszyję sobie taką suknię, żeby zawsze był na widoku. Nie ma co, jestem bardzo zadowolona ze swego ciała.

„Ze swego ciała! — myślała Marie. — Biedna Angelica Gay!” Wszystko, co Briquet tak długo tłumila w sobie, teraz gwałtownie wydostało się na zewnątrz. Zalała Marie powodzią zamówień i próśb o suknie, bieliznę, buty, kapelusze, żurnale, kosmetyki...

Pewnego dnia Kern przedstawił ją Dowellowi ubraną w nową popielatą sukienkę. Briquet, widząc przed sobą głowę mężczyzny, nie mogła powstrzymać się od kokieterii. Chrapliwy głos profesora połechtął jej próżność słowami:

— Doskonale! Świetnie dał pan sobie radę, kolego, gratuluję! Kern, rozpromieniony jak nowożeniec, wyszedł z pokoju pod rękę z dziewczyną.

— Będzie pani łaskawa usiąść — rzekł z galanterią, gdy zamknęły się za nimi drzwi gabinetu.

— Doprawdy nie wiem, jak się panu odwdzięczyć, profesorze — zaczęła Briquet, spuszczać rozmarzony wzrok po to, by za chwilę rzucić Kernowi kokieteryjne spojrzenie. — Tyle pan dla mnie zrobił... Cóż mogę panu w zamian zaoferować?

— Nic, to zbędne. Odczuwam większą satysfakcję, niż się pani wydaje.

— Cieszę się ogromnie — Briquet spojrzała na Kerna jeszcze promiennie. — Proszę teraz pozwolić mi odejść, wypisać się ze szpitala.

— Wypisać się? Ze szpitala? — Kern w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, o czym mówi ta kobieta.

— Chcę wrócić do domu. Wyobrażam sobie, jaką furorę zrobię wśród swoich koleżanek!

Wrócić do domu! Kern nie dopuszczał nawet takiej myśli. Odwalił ogromny kawał roboty, rozwiązał arcytrudny problem, uczynił rzecz niemożliwą, wcale nie po to, by

Briquet robiła furorę wśród swych lekkomyślnych przyjaciółek! A furorę chciał zrobić sam, demonstrując dziewczynę w gronie naukowców. Później, być może, da jej trochę więcej swobody, ale teraz szkoda nawet o tym myśleć!

— Niestety, nie mogę pani wypuścić, panno Briquet. Powinna pani zostać jeszcze jakiś czas w tym domu, pod moją opieką.

— Po co? Czuję się świetnie - zaproponowała, robiąc niedbały gest ręką.

— Tak, ale może się pani poczuć gorzej.

— Wtedy zgłoszę się do pana.

— Pozwoli pani, ale ja wiem lepiej, kiedy będzie pani mogła stąd wyjść — odpowiedział Kern, tym razem stanowczo. — Proszę nie zapominać, czym byłaby pani beze mnie.

— Dziękowałam już. Nie jestem ani dzieckiem, ani niewolnicą i nie pozwolę się terroryzować.

„Oho! To się nazywa charakterek!” — ze zdumieniem pomyślał Kern.

— Porozmawiamy jeszcze o tych sprawach — powiedział głośno. — Na razie będzie pani uprzejma udać się do swojego pokoju. Myślę, że John przyniósł już bulion dla pani.

Nadašana Briquet wstała i wyszła, nie patrząc na Kerna.

Obiady jadła wspólnie z Marie w jej pokoju i kiedy weszła, zastała ją już siedzącą przy stole. Usiadła i zrobiła wytworny, niedbały gest prawą dłonią. Marie niejednokrotnie zwracała uwagę na ten gest, zastanawiając się, do kogo właściwie należy: do Angeliki Gay czy do Briquet? Czy mogły pozostać w tym ciele pewne automatyczne ruchy, utrwalone przez sterujące mięśniami nerwy?

Były to jednak pytania zbyt skomplikowane. „Na pewno zainteresują się tym specjaliści od fizjologii” — pomyślała dziewczyna,

— Znów bulion! Mam już dość tych szpitalnych potraw — kaprysiła Briquet. — Z przyjemnością zjadłabym teraz tuzin

ostrzyg i popiła kieliszkiem chablis. — Upiła kilka łyków bulionu z filiżanki i ciągnęła dalej: — Profesor Kern oświadczył mi przed chwilą, że nie wypuści mnie stąd jeszcze przez kilka dni. Niedoczekanie! Nie jestem kurką domową. Można tu skonać z nudów. A ja kocham wesołe życie. Muzyka, fajerwerki, szampan, kwiaty...

Nieustannie trajkocząc szybko zjadła obiad, wstała od stołu, podeszła do okna i uważnie spojrzała w dół.

— Dobranoc pani — powiedziała do Marie. — Położę się dzisiaj wcześniej. Jutro rano proszę mnie nie budzić. W tym domu sen jest najlepszym sposobem na zabicie czasu.

Skinęła głową i poszła do swojego pokoju.

Marie zabrała się do pisania listu do matki.

Kern osobiście przeglądał całą korespondencję. Wiedziała, jak dokładnie jest kontrolowana, i nawet nie usiłowała przemycić listu bez cenzury. Zresztą, postanowiła nie denerwować matki i nawet gdyby mogła, nie napisałaby całej prawdy o swym więzieniu.

Tej nocy spała wyjątkowo źle. Długo przewracała się z boku na bok, rozmyślając o przyszłości. Życiu jej nadal zagrażało niebezpieczeństwo; zastanawiała się, co też jeszcze może wymyślić Kern, żeby ją „unieszkodliwić”?

Wyglądało na to, że Briquet też nie może usnąć: z jej pokoju ciągle dobiegały jakieś szmery. „Pewnie mierzy nowe sukienki” — pomyślała Marie. Potem wszystko ucichło. Nagle usłyszała przez sen czyjś niewyraźny, stłumiony krzyk, który ją obudził. „Jednak moje nerwy są do niczego” — westchnęła, zasypiając po chwili mocnym, porannym snem.

Obudziła się, jak zwykle, o siódmej. W pokoju Briquet panowała cisza. Marie nie chciała jej niepokoić i poszła do Toma.

Tom posepniał coraz bardziej, a odkąd Kern dał Briquet nowe ciało, zatęsknił w dwójnasób. Prosił, błagał, żądał, żeby z

niego też jak najszybciej zrobiono normalnego człowieka, a kończyło się zazwyczaj na przekleństwach. Marie z trudem udawało się go uspokoić. Po zakończeniu porannej toalety Toma odetchnęła z ulgą i udała się do profesora Dowella, który przywitał ją życzliwym uśmiechem:

— Dziwna to rzecz — życie — powiedział. — Jeszcze nie tak dawno chciałem umrzeć. Ale mój mózg wciąż pracuje i nie dalej jak trzy dni temu przyszedł mi do głowy pewien śmiały i oryginalny pomysł. Gdyby udało się go zrealizować, wywołałby przewrót w medycynie. Opowiedziałem o nim Kernowi i trzeba było widzieć, jak zalśniły mu oczy. Widział już chyba oczami wyobraźni pomnik wystawiony mu za życia przez wdzięczną ludzkość. Teraz muszę żyć dla niego, dla idei, a tym samym dla siebie. Szatańska pułapka!

— Co to za pomysł?

— Opowiem pani o nim później, kiedy dojrzeje i nabierze realnych kształtów.

O dziewiątej Marie zapukała wreszcie do pokoju Briquet, ale nikt nie odpowiedział. Zaniepokojona spróbowała otworzyć drzwi, które okazały się być zamknięte od wewnątrz. Nie pozostawało nic innego, jak zawiadomić profesora Kerna.

Kern, jak zwykle, działał szybko i zdecydowanie.

— Wyważ drzwi! — rozkazał Johnowi.

Murzyn uderzył ramieniem, masywne drzwi skrzypnęły i wypadły z zawiasów. Kern, Marie i John weszli do pokoju.

Łóżko z wymiętą pościelą było puste. Kern podbiegł do okna: z parapetu zwisał sznur spleciony z kawałków prześcieradła i dwóch związanych ręczników. Na klombie pod oknem leżały połamane kwiaty.

— To pani sprawka — wrzasnął Kern z wykrzywioną twarzą.

— Zapewniam pana, że nie mam nic wspólnego z ucieczką panny Briquet — stanowczo odrzekła Marie.

— Jeszcze porozmawiamy na ten temat — rzucił Kern, chociaż zdecydowana riposta Marie upewniła go, że Briquet działała bez współników. — Teraz musimy ścigać uciekinierkę.

Udał się do swego gabinetu i w zdenerwowaniu począł przemierzać pokój. Najpierw pomyślał o tym, żeby wezwać policję, ale natychmiast zrezygnował z tej myśli: policji z pewnością nie należało mieszać w tę sprawę. Pozostawało zwrócić się do prywatnych agencji detektywistycznych.

„Do diabła, to moja wina... Trzeba było pomyśleć o środkach zapobiegawczych. Ale kto mógł przypuszczać, że wczorajsza nieboszczka będzie w stanie uciec! — Roześmiał się ponuro. — Co gorsza, zaczniesz pewnie rozpowiadać o tym, co przeszła... Wspominała przecież o furorze, jaką wywoła jej powrót. Cała historia dotrze do gazet, a wtedy... Nie należało pokazywać jej Dowellowi. Ładna mi wdzięczność, same kłopoty!”

Skontaktował się telefonicznie z prywatnym detektywem, a kiedy ten stawiał się w jego gabinecie, wręczył mu pokaźną sumę na wstępne wydatki, obiecał jeszcze większą w razie sukcesu i podał szczegółowy rysopis zaginionej.

Detektyw dokonał wizji lokalnej i obejrzał ślady prowadzące do metalowego ogrodzenia parku. Ogrodzenie było wysokie, zakończone ostrymi szpikulcami. Agent pokiwał głową: „Zuch dziewczyna!” Na jednym ze spiczastych prętów zauważył skrawek szarego jedwabiu, zdjął go i troskliwie schował do portfela.

— Tę sukienkę miała na sobie w chwili ucieczki. Będziemy więc szukać kobiety w popielatej sukni.

Zapewniwszy Kerna, że „kobieta w popielatej sukni” zostanie odnaleziona najdalej jutro, odszedł.

Detektyw znał się na rzeczy. Zdobył ostatni adres Briquet i adresy kilku jej przyjaciółek, odwiedził te panie, od jednej z

nich otrzymał fotografię Briquet i dowiedział się, w jakich kabaretach występowała. Wysłano do tych kabaretów kilku agentów na poszukiwanie uciekinierki.

— Ptaszek nie odleci daleko — zapewniał detektyw.

Jednak tym razem pomylił się nieco. Minęły dwa dni, a na ślad Briquet nie natrafiono. Dopiero w trzecim dniu poszukiwań bywalec jednej z kawiarenek Montmartre'u opowiedział, że owej nocy widział tam „zmartwychwstałą” Briquet. Niestety, nikt nie wiedział, gdzie się potem podziała.

Kern denerwował się coraz bardziej. Teraz niepokoiło go nie tylko to, że Briquet wypaple jego tajemnicę. Obawiał się, że straci na zawsze cenny „eksponat”. Wprawdzie miał jeszcze głowę Toma i mógłby się postarać o drugi, ale wymagało to czasu i olbrzymich wysiłków. Poza tym nowe doświadczenie mogło wypaść nieporównywalnie gorzej, a demonstracja ożywionego psa nie będzie aż tak efektowna. Briquet za wszelką cenę musi się znaleźć! Podwyższał więc coraz bardziej nagrodę za odnalezienie „eksponatu, który uciekł”.

Detektywi codziennie meldowali o wynikach poszukiwań, jednak bez jakichkolwiek pocieszających szczegółów. Briquet dosłownie zapadła się pod ziemię.

BRIQUET ZNOWU ŚPIEWA

Wkrótce po ucieczce, kiedy to zwinne, silne nowe ciało pozwoliło jej przedostać się przez ogrodzenie i wyskoczyć na ulicę, Briquet siedziała w taksówce, która wiozła ją pod wskazany kierowcy, dość niecodzienny adres:

— Cmentarz Pere-Lachaise.

Ale nie dojeżdżając do placu Bastylli Briquet zmieniła taksówkę i skierowała się na Montmartre. Pierwsze wydatki pokrywała z pieniędzy wyjętych z torebki Marie. Było tego kilkadziesiąt franków. „Jeden grzech więcej, jeden mniej,

przecież muszę mieć trochę forsy" — pocieszała się w duchu. Pokuta za popełnione grzechy znów odeszła na dalszy plan. Czula się nareszcie żywą i zdrową kobietą, w dodatku młodszą niż poprzednio. Przed operacją miała, skromnie licząc, około trzydziestki, a otrzymała ciało dwudziestoletniej dziewczyny. Dzięki niemu twarz jej odmłodziła, zniknęły zmarszczki, zaróżowiła się cera. „Teraz dopiero będę żyła naprawdę!" — myślała z rozmarzeniem, przeglądając się w niewielkim lusterku.

— Proszę się zatrzymać — rzuciła kierowcy, zapłaciła i dalej poszła piechotą.

Była godzina czwarta nad ranem. Briquet zbliżyła się do znajomej kawiarenki „Chat Noir", w której występowała tej feralnej nocy, kiedy to zbłąkana kula przerwała śpiewaną przez nią wesołą szansonetkę. Okna kabaretu jarzyły się jeszcze jasnym światłem.

Nieco podekscytowana otworzyła tak dobrze znane drzwi. Zmęczony portier chyba jej nie poznał. Szybko skreśliła w boczny korytarz i weszła do znajdującego się za sceną pomieszczenia dla artystów. Pierwszą napotkaną osobą była Ruda Marta, która krzyknęła przerażona i uciekła do swojej garderoby. Briquet roześmiała się i zapukała do drzwi, ale bezskutecznie — Marta nie otwierała.

— Kogo ja widzę, Jaskółeczka! — usłyszała męski głos. Tym imieniem nazywano ją tutaj z powodu szczególnej sympatii, jaką darzyła koniak z jaskółką na etykietce. — Żyjesz? A myśmy już dawno cię pochowali.

Odwróciła się i zobaczyła przystojnego mężczyznę w eleganckim ubraniu, o bladej, gładko wygolonej twarzy. Takie twarze miewają ludzie rzadko widujący słońce. Był to Jean, mąż Rudej Marty. Nie lubił mówić, czym się zajmuje, a jego kumple i przyjaciele uważali za nietakt wypytywanie go o źródło dochodów. Wystarczyło im, że często miał pieniądze i

w ogóle słynął jako „swoj chłop”. Kiedy zjawiał się w lokalu z mocno wypchanym portfelem, wino lało się strumieniami, a Jean stawiał wszystkim.

— Skąd przyleciałaś, Jaskółeczko?

— Ze szpitala — odpowiedziała Briquet.

Pełna obaw o swoje nowe ciało, do którego mogliby rościć pretensje krewni lub przyjaciele jego prawowitej właścicielki, Briquet postanowiła, że nigdy nie powie nikomu o dziwnej operacji.

— Byłam w bardzo ciężkim stanie — fantazjowała. — Uznano mnie za zmarłą i nawet odesłano do kostnicy. Ale na szczęście pewien student, młody praktykant, wziął mnie za rękę i wyczuł słabe tętno. Jeszcze żyłam. Kula przeszła tuż obok serca. Natychmiast odesłano mnie z powrotem do szpitala, i oto jestem.

— Wspaniale! — zawołał Jean. — Ale się wszyscy zdziwią! Trzeba oblać twój powrót.

Zgrzytnął zamek w drzwiach. To Ruda Marta podsłuchująca ich rozmowę, upewniła się, że Briquet nie jest widmem, i postanowiła nareszcie wyjść. Przyjaciółki przywitały się wylewnie.

— Wydajesz się jakaś wyższa, szczuplejsza i zgrabniejsza, Jaskółeczko — powiedziała Ruda Marta z zainteresowaniem i pewnym zdumieniem, lustrując wzrokiem tak nieoczekiwanie odzyskaną przyjaciółkę.

Briquet spieszyła się nieco pod badawczym spojrzeniem innej kobiety.

— Nie dziw, że zeszcuplałam — odrzekła. — Karmiono mnie samym bulionem. A wyższa jestem przez te nowe buty. Patrz, jakie mają obcasy. W dodatku ta sukienka jest tak skrojona...

— Ale dlaczego zjawiasz się dopiero teraz?

— O, to cała historia... Jesteś już po występie? Możesz posiedzieć ze mną chwilkę?

Marta skinęła głową. Przyjaciółki usiadły przy toalecie z dużym lustrem, na której widniały pudełeczka ze środkami do makijażu, flakoniki pełne perfum, puderniczki i puzderka z przyborami do szycia.

Jean usadowił się w pobliżu i zapalił egipskiego papierosa.

— Najnormalniej w świecie uciekłam ze szpitala — oświadczyła Briquet.

— Ale dlaczego?

— Miałam dość tego cholernego bulionu. Nic tylko bulion... Myślałam, że w nim utonę. A lekarz nie chciał mnie wypisać. Mówił, że ma mnie jeszcze pokazać studentom. Kto wie, czy nie zainteresuje się mną policja. Nie mogę wrócić do domu i właśnie chciałam cię prosić o pomoc. Gdybym mogła zostać przez kilka dni u ciebie, a najlepiej wyjechać z Paryża... Tylko że prawie nie mam pieniędzy...

Ruda Marta była tak zaaferowana, że aż klasnęła w dłonie.

— Jasne, że możesz mieszkać u mnie — powiedziała.

— Ja też mam swoje porachunki z policją, może niedługo zaczną mi deptać po piętach — Jean w zamyśleniu wypuścił z ust kółko dymu. — Wypadałoby na jakiś czas zniknąć im z oczu.

Jaskółeczka była swoim człowiekiem, przed którym Jean nie musiał ukrywać tajemnic zawodu. Wiedziała, że jest dość grubą rybą wśród specjalistów od kas pancernych.

— Leć z nami na południe, Jaskółeczko. Ty, ja i Marta. Wiejmy prosto na Riwierę, przewietrzymy się na wybrzeżu. Nie uwierzysz, ale od dwóch miesięcy nie widziałem słońca i prawie zdążyłem zapomnieć, jak wygląda.

— Cudowny pomysł! — przyklasnęła Ruda Marta.

Jean rzucił okiem na cyferblat drogiego złotego zegarka.

— Mamy jeszcze godzinę czasu. Do diabła, wypadaloby ci teraz skończyć tę swoją piosenkę... A potem lecimy — i mogą nas szukać!

Briquet z radością przystała na propozycję. Zakładała przecież, że zrobi furorę — i rzeczywiście, jej występ stał się prawdziwą sensacją.

Jean wziął na siebie rolę konferansjera. Przypomniał tragiczną historię sprzed kilku miesięcy, a następnie oświadczył, że panna Briquet zmartwychwstała na życzenie publiczności po zażyciu kieliszka koniaku „Jaskółka”.

— Jaskółeczka, Jaskółeczka! — zawyła sala.

Jean uspokoił publiczność ruchem ręki, a kiedy krzyki umilkły, ciągnął dalej:

— Jaskółeczka zaśpiewa nam teraz piosenkę tamtego wieczoru, od tego miejsca, w którym została tak nieoczekiwanie przerwana. A więc Jaskółeczka śpiewa dla państwa Kociaka! Orkiestra, do dzieła!

Rozległa się muzyka. Briquet rozpoczęła piosenkę od połowy przerwanej wówczas zwrotki i dokończyła przy ogólnym aplauzie. Hałas był wprawdzie taki, że prawie nie słyszała własnego głosu, ale nie miało to żadnego znaczenia. Czowała się szczęśliwa jak nigdy w życiu i upajała się entuzjastycznym powitaniem. To, że entuzjazm sali uzależniony był od ilości wypitych trunków, wcale jej nie przeszkadzało.

Po skończeniu piosenki Briquet zrobiła nieoczekiwanie wytworny gest prawą dłonią. To była nowość. Publiczność zaczęła jeszcze mocniej bić brawo.

„Gdzie ona nabrała takich manier? Muszę to podpatrzeć...” — pomyślała Ruda Marta.

Briquet zeszła na salę. Koleżanki ją obcałowywały, znajomi pili jej zdrowie. Zarumieniła się, oczy nabrały blasku.

Wino i powodzenie uderzyły jej do głowy. Zapomniała już o możliwości pogoni i gotowa była siedzieć tu zawsze. Ale Jean,

choć pił nie mniej od innych, nie tracił panowania nad sytuacją. Spoglądał od czasu do czasu na zegarek, aż w końcu wstał i dotknął ramienia Briquet:

— Już czas!

— Nie chcę. Jedźcie sobie sami. Ja zostaję — odpowiedziała mrużąc z rozmarzeniem oczy,

Wtedy Jean bez słowa podniósł ją siłą i skierował się do wyjścia.

Publiczność zaszemrała.

— Koniec przedstawienia! — zawołał Jean stając w drzwiach.

— Do zobaczenia za tydzień!

Mimo sprzeciwów wyniósł Briquet na ulicę i wsadził do samochodu. Wkrótce zjawiała się Marta z niewielką walizeczką.

— Plac Republiki — rzucił Jean kierowcy, nie zamierzając zdradzać punktu docelowego. Był przyzwyczajony do jazdy z przesiadkami.

ZAGADKOWA KOBIETA

Fale Morza Śródziemnego miarowo uderzały o plażę, lekka bryza wydymała żagle białych jachtów i łodzi rybackich. Z góry, z błękitnych przestworzy, dobiegał dobrotliwy warkot hydroplanów, używanych do krótkich lotów turystycznych z Nicei do Mentony.

Młodzieniec w białym stroju do gry w tenisa siedział w wiklinowym fotelu i czytał gazetę. Obok leżała rakietka tenisowa w futerale i kilka najnowszych angielskich czasopism naukowych.

W pobliżu, pod ogromnym białym parasolem, krzątał się przy sztalugach jego przyjaciół, malarz Armand Laret.

Artur Dowell, syn zmarłego profesora Dowella, i Armand Laret byli parą nierozłącznych przyjaciół, a przyjaźń ta

potwierdzała tezę o wzajemnym przyciąganiu się przeciwieństw.

Młody Dowell, małomówny i opanowany, lubił ład, potrafił pracować wytrwale i systematycznie. Pozostał mu jeszcze rok do skończenia uniwersytetu, gdzie już zaproponowano mu asystenturę w instytucie biologii.

Armand Laret, typowy Francuz o południowym temperamentem, zapalczywy, porywczy i trochę postrzelony, rzucał farby i pędzle na całe tygodnie po to, by potem znowu pracować bez wytchnienia, a wtedy żadna siła nie była w stanie oderwać go od sztalug.

Pod jednym tylko względem przyjaciele byli do siebie podobni: obaj mieli niewątpliwe uzdolnienia i potrafili dążyć do raz wyznaczonego celu, chociaż każdy po swojemu — jeden — miarowym krokiem, drugi — skokami.

Prace Artura Dowella z zakresu biologii przyciągały uwagę wybitnych specjalistów; prorokowano mu wielką karierę naukową. Obrazy Lareta, choć wywoływały w trakcie wystaw wiele kontrowersyjnych uwag, trafiły już do znanych muzeów w różnych krajach.

Artur rzucił na piasek gazetę, przymknął oczy i powiedział:
— Zwłok Angeliki Gay nie odnaleziono.

Laret pokiwał głową ze smutkiem i westchnął ciężko.

— Nie możesz o niej zapomnieć? — spytał Dowell.

Armand odwrócił się tak szybko, że na twarzy Artura pojawił się mimowolny uśmiech. Ujrzał przed sobą już nie wrażliwego malarza, lecz rycerza uzbrojonego w tarczę — paletę; włócznię — kij malarski, trzymał w prawej, miecz — pędzel, w lewej ręce. Prawdziwy znieważony rycerz, gotowy zetrzeć w proch tego, kto obraził go śmiertelnie.

— Zapomnieć o Angelice! — zawołał, potrząsając swą bronią.

— Zapomnieć o tej, która...

Sycząca fala nadbiegła znieńcka i zamoczyła mu nogi prawie do kolan. Armand zakończył melancholijnie:

— Jak można zapomnieć o Angelice? Świat stracił urok bez jej piosenek...

Po raz pierwszy Laret dowiedział się o śmierci, a raczej o zaginięciu Angeliki Gay w Londynie, dokąd przyjechał malować „symfonię londyńskiej mgły”. Laret był nie tylko wielbicielem talentu śpiewaczki, ale także jej przyjacielem i rycerzem. Nie na darmo pochodził z Prowansji, krainy średniowiecznych zamków.

Na wiadomość o nieszczęściu wstrząśnięty Armand po raz pierwszy w życiu przerwał swój ekstatyczny okres natchnienia w jego szczytowej fazie. Artur, który przyjechał do Londynu z Cambridge, pragnąc oderwać przyjaciela od niewesołych rozważań, wymyślił tę wspólną podróż nad Morze Śródziemne.

Ale Laret nawet tutaj nie mógł znaleźć sobie miejsca. Tego dnia po powrocie z plaży przebrał się, wsiadł do pociągu i udał się tam, gdzie panował największy tłok — do kasyna w Monte Carlo. Szukał bodaj chwili zapomnienia.

Chociaż pora była dość wczesna, wokół niskiego budynku już snuli się ludzie. Laret wszedł do pierwszej, niezbyt zaludnionej sali.

— Proszę stawiać — zachęcał krupier, uzbrojony w łopatkę do zgarniania pieniędzy.

Laret nie zatrzymując się przeszedł do następnej sali o ścianach ozdobionych freskami, na których półnagie kobiety polowały, brały udział w wyścigach konnych, zawodach szermierczych — wszystko to potęgowało panującą wokół atmosferę hazardu. Z obrazów emanowało napięcie, chęć walki i żądza zysku, ale jeszcze wyraźniej wszystkie te emocje malowały się na twarzach osób otaczających stół do gry.

Gruby biznesmen o bladej twarzy kładzie na stół pieniądze drżącą piegowatą dłonią, pokrytą rudawym puchem. Oddycha ciężko jak astmatyk, oczy w najwyższym napięciu gonią za obracającą się kulką. Laret określa bezbłędnie, że grubas zdążył już przegrać pokaźną sumkę i stawia teraz ostatnie pieniądze w nadziei na uśmiech losu. Jeśli fortuna zawiedzie — ten otyły jegomość uda się, być może, do „alei samobójców” i dokona tam ostatecznego rozrachunku z życiem...

Z tyłu za grubasem stoi nędznie ubrany starszy człowiek o zmierzwionych siwych włosach i spojrzeniu maniaka. W rękę ma notes i ołówek, notuje wygrywające numery prowadzi jakieś obliczenia... Przegrał dawno cały swój majątek i stał się niewolnikiem ruletki. Zarząd kasyna wyasygnował mu niewielki zasiłek miesięczny — na życie i grę: to pewnego rodzaju reklama. Człowiek ten tworzy obecnie swoją „teorię prawdopodobieństwa”, poznaje kaprysy fortuny. Kiedy się myli w przewidywaniach, gniewnie uderza ołówkiem w notes, podskakuje na jednej nodze, coś mamrocze i powraca do swoich rachunków. Jeśli zaś trafia, jego twarz promienieje; rozgląda się naokoło, jakby chciał obwieścić: patrzcie, nareszcie odkryłem prawo rządzące przypadkiem!

Dwaj lokaje wprowadzają pod rękę i sadzają na fotelu przy stole starą damę w czarnej jedwabnej sukni, z brylantową kolia na pomarszczonej szyi. Twarz staruchy pokrywa szczelna warstwa pudru. Widok czarodziejskiej kulki rządzącej radością i smutkiem rozpala w jej zapadniętych oczach chciwe ogniki, a cienkie upierścienione palce zaczynają drżeć.

Młoda, ładna i zgrabna kobieta w wytwornej ciemnozielonej garsonce mija stół, rzuca niedbałym gestem banknot tysiącfrankowy, przegrywa, uśmiecha się beztrosko i przechodzi do następnej sali.

Laret postawił sto franków na czerwone i wygrał.

„Muszę dziś wygrać” — pomyślał, stawiając tysiąc... i przegrał. Nie opuszczało go jednak przekonanie, że właśnie dzisiaj wygra. Wpadł już w sidła hazardu.

Do stołu z ruletką podeszły trzy osoby: wysoki mężczyzna o bladej twarzy i dwie kobiety. Laret spojrzał przelotnie na jedną z nich, ubraną w popielaty kostiumik, i poczuł dziwny niepokój. Sam nie wiedział, dlaczego zaczął obserwować ją pilnie, aż wreszcie zrozumiał przyczynę. „Ten gest prawej dłoni! Skąd ja to znam?... Boże, przecież to gest Angeliki!” Zdenerwował się do tego stopnia, że o grze nie mogło być mowy. A kiedy nieznajome towarzystwo śmiejąc się odeszło nareszcie od stołu, Armand, zapominając o zabraniu wygranej, podążył za nimi.

O czwartej nad ranem ktoś mocno zapukał do pokoju Artura Dowella. Artur ze złością narzucił szlafrok i otworzył drzwi.

Chwiejnym krokiem wszedł Laret. Zmęczony opadł na fotel i oznajmił:

— Niedobrze ze mną. Chyba zwariowałem.

— O co chodzi, stary? — spytał Dowell.

— Chodzi o to, że... nie wiem, jak to powiedzieć... Grałem wczoraj do drugiej w nocy. Różnie mi się wiodło. Nagle zobaczyłem kobietę i pewien jej gest tak mnie zaszokował, że przestałem grać i ruszyłem za nią do restauracji. Usiadłem przy stoliku i zamówiłem filiżankę mocnej kawy. Pomaga mi to, kiedy nerwy szwankują. Nieznajoma siedziała przy sąsiednim stoliku. Była w towarzystwie młodego mężczyzny, dobrze ubranego, ale nie budzącego zaufania, i dość wulgarnej rudej osóbki. Pili wino i rozmawiali sobie bez troski. Nieznajoma w pewnej chwili zaczęła nucić piosenkę. Okazało się, że ma nieprzyjemny piskliwy głos, który nagle się zmienił — śpiewała teraz głębokim altem... — Laret ścisnął rękami

głowę. — Arturze! Musisz mi uwierzyć: to był głos Angeliki Gay! Poznałbym go wśród tysiąca innych...

„Nieszczęsny. Oto do czego doszedł” — pomyślał Dowell, łagodnie położył rękę na ramieniu Lareta i powiedział:

— Przywidziało ci się, Armandzie. Weź się w garść. Przypadkowe podobieństwo.

— Na pewno nie! — gorączkowo zapewniał Laret. — Przyjrzałem się jej uważnie. Dość ładna, regularny profil i wesołe oczy. Ale to ciało, ta sylwetka! Arturze, niech mnie diabli porwą, jeśli ta dziewczyna nie wygląda kropka w kropkę jak Angelica!

— Coś ci powiem. Zażyj trochę bromu, weź zimny tusz i idź spać. Jutro, a raczej dziś, kiedy wstaniesz...

Laret spojrzał na Artura z wyrzutem.

— Naprawdę myślisz, że dostałem fioła? Nie spiesz się, i nie wyciągaj pochopnych wniosków. Posłuchaj, to jeszcze nie wszystko. Kiedy dziewczyna skończyła swoją piosenkę, zrobiła gest prawą dłonią, o tak. To charakterystyczny gest Angeliki, absolutnie indywidualny i niepowtarzalny.

— Ale co chcesz przez to powiedzieć? Chyba nie to, że Angelica wcieliła się w jakąś tam piosenkarkę?

Laret przesunął dłonią po czole.

— Nie wiem... od tego wszystkiego faktycznie można zwariować... Ale słuchaj dalej. Dziewczyna miała na szyi fikuśną kolbę, właściwie coś w rodzaju wysadzanego perłami kołnierzyka o szerokości najmniej czterech centymetrów. Dość głęboki dekolt pozwalał zauważyć pieprzyk na ramieniu — identyczny miała Angelica. Ta kolba wygląda jak bandaż. Nad nią widziałem twarz obcej kobiety, ale przysięgam, że wszystko, co było poniżej, znam w najdrobniejszych szczegółach — każdą linię, każdy detal... Nie zapominaj, że jestem malarzem, moja pamięć zawodowa notuje każdy indywidualny szczegół modela. A przecież Angelica mi

pozowała — robiłem tyle szkiców, malowałem tyle jej portretów, że pomyłka jest wykluczona.

— Nie, to niemożliwe! — zawołał Dowell. — Przecie Angelica zgi...

— Zginęła? Właśnie w tym rzecz, że nic na ten temat nie wiadomo... Zniknęła bez śladu. A teraz...

— Spotykasz jej ciało, które nagle ożyło?

— O-o!,, — jęknął Laret. — Właśnie o tym pomyślałem...

Artur wstał i przeszedł się po pokoju. O śnie dzisiaj już nie ma mowy.

— Przeanalizujmy tę sprawę na zimno — powiedział. — Mówisz, że twoja piosenkareczka ma jakby dwa głosy: jeden swój, gorszy od przeciętnego, oraz ten drugi — Angeliki?

— Niskie rejestry to niepowtarzalny kontralt Angeliki — odrzekł Laret, popierając swoje słowa skinieniem głowy.

— Przecież to fizjologicznie niemożliwe! Chyba nie przypuszczasz, że człowiek wydaje wysokie dźwięki przy pomocy górnej części strun głosowych, a niskie — dolnej? Wysokość dźwięku jest zależna od większego lub mniejszego napięcia strun na całej ich długości. Tak jak w instrumentach: im bardziej napięta struna, tym wyższy daje dźwięk, o większej częstotliwości drgań. W dodatku po operacji szyi struny głosowe uległyby skróceniu, a więc siłą rzeczy głos stałby się wyższy. Wątpliwe, czy człowiek w ogóle mógłby śpiewać po takim zabiegu: zrosty hamowałyby wibrację strun i głos, w najlepszym wypadku, byłby bardzo chrapliwy... Nie, to zdecydowanie niemożliwe. I wreszcie skąd na tym, jak twierdzisz, ciele Angeliki jakaś obca głowa?

Tu Artur niespodziewanie zamilkł, przypomniawszy sobie coś, co w pewnym sensie potwierdzało przypuszczenia Armanda. Był przecież obecny podczas niektórych doświadczeń swego ojca. Profesor Dowell wprowadzał do naczyń krwionośnych zdechłego psa substancję odżywczą,

nagrzaną do temperatury trzydziestu siedmiu stopni Celsjusza, z dodatkiem środka pobudzającego — adrenaliny. Płyn pod niewielkim ciśnieniem docierał do serca, prowokował jego akcję i wkrótce serce wznawiało działalność. Krwiobieg pomału wracał do normy i zwierzę odżywało. „Najważniejszą przyczyną śmierci organizmu — powiedział wtedy ojciec Artura — jest zaprzestanie odżywiania komórek i brak tlenu, roznoszonego przez krew po całym ciele”.

— To znaczy, że można w podobny sposób ożywić człowieka? — zapytał wówczas Artur.

— Tak — wesoło odpowiedział ojciec — podejmuję się wskrzesić człowieka i kiedyś dokonam tego „cudu”. Do tego zmierzają moje doświadczenia.

Wynika z tego, że przywrócenie życia jest możliwe. Ale czy możliwa jest taka operacja, przy której ożywiany człowiek składa się jak gdyby z dwóch części? W to Artur wątpił. Widział, co prawda, jak ojciec przeprowadzał niezwykle odważne i udane zabiegi przeszczepienia tkanki mięśniowej i kostnej, ale nie było to tak skomplikowane, poza tym robił je jego ojciec!

„Gdyby ojciec żył, może uwierzyłbym, że domysły Lareta o tej wskrzeszonej Angelice z głową obcej kobiety nie są wytworem chorej wyobraźni. Tylko ojciec mógł odważyć się na taką operację. A może doświadczenia kontynuowali jego asystenci? — pomyślał Artur. — Ale co innego ożywić głowę, a nawet całego trupa, a co innego przeszczepić komuś cudzą głowę”.

— Co chcesz robić dalej? — spytał Armanda.

— Chcę odszukać tę kobietę, poznać ją i rozwikłać tajemnicę. Pomożesz mi?

— Oczywiście — odpowiedział Dowell.

Laret mocno uściśnął prawicę Artura i obaj zaczęli układać plan działania.

WESOŁA PRZEJAŻDŻKA

W kilka dni później Laret poznał Briquet, jej przyjaciółkę i Jeana. zaproponował im wspólną wycieczkę jachtem, i zaproszenie zostało przyjęte.

Jean i Ruda Marta rozmawiali na pokładzie z Dowellem, Laret natomiast zaproponował Briquet zejście na dół do kajuty; na jachcie były dwa małe saloniki, w jednym z nich stało pianino.

— O, tu nawet jest instrument! — zawołała Briquet.

Usiadła przy pianinie i zagrała fokstrota. Fale monotonnie uderzały o burtę; Laret stojąc obok pianina uważnie przypatrywał się Briquet i rozmyślał, jak by tu zacząć dochodzenie,

— Proszę coś zaśpiewać — powiedział.

Nie pozwoliła się długo prosić. Zaczęła śpiewać, spoglądając na Lareta z kokieterią: podobał się jej.

— Pani ma dziwny głos... — zauważył Armand, patrząc na nią badawczo. — Właściwie, jakby dwa głosy należące do dwóch różnych kobiet...

Briquet speszyła się nieco, ale szybko odzyskała równowagę i odparła z wymuszonym uśmiechem:

— Ach tak! Mam to od dzieciństwa. Jeden nauczyciel śpiewu stwierdził u mnie kontralt, drugi — mezzosopran. Każdy z nich ustawiał głos na swój sposób, i oto rezultat... W dodatku jestem trochę przeziębiona...

„Czy nie za dużo wyjaśnień? — pomyślał Laret. — I dlaczego tak się speszyła? Coraz bardziej jestem pewien swoich przypuszczeń. Coś tu nie gra.”

— Kiedy śpiewa pani w dolnym rejestrze — rzekł ze smutkiem — to jakbym słyszał głos pewnej mojej znajomej... Była znaną śpiewaczką, zginęła w katastrofie kolejowej. Ku

ogólnemu zdziwieniu nie znaleziono jej ciała. Przypomina mi ją pani do złudzenia... ta sama sylwetka...

Briquet popatrzyła na Armanda z nie ukrywanym strachem. Zrozumiała, że ten człowiek prowadząc rozmowę w taki sposób, ma w tym jakiś cel.

— Bywają ludzie bardzo do siebie podobni — powiedziała drżącym głosem.

— Tak, ale nie zetknąłem się dotąd z tak dużym podobieństwem. Poza tym... pani gesty... ta ręka... I... uniosła pani w tej chwili ręce jakby poprawiając gęste sploty włosów. Takie włosy miała moja znajoma, Angelica Gay. Tak poprawiała niesforne loki na skroniach... Ale pani ma włosy krótkie, obcięte według ostatniej mody...

— Przedtem też miałam długie włosy — powiedziała Briquet podnosząc się z krzesła. Twarz miała bladą, palce wyraźnie drżały. — Jak tu duszno... Chodźmy na górę.

— Chwileczkę — zatrzymał ją nie mniej zdenerwowany Laret. — Muszę z panią pomówić.

Prawie siłą posadził ją w fotelu przy iluminatorze.

— Niedobrze mi... Nie jestem przyzwyczajona do takiej huśtawki! — zawołała Briquet, usiłując wstać. Laret niby przypadkiem dotknął jej szyi, odchyliwszy przy tym skraj kolii. Zobaczył różowe jeszcze blizny.

Briquet zachwiała się i zemdląła. Laret ledwie zdążył ją podtrzymać. Nie wiedząc, co ma robić, chlusnął jej w twarz wodą ze stojącej na stole karafki. Wkrótce Briquet odzyskała przytomność i oczy jej napełniły się przerażeniem. Przez kilka długich sekund patrzyli na siebie w milczeniu. Briquet pomyślała, że nastąpiła chwila zemsty, straszliwa chwila zapłaty za przywłaszczenie cudzego ciała. Wargi jej drgnęły; wyszeptała prawie niedosłyszalnie:

— Niech się pan nade mną zlituje...

— Proszę się uspokoić, nie zrobię pani nic złego... ale muszę poznać tę tajemnicę. — Ujął bezwładną rękę dziewczyny i mocno ją ścisnął. — Niech się pani przyzna, czyje to ciało? Chcę znać całą prawdę!

— Jean! — spróbowała zawołać Briquet, ale Laret przysłonił jej usta dłonią i syknął do ucha:

— Jeżeli jeszcze raz spróbuje pani krzyczeć, nie wyjdzie pani z tej kajuty.

Potem puścił dziewczynę, szybko zamknął drzwi na klucz i szczelnie przykręcił iluminator.

Briquet płakała jak dziecko, ale Laret był nieubłagany.

— Łzy nic tu nie pomogą! Proszę się pośpieszyć, bo stracę cierpliwość.

— To nie moja wina — chlipała Briquet. — Zabili mnie... A potem ożyłam... Sama głowa... na szklanym stoliku... To było potworne! I była tam głowa Toma... Nie wiem, jak to się stało... Profesor Kern — to on mnie ożywił... Prosiłam go, żeby dał mi ciało. Obiecał... Potem przywiózł skądś to ciało...

— prawie z przerażeniem spojrzała na swoje ręce, ramiona. — Ale odmówiłam, kiedy zobaczyłam zwłoki... bałam się... Nie chciałam, błagałam, żeby nie przyszywano mojej głowy do trupa... Może to potwierdzić Marie Loran: opiekowała się nami; ale Kern mnie nie słuchał. Uśpił mnie i obudziłam się taka, jaka jestem. Nie chciałam zostać u Kerna i uciekłam do Paryża, a potem tu... Wiedziałam, że Kern będzie mnie szukał... Zaklinam, niech mnie pan nie zabija i nic nikomu nie mówi! Nie chciałabym stracić ciała, jest teraz moje. Nigdy nie czułam się tak lekko... Trochę tylko pobolewa noga... Ale to minie... Nie chcę wracać do Kerna!

Słuchając tego bezładnego potoku słów Laret myślał:

„Chyba rzeczywiście nic nie zawiniła. Ale ten Kern!... Jak zdobył ciało Angeliki, jak śmiał wykorzystać je do tak potwornego doświadczenia?! Kern! Słyszałem to nazwisko od

Artura. Zdaje się, że był asystentem jego ojca... Muszę rozwikłać tę zagadkę!"

— Niech pani przestanie płakać i posłucha mnie uważnie — powiedział surowo. — Pomogę pani, ale pod jednym warunkiem: nie opowie pani nikomu o tym, co się wydarzyło. Nikomu, z wyjątkiem jednego człowieka, który przyjdzie tu za chwilę. Zna go pani — to Artur Dowell. Musi mi pani być posłuszna, bo inaczej czeka panią straszna kara. Popeniła pani przestępstwo, za które grozi śmierć, i nie uda się pani schować nigdzie ani swojej głowy, ani przywłaszczonego ciała. Znajdą panią i skończy się to na gilotynie. Proszę więc słuchać. Po pierwsze — niech się pani uspokoi. Po drugie — proszę usiąść przy pianinie i śpiewać. Jak najgłośniej, żeby było słychać na górze. Doskonale się pani bawi i wcale nie ma ochoty wracać na pokład.

Briquet podeszła do pianina, usiadła i zaczęła śpiewać akompaniując sobie dość sprawnie, choć palce odmawiały posłuszeństwa.

— Głośniej, weselej! — dopingował Laret, otwierając iluminator i drzwi.

Bardzo dziwna to była piosenka — krzyk przerażenia i rozpaczony ukryty pod postacią wesołej melodyjki.

— Jeszcze głośniej, nie oszczędzać klawiszy! O, tak! Proszę grać i czekać. Pojedzie pani z nami do Paryża, tam będzie pani bezpieczna, dobrze ukryta. I żadnych ucieczek!

Z uśmiechem na twarzy Laret wyszedł na pokład. Przechylony na prawą burtę jacht szybko mknął po niewielkiej fali. Wilgotna morska bryza odświeżyła twarz Armanda. Podeszedł do Artura i cicho powiedział:

— Idź na dół do kajuty i każ pannie Briquet powtórzyć to wszystko, co opowiedziała mi przed chwilą. Ja zajmę się gośćmi.

— Jak się pani podoba jacht, madame? — zwrócił się do Rudej Marty, rozpoczynając beztruską pogawędkę.

Jean rozparty w wiklinowym fotelu trwał w błogostanie z dala od policji i detektywów. Nie chciało mu się myśleć ani uważać na cokolwiek — pragnął zapomnieć o ciągłym napięciu. Sącząc powoli z małego kieliszka doskonały koniak, coraz głębiej zapadał w słodką drzemkę. Było to na rękę Laretowi.

Ruda Marta również czuła się wspaniale: słysząc dobiegający z kajuty śpiew przyjaciółki, zaczęła wtórować skocznej melodii.

Nie wiadomo, czy to gra wpłynęła na Briquet kojąco, czy też Artur okazał się mniej bezlitosnym rozmówcą, dość że tym razem bardziej sensownie opowiedziała historię swego zmartwychwstania.

— To wszystko. I gdzie tu moja wina? — spytała z uśmiechem i zaśpiewała króciutką piosenkę Czyż jestem winna, powtórzoną przez Martę na pokładzie.

— Proszę opisać mi także trzecią głowę, którą widziała pani u Kerna — poprosił Dowell.

— Toma?

— Nie, tę, którą pokazał pani Kern... A zresztą...

Artur wyjął pospiesznie z kieszeni portfel, szukał czegoś przez chwilę, a potem pokazał dziewczynie fotografię.

— Proszę mi powiedzieć, czy twarz tego mężczyzny nie przypomina pani... człowieka... mojego znajomego, którego głowę widziała pani u Kerna?

— Przecież to on! — zawołała Briquet. Przestała nawet grać.

— Zdumiewające! Na tym zdjęciu jest kompletny! Widocznie też dostał ciało... Co panu, mój drogi? — spytała troskliwie.

Ziemia zachwiała się pod nogami Artura. Był biały jak kreda. Z trudem zrobił kilka kroków, bezwładnie opadł na krzesło i zasłonił twarz rękami.

— Co się stało? — zapytała Briquet ponownie.

Artur wciąż nie odpowiadał. Potem wargi bezdźwięcznie wyszeptały: „Biedny ojciec”, ale Briquet nie zrozumiała tych słów.

Młody człowiek opanował się dość szybko. Kiedy uniósł głowę, prawie całkowicie odzyskał spokój.

— Przykro mi, zdaje się, że panią przestraszyłem — powiedział. — Mam czasami takie lekkie dolegliwości sercowe. Już po wszystkim.

— Ale kim jest ten człowiek? Jest tak podobny do... To pański brat? — zainteresowała się Briquet.

— Nieistotne, kim jest, musi nam pani pomóc. Trzeba odszukać go za wszelką cenę. Pojedzie pani z nami. Ulokujemy panią w bezpiecznym miejscu, z dala od ludzi. Kiedy mogłaby pani wyruszyć?

— Choćby teraz — odpowiedziała. — Ale... nie zabierzecie mi ciała?

Artur w pierwszym momencie nie zrozumiał, o czym mówi dziewczyna, dopiero po chwili stwierdził z uśmiechem:

— Oczywiście, że nie... pod warunkiem, że będzie pani nam posłuszna i pomocna. Chodźmy na pokład.

— I co, jak się czujemy? — zwrócił się wesoło do towarzystwa na pokładzie, po czym spojrzał na horyzont i kiwając z niepokojem głową, powiedział tonem starego wilka morskiego:

— Nie podoba mi się to morze... Widzicie ten ciemny pas na horyzoncie? Jeśli nie uwiniemy się w porę, to...

— Wracajmy szybko! Nie chcę utonąć! — zawołała Briquet pół żartem, pół serio.

Na żadną burzę się nie zanosilo. Po prostu Dowell chciał postraszyć swych nie obeznanych z morzem gości po to, by szybciej wrócić na brzeg.

Laret umówił się z Briquet po obiedzie na korcie tenisowym, „jeśli pogoda dopisze”. Żegnali się zaledwie na kilka godzin.

— Słuchaj, Armandzie, przypadkowo trafiliśmy na ślad tajemniczej sprawy — powiedział Dowell po powrocie do hotelu. — Czy wiesz, czyja głowa znajdowała się w laboratorium Kerna? Głowa mojego ojca, profesora Dowella!

Laret, który zdążył już usiąść, podskoczył jak piłka.

— Co ty wygadujesz? Głowa twojego ojca? Czy to możliwe? I ciągle ten Kern! Bestia!... Rozszarpie go na kawałki! Znajdziemy głowę twojego ojca!

— Obawiam się, że może być za późno — odparł Artur ze smutkiem. — Ojciec sam udowodnił możliwość ożywiania amputowanych głów, ale żyły nie dłużej niż półtorej godziny, a potem umierały z powodu krzepnięcia krwi. Odżywiane sztucznie żyły jeszcze krócej...

Artur Dowell nie wiedział, że jego ojciec niedługo przed śmiercią wynalazł preparat, który nazwał „Dowell 217”, a który Kern przemianował na „Kern 217”. Wprowadzenie tego preparatu do krwi zapobiega jej krzepnięciu i przedłuża życie.

— Musimy jednak odnaleźć głowę mojego ojca — żywą czy martwą! Do Paryża!

Laret pobiegł do swojego pokoju, żeby spakować rzeczy.

DO PARYŻA!

Laret szybko zjadł obiad i udał się na kort tenisowy, Briquet, która spóźniła się trochę, była wyraźnie uradowana widząc, że już na nią czeka. Niezależnie od strachu, jaki wzbudzał w niej ten mężczyzna, nie przestawał się jej podobać.

— A gdzie pańska rakietka? — zapytała rozczarowana. — Czy nie będzie dziś lekcji?

Laret już od kilku dni uczył Briquet grać w tenisa. Okazała się pojętną uczennicą. Ale rozumiał tajemnicę jej talentu: przecież

Angelica była świetną tenisistką. Kiedyś sama nauczyła go kilku sztuczek. Obecnie zadanie Lareta polegało na tym, by ruchy wytrenowanego ciała Angeliki zsynchronizować z pracą mózgu, który powinien wszystkie je utrwalić. Dziewczyna poruszała się czasem niepewnie, niezgrabnie, aż nagle, nieoczekiwanie dla samej siebie, jakby odzyskiwała wyjątkową zwinność. Zadziwiła na przykład Lareta, kiedy zaczęła ścinać piłkę — nikt jej tego nie uczył. Ta trudna, wymagająca dużej zręczności umiejętność była przedmiotem swoistej dumy Angeliki. Patrząc na grającą Briquet, Laret zapominał chwilami, że gra nie z Angeliką. I właśnie podczas gry w tenisa poczuł jakąś dziwną tkliwość dla „odrodzonej Angeliki”, jak nazywał czasami Briquet. Było to wprawdzie uczucie dalekie od tego uwielbienia, którym darzył Angelikę, ale jednak fakt pozostawał faktem. Briquet stała obok Lareta, tak jak Angelica zasłaniając rakieta oczy przed promieniami zachodzącego słońca.

— Nie będziemy dziś grać.

— Jaka szkoda! Chętnie zagrałabym, chociaż noga boli mnie bardziej niż zwykle — powiedziała Briquet.

— Proszę pójść ze mną. Jedziemy do Paryża.

— Teraz?

— Natychmiast.

— Ale muszę się przecież przebrać i spakować rzeczy!

— Zgoda. Daję pani na to trzy kwadranse i ani minuty więcej. Przyjedziemy po panią samochodem. Proszę się pospieszyć.

„Rzeczywiście kuleje” — pomyślał patrząc za odchodzącą Briquet.

W czasie podróży do Paryża dziewczyna leżała w swoim przedziale i cichutko jęczała — noga rozbolała ją nie na żarty. Laret pocieszał ją, jak umiał. Ta podróż zbliżyła ich jeszcze bardziej. Wydawało mu się wprawdzie, że opiekuje się tak

troskliwie nie Briquet, lecz Angeliką, ale Briquet rozumiała to na swój sposób i ta opiekuńczość bardzo ją wzruszała.

— Jest pan taki dobry — powiedziała z rozrzewnieniem. — Tam, na jachcie, trochę się przestraszyłam, ale teraz już się nie boję. — Uśmiechała się przy tym tak czarująco, że Laret również nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Ten przesłany w odpowiedzi uśmiech przeznaczony był tym razem wyłącznie dla Briquet; sama tego nie dostrzegając robiła postępy.

Do Paryża zostawało zaledwie parę kilometrów, gdy zdarzył się drobny incydent, który jeszcze bardziej ucieszył Briquet i wprowadził w zdumienie samego winowajcę. Czując nowy przypływ bólu Briquet wyciągnęła rękę i powiedziała:

— Gdyby pan wiedział, jak cierpię...

Laret bezwiednie ujął w swoje ręce i pocałował jej wyciągniętą dłoń.

Dziewczyna spłonęła rumieńcem, Armand też się speszył.

„Do diabła — myślał — zdaje się, że ją pocałowałem. Ale przecież to tylko ręka — ręka Angeliki. Zaraz, zaraz — ból odczuwamy poprzez mózg, a więc kiedy całowałem jej rękę, współczułem innej kobiecie, nie Angelice... Ależ ta inna kobieta czuje ból dlatego, że boli ją noga Angeliki, czyli Briquet czuje ból Angeliki...” Zaplątał się w tym ostatecznie, co speszyło go jeszcze bardziej.

— Jak wytłumaczyła pani przyjaciółce swój nagły wyjazd? — zapytał, żeby rozładować niezręczną sytuację.

— W ogóle nie wytłumaczyłam. Jest przyzwyczajona do moich nieoczekiwanych decyzji. Zresztą wkrótce wraca z mężem do Paryża. Chciałabym się z nią zobaczyć... Niech ją pan do mnie zaprosi, bardzo proszę. — Podała mu adres Rudej Marty.

Przyjaciele postanowili umieścić Briquet w należącym do ojca Armanda niewielkim pustym domu przy końcu avenue du Main.

— Obok cmentarza! — przeraziła się zabobonna Briquet, kiedy samochód mijał cmentarz Montparnasse.

— To znaczy, że będzie pani długo żyła — uspokoił ją Laret.

— Jest pan pewien tego przesądu?

— Najzupełniej.

Zdawała się być spokojniejsza.

Chorą ułożono w dość przytulnym pokoju na ogromnym starym łożu z baldachimem.

Briquet westchnęła, opierając się o stos poduszek.

— Potrzebny jest pani lekarz i pielęgniarka — powiedział Laret.

Zaoponowała w sposób zdecydowany. Bała się, że nowi ludzie zdradzą jej kryjówkę.

Po długich naleganiach udało się Laretowi zmusić ją do pokazania nogi przyjacielowi, młodemu lekarzowi. W charakterze pielęgniarki zatrudnił córkę dozorca.

— Ten dozorca pracuje u nas od dwudziestu lat. Na nim i jego córce można polegać.

Zaproszony lekarz obejrzał spuchniętą i mocno zaczerwienioną nogę, polecił kompresy, uspokoił Briquet i wyszedł z Laretem do drugiego pokoju.

— No i co? — spytał zaniepokojony Laret.

— Na razie nic poważnego, ale radzę uważać. Będę przychodził co drugi dzień. Chora powinna mieć całkowity spokój.

Laret odwiedzał Briquet codziennie. Kiedyś wszedł po cichu do pokoju; pielęgniarki nie było, Briquet drzemała albo leżała z zamkniętymi oczami. Dziwne, ale wyglądała na coraz młodszą: rysy twarzy złagodniały, wysubtelniały, sądząc z wyglądu mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat.

Laret podszedł na palcach do łóżka, nachylił się, długo patrzył w tę twarz, a potem... czule pocałował dziewczynę w czoło. Tym razem nie analizował już, kogo całuje — Angelikę czy Briquet.

Briquet z wolna uniosła powieki, spojrzała na Lareta i blady uśmiech pojawił się na jej ustach.

— Jak się pani czuje? — spytał Laret. — Nie obudziłem pani?

— Nie, nie spałam. Dziękuję, czuję się całkiem nieźle. Gdyby nie ten ból...

— Lekarz mówi, że to nic poważnego. Proszę leżeć spokojnie, wkrótce pani wyzdrowieje.

Weszła pielęgniarka. Laret skinął głową i wyszedł. Briquet odprowadziła go czułym spojrzeniem. W jej życiu pojawiło się coś nowego. Chciała jak najszybciej wyzdrowieć. Kabarety, tańce, szansonetki, pijani bywalcy „Chat Noir” — wszystko to odeszło gdzieś daleko, straciło wartość i sens. W jej sercu rodziły się nowe marzenia o szczęściu. Bardzo możliwe, że dokonał się największy cud „przeistoczenia” — cud, o którym nie wiedziała jeszcze ani ona sama, ani Laret. Czysta i dumna Angelica weszła w życie Briquet, przynosząc ze sobą nie tylko młode, piękne ciało, ale i całkiem inny sposób myślenia. Zniknęła rozwiąta kabaretowa piosenkarka — jej miejsce zajęła skromna dziewczyna.

OFIARA KERNA

Tak więc Laret był całkowicie pochłonięty opieką nad Briquet, tymczasem Artur Dowell zbierał wszelkie możliwe informacje o Kernie. Najwięcej na ten temat mogła powiedzieć właśnie Briquet, która przekazała wszystko, co było jej wiadome o domu Kerna i zamieszkujących tam ludziach.

Artur Dowell działał bardzo ostrożnie. Od chwili zniknięcia Briquet Kern prawdopodobnie wzmógł czujność. Działanie przez zaskoczenie było raczej niemożliwe. Trzeba było postępować tak, by Kern jak najdłużej nie podejrzewał planowanego ataku.

— Musimy być diabelnie przebiegli — powiedział Artur do Lareta. — Przede wszystkim trzeba się dowiedzieć, gdzie mieszka Marie Loran. Jeżeli nie jest współniczką Kerna, może nam bardzo pomóc — znacznie bardziej niż Briquet.

Odszukanie adresu Marie nie sprawiło wielu kłopotów. Ale kiedy Artur udał się pod wskazany adres, doznał rozczarowania. Zamiast Marie Loran zastał tylko jej matkę, schludną, kulturalną staruszkę, zapłakaną, nieufną i zrozpaczoną.

— Czy mógłbym się widzieć z mademoiselle Loran? — spytał Artur.

Staruszka spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Z moją córką? Pan ją zna? Z kim mam przyjemność i czego pan chce od mojej córki?

— Jeśli pani pozwoli...

— Proszę wejść. — Matka Marie wpuściła gościa do malutkiego salonu, w którym stały miękkie stare meble w białych pokrowcach, z koronkowymi narzutami na oparciach krzeseł. Na ścianie wisiał duży portret. „Interesująca dziewczyna” — pomyślał Artur.

— Nazywam się Radier. Jestem lekarzem z prowincji, wczoraj przyjechałem z Tuluzy. Znałem kiedyś jedną z koleżanek pani córki, jeszcze z czasów studenckich. Tu, w Paryżu, spotkałem ją przypadkowo i dowiedziałem się, że mademoiselle Loran pracuje u profesora Kerna.

— A jak nazywa się ta koleżanka?

— Jak się nazywa? Riche!

— Riche, Riche... Nie słyszałam o takiej — zauważyła staruszka i nie kryjąc niedowierzania spytała: — Nie jest pan przypadkiem od Kerna?

— Nie, nie jestem — odpowiedział z uśmiechem Artur. — Ale bardzo chciałbym go poznać. Prowadzi badania w dziedzinie, która bardzo mnie interesuje. Wiadomo mi, że szereg najciekawszych doświadczeń przeprowadza w domu. Sam jest wielkim odludkiem i nie wpuszcza nikogo do swojej świątyni.

Staruszka przyznała, że tak jest w istocie: Marie, rozpoczynając pracę u Kerna, mówiła jej, że profesor jest samotnikiem i nie przyjmuje nikogo. „No więc czym się zajmuje?” — zapytała wtedy córkę i otrzymała wymijającą odpowiedź: „Prowadzi różne badania naukowe”.

— Dlatego też — kontynuował Dowell — chciałem poznać najpierw pannę Loran i spytać ją o realne możliwości osiągnięcia celu. Może mogłaby porozmawiać z profesorem Kernem, zaprotegować mnie, wprowadzić do jego domu.

Wygląd tego młodzieńca wzbudzał zaufanie, ale wszystko, co wiązało się z nazwiskiem Kerna, wywoływało w duszy madame Loran taki niepokój i obawę, że nie wiedziała, co mówić dalej. Westchnęła ciężko i powstrzymując łzy powiedziała:

— Mojej córki nie ma w domu. Jest z szpitalu.

— W szpitalu? W jakim szpitalu?

Tu pani Loran nie wytrzymała. Zbyt długo była sam na sam ze swym nieszczęściem i teraz, zapomniawszy o ostrożności, opowiedziała gościowi wszystko: jak to córka przysłała list, że jej praca wymaga, by pozostała przez jakiś czas w domu Kerna i opiekowała się pacjentami, jak ona, matka, niejednokrotnie i bezskutecznie usiłowała zobaczyć się z córką, jak się denerwowała, jak, wreszcie, Kern zawiadomił

ją, że córka zapadła na chorobę nerwową i została przewieziona do kliniki psychiatrycznej.

— Nienawidzę tego Kerna — mówiła staruszka ocierając chusteczką łzy. — To on doprowadził moją córkę do obłądu. Nie wiem, co widziała w domu Kerna i co tam robiła — nikomu o tym nie mówiła — ale wiem jedno, że odkąd Marie zaczęła tam pracować, coraz częściej miewała kłopoty z nerwami. Nie mogłam jej poznać. Wracała blada, roztrzęsiona, straciła sen i apetyt. Po nocach męczyły ją koszmary. Krzyczała przez sen, że prześladowuje ją Kern i jeszcze jakaś głowa... głowa profesora Dowella... Kern do tej pory przysyła mi pieniądze, dość pokaźną sumę, ale ich nie ruszam. Zdrowia nie da się kupić za żadne skarby. Straciłam córkę... — I staruszka zalała się łzami.

„Nie, w tym domu nie ma współników Kerna” — pomyślał Artur. Postanowił nie ukrywać dłużej celu swej wizyty.

— Proszę pani — zaczął — przyznam się pani szczerze, że mam równie ważny powód, żeby nienawidzić Kerna. Pani córka potrzebna mi była po to, bym mógł policzyć się z Kernem i... wykryć jego przestępstwa.

Pani Loran wydała okrzyk przerażenia.

— Niech się pani nie martwi, córka nie ma z tym nic wspólnego.

— Moja córka wolałaby umrzeć, niż popełnić przestępstwo — z dumą odrzekła staruszka.

— Chciałem skorzystać z pośrednictwa panny Loran, ale teraz widzę, że to ona potrzebuje pomocy. Przypuszczam, że pani córka wcale nie jest chora nerwowo i że została umieszczona w klinice za sprawą profesora Kerna, który musiał mieć ku temu powody.

— Ale dlaczego? Za co?

— Właśnie dlatego, że jak sama pani wspomniała, córka pani raczej wybierze śmierć niż przestępstwo. Widocznie Kern się jej obawia.

— Ale o jakich przestępstwach ciągle pan mówi?

Artur, mając do czynienia z nieznaną osobą i nie będąc pewien jej dyskrecji, wołał powstrzymać się od udzielania wyczerpującej odpowiedzi.

— Kern przeprowadzał niezgodne z prawem zabiegi.

Niech pani będzie tak łaskawa powiedzieć mi, w jakiej klinice umieszczono pani córkę?

Zdenerwowana pani Loran ostatnim wysiłkiem woli zmusiła się do logicznej odpowiedzi. Szlochając bez przerwy, powiedziała:

— Kern długo nie chciał mi tego zdradzić. Do siebie nie wpuścił mnie nigdy, musiałam pisać listy. Odpowiedzi były wymijające, pełne zapewnień, że córka ma się coraz lepiej i że wkrótce wróci do domu. Kiedy wyczerpała się moja cierpliwość, napisałam do niego, że skieruję gdzie trzeba skargę, jeżeli nie poinformuje mnie natychmiast, gdzie jest Marie. Wtedy podał mi adres tego szpitala. To niedaleko Paryża, w Skeaux. Klinika prywatna doktora Ravineau. Oczywiście byłam tam. Ale nie wpuszczono mnie nawet na dziedziniec. Prawdziwe więzienie za wysokim kamiennym murem... „Zgodnie z naszym regulaminem — powiedział mi strażnik — nie wpuszczamy żadnych krewnych, nawet rodzonej matki”. Zażądałam widzenia z lekarzem dyżurnym, ale usłyszałam to samo. „Proszę pani — powiedział lekarz — odwiedziny zawsze denerwują chorych, pogarszają stan ich zdrowia. Mogę pani tylko powiedzieć, że córka ma się lepiej”. I zatrzasnął mi bramę przed nosem.

— Postaram się jednak zobaczyć pani córkę. Być może uda mi się ją uwolnić.

Artur skrupulatnie zanotował adres i powiedział na pożegnanie:

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Proszę wierzyć, zależy mi na tym tak, jakby panna Loran była moją siostrą.

Otrzymaawszy na drogę mnóstwo dobrych rad i życzliwych słów, Dowell opuścił mieszkanie pani Loran.

Chciał teraz natychmiast zobaczyć się z Laretem. Przyjaciel całe dni spędzał u Briquet, więc Artur skierował kroki na avenue du Main. Przed domkiem stał samochód Lareta.

Artur wbiegł na piętro i wszedł do salonu.

— Arturze, co za nieszczęście! — zawołał na jego widok Laret. Był wzburzony, miotał się po pokoju mierzwiąc czarne kręcone włosy.

— Co się stało?

— Och!... — jęknął przyjaciel. — Uciekła...

— Kto?

— Jak to kto? Briquet!

— Uciekła? Ale dlaczego? Mów wreszcie, o co chodzi.

Niełatwo było jednak wyciągnąć od Lareta coś sensownego. Ciągłe wzdychał, jęczał, miotał się i biadolił. Minęło co najmniej dziesięć minut, nim zdołał przemówić:

— Od wczoraj Briquet skarżyła się na coraz silniejszy ból nogi, która bardzo spuchła i zsiniała. Wezwałem lekarza. Zbadał ją i powiedział, że stan uległ gwałtownemu pogorszeniu. Zaczynała się gangrena i konieczna była natychmiastowa operacja. Lekarz nie chciał operować w domu i nalegał, aby pacjentkę niezwłocznie przewieźć do szpitala. Ale Briquet za nic w świecie nie chciała się na to zgodzić. Bała się, że w szpitalu zauważą blizny na szyi. Płakała i wciąż powtarzała, że musi wrócić do Kerna. Uprzedzał ją przecież, że powinna zostać u niego do całkowitego „wyzdrowienia”. Nie posłuchała go i teraz spotkała ją zasłużona kara. Poza tym ufa Kernowi jako chirurgowi, „Skoro potrafił mnie wskrzesić i

dać mi nowe ciało, to wyleczenie nogi będzie dla niego drobnostką". Na nic były wszystkie moje perswazje. Nie chciałem puścić jej do Kerna i postanowiłem uciec się do podstępu. Powiedziałem, że sam ją do niego zawiozę; w ten sposób chciałem zwabić ją do samochodu, a potem wziąć kurs na szpital. Musiałem jednak poczynić pewne kroki, by tajemnica „zmartwychwstania" rzeczywiście nie wyszła na jaw przed czasem — nie zapomniałem o tobie, Arturze. Wyszedłem więc najwyżej na godzinę, żeby porozmawiać ze znajomymi lekarzami. Chciałem ją zwieść, ale to ona zwiódła mnie i pielęgniarkę. Kiedy wróciłem, jej już nie było. Wszystko, co po niej pozostało — to ten skrawek papieru, który znalazłem na stoliku obok łóżka. Patrz. — Laret podał Arturowi krótki, pisany w pośpiechu ołówkiem liścik:

„Armandzie, wybacz, ale nie mogłam postąpić inaczej. Wracam do Kerna. Nie przychodź do mnie. Kern postawi mnie na nogi, jak uczynił to kiedyś. Wkrótce się zobaczymy — ta myśl podtrzymuje mnie na duchu".

— Nawet nie podpisany.

— Zwróć uwagę na pismo — powiedział Laret. — To pismo Angeliki, choć trochę zdeformowane; napisałaby tak o zmroku albo gdyby bolała ją ręka: zamaszyście, większymi niż zazwyczaj literami.

— Jak to się stało? Jak w końcu uciekła?

— Niestety, uciekła od Kerna po to, by teraz uciec ode mnie. Kiedy wróciłem i zobaczyłem, że ptaszek wyfrunął z klatki, omal nie zamordowałem pielęgniarki. Ale wytłumaczyła mi, że sama została wprowadzona w błąd. Briquet z trudem wstała, podeszła do telefonu i zadzwoniła do mnie. Oczywiście, był to fortel. Po krótkiej rozmowie oświadczyła, że wszystko już załatwione i że proszę ją o natychmiastowy przyjazd do szpitala. Poprosiła pielęgniarkę, żeby ta zadzwoniła po taksówkę, następnie z jej pomocą doszła do

samocho­du i odjechała, rezygnując z dalszych usług pielęgniarki. „To niedaleko, a tam mi pomogą sanitariusze” — powiedziała. Pielęgniarka była więc święcie przekonana, że wszystko dzieje się zgodnie z moimi poleceniami i za moją zgodą. Arturze! — krzyknął nagle Laret, znów ogarnięty niepokojem. — Jadę natychmiast do Kerna. Nie mogę jej tam zostawić. Zadzwo­niłem już po swój samochód. Jedź ze mną! Artur przemierzył krokami pokój. Sprawa skomplikowała się w sposób niespodziewany. Przypuśćmy, że Briquet powiedziała im wszystko, co wiedziała o domu Kerna. Jednak jej rady mogłyby się jeszcze przydać, nie mówiąc o tym, że ona sama była dowodem przeciwko Kernowi. Do tego ten obłąkany Laret! Żaden z niego pomocnik w takim stanie.

— Posłuchaj, przyjacielu — powiedział Artur, kładąc ręce na ramionach malarza. — Właśnie teraz, bardziej niż kiedykolwiek, musimy wziąć się w garść i nie popełniać szaleństw. Stało się. Briquet jest u Kerna. Czy rozsądne będzie przedwczesne niepokojenie lwa w jego jaskini? Jak uważasz, czy Briquet opowie Kernowi o tym, co się jej przydarzyło po ucieczce, o naszej znajomości i o tym, że wiemy wszystko o jego machinacjach?

— Mogę za nią ręczyć — zapewnił Laret. — Dała mi słowo jeszcze na jachcie i powtarzała niejednokrotnie, że dochowa tajemnicy. Teraz dotrzyma przyrzeczenia nie tylko ze strachu, ale... są też inne powody.

Artur znał te powody. Zauważył już od dawna, że jego przyjaciel poświęcał Briquet coraz więcej uwagi.

„Biedny romantyk — pomyślał. — Ten to ma szczęście do tragicznych miłości. Tym razem traci nie tylko Angelikę, ale i odradzające się uczucie. Może jednak nie wszystko stracone”.

— Cierpliwości, Armandzie — powiedział. — Mamy wspólny cel. Połączmy więc wysiłki i zacznijmy ostrożną grę. Mamy do wyboru dwie możliwości: albo wymierzyć Kernowi

natychmiastowy cios, albo postarać się najpierw okrężną drogą o jakieś bliższe dane na temat losu mojego ojca i Briquet. Po ucieczce Briquet Kern na pewno podwoił czujność. Jeśli jeszcze nie zniszczył głowy mojego ojca, to prawdopodobnie starannie ją ukrył. Jej zlikwidowanie to kwestia kilku minut. Kiedy tylko policja zapuka do drzwi, Kern zanim je otworzy, zatrze wszystkie ślady przestępstwa. Nie znajdziemy niczego. Nie zapominaj, że Briquet to też „dowód rzeczowy”. Kern bezprawnie przeprowadzał operacje. Na domiar złego porwał ciało Angeliki. Jest to człowiek, który nie zawaha się przed niczym. Ośmielił się przecież ożywić głowę mego ojca w tajemnicy przed całym światem. Wiem, że ojciec zapisał w testamencie swoje ciało do doświadczeń anatomicznych, ale nie słyszałem, żeby zgodził się na ożywienie amputowanej głowy. Dlaczego Kern ukrywa przed wszystkimi, nawet przede mną, jej istnienie?

Do czego jest mu potrzebna? I po co mu Briquet? Może i przeprowadza wiwisekcje i Briquet służy mu jako królik doświadczalny?

— Tym prędzej trzeba ją ratować — żarliwie wykrzyknął Laret.

— Uratować — owszem, ale nie przyspieszać śmierci. A nasza wizyta u Kerna może tylko przybliżyć fatalne rozwiązanie.

— Ale co robić?

— Wybrać drugą, dłuższą drogę i postarać się skrócić ją w miarę możliwości. Marie Loran może nam udzielić cenniejszych informacji niż Briquet. Zna rozkład domu, opiekowała się przecież pacjentami. Być może rozmawiała z moim ojcem... a raczej z tym, co po nim pozostało.

— Więc dawaj prędzej tę Loran!

— Ba! Ją też trzeba wpierw uwolnić.

— Jest u Kerna?

— W szpitalu dla wariatów. Prawdopodobnie w jednej z tych klinik, gdzie za sówitą opłatą trzyma się zdrowszych od nas ludzi. Czekają nas nielekka praca.

Opowiedział przyjacielowi o swojej wizycie u matki Marie.

— Przeklęty Kern! Sieje wokół siebie strach i nieszczęście. Niech ja go dostanę w swoje ręce...

— Zatrószymy się o to. Pierwszy krok w tym kierunku to rozmowa z Marie Loran.

— Jadę tam natychmiast.

— Byłoby to następnym głupstwem. Sami będziemy się pokazywać tylko w ostateczności; na razie skorzystamy z usług osób nie zaangażowanych. My stworzymy pewnego rodzaju tajny komitet, kierujący poczynaniami zaufanych ludzi, ale pozostający w ukryciu. Trzeba znaleźć człowieka pewnego, który uda się do Skeaux i zawrze tam znajomość wśród pielęgniarek, sanitariuszy, stróżów, kucharzy — jednym słowem, zaprzyjaźni się z kim się tylko da. Jeżeli uda się pozyskać bodaj jedną z tych osób — mamy co najmniej połowę kłopotów z głowy.

Laret nie mógł usiedzieć na miejscu. Zamierzał rozpocząć natychmiastowe działania na własną rękę, ale podporządkował się bardziej rozsądnemu przyjacielowi i w końcu zaaprobował politykę ostrożnych posunięć.

- Kogo by tu wciągnąć w sprawę? O, Chaube! Młody malarz, niedawno przyjechał z Australii. Mój przyjaciel, cudowny człowiek, doskonały sportowiec. To zadanie będzie dla niego też pewnego rodzaju sportem. Do diabła! — zaklął Laret. — Dlaczego sam nie mogę tego zrobić?

— To takie romantyczne, prawda? — uśmiechnął się Artur.

LECZNICA DOKTORA RAVINEAU

Chaube, młody, dwudziestotrzyletni rumiany blondyn o atletycznej budowie, przyjął propozycję „spiskowców” z zachwytem. Nie wtajemniczano go na razie w szczegóły mówiąc tylko, że może wyświadczyć swym przyjaciołom dużą przysługę. W odpowiedzi ochoczo skinął głową, nie pytając nawet, czy cała ta historia nie koliduje przypadkiem z prawem: wierzył w uczciwość Lareta i jego przyjaciela.

— Wspaniale! — zawołał. — Natychmiast jadę do Skeaux. Paleta i sztalugi będą doskonałym wytłumaczeniem pojawienia się nowej twarzy w małym miasteczku. Będę malować portrety sanitariuszy i pielęgniarek. Jeżeli dziewczyny nie są szkaradne, to się nawet pozalecam.

— Gdyby zaszła potrzeba, możesz nawet obiecać dozgonną miłość — w uniesieniu dodał Laret.

— Musiałbym być bardziej przystojny — skromnie zauważył młodzieniec. — Ale chętnie zrobię użytek ze swoich bicepsów, jeżeli sytuacja będzie tego wymagała.

Nowy sojusznik wyruszył w podróż.

— Pamiętaj, musisz działać możliwie szybko i z maksymalną rozważą — radził na pożegnanie Artur.

Chaube obiecał wrócić za trzy dni. Ale wrócił już następnego wieczora, bardzo rozżalony.

— Fizyczna niemożliwość — oświadczył. — To nie szpital, ale więzienie z kamiennym murem. Za ten mur nie wychodzi nikt z personelu. Sprawy zaopatrzenia rozwiązuje się przy pomocy dostawców, których nie wpuszcza się nawet na dziedziniec. Do bramy wychodzi intendent i kupuje to, co jest mu potrzebne... Krążyłem wokół tego więzienia jak wilk wokół owczarni. Ale nie udało mi się nawet zerknąć za ten przeklęty mur.

Laret był zły i rozczarowany.

— Miałem nadzieję, że wykazesz większą pomysłowość — rzekł z nie ukrywanym rozdrażnieniem.

— A może sam dasz popis pomysłowości — odpowiedział nie mniej rozdrażniony Chaube. — Nie zrezygnowałbym tak prędko, ale udało mi się przypadkowo zawrzeć znajomość z pewnym miejscowym malarzem, który dobrze zna miasto i zwyczaje lecznicy. Powiedział mi, że jest to szczególna klinika. Wiele tajemnic kryje za swymi murami. Tu spadkobiercy umieszczają swych bogatych krewnych, którzy żyją zbyt długo i ani im w głowie umierać; ogłaszają więc wszem i wobec o ich chorobie umysłowej i ustanawiają nad nimi nadzór. Opiekunowie nieletnich wysyłają tu swych podopiecznych przed osiągnięciem pełnoletności po to, by dalej mieć wolną rękę w opiekowaniu się ich majątkami. To więzienie dla bogaczy, dożywocie dla nieszczęśliwych żon, mężów, starych rodziców i osieroconych dzieci. Właściciel kliniki, który jest ponadto jej ordynatorem, ciągnie z uprawianego procederu olbrzymie zyski. Cały personel jest wysoko wynagradzany. Tu bezsilne jest nawet prawo, któremu na przeszkodzie stoi już nie kamienny mur, ale złoto. Wszystko tam trzyma się na przekupstwie. Zgodzisz się ze mną, że w takiej sytuacji mogłem siedzieć w Skeaux nawet rok i nie posunąć się ani o centymetr.

— Trzeba było działać, a nie siedzieć — zauważył oschle Laret.

Chaube demonstracyjnie podniósł nogę i pokazał rozdartą nogawkę.

— To efekt mojego działania — powiedział z gorzką ironią.

— Ubiegłej nocy próbowałem sforsować mur. Nie jest to dla mnie problem. Ale wystarczyło, że znalazłem się po drugiej stronie, a już napadły mnie ogromne dogi — rezultat masz przed oczami... Gdyby nie moja małpia zręczność, rozerwałyby mnie na strzępy. Natychmiast w całym tym wielkim ogrodzie rozblęły światła i dały się słyszeć nawoływania strażników. Mało tego. Kiedy już przelazłem z

powrotem, dozorczy wypuścili swoje psy za bramę. Zwierzęta są wytresowane w podobny sposób jak te psy, które swojego czasu specjalnie szkolono, by łapały zbiegłych z południowoamerykańskich plantacji Murzynów. Wiesz dobrze, ile razy wygrywałem zawody sprinterskie. Ale gdybym zawsze biegał tak, jak wiałem ubiegłej nocy przed tymi przekłętymi potworami, byłbym już mistrzem świata. Wystarczy powiedzieć, że bez zbyteń wysiłku wskoczyłem na stopień przygodnego samochodu, jadącego z prędkością co najmniej trzydziestu kilometrów na godzinę, i że tylko to mnie uratowało!

— To się nazywa pech! No i co my zrobimy? — mierzwiąc włosy rozpaczał Laret. — Trzeba będzie zadzwonić po Artura. Podniósł słuchawkę i za kilka minut Artur już ścisnął dłonie przyjaciół.

- Należało się tego spodziewać — powiedział na wiadomość o porażce. — Kern potrafi grzebać swe ofiary w miejscach absolutnie pewnych. Co teraz zrobimy? — powtórzył pytanie Lareta. — Pójść na całego, posłużyć się bronią Kerna, to znaczy przekupić właściciela kliniki i...

— Oddam cały swój majątek! — zawołał Laret.

— Obawiam się, że to nie wystarczy. Rzecz w tym, że interes szanownego doktora Ravineau kwitnie z jednej strony dzięki ogromnym łapówkom, które dostaje od swoich klientów, z drugiej — dzięki zaufaniu, jakim darzą go ci sami klienci, głęboko przekonani, że jeżeli Ravineau otrzymał odpowiednio wysoką kwotę, to już za nic w świecie ich nie zdradzi. Ravineau nie zechce psuć sobie opinii i tym samym szkodzić swemu biznesowi. Raczej zrobiłby to, gdyby od razu otrzymał kwotę, która równałaby się jego przyszłym dochodom z wyprzedzeniem o jakieś dwadzieścia lat. Sądzę, że nie starczyłoby na to naszych kapitałów razem wziętych. Nie zapominajcie, że Ravineau ma do czynienia z milionerami.

Znacznie prościej i taniej byłoby przekupić kogoś mniej ważnego z personelu. Ale cały szkopuł w tym, że Ravineau pilnuje swych pracowników nie gorzej niż więźniów. Chaube ma rację. Sam zasięgałem informacji o klinice. Łatwiej jest obcemu dostać się do najcięższego więzienia i zorganizować stamtąd ucieczkę, niż przeprowadzić podobną akcję w szpitalu Ravineau. Nie przyjmuje do pracy byle kogo, przeważnie wybiera ludzi samotnych. Nie gardzi tymi, którzy weszli w kolizję z prawem i pragną ukryć się przed wnikliwym okiem policji. Dobrze opłaca swych ludzi, ale wymaga od nich zobowiązania, że nie będą opuszczali terenu zakładu w okresie pracy, a umowa zawierana jest na co najmniej dziesięć, dwadzieścia lat.

— Gdzie znajduje ludzi, którzy dobrowolnie decydują się na takie dożywocie? — spytał Laret.

— Wbrew pozorom, to nie takie trudne. Wielu przyciąga wizja zabezpieczenia na stare lata, innym bieda depcze po piętach. Oczywiście nie wszyscy wytrzymują. Zdarzają się — wprawdzie bardzo rzadko, raz na kilka lat — przypadki ucieczek wśród personelu. Niedawno uciekł jeden ze stęsknionych za wolnością pracowników. W tym samym dniu jego zwłoki znaleziono w okolicach Skeaux. Ravineau nie żałuje pieniędzy na miejscową policję. Sporządzono protokół stwierdzający, że człowiek ten popełnił samobójstwo. Ravineau zabrał zwłoki do swojego szpitala. Reszty można się domyślić. Najprawdopodobniej urządził widowisko dla personelu; wygłosił przy okazji stosowną mowę, dając niedwuznacznie do zrozumienia, że podobny los czeka każdego, kto nie dotrzyma umowy. To wszystko.

Laret był oszołomiony.

— Skąd masz takie informacje?

Artur uśmiechnął się nie bez dumy.

— Widzisz — powiedział z satysfakcją Chaube. — Mówiłem przecież, że to nie moja wina.

— Wyobrażam sobie, jak wesoło musi się czuć w tym przeklętym miejscu Marie Loran. Ale co mamy robić, Arturze? Wysadzić mur przy pomocy dynamitu? Zrobić podkop?

Artur zamyślony usiadł w fotelu. Przyjaciele milczeli, spoglądając na niego co chwila.

— Eureka! — wykrzyknął nagle młody Dowell.

OBLĄKANI

Niewielki pokój z widokiem na ogród. Szare ściany. Szare łóżko, przykryte jasnoszarym puszystym kocem. Biały stolik i dwa białe krzesła.

Marie Loran siedzi przy oknie i spogląda z roztargnieniem na ogród. Promień słońca złoci jej jasne włosy. Zmizerniała ostatnio i pobladła.

Przez okno widać alejkę, po której spacerują grupkami pacjenci. Między nimi mignie od czasu do czasu biały, obsyty czarną tasiemką czepek pielęgniarki.

- Obląkani... — cicho szepcze Marie patrząc na poruszających się ludzi. — Ja też jestem obląkana... Co za paradoks!... Oto do czego doszłam...

Zacisnęła dłonie tak, że chrzęsnęły stawy palców.

Jak to się stało?

Kern poprosił ją do swego gabinetu.

- Muszę z panią pomówić, mademoiselle Loran — powiedział.

— Pamięta pani naszą pierwszą rozmowę, kiedy zaczynała pani pracę u mnie?

Skinęła twierdząco głową.

— Obiecała pani milczeć i nie mówić nikomu o tym, co się tutaj dzieje, czy tak?

— Tak.

— Proszę więc powtórzyć teraz tę obietnicę i może pani wracać do swojej mamusi. Wierzę pani na słowo.

Kern bezbłędnie odnalazł tę potrzebną mu strunę, na której teraz grał. Marie była zmieszana. Nic nie mówiła przez parę minut. Przyzwyczajona była do wypełniania danych obietnic, ale po tym, co tu zobaczyła... Kern dostrzegł jej wahanie i z niepokojem oczekiwał wyników tej wewnętrznej walki.

— Przyrzekłam panu milczenie — powiedziała wreszcie Marie cicho — ale pan mnie oszukał, zataił całą prawdę. Gdyby uprzedził mnie pan o wszystkim, nigdy nie dałabym takiej obietnicy.

— To znaczy, że czuje się pani wolna od tamtego przyrzeczenia?

— Tak.

— Dziękuję za szczerość. Z panią dobrze jest mieć do czynienia: pani przynajmniej nie oszukuje i ma cywilną odwagę powiedzieć prawdę.

Mówił tak nie tylko po to, by schlebić Marie. Aczkolwiek uczciwość w jego mniemaniu była przejawem głupoty, w chwili obecnej rzeczywiście podziwiał tę dziewczynę za siłę charakteru i niezłomne zasady moralne. „Do diabła, przykro mi, że muszę usunąć tę małą. Ale cóż innego mogę zrobić?”

— To znaczy, panno Loran, że przy pierwszej sposobności pani mnie zadenuncjuje? Chyba zdaje sobie pani sprawę ze skutków takiego posunięcia? Czeka mnie kara śmierci. Ale nie koniec na tym: moje imię na zawsze okryje hańba.

— Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć — odparła Marie.

— Proszę mnie posłuchać, moja panno — ciągnął Kern, jakby nie dosłyszał jej słów. — Niechże pani da wreszcie spokój z tym sztywnym kodeksem moralnym. Proszę zrozumieć, że gdyby nie ja, profesor Dowell dawno już gniłby w ziemi albo został spalony w krematorium. Cała jego praca poszłaby na

marne. Problemy, które rozwiązuje w tej chwili jego mózg, to w gruncie rzeczy twórczość pośmiertna. Za moją sprawą rzecz niemożliwa stała się możliwą. Zgodzi się pani ze mną, że w tej sytuacji mam pewne prawo do „produkcji” Dowella. Ponadto beze mnie Dowell — a ściślej mówiąc jego głowa — nie byłby w stanie zrealizować swoich odkryć. Wie pani, że mózgu nie sposób przeszczepić. Niemniej operacja połączenia głowy Briquet z ciałem innej osoby udała się znakomicie. Zrósł się rdzeń kręgowy. Rozwiązanie tego problemu jest zasługą mózgu Dowella i rąk Kerna. A ręce te — Kern wyciągnął je przed siebie — też są coś niecoś warte. Uratowały już życie setkom ludzi i na pewno uratują jeszcze więcej, jeśli tylko nie odda mnie pani w ręce sprawiedliwości. To jeszcze nie wszystko. Ostatnie nasze prace powinny zrewolucjonizować nie tylko wiedzę medyczną, ale i życie całej ludzkości. Iluż geniuszy można będzie wskrzesić po śmierci, przedłużyć ich życie dla dobra wszystkich ludzi! A więc przedłużę im życie, zwrócę dzieciom ojców, żonom — mężów. W przyszłości takie operacje będzie robił każdy przeciętny chirurg. Suma ludzkich nieszczęść ulegnie zmniejszeniu...

— Kosztem innych nieszczęśliwych.

— Może i tak, ale tam gdzie płakało dwoje, będzie płakał jeden. Tam, gdzie było dwóch nieboszczyków, będzie tylko jeden. Czy to nie wspaniała perspektywa? Czym w porównaniu z nią są moje sprawy osobiste, nawet przestępstwa? Cóż choremu do tego, że ratujący mu życie chirurg ma na sumieniu przestępstwo? Zabije pani nie tylko mnie, ale i tysiące istnień, które mógłbym w przyszłości uratować. Czy pomyślała pani o tym? Popelnia pani zbrodnię stokroć straszniejszą od tej, którą popełniłem ja, jeśli w ogóle ją popełniłem. Proszę więc pomyśleć raz jeszcze i wtedy

dopiero udzielić ostatecznej odpowiedzi. Teraz jest pani wolna. Nie musi się pani spieszyć.

— Usłyszał pan już wszystko, co miałam do powiedzenia — rzuciła Marie i wyszła z gabinetu.

Udała się do pokoju profesora Dowella i opowiedziała mu o rozmowie z Kernem. Profesor zamyślił się głęboko.

— Czy nie lepiej było zataić rzeczywiste zamiary albo przynajmniej udzielić wymijającej odpowiedzi? — wyszeptał w końcu.

— Nie umiem kłamać — odrzekła Marie.

— To wielka zaleta, ale... wydała pani na siebie wyrok. Zginie pani, a ta ofiara nie przyniesie żadnego pożytku.

— Nie mogę inaczej — odpowiedziała Marie ze smutkiem. Pożegnała się i wyszła.

Kości zostały rzucone" — powtarzała wciąż to samo zdanie, siedząc przy oknie w swoim pokoju.

„Biedna mama — przemknęła niespodziewana myśl. — Na pewno postąpiłaby tak jak ja" — odpowiedziała sama sobie. Miała ochotę napisać do matki, opowiedzieć o wszystkim, co ją spotkało. „Ostatni list". Ale nie widziała żadnej możliwości wysłania tego listu. Pewna, że czeka ją śmierć, gotowa była wyjść jej na spotkanie spokojnie i z godnością. Przykrość sprawiały tylko wspomnienia o matce i myśl, że ofiary Kerna nie będą pomszczone. Wierzyła jednak, że wcześniej czy później dosięgnie go ręka sprawiedliwości.

To, czego się spodziewała, nastąpiło wcześniej, niż zakładały jej przewidywania.

Marie zgasiła światło i położyła się do łóżka. Nerwy miała napięte do granic wytrzymałości. Nagle usłyszała jakiś szmer za stojącą przy ścianie szafą. Ten szmer bardziej ją zdziwił, niż przestraszył. Drzwi do pokoju były zamknięte na klucz. Nikt nie mógł się tu dostać bez jej wiedzy. Skąd te szmery? Może to myszy?

Dalej wypadki potoczyły się z zawrotną szybkością. W ślad za szmerem dało się słyszeć skrzypienie. Czyjeś kroki zbliżyły się do łóżka. Marie przestraszona uniosła się na łokciach, ale w tejże sekundzie silne ręce przewróciły ją z powrotem na poduszkę i przycisnęły do twarzy maskę z chloroformem.

„Śmierć”! — przemknęło jej przez myśl. Zaczęła się miotać instynktownie, jak ryba wyjęta z wody.

— Tylko spokojnie — usłyszała głos Kerna, zupełnie taki sam, jak podczas normalnych operacji, a potem straciła przytomność.

Ocknęła się już w klinice.

Profesor Kern zrealizował swe pogróżki o „niezwykle przykrych konsekwencjach” niedotrzymania przez nią obietnicy. Spodziewała się po nim wszystkiego. Zemścił się pozostając nadal bezkarnym. Marie Loran złożyła ofiarę, ale ofiara była bezsensowna. Ta świadomość jeszcze bardziej zachwiała jej równowagę. Była bliska rozpacz. Wszędzie czuła przemożny wpływ Kerna.

W ciągu pierwszych dwóch tygodni nie pozwalano jej nawet wychodzić do dużego, cieniściego ogrodu, w którym spacerowali „spokojni” pacjenci. „Spokojni” to ci, którzy nie protestowali, nie usiłowali udowodnić lekarzom, że są zdrowi, nie próbowali uciekać.

W całej lecznicy było najwyżej dziesięć procent autentycznych wariatów, a i tych doprowadzono do takiego stanu już w klinice. W tym celu doktor Ravineau opracował skomplikowaną metodę aplikowania „trucizny psychicznej”!

TRUDNY PRZYPADEK

Dla doktora Ravineau Marie Loran była „trudnym przypadkiem”. Co prawda stan jej nerwów po okresie pracy u

Kerna pozostawiał wiele do życzenia, ale wolę miała nadal niewzruszoną. Właśnie to zamierzał wykorzystać Ravineau. Na razie nie rozpoczął jeszcze bezpośredniego „ataku psychicznego”, tylko obserwował dziewczynę na odległość. Profesor Kern nie dał mu ściśle określonych wytycznych co do dalszego losu Marie: śmierć czy obłąd. Tak czy owak, to drugie przewidziane było niejako przez regulamin „kliniki” psychiatrycznej Ravineau.

Marie z niepokojem oczekiwała chwili, w której zapadnie decyzja o jej losie: śmierć albo obłąd — innego wyjścia nie widziała — podobnie zresztą jak wszyscy pozostali pacjenci. Usiłowała więc skoncentrować wszystkie siły, by przynajmniej nie poddać się obłądowi. Była bardzo zgodna, posłuszna i nawet — na pierwszy rzut oka — spokojna. Ale nic nie było w stanie zmylić doktora Ravineau, mającego ogromne doświadczenie i sławę jednego z najznakomitszych psychiatrów. Pokora nowej pacjentki wywołała w nim jeszcze większy niepokój i podejrzliwość.

„Trudny przypadek” — myślał, rozmawiając z Marie podczas porannego obchodu.

— Jak się pani czuje? — pytał.

— Dziękuję, świetnie — odpowiedziała Marie.

— Robimy dla pacjentów wszystko, co w naszej mocy, ale obce otoczenie i względne pozbawienie wolności często działają przygnębiająco. Samotność, tęsknota...

— Jestem przyzwyczajona do samotności.

„Nielatwo zmusić ją do szczerych wyznań” — pomyślał Ravineau, po czym mówił dalej:

— Pani, w gruncie rzeczy, jest całkiem zdrowa. Trochę tylko znerwicowana i nic poza tym. Profesor Kern powiadomił mnie, że brała pani udział w doświadczeniach naukowych, które istotę tak wrażliwą mogły wytrącić z równowagi. Jest pani taka młoda. Przemęczenie i nieznaczna neurastenia...

Profesor Kern, któremu bardzo na pani zależy, postanowił zorganizować pani wypoczynek...

— Jestem ogromnie wdzięczna profesorowi.

„Introwertyczka — złościł się Ravineau. — Muszę zapoznać ją z innymi pacjentami. Wtedy być może nieco się odsłoni i w ten sposób da się poznać jej charakter”.

— Zasiadła się pani — powiedział. — Dlaczego nie wyjdzie pani do ogrodu? Mamy wspaniały ogród — co tam ogród! Prawdziwy park. Kilkanaście hektarów.

— Nie pozwolono mi wychodzić.

— Co też pani mówi! — wykrzyknął ze zdumieniem Ravineau. — To niedopatrzenie mego asystenta. Nie należy pani do tych pacjentów, którym mogą zaszkodzić spacer. Może pani wychodzić, może zawierać znajomości — są tu dość interesujący ludzie.

— Dziękuję panu, chętnie skorzystam.

Po odejściu Ravineau Marie po raz pierwszy przekroczyła próg swojego pokoju. Szła długim korytarzem o brudnoszarych ścianach z czarną lamperią. Spoza drzwi zamkniętych pokoiw dały się słyszeć nieartykułowane dźwięki, wycia, histeryczny śmiech, bezładne mamrotanie...

— O... o... o... — dobiegało z lewej strony.

— U-u-u... Cha, cha, cha — odpowiadała prawa.

„Całkiem jak w zoo” — pomyślała Marie, starając się nie ulegać przygnębiającemu wrażeniu. Mimo woli przyspieszyła jednak kroku, by jak najprędzej wyjść z domu. Teraz biegła przed nią gładka ścieżka prowadząca w głąb ogrodu.

„Metoda” doktora Ravineau dała się odczuć nawet tutaj. Wszystko wokół było jakieś smętne: drzewa wyłącznie iglaste, ciemnozielone, ławki drewniane, bez oparcia, pomalowane na szaro. Szczególnie uderzył Marie wygląd klombów, uformowanych na kształt grobów porośniętych kwiatami wśród których większość stanowiły granatowe,

prawie czarne bratki, okolone stokrotkami, niczym białą wstęgą żałobną. Ciemne tuje uzupełniały ten ponury widok.

„Prawdziwy cmentarz. Tu podświadomie powinny rodzić się myśli o śmierci. Ale nie nabierze mnie pan, doktorze Ravineau, odkryłam pańską tajemnicę, pańskie «efekty» nie są dla mnie zaskoczeniem” — podtrzymała się Marie na duchu i minawszy w miarę szybko „cmentarne klomby”, weszła w sosnową aleję. Pnie wysokich drzew wzbijały się w górę jak kolumny świątyni zwieńczone ciemnozielonymi kopułami. Korony sosen szumiały miarowo, beznamiętnie i monotonnie.

W różnych punktach parku migwały szare szlafroki pacjentów.

„Który z nich jest wariatem, a który nie?” Można to było stwierdzić prawie nieomylnie, nawet po dość pobieżnej obserwacji. Ci, których stan budził jeszcze jakieś nadzieje, z zaciekawieniem spoglądali na nowicjuszkę. Inni, o świadomości już zamroczonej, krążyli jak widma, zatopieni w sobie, odcięci od świata zewnętrznego, który oglądali bezmyślnym, nie widzącym wzrokiem.

Do Marie zbliżył się wysoki kościsty starzec z długą siwą brodą. Uniósł wysoko krzaczaste brwi, spojrzał na dziewczynę i, jakby kontynuując na głos monolog wewnętrzny, powiedział:

— Liczyłem dni przez jedenaście lat, potem straciłem rachubę czasu. Nie ma tu kalendarzy, czas zatrzymał się w miejscu. Nie wiem, jak długo chodzę już po tej alei. Może dwadzieścia, a może tysiąc lat. Nie da się określić czasu. I ty, ty też będziesz chodziła przez tysiąc lat w tamtą stronę do kamiennego muru, i przez drugie tysiąc — z powrotem. W obliczu Boga jeden dzień tyle wart, co tysiące lat. Nie ma stąd wyjścia. „Wchodzący, porzućcie nadzieję”, jak powiedział Dante. Cha, cha, cha! Dziwisz się? Myślałaś że jestem wariatem? Jestem sprytny. Tylko wariaci mają tu prawo bytu. Ale tak jak ja,

zostaniesz tu na zawsze. Jesteśmy... — w tym momencie zobaczył zbliżającego się sanitariusza, do którego obowiązków należało podsłuchiwanie rozmów. Starzec, nie zmieniając wcale tonu, zrobił do Marie perskie oko i kontynuował:

— Jestem Napoleonem Bonaparte, moje sto dni jeszcze przede mną. Zrozumiałaś?

Nieszczęsny — pomyślała Marie. — Czyżby udawał wariata po to, by uniknąć śmierci? Widać nie ja jedna muszę się maskować".

Jeszcze jeden pacjent podszedł do niej — młody człowiek z czarną capią bródką. Zaczął pleść jakieś brednie o wyciąganiu pierwiastka kwadratowego z kwadratury koła. Tym razem sanitariusz nie zwrócił na nich uwagi — widocznie ten człowiek nie wzbudzał podejrzeń administracji. Obląkaniec przysuwał się coraz bliżej do Marie, pluł, mówiąc pospiesznie i natarczywie:

— Koło to nieskończoność. Kwadratura koła to kwadratura nieskończoności. Proszę słuchać uważnie. Wyciągnąć pierwiastek kwadratowy z kwadratury koła, to znaczy wyciągnąć pierwiastek z nieskończoności. Będzie to część nieskończoności podniesiona do n-tej potęgi, a w ten sposób da się określić kwadraturę... Ale pani mnie nie słucha! — rozzłościł się nagle i złapał Marie za rękę. Wyrwała dłoń i niemal pobiegła do swojego budynku. W pobliżu drzwi spotkała doktora Ravineau, który czekał na nią powstrzymując uśmiech zadowolenia.

Ledwie wbiegła do środka, dało się słyszeć pukanie do drzwi. Z rozkoszą zamknęłaby je na klucz, ale w drzwiach od wewnątrz nie było zamków. Postanowiła nie odpowiadać na pukanie. Jednak drzwi otworzyły się i w progu stanął doktor Ravineau.

Głowę, jak zwykle, miał nieco odrzuconą do tyłu; wypukłe, szeroko otwarte oczy, okrągłe i badawcze, spoglądały uważnie zza szkieł binokli; czarne wąsy i hiszpańska bródka poruszały się wraz z ustami.

— Proszę mi wybaczyć, że wszedłem bez pozwolenia. Obowiązki lekarza stawiają mnie w uprzywilejowanej pozycji...

Doktor Ravineau zdecydował, że nadeszła odpowiednia chwila do rozpoczęcia ataku na tę „twierdzę moralną”. Miał w swym arsenale różnorodną broń — od najszczerzej życzliwości, uprzejmości i czarującej galanterii do brutalności i cynicznie odsłanianej prawdy. Postanowił za wszelką cenę wyprowadzić Marie z równowagi, dlatego przybrał nagle ton bezceremonialnej kpiny.

— Dlaczego pani nie mówi: „Proszę wejść, przepraszam, że nie odpowiedziałam na pukanie, zamyśliłam się na chwilę i nie słyszałam...” albo coś w tym rodzaju?

— Bo słyszałam, jak pan pukał, ale nie odpowiadałam umyślnie. Chciałam być sama.

— Szczerłość, zawsze ta sama szczerłość — rzucił ironicznie.

— Szczerłość nie jest najlepszym obiektem dla ironii — z pewnym rozdrażnieniem odparła Marie.

„Chwyciło” — ucieszył się Ravineau. Usiadł swobodnie naprzeciwko dziewczyny i wybałuszył na nią swe nieruchome jak u raka oczy. Marie próbowała wytrzymać ten wzrok, ale w końcu poczuła się tak nieswojo, że opuściła powieki i zaczerwieniła się z lekka, zła na samą siebie.

— Sądzi pani, że szczerłość nie jest najlepszym obiektem dla ironii? — powiedział Ravineau tym samym kpiącym tonem.

— A ja uważam, że jest. Gdyby rzeczywiście była pani taka prawdomówna, dawno już zostałbym stąd wypędzony, bo pani mnie nienawidzi; tymczasem widzę wymuszony, uprzejmy uśmiech gościnniej gospodyni.

— To... tylko grzeczność wpojona przez wychowanie — oschle odrzekła Marie.

— A gdyby nie grzeczność, pokazałaby mi pani drzwi, czy tak? — Wybuchnął nieoczekiwanie wysokim, jazgotliwym śmiechem. — Doskonale! Wybornie! Grzeczność nie może iść w parze ze szczerością. W imię grzeczności można zapomnieć o prawdzie. To po pierwsze. — Zagiął jeden palec. — Spytałem dziś, jak się pani czuje, i otrzymałem odpowiedź: „Bardzo dobrze”, choć z pani oczu wyczytałem, że ma już pani wszystkiego po dziurki w nosie. Jak widać, wtedy też pani skłamała. Przez grzeczność?

Marie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Musiałaby znowu skłamać albo przyznać się, że postanowiła nie ujawniać swych uczuć. Lepiej już milczeć.

— Pomogę pani, mademoiselle Loran — ciągnął Ravineau. — To był tylko instynkt samozachowawczy, który kazał się pani maskować. Tak czy nie?

— Tak — odrzekła wyzywająco Marie.

— A więc po pierwsze — kłamie pani w imię przyzwoitości, po drugie — żeby ocalić siebie. Jeśli tak pójdzie dalej, obawiam się, że nie wystarczy mi palców. Kłamie pani z litości. Czyż nie pisała pani pocieszających listów do matki?

Zaskoczył Marie: wyglądało na to, że wie o wszystkim. Zresztą tak było w istocie — tego typu postępowanie stanowiło część składową jego metody. Od swoich klientów, lokujących w jego klinice rzekome ofiary obłądu, wymagał wyczerpujących informacji zarówno o przyczynach podjętej decyzji, jak i o wszystkim, co dotyczyło samych pacjentów. Klienci zdawali sobie sprawę, że leży to w ich interesie, i wyjawiali Ravineau nawet najstraszniejsze tajemnice.

— Kłamała pani profesorowi w imię zbezczeszczonej prawdy, chcąc, by sprawiedliwości stało się zadość. Kłamała pani w imię prawdy! Gorzki paradoks! Gdyby tak policzyć dokładnie,

okaże się, że cała ta prawda przetrwała wyłącznie dzięki ustawicznemu kłamstwu.

Za każdym razem trafiał w dziesiątkę. Marie była zdruzgotana. Nawet nie przychodziło jej do głowy, że kłamstwo odgrywa w jej życiu tak ogromną rolę.

— Droga orędowniczko prawdy, niech pani pomyśli w samotności o popełnionych przez siebie grzechach. Co pani osiągnęła dzięki swej prawdomówności? Zaraz pani odpowiem: dożywotnie więzienie. I żadna siła, nawet nadprzyrodzona, nie uwolni pani stąd. A kłamstwo? Gdyby nawet uważać szanownego profesora Kerna za syna piekieł i ojca kłamstwa, to jednak należy przyznać, że prosperuje doskonale.

Ravineau, bacznie obserwujący dziewczynę, niespodziewanie zamilkł. „Na pierwszy raz wystarczy, salwa była niezła” — pomyślał z satysfakcją i wyszedł bez pożegnania. Marie nawet tego nie zauważyła. Siedziała zasłoniwszy rękami twarz.

Od tego czasu Ravineau zjawiał się u niej co wieczór, by prowadzić swe przewrotne rozmowy. Zachwianie zasadami moralnymi Marie, a równocześnie wyprowadzenie jej z równowagi psychicznej stało się dla Ravineau sprawą ambicjonalną.

Marie cierpiała w sposób niekłamanie głęboki. Czwartego dnia nie wytrzymała; po serii wywodów Ravineau zerwała się z miejsca z rozplamioną twarzą.

— Proszę stąd wyjść — krzyknęła. — Pan jest demonem, a nie człowiekiem!

Scena ta dostarczyła Ravineau prawdziwej satysfakcji.

— Robi pani postępy — uśmiechnął się nie zmieniając nawet pozycji. — Jest pani bardziej szczerą niż dotychczas.

— Proszę wyjść! — tracąc resztki sił powtórzyła Marie.

„Wspaniale, niedługo rzuci się na mnie z pięściami” — pomyślał psychiatra i wyszedł, pogwizdując wesoło.

Marie nie myślała na razie o rękoczynach; prawdopodobnie wpadłaby na to wyłącznie pod warunkiem całkowitego zaćmienia umysłu, ale stan jej psychiki uległ szybkiemu pogorszeniu. Gdy została sama, z przerażeniem zdawała sobie sprawę, że długo tak nie wytrzyma.

Ravineau zaś nie przeoczył niczego, co mogło być pomocne w osiągnięciu celu. Wieczorami zaczęły prześladować dziewczynę dźwięki smętnej melodii, granej na nie znanym jej instrumencie. Brzmiało to tak, jakby łkała w oddali wiolonczela, czasem dźwięki osiągały górne rejestry skrzypiec, a potem nagle, bez żadnej pauzy, zmieniała się nie tylko wysokość tonu, ale samo brzmienie i słychać było jakby głos ludzki, piękny, czysty, nieskończenie, smutny. Zawodząca melodia, powtarzając się bez końca, zdawała się zataczać swoisty krąg.

Kiedy usłyszała tę melodię po raz pierwszy, sprawiła jej nawet przyjemność. Muzyka była tak cicha i delikatna, że Marie zaczęła mieć wątpliwości, czy słyszy ją naprawdę, czy też zaczyna mieć halucynacje słuchowe. Czas mijał, a melodia dalej tkwiła w swym zaczarowanym kręgu. Skrzypce przychodziły na zmianę wiolonczeli, potem zmienił je łkający ludzki głos... W akompaniamencie przewijała się jedna tęskna nutka. Po godzinie Marie była już przekonana, że muzyka ta jest wytworem jej wyobraźni. Nie sposób było przed nią uciec. Marie zatykała uszy, ale ciągle miała wrażenie, że wokół rozbrzmiewa wciąż to samo: wiolonczela, skrzypce, głos... wiolonczela, skrzypce, głos...

— Można zwariować — wyszeptała Marie. Spróbowała zanucić inną melodię, starała się mówić głośno, żeby zagłuszyć muzykę, ale nic nie pomagało. Melodia prześladowała ją nawet we śnie.

„Ludzie nie mogą grać i śpiewać bez przerwy. To na pewno muzyka mechaniczna... Opętanie!” — myślała podczas

bezsennej nocy, którym towarzyszyła nieustannie ta monotonna, szatańska melodia; wciąż wiałonczela, skrzypce, głos... wiałonczela, skrzypce, głos...

Nie mogła doczekać świtu i czym prędzej uciekała do parku, ale ten motyw przybrał już postać manii prześladowczej. Marie rzeczywiście zaczęła słyszeć nie istniejące dźwięki, zagłuszane jedynie od czasu do czasu przez wrzaski, bełkot i śmiech spacerujących po ogrodzie wariatów.

NOWICJUSZ

Marie Loran doszła stopniowo do takiego stanu, że po raz pierwszy w życiu zaczęła myśleć o samobójstwie. Podczas jednego ze spacerów obmyśliła sposób odebrania sobie życia i tak zatopiła się we własnych myślach, że nie zauważyła pacjenta, który stanął na jej drodze i powiedział:

— Szczęśliwi, którzy nie poznali rzeczy niedoścignionych. Wszystko to, rzecz jasna, sentymenty...

Marie drgnęła zaskoczona i spojrzała na mężczyznę. Tak jak wszyscy pozostali, miał na sobie szary szlafrok. Ten wysoki szatyn o regularnych arystokratycznych rysach od razu zwrócił jej uwagę.

„Widocznie jakiś nowy pacjent — pomyślała. — Golił się po raz ostatni jakieś pięć dni temu. Dlaczego jego twarz kogoś mi przypomina?”

Nagle mężczyzna wyszeptał szybko:

— Wiem, kim pani jest, panno Loran. Widziałem portret w mieszkaniu pani matki.

— Skąd pan mnie zna? Kim pan jest? — zapytała zdumiona Marie.

— Świat to nicość. Jestem bratem mego brata, więc mój brat

— to ja! — głośno wykrzyknął młodzieniec.

Minął ich sanitariusz, ukradkiem, ale bacznie spoglądając w ich stronę.

Kiedy sanitariusz znalazł się w bezpiecznej odległości, mężczyzna szepnął pośpiesznie:

— Nazywam się Artur Dowell — syn profesora Dowella. Nie jestem wariatem, udaję tylko po to, żeby...

Sanitariusz ponownie zbliżył się do nich.

Artur rzucił się nagle do ucieczki z krzykiem:

— Oto mój brat nieboszczyk! Ty — to ja, ja — to ty. Wcieliłeś się we mnie po śmierci. Byliśmy sobowtórami, ale to ty umarłeś, nie ja!

Pognał za jakimś melancholikiem, którego ten niespodziewany atak śmiertelnie przeraził. Sanitariusz pobiegł za nimi, by obronić przed furiatem wątlęgo melancholika. Dotarli do końca ścieżki, gdzie Dowell zaniechał prześladowania swej ofiary i znów skierował kroki w stronę Marie. Biegł szybciej niż sanitariusz; mijając dziewczynę zwolnił i skończył zaczęte zdanie:

— Zjawiłem się tu, żeby panią ratować. Niech się pani przygotowuje dziś w nocy do ucieczki. — Uskoczył na bok i zaczął płaszać wokół jakiejś staruszki, która nie zwracała na niego uwagi. Potem usiadł na ławce, spuścił głowę i zamarł w bezruchu.

Tak dobrze odegrał swoją rolę, że Marie nie była pewna, czy rzeczywiście jest to tylko symulacja obłądu. Ale nadzieja już zakwitła w jej sercu. Nie miała wątpliwości, że ten młodzieniec jest synem profesora Dowella. Podobieństwo było uderzające, chociaż szpitalny ubiór i nie ogolona twarz czyniły jego postać szarą i bezbarwną. Poza tym w jakiś sposób ją rozpoznał, a więc musiał chyba naprawdę widzieć portret i naprawdę był u jej matki. Wszystko to wyglądało bardzo prawdopodobnie. Marie postanowiła, że dziś, na

wszelki wypadek, będzie spała w ubraniu — kto wie, może nieoczekiwany wybawca naprawdę się zjawi.

Nadzieja na odzyskanie wolności uskrzydliła ją, dodała sił. Miała teraz wrażenie, że budzi się nagle z koszmarne go snu. Nawet natarczywa melodia ucichła, oddaliła się i rozplynęła. Marie głęboko zaczerpnęła powietrza, jak człowiek wypuszczony na światło dzienne z mrocznego podziemia. Z niebywałą mocą poczuła chęć do życia, gotowa była śmiać się na głos. Ale właśnie teraz, bardziej niż kiedykolwiek, musiała zachować ostrożność.

Kiedy rozległ się dzwonek przywołujący na śniadanie, postarała się przybrać smętny wyraz twarzy, jaki miała zazwyczaj w ciągu tych ostatnich dni.

Doktor Ravineau stał jak zwykle przy wejściu. Przyglądał się swym pacjentom, jak strażnik więzienny przygląda się powracającym ze spaceru do cel aresztantom. Przed jego wzrokiem nie ukryło się nic: ani kamień schowany pod szlafrokiem, ani podarte ubranie, ani podrapane ręce czy twarz. Ze szczególną zaś uwagą śledził wyraz twarzy mijających go ludzi.

Marie przechodząc obok doktora usiłowała nie patrzeć mu w oczy. Spuściła wzrok i chciała smyknąć do środka jak najszybciej, ale Ravineau zatrzymał ją na chwilę i jeszcze uważniej spojrzał jej w twarz:

— Jak się pani czuje? — spytał.

— Jak zwykle — odpowiedziała.

— Które to już kłamstwo z rzędu i w imię czego? — zapytał ironicznie, a potem dodał: — Porozmawiamy jeszcze wieczorem.

„Spodziewałem się melancholii. Czyżby wpadła w ekstazę? Widocznie przeoczyłem coś w toku jej myśli i nastrojów. Trzeba się nad tym zastanowić...” — pomyślał.

Przyszedł do niej wieczorem. Marie myślała o tym spotkaniu z obawą. Jeśli wytrwa, może to być ich ostatnie spotkanie, jeżeli nie — czeka ją śmierć. W duchu nazywała teraz Ravineau wielkim inkwizytorem. Doprawdy, gdyby żył kilkaset lat temu, w pełni zasługiwałby na to miano. Przerazały ją jego sofizmy, czepianie się poszczególnych słów, nieoczekiwane, podchwytliwe pytania, zdumiewająca znajomość psychologii, umiejętność dokonywania diabolicznej analizy. Był to naprawdę „wielki logik”, współczesny Mefisto, który mógł zniszczyć wszelkie zasady moralne i podać w wątpliwość najmocniej zakorzenione przekonania.

Żeby się nie zdradzić, żeby nie zginąć, postanowiła zmobilizować całą swą wolę i milczeć, milczeć za wszelką cenę. Było to niebezpieczne posunięcie, jawne wypowiedzenie wojny, ostatni bunt w obronie własnej, który wywoła zapewne wzmożony atak. Ale innego wyjścia nie miała.

Ravineau wbił w nią przenikliwe spojrzenie swych okrągłych oczu i zadał pierwsze pytanie:

— W imię czego pani skłamała? — Marie nie wydała z siebie dźwięku. Mocno zaciskając usta siedziała ze spuszczonego wzrokiem.

Ravineau rozpoczął swoje inkwizytorskie przesłuchanie.

Marie bladła i czerwieniała, ale nie otworzyła ust. Wówczas doktor — co zdarzało mu się niezmiernie rzadko — zaczął złościć się i tracić cierpliwość.

— Milczenie to złoto — kpił. — Po utracie wszystkich swych skarbów chce pani widocznie zachować choćby tę zaletę niemych zwierząt i całkowitych debilów, ale nie uda się to pani. Milczenie skończy się wybuchem. Pęknie pani ze złości, jeżeli nie otworzy zaworu bezpieczeństwa. Czy jest sens milczeć? Pomyślałby kto, że nie wiem, co pani chodzi po głowie. „Chcesz zrobić ze mnie wariatkę — myśli pani teraz — ale niedoczekanie twoje!” Bądźmy szczerzy. Ja wszystko

potrafię, droga panienko. Zniszczyć ludzką duszyczkę to dla mnie równie proste, jak uszkodzić werk ręcznego zegarka. Znam na pamięć wszystkie śrubki tego nieskomplikowanego mechanizmu. Im dłużej będzie się pani sprzeciwiać, tym głębiej, tym beznadziejniej pograży się pani w mroku szaleństwa.

„Dwa tysiące czterysta sześćdziesiąt jeden, dwa tysiące czterysta sześćdziesiąt dwa...” — liczyła Marie, byle nie słyszeć tego, co mówi Ravineau. Nie wiadomo, jak długo trwałyby te tortury, gdyby nie ostrożne pukanie do drzwi.

— Proszę wejść — odruchowo powiedział Ravineau.

— Zdaje się, że pacjentka spod siódemki kona — oświadczyła pielęgniarka, która ukazała się w drzwiach.

Ravineau niechętnie wstał.

— Może to i lepiej, że musimy skończyć — burknął pod nosem. — Jutro dokończymy naszą interesującą rozmowę. — Powiedziawszy te słowa uniósł głowę Marie za podbródek, prychnął pogardliwie i wyszedł.

Marie odetchnęła z ulgą i bez sił pochyliła się nad stołem.

A za ścianą już rozbrzmiewała melodia pełna beznadziejnej tęsknoty. Ta czarodziejska muzyka miała moc tak potężną, że Marie mimowolnie uległa nastrojowi. Po chwili zaczęła już myśleć, że spotkanie z młodym Dowellem to tylko wytwór jej chorej wyobraźni, że wszelki opór jest bezcelowy. Śmierć i tylko śmierć uwolni ją od cierpienia. Rozejrzała się wokół siebie... Ale samobójstwa pacjentów nie były przewidziane w metodzie doktora Ravineau. Nigdzie żadnej klamki, żadnego haka... Po plecach Marie przebiegł dreszcz. Nagle ujrzała przed sobą twarz matki.

„Nie, nie zrobię tego, choćby ze względu na nią... przynajmniej tej ostatniej nocy... Będę czekać na Dowella. A jeśli nie przyjdzie...” Urwała myśl w połowie, ale czuła, co ją czeka, jeśli on nie dotrzyma swojego przyrzeczenia.

UCIECZKA

Była to najbardziej męcząca noc ze wszystkich, jakie Marie spędziła w klinice doktora Ravineau. Minuty wlokły się nieskończenie wolno i dokuczliwie, na podobieństwo znajomej melodii.

Podniecona dziewczyna przemierzała pokój od okna do drzwi. Nagle z korytarza dobiegły czyjeś skradające się kroki. Serce załomotało w piersi, a po chwili zamarło — poznała dyżurną pielęgniarkę, która zbliżała się do drzwi, żeby zajrzeć przez judasz. Dwustuwatowa żarówka płonęła pod sufitem przez całą noc. „To dobre na bezsenność” — powiadał Ravineau. Marie szybko wskoczyła do łóżka w ubraniu, przykryła się kołdrą i udała, że śpi. I oto stała się rzecz niezwykła: ona, która nie spała już wiele nocy pod rząd, zasnęła teraz od razu, zmęczona do ostatnich granic przeżyciami minionych dni...

Spała zaledwie kilka minut, ale zdawało się jej, że minęła całą wieczność. Zerwała się przerażona, podbiegła do drzwi i zderzyła się z wchodzącym Dowellem. Nie oszukał jej. Ledwie się powstrzymała, żeby nie krzyknąć.

— Szybciej — szepnął Dowell. — Pielęgniarka jest w zachodnim skrzydle. Chodźmy!

Wziął ją za rękę i ostrożnie poprowadził za sobą. Ich kroki zagłuszane były przez jęki i krzyki pacjentów cierpiących na bezsenność. Wreszcie skończył się bezgranicznie długi korytarz. Oto wyjście.

— W parku czuwają strażnicy, ale spróbujemy prześliznąć się obok... — wyszeptał Dowell, ciągnąc za sobą Marie w głąb ogrodu.

— Ale psy...

— Znają mnie. Przez cały czas znosiłem im resztki jedzenia. Jestem tu już od kilku dni, ale unikałem pani, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

Ogród tonął w mroku. Lecz wzdłuż muru, jak przystało na prawdziwe więzienie, jarzyły się w równych odstępach silne, rzędem ustawione latarnie.

— Tam, w te zarośla...

Młody Dowell rzucił się raptem na trawnik ciągnąc za sobą Marie. Postąpiła tak samo. Jeden ze strażników przeszedł tuż obok nich, a kiedy się oddalił, zaczęli znowu skradać się w kierunku muru.

Gdzieś w pobliżu warknął pies. Podbiegł do nich merdając ogonem: poznał Dowella, który uraczył go kawałkiem chleba.

— Widzi pani, najważniejsze mamy już za sobą. Teraz trzeba tylko przedostać się na tamtą stronę. Pomogę pani.

— A pan? — zapytała z niepokojem Marie.

— Proszę się o mnie nie martwić, dam sobie radę — odpowiedział Dowell.

— Ale co mam robić po tamtej stronie?

— Są tam moi przyjaciele. Wszystko już przygotowane. No, trochę gimnastyki.

Wsparty plecami o mur pomógł Marie wydostać się na górę.

W tym momencie jeden ze strażników zauważył dziewczynę i podniósł alarm. Nagle cały ogród przeszyły światła latarek, strażnicy zwołując się nawzajem byli już całkiem blisko.

— Proszę skakać! — rozkazał Dowell.

— A pan? — zawołała ze strachem Marie.

— Niech pani skacze! — krzyknął ostro Dowell i Marie skoczyła. Czyjeś ręce złapały ją tuż nad ziemią.

Artur podskoczył, uczepił się rękami krawędzi muru i zaczął się podciągać, ale dwóch strażników już trzymało go za nogi. Wystarczyło mu siły fizycznej, by unieść prześladowców nad

ziemią, ale palce nie wytrzymały, ześliznęły się po kamieniach, i wszyscy razem runęli na dół.

Spoza muru dobiegł odgłos zapuszczanego silnika. To przyjaciele czekali na Dowella.

— Uciekajcie! Gazu! — krzyknął co siłą, walcząc ze strażnikami.

Samochód zatrąbił i odjechał.

— Puśćcie mnie, pójdę sam — powiedział Dowell, zaprzestając oporu.

Strażnicy woleli polegać wyłącznie na sobie. Mocno trzymając go za ręce, poprowadzili w kierunku zabudowań. Przy wejściu stał Ravineau w kitlu lekarskim, z papierosem w ustach.

— Do separatki. Kaftan bezpieczeństwa! — rzucił do strażników.

Artura wprowadzono do niedużego pokoju bez okien; ściany wyłożone były materacami. Umieszczano tu furiatów na czas ataków szau. Strażnicy rzucili Dowella na podłogę. Za nimi do separatki wszedł Ravineau. Już nie palił. Pochylił się nad Dowellem i z rękami w kieszeniach kitla utkwiał w młodzieńczy wzrok przenikliwych okrągłych oczu. Dowell wytrzymał ten wzrok. Po chwili Ravineau skinął głową i strażnicy wyszli.

— Niezły z pana symulant — zwrócił się do Dowella — ale mnie trudno oszukać. Rozgryzłem pana już pierwszego dnia i wziąłem pod obserwację, ale przyznam się, że nie wiedziałem, o co panu chodzi. Drogo zapłacicie mi za ten figiel.

— Nie drożej niż pan za swoje — odparł Dowell.

Wąsy Ravineau poruszyły się jak czułki owada.

— Pan mi grozi?

— Odwzajemniam się panu — rzucił lakonicznie Dowell.

— Ze mną trudno walczyć — powiedział Ravineau. — Dawałem sobie radę nie z takimi młokosami jak pan. Poskarży się pan władzom? Nie pomoże, przyjacielu. Poza tym, nim

zjawi się tu władza, może pana już nie być. Nie zostanie po panu ani śladu. A propos, jak się pan nazywa naprawdę? Dubarry — to przecież wymysł.

— Artur Dowell, syn profesora Dowella.

Na twarzy Ravineau odmalowało się zdumienie.

— Bardzo mi przyjemnie — powiedział, pragnąc kpina zamaskować zmieszanie. — Miałem zaszczyt znać pańskiego szanownego tatusia.

— Proszę dziękować Bogu, że mam związane ręce — odpowiedział Dowell — bo inaczej miałby się pan z pyszna. I niech pan nie waży się wymieniać imienia mojego ojca, łotrze!

— Wznoszę modły dziękczynne za to, że jest pan mocno związany, w dodatku na długo, mój drogi gościu!

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Głośno zgrzytnął zamek w drzwiach. Artur został sam.

Nie martwił się zbytnio o siebie. Przyjaciele nie zostawią go i wydostaną z tego więzienia. Zdawał sobie jednak sprawę z powagi sytuacji. Ravineau doskonale rozumiał, że od wyniku pojedynku między nim a Dowellem zależy przyszłość całego „interesu”. Nie na darmo przerwał rozmowę i wyszedł z celi. Jako dobry psycholog odgadł bezbłędnie, z kim ma do czynienia, i nawet nie próbował zastosować swych inkwizytorskich metod. Z Arturem Dowellem należało walczyć nie przy pomocy psychologii i wywodów, lecz drogą zdecydowanych czynów.

MIĘDZY ŻYCIEM A ŚMIERCIA

Artur poluźnił krępujące go więzy. Było to możliwe tylko dlatego, że kiedy nakładano mu kaftan bezpieczeństwa, naumyślnie napiął wszystkie mięśnie. Zaczął wyzwalać się powoli ze swego „powijaka”. Stwierdził jednak po chwili, że

jest obserwowany: wystarczyła próba wyswobodzenia ręki, by natychmiast zgrzytnął zamek. Drzwi stanęły otworem, do pokoju weszło dwóch sanitariuszy i w parę minut później Artur został skrepowany na nowo. Tym razem kaftan bezpieczeństwa przewiązano dwoma dodatkowymi rzemieniami. Sanitariusze działali bezceremonialnie, grożąc Arturowi pobiciem, jeśli w dalszym ciągu będzie próbował się uwolnić. Dowell milczał.

Ta cela z płonąca pod sufitem żarówką nie miała okien i Artur nie wiedział, czy noc jeszcze trwa, czy też nastał ranek. Czas włókł się niemiłosiernie. Ravineau zdawał się całkiem zapomnieć o swym więźniu: nie pojawił się więcej. Artur czuł coraz większy głód i pragnienie, nikt jednak nie przyniósł mu jedzenia ani picia.

„Czyżby ten łotr chciał zamorzyć mnie głodem?” — pomyślał. Czuł się coraz gorzej, ale postanowił o nic się nie dopominać. Jeżeli Ravineau zamierza skazać go na śmierć głodową, nie ma sensu poniżać się do próśb. Nie wiedział, że poddaje próbie siłę jego woli, i ku wielkiemu rozczarowaniu swego wroga, wyszedł z tej próby zwycięsko.

Nie spał już od dłuższego czasu i teraz, nie zważając na głód i pragnienie, zasnął niespodziewanie dla samego siebie mocnym i beztruskim snem. Nie podejrzewał nawet, że sprawia tym samym doktorowi Ravineau nową przykrość. Ani rażące światło, ani efekty dźwiękowe nie robiły na Dowellu żadnego wrażenia. Wówczas Ravineau zastosował radykalne środki oddziaływania, do których uciekał się wyłącznie wtedy, gdy miał do czynienia z pacjentem o wyjątkowo silnej osobowości. W pokoju obok sanitariusze zaczęli walić drewnianymi młotkami w blachę i hałasować specjalnymi kołatkami. Ten piekielny huk budził wszystkich naokoło: nawet najbardziej odporni zrywali się na równe nogi. Ale Dowell był widocznie najodporniejszym wśród tych

odpornych. Spał słodko jak niemowlę. Ravineau nie posiadał się ze zdumienia: „Niesamowite — myślał — przecież ten człowiek wie, że jego życie wisi na włosku. Nie obudzą go chyba nawet trąby jerychońskie”.

— Dość! — krzyknął do sanitariuszy i piekielna kakofonia ucichła.

Nie wiedział, że niesamowity hałas obudził jednak Dowella, ale młody człowiek potrafił zapanować nad sobą i nie zdradził się ani jednym ruchem.

„Mogę zniszczyć go tylko fizycznie” — brzmiał wyrok Ravineau.

Artur zaś, kiedy nastąpiła cisza, zasnął ponownie i spał aż do wieczora. Obudził się świeży i wypoczęty. Głód nie dokuczał mu już tak bardzo. Leżał więc z otwartymi oczami i z uśmiechem patrzył na otwór judasza. Błysnęło tam czyjeś uważnie obserwujące oko. Chcąc rozzłościć wroga, zaczął nucić wesołą melodyjkę. Tego już było za wiele nawet dla Ravineau: po raz pierwszy w życiu poczuł, że nie może zapanować nad czyjąś wolą. Ten skrępowany, bezradnie leżący na podłodze człowiek sztychował z niego! Za drzwiami rozległo się jakieś przekleństwo, oko zniknęło.

Dowell nucił dalej piosenkę. Śpiewał coraz głośniejsze i nagle się zakrztusił. Poczucił dziwne drapanie w gardle. Wciągnął powietrze i ułowił jakiś nie znany zapach, który podrażniał błonę śluzową nosa i gardło. Wkrótce dołączył się do tego ostry ból oczu. Zapach przybierał na intensywności.

Serce Artura zamarło. Zrozumiał, że wybiła jego ostatnia godzina. Ravineau posłużył się trującym gazem — prawdopodobnie chlorem. Dowell wiedział, że nie potrafi uwolnić się z krępujących go więzów, ale tym razem instynkt samozachowawczy okazał się silniejszy od głosu rozsądku. Robił nieprawdopodobne wysiłki, żeby uwolnić się za wszelką cenę: zwijał się jak wąż, wyginał się, skręcał, tarzał się od

jednej ściany do drugiej. Ale nie krzyczał, nie błagał o litość — milczał, mocno zacisnąwszy zęby. Zamroczone świadomość już nie była w stanie kierować ciałem, które instynktownie walczyło o życie.

Potem zgasło światło i Dowell odniósł wrażenie, że spada do przepastnej, ciemnej studni...

Oprzytomniał czując chłodny wiaterek, który targał jego włosy. Z wielkim wysiłkiem spróbował otworzyć oczy: na moment mignęła przed nim czyjaś twarz podobna do twarzy Lareta, ale ten niby-Laret nie wiedzieć czemu miał na sobie mundur policjanta. Usłyszał warkot silnika. Głowa pękała z bólu. „Majaczę, ale żyję...” — pomyślał. Powieki mu znów opadły, by za chwilę otworzyć się ponownie: w oczy uderzyło jaskrawe światło dnia. Nagle usłyszał nad sobą miły kobiecy głos:

— Jak się pan czuje?

Czyjaś ręka dotknęła jego rozpalonych powiek wilgotnym tamponem z waty i Dowell zobaczył wreszcie pochyloną nad sobą Marie. Uśmiechnął się do niej, spojrzał naokoło i stwierdził, że znajduje się w tym samym pokoju, który niegdyś był sypialnią Briquet.

— To znaczy, że nie umarłem — powiedział cicho.

— Na szczęście nie, ale był pan o krok od śmierci — odpowiedziała Marie.

W pokoju obok rozległy się szybkie kroki i oczom Artura ukazał się Laret; spieszył do nich wymachując rękami i wołał:

— Słyszę rozmowę! Wreszcie ożyłeś! Dzień dobry, przyjacielu! Jak się czujesz?

— Nieźle — odrzekł Dowell i krzywiąc się z bólu dodał: — Głowa mnie boli... i piersi...

— Nie wolno ci dużo mówić — uprzedził go Laret — to może ci zaszkodzić. Ten zbir Ravineau omal cię nie udusił... Ale jakże wspaniale wyprowadziliśmy go w pole!

Wybuchnął takim śmiechem, że Marie spojrzała na niego z wyrzutem, obawiając się, by tak burzliwy przejaw radości nie zaszkodził choremu.

— Dobrze już, dobrze — uspokoił ją Laret zrozumiawszy karcące spojrzenie. — A teraz opowiem wszystko po kolei. Kiedy wykradliśmy pannę Loran i zrozumieli, że nie udało ci się pójść w jej ślady...

— Słyszeliście... jak krzyczałem? — zapytał Artur.

— Słyszeliśmy. Ale masz być cicho! No więc postanowiliśmy jak najszybciej zwijać żagle, nim Ravineau wyśle za nami pogoń. Kłopoty, których im przysporzyłeś, bardzo nam w tym pomogły i zatrzymały całą tę zgraję. Wiedzieliśmy doskonale, że czekają cię nie lada przejścia — wojna została wypowiedziana otwarcie. My, to znaczy ja i Chaube, chcieliśmy jak najprędzej przyjść ci z pomocą. Jednak najpierw trzeba było ulokować gdzieś pannę Loran, a potem dopiero obmyślić i zrealizować plan akcji ratunkowej. Nie przewidywaliśmy przecież takiego obrotu sprawy... W tej sytuacji nie pozostawało nam nic innego, jak przedostać się przez kamienny mur, a jest to, jak sam wiesz doskonale, sprawa niełatwa. Opracowaliśmy zatem następującą taktykę: ja i Chaube, przebrani w mundury policjantów, zajedziemy samochodem pod bramę i oznajmimy, że przyjechaliśmy do szpitala jako inspekcja sanitarna. Chaube zdobył nawet gdzieś odpowiednie papiery opatrzone imponującą ilością pieczęci. Mieliliśmy szczęście, że bramy akurat pilnował nie stały strażnik, tylko zwykły pielęgniarz, nie obeznany dokładnie z instrukcjami Ravineau, zalecającymi zapowiedź telefoniczną przed wpuszczeniem kogokolwiek na teren zakładu. Stanęliśmy na wysokości zadania i...

— Z tego wynika, że to nie były majaki — przerwał mu Artur.

— Przypominam sobie, że widziałem cię w mundurze i słyszałem warkot silnika samochodu.

— Racja, w samochodzie owiał cię świeży wiaterek i oprzytomniałeś na chwilę, ale potem znów straciłeś przytomność. Słuchaj dalej. Pielęgniarka otworzyła nam bramę i weszliśmy do środka. Reszta poszła dość gładko, choć może nie aż tak, jak zakładaliśmy na początku. Zażądałem, by zaprowadzono nas do gabinetu Ravineau. Ale drugi sanitariusz, do którego zwróciliśmy się z tą prośbą, okazał się człowiekiem doświadczonym. Spojrzał na nas podejrzliwie, burknął, że zamelduje o naszym przybyciu i zniknął wewnątrz budynku. Za kilka minut wyszedł stamtąd jakiś człowiek w białym kitlu, z orlim nosem i w rogowych okularach...

— Asystent Ravineau, doktor Bush.

Laret skinął głową i kontynuował swoją relację:

— Oświadczył nam, że doktor Ravineau jest zajęty i że możemy rozmawiać z nim, Bushem. Uparcie domagałem się spotkania z Ravineau. Bush powtórzył, że jest to niemożliwe, gdyż doktor znajduje się właśnie przy ciężko chorym pacjencie. Wtedy Chaube nie zastanawiając się zbyt długo, chwycił Busha za rękę, o tak — tu Laret złapał się prawą dłonią za przegub lewej ręki — i wykręcił ją w ten oto sposób. Bush krzyknął z bólu, a nam wystarczył ten moment, by wtargnąć do budynku. Do diabła, nie wiedzieliśmy, gdzie jest ten Ravineau i byliśmy w kropce. Na szczęście on sam szedł właśnie korytarzem w naszą stronę. Poznałem go, widziałem przecież tę facjatę, kiedy odwoziłem cię do kliniki jako mojego obłąkanego przyjaciela. „Czym mogę panom służyć?” — zapytał oschle. Zrozumieliśmy, że dalsze odgrywanie komedii nie ma sensu, więc zbliżyliśmy się do niego, szybko wyjęliśmy pistolety i skierowali lufy prosto w jego twarz. Ale w tym momencie Bush — któż by się spodziewał po tej łamadzie takiej odwagi! — uderzył Chaube'a w rękę; cios był tak silny i niespodziewany, że pistolet wypadł mu z dłoni, a wówczas Ravineau chwycił mnie za rękę. No i zaczęła się

piękna zabawa, której nie podejmuję się opisać. Na pomoc Ravineau i Bushowi zbiegli się ze wszystkich stron sanitariusze. Było ich wielu i oczywiście spokojnie daliby sobie z nami radę, gdyby nie zrozumiały lęk niektórych osobników na widok umundurowanych policjantów. Wiedzieli doskonale, że za stawianie oporu policji grozi surowa kara, zwłaszcza gdy jest to opór połączony z rękoczynami. Ravineau wrzeszczał na nich, zapewniając, że nasze mundury to tylko maskarada, ale zdecydowana większość tych śmiałków przybrała pozycję obserwatorów i tylko niewielu spośród nich odważyło się podnieść rękę na święty i nietykalny mundur policjanta. Drugim naszym atutem było posiadanie broni palnej, której nie mieli sanitariusze, no i w dużym stopniu zaważyła tu nasza sprawność fizyczna i desperacja. To mniej więcej wyrównywało szansę. Jeden z sanitariuszy rzucił się na Chaube'a, schylającego się właśnie po broń. Chaube natychmiast dał się poznać jako mistrz zapasów. Strząsnął napastnika z pleców i rozdając ciosy na prawo i lewo kopnął pistolet, po który wyciągnęła się czyjaś ręka. Trzeba przyznać, że walczył z niespotykanym opanowaniem. U moich ramion uwiesiło się dwóch sanitariuszy. Nie wiadomo, jak skończyłaby się ta potyczka, gdyby nie Chaube. Był wspaniały. Udało mu się jednak podnieść pistolet, i nie namyślając się długo, zrobił z niego użytek. Kilka strzałów podziało na sanitariuszy jak kubeł zimnej wody. A kiedy jeden z nich wrzasnął, łapiąc się za krwawiące ramię, pozostali natychmiast uciekli. Ale Ravineau nie ustępował. Chociaż przystawiliśmy mu pistolet do skroni, krzyknął: „Znajdzie się i u mnie broń! Jeżeli natychmiast nie wyniesiecie się stąd, każę moim ludziom strzelać!” Wtedy Chaube bez słów wykręcił mu rękę. Ten chwyt jest tak diabelnie bolesny, że nawet najgorsze bandziory ryczą jak osły i stają się potulni i posłuszni. Ravineau miał łzy w oczach,

kości mu trzeszczały, ale wciąż nie chciał się poddać. „Na co się gapicie? — krzyczał do stojących opodal sanitariuszy. — Po broń!” Kilku pobiegło widocznie po pistolety, reszta znów zaczęła nas okrążyć. Oderwałem na moment lufę od skroni Ravineau i oddałem kilka strzałów. Wszyscy stanęli jak wryci — wszyscy, prócz jednego, który z jękiem upadł na podłogę...

Laret zaczerpnął powietrza, po czym ciągnął:

— Tak, było dość gorąco. Straszliwy ból sprawiał, że Ravineau tracił siły, ale Chaube nadal wykręcał mu rękę.

Wreszcie twarz Ravineau wykrzywił grymas cierpienia, zapytał chrapliwie: „Czego chcecie?” „Natychmiastowego uwolnienia Artura Dowella” — odpowiedziałem. „Oczywiście — zgrzytając zębami rzekł Ravineau — poznałem pańską twarz. Niech pan puści moją rękę, do diabła! Zaprowadzę was do niego...” Chaube rozluźnił uścisk na tyle, by tamten mógł iść. Ravineau, prawie nieprzytomny, zaprowadził nas pod drzwi twojej celi i wskazał wzrokiem klucz. Otworzyłem drzwi i wszedłem w towarzystwie Ravineau i Chaube'a. Oczom naszym ukazał się przerażający widok: owinięty, jak niemowlę w pieluchy, skręcałeś się w agonii na podłodze; wyglądałeś niczym przekrojona na pół dżdżownica. W celi unosił się duszący zapach chloru. Chaube, nie chcąc już zawracać sobie głowy tym przeklętym doktorem, leciutko zdzielił go w szczękę — Ravineau gruchnął na podłogę jak worek. Krztusząc się, wyciągnęliśmy ciebie na korytarz i zatrzasnęli za sobą drzwi.

— A Ravineau? Czy...

— Nawet gdyby się udusił, niewielka strata. Ale myślę, że po naszym odejściu ktoś go na pewno uwolnił i ocucił. Wydostaliśmy się z tego gniazda os prawie bez przeszkód, jeśli nie liczyć ostatnich naboji zużytych w obronie przed psami... No i jesteś tutaj.

— Długo byłem nieprzytomny?

— Przez dziesięć godzin. Lekarz odszedł niedawno, kiedy przekonał się, że serce i płuca są w porządku i że nic ci już nie grozi. Tak, mój drogi — zacierając ręce powiedział Laret — czeka nas piękne widowisko. Ravineau zasiądzie na ławie oskarżonych obok profesora Kerna. Już ja im nie popuszczę!

— Ale najpierw musimy wiedzieć, co się stało z głową mojego ojca — cicho powiedział Artur.

ZDOBYTE I UTRACONE

Profesora Kerna tak ucieszył niespodziewany powrót Briquet, że nawet zapomniał o tym, że miał ją zbesztać. Zresztą nie o to mu przecież szło. John wniósł dziewczynę na rękach; bardzo cierpiała i jęczała z bólu.

— Doktorze, proszę mi wybaczyć — powiedziała, zobaczywszy Kerna. — Nie posłuchałam pana...

— I została pani ukarana — odpowiedział Kern, pomagając ułożyć ją na łóżku.

— O Boże, nawet nie zdjęłam płaszcza!

— Pani pozwoli, że pomogę.

Kern ostrożnie zdjął z Briquet płaszcz, obserwując ją przy tym uważnie. Twarz jej niezwykle odmłodziła, po zmarszczkach nie zostało śladu. „Zasługa gruczołów dokrewnych — pomyślał. — Jest młodsza za sprawą Angeliki Gay”.

Wiedział od dawna, czyje zwłoki zabrał z kostnicy owej nocy. Pilnie przeglądał gazety i uśmiechał się ironicznie na widok komunikatów o przebiegu poszukiwań „zaginionej” śpiewaczki.

— Ostrożnie... noga... — skrzywiła się Briquet, kiedy Kern odwrócił ją na drugi bok.

— Doigrała się pani! A nie mówiłem?...

Weszła pielęgniarka, starsza kobieta o tępych wyrazie twarzy.

— Proszę rozebrać pacjentkę — rozkazał Kern,

— A co z panną Loran? — zdziwiła się Briquet.

— Nie ma jej tu. Jest chora.

Kern odwrócił się, pobębnił palcami po oparciu łóżka i wyszedł z pokoju.

— Dawno pracuje pani u Kerna? — zapytała Briquet nową pielęgniarkę.

Ta w odpowiedzi wydała kilka nieartykułowanych dźwięków, pokazując na swoje usta.

„Niemowa — domyśliła się Briquet. — Nawet nie będzie z kim pogadać...”

Pielęgniarka wzięła płaszcz i wyszła. Znowu pojawił się Kern.

— Niech pani pokaże nogę.

— Dużo tańczyłam — zaczęła Briquet swoją spowiedź. — Potem ranka na stopie zaczęła się jadzić, ale nie zwróciłam na nią uwagi...

— I tańczyła pani dalej?

— Nie, to bolało. Ale przez kilka dni grałam w tenisa. Cudowna rozrywka!

Kern słuchając paplaniny Briquet uważnie oglądał jej nogę i chmurzył się coraz bardziej. Noga była spuchnięta i sina aż do kolana. Nacisnął w kilku miejscach. — Boli! — jęknęła dziewczyna.

— Ma pani dreszcze?

— Tak, od wczoraj.

— Hm... — Kern wyjął cygaro i zapalił. — Sprawa jest niewesoła. Oto do czego doprowadza brak subordynacji. Z kim pani grała w tego tenisa?

Briquet wyglądała na zmieszaną.

— Z pewnym... znajomym.

— Może opowie mi pani, co się z panią w ogóle działo od czasu tamtej ucieczki?

— Byłam u mojej przyjaciółki. Bardzo się zdziwiła, kiedy stwierdziła, że żyję. Powiedziałam jej, że strzał nie był śmiertelny i że wyleczono mnie w szpitalu.

— Nic pani nie wspomniała o mnie... i o tym, co tu widziała?

— Oczywiście, że nie — odrzekła Briquet z przekonaniem. — Byłoby dziwne, gdybym zaczęła o tym wszystkim opowiadać. Każdy wziąłby mnie za wariatkę.

Kern odetchnął z ulgą. „Jest lepiej, niż mogłem się spodziewać” — pomyślał.

— Ale co z moją nogą, profesorze?

— Obawiam się, że trzeba ją będzie amputować.

W oczach Briquet błysnęło przerażenie.

— Amputować? Moją nogę? Zrobić ze mnie kalekę?

Kern sam nie miał zbytnej ochoty na oszpecenie własnego dzieła. W dodatku demonstrowanie kaleki na sesji naukowej wypadnie bez porównania mniej efektownie niż pokazanie szanownemu audytorium tryskającego zdrowiem człowieka. Byłby szczęśliwy, gdyby udało mu się uratować nogę Briquet, ale wiedział, że jest to raczej niemożliwe.

— Może dałoby się zmienić tę nogę na inną?

— Niech się pani nie martwi, zaczekamy do jutra. Jeszcze panią odwiedzę — powiedział Kern i wyszedł.

Zmieniła go niema pielęgniarka. Przyniosła filiżankę bulionu i grzanki. Briquet nie miała apetytu, czuła silne dreszcze i nie zważając na uporczywe mimiczne namowy pielęgniarki, nie była w stanie zjeść więcej niż dwie łyżki.

— Proszę to zabrać, już nie mogę...

Pielęgniarka wyszła. — Najpierw należało zmierzyć temperaturę — usłyszała Briquet dobiegający z pokoju obok głos Kerna. — Zapomina pani o tak podstawowych rzeczach? Powtarzałem tyle razy...

Pielęgniarka zjawiała się ponownie i podała Briquet termometr, który ta wzięła posłusznie. A kiedy wyjęła go i spojrzała na skalę, zobaczyła, że wskazuje trzydzieści dziewięć stopni.

Pielęgniarka zanotowała temperaturę i usiadła przy łóżku.

Briquet, nie mając ochoty na przyglądanie się tępej i beznamiętnej twarzy tej kobiety, odwróciła się do ściany. Nawet tak minimalny ruch spowodował silny ból w nodze i podbrzuszu. Jęcząc zamknęła oczy. Pomyślała w tej chwili o Armandzie: „Mój kochany, kiedy cię znów zobaczę?...”

O dziewiątej wzmogły się dreszcze, chora zaczęła majaczyć. Miała wrażenie, że znajduje się w kajucie jachtu. Fale są coraz większe, jacht przechyla się z jednej burty na drugą, gardło ściska skurcz mdłości... Laret rzuca się na nią i zaczyna ją dusić. Krzyczy więc i miota się po łóżku... Coś mokrego i zimnego dotyka jej czoła i serca. Koszmary znikają...

Teraz jest razem z Laretem na korcie tenisowym. Zza ogrodzenia połyskuje błękit morza. Słońce grzeje niemiłosiernie, głowa boli, wszystko wiruje przed oczami. „Gdyby nie ten ból głowy... I to okropne słońce!... Ale nie przepuszczę tej piłki...” Z napięciem obserwuje ruchy Lareta, który podnosi raketę. „Serw!” — krzyczy Armand, pokazując zęby w uśmiechu, i błyskawicznie serwuje. „Aut!” — woła radośnie Briquet, ciesząc się z błędu Lareta.

— Ciągle gra pani w tenisa? — słyszy czyjś nieprzyjemny głos i otwiera oczy. Widzi pochylonego nad sobą Kerna, który trzyma ją za rękę i sprawdza tętno. Potem ogląda jej nogę i z dezaprobatą kiwa głową.

— Która godzina? — pyta z trudem Briquet.

— Druga w nocy. Powiem pani coś, droga tancereczko. Niestety, trzeba będzie amputować nogę.

— To znaczy uciąć?

— Tak.

— Kiedy?

— Natychmiast. Nie można zwlekać ani chwili, bo zacznie się ogólne zakażenie krwi.

Briquet nie może pozbierać myśli. Jak przez sen słyszy głos Kerna i z trudem pojmuje jego słowa.

— Dużo uciąć? — pyta tonem prawie obojętnym. — Tyle — Kern robi szybki ruch brzegiem dłoni po nodze tuż przy pachwinie. Od tego gestu lodowacieje jej cały brzuch i natychmiast wraca świadomość.

— Nie, nie! — woła przerażona. — Nie pozwolę! Nie chcę!

— A umrzeć pani chce? — spokojnie pyta Kern.

— Nie.

— To proszę wybierać jedno z dwojga.

— Co będzie z Laretem? Przecież mnie kocha... — bełkocze Briquet, — Chcę żyć i być zdrowa. A pan zabierze mi wszystko. Boję się pana! Ratunku! Ratujcie mnie!

Raz po raz zaczynała bredzić i krzyczeć, usiłowała zejść z łóżka... Pielęgniarka nie dawała sobie z nią rady. Wkrótce zawołano na pomoc Johna.

Tymczasem Kern w pokoju obok błyskawicznie przygotowywał się do operacji.

Punktualnie o drugiej w nocy Briquet znalazła się na stole operacyjnym. Odzyskała przytomność i bez słowa patrzyła na Kerna oczami ofiary, obserwującej ruchy kata.

— Zlitujcie się... — wyszeptała w końcu. — Ratunku...

Maska zakryła jej twarz. Pielęgniarka pilnowała tętna, a John coraz szczelniej dociskał maskę. Briquet straciła przytomność.

Ocknęła się w łóżku. Mdliło ją, w głowie jeszcze szumiało. Mętne wspomnienie operacji kazało jej, nie zważając na ogromną słabość, unieść głowę i spojrzeć na nogi. Zdumiona cicho jęknęła — noga obcięta powyżej kolana była mocno ściśnięta bandażem. Kern dotrzymał słowa: zrobił wszystko, co było w jego mocy, by ją w jak najmniejszym stopniu

okaleczyć. Poszedł na wielkie ryzyko i dokonał takiej amputacji, która pozwalała na zastosowanie protezy.

Nazajutrz po operacji Briquet czuła się całkiem nieźle, chociaż gorączka nie chciała ustąpić, co poważnie niepokoiło Kerna. Zaglądał do pacjentki co godzinę i badał zoperowaną nogę.

— Co ja teraz zrobię bez nogi? - martwiła się Briquet.

— Wszystko będzie dobrze, dam pani nową nogę, lepszą niż poprzednia — pocieszał ją Kern. — Będzie pani tańczyć. — Ale w miarę upływu czasu posepniał coraz bardziej: noga powyżej cięcia spuchła i poczerwieniała.

Wieczorem gorączka podniosła się; Briquet zaczęła się miotać i majaczyć. O jedenastej temperatura podskoczyła do czterdziestu i sześciu dziesiątych stopnia.

Kern zaklął siarczyście: zrozumiał, że to ogólne zakażenie krwi. Skoro nie ma mowy o uratowaniu całego eksponatu, trzeba ocalić przynajmniej jego część. „Gdyby wyplukać naczynia krwionośne najpierw roztworem aseptycznym, a potem fizjologicznym i przetoczyć świeżą, zdrową krew, dałoby się na pewno uratować głowę” — rozważał.

Polecił więc, by znów przeniesiono Briquet do sali operacyjnej.

Nieprzytomna dziewczyna nawet nie poczuła, jak ostry skalpel szybko naciął skórę na jej szyi powyżej czerwonych blizn, które pozostały po pierwszej operacji. Tym zdecydowanym ruchem Kern nie tylko ponownie pozbawił ją pięknego, młodego ciała: w tym momencie traciła cały świat, wszystkie nadzieje i marzenia, którymi żyła ostatnio.

TOM UMIERA PO RAZ DRUGI

Tom z dnia na dzień wyglądał coraz gorzej. Nie dla niego było to życie ograniczone wyłącznie do sfery świadomości. Żeby

czuć się dobrze, musiał pracować, dźwigać ciężary, wprawiać w ruch wszystkie mięśnie, potem jeść i mocno spać.

Często zamykał oczy i wyobrażał sobie, że oto napina mięśnie pleców, przenosząc ciężkie worki. Wydawało mu się, że czuje każde ścięgno. Wizja była na tyle realna, że otwierał oczy, by spojrzeć na swoje ręce, nogi i tors. Ale miał pod sobą wciąż ten sam szklany blat stolika. Zgrzytał więc zębami i czym prędzej zamykał powieki.

Marząc o chwili zapomnienia wspominał rodzinną wieś. Natychmiast jednak widział jak na jawie swoją narzeczoną, którą utracił na zawsze. Nieraz już prosił Kerna o przywrócenie mu normalnego życia, na co tamten odpowiadał z uśmiechem:

— Nie znalazłem jeszcze odpowiedniego dawcy, nie gorączkuj się.

— Wszystko mi jedno, może być nawet byle jakie ciało — błagał Tom: tak bardzo pragnął żyć jak człowiek.

— Zginiesz z byle jakim — mówił Kern.

Tom czekał, dni upływały, a jego głowa wciąż sterczała na wysokim stoliku.

Szczególnie nużące były bezsenne noce, pełne zwidów i halucynacji. Pokój zaczynał wirować, opadała mgła, z której wyłaniał się nagle koński łeb. Wschodziło słońce, po podwórku biegał pies, dreptały kury... Potem nie wiadomo skąd, pojawiała się przeraźliwie wyjąca ciężarówka, która pędziła wprost na Toma. Ten koszmar powtarzał się nieskończoną ilość razy i tyleż razy Tom przeżywał własną śmierć.

Chcąc uwolnić się od tych wizji, poruszał ustami — wydawało mu się, że śpiewa — albo liczył.

Pewnego dnia wynalazł sobie zabawę. Usiłował powstrzymać wydobywający się z ust strumień powietrza,

później gwałtownie rozchyłał wargi i powietrze z cichym świstem wyrywało się z gardła.

Polubił tę nową rozrywkę. Zatrzymywał powietrze, dopóki samo nie zaczynało uchodzić z ust. A jeśli przy tym poruszał językiem, wydawał bardzo zabawne dźwięki. Ciekawe, ile sekund można wytrzymać bez oddechu? Tom zaczął liczyć. Pięć, sześć, siedem, osiem... „S-s-s...” — powietrze wyleciało. Jeszcze raz... Żeby dobić do dwunastu... Raz, dwa, trzy... sześć, siedem... dziesięć, jedenaście, dwa...

Naraz sprężone powietrze tak mocno uderzyło go w podniebienie, że poczuł, jak jego głowa lekko uniosła się nad podstawką.

„Oho, w ten sposób mogę raz-dwa spaść ze swojej grędy” — pomyślał.

Zerknął w dół i zobaczył krew rozplływającą się po szklanym blacie stolika. Zaczynała już kapać na podłogę. Widocznie kiedy mocny strumień powietrza uniósł głowę nad blatem, poluzowały się rurki wprowadzone do naczyń krwionośnych szyi. Toma ogarnął strach. Czyżby koniec? Rzeczywiście, poczuł, że traci przytomność, do tego doszły duszności: krew niosąca ze sobą życiodajny tlen docierała do mózgu w zmniejszonych ilościach. Widział ją, widział, jak cieknie po stoliku, a kontury otaczających go przedmiotów zamazywały się coraz bardziej... Nie chciał umierać! Resztkami świadomości kurczowo chwycił się życia. Żyć za wszelką cenę! Doczekać obiecanej przez Kerna operacji...

Napinając mięśnie szyi i kiwając się na wszystkie strony, usiłował przywrócić swej głowie dawną pozycję. Ale wskutek tych nieudolnych zabiegów szklane końcówki rurek całkiem wypadły z naczyń krwionośnych. Pogorszył tylko sytuację. Wraz z ostatnim przebłyskiem świadomości zaczął krzyczeć tak, jak nigdy do tej pory nie krzyczał. Przynajmniej tak mu się zdawało... W rzeczywistości rzeźił w agonii.

Dziwne odgłosy obudziły czujnie śpiącego Johna. Kiedy wbiegł do pokoju, Tom już ledwie poruszał ustami. John pomógł mu tak, jak potrafił: ustawił prawidłowo głowę na stoliku, wprowadził głębiej rurki i starannie wytarł krew, żeby profesor Kern nie zauważył śladów nocnego incydentu.

Nazajutrz głowa Briquet już tkwiła na swym poprzednim miejscu. Kern krzątał się przy niej usiłując przywrócić swej pacjentce przytomność.

„Przepłukał” naczynia krwionośne usuwając z nich resztki skażonej krwi i puścił strumień świeżej, nagrzanej do temperatury trzydziestu siedmiu stopni Celsjusza. Na twarzy dziewczyny wystąpił lekki rumieniec. Za kilka minut otworzyła oczy i nie bardzo wiedząc, co się z nią dzieje, utkwiała wzrok w Kernie. Potem z wyraźnym wysiłkiem spojrzała w dół i skamieniała,

— Moje ciało... — rozległ się cichy syczący szept: po operacji struny głosowe uległy znacznemu skróceniu. Z oczu Briquet trysnęły łzy.

„Doskonale — pomyślał Kern — naczynia wypełniają się szybko, jeśli tylko te łzy nie stanowią resztek zawartości kanalików łzowych. Nie należy jednak tracić drogocennych płynów na byle płacz.”

— Proszę nie martwić się i nie płakać, panno Briquet. Została pani surowo ukarana za nieposłuszeństwo. Za kilka dni będzie pani miała nowe ciało, jeszcze lepsze; proszę tylko o odrobinę cierpliwości.

Zostawił ją i podszedł do Toma.

— No, jak się ma nasz farmer?

Nagle spowaźniał i nachylił się nad Tomem, który wyglądał dziś wyjątkowo źle: ziemista cera, otwarte usta... Kern obejrzał rurki i jak furiat zwymyślał Johna.

— Myślałem, że Tom śpi — tłumaczył się tamten.

— To ty zaspaeś, ośle jeden!

Kern zaczął krzątać się wokół Toma.

— Jakie to potworne!... — syczała Briquet. — Umarł, a ja się tak boję nieboszczyków... i śmierci... Dlaczego Tom umarł?

— Zamknij jej dopływ powietrza! — gniewnie rozkazał Kern. Briquet urwała w połowie zdania, ale nadal błagalnie i ze strachem patrzyła pielęgniarce w oczy, bezsilnie poruszając ustami.

— Jeśli w ciągu dwudziestu minut nie wrócą oznaki życia, pozostaje tylko wyrzucić ten arbuz na śmietnik — powiedział Kern.

Upłynął kwadrans. Wargi i powieki Toma drgnęły, ale spojrzenie miał nadal tępe i bezmyślne. Po upływie następnych dwóch minut z ust wydobyło się kilka bezładnych dźwięków. Kern już święcił tryumf, kiedy Tom znów zamilkł. Ani jeden nerw nie drgnął na jego twarzy.

Kern spojrział na termometr.

— Temperatura spadła do minimum... Koniec!

Zirytowany, zapomniawszy o obecności Briquet, chwycił głowę Toma za bujną czuprynę, zerwał ją ze stolika i wrzucił do dużej metalowej miednicy.

— Zanieście to do lodówki... Trzeba będzie zrobić sekcję.

Murzyn szybko wyszedł niosąc przed sobą miednicę.

Briquet patrzyła na to wszystko błędnym z przerażenia wzrokiem.

W gabinecie zadzwonił telefon. Kern z wściekłością rzucił na podłogę cygaro, które właśnie chciał zapalić, i trzasnąwszy drzwiami poszedł do siebie.

Dzwonił Ravineau. Pytał, czy Kern otrzymał już jego list wysłany przez posłańca.

Profesor zszedł na dół i osobiście wyjął list z wiszącej na drzwiach skrzynki. Wracając na górę z niecierpliwością rozdarł kopertę i zaczął czytać. Ravineau pisał, że Artur

Dowell symulując chorobę przedostał się do jego kliniki, uprowadził Marie Loran, po czym sam również uciekł.

Kern potknął się o stopień i z trudem utrzymał równowagę.

— Artur Dowell! Syn profesora! A więc jest tutaj i, oczywiście, wie o wszystkim...

Kern uświadomił sobie, że teraz będzie miał do czynienia z nowym, bezlitosnym wrogiem. W gabinecie spalił list i zaczął przemierzać pokój, obmyślając plan działania. Unicestwić głowę profesora Dowella? Na to zawsze jest czas, wystarczy jedna minuta... Stary Dowell jest mu jeszcze potrzebny. Należy jednak koniecznie poczynić jakieś kroki, żeby ten dowód nie dostał się w niepowołane ręce. Trzeba się liczyć z możliwością rewizji, wtargnięcia do domu osób postronnych. Co jeszcze? Koniecznie przyspieszyć planowany odczyt z pokazem głowy Briquet i wykorzystać przywilej zwycięzcy. Cokolwiek powiedzą Artur Dowell i Marie Loran, będzie miał ułatwioną sytuację w chwili, kiedy jego nazwisko będzie otaczała aureola ogólnego uznania i szacunku.

Podniósł słuchawkę, zadzwonił do sekretarza towarzystwa naukowego i umówił się z nim na spotkanie w celu omówienia spraw związanych z organizacją posiedzenia, na którym on, Kern, ma zamiar zademonstrować wyniki swych najnowszych badań. Następnie zadzwonił do redakcji ważniejszych czasopism z prośbą o przysłanie reporterów, którym chce udzielić wywiadu.

„Trzeba postarać się o nadanie rozgłosu wielkim odkryciom profesora Kerna... Pokaz można będzie urządzić za jakieś trzy dni, kiedy Briquet opamięta się co nieco i pogodzi ostatecznie z utratą ciała... No, a teraz...”

Poszedł do laboratorium, pogrzebał w szafkach, wyjął strzykawkę, palnik, wziął trochę waty oraz pudełeczko z etykietką „Parafina” i udał się do profesora Dowella.

SPISKOWCY

Domek Lareta zamienił się w główną kwaterę „spiskowców”: Artura Dowella, Lareta, Chaube'a i Marie Loran. Walne zebranie zdecydowało, że powrót Marie do domu jest niemożliwy, ponieważ może okazać się niebezpieczny.

Jednak Marie chciała czym prędzej zobaczyć się z matką, toteż Laret pojechał po panią Loran i przywiózł ją do swojego domu.

Staruszka widząc córkę całą i zdrową omal nie zemdląła z radości; Laret zmuszony był ująć ją za łokcie i posadzić w fotelu.

Matka z córką rozlokowały się w dwóch pokojach drugiego piętra. Jedną tylko rzecz smuciła bliską szczęścia panią Loran: Artur Dowell, „wybawca” jej córki, wciąż jeszcze nie wstawał z łóżka. Na szczęście niezbyt długo pozostawał pod wpływem trującego gazu; wyjątkowo mocny organizm sprawił, że szybko powracał do zdrowia.

Marie i jej matka zmieniały się przy łóżku chorego. Obie bardzo zaprzyjaźniły się z Arturem, a Marie opiekowała się nim ze szczególną troskliwością — z całego serca współczując jego ojcu, część tych uczuć przeniosła na syna. Przynajmniej tak jej się zdawało. W rzeczywistości nie była to jedyna przyczyna, która zmuszała ją do niechętnego ustępowania miejsca matce w czasie dyżurów. Artur Dowell był pierwszym mężczyzną, który zawładnął jej dziewczęcą wyobraźnią. Poznali się w romantycznych okolicznościach — jak średniowieczny rycerz porwał ją ze strasznego domu Ravineau. Niesamowity los jego ojca wycisnął również na nim piętno tragizmu. Walory osobiste Artura — męstwo, młodość i siła — dopełniały obrazu, którego urokowi trudno było nie ulec.

Artur Dowell witał Marie nie mniej czułym spojrzeniem. Trochę lepiej orientował się w swych uczuciach i nie ukrywał przed samym sobą, że ta czułość nie wynika z samego tylko uczucia wdzięczności, które chory żywi do swej troskliwej pielęgniarki.

Ta wymiana spojrzeń została wkrótce dostrzeżona. Matka Marie udawała, że niczego nie zauważa, ale najwyraźniej zaaprobowała wybór córki. Chaube, zafascynowany sportem i traktujący kobiety z lekką pogardą, w głębi duszy żałował Artura i obserwował przebieg zdarzeń z ironicznym uśmiechem. Laret natomiast ciężko wzdychał na widok rozkwitu cudzego szczęścia; mimo woli przypominał sobie piękną postać Angeliki — postać, której twarz ostatnimi czasy coraz częściej miała rysy Briquet. Sam niejednokrotnie wyrzucał sobie tę „zdradę”, ale uważał, że usprawiedliwia go zasada skojarzeń, która odegrała w tym przypadku ogromną rolę.

Artur Dowell nie mógł doczekać się dnia, w którym lekarz pozwoli mu wstać. Na razie nie wolno mu było ruszyć się z łóżka; mógł rozmawiać, ale najbliższe otoczenie miało nie zamęczać go zbyt rozmowami. Chcąc nie chcąc ograniczył się zatem do roli, jaką pełni przewodniczący zebrania, który wysłuchuje dyskutantów i tylko lakonicznie oponuje lub rozstrzyga sporne kwestie.

Dyskusje bywały niekiedy dość burzliwe. Szczególnie często słychać było podniecone głosy Chaube'a i Lareta. Co robić z Kernem i Ravineau? Chaube z niewiadomych przyczyn upodobał sobie Ravineau i opracowywał rozmaite plany napadu na jego klinikę.

— Nie zdążyliśmy dobić tego psa, ale musimy zrobić to koniecznie. Każdy jego oddech zatruwa powietrze! Uspokoję się dopiero wtedy, gdy uduszę go własnymi rękami. Mówisz — zwracał się żarliwie do Dowella — że lepiej zostawić te

sprawy sądowi i organom ścigania. Ale przecież Ravineau sam mówił, że władze są przekupione.

— Miejscowe — wtrącił Dowell.

— Czekaj, czekaj — włączył się do rozmowy Laret. — Nie mów tyle Ty, Chaube, też gadasz nie na temat. Z Ravineau zdążymy się policzyć. Najważniejszym naszym celem powinno być zdemaskowanie Kerna i odnalezienie głowy profesora Dowella. Musimy za wszelką cenę dostać się do Kerna.

— Ale jak się tam dostaniecie? — spytał Artur.

— Jak? Tak jak to robią złodzieje i włamywacze.

— Nie jesteś włamywaczem. To wcale nie taka prosta sprawa. Laret zamyślił się, potem uderzył dłonią w czoło.

— Zaprosimy Jeana na gościnny występ. Briquet wyjawiała mi po przyjacielsku tajemnicę jego zawodu. Będzie zaszczycony! Przynajmniej raz w życiu włamie się do czyjś mieszkania z innych niż zazwyczaj pobudek.

— Jeżeli jednak jest materialistą?

— Zapłacimy mu. Może tylko utorować nam drogę i zniknąć ze sceny, nim zadzwonimy po policję, bo tego nie omieszkamy uczynić.

W tym miejscu Artur nieco ostudził jego zapał. Cicho, powoli zaczął mówić:

— Myślę, że w tym wypadku na nic się zda cała ta romantyka. Najprawdopodobniej Ravineau zawiadomił już Kerna o moim przybyciu do Paryża i udziale w porwaniu panny Loran. Nie ma więc sensu, bym dłużej zachowywał incognito. To po pierwsze. Dalej, jestem synem... zmarłego profesora Dowella, zatem mam prawo do wszczęcia dochodzenia, mogę zażądać interwencji, rewizji...

— Znów sądy — machnął beznadziejnie ręką Laret. — Zaplatasz się w kruczkach prawniczych i Kern wywinie się nam jak węgorz.

Artur rozkaszał się i skrzywił, czując ból w piersi.

— Za dużo pan mówi — zaniepokoiła się siedząca obok łóżka troskliwa pani Loran.

— To nic — odpowiedział, pocierając dłonią klatkę piersiową.

— Zaraz mi przejdzie.

W tym momencie do pokoju wbiegła wzburzona Marie.

— Proszę, niech pan czyta — rzekła podając Dowellowi gazetę.

Na pierwszej stronie widniał wydrukowany dużymi literami tytuł:

SENSACYJNE ODKRYCIE PROFESORA KERNA

Pod spodem zaś mniejszą czcionką:

Pokaz reanimowanej ludzkiej głowy

W notatce prasowej podawano, że jutro wieczorem w towarzystwie naukowym profesor Kern wystąpi z odczytem, któremu będzie towarzyszyć pokaz ożywionej głowy ludzkiej. Dalej informowano o historii badań naukowych Kerna, podawano listę jego publikacji i błyskotliwie wykonanych zabiegów.

Niżej drukowano artykuł autorstwa samego Kerna; profesor podawał w nim ogólny zarys przebiegu swych doświadczeń nad reanimacją głów — najpierw psich, potem ludzkich.

Marie z napięciem obserwowała wyraz twarzy Artura Dowella i śledziła jego spojrzenie przenoszące się z linijki na linijkę. Zachowywał zewnętrzny spokój, tylko przy końcu lektury przez jego twarz przemknął cień bolesnego uśmiechu.

— Czy to nie oburzające? — zawołała Marie, kiedy Artur bez słowa oddał jej gazetę. — Ten nędznik ani jednym słowem nie wspomniał o roli pańskiego ojca w całym tym „sensacyjnym odkryciu”. O nie, ja tego tak nie zostawię! — Policzki Marie płonęły rumieńcem. — Za to, co uczynił ze mną, z pańskim ojcem, z tymi biednymi ludźmi, których głowy wskrzesił, skazując je na piekło bezcielesnej wegetacji — za to wszystko

musi być ukarany! Powinien odpowiedzieć nie tylko wobec sądu, ale i wobec społeczeństwa. Byłoby niesprawiedliwością pozwolić mu choćby na chwilę tryumfu.

— Co pani zamierza? — cicho zapytał Artur.

— Zdemaskować go! — żarliwie odrzekła Marie. — Zjawić się na posiedzeniu i na forum publicznym rzucić mu w twarz, że jest mordercą, złodziejem, przestępcą...

Pani Loran zaniepokoiła się nie na żarty. Dopiero w tej chwili zrozumiała, jak bardzo ucierpiały nerwy jej córki. Po raz pierwszy widziała swą łagodną, powściągliwą Marie w stanie takiego podniecenia. Próbowwała ją uspokoić, ale dziewczyna zdawała się nie zauważać tego, co się dzieje wokół, płonąc oburzeniem i żądzą zemsty. Laret i Chaube patrzyli na nią ze zdziwieniem. Prześcignęła ich pod względem zapalczywości i nieposkromionego gniewu. Matka rzuciła Arturowi błagalne spojrzenie. Zrozumiał, co ma na myśli, i powiedział:

— Pani decyzja, panno Loran, niezależnie od wzniosłych uczuć, które panią kierują, jest nierozsąd...

Ale Marie przerwała:

— Czasem brak rozsądku przewyższa mądrość. Niech pan nie sądzi, że chcę wystąpić w roli bohaterskiej demaskatorki. Po prostu inaczej nie mogę. Żąda tego moje sumienie.

— Ale cóż pani osiągnie w ten sposób? Czy nie można powiedzieć tego samego sędziemu śledczemu?

— Nie, chcę, żeby Kern został publicznie zhańbiony! Buduje swoją sławę na nieszczęściu, przestępstwach i morderstwach! Jutro zamierza zebrać laury. Powinien otrzymać takie, na jakie zasłużył.

— Jestem temu przeciwny, panno Loran — powiedział Dowell, obawiając się, że tego rodzaju posunięcie może do reszty zrujnować jej nerwy.

— Szkoda — odpowiedziała Marie. — Ale ja nie odstąpię od swego zamiaru, nawet gdyby cały świat okazał się sprzysiężony przeciwko mnie. Jeszcze mnie nie znacie!

Artur uśmiechnął się. Ta młodzieńcza żarliwość spodobała mu się bardzo, a Marie z zaróżowioną buzią podobała mu się jeszcze bardziej.

— Ależ to jest szaleństwo — zaczął znowu. — Naraża się pani na ogromne ryzyko...

— Będziemy jej bronić — zawołał Laret i podniósł rękę z wyimaginowaną szpadą, jakby miał wymierzyć przeciwnikowi cios.

— Tak, będziemy jej bronić — Chaube potrząsając pięścią podtrzymał przyjaciela.

Widząc takie poparcie Marie spojrzała na Artura z wyrzutem.

— W takim razie ja również będę pani towarzyszyć — powiedział.

Oczy dziewczyny zapłonęły radośnie, ale po chwili na jej twarzy pojawiła się troska.

— Nie wolno panu... jest pan jeszcze chory.

— Jednak pójdę.

— Ale...

— I nie odstąpię, choćby cały świat był przeciwko mnie! Jeszcze mnie nie znacie — powtórzył jej słowa z uśmiechem.

NIEDOSZŁY TRYUMF

W dniu swojego odczytu Kern ze szczególną dokładnością obejrzał głowę Briquet.

— Niech pani posłucha — powiedział do niej po skończonych oględzinach. — Dziś o ósmej wieczorem zawieziemy panią na zebranie. Będzie dość liczne audytorium i chcę, żeby pani powiedziała kilka słów. Proszę zwięźle odpowiadać tylko na

zadawane pytania i nie wygadywać zbędnych rzeczy. Zrozumiała pani?

Otworzył zawór powietrzny i Briquet wysyczała:

— Zrozumiałam, ale chciałabym... pozwoli pan...

Kern wyszedł, nie wysłuchawszy jej do końca.

Coraz bardziej się denerwował. Miał przed sobą niełatwe zadanie — dostarczyć głowę Briquet do sali, w której odbędzie się posiedzenie. Najmniejszy wstrząs mógł okazać się fatalny w skutkach. Przygotowano specjalny samochód; stół, na którym znajdowała się głowa, wraz z całym oprzyrządowaniem umieszczono na platformie wyposażonej w kółka do poruszania się po równej nawierzchni oraz w uchwyty do przenoszenia go po schodach. Nareszcie wszystko było gotowe. O siódmej wieczorem Kern wyruszył w drogę.

...Olbrzymią białą salę zalewało jaskrawe światło. Na parterze przeważały lśniące łysiny i srebrna siwizna luminarzy nauki, wystrojonych w surduty i czarne fraki. Tu i ówdzie błyskały szkła okularów. Łoże i amfiteatr udostępniono elicie związanej w ten czy inny sposób ze światem nauki.

Wytworne suknie dam i blask zdobiących je brylantów przywodziły na myśl salę koncertową podczas występów znakomitości o światowej renomie. Widownię wypełniał ściszony gwar; audytorium z zapartym tchem oczekiwało rozpoczęcia pokazu.

Przed estradą, jak rozbiegane mrówki, kręcili się obok swych stolików korespondenci, pilnie strugając ołówki do stenografowania.

Z prawej strony ustawiono w rzędzie kilka kamer filmowych, których zadaniem było utrwalenie każdego szczegółu niezwyklej imprezy. Na estradzie, zgodnie z tradycją, zasiadało szanowne prezydium złożone z najznakomitszych naukowców. Pośrodku wznosiła się katedra, na niej zamontowany był mikrofon przekazujący całemu światu

słowa, które miały tu paść. Drugi mikrofon umieszczono przed stolikiem Briquet, ustawionym po prawej stronie na niewysokim podium. Dyskretny makijaż nadawał twarzy Briquet świeży i sympatyczny wygląd, łagodząc nieprzyjemne wrażenie, jakie mógł wyrzeć na nie przygotowanych widzach tak niecodzienny eksponat. Pielęgniarka i John stali po obu stronach stolika.

Marie Loran, Artur Dowell, Chaube i Laret siedzieli w pierwszym rzędzie, dwa kroki od podwyższenia, na którym stała katedra. Jeden tylko Chaube, przez nikogo jeszcze nie „rozszyfrowany”, wyglądał tak jak zazwyczaj. Marie zjawiała się w kapeluszu i wieczorowej sukni. Siedziała z nisko spuszczoną głową, przysłoniwszy twarz rondem kapelusza, tak żeby Kern nie mógł jej przypadkiem rozpoznać. Artur Dowell i Laret mieli przyklejone czarne brody i wąsy; resztę uzupełniała mistrzowska charakterystyka. Dla większej konspiracji postanowili udawać, że nie znają się nawzajem. Siedzieli w milczeniu, spoglądając na sąsiadów bez zbytniego zainteresowania. Laret był szczególnie przygnębiony: na widok Briquet omal nie stracił przytomności.

Punktualnie o ósmej na katedrze pojawił się profesor Kern, bledszy niż zazwyczaj, ale pełen godności.

Zebrani przywitali go burzą oklasków.

Zaterkotała kamera, w mrowisku korespondentów wszczął się ruch. Profesor Kern rozpoczął odczyt o „swoich” wielkich odkryciach.

Była to błyskotliwa i zręcznie ułożona oracja. Nie zabrakło w niej kilku słów na temat bardzo cennych wstępnych prac przedwcześnie zmarłego profesora Dowella. Ale, składając tym samym hołd poprzednikowi, Kern nie zapominał bynajmniej o swoich „skromnych zasługach”. Słuchacze nie powinni mieć cienia wątpliwości, że właściwie cały splendor

płynący z wiekopomnego odkrycia należy się tylko jemu, Kernowi.

Odczyt w kilku miejscach przerywano oklaskami. Pince-nez i lornetki dam skierowane były na Kerna, binokle i monokle panów z równym zainteresowaniem obserwowały eksponat — głowę Briquet z wymuszonym uśmiechem na twarzy.

Na znak profesora pielęgniarzka otworzyła zawór. Teraz Briquet mogła przemówić.

— Jak się pani czuje? — zapytał staruszek-uczony.

— Dziękuję, świetnie.

Briquet mówiła niewyraźnie i ochryple; puszczonej mocno strumień powietrza nieprzyjemnie syczał, dźwięk był prawie pozbawiony modulacji, niemniej słowa te wywołały na sali wielkie poruszenie. Takie burze oklasków zdarzały się nieczęsto nawet podczas występów najslawniejszych artystów. Lecz Briquet, dla której tak wiele znaczył kiedyś aplauz widzów, towarzyszący jej występom w małych kabaretach, tym razem tylko opuściła zmęczone powieki.

Marie czuła się coraz bardziej zdenerwowana. Przeszywały ją takie dreszcze, że musiała mocno zaciskać zęby. „Już” — mówiła sobie kilkakrotnie, ale za każdym razem nie mogła się zdecydować. Otoczenie działało na nią przygnębiająco. Po każdej nie wykorzystanej okazji pocieszała się myślą, że im wyżej wzbije się Kern, tym dotkliwszy będzie jego upadek.

Zaczęły się przemówienia.

Na katedrze stanął siwy staruszek, Jeden z wybitniejszych naukowców kraju. Słabym, załamującym się głosem mówił o genialnym odkryciu profesora Kerna, o wszechmocnej nauce, o zwycięstwie nad śmiercią, o rozkoszy obcowania z umysłami, które składają ludzkości w darze wielkie osiągnięcia naukowe.

I właśnie w tym najmniej oczekiwanym momencie huragan długo powstrzymywanej nienawiści i gniewu uniósł

dziewczynę. Straciła panowanie nad sobą i zerwała się z miejsca.

Podbiegła do katedry, omal nie przewróciła ogłupiałego staruszka, prawie że wypchnęła go z zajmowanego miejsca i niczym prześladowana mordercą furia, ze śmiertelnie pobladłą twarzą, gorączkowym błyskiem w oczach, załamującym się głosem rozpoczęła swą płomienną, chaotyczną mowę.

Na sali widać było poruszenie.

W pierwszej chwili Kern był zaskoczony, nawet odruchowo wyciągnął dłoń w kierunku Marie, jakby chcąc powstrzymać dziewczynę. Potem szybko odwrócił się do Johna i szepnął mu do ucha kilka słów. John wymknął się niepostrzeżenie, a w panującym na sali ogólnym zamięcie nikt tego nie zauważył.

— Nie wierzcie mu! — wołała Marie wskazując Kerna. — To złodziej i morderca! Przywłaszczył sobie osiągnięcia profesora Dowella! Zabił go! Do dziś wykorzystuje pracę jego mózgu. Torturuje i zmusza do pracy, którą potem przedstawia jako własną... Sam Dowell mówił mi, że Kern go otruł...

Zamieszanie wśród widzów przybierało już postać paniki. Wiele osób zerwało się z miejsc, niektórzy korespondenci wypuścili ołówki z rąk i zastygli oszołomieni. Tylko operator z całej siły kręcił korbą kamery filmowej, rozentuzjzmowany nieoczekiwanym wydarzeniem, które zapewniało powodzenie sensacyjnym kadrom.

Kern zdążył się już opanować całkowicie. Stał spokojnie z protekcyjnym uśmiechem na twarzy. Doczekawszy się momentu, kiedy gardło Marie ścisnął spazm, wykorzystał tę chwilę ciszy, by rozkazać stojącej w drzwiach sali służbie porządkowej:

— Proszę ją wyprowadzić! Nie widzicie, że ma atak szału?

Kilka osób ze służby zerwało się z miejsc, ale nim dotarli do katedry, Laret, Chaube i Dowell zdążyli podbiec i

wyprowadzić Marie na korytarz. Kern pożegnał ich nieufnym spojrzeniem.

W foyer dziewczynę usiłowała zatrzymać policja, lecz młodzi ludzie zdołali wyprowadzić ją na zewnątrz, wsadzić do samochodu i czym prędzej odjechać.

Kiedy audytorium nieco się uspokoiło, profesor Kern wszedł ponownie na katedrę i przeprosił zebranych za ten „przykry incydent”.

— Panna Loran to nerwowe i histeryczne stworzenie. Nie była w stanie znieść wrażeń, jakich dostarczało jej codzienne obcowanie z eksponatem, który miałem zaszczyt państwu zademonstrować. Jej psychika uległa zachwianiu, wkrótce popadła w obłąd...

Słów Kerna wysłuchano w upiornej ciszy. Rozległy się pojedyncze nieśmiałe oklaski, które natychmiast ucichły. Zdawało się, że przez salę przeleciał powiew śmierci. Setki oczu patrzyło teraz na Briquet z politowaniem i przerażeniem, jak na istotę powstałą z grobu... Podniosły nastrój prysnął bezpowrotnie. Wiele osób opuściło salę, nie czekając końca posiedzenia. W przyspieszonym tempie zostały odczytane depeche gratulacyjne, akty nominacyjne o nadaniu Kernowi zaszczytnych tytułów członka honorowego i doktora honoris causa różnych uczelni, po czym nastąpiło zakończenie obrad.

Za plecami Kerna zjawił się Murzyn, skinął mu nieznacznie głową i rozpoczął przygotowania do przewiezienia z powrotem głowy Briquet, całkiem już oklapniętej i przerażonej.

Kern dał upust złości dopiero wówczas, gdy znalazł się wreszcie sam we własnym samochodzie. Zaciskał pięści, zgrzytał zębami i klął tak niemiłosiernie, że kierowca kilka razy naciskał hamulec i pytał przez mikrofon:

— Słucham pana?

OSTATNIE SPOTKANIE

Nazajutrz po pechowym odczycie Kerna w towarzystwie naukowym Artur Dowell zjawił się u naczelnika policji, powiedział mu, jak się nazywa, i oświadczył, iż żąda przeprowadzenia rewizji w mieszkaniu Kerna.

— Robiliśmy rewizję w domu profesora Kerna minionej nocy — oschle odpowiedział naczelnik. — Nie stwierdzono żadnych kompromitujących dowodów. Jak należało się spodziewać, rzucone przez pannę Loran oskarżenie okazało się wytworem jej chorej wyobraźni. Czyżby nie czytał pan gazet porannych?

— Dlaczego tak łatwo przystaliście na wersję o chorej wyobraźni panny Loran?

— Dlaczego? Niech pan sam pomyśli — przecież to całkowity absurd, zresztą najlepiej świadczy o tym rewizja...

— Czy przesłuchano również pannę Briquet, to znaczy „eksponat” Kerna?

— Nie, nie przesłuchiwaliliśmy żadnych eksponatów.

— A szkoda! Panna Briquet mogła potwierdzić, że widziała głowę mojego ojca. Sama mi o tym mówiła. Stanowczo żądam ponownej rewizji.

— Nie mam żadnych podstaw — ostro rzucił naczelnik.

„Czyżby został przekupiony przez Kerna?” — pomyślał Artur.

— Zresztą — ciągnął dalej tamten — ponowna rewizja może wywołać niezadowolenie opinii publicznej, która jest już wystarczająco oburzona wybrykiem tej zwariowanej Loran. Wszyscy mówią o profesorze Kernie, otrzymuje setki listów i depesz z wyrazami współczucia, potępiających zachowanie Loran.

— Niemniej to fakt, że Kern dopuścił się kilku przestępstw.

— Nie wolno oskarżać człowieka bezpodstawnie — pouczającym tonem oświadczył naczelnik.

— Więc może mi pan umożliwi potwierdzenie słuszności moich podejrzeń — upierał się Dowell.

— Miał już pan taką możliwość — władze przeprowadziły rewizję.

— Skoro pan tak stanowczo odmawia, będę zmuszony zwrócić się do prokuratora — zdecydowanie powiedział Dowell wstając z miejsca.

— Nic więcej nie mogę dla pana zrobić — odrzekł naczelnik, również wstając.

Jednak wzmianka o prokuratorze poskutkowałą: po chwilowym namyśle naczelnik powiedział:

— Mógłbym wprawdzie wydać nakaz ponownej rewizji, ale że tak powiem, w trybie nieoficjalnym. Przedstawię jej wyniki prokuratorowi tylko pod warunkiem, że dostarczy ona nowych danych.

— Rewizja musi się odbyć w naszej obecności, to znaczy panny Loran, mojego przyjaciela Lareta i mnie.

— Czy nie za dużo tego dobrego?

— Nie. Wszystkie te osoby mogą okazać się bardzo pomocne. Naczelnik policji rozłożył ręce, westchnął ciężko i zakończył:

— No dobrze! Dam panu do dyspozycji kilku moich ludzi. Śledczy też pojedzie z wami.

O jedenastej przed południem Artur dzwonił do mieszkania Kerna.

John, nie zdejmując łańcucha zabezpieczającego, uchylił ciężkich dębowych drzwi.

— Profesor Kern nikogo nie przyjmuje.

W tym momencie do przodu wystąpił policjant i zmusił Johna do wpuszczenia niespodziewanych gości.

Profesor Kern przyjął ich w swoim gabinecie z miną obrażonego.

— Proszę uprzejmie — rzekł lodowatym tonem, po czym szeroko otworzył drzwi do laboratorium i kątem oka rzucił Marie miażdżące spojrzenie.

Śledczy, Marie, Artur i Laret weszli do środka w asyście policjantów.

Znajome wnętrze, z którym łączyło się tyle przykrych wspomnień, wzruszyło Marie. Serce mocno załomotało w piersi.

Zobaczyli w laboratorium tylko głowę Briquet. Twarz jej, pozbawiona makijażu, wyglądała teraz jak twarz mumii. Uśmiechnęła się i szybko zamrugła powiekami na widok Marie i Lareta, który odwrócił się z lękiem i tłumioną odrazą.

Weszli do następnego pomieszczenia.

Ujrzeli przed sobą łysą głowę starszego mężczyzny z wielkim mięsistym nosem i drżącymi ustami. Oczy zasłaniały ciemne okulary.

— Bola go oczy — wyjaśnił Kern. — To wszystko, czym mogę państwu służyć — dorzucił z ironicznym uśmiechem.

Istotnie, szczegółowe oględziny całego domu, od piwnicy do strychu, nie dały żadnych rezultatów.

Droga powrotna prowadziła przez ten sam pokój, w którym widzieli głowę starszego mężczyzny. Rozczarowany Artur zamierzał już uchylić następnych drzwi; za nim ruszyli śledczy i Kern.

— Poczekajcie! — zatrzymała ich Marie. Wprawnym ruchem otworzyła zawór dopływu powietrza i zadała pytanie:

— Kim pan jest?

Głowa bezdźwięcznie poruszała ustami. Marie zwiększyła dopływ powietrza.

Po chwili dał się słyszeć syczący szept:

— Kto to? Kern? Proszę wyjąć mi tampony z uszu! Nie słyszę pana...

Marie wyjęła mu z uszu dwa duże tampony z waty.

— Kim pan jest? — powtórzyła pytanie.

— Kiedyś byłem profesorem Dowellem.

— Ale pańska twarz... — zdenerwowana Marie nie mogła złapać oddechu.

— Twarz?... — usta poruszały się z wysiłkiem. — Tak... pozbawiono mnie nawet twarzy... Niewielki zabieg... wstrzyknięta pod skórę parafina. Niestety, w tej zdeformowanej głowie pozostał tylko dawny mózg, ale i on odmawia mi posłuszeństwa. Umieram... naszym doświadczeniom dużo jeszcze brakuje... chociaż moja głowa żyła dłużej, niż zakładałem teoretycznie.

— Po co panu okulary? — zapytał śledczy. — Ostatnimi czasy mój kolega mi nie dowierza — Dowell spróbował się uśmiechnąć. — Sądzi, że nie powinienem niczego widzieć ani słyszeć... Szkła są nieprzeźroczyste... żebym się nie zdradził w obecności osób postronnych... Proszę zdjąć mi okulary... Marie drżącą ręką zdjęła okulary.

— Panno Loran... to pani? Dzień dobry, moja droga!... Kern powiedział, że pani wyjechała... Źle się czuję... nie mogę pracować... Kolega Kern dopiero wczoraj łaskawie ogłosił amnestię... Obiecał, że jeżeli nie umrę dzisiaj, sam jutro mi w tym pomoże...

Nagle wzrok jego padł na Artura, który blady jak ściana stał z boku. Nie wierząc własnym oczom, stary Dowell zawołał:

— Arturze!... Mój synu!...

Mętny wzrok rozjaśnił się na chwilę.

— Ojczy kochany! — Artur zrobił krok w jego kierunku. — Co on z tobą zrobił...

Zachwiał się i Laret musiał go podtrzymać.

— Jak... to dobrze... że zobaczyliśmy się jeszcze raz... po mojej śmierci... — chrapliwie wyszeptał stary profesor.

Struny głosowe i język odmawiały posłuszeństwa, w przerwach powietrze z sykiem wydostawało się z ust.

— Arturze, pocałuj mnie w czoło... jeżeli... się... nie brzydzisz...

Artur nachylił się i złożył na tym zimnym czole pocałunek.

— Tak... teraz dobrze...

— Profesorze — zaczął śledczy — czy może pan opowiedzieć o okolicznościach swojej śmierci?

Profesor Dowell skierował na mówiącego gasnące spojrzenie, najwyraźniej słabo rozumiejąc, o co chodzi. Potem przeniósł powoli wzrok na Marie i wyszeptał:

— Ona... wszystko wie...

Wargi przestały się poruszać, oczy zaszły mgłą.

— To koniec!... — powiedziała Marie.

Przez dłuższy czas panowało milczenie. Nie mogli opamiętać się po tym, co przyszło im widzieć i słyszeć.

— Cóż — przerwał śledczy uciążliwą ciszę zwracając się do Kerna. — Proszę za mną do gabinetu! Pan będzie łaskaw odpowiedzieć mi na kilka pytań.

Kiedy zatrzasnęły się za nimi drzwi, Artur bez sił opadł na krzesło tuż obok szczątków ojca i zasłonił twarz rękami.

— Biedny ojciec!

Marie miękkim ruchem położyła mu dłoń na ramieniu. Artur gwałtownie wstał i mocno uścisnął jej rękę.

Z gabinetu Kerna dobiegł odgłos wystrzału.

Przełożyła Waleria Pawłowicz

Spis treści

Głowa profesora Dowella

pierwsze spotkanie 7

Tajemniczy kurek 10

Głowa przemówiła 14

Śmierć czy zabójstwo? 18

Ofiary wielkiego miasta 25

Nowi mieszkańcy laboratorium	27
Rozrywki	32
Ziemia i niebo	34
Dobro i zło	42
Martwa Diana	iró
Ekspонат, który uciekł	64
Briquet znowu śpiewa	69
Zagadkowa kobieta	73
Wesoła przejażdżka	80
Do Paryża!	86
Ofiara Kerna	89
Lecznica doktora Ravineau	17
Obłąkani	100
Trudny przypadek	104
Nowicjusz	111
Ucieczka	115
Między życiem a śmiercią	118
Zdobyte i utracone	125
Tom umiera po raz drugi	130
Spiskowcy	134
Niedoszły tryumf	139
Ostatnie spotkanie	144

Ariel

Córce Swietłanie poświęcam

Rozdział pierwszy

PRZEZ KRĘGI PIEKIEŁ.

Ariel siedział na podłodze obok nisko umieszczonego okna w swoim pokoju, który przypominał celę klasztorną. Stół, stołek, łóżko i mata w kącie stanowiły całe jego umeblowanie.

Okno wychodziło na wewnętrzny dziedziniec, smętny i cichy, całkowicie pozbawiony zieleni. Nie rosło tu nawet najmniejsze ździebełko trawy! Wysypane piaskiem i żwirem, podwórze to przypominało skrawek pustyni zamknięty kwadratem ponurych więziennych murów o malutkich okienkach. Nad płaskimi dachami pochylały swoje pióropusze palmy, które rosły w otaczającym szkołę gęstym parku. Wysokie ogrodzenie oddzielało park i budynki od reszty świata.

Głęboką ciszę zakłócał jedynie chrzęst żwiru, towarzyszący powolnym krokom nauczycieli i wychowawców.

W równie ubogich jak izdebka Ariela pokoikach mieszkali inni wychowankowie madraskiej szkoły Dandarat, którzy przybyli tutaj ze wszystkich stron świata. Byli w różnym wieku — ośmioletnie dzieci, dorosłe dziewczęta i młodzieńcy. Tworzyli jedną rodzinę, chociaż w ich spojrzeniach i niegłośnych powściągliwych rozmowach nie dostrzegało się ani cienia miłości, przyjaźni czy przywiązania. Obca im była radość spotkania i gorycz rozłąki. Uczucia tego rodzaju od pierwszych dni pobytu w szkole były skutecznie wykorzystywane przez wychowawców i nauczycieli — hinduskich braminów-hipnotyzerów i Europejczyków,

przeważnie angielskich okultystów reprezentujących najnowsze kierunki „wiedzy tajemnej”.

Ariel był ubrany w tunikę z grubej tkaniny. Na nogach nie miał nawet sandałów. Był to rosły osiemnastoletni młodzieniec o jasnych włosach, choć z wyrazu jego twarzy można było niekiedy sądzić, że jest młodszy. Ze spojrzenia jasnoszarych oczu przebijała dziecięca ufność, chociaż czoło znaczyły już leciutkie zmarszczki jak u kogoś, kto przeżył i przemyślał zbyt wiele. Kolor oczu i włosów zdradzał w nim Europejczyka.

Twarz Ariela o regularnych anglosaskich rysach była nieruchoma jak maska. Obojętnie spoglądał przez okno, jak człowiek pogrążony w głębokiej zadumie.

Tak też było w istocie. Wychowawca i opiekun Ariela, babu Czaraka, wymagał od chłopca, aby wieczorami dokonywał podsumowania całego dnia, czyli odtwarzał w pamięci wszystkie wydarzenia, jakie miały miejsce między wschodem a zachodem słońca, określał swój stosunek do nich, precyzował nawiedzające go myśli i pragnienia i analizował swoje uczynki. Przed udaniem się na spoczynek Ariel powinien był składać Czarace sprawozdanie, a właściwie spowiadać się przed nim.

Zachodzące słońce oświetlało korony palm i szybujące po niebie obłoki. Deszcz dopiero co ustał i z zewnątrz przenikało do celi ciepłe wilgotne powietrze,

Cóż się więc wydarzyło dzisiaj?

Ariel obudził się jak zwykle o świcie. Ablucja, modlitwa, śniadanie we wspólnej jadalni... Na prostej drewnianej tacy podano mączne placki, nie nadające się do jedzenia prażone orzeszki ziemne i wodę w glinianych naczyniach.

Wychowawca Satja, swoim zwyczajem przenosząc ciężkie spojrzenie z jednej twarzy na drugą, wmawiał wychowankom, że jedzą banany i smaczne placki z ryżu i zapijają je gęstym

mlekiem. Podatni na masową sugestię uczniowie ze smakiem zjadali podane potrawy, i tylko jeden chłopczyk, nowicjusz, nie poddający się na razie zbiorowej hipnozie, spytał:

— A gdzie są te banany i placki ryżowe?

Satja podszedł do chłopca, uniósł jego brodę dwoma palcami i powiedział tonem rozkazującym, srogo patrząc mu w oczy:

— Spij! — I powtórzył: — Śpij! — po czym ów chłopczyk również zaczął jeść z takim apetytem twarde orzeszki, jakby to były najprawdziwsze banany.

— A ty dlaczego masz na sobie szal? - zapytał inny wychowawca, chudy Hindus z czarną brodą i ogoloną głową, zwracając się do dziewczynki mogącej mieć najwyżej dziewięć lat.

— Zimno mi — odpowiedziała mała, kuląc ramiona. Wstrząsały nią dreszcze.

— Jest ci gorąco. Zdejmij w tej chwili ten szal!

— Uff, jak gorąco! — wykrzyknęła dziewczynka i, odrzuciwszy szal, dotknęła dłonią czoła, jakby chciała zetrzeć zraszający je pot.

Satja śpiewnie zaczął recytować pouczenie: wychowankowie nie powinni reagować na chłód, gorąco i ból. Duch powinien tryumfować nad ciałem!

Dzieci siedziały w milczeniu, ruchy ich były powolne i apatyczne.

Nagle ten sam chłopczyk, który przed rozpoczęciem śniadania domagał się bananów, wyrwał z ręki sąsiada kawałek placka i śmiejąc się głośno, wpakował sobie do ust.

Satja jednym skokiem znalazł się przy winowajcy i pociągnął go za ucho. Chłopczyk zaczął głośno płakać. Wszystkie dzieci zamarły na swoich miejscach w obliczu tak jaskrawego naruszenia dyscypliny: śmiech i łzy były w tej szkole zakazane raz na zawsze. Satja pochwycił jedną ręką chłopca, a

drugą ujął naczynie o szerokiej szyjce. Malec umilkł, chociaż dygotał cały jak w febrze.

Ariel poczuł litość dla chłopca. Opuścił głowę, nie chcąc zdradzić się ze swoimi uczuciami. Naprawdę żał mu było tego ośmioletniego malca! Lecz Ariel wiedział również, że współczując towarzyszowi niedoli dopuszcza się tym samym wielkiego przewinienia, z którego powinien wyspowiadać się swojemu opiekunowi Czarace. „Czy muszę się spowiadać?” — przemknęła przelotna myśl, lecz Ariel stłumił ją. Nauczył się być ostrożnym i skrytym nawet w myślach.

Satja nasadził na głowę malca naczynie, po czym kazał słudze wyprowadzić go. Śniadanie dobiegło końca wśród całkowitego milczenia.

Tego samego dnia przed południem opuściła Dandarat grupka dziewcząt i chłopców, którzy już ukończyli naukę.

Ariel żywił ukrytą sympatię do dwojga odjeżdżających: ciemnoskórego młodego człowieka o wielkich oczach i do zgrabnej dziewczyny. Miał podstawy, aby przypuszczać, że oni również darzyli go uczuciem przyjaźni. Łączyło ich kilka lat wspólnego pobytu w Dandaracie, lecz uczucia swoje chowali pod maską obojętności. W tych rzadkich chwilach, gdy nie czuli na sobie wzroku nadzorców i wychowawców, przyjaciele skrycie wymieniali pomiędzy sobą wymowne spojrzenia i ukradkowy uścisk dłoni. To było wszystko.

Cała trójka ukrywała tę przyjaźń głęboko na dnie swoich młodych serc — była przecież ich jedynym skarbem. Gdyby wychowawcy dowiedzieli się o ich tajemnicy, zmusiliby młodych ludzi do przyznania się do wszystkiego, wprowadziwszy ich w stan hipnozy, a potem zabiliby również i to ciepłe uczucie, zastępując je chłodem obojętności.

Żegnając się na dziedzińcu przed żelazną bramą unikali nawzajem swoich spojrzeń. Słowa ich brzmiały chłodno:

— Żegnaj, Arielu.

— Żegnaj, żegnaj! — I rozeszli się, każdy w swoją stronę, nawet nie uściskawszy sobie dłoni.

Ze spuszczoną głową skierował się Ariel do budynku szkolnego, zmuszając się, aby nie myśleć o przyjaciółach, i tłumiąc w sercu smutek — na sekretne rozmyślania i refleksje przyjdzie czas, kiedy nastanie noc. O tych myślach i uczuciach nie powie nikomu, nie zdradzi się nawet w czasie seansu hipnotycznego! To właśnie stanowiło najświętszą tajemnicę Ariela, której istnienia nie domyślali się ani sprytny Czaraka, ani dyrektor szkoły Bharawa.

Potem rozpoczęły się lekcje — historia religii, okultyzm, teozofia... Obiad z „bananami” na deser, lekcje języków: angielskiego, hindi, bengali, marathi, sanskrytu... Skąpa kolacja.

— Jesteście najedzeni do syta! — wmawia w nich Satja.

Po kolacji w Dandaracie odbył się „seans”. Ariel przeszedł już przez straszliwe kręgi tego iście dantejskiego piekła, ale wymagano od niego, aby uczestniczył w „zajęciach praktycznych” z nowicjuszami.

Wąski mroczny korytarz, oświetlony jedynie chwiejącym się płomykiem kaganka z kopącym knotem, zrobionym z odpadków bawełny... Wielki, pozbawiony okien pokój o kamiennej posadzce, słabo oświetlony takim samym migocącym światełkiem... Prymitywnie sklecony stół i kilka mat rzuconych na podłogę...

Ariel wraz z grupą starszych wychowanków stoi w milczeniu i nieruchomo w rogu pokoju.

Sługa przyprowadza czternastoletniego chłopca.

— Wypij to — zwraca się do niego opiekun, wyciągając rękę z kubkiem.

Chłopiec, starając się powstrzymać grymas obrzydzenia, posłusznie łyka ostro woniejący, gorzkawy płyn. Sługa szybko ściąga z niego koszulę i naciera całe ciało eterycznymi

olejkami. Chłopca zaczyna ogarniać niepokój, który przechodzi w śmiertelne przerażenie. Wpada w stan podniecenia. Oddycha szybko i z trudem, źrenice ma rozszerzone, ręce i nogi zaczynają mu podrygiwać, co czyni go podobnym do pajacyka z tektury.

Nauczyciel podnosi z podłogi lampkę z ledwo tłącym się knotem i dopytuje się:

— Co widzisz?

— Widzę oślepiająco jasne słońce — odpowiada chłopiec mrużąc oczy.

Wszystkie jego zmysły są wyostrzone. Cichy szept wydaje mu się odgłosem piorunu, słyszy, jak pająki biegają po ścianach, słyszy oddech każdego z obecnych i bicie ich serc. Dochodzi do jego uszu nawet szelest skrzydeł nietoperzy gdzieś na strychu... Widzi, słyszy, dostrzega i czuje to, czego nie zauważy żaden normalny człowiek.

Część wychowanków przyplącała ten stan gorączką, część — ostrym atakiem nerwowym. Niektórych spośród kolegów biorących udział w „seansach” Ariel nigdy więcej nie zobaczył: napad szaleństwa pozbawiał ich zmysłów, a nawet spowodował śmierć.

Sam Ariel miał mocny organizm i dzięki temu przeszedł kolejne próby bez uszczerbku dla zdrowia.

Gdy na niebie zapłonęły pierwsze gwiazdy, drzwi izdebki Ariela otworzyły się i wszedł Czaraka. Prowadził za rękę smagłego chłopca o wystraszonej twarzy.

— Siadaj! — rozkazał Czaraka.

Chłopiec usiadł na podłodze. Poruszał się jak automat. Ariel podszedł i skłonił się przed Czaraką.

— On jest nowy. Ma na imię Szarad. Będiesz mu dzisiaj towarzyszył. Czy jesteś z siebie zadowolony?

— Tak, ojcie — odpowiedział Ariel.

— I nie czujesz potrzeby podzielenia się ze mną swoimi myślami? — z niedowierzaniem pytał Czaraką. — Stan doskonałości może osiągnąć jedynie ten, kto nigdy nie jest z siebie zadowolony całkowicie. — Popatrzył przenikliwie w oczy Ariela: — Czy nie rozmyślałeś o swojej przeszłości?

— Nie! — zdecydowanie zaprzeczył Ariel.

Wychowankowie Dandaratu nie powinni byli pamiętać o tym okresie swojego życia, który poprzedził ich przybycie do szkoły. Nie wolno im było wracać myślą do swojego dzieciństwa ani nawet do rodziców. Zabroniono im pytać o cokolwiek, co by dotyczyło ich przeszłości lub przyszłości. Nikt z wychowanków nie wiedział, co go czeka po ukończeniu szkoły i do jakiego rodzaju zajęć jest przygotowywany; prawie nikt nie pamiętał o swoim dotychczasowym życiu. Jeśli któryś z uczniów miał zbyt dobrą pamięć, seanse hipnotyczne skutecznie zacierały w nim wszystkie wspomnienia — zarówno świeże jak i dawne.

Czaraka jeszcze raz spojrział przenikliwie na Ariela i wyszedł z pokoju.

Szarad siedział nieruchomo wciąż w tej samej pozie, jak mały posązek z brązu.

Ariel łowił uchem echo oddalających się kroków Czaraki. Potem uśmiechnął się — po raz pierwszy tego dnia.

Wychowankowie szkoły mieli przed sobą tylko dwie drogi. Większość zdążyła tą, która wiodła do ostatecznej i całkowitej utraty własnej woli i, w najlepszym wypadku, zrujnowania systemu nerwowego. Tylko znikoma liczba uczniów, najbardziej wytrzymałych fizycznie i psychicznie, wybierała ścieżkę wyrafinowanej obłudy, sprytnego kluczenia i mistrzowskiej symulacji. Do tych ostatnich należał Ariel, który potrafił oprzeć się nawet hipnozie — symulował po prostu stany somnambuliczne. Lecz takich jak on było niewiele. Wystarczyło najmniejsze potknięcie, by zostać

zdemaskowanym. Opiekunowie byli panami dusz i ciał swoich podopiecznych.

Ariel szybko i bezszelestnie podszedł do Szarada. Przemówił szeptem:

— Będą cię chcieli zastraszyć, ale ty się nie bój. Nie lękaj się, nawet jeśli zobaczysz rzeczy przerażające. Oni to robią naumyślnie...

Chłopiec popatrzył na Ariela, pełen zdziwienia i niedowierzania. W tej szkole nikt jeszcze nie zwracał się do niego takim przyjaznym tonem.

— I pamiętaj o najważniejszym: nie wolno ci płakać ani krzyczeć, jeśli nie chcesz, żeby cię bili.

Szarad przestał płakać. Za oknem bezszelestnie przemykały nietoperze; niektóre wpadały do pokoju. Po ścianach w poszukiwaniu owadów pełzały maleńkie, zadomowione tu jaszczurki. Chłopiec patrzył na nie i powoli się uspokajał.

Ariel zapalił lampkę oliwną. Czerwony języczek płomienia roztoczył słaby blask. Przenikające do pokoju podmuchy wiatru poruszały płomieniem, na ścianach tańczył cień Ariela. Kąty pokoju pozostały ciemne.

Nagle w rogu izdebki, przeciwległym do tego, gdzie znajdował się Szarad, coś się poruszyło. Chłopiec wyteńczył wzrok i zamarł z przerażenia: ze szczeliny w podłodze wypełznął ogromny brunatny wąż. Miał dużą głowę na rozdętej szyi. Poniżej głowy widać było jasny, obramowany czarną obwódką rysunek przypominający okulary. Naja!

Za pierwszym wężem — kobrą — wychynał drugi, o barwie czarnobrunatnej, potem jeszcze inny, całkiem czarny, potem szary... Za szarym wężem sunęły następne... Rozpełzły się po pokoju, otoczyły chłopca pierścieniem.

— Siedź, nie ruszaj się i nie odzywaj — szepnął Ariel. Twarz miał bez wyrazu, jak zawsze. Zastygł w bezruchu.

Wężę były już zupełnie blisko. Unosiły do góry przednią część tułowia i rozdymały szyje podobne do płaskich tarcz. Uporczywie wpatrywały się w oczy chłopca. Gady gotowały się do ataku.

Ariel zaczął cichutko pogwizdywać smętną, monotonną melodię, w której powtarzała się wciąż ta sama kombinacja trzech dźwięków.

Wężę znieruchomiały, zasłuchane, a potem zwiesiły nisko głowy i, pełznąc powoli, skryły się w otworze podłogi.

Szarad w dalszym ciągu nie ruszał się z miejsca. Twarz jego pokrywały zimne krople potu.

— Zuch z ciebie! — powiedział szeptem Ariel, chociaż chłopiec niczym nie zasłużył na taką pochwałę: siedział nieruchomo i nie wydał głosu po prostu dlatego, że sparaliżował go strach.

Do pokoju wtargnął podmuch wiatru, który przyniósł z sobą słodki zapach jaśminu. Świejące na niebie gwiazdy przysłoniła chmura, rozległ się grzmot, a zaraz potem — szum tropikalnej ulewy. W powietrzu rozlała się świeżość. Błyskawice oświetlały ścianę przeciwległego budynku i odbijały się w wodzie, która momentalnie utworzyła w środku dziedzińca jezioro.

Chłopiec otrząsnął się z odrętwienia, odetchnął z ulgą. Ale czekała go nowa próba.

Ściana z plecionej maty, która oddzielała dwa sąsiednie pomieszczenia, uniosła się niespodziewanie. Oczom Szarada ukazał się jasno oświetlony pokój, którego podłogę zaścielała biała cerata. Pośrodku pokoju stał ogromny tygrys. Jaskrawe światło oślepiało go i pręgowane zwierzę mrużyło powieki, w niezadowoleniu potrząsając łbem. Prężny ogon raz po raz uderzał o podłogę.

Zmrużone ślepią tygrysa utkwione nieruchomo w Szaradzie pomалу oswajały się ze światłem. Zwierzę wydało krótki,

cichy pomruk i przenosząc ciężar ciała na przednie łapy, napięło mięśnie, szykując się do skoku.

Szarad chwycił się za głowę. Krzyknął przeraźliwie i w tym samym momencie poczuł na ramieniu dotknięcie. „Pożre mnie!” — sztywniejąc z przerażenia pomyślał chłopiec. Jednak dotknięcie było zbyt lekkie jak na zwierzęcą łapę. Posłyszał szept Ariela:

— Dlaczego krzyczysz?! Wychowawca ukarze cię za to. Chodźmy!

Ariel chwycił chłopca za rękę i prawie siłą postawił na nogi. Dopiero teraz Szarad zdobył się na odwagę i otworzył oczy. Ściana z maty znajdowała się na swoim miejscu. W pokoju panował półmrok. Za oknem szumiał ucichający deszcz. Słyszać było dalekie, głuche uderzenia pioruna.

Chwiejąc się na nogach, prawie utracił zdolność myślenia, Szarad podreptał za Arielem.

Przeszli długi mroczny korytarz i znaleźli się przed wąskimi drzwiami. Ariel przepuścił Szarada przodem i odezwał się głośno:

— Ruszaj się! Tu są schody. Uważaj, żebyś się nie potknął. — I dodał szeptem: — Zachowaj ostrożność! Nie krzycz w żadnym wypadku. Nie bój się. Straszą cię tak naumyślnie, ale ty się nie bój niczego!

Ariel przypomniał sobie, jak po raz pierwszy przechodził podobną próbę. Był wtedy zupełnie sam. Nikt go nie ostrzegał i nie dodawał otuchy.

Szarad, dygocąc ze strachu, zszedł po chwiejących się stopniach i znalazł się w ciemnym piwnicznym pomieszczeniu. Powietrze było tu ciężkie, stęchłe. Czuć było wilgoć. Kamienną posadzkę powlekała warstwa błotnistej, ziębiącego stopy ładu. Gdzieś z góry padały wielkie krople wody. W pobliżu szemrał strumyk.

Chłopiec nie wiedząc, gdzie się ma skierować, wyciągnął przed siebie rękę, żeby nie wpaść na niewidoczną przeszkodę. — Naprzód, naprzód! — idący z tyłu Ariel szturchnął go lekko.

Szarad zaczął iść przed siebie wśród całkowitej ciemności. Zewsząd dobiegały przygłuszone jęki, dzikie wycie i szaleńczy chichot. Potem zaległa złowieszcza cisza. Ciemność zdawała się roić od jakichś żywych stworzeń, Szarad czuł na sobie zimne dotknięcie. Raptem rozległ się niesamowity huk, który wprawił ziemię w drzenie.

— Naprzód, naprzód!

Chłopiec wyczuł pod dłonią oślizłą chropowatość ściany. Wkrótce druga jego ręka również dotknęła ściany. Podziemne przejście zwięzało się, iść było coraz trudniej.

— Naprzód, naprzód! — rozkazywał Ariel. A potem dodał szeptem: — Nic się nie bój. Zaraz...

Nie zdążył dokończyć zdania. Szarad poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg, że rozwiera się pod nim przepaść...

Upadł na coś, co było miękkie i wilgotne. Sklepienie nad jego głową zaczęło się opuszczać: jest coraz niżej, zaraz go zmiążdży... Chłopiec dusi się, jęczy...

— Milcz, ani słowa! — dobiega go szept Ariela.

Sklepienie unosi się. Wokół wciąż panuje ciemność. Raptem z tej ciemności wyłania się świetlisty obłok, który przyjmuje postać ogromnego starca z długą białą brodą. Utkane z mgły szaty starca emanują księżycową poświatę. Wynurza się z nich koścista ręka. Słysząc głuchy szept:

— Jeśli chcesz zachować życie, wstań i idź, i nie oglądaj się za siebie!

I Szarad usłuchał. Płacząc cichutko, podnosi się i idzie powoli korytarzem. Ściany lochu zaczynają świecić na czerwono, przebija przez nie płomień... Robi się bardzo ciepło, wreszcie — gorąco nie do wytrzymania. Ściany, coraz bardziej

czerwone, wyraźnie zbliżają się do siebie. Przez szczeliny wyrывa się ogień, jego dyszące żarem języki są coraz bliżej. Jeszcze trochę — i ogień ogarnie włosy, zacznie płonąć odzież... Szarad oddycha z trudem, prawie traci przytomność. Czyjeś ręce podtrzymują go, a ostatnie słowa, jakie słyszy, to szept Ariela:
— Biedny Szarad!..,

Rozdział drugi DANDARAT

Gdy Ariel się obudził, nawiedziło go wspomnienie ubiegłego wieczoru. „Biedny Szarad!”

Wstrząs nerwowy, jakiemu uległ Szarad, okazał się na tyle niebezpieczny, że trzeba było umieścić chłopca w szkolnym szpitalu. Lekarz zmusił go do wypicia mleka z alkoholem i dzieciak usnął, a Ariel, jego mimowolny opiekun, wrócił do swojej izdebki.

Słońce wzeszło, gdy dokonywał porannej ablucji. Rozległ się dźwięk gongu. Zamiast codziennej odzieży z grubej tkaniny Ariel włożył płócienne ubranie. W szkole oczekiwano przybycia ważnych osobistości.

Po śniadaniu wykładowcy i starsi wychowankowie zebrali się w auli, w której ustawiono fotele, krzesła i ławki. W samym końcu długiej sali znajdowało się podium, wyściełone kobiercami i przybrane girlandami kwiatów. Okna były szczelnie zasłonięte, a salę oświetlały wymyślne w kształtach elektryczne żyrandole z brązu.

Wkrótce zaczęli zjawiać się zaproszeni goście. Mieli na sobie najrozmaitsze stroje. Byli wśród nich dumni smagli starcy z siwymi brodami, ubrani w jedwabne szaty wyszywane perłami i drogimi kamieniami, wychudzeni fakirzy i przedstawiciele różnych kast ze znakiem przynależności kastowej na czole.

Nosili proste dhoti/* (Dhoti — hinduski strój męski, dołem przypominający spódnicę (przyp. aut.), staromodne kurtki przybrane wstążkami i buty z zagiętymi do góry noskami, uszyte przez wiejskich szewców. Niektórzy nawet mieli uwieszone u boku maleńkie miedziane miseczki zebracze, jak to robią asceci. Zjawili się też goście ubrani jedynie w spowijające ich płócienne płachty i drewniane sandały.

Jako ostatni przybyli sahibowie. Jasnoskórzy, pewni siebie postawni Anglicy w białych garniturach zajęli miejsca w pierwszym rzędzie foteli. Szkolna zwierzchność nadskakiwała im w sposób uniżony i służalczy.

Na podium wszedł mężczyzna o jasnej cerze, ubrany w strój hinduski. Był to dyrektor szkoły, Bharawa, który powitał zebranych, posługując się najczystszą angielszczyzną. Wyszukanymi słowami prosił ich, „by uczynili mu ten zaszczyt i zechcieli zaznajomić się z osiągnięciami Dandaratu w zakresie wychowywania sług świata, Stwórcy i prawdy”.

Wychowawcy przystąpili do demonstrowania umiejętności swoich najzdolniejszych wychowanków. Przypominało to seanse „profesorów magii i wszelkich nauk tajemnych”.

Wychowankowie kolejno wchodzili na podium i poddawani działaniu hipnozy odtwarzali całe scenki, wypowiadali zasłyszane mowy lub, z podziwu godną dokładnością, powtarzali zdania, które padły z ust zebranych w auli gości. Wielu z nich miało tak wyczulony zmysł postrzegania, że momentalnie reagowało na najmniejszy ruch na sali, co normalnie uchodziło uwagi wszystkich obecnych.

Jak zapewniali nauczyciele, niektórzy z nich mieli zdolność widzenia promieniowania emanującego z głowy intensywnie myślącego człowieka, mogli również „słyszeć odruchowe drgania narządów mowy, które za pomocą podświadomie wydawanych dźwięków reagują na procesy myślowe zachodzące w mózgu” — czyli potrafili nie tylko „widzieć”,

ale i „słyszeć” pracę mózgu. Tę hipotezę natychmiast „sprawdzono doświadczalnie”, ku powszechnej aprobachie widzów.

Demonstrowano młode fenomeny, których organizmy wytwarzały ponoć potężne ładunki elektryczne, zdolne zapalać żarówki i wywoływać iskrzenie, które otaczało ich ciała świetlistym kręgiem. Niektórzy z nich mogli widzieć w ciemności.

Następnie wystąpili specjaliści innego rodzaju: na podstawie kilku wypowiedzianych słów, a także obserwacji twarzy, gestów i cech szczególnych swojego rozmówcy przepowiadali mu najbliższą przyszłość.

Ariel patrzył na te popisy i myślał: „Szkoda, że nie pokazują, jakie cierpienia i męki potrafią zadawać swoim wychowankom!” On przeszedł już przez wszystkie kręgi tutejszego piekła. Ostatnia próba, jakiej musiał się poddać, polegała na „przyjęciu ducha”.

Ariel wzdrygając się wspomniął ponury obrządek, w którym musieli uczestniczyć adepci ostatnich stopni nauczania. Zmuszano ich, aby czuwali przy łożu śmierci i trzymali konających za ręce, a kiedy następował moment zgonu, kazano im całować umierających w usta i „przyjmować w siebie” ich ostatnie tchnienie. Było to wstrętne. Lecz Ariel potrafił trzymać się w karkach.

Szum na sali przerwał tok jego myśli. Dyrektor szkoły zapraszał gości, aby zechcieli przejść do drugiej sali, gdzie czekały atrakcje innego rodzaju — rozdanie dyplomów członkom „Białej łoży” — towarzystwa teozoficznego. Wręczenia dyplomów miał dokonać osobiście „nauczyciel nauczycieli”, Majtreja.

Ogromna sala tonęła w zieleni i kwiatach. Usłane kobiercami podium przypominało altankę spowitą bluszczem, różami i jaśminem. Przez otwarte okna wpadały podmuchy gorącego

powietrza. Upał był nie do zniesienia. Goście zsuwali z ramion szale i wprawiali w ruch wachlarze z liści palmowych. Gruby zamindar (właściciel ziemski) włożył ukradkiem do ust kulkę betelu.

W pierwszym rzędzie, w pozłacanych, obitych żółtym jedwabiem fotelach, usiedli obok siebie mężczyzna i kobieta — niemłody Anglik w okularach z kędzierzawą siwą brodą, oraz memsahib — niewiasta o dość bujnych kształtach i świeżej okrągłej twarzy. Jej siwe włosy były ułożone w krótką fryzurę, nosiła narodowy strój hinduski. Byli to przywódcy towarzystwa teozoficznego: Mr. Brownlaugh i Mrs. Dryden. Dyrektor szkoły ofiarował jej bukiet kwiatów.

Gdy już wszyscy zajęli miejsca, dziecięcy chór odśpiewał hymn. Dziewczynki i chłopcy z chóru mieli błękitne ubranka i zawieszane na szyi wieńce z białych kwiatów rododendronu. Gdy przebrzmiały ostatnie dźwięki hymnu, ukazał się Majtreja.

„Nauczyciel nauczycieli” ubrany był w długą niebiesko-białą szatę. Jego uduchowiona twarz, obramowana spadającymi na ramiona kędziorami i niewielką bródką, przypominała wizerunki Chrystusa z obrazów włoskich mistrzów. Na ładnych, kobiecych w wykroju ustach zastygł słodki uśmiech. Uniósł ręce w geście błogosławieństwa.

Zebrani powstali z miejsc. Niektórzy z gości uklękli. Memsahib nie odrywała od niego pełnych podziwu oczu; w jej zachwycie nie było cienia uczuć religijnych.

Brodaty Brownlaugh przechwycił jej spojrzenie i zasepił się. Rozpoczęła się ceremonia wręczenia dyplomów, której dopełniały liczne wzajemne ukłony. Niektórzy członkowie łoży odpinali swoje dawniejsze odznaczenia, by móc otrzymać je jeszcze raz z rąk Majtreji. Leżeli rozpostarci na podłodze u jego stóp, a „nauczyciel nauczycieli” wznosił nad nimi ręce i każdemu ofiarowywał kwiaty.

Potem Majtreja przemówił, a jego monolog wprawił słuchaczy w taką ekstazę, że na sali rozległy się historyczne okrzyki. Goście niemal tracili przytomność, niektórzy dostawali drgawek.

Nowe wcielenie Buddy po raz ostatni pobłogosławiło zebranych, po czym podium opustoszało.

Sahib wstał z fotela i podał rękę memsahib. Oboje skierowali się do drzwi w głębi sali, za podium. Zachowywali się jak ludzie dobrze orientujący się w rozkładzie budynku i wkrótce znaleźli się w komfortowo, po europejsku urządzonym gabinecie. Był tu nawet kominek, który w tym klimacie nie mógł oczywiście spełniać swojego przeznaczenia. Mister Brownlaugh zajął miejsce za biurkiem dyrektora szkoły, mistress Dryden usiadła w fotelu obok.

Dyrektor szkoły, który wszedł w chwilę potem, usiadł dopiero wtedy, gdy dostoyny gość odezwał się:

— Proszę, niech pan usiądzie, mister Pearth, i opowie nam, co u pana słyhać.

Mister Pearth, znany w szkole pod imieniem Bharawy, za przyzwoleniem pani Dryden zapalił cygaro, które wyjął z szuflady własnego biurka. Pomyślał przy tym:

„Lepiej ode mnie wiesz, co się tutaj dzieje”. I miał rację.

Mister Pearth również był rodowitym Anglikiem. Terenem jego działalności, jak też działalności Mr. Brownlauga, była religia — jeden z filarów systemu społecznego, któremu obaj panowie służyli wiernie. Otóż filar ten w ostatnich czasach zaczął pękać niepokojąco, gdyż ludzie w swoich uczynkach przestali kierować się wyłącznie bojaźnią bożą. Na gwałt potrzebne były jakieś podpórki, środki zastępcze i namiastki. Za wszelką cenę należało podtrzymać wśród mas fanatyzm religijny, nie pozwolić, aby osłabły nastroje mistyczne. Na scenę więc wkroczyły wszelkiego rodzaju towarzystwa teozoficzne, okultystyczne i spirytystyczne, które natychmiast

przystąpiły do wydawania ksiąg w wielkich nakładach. Ich ośrodek dyspozycyjny znajdował się w Londynie. Wprost nie można było nie wykorzystać w tym celu Indii z ich „wiedzą tajemną”, jogami i fakirami — kraju, owianego nimbem tajemniczości. Właśnie w Indiach religia okazała się bardzo pomocna Anglikom, pragnącym umocnić tutaj swoje panowanie.

Zbudowano tu wspaniałą świątynię z kopułą, a niedaleko miasta Madras założono szkołę Dandarata. Jej celem było dostarczenie kontynentowi azjatyckiemu nowej rzeszy kapłanów i adeptów „nauk tajemnych”. Tutaj szkolono przyszłych „nauczycieli nauczycieli” w rodzaju Jezusa-Majtreji czy Krisznamurti-Alcjona — „wielkiego nauczyciela na miarę Kriszny czy Buddy”, a także, z myślą o Europie i Ameryce, wszelkiego typu media, wróżbitów, hipnotyzerów, cudotwórców i jasnowidzów.

Madraska szkoła działa nieoficjalnie. Zmuszają do tego nie tylko takie względy, jak specyficzny program nauczania i niezwykle metody wychowawcze, lecz także pewne racje dość drażliwej natury. Umieszczają tutaj swoje dzieci ci rodzice, którzy z tej lub innej przyczyny pragną pozbyć się potomstwa — na pewien czas lub na stałe. Poza tym pewna liczba dzieci zostaje uprowadzona z domów rodzinnych przez agentów Dandaratu.

Naucza się tutaj historii poszczególnych religii i języków tych krajów, do których wychowankowie będą skierowani po ukończeniu szkoły. Wybitnie uzdolnieni, czyli najbardziej znerwicowani absolwenci, pozostają w szkole w charakterze wychowawców

Wyjątkowe miejsce w procesie wychowawczym zajmuje oddziaływanie hipnotyczne. Doprowadzona do perfekcji nadwrażliwość pozwala niektórym wychowankom „odczytywać” cudze myśli. Potrafią oni łowić wzrokiem

prawie niedostrzegalne ruchy warg i oczu, słyszą najcichsze dźwięki wydawane przez mentorów i czynią wszelkiego rodzaju cuda.

Temu samemu celowi służy stosowanie przeróżnych trików, w rodzaju otaczających postać świetlistych kręgów czy cudownych woni, jakie wydzielają ciała „świętych”. Sztuczki te są niezwykle sprytnie wymyślane i równie sprytnie wykonywane.

Wśród wychowawców i „konsultantów naukowych” szkoły jest spora liczba ludzi naprawdę utalentowanych, posiadających ogromny zasób wiedzy.

Takie były założenia i cele szkoły Dandarat.

Mr. Pearth, w obłokach dymu z cygara, przystąpił do składania sprawozdania. Brownlaugh i Mrs. Dryden z aprobatą kiwali głowami.

— Jak wygląda sprawa tegorocznych absolwentów? — spytał mister Brownlaugh.

Pearth wymienił imiona kilka wychowanków, wyjaśnił, w jakim kierunku są wyspecjalizowani, i przytoczył nazwy miejscowości, do których zostaną skierowani.

— Jeszcze nie zdecydowałem ostatecznie, co zrobić z Arielem — powiedział.

— To ten, który przysparza tyle kłopotów wychowawczych?

— spytał Brownlaugh. — Jakie jest jego prawdziwe nazwisko?

— Aureliusz Galton.

— Pamiętam. Umieścili go tutaj opiekunowie?

— Tak jest, zgadza się — odpowiedział Pearth. — Mister Boden i mister Haslon z Londynu. Ci panowie niedawno pytali o niego. Odpisałem im, iż stan zdrowia Aureliusza nie daje powodu do obaw, mimo to...

Brownlaugh zrobił grymas niezadowolenia, wykonał niecierpliwy gest, kątem oka z niepokojem zerknął na Mrs.

Dryden, która nie musiała wiedzieć o wszystkich szczegółach, i przerwał dyrektorowi szkoły:

— Cóż więc pan zamierza uczynić?

— Mogę powiedzieć jedno: Ariel nie nadaje się do roli medium ani też na jasnowidza czy proroka. Ma na to zbyt mocną głowę i, niestety, zbyt dobrze funkcjonujący system nerwowy — dodał Pearth z żalem w głosie i ze skruszonym wyrazem twarzy. — Mieliśmy z nim trudności... A poza tym ci panowie, Boden i Haslon...

— Tak, wiem. Ja również otrzymałem od nich list — znów przerwał mu Brownlaugh. — Charles Hyde ma ponoć ciekawe osiągnięcia. Proszę pomówić z nim na temat Ariela. Nie jest wykluczone, że chłopiec nada się do jego celów.

— Kto to jest, ten Charles Hyde? — spytała Mrs. Dryden.

— Czyżby pani nie wiedziała? — uprzejmym tonem zwrócił się do niej Pearth. — To jeden z naszych współpracowników naukowych. Nadzwyczaj interesujący człowiek.

— Więc niech pan z nim pomówi — powtórzył Brownlaugh i wstał z fotela.

Rozdział trzeci

EKSPERYMENTY MR. HYDE'A

— Jak pan powiedział? Człowiek-mucha?! Cha, cha; cha! Jak dotąd, ludzie potrafią robić z muchy słonia, ale pan uparł się, żeby z muchy uczynić człowieka...

— Ależ nie z muchy człowieka, bynajmniej...

— A więc muchę z człowieka? No, coraz lepiej! Cha, cha, cha!

Ta rozmowa toczyła się w laboratorium Charlesa Hyde'a, wybitnego, acz zapoznanego przez świat naukowy eksperymentatora, który został przygarnięty przez dyrekcję szkoły Dandarat. Była to posada w sam raz dla Hyde'a.

Zazdrośni koledzy naukowcy od początku twierdzili, że najodpowiedniejszym dla niego miejscem jest dom wariatów. A Dandarot tym tylko różnił się od zakładu dla psychicznie chorych, że tutaj nie leczono chorób psychicznych, lecz odwrotnie — czyniono ze zdrowych ludzi obłąkańców.

Wśród wychowawców i „konsultantów naukowych” szkoły spotykało się ludzi nie całkiem normalnych, chociaż były to na swój sposób wybitne jednostki. Do tych ostatnich należał również Charles Hyde.

Otwarte na oścież okna wąskiego niby korytarz laboratorium były zawieszane matami, chroniącymi przed światłem i palącymi promieniami słońca. W półmroku widać było stoły zastawione skomplikowaną aparaturą rozmaitych kształtów. Były tu sześciiany, kule, walce i tarcze z miedzi, szkła i kauczuku, a wszystko oplatały liczne, przypominające liany, przewody. Była to prawdziwa dżungla najrozmaitszych przyrządów i ktoś, kto nie został wprowadzony w arkana nauki, miałby trudności z przedarciem się przez nią. Natomiast nie było tutaj żadnych książek. Cała ogromna biblioteka zawierająca tomy wiadomości z różnych dziedzin wiedzy ludzkiej mieściła się w potężnej, zupełnie łysej i czerwonej jak dojrzały pomidor czaszce Hyde'a. Posiadacz fenomenalnej pamięci bez widocznego wysiłku wyciągał stamtąd każdą potrzebną mu informację.

W czasie długich lat pobytu w Indiach Hyde obrósł tłuszczem, rozleniwił się, zapuścił imponującą rudą brodę i przejął miejscowe zwyczaje. Potrafił całymi godzinami wylegiwać się na macie na wpół nagi, jedynie w krótkich białych spodenkach. W zasięgu ręki miał zawsze dzbanek napoju cytrynowego z lodem, słoik betelu i puszkę z tytoniem. Wargi jego były krwistoczerwone od śliny zabarwionej betelem. W jednej ręce trzymał wachlarz, a w drugiej fajkę; żuł betel, palił i rozmyślał. Co jakiś czas wydawał polecenia dwóm swoim

asystentom, Bengalczykowi i Anglikowi, którzy powinni byli zapisywać nawiedzające go myśli, a także od ręki przeprowadzać przeróżne doświadczenia. Jeśli asystentom zdarzyło się popełnić błąd, Hyde wpadał w złość i krzyczał, ale nie wstawał ze swojego legowiska i po chwili znowu śmiał się dobrodusznie.

Przy nogach Hyde'a na niskim bambusowym krzeselku siedział jego madraski kolega Oskar Fox — jeszcze jeden zapoznany geniusz. Był chudy jak szczapa, a jego pochmurna twarz o zapadniętych policzkach nosiła ślady przebytej malarii. Malowała się na tej twarzy irytacja człowieka, któremu nie powiodło się w życiu, a z tonu głosu przebijała gorycz. Fox nie odrywał oczu od zegarka i co kwadrans z zadziwiającą regularnością wyjmował z blaszanego pudełka jakieś pigułki i łykał je.

Mijał już z górą rok, odkąd Hyde i Fox pracowali nad stworzeniem latającego człowieka. Zadanie to zostało im zlecone przez kierownictwo Dandaratu. Chodziło o wynalezienie środka, który umożliwi człowiekowi szybowanie w powietrzu bez pomocy jakiegokolwiek aparatury — tak jak się lata we śnie. Jeśli uda się zachować tajemnicę, teozofowie i okultyści otrzymają nową potężną broń, która posłuży jako chwyt propagandowy w rozpowszechnianiu ich idei. Mając do dyspozycji latającego człowieka, można zainscenizować cały szereg „cudów” i utrzyć nosa oficjalnej nauce! Jeśli ktokolwiek na świecie mógł urzeczywistnić te plany, to właśnie tacy uczeni jak Hyde i Fox — w miarę awanturnicy i szarlatani, a w miarę marzyciele, ludzie bez wątpienia utalentowani. Obaj uczeni znaleźli w Dandaracie to, czego nadaremnie szukali gdzie indziej, czyli środki materialne, dzięki którym mogli realizować nawet najbardziej fantastyczne pomysły. Toteż wynaleźli dla szkoły Dandarat całą masę „cudów białej i czarnej magii”. Ale były to

najwyżej pomysłowe triki. Sprawa latającego człowieka wyglądała o wiele poważniej.

Hyde i Fox dążyli do celu odmiennymi drogami. Fos był inżynierem i fizykiem, a Hyde biofizykiem. Fox reprezentował typ naukowca, który w swoje pomysły wkłada maksimum wysiłku i żywi tysięczne wątpliwości co do ich ostatecznego wyniku. Nigdy nie decydował się na „frontalne uderzenie” i do problemu naukowego podchodził okrężną drogą, stosując liczne eksperymenty i „wypadki rozpoznawcze”; dreptał w kółko, zaczynał i rzucał. Chcąc wyjaśnić dręczące go wątpliwości, często rozmawiał z Hyde'em. Ale wystarczyło, że Hyde wniósł jakieś zastrzeżenia czy po prostu wyśmiał go, by Fox zarzucał kolejny pomysł i zaczynał rozmyślać nad czymś innym.

Hyde przeciwnie, był bardzo pewny siebie i szedł do celu przebojem. Nie uważał za stosowne zwierzać się Foxowi, w jaki sposób zamierza przystąpić do stworzenia latającego człowieka, a jedynie poinformował go, że rozwiązanie ich problemu leży w sferze takich nauk, jak fizyka, fizjologia i biofizyka.

Tym razem rozmowa rozpoczęła się od oświadczenia Foxa:
— Jestem pewny, że nareszcie wpadłem na szczęśliwą myśl. Problem latającego człowieka jest pochodną problemu latania muchy.

Gdy Hyde wreszcie przestał się śmiać, Fox urażonym tonem przystąpił do objaśnień. Usiłował dowieść, iż jego idea nie jest tak całkiem pozbawiona podstaw ani tak śmieszna, jak to się wydaje szanownemu koledze. I zaczął rozwodzić się na temat obserwacji, jakie poczynili uczeni, badając lot muchy — rzecz tylko z pozoru prosta, a w rzeczywistości niezwykle skomplikowana. Wspomniał też o specjalnym zespole mięśniowym w przedniej części muszkiego odwłoku, który steruje ruchami owada w dwojaki sposób: bezpośredni i

pośredni. Skrzydła muchy opisują w powietrzu ósemkę, dzięki czemu może ona latać przy stosunkowo niewielkim nakładzie energii i stosunkowo małej powierzchni skrzydeł, które jednak potrafią unieść w górę dość duży ciężar jej ciała. Gdyby udało się zbudować analogicznie działającą aparaturę, człowiek też mógłby polecieć przy użyciu skrzydeł niewielkich rozmiarów, poruszanych siłą jego własnych mięśni. I nie byłby mu potrzebny żaden silnik!

- Wspaniale! Cudownie! Bardzo dobrze! Doskonale! — W przerwach między poszczególnymi słowami Hyde zanosił się śmiechem, nie przestając jednocześnie szybko poruszać wachlarzem.

Uraza zabarwiła twarz Foxa na żółty kolor:

— Co pana tak śmieszy? Albo pan nie zrozumiał, co miałem na myśli, albo...

— Albo to pan nie rozumie nic a nic — przerwał mu Hyde. — Wygląda na to, że do pana nie dotarło, na czym polega istota problemu. Co mi tu pan proponuje?! Jeszcze jeden przyrząd latający! Nic innego, jak właśnie mechanizm, który można przyczepić do ramion byle głupka!

— Dlaczego akurat głupka?

— Mechanizm, który można będzie wyrabiać seryjnie! Pan chce stworzyć setki, tysiące ludzi-much! Z takim projektem powinien pan udać się do ministra wojny, a nie do dyrektora Dandaratu! Unoszący się w powietrzu żołnierze, zwiadowcy, strzelcy wyborowi, miotacze bomb! Nieźle, wcale nieźle. W wojsku i w ogóle. Wyrzucimy na złom schody, windy i eskalatory. Ludzie-muchy na podobieństwo wylatujących z ula pszczoł opuszczają swoje drapacze chmur bezpośrednio przez okna i rojami fruują wzdłuż ulic! A co za frajda dla zdobywców Everestów i różnych tam Mont Blanc! Unosząc się na swoich muszych skrzydełkach, alpiniści obsiądą nam wszystkie szczyty górskie jak prawdziwe muchy głowy

cukru!... Pan mnie zaraził swoją wizją, drogi panie. Ale niestety, musimy dążyć do czegoś wręcz przeciwnego. Nasze zadanie polega na stworzeniu człowieka-fenomenu, który będzie mógł latać bez użycia jakiegokolwiek aparatury. Ot, zechciał i pofrunął...

— No dobrze. Ale jeśli uda się stworzyć jednego takiego człowieka, nic nie stanie na przeszkodzie, aby fabrykować setki i tysiące jemu podobnych, prawda?

— Święta prawda.

— Na czym więc polega różnica?

— A na tym, drogi kolego, że wystarczy złapać jednego takiego człowieka-muchę, żeby tajemnica zaraz wyszła na jaw. Byle inżynier, przyjrząwszy się pańskiemu przyrządowi, potrafi skonstruować taki sam! Natomiast, jeśli w niepowołane ręce wpadnie mój latający człowiek, tajemnica zostanie zachowana — tak czy inaczej nikt nic nie wykryje i nie zrozumie, gdyż ja jeden znam sekret jego „produkcji”. No i ten latający człowiek będzie jedynym egzemplarzem na całym świecie. Stworzyć następnego, czy tam któregoś z kolei, mogę tylko ja. I tylko wtedy, gdy otrzymani wyraźne zamówienie Dandaratu. Jasne?

Fox był zbity z tropu. Połknął pigułkę, chociaż wydała mu się szczególnie gorzka. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili:

— No cóż, osobiście uważam, że to, co pan mówi, jest niemożliwe do zrealizowania. Przypomina to pustą gadaninę na temat lewitacji fakirów, o której tyle się mówi i pisze. Lecz nam, uczonym, nie przystoi wierzyć w baśnie. Mieszkam w Indiach już dziewięć lat i nigdy nie widziałem, żeby ktoś uniósł się w powietrze. I gdyby opowiedział mi o takim wypadku jakiś naoczny świadek, ktoś, komu ufam bezgranicznie, nie wahałbym się powiedzieć tak: „Przyjacielu, padłeś ofiarą sprytnego oszustwa albo znajdowałeś się pod działaniem hipnozy!”

— Pokój z nimi, z fakirami. — I Hyde zawołał głośno: — William!

Z przyległego pokoju wyszedł młody człowiek o bladej, zmęczonej twarzy.

— Proszę zademonstrować mister Foxowi nasz eksperyment numer jeden.

William wyszedł i zaraz powrócił niosąc tacę, na której stała niewielka skrzyneczka.

— Mister Fox, proszę otworzyć skrzynkę kluczem i unieść wieczko.

Fox, pełen sceptycyzmu, obrócił klucz w zamku, lecz nie zdążył już podnieść pokrywki, która uniosła się do góry jak pod działaniem ukrytej sprężyny. Z wewnątrz wyskoczył kłębek ciemnej porowatej masy wielkości pięści, wzbił się pionowo, z lekkim stuknięciem uderzył o sufit i znieruchomiał jak przyklejony.

Zdumiony Fox zadarł głowę i w milczeniu obserwował przyczepiony do sufitu kłębuszek, podobny do kawałka czarnej gąbki.

— Proszę to zdjąć, Williamie! — rozkazał Hyde.

William przyniósł drabinę, wszedł po niej, chwycił gąbkę i zlązł na dół.

— Proszę to wziąć, mister Fox, i trzymać mocno!

Fox nie poczuł ciężaru gąbki. Wydało mu się nawet, że porowata masa w jego ręku prze nieznacznie z dołu do góry. William zabrał od niego gąbkę, zamknął w skrzyneczce i wyszedł z pokoju.

— Przygotowując ten pierwszy eksperyment, pozwoliłem sobie wtargnąć na pańskie podwórko — odezwał się Hyde. — Na teren fizyki lekkich struktur. Ta oto porowata masa zbudowana jest z mikroskopijnej grubości ścianek i przedzielających je pustych komór wypełnionych wodorem. Jest to pierwszy w świecie „szybujący metal"! Proszę sobie

tylko uzmysłować: metale superlekkie, metale o ciężarze zerowym i wreszcie metale unoszące się w powietrzu! Mogłoby to spowodować prawdziwy przewrót w technice, przede wszystkim w budownictwie i transporcie. Jakbym widział pomykające w stratosferę wieżowce i bujające w powietrzu miasta! Za ten wynalazek powinni byli obsypać mnie złotem, ale „oni” odepchnęli mnie, nie uznali moich zasług. Cóż, tym gorzej dla „nich”! Wynalazek mój posłuży więc Dandaratowi, tej fabryce cudów. Niech pan sobie wyobrazi skałę przytwierdzoną do ziemi za pomocą łańcuchów. Przychodzi człowiek, opiera się o skałę, odrzuca łańcuchy — i skała unosi się w powietrze! Ba, człowiek też ulatuje razem z nią w górę! Efektowne, co?

— I pan to nazywa lewitacją? — z nutką ironii w głosie zapytał Fox. — W takim razie lot dziecięcego balonika — to też lewitacja?

— Nie, nie nazywam tego lewitacją — odparł Hyde. — Zjawisko lewitacji zachodzi wtedy, gdy w powietrzu unosi się człowiek. Ale nikt jeszcze nie widział człowieka, którego ciało byłoby zbudowane z porowatej, pozbawionej ciężaru masy. Jest to dylemat nie do rozwiązania; nawet ja nie potrafię stworzyć człowieka, którego wystarczy leciutko kopnąć, żeby zaraz frunął pod obłoki. Ale istnieje znacznie łatwiejszy sposób. William! Proszę o zademonstrowanie eksperymentu numer dwa!

Ukazał się William niosący drewnianą tacę. Wyglądał jak kelner podający do stołu. Na tacy stała czarna skrzynia z korbką, a na niej — biały sześcian. William umieścił tacę na podłodze przed Foxem.

— Proszę poruszyć korbą! — rozkazał Hyde.

Fox zobaczył, jak sześcian płynnie poszybował pod sufit, zatrzymał się tam przez chwilę, a następnie równie spokojnie

opuścił się na podłogę, gdy William pokręcił korbą w drugą stronę.

— Cuda elektrotechniki? Zjawisko elektromagnetyzmu? — dopytywał się Fox.

— Zgadł pan, ale tylko w połowie! — śmiejąc się odpowiedział mu Hyde. — Przecież pan jest fizykiem! Proszę ruszyć mózgownicą, spróbować zgadnąć!...

Fox utkwiał tępy wzrok w sześcianie. Hyde znowu się roześmiał i powiedział wielce z siebie zadowolony:

— Tak, tak, to zbyt twardy orzech do zgryzienia dla współczesnych fizyków. Jednak prace moje są już tak daleko zaawansowane, że mogę uchylić rąbka tajemnicy. Chodzi o molekularne ruchy Browna. Czy to coś panu mówi?

Fox w milczeniu, szeroko otwartymi oczami patrzył na Hyde'a.

— Zatkąło pana? No, myślę! Tak zwane ruchy Browna, to nieuporządkowane, chaotyczne ruchy cząsteczek. Co prawda, teoria prawdopodobieństwa poucza nas, iż teoretycznie nie można wykluczyć przypadku, kiedy wszystkie cząsteczki podążą jednocześnie w jednym kierunku — do góry. I wtedy kamień czy też człowiek mógłby wznieść się nad ziemią. Lecz prawdopodobieństwo takiego przypadku wyraża się stosunkiem: jeden do jednego z taką ilością zer, że praktycznie wydarzenie takie jest mniej prawdopodobne niż, dajmy na to, zderzenie się Słońca z jakimś innym ciałem niebieskim. Mówiąc prościej, jest to prawdopodobieństwo równe zeru. Zwykle tak się dzieje, że cząsteczka przy zderzeniu się z inną cząsteczką wykazuje jednakowe tendencje do podążania zarówno w prawo, jak i w lewo, do góry i jednocześnie w dół, i w rezultacie pozostaje w miejscu. Nic więc dziwnego, że współcześni uczeni oświadczyli:

„Nie możemy mieć jakichkolwiek złudzeń co do tego, że uda się kiedykolwiek wykorzystać w praktyce zjawisko ruchów

Browna do, powiedzmy, podniesienia cegły na wysokość ściany budującego się domu". Oznajmili więc tym samym, iż niemożliwością jest, aby ciało ludzkie pokonało przyciąganie ziemskie! No, a ja pomyślałem sobie: czy naprawdę należy postawić na tej sprawie krzyżyk? Ludzie dawniejszych epok również nie wierzyli, że uda się kiedyś opanować żywiołową, niszczącą, kapryśną i gwałtowną energię piorunu. Podobna myśl wydawała się im czystym szaleństwem. I proszę: dzisiaj owa pokonana siła płynie w sieci elektrycznej, porusza maszyny, dostarcza światła i ciepła!

— I stąd te pana dążenia: opanować ruchy Browna, nauczyć się kierować nieuporządkowanymi skokami molekuł!

— Tak. Postawiłem przed sobą to zadanie i, jak pan widzi rozwiązałem je. William! Proszę pokazać mister Foxowi taniec probówek!

Na stole pojawił się podłużny płaski przyrząd z ustawionymi na nim szklanymi probówkami, które w pewnej chwili zaczęły podskakiwać do góry. Śmigwały coraz wyżej. Jedne wznosiły się i opadały dość wolno, inne natomiast uwijały się jak w ukropie. William pokręcił korbką przyrządu i wtedy jedna z probówek skierowała się w stronę okna i wyleciała przez nie z szybkością kuli karabinowej.

— Ma pan możliwość obserwowania kolejnego etapu moich prac. Wiele się namozoliłem, zanim te probóweczki raczyły wykonać takiego pięknego kadryla! O ileż łatwiejsze musi być wytresowanie hipopotama, słonia czy muchy! Jeśli chodzi o molekuły, zasadnicza trudność polega na tym, że szybkość poruszania się tych tancererek jest bardzo różna. W probówkach są uwięzione molekuły wodoru, azotu i dwutlenku węgla. Proszę mi wierzyć, to nie było łatwe — zmusić to całe towarzystwo, by wykonywało taneczne pas w tym samym tempie. Przy temperaturze zera stopni w skali Celsjusza cząsteczki wodoru osiągają szybkość tysiąca

sześciuset dziewięćdziesięciu dwóch metrów na sekundę, a cząsteczki azotu wszystkiego czterysta pięćdziesiąt cztery metry na sekundę. Prędkość poruszania się molekuł dwutlenku węgla jest jeszcze niższa i wynosi trzysta sześćdziesiąt dwa metry na sekundę. Jeśli chodzi o cząsteczkę wodoru, chyżość, z jaką się porusza, przekracza szybkość kuli karabinowej, a nawet pocisku wystrzelonego z armaty, zbliżając się do szybkości pocisków artyleryjskich dalekiego zasięgu. Przy zwiększeniu temperatury szybkość molekuł wzrasta jeszcze bardziej! Widział pan, z jaką szybkością „wyfrunęła” próbówka z wodorem? Proszę sobie teraz wyobrazić mknące w powietrzu kule i pociski, których siłę napędową stanowią jedynie ich własne molekuły!

— A w jaki sposób udało się panu przekształcić bezładny i nieregularny ruch cząsteczek w bieg uporządkowany? — zapytał Fox.

— To długa historia. Mogę powiedzieć tylko tyle, że jak dotychczas, przy obserwacji ruchu cząsteczek fizycy brali pod uwagę jedynie temperaturę, ignorując zjawiska elektryczne. Musiałem dogłębnie poznać skomplikowaną grę sił we wnętrzu atomów, z których składają się molekuły, i opanować zasady tej gry.

— Czyli istotą tego fenomenu są drgania elektryczne, a nie ruchy Browna?

— I jedno, i drugie.

Fox zamyślił się.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, udało się panu opanować ruch cząsteczek przy pomocy takich zjawisk elektrostatycznych, jak przyciąganie się i odpychanie, i zmiany potencjału ładunku elektrycznego. Cóż, mogę się z tym zgodzić. Ale to, co pan pokazuje, dotyczy materii nieożywionej.

— A czyż ciało ludzkie nie składa się z materii nieorganicznej, z molekuł i atomów? — odpowiedział

pytaniem Hyde. — Trudność nie na tym polegała. Po pierwsze, musiałem sprowadzić do wspólnego mianownika ruchy poszczególnych molekuł poruszających się z różną prędkością, gdyż w przeciwnym wypadku ciało człowieka zostałoby rozerwane na strzępy. Chcąc rozstrzygnąć ten problem, powiązałem ze sobą osiągnięcia dwu odrębnych gałęzi wiedzy — fizyki i elektrofizjologii. Poza tym, w celu zwiększenia potencjału elektrycznego ciała ludzkiego, wprowadzałem do organizmu sztucznie uzyskane pierwiastki promieniotwórcze, które dostarczały mu energii promieniowania. W ten sposób powstał łańcuch: impulsy emitowane przez mózg, myśl — system nerwowy — zjawiska z dziedziny fizyki elektryczności — zjawiska na poziomie molekularnym.

— I co? Udało się panu?

— Ocena należy do pana. Satisfisz! Proszę przynieść gąsienicę! Drugi pomocnik Hyde'a przyniósł kwiat w doniczce z siedzącą na liściu gąsienicą i potrząsnął gałązką. Gąsienica spadła z liścia, lecz nie dosięgła podłogi, gdyż w połowie drogi nieoczekiwanie zatrzymała się w powietrzu.

Fox wyciągnął rękę. Chciał sprawdzić, czy gąsienica nie zawisała na pajęczynie, lecz pajęczyny nie było! Satisfisz ostrożnie zgarnął gąsienicę i wyszedł, a po chwili, nie czekając na polecenie Hyde'a, przyniósł małe kurczę, któremu jeszcze nie wyrosły skrzydełka. Posadził je na podłodze i głośno klasnął w dłonie. Nieopierzone kurczątko, wyraźnie przestraszone, podskoczyło i frunęło w górę. Jakiś czas z piskiem miotano się po pokoju, a potem wyleciało przez okno do ogrodu. Fox podszedł do okna i zobaczył, że kurczątko wylądowało na trawniku.

— Proszę nie odchodzić od okna — powiedział Hyde.

W ogrodzie pojawił się Satisfisz, który niósł ze sobą kota. Posadził kota na drzewie i zawołał:

— Kude! Kude! Szybko! Patrz, tam jest kot! Kot!

Do drzewa z głośnym szczekaniem podbiegł piesek, który wabił się Kude. Zobaczył kota, podskoczył i w tej samej chwili pomknął w górę. Żaloszny skowyt i szczekanie były coraz cichsze i coraz mniej wyraźne.

— Kude! Kude! — nawoływał Satisfz głośno.

Pies, który zdążył osiągnąć wysokość paruset metrów, począł opuszczać się i wkrótce stanął na ziemi, u nóg Satisfza. Podskakiwał radośnie i byłby znów poszybował pod obłoki, gdyby Satisfz nie wziął go na ręce.

— A teraz pokażemy państwu przedostatni numer naszego programu — wesoło odezwał się Hyde, gdy Satisfz oddalił się z psem. — Proszę zostać przy oknie, mister Fox.

Satisfz umieścił na ścieżce ogromną ropuchę i leciutko dotknął jej stopą. Ropucha podskoczyła i poszybowała ponad krzewami i drzewami parku. Nabierała coraz większej szybkości i wkrótce zniknęła im z oczu. Fox stał nieruchomo i przez dłuższy czas wpatrywał się w błękit nieba.

— No i co pan na to? — spytał Hyde.

Fox w milczeniu usiadł na krześle, odruchowo spojrział na zegarek, drgnął i szybko włożył do ust naraz dwie pigułki, lecz nawet nie poczuł ich smaku.

— Mam nadzieję, iż zgodzi się pan, że były to pokazy lewitacji? — spytał Hyde, wprawiając w ruch wachlarz. — Czy był pan łaskaw zwrócić uwagę na zachowanie się tych zwierząt? Zademontrowana przeze mnie gąsienica posiadała instynktowną zdolność spuszczenia się w dół po nitce. Gdy wyciąłem jej gruczoły ślinowe, utraciła zdolność snucia nitki i nie miała na czym zawisnąć, gdy znalazła się w powietrzu. Lecz ośrodki nerwowe gąsienicy pracowały nadal i wysyłały odpowiednie impulsy. To wystarczyło, aby wprawić w ruch organizowane przeze mnie na nowych zasadach molekuly jej organizmu, a także aby dokonała się zmiana ładunku

elektrycznego tych molekuł w stosunku do całkowitego ładunku elektrycznego ziemi. W rezultacie gąsienica zawisała w powietrzu. Co do kurczęcia — jest to ptak, który prawie całkowicie utracił możliwość latania, lecz zachował kierujące procesem latania instynkty. I dzięki temu nasze pisklę mogło wykorzystać swoją nową umiejętność, czyli zdolność do lewitacji, w sposób bardziej efektywny. Natomiast pies potrafi tylko podskakiwać. I chociaż pod względem umysłowym jest to zwierzę stojące na wysokim szczeblu rozwoju, nieoczekiwany bieg wypadków oszołomił je i Kude byłby zginął, unosząc się coraz wyżej, gdyby nie wołanie Satisza, które spełniło rolę bodźca, przywracając mu pragnienie powrotu na ziemię. No, a ropucha, znajdująca się na jednym z niższych stopni ewolucji, niewątpliwie zginęła przy zetknięciu się z zimną i ubogą w tlen górną warstwą atmosfery. Eksperymenty wykazały, że wraz ze śmiercią zwierzęcia zanika zdolność lewitacji i bardzo możliwe, że nasza żabka do tego czasu zdążyła wylądować na głowie jakiegoś wielce zdziwionego chłopka... Zresztą zdolności lewitacyjne znikają, powinny zniknąć, gdy następuje rozpad sztucznych pierwiastków promieniotwórczych w organizmie. Z powyższego — kontynuował Hyde — można wyciągnąć wniosek natury ogólniejszej i osobiście nie wątpię, że pan zdążył już to zrobić: z lewitacji ma się pożytek tym większy, im bardziej rozwinięty jest wyższy układ nerwowy zwierzęcia. Natomiast jedynie człowiek zdolny jest korzystać z niej w całej pełni.

— Eksperyment z ropuchą nazwał pan przedostatnim. Gdzież więc ostatni? — zapytał Fox.

— Chyba nietrudno się domyślić, że ostatni będzie dotyczył człowieka — odpowiedział Hyde.

— Będzie! Znaczyłoby to, że pan jeszcze nie robił eksperymentów z udziałem człowieka?

— Ale przekonał się pan, że jestem już blisko celu — odpowiedział mu Hyde. — Lecz wróćmy do psa. Wygląda na to, że żadna z półkul mózgowych zwierzęcia ani też jego system nerwowy jako całość nie odniosły większego szwanku. A przecież w jego organizmie powinny były zajść daleko idące zmiany, przede wszystkim w funkcjonowaniu układu krążenia i układu nerwowego! Czekam jedynie...

Nagle rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Bharawa-Pearth.

— A, mister Pearth! Wielce czcigodny guru! Babu Bharawa!

— szyderczo zawołał Hyde. — Co słychać?

— Przysłał mnie do pana mister Brownlaugh, abym...

— Brownlaugh już rozmawiał ze mną. Kogo on typuje?

— Ariela. Aureliusza Galtona.

— Niech więc pierwszym latającym człowiekiem będzie Ariel

— obojętnym tonem powiedział Hyde.

— Skłonny jestem nawet widzieć w tym rękę Opatrzności — zaczął Pearth ze wzrokiem utkwionym w sufit. — Pan wie o tym, że w Dandaracie przyjęte jest nadawać wychowankom nowe imiona. Aureliusza nazwaliśmy Arielem ze względu na współbrzmienie obu imion. Ariel — to nazwa jednego z księżyców planety Uran. Uran jako uosobienie życiodajnej siły nieba...

— Litości, mister Pearth! Pan tak świetnie wszedł w swoją rolę sanjasi (święty) Bharawy, że czasami zapomina, kogo obdziela skarbami swojej wiedzy!

— Przyzwyczajenie jest drugą naturą — z uśmiechem i już zupełnie innym tonem odpowiedział Pearth. — Chciałem pana o coś zapytać, mister Hyde. Czy eksperyment nie zagraża życiu Ariela?

— Raczej nie — odparł Hyde. — Lecz jeśli życie chłopca tak wiele znaczy dla pana, proponuję, żeby pan poddał się próbie w pierwszej kolejności. Dla mnie jest to najzupełniej obojętne,

a od kogoś muszę przecież zacząć. Fruwający dyrektor szkoły!
To by dopiero była sensacja!

Pearth puścił mimo uszu złośliwy żart Hyde'a i pytał dalej:

— A czy próba nie odbije się na sprawności jego umysłu?

— To nie jest wykluczone.

— Cóż, trudno. Biorąc pod uwagę doniosłość celu, powinniśmy być gotowi na wszelkie ryzyko — z westchnieniem powiedział Pearth.

— Wie pan co? Nie znoszę tych pana obłudnych mówek! Przejrzałem pana, mister Pearth! Pragnie pan, aby Ariel pozostał przy życiu, a jednocześnie postradał zmysły, niezupełnie oczywiście, ale w sam raz na tyle, żeby go można było wykorzystać do waszych teozoficznych i — cha! cha! cha! — „magicznych” celów! Czy nie mam racji, stary lisie?

Pearth o mało nie wybuchnął, lecz w porę uświadomił sobie, że Hyde jest mu potrzebny. Opanował się i odpowiedział sucho;

— Obowiązkiem naszym jest posłuszeństwo wobec najwyższych przeznaczeń. Cieszę się, że pan mi wyjaśnił, co i jak należy czynić, mister Hyde. Ariel zjawi się u pana dzisiaj wieczorem. Ale zalecam jak najdalej posuniętą ostrożność! Proszę umiejętnie przygotować Ariela do tego, co go czeka. Nieoczekiwany dar — w tym wypadku umiejętność latania — to nie żarty. Boję się, żeby chłopiec z miejsca nie roztrzaskał sobie głowy!

Rozdział czwarty

PRZYJACIELE

Szarad wrócił ze szpitala i zamieszkał w izdebce Ariela. Pomiedzy chłopcami zawiązała się dość niezwykła, jak na stosunki w Dandaracie, zażyłość.

Zgodnie z obowiązującą tutaj zasadą starsi koledzy opiekowali się młodszymi i byli ich pierwszymi i najbliższymi wychowawcami, a także guru. Mowy nie było o jakimś spoufaleniu się, przyjaźni czy sympatii! W Dandaracie ślepe posłuszeństwo jest podstawą wychowania. Lecz Ariel zdołał zachować pewną dozę samodzielności, która kryła się pod maską całkowitego posłuszeństwa. Instykt samozachowawczy sprawił, że stał się dwulicowy i nie gardził nawet symulacją. Będąc w tym mistrzem, prowadził Szarada tą samą ścieżką. Malec wyczuł, czego się od niego wymaga. Przybierał skruszoną minę, gdy Ariel w obecności osób trzecich karciał go surowo za rzekome przewinienia. Ale gdy tylko zostawali sami, Ariel udzielał szeptem swojemu wychowankowi rad i wskazówek, od których ich mentorom i nauczycielom włosy stanęłyby na głowie. Często z jego ust wyrywały się słowa: „Nienawidzę ich!” — i Szarad rozumiał, kogo guru Ariel ma na myśli. Szarad w równym stopniu nienawidził swoich dręczycieli, lecz to uczucie tłumił w nim strach. Chłopiec drżał ustawicznie i wciąż się rozglądał dokoła, lękając się za nich obu, gdy Ariel wyjawiał mu swoje myśli.

Któregoś wieczoru, gdy Ariel i Szarad rozmawiali przyciszonymi głosami, w korytarzu dały się słyszeć skradające się kroki. Ariel, który słuch miał nadzwyczaj wyczulony, natychmiast odsunął się od chłopca i zaczął głośno krzyczeć, wypominając mu jakieś wykroczenie. Na twarzyczce Szarada odmalowało się poczucie winy. Do pokoju wszedł Bharawa. Jak zwykle uważnie przyjrzał się obu wychowankom i zwrócił się do Ariela ze słowami:

— Mój synu! Nie szczędząc trudów i wysiłków, wychowaliśmy ciebie i troszczyliśmy się o twoje potrzeby. Nastął czas zebrania plonów. Jesteś już prawie dorosły. Otrzymałeś odpowiednie wykształcenie. Pora, byś podjął

pracę i postarał się odwdzięczyć tym, którzy żywili cię i dali dach nad głową. Spotkał wielki zaszczyt: Dandarat wyznaczył cię do chlubnych celów. Jestem pewny, że nie zawiedziesz pokładanych w tobie nadziei.

Ariel słuchał tego wygłaszanego napuszczonym tonem przemówienia i nie spuszczał oczu z twarzy Bharawy jak człowiek, który nie ma nic do ukrycia. Zrozumiał, że oto ważą się jego losy, że nastął przełomowy moment w jego życiu. Lecz żaden mięsień nie drgnął w jego twarzy, która pozostała spokojna i nieprzenikniona jak zawsze.

Szarad również zrozumiał, że czeka go rozłąka z jedynym przyjacielem, z tym, który czynił jego los znośniejszym. Chłopiec nie potrafił tak dobrze ukrywać swoich uczuć jak Ariel, dlatego też spuścił wzrok i wstrzymał oddech, aby nie zwrócić na siebie uwagi Bharawy.

Ariel „zdmuchnął pył” ze stóp Bharawy, to znaczy schylił się, dotknął dłonią jego stóp, uniósł tę dłoń do czoła i odezwał się: — Moje myśli, moje pragnienia, moje uczynki, moje życie należą do ciebie!

Bharawa był zadowolony z przeprowadzonej inspekcji. Po raz pierwszy od wielu lat obdarzył Ariela czymś w rodzaju pieśczości — dotknął ręką jego brody, a następnie ucałował koniuszki swoich palców.

— Pójdź ze mną, Arielu. Twój następny krok będzie pierwszy na nowej drodze życia.

Ariel ruszył za Bharawą jak dobrze wytresowany pies.

Gdy Szarad pozostał sam, zasłonił twarz ręką i nie będąc w stanie powstrzymać łez, gorzko zapłakał. Ale jakaż była jego radość, gdy o północy poczuł znajomy dotyk ręki i usłyszał szept Ariela:

— Szarad!...

— Czy to ty, dada? (starszy brat) — zapytał chłopiec szeptem.

— Ja, ja! Nie lękaj się!...

— Co się z tobą działo, dada?

— Ciszej!... Bharawa... Czy ty wiesz, że on wcale nie jest Hindusem? To Anglik, nazywa się Pearth... Zaprowadził mnie do Charlesa Hyde'a, to taki uczonec... i też sahib... Na widok Bharawy Hyde wykrzyknął: „Witam, witam, mister Pearth! Czy to jest Ariel?” Bharawa wpadł w złość... zaczął mrugać do Hyde'a. Hyde zrozumiał, że popełnił błąd, i powiedział, chcąc to naprawić: „Dobry wieczór, babu Bharawa!” Ale to mi wystarczyło, zrozumiałem, że Bharawa nie jest Hindusem. Zresztą, domyślałem się tego już wcześniej...

Tutaj u nas kłamią na każdym kroku.

— A co robił ten Hy... Hyde? — z niecierpliwością wypytywał Szarad.

— Hyde zbadał mnie, jak to robi lekarz, a potem powiedział do Bharawy: „Nadaje się w każdym calu. Jest zdrow. Za parę dni będzie...” Ale Pearth znów zaczął do niego mrugać i stroić miny i Hyde polecił mi: „Przyjdź jutro rano, przed śniadaniem. Rozumiesz? Przed śniadaniem. Nie wolno ci nic jeść! I umyj się porządnie. Najlepsza byłaby kąpiel, a nie ta wasza zwyczajowa ablucja”. I to wszystko

— Ale dlaczego nie było cię tak długo?

— Bharawa udzielał mi wskazówek życiowych: „Posłuszeństwo, posłuszeństwo i jeszcze raz posłuszeństwo”.

— Ariel roześmiał się cichutko.

Tej nocy przyjaciele nie myśleli o śnie. Szarad pograżył się w rozpacz z powodu czekającej ich rozłąki. Ariel snuł przypuszczenia na temat swojej najbliższej przyszłości.

Rozdział piąty

NA NOWEJ DRODZE ŻYCIA

Na drugi dzień rano Ariel pożegnał się z Szaradem i udał się do Hyde'a, który przyjął go ubrany w biały fartuch i białą czapkę lekarską.

Ariel znalazł się w pomieszczeniu zastawionym dziwną i niezwykle skomplikowaną aparaturą. Przypominało to salę operacyjną i gabinet rentgenowski jednocześnie.

Hyde polecił mu rozebrać się i położyć na stole zasłanym białą ceratą. Ariel usłuchał bez słowa sprzeciwu, myśląc, że chodzi o seans hipnotyczny. Był mistrzem w symulowaniu stanów hipnotycznych. Lecz okazało się, że jest w błędzie. Hyde kazał mu połknąć rozpuszczony w wodzie proszek i krzyknął:

— William! Maskę!

Młody mężczyzna w białym fartuchu i białym czepku nałożył na twarz Ariela maskę z waty, która wydzielala mdły zapach.

— Oddychaj głęboko. Arielu. A teraz licz głośno! — nakazał Hyde.

— Jeden... dwa... trzy... — zaczął Ariel.

Przy końcu drugiej dziesiątki język zaczął mu się plątać i chłopiec zapadł w sen.

— Już po wszystkim — usłyszał, gdy odzyskał przytomność i otworzył oczy. Czuł mdłości i zawroty głowy. Zorientował się, że leży na podłodze w gabinecie-laboratorium Hyde'a.

— Źle się czujesz? To nic, zaraz ci przejdzie. Leż tylko spokojnie — powiedział Hyde.

Hyde swoim zwyczajem leżał na macie na wpół rozebrany; usta miał zabarwione na czerwono, żuł betel, palił fajkę i szybko poruszał wachlarzem. Pomny na ostrzeżenia Peartha, postanowił stopniowo przygotować Ariela do czekającej go roli latającego człowieka. Zaczął więc oględnie, widząc, że chłopiec czuje się już zupełnie dobrze:

— Czy jesteś silny, Arielu? Czy mógłbyś, na przykład, podnieść w górę swojego kolecę?

— Nigdy nie próbowałem, ale myślę, że mógłbym — odpowiedział Ariel po chwili zastanowienia. Życie nauczyło go ostrożnych odpowiedzi.

— Każdy normalny, zdrowy człowiek zdolny jest unieść ciężar równy ciężarowi swego ciała, a nawet większy! William!

Gdy William się zjawił, uczony polecił mu:

— Weź krzesło! I skacz!

William, niewątpliwie przygotowany do tej roli zawczasu, usiadł okrakiem na wiedeńskim krzeselku, oplótł nogami jego nóżki i, mocno trzymając się rękami oparcia, zaczął podskakiwać wraz z krzesłem po podłodze, jak to robią bawiące się dzieci. Ariel ze zdziwieniem obserwował tę galopadę.

— Arielu, zwróć uwagę na nogi Williama, które nie dotykają podłogi. William posuwa się do przodu, bo rękami podrywa krzesło do góry i unosi się wraz z nim w powietrze. Za każdym razem podskakuje na krześle na wysokość od trzech do pięciu centymetrów i na taką samą odległość przesuwa się po podłodze. Ale gdyby William, zachowując swoją normalną wagę, był silniejszy fizycznie, podskakiwałby znacznie wyżej i jego susy byłyby znacznie dłuższe. Rozumiesz to, prawda? Wysokość i długość skoku zależą od fizycznych możliwości skaczącego. Nie ma w tym żadnych cudów, jest to rzecz najzwyczajniejsza w świecie. No więc tak... Posłuchaj teraz uważnie, Arielu. Kiedy byłeś pod narkozą... to znaczy, gdy spałeś, wprowadziłem do twojego organizmu... no, wlałem w twoje ciało... pewien płyn, który wielokrotnie zwiększył twoje siły fizyczne. I teraz będziesz mógł skakać na krześle lepiej od Williama. Spróbuj! Wstań, siadaj na krzesło i skacz, jak to robi William!

William ustąpił Arielowi miejsca. Przedtem jednak przytwierdził do obręczy krzesła sznurek, którego koniec trzymał w ręku.

— Skacz, Arielu!

Ariel szarpnął dłońmi oparcie krzeselka i nieoczekiwanie dla siebie wykonał skok niemal na całą wysokość pokoju. Byłby rozbił sobie głowę o sufit, gdyby nie sznurek Williama, który zatrzymał krzesło, gdy zataczało łuk w powietrzu.

Ariel spadł na podłogę razem z krzesłem, powalając przy tym Williama.

Hyde roześmiał się, głośno, lecz zaraz ściągnął brwi. Widać było, że się denerwuje, i nawet przestał żuć betel.

— Nic sobie nie zrobiłeś, Arielu?

— Potłukłem się... trochę... w kolano i łokieć — odpowiedział Ariel, oszołomiony tym, co się wydarzyło.

— A co czułeś, gdy uniosłeś się w powietrze?

— Mnie... Ja... poczułem uderzenie w głowę i plecy. Jakby lekki ucisk, tylko że nie z zewnątrz, a gdzieś z wewnątrz...

— Tak, tak... tego właśnie należało się spodziewać — mruknął Hyde. — Ale chyba niezbyt silny? Nic nie bolało?

— Nie, nic. Tylko w pierwszym momencie. Byłem bardzo zdziwiony i nawet przeląknęłem się trochę.

— Ale ból nie przeszkodził ci myśleć? Czy nie straciłeś przytomności — chociażby na krótki czas?

— Nie — odpowiedział Ariel. — Jestem pewny, że nie.

— Bardzo dobrze! — wykrzyknął Hyde i dodał cicho: — Przynajmniej dla mnie. Pearth nie będzie zadowolony na sto procent, ale to już jego zmartwienie! A to, że spadłeś i potłukłeś się, to nie twoja wina, lecz sznurka. Inna rzecz, że gdyby go nie było, mógłbyś roztrzaskać sobie głowę o sufit. Przywiązaliśmy sznurek do krzesła, bo nie umiesz jeszcze odpowiednio pokierować zapasem swoich sił fizycznych. Posłuchaj uważnie, co ci powiem, Arielu. Teraz potrafisz

robić rzeczy, których nie jest w stanie zrobić żaden człowiek. Możesz latać. Polecisz, jeśli tego zapragniesz. Będziesz mógł wzbić się w powietrze, polecieć szybciej lub wolniej, skierować się tam, gdzie zechcesz, a potem zniżyć lot i wylądować w wybranym przez siebie miejscu. Trzeba tylko, żebyś nauczył się sterować swoim ciałem, tak jak kierujesz nim, gdy idziesz, wstajesz, siadasz czy kładziesz się na łóżko. Zrozumiałeś? A teraz poskacz jeszcze trochę. I nie szarp krzesłem. Wystarczy, jeśli pomyślisz o tym, że chcesz unieść się w górę i polecieć.

Ariel usiadł na krześle, uchwycił się dłońmi oparcia i pomyślał: „Zaraz polecę do góry!” I rzeczywiście uniósł się na wysokość metra, okrążył na krześle pokój i spokojnie opuścił się na podłogę obok Hyde'a. Nie mógł uwierzyć, że dokonał czegoś podobnego!

— Brawo! Robisz znaczne postępy!

— A bez krzesła nie potrafię latać? — spytał Ariel.

— Ależ oczywiście! Cha! cha! cha! — Hyde ryknął śmiechem, rozpryskując wokół czerwono zabarwioną ślinę. — Czy naprawdę myślisz, że krzesło jest mechanizmem latającym, czymś w rodzaju miotły, na której jeżdżą czarownice? Teraz jesteś latającym człowiekiem. Pierwszym człowiekiem, który może latać bez pomocy jakichkolwiek mechanizmów i skrzydeł! Możesz być z siebie dumny!

Ariel wstał z krzesła. „Polecę!” I uniósł się w powietrzu, po czym nieruchomo zawisnął pod sufitem.

— Cha! cha! cha! Awanturnik i szarlatan, co? — ryczał Hyde, mając na myśli swoich uczonych kolegów, którzy odmówili mu miana geniusza. — No to teraz macie!

Drzwi gabinetu otworzyły się. Na progu stał Bharawa, z za jego pleców wyglądał Fox.

Ujrzawszy Ariela zawieszzonego w powietrzu między podłogą a sufitem, Bharawa-Pearth otworzył szeroko usta i zamarł w

bezruchu. Fox upodobił się do znaku zapytania, ściągnawszy usta w cierpkim uśmiechu.

Ariel wolno opisywał w powietrzu kółka, zniżał się i znowu wznosił płynnym ruchem.

— Proszę wejść, panowie! I cóż wy na to? — W głosie Hyde'a brzmiał tryumf.

Pearth ochłonął wreszcie ze zdumienia i rzucił się do zamykania okien, mrużąc: „Cóż za nieroztropność!” Potem obszedł Ariela dookoła i pokręcił głową.

— Gratuluję, kolego! — wycedził przez zaciśnięte zęby Fox, podchodząc do Hyde'a i krzywiąc wargi w uśmiechu.

— No i jak? To chyba lepsze niż pańska mucha? — zapytał Hyde, poufale klepiąc Foxa po ramieniu, aż ten się zatoczył.

Ariel opuścił się na podłogę. Bharawa-Pearth pośpieszył do telefonu, aby połączyć się z Brownlaughem i poprosić go, by zechciał przybyć jak najspieszniej.

— Powiedz mi, jak się czujesz, gdy jesteś w powietrzu? — spytał Bharawa Ariela.

— Dobrze. Z początku to nie było takie przyjemne. Ciało... ramiona...

— Właśnie, właśnie! Czy nie mąci ci się w głowie? A może trudno ci jest skupić myśli?

— O, nie!

— Ariel jest w pełni władz umysłowych, niestety... Hm... tak, tak!... — powiedział Hyde.

Pearth i Hyde wymienili znaczące spojrzenia.

Niebawem nadeszli Mr. Brownlaugh i Mrs. Dryden.

Ariel musiał raz po raz wznosić się do sufitu, latać po pokoju w pozycji stojącej i leżącej, czyli „na rybkę”, jak mówiła Mrs. Dryden, obracać się wokół własnej osi i demonstrować figury z dziedziny wyższego pilotażu.

— Ach! Ach! — Co chwila wykrzykiwała Mrs. Dryden, pogrążona w zachwycie czy też w lęku o Ariela, i wołała: — Pięknie! Cudownie! Nadzwyczajnie!

Brownlaugh zacierał z satysfakcją ręce i zachęcał Ariela do wykonywania wciąż nowych akrobacji powietrznych.

— Zameczy go pan! — dobrodusznie zawołał Hyde i kazał Arielowi opuścić się na podłogę.

Wszyscy prócz Hyde'a usiedli i Bharawa wygłosił mowę, jak zwykle napuszoną i obfitującą w cytaty i wschodnie metafory. Zwracał się przede wszystkim do Ariela, podkreślając, jak wielki zaszczyt go spotkał, gdyż zrównał się niemal z samym Indrą, bogiem burzy i wiatrów, i Marutami, bogami towarzyszącymi Indrze. Mówił o potędze mocy, jaką zdobył Ariel, a jednocześnie o spoczywającej na jego barkach wielkiej odpowiedzialności. Kierując na Ariela hipnotyczne spojrzenie, Bharawa usiłował zasugerować mu, że powinien okazać całkowite i bezwarunkowe posłuszeństwo, gdyż w razie najdrobniejszego przewinienia grozi mu straszliwa kara.

— Gdyby ci przyszło do głowy uciekać, pamiętaj, że czeka cię straszliwa, męczeńska i okropna śmierć, jaka jeszcze nie była udziałem żadnego człowieka! I niezależnie od tego, gdzie się schronisz, w górach czy w sercu mrocznej dżungli, na pustyni czy nawet na krańcu świata — odnajdziemy cię, gdyż władza nasza sięga wszędzie! A wtedy...

Bharawa zaczął kreślić przed oczyma swoich słuchaczy tak przejmujące obrazy tortur i męczarni, że Mrs. Dryden skuliła się w krześle, pojękując.

— Pamiętaj także, że nikt nie powinien widzieć ciebie w czasie lotu. Nie waż się także opowiadać o tym komukolwiek! Nie wolno ci latać czy chociażby o cal unosić się nad podłogą bez pozwolenia. Nawet wtedy, gdy będziesz sam w pokoju!

Bharawa wykonał całą serię gestów, które miały pomóc w utrwaleniu sugestii hipnotycznej, po czym wrócił do zwykłego tonu i powiedział surowo:

— Teraz możesz iść do swojego pokoju. Pamiętaj, co ci powiedziałem!

Ariel pokłonił się i skierował do drzwi. Uważał na każdy swój krok, gdyż bał się, że lada chwila może poszybować. „Muszę stąpać po ziemi, a nie latać!” — przekonywał siebie w myślach.

Pearth z niepokojem śledził przez uchylone drzwi oddalającego się Ariela. Potem odetchnął z ulgą i odezwał się, jakby w odpowiedzi na własne myśli:

— Ach nie, Ariel nie odleci, o tym nie ma mowy! Pozbawiliśmy go zupełnie woli, jak zresztą wszystkich wychowanków Dandaratu.

— Mimo wszystko to było ryzyko puszczać Ariela samego — zauważył Brownlaugh.

— Cóż to, panowie, bodziecie go teraz trzymać na łańcuszku? Popuszczać i przyciągać, jak balonik na sznurku? — z ironią dopytywał się Hyde.

— Należało dać mu przewodnika, żeby go trzymał za rękę — upierał się Brownlaugh — a potem zamknąć w pokoju bez okien.

— A gdyby mimo wszystko ulotnił się, i to razem z przewodnikiem? — pytał Hyde drwiąco.

Mrs. Dryden wydała okrzyk niedowierzania, a brwi Brownlaugha powędrowały do góry.

— Czy tu jest możliwe?

— Jak najbardziej. Pod warunkiem, że przewodnik nie będzie ważył więcej od Ariela.

— Masz tobie, jeszcze jedna komplikacja! — wykrzyknął Brownlaugh.

— O tym należało pomyśleć wcześniej. Zrobiłem, co do mnie należało, i nie obchodzi mnie, co zamýślacie robić dalej, ani w jaki sposób chcecie chronić i demonstrować tego waszego Indrę — oświadczył Hyde.

— Brownlaugh — wtrącił się do rozmowy Pearth. — Żywi pan niczym nie uzasadnione obawy. Ariel już od pewnego czasu jest trzymany na mocnym łańcuchu: jest nie tylko pozbawiony woli, lecz znajduje się także w stałym transie hipnotycznym. Tak często wpajałem mu za pomocą sugestii, że należy okazywać ślepe posłuszeństwo, że teraz jakikolwiek mój rozkaz jest dla niego rzeczą świętą! Spełni wszystko, co mu każę, będzie mi posłuszny nawet w obliczu śmierci! To jest pewniejsze niż okowy z żelaza. Biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność za Ariela!

Brownlaugh wzruszył ramionami i rzekł:

— Niech więc będzie, jak pan mówi.

Hyde wspomniał o wynagrodzeniu i zaczął głośno wyklócać się z Pearthem. Toczyli swój spór o pieniądze z takim zacietrzewieniem, że wreszcie Mrs. Dryden miała dość i podniosła się ze swojego miejsca w obawie, że dostanie migreny. Mr. Brownlaugh wstał również.

— W najbliższym czasie wrócimy do naszej rozmowy, mister Hyde — powiedział Pearth, gdy goście żegnali się.

Wyszli z budynku we czwórkę — Pearth z Brownlaughem, a Fox z Mrs. Dryden.

Mrs. Dryden pragnęła dowiedzieć się, w jaki sposób „ten czarodziej Hyde” potrafił stworzyć latającego człowieka, i nie słuchając odpowiedzi Foxa, zadawała mu wciąż nowe pytania.

— A czy można zrobić tak, żeby w powietrze unosiły się zwierzęta? Koty, na przykład? — pytała.

— Oczywiście. Sam byłem świadkiem lotu psa, a następnie ropuchy...

— Ach, cudownie! Koniecznie muszę poprosić mister Hyde'a, żeby to samo uczynił z moją kotką Queen! Będzie przeganiała nietoperze z werandy. Ach, ja strasznie boję się nietoperzy, które zakłócają mi spokój wieczoru, tej najmiłszej pory dnia! A przecież w Madrasie, w tych Indiach, człowiek właściwie żyje jedynie wieczorami! Ach, jakie to będzie zachwycające! Mrs. Dryden była nie tylko zwolenniczką nauk tajemnych, lecz także poetką. Dlatego też, wznosząc ku niebu swoje bezbarwne oczy, z miejsca zaczęła improwizować:

Latający kot
frunął ponad płot,
goniąc nietoperza...

Tymczasem rozmowa Peartha z Brownlaughem potoczyła się w zupełnie innym kierunku.

Pearth chciał wiedzieć, czy Brownlaugh zamierza — przy pomocy Hyde'a — fabrykować innych ludzi-ptaków, czy też Ariel pozostanie jedynym latającym człowiekiem. W tym drugim przypadku nie wolno im dopuścić do tego, żeby Hyde został przekupiony przez wrogów, i dlatego należy przedsięwziąć pewne środki ostrożności, a mianowicie...

„Zabić Hyde'a!” — domyślił się Brownlaugh. Zastanowił się chwilę i odrzekł:

— Tymczasem należałoby zapobiec ewentualnemu wyjazdowi Hyde'a. Nie będziemy fabrykować innych latających ludzi. Lecz przypuśćmy, że Ariel ulegnie nieszczęśliwemu wypadkowi. Hyde może nam być jeszcze potrzebny. Proponuję, żeby pan odizolował Hyde'a, uniemożliwił mu kontakt ze światem zewnętrznym. Jasne?

Pearth kiwnął głową i odparł:

— Będzie, jak pan sobie życzy.

Rozdział szósty
W NIEZNANE

Ariel wyszedł od Hyde'a i ogrodową ścieżką skierował się ku internatowi. Stąpał powoli, jakby dopiero uczył się chodzić. Podeszwy jego sandałów zapadały się głęboko w żwir, którym była wysypana alejka i który chrzęścił pod ciężarem stóp. Był pewny, że jest obserwowany.

Lot dookoła pokoju wywarł na nim ogromne, niezapomniane wrażenie. „Umiem latać!” Pełen radosnego podniecenia szedł przez ogród skąpany w słońcu. Czuł na sobie spojrzenie Bharawy i dlatego nie chcąc zdradzić się ze swoimi myślami, krył je nawet przed samym sobą. Tłumił je, spychał na dno podświadomości; w sercu zaś rozbrzmiewała zwycięska pieśń: „Wolność! Wyzwolenie!” Upajał się jedynie echem tej pieśni. Dopiero gdy skręcił za narożnik budynku, pozwolił sobie na ostrożną myśl, bacząc jednocześnie, aby nie przeszła w działanie: „Gdybym tylko zechciał, mógłbym natychmiast wznieść się w górę i uciec z tej zniechęcającej szkoły, od tych okropnych ludzi!” I z jeszcze większą zaciętością naciskał stopami chrzęszczący żwir.

W ciągu tych wszystkich lat ani na chwilę nie opuszczała Ariela myśl wydostania się na wolność, dowiedzenia się o swojej przeszłości i odnalezienia rodziny.

W nocy, gdy był sam, nie zwracając uwagi na zakazy i sugestie hipnotyczne, przywoływał w wyobraźni wspomnienia wczesnego dzieciństwa, które poprzedziło jego przybycie do Dandaratu. Te urywkowo zachowane w pamięci obrazy często jawiły mu się we śnie i były nawet bardziej intensywne niż świadomie przywoływane wspomnienia.

We śnie znajdował się w zupełnie innym kraju. Widział ołowiane niebo, przyćmione przez gęstą szarą mgłę światło latarni ulicznych, ogromne gmachy w strugach deszczu; widział ludzi, którzy nagle wyłaniali się z kłębow posępnej mgły i równie nagle znikali w nich z powrotem... Ariel

znajduje się w samochodzie i patrzy na ten zamglony, wilgotny, niewyraźny w zarysach świat...

...Gwałtowna zmiana obrazu. Wielki pokój. Na kominku płoną drwa. Ariel siedzi na dywanie i buduje domek z klocków. Obok niego na jedwabnej poduszce przysiadła jasnowłosa dziewczynka — podaje mu klocki. W miękkim fotelu przysuniętym do kominka, z książką w ręce, surowo zerkając znad okularów, spoczywa starsza pani w czarnym koronkowym czepku na siwych włosach. Do pokoju wchodzi mężczyzna w czarnym garniturze. Oczy mężczyzny są złe i okrągłe jak u sowy, jego uśmiech jest nieprzyjemny i fałszywy. Ariel bardzo boi się i nienawidzi tego człowieka.

Ubrany na czarno mężczyzna zbliża się stąpając po dywanie, usta jego rozciągają się w coraz szerszy uśmiech, w oczach ma gniew. Rozwala butem domek z klocków, Ariel zaczyna płakać i... budzi się.

Za szybą rysują się liście palmy, na ciemnogramatowym niebie jaśnieją wielkie gwiazdy... Śmigają nietoperze... Noc, duszno... Indie... Dandarat...

Innym razem Ariel widział siebie w małym, dusznym, kołyszącym się pokoiku. Za okrągłym okienkiem przelewają się olbrzymie zielone fale... Naprzeciw Ariela na kanapie siedzi, jeszcze bardziej przerażający niż fale, czarny mężczyzna, ten sam, który zburzył we śnie, czy też na jawie, domek z klocków...

Innych wspomnień wczesnego dzieciństwa pamięć Ariela nie zachowała. Okropności Dandaratu, przez które musiał przejść, zaciemniły przeszłość, trwającą mimo to w sercu, jak roślina wegetująca wśród piasków pustyni.

Samotność, smutne dzieciństwo, lata młodości spędzone poza kręgiem rodziny i przyjaciół... Jedynie Szarad... Biedny Szarad! Wstąpił dopiero na pierwszy stopień udręki. Ach, gdyby się udało wydostać go z tego piekła!...

„Umiem latać!" Lecz Ariel wysiłkiem woli odpędza tę myśl i stąpa po ziemi mocnym krokiem.

— Ariel! Dada! — szepcze radośnie Szarad na widok wchodzącego do pokoju przyjaciela. I milknie natychmiast, zaskoczony surowym wyrazem jego twarzy. Nie czas teraz na rozmowy!

Rozległ się gong zwołujący na śniadanie i przyjaciele udali się do jadalni. Milczeli i nawzajem unikali swoich spojrzeń.

W ciągu dnia Szarad kilkakrotnie został skarcony przez wychowawców za brak uwagi. Dzień dłużył mu się niezmiernie.

Przed zachodem słońca do izdebki Ariela zaszedł Bharawa i powiedział, żeby Ariel nie zapomniał wziąć od intendenta nowego ubrania.

— Jutro o piątej z rana wstąpię po ciebie. Przygotuj się. Masz się wykapać i włożyć świeżą odzież. Ariel skłonił głowę w pokorze.

— A jak tam Szarad? — spytał na odchodnym Bharawa.

— Z wielkim trudem osiąga stany skupienia — odpowiedział Ariel.

— Należy stosować bardziej surowe kary — rzekł Bharawa i, obrzuciwszy Szarada gniewnym spojrzeniem, wyszedł z pokoju.

Przed udaniem się na spoczynek Ariel jak zwykle kazał Szaradowi przeczytać parę fragmentów ze świętej księgi Sjastry. Był spokojny, surowy i wymagający, Szarad musiał czytać głośno, śpiewnie.

Jednak nie uszło uwagi Szarada, że Ariel co chwila spoglądał ukradkiem w kierunku okna, a na jego twarzy malował się niepokój. Drzewa w parku szumiały, targane wiatrem, który był zwiastunem deszczu. Rozlegały się dalekie grzmoty, chociaż na niebie w dalszym ciągu jasno świeciły gwiazdy. Dopiero gdy blady, mglisty szlak Drogi Mlecznej zaczął

ciemnieć z prawej strony, przysłaniany chmurą, Ariel odetchnął z ulgą. Wkrótce dał się słyszeć szelest pierwszych wielkich kropli deszczu. W ciemności melodyjnie zadźwięczał gong — nastał czas nocnego odpoczynku.

Szarad zamknął grubą księgę. Ariel dmuchnięciem zgasił kaganek. Siedzieli na macie ramię przy ramieniu, wśród ciszy i ciemności.

Szarad poczuł, że Ariel podnosi się z miejsca, i wstał również. Ariel otoczył go ramionami i uniósł nad podłogą.

— Jakiś ty leciutki! — szepnął i nie wiadomo dlaczego, zaśmiał się cicho. — Chcesz, Szarad, podniosę cię jeszcze wyżej?

Chłopiec poczuł, że Ariel uniósł go prawie pod sufit, potrzymał na tej wysokości i opuścił na podłogę. Czyżby Ariel miał aż tak długie ramiona?

— Kładź się spać, Szarad! — szeptem powiedział Ariel.

Położyli się obok siebie na macie i Ariel zaczął szeptać chłopcu do ucha:

— Posłuchaj, Hyde zrobił ze mnie latającego człowieka. Rozumiesz, mogę teraz latać jak ptak.

— A gdzie masz skrzydła, dada? — spytał Szarad, dotykając ramion Ariela.

— Nie potrzebuję skrzydeł. Latam, jak się lata we śnie. Oni chyba mają zamiar pokazywać mnie ludziom jak jakieś dziwo... A ja... ja chcę uciec z Dandaratu!

— Co się stanie ze mną, gdy ciebie nie będzie, dada? — I Szarad zaczął płakać.

— Ciszej, nie płacz! Chcę zabrać cię ze sobą. Jesteś bardzo lekki i myślę, że uniosę cię w powietrzu...

— Zabierz mnie ze sobą! Zabierz mnie stąd, dada! Tak mi tu źle i tak się boję... Umrę, jeśli mnie zostawisz — szeptał chłopiec.

— Zabiorę... Słyszysz, jak szumi deszcz? To dobrze. W ciemności nikt nas nie zobaczy... Okno jest otwarte... Tsss! Słyszę jakieś kroki... Cicho!...

Skrzypnęły uchylone drzwi.

— Śpisz, Arielu? — usłyszeli głos Bharawy. — Ariel!

— Mmmm... — zamruczał Ariel, a potem, jak człowiek raptownie wyrwany ze snu, zawołał: — Ach, to guru Bharawa!

— Dlaczegoś nie zamknął okna, Arielu? Patrz, ile wody naciekło na podłogę! — Bharawa zamknął okno, zaciągnął zasłony i wyszedł bez słowa.

Ariel zrozumiał, że Bharawa śledzi go, nie ufa mu. Okno można otworzyć, ale jeśli pod oknem czuwa straż? Wystarczy uchylić zasłony, żeby wywołać alarm...

Szarad na swojej macie dygotał jak w ataku febry. Deszcz za oknem przeszedł w ulewę. Pioruny były coraz bliżej, coraz bardziej głośnie i częste. Ognie błyskawic przenikały przez jasne zasłony i oświetlały pokój błękitną jasnością.

Ariel stał przy oknie ze zmarszczonym czołem. Potem zdjął z wbitego w ścianę drewnianego kołka ręcznik i szepnął:

— Chodźmy, Szarad!...

Odsunęli ścianę z maty, przeszli do sąsiedniego pomieszczenia, a stamtąd cichutko wydostali się na korytarz. Panowała tutaj całkowita ciemność. Ariel szedł przodem, prowadząc Szarada, który przytrzymał się końca ręcznika. Wszyscy spali, wokół panowała cisza. Wchodzili i schodzili po niezliczonych stopniach, bezszelestnie mijali długie korytarze, a wreszcie wstąpili na strome drewniane schody, które prowadziły na strych.

Ariel odrzucił pokrywę włazu. Oślepieni przez błyskawice, ogłuszeni hukiem piorunu i zmoczeni deszczem, przedostali się na płaski dach.

— Siadaj mi na plecy, Szarad! — szepnął Ariel. Szarad wszedł na plecy Ariela, ten przywiązał go do siebie rącznikami, po czym wyprostował się i rozejrzał dokoła. W świetle błyskawicy ukazało się jego oczom obszerne, zalane wodą podwórze i błyszczące jak powierzchnia jeziora zabudowania Dandaratu. Daleko poza nimi migotały światła Madrasu, a jeszcze dalej — bezkres oceanu. Ariel czuł drżenie siedzącego mu na plecach Szarada.

— Kiedy polecimy? — szeptem spytał Szarad, schylając się do ucha towarzysza.

Ariela ogarnął niepokój. Czy rzeczywiście zdoła unieść się w powietrze? Latanie po pokoju wydawało się łatwe, ale teraz, podczas burzy... I ma ze sobą Szarada... Co będzie jeśli spadną na środku podwórza?

W tej chwili usłyszeli niezwykle o tej porze, częste dźwięki gongu. Alarm!...

Przed oczami Ariela stanęła zła twarz Bharawy, w uszach zadźwięczały jego groźby — i chłopiec wzleciał ponad dachem.

Uczuł zawrót głowy, świat zawirował mu w oczach.

Jak samolot, który zatacza koło w powietrzu, zanim obierze właściwy kurs, Ariel zrobił krąg nad dachem. Na podwórzu rozległy się okrzyki, zagrzemiał wystrzał, zamigotały ogniki latarek. W oknach zapłonęło światło.

Leciał przed siebie w strugach deszczu, zdawszy się na łaskę wiatru, który dął z południowego zachodu. W dole szybko przesunęły się podwórze, płaskie dachy, park i mury...

Wiatr znosił go w kierunku oceanu. Błyskawice oświetliły rozciągający się po lewej stronie łańcuch górski. Przed sobą miał światła Madrasu. W Forcie Świętego Jerzego płonęło ogniste oko latarni morskiej.

Teraz Ariel szybował ponad piaszczystą równiną. Leciał tak nisko, że widział pola ryżowe. I znów piaski... Deszcz chłostał jego ciało, w uszach gwizdał wiatr i rozwiewał mu włosy.

W dole pod nimi sunął pociąg, rozsiewając snopy iskier. Po oceanie płynął statek. Zbliżając się do portu, dawał długie sygnały.

A oto i Madras. Brudna, wezbrana od ulewy rzeczka Kuwam. Wąskie kręte uliczki Czarnego Miasta — niskie ceglane domy na przemian z chatami z bambusu. Europejska część miasta była dobrze oświetlona. Ariel i Szarad słyszeli klaksony samochodów i dzwonienie tramwajów. Ponad dachami miasta wystrzelała kopuła obserwatorium i dachy pałacu nababa.

Przemknęli nad ogrodem botanicznym. W świetle latarni i błyskawic można było rozróżnić gatunki drzew: palmy kokosowe, palmy daktylowe, figowce indyjskie, które wypuszczają korzenie z gałęzi, kępy bambusów, drzewa kawowe...

W alejce ogrodu rozległ się okrzyk zdumienia. Ariel dopiero teraz uświadomił sobie, że popełnił karygodną nieostrożność przelatując ponad miastem; był jednak do tego stopnia oszołomiony tym, co go spotkało, że mąciło mu się w głowie. Czasami myślał nawet, że śni! Szarad wołał coś, lecz Ariel w szumie deszczu i wiatru nie mógł rozróżnić poszczególnych słów. Wreszcie chłopiec krzyknął mu do ucha:

— Ludzie nas widzą, dada!

Zamiast odpowiedzi Ariel gwałtownie skręcił na zachód, ku góróm. Czuł, że opuszczają go siły. Całe ciało miał pokryte kropelkami potu, oddychał z ogromną trudnością. Należało jednak znaleźć się jak najdalej od Dandaratu i Madrasu.

Burza mijała, deszcz prawie ustał, lecz wiatr dmuchał z niesłabnącą siłą. Znowu zaczęło ich znosić ku oceanowi, gdzie zginęliby niechybnie. Ariel zdobył się na ostateczny wysiłek. Szarad trzymał się mocno, Ariel czuł na plecach ciepło ciała

swojego małego przyjaciela. Za wszelką cenę należało ratować jego i siebie!

...Wśród burzy i ciemności lecieli w nieznane.

Rozdział siódmy

MR. BODEN I MR. HASLON

Biuro adwokackie Boden i Haslon — London, City, Kings' William street — znajdowało się w pobliżu kościoła Najświętszej Marii Panny.

Z okien biura można było zobaczyć niszę z figurą Madonny, pociemniałą od londyńskich mgieł i wyziewów, a bicie kościelnych zegarów zagłuszało zgrzyt i kaszel starego biurowego czasomierza, w którego wielkiej czarnej, zjedzonej przez korniki obudowie mogliby się zmieścić obaj właściciele firmy — zaszuszeni, gładko wygoleni starsi panowie w staromodnych surdutach, którzy byli podobni do siebie jak bliźnięta.

Od trzydziestu lat panowie Boden i Haslon zajmowali miejsca przy dwu przysuniętych do siebie biurkach o muzealnym wyglądzie. Szklana przegródka dzieliła ich od pomieszczenia, w którym pracowali urzędnicy. Szyba umożliwiała śledzenie poczynąń podwładnych, a jednocześnie pozwalała rozmawiać o sekretnych sprawach firmy bez obawy podsłuchu. Należy jednak zaznaczyć, że wspólnicy rozmawiali ze sobą bardzo rzadko, rozumieli się bowiem prawie bez słów.

Przeczytawszy pismo, Boden robił w rożku tajemniczy znaczek i przekazywał dokument Haslonowi, który również czytał papier, oglądał hieroglif Bodena, kiwał głową i sporządzał wytyczne dla urzędników. Rzadko się zdarzało, żeby opinie obu panów nie były zgodne, ale jeśli już tak się stało — wystarczyło im zamienić z sobą parę oderwanych słów lub krótkich zdań, aby znów zapanowała jednomyślność.

Była to stara, znana firma, specjalizująca się w sprawach spadkowo-testamentowych. i opiekuńczych, obsługująca wyłącznie zamożną klientelę. Nic dziwnego, że panowie Boden i Haslon dorobili się znacznej fortuny. Lecz ten aspekt sprawy pozostawał wyłączną tajemnicą firmy, spoczywającą w jej księgach handlowych, dobrze ukrytych za grubymi ściankami szaf pancernych.

Tego tak niezwykłego w Londynie słonecznego przedpołudnia Mr. Boden ustalonym zwyczajem pierwszy przeglądał korespondencję, przerzucając przeczytane listy na biurko swojego wspólnika. W rogu grubej szaroniebieskiej koperty znajdował się stempel poczty w Madrasie. Boden pośpiesznie rozerwał kopertę i zagłębił się w jej zawartości. W miarę czytania jego cienkie, suche wargi zaciskały się coraz mocniej.

Skończywszy czytać, Boden włączył radio. Spiker podawał notowania giełdowe, ale Boden nie zwracał na niego uwagi. Radio zostało włączone po to, by urzędnicy nie mogli podsłuchać rozmowy, jaka miała się odbyć po tej stronie szklanej przegródki. Wszystko wskazywało na to, że zapowiada się niezwykle ważna narada, i Haslon wytrzeszczył na Bodena swoje okrągłe jak u sowy, wyblakłe oczy.

Spiker wysiłał się na próżno — Boden bez słowa przerzucił list na biurko Haslona, który przeczytał go z wielką uwagą i utkwiał białawe oczy w oczach wspólnika. Przesiedzieli w ten sposób jakiś czas, prowadząc rozmowę bez słów.

I rzeczywiście, w ciągu tych kilku minut panowie powiedzieli sobie bardzo wiele, gdyż obaj myśleli o tym samym, odświeżając w pamięci okoliczności, jakie towarzyszyły pewnej prowadzonej przez nich sprawie, jednej z najbardziej dochodowych i skomplikowanych w całej ich karierze.

Chodziło o testament baroneta sir Tomasza Galtona, bogatego właściciela ziemskiego i fabrykanta, który był stałym klientem

firmy Boden i Haslon. Galton umarł przed kilku laty, osierocając dwoje nieletnich dzieci — syna Aureliusza i jego siostrę Jane. Zgodnie z testamentem cały ogromny majątek nieruchomy Tomasza Galtona i lwią część ruchomego stawały się własnością jego syna Aureliusza; opiekunami spadkobierców do chwili osiągnięcia przez nich pełnoletności byli Boden i Haslon. Opieka owa stała się dla tych panów prawdziwą żyłą złota: tak umiejętnie bowiem, wraz z członkami rady opiekuńczej, zarządzali powierzonym sobie mieniem, że z roku na rok powiększali swoje własne majątki! Dlatego nie mogli się pogodzić z myślą, że z chwilą gdy spadkobiercy osiągną pełnoletność, źródło dochodu wyschnie i Aureliusz wejdzie w posiadanie, znacznie co prawda uszczuplonej, lecz wciąż jeszcze pokaźnej fortuny. Gdyby Aureliusz zmarł przed osiągnięciem wieku dojrzałego, cały majątek przeszedłby na jego starszą siostrę Jane, więc w tym wypadku opieka panów Bodena i Haslona skończyłaby się jeszcze wcześniej, to znaczy z chwilą dojścia Jane do pełnoletności. Dlatego też dla sprytnych opiekunów najbardziej pożądane byłoby takie rozwiązanie, które zakładałoby, iż Aureliusz pozostaje przy życiu, ale okazuje się niezdolny do zarządzania majątkiem nawet po osiągnięciu pełnoletności. Z prawnego punktu widzenia byłoby to możliwe, gdyby udało się uzyskać oficjalne oświadczenie, że Aureliusz cierpi na chorobę umysłową.

Wysiłki Bodena i Haslona zmierzały więc w określonym kierunku. Obu panom zdarzało się już umieszczać swoich podopiecznych w domach dla psychicznie chorych, gdzie przekupieni przez nich lekarze skutecznie przemieniali normalnie rozwijające się dzieci w obłąkańców. Jednak impreza taka była niezwykle kosztowna. W madraskiej szkole Dandarata znaleźli się ludzie bardziej skłonni do ustępstw, a rezultat ich wysiłków, o czym wspólnicy dobrze wiedzieli, był

identyczny. Szkoła w Madrasie miała jeszcze i ten plus, że Indie były daleko i władze opiekuńcze, z którymi notabene panowie Boden i Haslon żyli w zgodzie, a przede wszystkim dorastająca Jane nie mieli możliwości śledzić losów chłopca. Boden osobiście odwiózł maleńkiego Aureliusza do Sandaratu. Ponieważ szkoła ta nie istniała oficjalnie, w sprawozdaniach opiekuńczych figurowała mityczna szkoła-sanatorium dla dzieci z zaburzeniami nerwowymi. Formularze, podpisy i sprawozdania tej szkoły były fabrykowane w Dandaracie.

Mr Boden, który przywiózł małego Aureliusza odbył długą rozmowę z dyrektorem szkoły Pearthem-Bharawą i udzielił mu następujących wskazówek: życie i zdrowie fizyczne Aureliusza Galtona powinny być zachowane za wszelką cenę, natomiast system nerwowy i psychikę należy doprowadzić do całkowitego rozchwiania. Chłopiec w żadnym wypadku nie powinien otrzymać wykształcenia, jakie obowiązuje w szkołach europejskich. Trzeba zahamować jego rozwój umysłowy. Żadnych umiejętności praktycznych, żadnej znajomości życia! Najlepiej by było pozbawić Aureliusza rozumu, ale jeśli nie uda się tego dokonać — pozostawić go na odpowiednim stadium infantylizmu.

Pearth w lot zrozumiał, czego się od niego wymaga, i obiecał uczynić z Aureliusza klasycznego idiotę. Panowie doszli do porozumienia również co do wysokości opłat, chociaż musiało to nieco potrwać.

Boden wrócił do Londynu bardzo z siebie zadowolony. Sprawozdanie, jakie złożył wspólnikowi po powrocie z podróży, składało się z dwóch słów: „All right!” — i Haslon o nic więcej nie pytał.

Pearth dwa razy do roku przysyłał na ręce Bodena i Haslona oficjalne sprawozdania, przeznaczone dla rady opiekuńczej, a także doniesienia nieoficjalne. Początkowo wiadomości były

bardzo pocieszające, lecz wkrótce zaczęły w nich pojawiać się takie uwagi, jak: „Niestety, Ariel-Aureliusz przysparza trudności wychowawczych” — i współnicy dobrze wiedzieli, co to znaczy. Ale nie tracili nadziei. W najgorszym wypadku, jeśli nawet Aureliusz nie zostanie wariatem, nie będzie wielkich trudności z uznaniem go za niepoczytalnego. Boden i Haslon w każdym sprawozdaniu dla rady opiekuńczej kładli nacisk na upośledzenie i niedorozwój umysłowy swojego podopiecznego. A gdy przyjdzie czas i członkowie komisji lekarskiej, rady opiekuńczej i sądu ujrzą przed sobą pełnoletniego dryblasa pod wąsem, który nie będzie w stanie odpowiedzieć na najprostsze pytania w rodzaju: „jaki dzisiaj mamy dzień i jaki miesiąc, ile pan ma lat, jakiej jest pan narodowości, jaką wiarę wyznaje”, i tak dalej, i za każdym razem odpowiedź chłopca będzie sprowadzała się do jednego; „nie wiem” — jego ograniczoność umysłowa ujawni się jak na dłoni. Reszty dokonają przyjacielskie stosunki z biegłymi medycyną sądową i członkami rady opiekuńczej.

Mijały lata. Do pełnoletności Aureliusza brakowało zaledwie paru miesięcy, gdy nadszedł list, który sprawił, że Mr. Boden włączył radio.

Pearth donosił, że przewidziany dla Aureliusza cykl nauczania w Dandaracie dobiegł końca, co nie wyklucza, iż chłopiec może pozostać w szkole aż do pełnoletności. Ponieważ jednak jego stan umysłowy „pozostawiał, niestety, wiele do życzenia”, Pearth był zmuszony poddać Aureliusza-Ariela specjalnej kuracji według metody profesora Hyde'a — „a panowie Boden i Haslon doskonale wiedzą, jaki to doświadczony lekarz i wnikliwy naukowiec. Niestety, z przykrością donosimy, że nawet interwencja profesora Hyde'a nie wywarła widocznego wpływu na zdolności umysłowe Ariela, chociaż eksperyment nie pozostał bez następstw: zupełnie nieoczekiwanie, ku najwyższemu zdumieniu

wszystkich, a w tym również samego Hyde'a, Aureliusz zyskał niezwykłą i prawdziwie cudowną umiejętność, w którą trudno uwierzyć, jeśli się nie widziało czegoś podobnego na własne oczy. Otóż Ariel potrafi unieść się w powietrze i nie potrzebuje do tego żadnej aparatury! Ten boski dar sprawił, że Ariel może okazać się nader pożyteczny w realizacji wielkich celów, jakie przyświecają naszej organizacji".

W brulionie listu Pearth użył początkowo zwrotu: „nieoceniony”, lecz potem zastąpił go sformułowaniem bardziej ostrożnym: „nader pożyteczny”.

„Jeśli szanowni panowie Boden i Haslon nie wnoszą sprzeciwu — TT i TWT (Pearth miał na myśli Towarzystwo Teozoficzne i Towarzystwo Wiedzy Tajemnej) gotowe są wykorzystać tę umiejętność Ariela do własnych celów, oczywiście po uprzednim oficjalnym jego ubezwłasnowolnieniu” — kończył Pearth.

Wysiłki spikera wydały wreszcie owoce; przysunąwszy się bliżej do Haslona, Boden odezwał się:

— Czy ten Pearth przypadkiem nie zwariował?

Haslon skinął głową i odparł:

— To się często zdarza tym, którzy mają do czynienia z chorymi umysłowo.

— Lecz tak czy inaczej... — Boden nie dokończył zdania i zaczął coś szybko pisać na blankiecie telegraficznym. Skreślił kilka wierszy i wręczył blankiet współpracownikowi. Haslon przeczytał:

„Zaniechać jakichkolwiek samodzielnych kroków. Czekać na nasze wytyczne. Zachować wszelkie środki ostrożności. Boden, Haslon”.

Haslon skłonił głowę z aprobatą i przekazał telegram przez okienko urzędnikowi, skreśliwszy uprzednio na nim adres.

— Niewykluczone, że któryś z nas dwóch będzie musiał wybrać się w podróż — powiedział Haslon.

— Owszem — odparł Boden.

Wspólnicy spojrzeli sobie głęboko w oczy, przetrawiając w myślach ten nowy aspekt sprawy.

— Jane... — odezwał się po chwili milczenia Boden, czym skierował myśli współnika na właściwy tor.

— Owszem — odparł Haslon.

Panowie pograżyli się w rozmyślaniach, których głębi mogliby im pozazdrościć jogowie.

Rozdział ósmy

KŁODA NA DRODZE

Przy omawianiu jakiegokolwiek aspektu sprawy, dotyczącej dalszych losów Aureliusza, nie można było pomijać milczeniem osoby Jane. Była jego siostrą i prawdopodobną spadkobierczynią, ale przede wszystkim była sobą — Jane Galton. Charakter tej dziewczyny stał się powodem wielu trosk i kłopotów jej opiekunów. Była dla nich przysłowiową kłodą na drodze wiodącej do celu, wiecznym zmartwieniem. Boden i Haslon nienawidzili jej

Już od wczesnego dzieciństwa Jane okazywała nieposłuszeństwo i krnąbrność. Gdy podrosła, w jej zachowaniu wobec opiekunów otwarcie zaczęła przejawiać się nieżyczliwość i brak zaufania. Boden i Haslon od czasu wyjazdu Aureliusza do Indii usiłowali wmówić w Jane, że jej brat jest chory umysłowo i znajduje się na kuracji i że widzenie się z nim jest niemożliwe, gdyż mogłoby zaszkodzić jego zdrowiu. Ale dziewczyna powtarzała uparcie: „Nie wierzę! Gdzie panowie ukrywają mojego brata? Chcę go zobaczyć!”

Póki Jane znajdowała się pod ich opieką, Boden i Haslon jakoś dawali sobie z nią radę. Lecz Jane była starsza od swojego brata, osiągnęła pełnoletność już kilka miesięcy temu.

Wydarzenie to zostało upamiętnione aktem czarnej niewdzięczności w stosunku do opiekunów: zarząd nad swoim majątkiem Jane powierzyła największemu wrogowi i konkurentowi panów Bodena i Haslona, mecenasowi George'owi Dotallerowi, któremu udzieliła pełnomocnictwa na prowadzenie interesów w jej imieniu. Ze strony Jane i Dotallera można było teraz oczekiwać najgorszego!

Poprzedniego dnia Jane dopuściła się wielkiego nietaktu, który oburzył do głębi obu czcigodnych współników. Zjawiła się w biurze firmy razem ze swoim nowym doradcą i zrobiła prawdziwą awanturę, domagając się — głośno, żeby usłyszeli wszyscy urzędnicy! — wskazania jej miejsca pobytu brata i grożąc, że zwróci się do sądu. Pełen oburzenia Boden zaprotestował przeciwko takiemu aroganckiemu wtrącaniu się w ich prawa opiekuńcze i stwierdził, iż relacje ze swoich posunięć są obowiązani składać wyłącznie przed radą opiekuńczą.

— W takim razie zwrócę się do rady opiekuńczej z żądaniem, aby poinformowano mnie, gdzie się znajduje mój brat! — zawołała dziewczyna i wyszła razem ze swoim adwokatem, nie raczywszy nawet podać ręki na pożegnanie!

Jane rzeczywiście gotowa jest dopiąć swego. Nie wstrzyma się nawet przed podróżą do Indii celem odszukania swojego brata! I jeśli naprawdę odnajdzie go pod postacią jakiegoś człowieka-ptaka, demonstrującego swoje umiejętności pod auspicjami teozofów i okultystów?... Wtedy nie dałoby się uniknąć skandalu. Trzeba za wszelką cenę powstrzymać ją od wyjazdu, a na razie...

Boden oderwał spojrzenie od twarzy swojego współnika i szybko nabazgrał tekst nowego telegramu do Peartha:

„Aureliusza ukryć w bezpiecznym miejscu i być przygotowanym na odwiedzinę jego siostry. Boden, Haslon”.

Pearth zna wszystkie okoliczności sprawy, gdyż Boden zapoznał go z nimi jeszcze wtedy, gdy przywiózł Aureliusza do Dandaratu.

W radzie opiekuńczej Jane może wskórać tylko tyle, że dadzą jej adres nie istniejącej „szkoły dla dzieci z zaburzeniami nerwicowymi”. Szkoły tej nie odnajdzie z całą pewnością!

Lecz przypuśćmy, że dyrekcja Dandaratu okaże się na tyle nierozsądna, żeby z miejsca rozpocząć swoje pokazy?... Wieść o latającym człowieku rozniesie się natychmiast — i nie tylko w Indiach, ale po całym świecie! Co wtedy?... Jeśli Jane znajdzie się w Indiach, bez wątpienia zechce obejrzeć to dziwo. Chociaż jest mało prawdopodobne, żeby poznała swojego brata — Aureliusz jest już prawie dorosły, a widzieli się po raz ostatni będąc dziećmi — należy zabezpieczyć się przed ewentualnością takiego spotkania!

Boden nie zdążył przerzucić blankietu telegraficznego na biurko Haslona; w okienku ukazała się ręka jednego z urzędników i położyła przed Bodenem dopiero co otrzymaną radiodepeszę.

Treść jej była następująca:

„Aureliusz ukrywa się. Poszukiwania w toku. Pearth”.

W pierwszej chwili Boden nie mógł się zorientować, o co chodzi. Dopiero miał zamiar nadać telegram, nakazujący Pearthowi ukrycie Aureliusza, a tu tymczasem sam otrzymuje wiadomość, że „Aureliusz ukrywa się”! Może powinno być: „został ukryty”? Błąd telegrafistki? Ale druga część depeszy, donosząca, że poszukiwania są w toku, mówiła o czymś wręcz odwrotnym!

— Uciekł im jednak! Wyfrunął! A to fajtlapy! — syknął Boden i gestem rozpaczony rzucił depeszę prosto w twarz Haslona.

Haslon przeczytał telegram Peartha. Wspólnicy, jak dwa puchacze, znowu wlepili w siebie oczy.

Wyprawa do Indii wydaje się nieunikniona. A nie jest to przedsięwzięcie tanie! Poszukiwania Aureliusza pochłoną wielkie sumy, a panowie Boden i Haslon nie lubili wydawać pieniędzy, nawet jeśli były to pieniądze Aureliusza. Jego konto było ich kontem! Czy nie dałoby się obarczyć tymi wydatkami kogoś innego? I Boden powtórzył jeszcze raz:

— Jane.

— Owszem — odezwał się Haslon, którego myśli zawsze biegingy równolegle do myśli Bodena.

Rozdział dziewiąty MROWISKO LUDZKIE

Miss Jane nie ukrywała zdziwienia, gdy wieczorem tego samego dnia zjawił się u niej Boden. „Wygląda na to, że groźby poskutkowały” — pomyślała, wskazując gościowi krzesło.

— Posprzeczaaliśmy się wczoraj, Jane — powiedział Boden, siadając. — Lecz pani powinna mnie zrozumieć. Nie jestem sam. Gdybym, czyniąc zadość jej żądaniom, wskazał pani adres Aureliusza, mój wspólnik mógłby się obrazić, mając pełne prawo sądzić, iż pani mu nie ufa — nie mówię w tym wypadku o sobie — pragnąc dowiedzieć się, w jakich warunkach przebywa pani brat...

— Jest mi to najzupełniej obojętne, obrazi się na mnie pana wspólnik, czy też nie. Jestem siostrą Aureliusza i mam prawo wiedzieć, gdzie się mój brat znajduje i co się z nim dzieje — odparła Jane.

— Całkowicie się z panią zgadzam! — ugodowym tonem kontynuował Boden. I dodał po chwili milczenia: — Proszę posłuchać, Jane! Jest mi bardzo przykro, że między nami zdarzają się nieporozumienia.

— Nie z mojej winy, panie Boden.

— Jeśli dotąd ukrywaliśmy przed panią miejsce pobytu jej brata, było to podyktowane jedynie troską o jego zdrowie. Lekarze twierdzą, iż spotkanie pani z bratem mogłoby się odbić na stanie jego zdrowia, gdyż jakiegokolwiek wzruszenia są dla niego szkodliwe — nawet te radosne.

— Nie wierzę panu!

Boden westchnął, robiąc minę urażonej niewinności.

— Niechże pani zrozumie, że ulegając jej kaprysom...

— Kaprysom?! Jeśli siostra pragnie dowiedzieć się o losach brata — pan to nazywa kaprysem?

— Lecz czyniąc zadość pani pragnieniu, ryzykuję, iż zaszkodzę Aureliuszowi, za którego jestem odpowiedzialny jako opiekun. Z drugiej strony, gdy pani odmówię, narażę się na jej gniew i podejrzenia. Godzi to w dobre imię, honor i dumę naszej firmy. Dobrze więc, niech się stanie, jak pani sobie życzy. Jest pani siostrą Aureliusza, a jako osoba pełnoletnia, odpowiada pani za swoje czyny. Wskażę pani miejsce pobytu Aureliusza, lecz pod jednym warunkiem. Jeśli pani pojedzie do niego, pragnę, aby wasze spotkanie odbyło się w mojej obecności. Wymaga tego ode mnie mój obowiązek opiekuna.

Jane nie bardzo uśmiechała się podróż w towarzystwie Bodena, ale z drugiej strony jego propozycja upraszczała sprawę: przy jego pomocy szybciej i łatwiej odnajdzie brata. Wyraziła więc zgodę.

— Ponieważ czekająca nas podróż — ciągnął Boden — związana jest ze stratą zarówno czasu, jak i pieniędzy, a podejmując ją, czynimy zadość pani kap... to znaczy pragnieniom...

— Dlatego też sama pokryję wszystkie wydatki — żywo odparła Jane. — Opłacę kosztą podróży obu panów — pana i mister Dotallera, który pojedzie ze mną.

Boden skrzywił się. Znowu ten Dotaller! Lecz opiekun znał Jane i jej twardy charakter. Musiał się więc zgodzić i na to.

— Czy mam zamówić bilety na statek? — spytał.

— Zrobię to sama. Nie popłyniemy statkiem. Udamy się w podróż samolotem.

— Jest pani zbyt niecierpliwa. Podróż samolotem jest kosztowna.

— Pańska kieszka na tym nie ucierpi.

Boden zastanowił się. Bał się trochę podróży powietrzem. Lecz, z drugiej strony, w jego własnym interesie leżało jak najszybsze przybycie do Madrasu. Nie powiedział ani słowa o ucieczce czy też „odlocie” Aureliusza - było to zbyt niezwykle i niewiarygodne. Możliwe zresztą, że Pearth naprawdę zwariował. Należało przeprowadzić dochodzenie na miejscu, i to jak najrychlej.

— Będzie to dość kosztowne — powtórzył Boden — Podróż jest daleką.

- Francja? Szwajcaria? Włochy? — dopytywała się Jane.

— Indie — odparł Boden.

— Indie! — Jane wydała okrzyk zdziwienia. - To rzeczywiście dość daleko. — Zamyśliła się i po chwili ciągnęła dalej: — Cóż, tym bardziej nie traćmy czasu. Zamówię bilety na samolot.

Po wyjściu Bodena Jane zamyśliła się.

Indie! Więc to tam Boden i Haslon wysłali jej brata! I pewno nie bez kozery! Do kraju, którego klimat jest zabójczy dla Europejczyka, gdzie pleni się malaria, dżuma i cholera, gdzie żyją jadowite węże i tygrysy... To było prawie wszystko, co Jane wiedziała o Indiach.

Dziewczyna przeszła do biblioteki i zaczęła przerzucać niezliczone tomy, pragnąc dowiedzieć się o tym kraju jak najwięcej. Pełna niecierpliwości otwierała książki na chybił trafił i pochłaniała stronicę za stronicą. W jej głowie

powstawał prawdziwy mętlik: wszystko to było zbyt skomplikowane, niezwykle i niezrozumiałe... Mieszanina ras, zlepek plemion, języków, narzeczy, kast i religii... (Smagli Aryjczycy, Hindusi, Drawidowie o kawowej cerze...) Języki indoirańskie — hindi, bengali, marathi; języki drawidyjskie — telugu, tamil; języki tybeto-birmańskie... Ponad dwieście narzeczy... Kasty. Kapłani należą do kasty braminów, wojownicy — do kasty kszatrijów... Wajsjowie to rolnicy i rzemieślnicy, a siudrowie — ludność zależna, służba. Każda kasta ma ponadto swój podział wewnętrzny, liczba podkast dochodzi do dwóch tysięcy trzystu siedemdziesięciu ośmiu... Są też kasty, w których zawód wykonuje się dziedzicznie; są to lekarze, cukiernicy, ogrodnicy, garncarze, astrologowie, kuglarze, akrobaci, poeci, włóczędzy, płaczkowie, żebracy, grabarze, kaci, zbieracze krowiego nawozu, dobosze... Poszczególne kasty mają chyba swoje ubiory... Jaka tam musi być pstrokaczna!... „Czyste kasty” to cukiernicy, sprzedawcy wonności, sprzedawcy betelu... Co to może być?... Cyrulicy, garncarze... Wszyscy są nawzajem wrogo do siebie usposobieni, boją się dotknąć jeden drugiego... Murarze pogardzają kominiarzami, kominiarze — garbarzami, garbarze — obdzieraczami padliny... Oddech pariasa kala każdego, kogo tylko dosięgnie z odległości dwudziestu czterech, trzydziestu ośmiu, czterdziestu sześciu i nawet sześćdziesięciu czterech kroków... Najbardziej zatruty jest oddech obdzieraczy padliny... Bramini, buddyści chrześcijanie, mahometanie... Niezliczona ilość sekt i stowarzyszeń religijnych. „Trzydzieści trzy miliony bogów”. Sześć milionów wdów. Dlaczego aż tyle? Aha, dlatego, że wdowy w Indiach nie mają prawa wyjść za mąż po raz drugi W tej liczbie jest sto tysięcy wdów w wieku poniżej dziesięciu lat i trzysta tysięcy wdów poniżej lat piętnastu... Wdowom goli się głowy, rozbija się w kawałki szklane bransolety, które noszą na rękach i nogach, krewni

męża odbierają im kosztowności... Straszliwe życie na pograniczu niewoli i żałoby! Wiele wdów nie wytrzymuje i kończy życie samobójstwem...

O nowych Indiach i jej mieszkańcach, o kobietach wyznających nowe poglądy w książkach Jane nie było ani słowa... W jej wyobraźni utrwalił się obraz kraju przypominającego gigantyczne mrowisko. I gdzieś wśród tego mrowia, tych trzystu milionów czarnych, pomarańczowożółtych i kawowych istot zagubił się jej brat... Jane wzdrygnęła się. Rzuciła książki i telefonicznie wezwała do siebie Dotallera.

Rozdział dziesiąty

NĘDZARZE

Ariel czuł, że traci oddech, że opuszczają go siły. Krople deszczu mieszały się z kroplami potu... Nie może lecieć dalej mając ciężar na plecach. Trzeba odpocząć.

W ciemności nocy w dole pod nimi czerniał las, obok którego można było dojrzeć jaśniejszą przestrzeń — prawdopodobnie teren piaszczysty.

Opuścili się na ziemię obok strumienia, nad którym rósł banian. Napowietrzne korzenie drzewa, zwieszając się wzdłuż pnia, utworzyły u jego stóp kłębowisko ciemnych, splątanych pierścieni. Wokół drzewa rosły młode pędy barobusu. Był to ustronny zakątek, gdzie podróżnicy mogli odpocząć bez obawy, że ktoś ich wysledzi.

Oddychając ciężko, Ariel odwiązał ręcznik. Szarad zeskoczył z jego pleców i natychmiast rzucił się na ziemię, usiłując objąć Ariela za nogi i składając swemu wybawcy dowody najwyższej czci jak bóstwu.

Ariel uśmiechnął się smutno i rzekł, podnosząc chłopca:

— Nie jestem bogiem, Szarad. Jesteśmy obaj biedni, ubodzy uciekinierzy. Połóżmy się tutaj i odpocznijmy. Odlecieliśmy daleko...

Szarad czuł się trochę rozczarowany wyjaśnieniami Ariela. Dobrze byłoby mieć bóstwo za przyjaciela! Był jednak zbyt znużony, aby długo rozmyślać nad tą sprawą.

Weszli w gąszcz korzeni, nie zastanawiając się nad czyhającym tam niebezpieczeństwem — jadowitymi wężami i owadami. Ariel troskliwie podłożył pod głowę Szarada zwinięty ręcznik i chłopiec od razu zapadł w mocny sen. Sam pomimo wielkiego zmęczenia nie mógł zasnąć. Był zbyt przejęty tym, co się wydarzyło.

Wiatr rozpędził chmury. Na niebie zapaliły się wielkie gwiazdy. Księżyc powoli krył się za ciemną linią lasu. Ostatnie lekkie obłoczki przesunęły się przez jego tarczę, przypominając nocne zjawy. Skądś z bliska, prawdopodobnie z jakiegoś ogrodu, dolatywał nie znany, intensywny słodkawy zapach kwiatów i przenikał do samej głębi strwożonego serca Ariela, budząc niepokój na myśl, że gdzieś niedaleko mogą znajdować się ludzie.

Nowy podmuch wiatru uniósł ponad ziemią pasmo białawej mgły i Ariel ku swojemu przerażeniu przekonał się, że bynajmniej nie wylądowali w bezludnej okolicy. Za piaszczystą mierzeją stalową czernią połyskiwała rzeka. W drżącej wodzie odbijały się światelka przycumowanych w przystani łodzi. Mrok nocy zdawał się skupiać w gęstym listowiu drzew rosnących na przeciwległym brzegu. Księżyc skrył się za lasem i tylko jakaś wielka gwiazda, chyba Jowisz, jaśniejąc wśród rojów drobniejszych planet, które usiały niebo, czuwała nad śpiącą ziemią jak strażnik nocy...

Ten sielski obraz działał uspokajająco. Powieki Ariela przymknęły się. Nie wypuszczając z ręki ciepłej dłoni

Szarada, Ariel zapadł w drzemkę, oparty plecami o wijące się węzowato korzenie.

W półśnie widział inne kraje, niewyraźne w zarysach, nieznane lądy i przezroczyście niebo, gdzie dnie są podobne do spojrzenia szeroko otwartych oczu, a noce przypominają lękliwe cienie, drgające pod przymkniętymi powiekami. Nie ma tam żmij, których ukąszenie jest śmiertelne, a ludzie żyją spokojnie i bezpiecznie. A może Ariel czytał o tym w jakiejś książce?... W księdze życia czy może w zbiorze wierszy bengalskiego poety?... Sen o śnie...

Pod powieki przeniknęła jasność. Ariel otworzył oczy i zobaczył wiekowe drzewo — czapetkę, której koronę spowijał cieniutki woal porannej mgły. Prześwitywały przez nią czerwone promienie wschodzącego słońca... Rosa na pędach bambusu jaśniała szczerym złotem.

Skądś z lewej strony, spomiędzy drzew, dochodził śpiew. Ariel obrócił głowę w tamtą stronę i zobaczył sadzawkę otoczoną palmami kokosowymi. Kamienne schody prowadziły do samej wody. W wodzie stał korpulentny mężczyzna i odbywał poranną ablucję. Zatykał palcami uszy i robił przepisową ilość zanurzeń. Inny mężczyzna, prawdopodobnie bramin, w obawie, że skała swoje ciało nawet w tej „oczyszczającej” wodzie, odgarnął dłońmi nieczystości z jej powierzchni i dopiero po tym szybko się zanurzył. Trzeci mężczyzna nawet nie miał odwagi wejść do sadzawki i ograniczył się do zamoczenia ręcznika i wykręcenia z niego wody na głowę. Jedni z tych, którzy dokonywali tutaj ablucji, schodzili wolno po stopniach, drudzy rzucali się do wody, skacząc z górnego stopnia i mruczając przy tym poranne modlitwy. Inni, stojąc już na brzegu, wycierali swoje ciała, przebierali się w suchą bieliznę albo rozprostowywali fałdy odzieży. Niektórzy zrywali kwiaty na łące.

Po drugiej stronie stawu pływały kaczki, polowały na wodne ślimaki i czyściły pióra.

Ariel myślał, że znalazł się w dżungli, a tymczasem dookoła byli ludzie! Wszędzie latały pszczoły, słychać było głosy ptaków, znad rzeki niosła się pieśń. Szarad wciąż jeszcze spał. Ariel zaczerpnął dłonią gliny z kałuży i natarł nią twarz, szyję, ręce i nogi.

Rozległ się dźwięk gongu — niedaleko musiała być świątynia. Znajomy odgłos sprawił, że Szarad natychmiast się obudził. Chłopiec usiadł, rozejrzał się wokół półprzytomnym wzrokiem i zobaczył, że znajduje się w nieznanym miejscu, a obok niego stoi młody człowiek o czekoladowym odcieniu skóry. Przestraszył się i zaczął płakać.

— Nie lękaj się, Szarad! Nie poznajesz mnie? — łagodnie odezwał się Ariel.

Szarad upadł przed nim na twarz. Wczoraj Ariel latał, dzisiaj zmienił kolor skóry na ciemny i upodobił się do drawida. Tylko bóg jest zdolny do czegoś takiego!

— Wstań, Szarad. Patrz, natarłem się gliną, żeby nie zwracać na siebie uwagi jasnym odcieniem skóry. Zapamiętaj: jesteśmy biedakami, którzy wędrują po świecie i proszą o jałmużnę.

— Wędrują? Pieszko? A dlaczegoż nie mielibyśmy latać? To takie zajmujące...

— Dlatego, że jeśli będę latał, złapią mnie jak ptaka i umieszczą w klatce.

— A wtedy ty przemienisz ich w ptaków czy nawet w psy, dada! — wykrzyknął Szarad.

Ariel roześmiał się i machnął ręką.

— Chodźmy!

Wydostali się ze swojej kryjówki i poszli wolno drogą rozmytą przez ulewę. Kałuże błyszczały w porannym słońcu najczystszym złotem.

Wzdłuż drogi ciągnął się żywopłot z kolczastych krzewów seoru, za którym był niewielki staw, pokryty wodorostami. Czarny brodaty człowiek stał w wodzie zanurzony po pas i czyścił zęby przy pomocy obgryzionej na końcu gałązki. Spojrzał obojętnie na Ariela i Szarada, nie przerywając porannej toalety.

Drogą przeszedł wysoki wieśniak — mieszkaniec dalekich gór, odziany w obszerną szatę. Z pleców zwisał mu wielki worek, w rękach niósł koszyki z winogronami, rodzynekami i orzechami. Spieszno mu było na targ we wsi.

Ariel i Szarad zeszli na skraj drogi, jak pariasi, uklękli i zaczęli śpiewać.

Wieśniak postawił kosz na ziemi i rzucił w stronę nędzarzy kiść winogron. Ariel i Szarad skłonili się do samej ziemi, a kiedy się oddalił, Szarad skoczył na równe nogi, łapczywie pochwycił winogrona i wręczył je Arielowi.

Powolnym krokiem minął ich bawół zaprzężony do poskrzypującego wozu. Na szyi zwierzęcia siedział nagi chłopiec o wygolonej głowie, jedynie z pasemkiem włosów na ciemieniu. W wozie leżał staruszek, który na widok żebraków wyjął placek ryżowy i rzucił go Szaradowi.

— Teraz jesteśmy najedzeni — odezwał się Ariel.

Po tym śniadaniu ruszyli dalej wzdłuż drogi i wkrótce doszli do kępy drzew gujawowych, wśród których stały kryte darnią chaty o ścianach wymazanych gliną. Z łąki przed wioską dobiegał szum bazaru. Sprzedawcy owoców, sera, chłodzonej wody, wieńców kwiatowych, ryb i zasuszonych kwiatów głośno nawoływali przechodniów. Na wpół gołe dzieciaki otaczały sprzedawców zabawek. Były tu gwizdki z liści palmowych, malowane patyczki, drewniane grzechotki i szklane laleczki.

Pod drzewem magnoliowym siedział suchy jak szkielet Hindus w ogromnym zawoju na głowie i nadymając policzki

grał na piszczałce. Obok niego stał płaski koszyk, z którego kołysząc głowami unosiły się pionowo węże.

Zaklinacza węży otaczał tłum. Ludzie zachowywali jednak znaczną odległość. Szczupły chłopak obchodził widzów z drewnianą miseczką, do której chłopci wrzucali drobne monety o wartości nie przekraczającej jednego ana (parę groszy). Rupie można było znaleźć jedynie w kieszeni najzamożniejszych chłopów.

Tuż obok siedział jeszcze jeden zaklinacz węży — gruby mężczyzna z czarną brodą. Grał na długim, rozszerzającym się przy końcu flecie i tak bardzo nadymał policzki, że wyglądało, jakby miały mu zaraz pęknąć.

Kobiety w kolorowych sari i w czadrach, podzwaniając bransoletami na rękach i nogach, gromadziły się dokoła sprzedawców szali i barwnych tkanin.

— Dobrzy ludzie, okażcie łaskę nieszczęśliwemu! Udzielcie mi maleńkiej części waszych bogactw! — prosił żebrak z drewnianą miską w ręku.

Wśród tłumu popisywali się akrobaci, śpiewali żebracy, rozlegały się dźwięki fletów, grzmot bębnów, beczenie kóz, ryczenie osłów, krzyki dzieci...

— Czaj czuri, czaj? (Komu bransoletki, komu?) — śpiewnym głosem nawoływał kobiety sprzedawca szklanych i miedzianych ozdób.

Szarad wodził wokół gorączkowo wzrokiem. Pociągnął Ariela za rękę do gromadki dzieci, stłoczonej wokół prymitywnie wykonanych zabawek. Z zazdrością obserwował małą dziewczynkę, która, zapomniawszy o całym świecie, dmuchała w dopiero co kupiony czerwony gwizdek wydobywając z niego przenikliwe dźwięki.

Ariela także pochłonęło niezwykle widowisko. Porzucił Dandarata z jego ciszą, martwością i monotonią i teraz ten oślepiająco jaskrawy, wielojęzyczny świat wywoływał w nim

nie znane dotąd podniecenie. Poczłł zawrót głłwy na widok pstrokacizny i intensywnoścł kolorów przelewajęcł się wokół tłumu, szarpanych podmuchami goręcłgo wiatru szali, sari, czadr, proporców i liścł drzew. Podobnie jak Szarad, był odurzony życiem, które odsłaniało przed nim swoje nowe oblicze.

Raptem od strony drogi rozległ się ostry dźwięk klaksonu, który zagłuszył szum bazaru. Torując sobie drogę wśród tłumu, na targowisko powoli wtaczał się zbryzgany błotem samochód, w którym siedzieli sahibowie — Anglicy, ubrani w białe europejskie garnitury.

Ariel znowu stał się czujny. Mocno ścisnął dłoń Szarada.

Auto zatrzymało się. Dwaj sahibowie uzbrojeni w aparaty fotograficzne weszli w tłum, który z szacunkiem rozstąpił się na boki, tworząc szerokie przejście. Kierowali się prosto ku Arielowi.

„Pogoń!” — z przerażeniem pomyślał Ariel i pociągnął Szarada w kierunku zaroścł. Z trudnoścłą przebijali się przez zwartą cizbę ludzką. Sahibowie byli coraz bliżej. Rozglądali się, jakby kogoś szukali.

Ariel pochwycił w ramiona Szarada i wzbił się w powietrze.

Wybuch maszyny piekielnej nie wywołałby większej paniki. Z piersi zebranych na placu ludzi wyrwał się jeden wspólny okrzyk osłupienia i trwogi. Wielu rzuciło się twarzą na ziemię, osłaniając głowy płaszczami i rękoma. Zaklinacz węży wypuścił z ręki długi flet, który wpadł do koszyka. Kobry, sycząc, rozpełzły się po całym targowisku. Żywa drabina, utworzona przez popisujących się akrobatów, rozpadła się jak domek z kart. Cyrulik zostawił swojego klienta i nie wypuszczając z ręki nożyczek i grzebienia skoczył do stawu. Ludzie gnietli się i popychali, wywracając kosze i namioty sprzedawców. Niektórzy włązili pod wozy. Dzieciarnia zapamiętała klaskała w dłonie i wrzeszczała wniebogłosy.

Sahibowie stanęli jak wryci z otwartymi ustami. Po chwili, gdy popłoch nieco ustał, jeden z nich, mister Linton, odezwał się do swojego towarzysza:

— No i co, czy dalej będzie pan twierdził, że lewitacja nie jest faktem?

— Zaiste, Indie to kraina cudów — odrzekł na to drugi. — Jeśli, ma się rozumieć, nie jesteśmy ofiarami zbiorowej hipnozy. Jaka szkoda, że nie udało mi się sfotografować tego lotu! No, ale byłem zbyt oszołomiony...

Rozdział jedenasty

KARTY NA STÓŁ, CZYLI JESTEŚMY SIEBIE WARCII

Mr. Linton wysłał do madraskiej gazety pisemną relację z niezwykłych wypadków, jakie rozegrały się na oczach kilkuset świadków. Artykuł został wydrukowany i opatrzony komentarzem od redakcji:

„Nasz specjalny korespondent odwiedził miejscowość, w której miało miejsce to niezwykle wydarzenie, i zebrał wypowiedzi świadków, potwierdzające fakty przytoczone przez Mr. Lintona. Najprawdopodobniej mamy tutaj do czynienia z niezwykle sprytnie obmyślonym trikiem albo też z nowym bezskrzydłowym urządzeniem, służącym do latania. Dochodzenie, mające na celu wyjaśnienie tej zagadkowej historii, jest w toku. Na razie nie udało się ustalić tożsamości latającego młodego mężczyzny ani towarzyszącego mu chłopca”.

Doniesienie zostało przedrukowane przez inne gazety i wywołało wiele szumu i dyskusji. Gazety postępowego hinduskiego stowarzyszenia religijnego „Brahma Samadź” wyśmiały łatwowiernych: „Czy może jakikolwiek zdrowy na umyśle człowiek uwierzyć w tę bajkę o porwaniu, w to, że jakiś tajemniczy młody człowiek w biały dzień, na oczach

łtumu rzuca się na małego chłopca jak jastrząb na kurczę i unosi go w powietrze?!"

Trzeba zaznaczyć, że większość świadków była przekonana, iż chłopiec został porwany.

Natomiast gazety i czasopisma będące na usługach konserwatywnych „prawowiernych” sekt braminów wykorzystywały tę niebywałą sensację w celu podsylenia fanatyzmu

Rozpisywano się na temat wielkich tajemnic jogów, lewitacji i cudów. Mało brakowało, żeby tajemniczy młodzieniec został uznany za nowe wcielenie bóstwa, które zstąpiło na ziemię, by podnieść upadające nastroje religijne i upokorzyć ludzi małego ducha.

Angielska prasa teozoficzna powstrzymywała się od wyrażania swojej opinii, czekając na dyrektywy z centrali w Londynie, jednak redaktorzy byli zgodni co do tego, że dla dobra angielskich interesów w Indiach najkorzystniej będzie podtrzymać wersję o cudzie. Powstałe z tego powodu zamieszki i różnice zdań wśród ludności skolonizowanej były w każdym razie czymś jak najbardziej pożądanym. Łatwiej jest narzucić swoją wolę narodowi, który jest rozdzierany przez wewnętrzne zamieszki i kłótnie!

Wybitny uczony bengalski Ragupatha, zapytany przez redakcję „Brahma Samadz” o zjawisko lewitacji, uchylił się od jednoznacznej odpowiedzi: „Naukowcowi wolno wygłaszać swoje zdanie jedynie o tych faktach, które zostały przez niego sprawdzone w odpowiednich warunkach. Mogę jedynie powiedzieć, iż osobiście nigdy nie byłem świadkiem przypadku lewitacji i że współczesna nauka nie posiada chociażby hipotetycznych możliwości objaśnienia podobnego zjawiska”.

Przeczytawszy informację o wydarzeniach na jarmarku, Bharawa-Pearth chwycił się za głowę: „To przecież Ariel i

Szarad! W tamtym więc kierunku pofrunęli!" Przerazony, pomyślał o Brownlaughu i czekającej go awanturze.

Nie musiał długo czekać. Brownlaugh zjawił się jeszcze tego samego dnia. Przywódca hinduskich teozofów był wściekły. Nigdy dotąd Pearth nie widział go w takim stanie.

Brownlaugh chciał uderzyć Peartha, groził, że wyleje go z Dandaratu, nazywał niedorajdą i fajtlapą.

— Pan wziął na siebie całkowitą odpowiedzialność za Ariela i nie może mieć do nikogo żadnych pretensji! Gdzie się podział ten pana osławiony łańcuszek hipnotyczny, który miał utrzymać go na uwięzi pewniejszej niż łańcuch z żelaza?! Co powiemy teraz Bodenowi i Haslonowi? Jaką odpowiedź wyślemy do ośrodka dyspozycyjnego w Londynie? Jak sobie poradzimy z kampanią rozpętaną przez prasę?! Mieć taki atut w rękę i stracić go!...

Kiedy Brownlaugh zmęczył się krzykiem i trochę się uspokoił, Pearth powiedział:

— Ale teraz znamy dokładnie miejsce, w którym ukrywa się Ariel, a przynajmniej okolicę, gdzie przebywa. Nie odleciał tak daleko, jak myślałem. Widocznie nie może lecieć zbyt szybko, niosąc taki ciężar, jakim jest Szarad. Złapiemy ich z całą pewnością...

— Złapiemy! — przerwał mu Brownlaugh. — Złapiemy ptaki, które wyfrunęły z klatki! Musielibyśmy wszystkich łowczych uczynić latającymi ludźmi, jak to zrobiliśmy z Arielem, a to jest niedopuszczalne.

— A jednak łapie się ptaki w sidła-karmniki — zaprotestował Pearth. — Ariel i Szarad muszą pożywiać się i gasić pragnienie. Roześlemy, jeśli zajdzie potrzeba, setki ludzi na poszukiwania, wyznaczymy nagrodę dla chłopów, powiadomimy całą ludność kraju! Przyznaję, Ariel oszukał mnie, przechytrył. To moja wina. Lecz komuż mogłoby przyjść do głowy, że ten chłopak jest mistrzem w udawaniu?!

Czuję się winny i gotów jestem wyłożyć własne pieniądze, aby to naprawić. Pomogą nam Boden i Haslon. Zawiadomiłem ich i otrzymałem telegram, że Boden przybywa najbliższym samolotem. A kiedy Ariel znajdzie się z powrotem w naszych rękach, przekupimy prasę i świadków — co nie będzie rzeczą trudną — i całe to wydarzenie będzie potraktowane jako żart, mistyfikacja czy kaczka dziennikarska. A kiedy ludzie puszczą w niepamięć to, co się stało...

— ...zaczniemy demonstrować naszego Ariela i cała historia znów wypłynie na wierzch! Nie, bądźmy szczerzy: latający człowiek jest stracony dla Dandaratu! Ariela i Szarada należy złapać, ale wyłącznie po to, żeby nie rozniosło się, czym jest nasz Dandarat i jakiego to typu szkoła, gdyż w przeciwnym wypadku grozi jej zamknięcie, a nam...

— Ława oskarżonych? Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Londyn nie dopuści. Byłaby to kompromitacja nie tylko dla wicekróla Indii, lecz także dla władz w stolicy. Jakie cele przyświecają Dandaratowi? Na czyich usługach jesteśmy? Chyba nie wyobraża pan sobie, że będę milczał i nie opowiem wszystkiego, jeśli będę musiał stanąć przed sądem?

— Będzie pan.

— Opowiem szczerze o wszystkim!

— Pan tego nie zrobi, Pearth.

— Zrobię. Nie mam nic do stracenia. W Londynie wiedzą o wszystkim. Ujawnię rzeczy, od których świat zadrży w posadach!

— Niech pan nie zapomina, Pearth, że pańska kartoteka nie jest czysta. Miał pan na sumieniu coś niecoś, zanim znalazł to ciepłe miejsce w Dandaracie. Ominęło pana zesłanie na ciężkie roboty, lecz w zamian za to miał pan okazać całkowite posłuszeństwo i zostać niemy wykonawcą cudzych rozkazów.

— Ominęło, lecz wyłącznie po to, żebym teraz został skazany na ciężkie roboty za nie swoje winy! A pan, pan, szerzyciel hasel powszechniej miłości, pokory i miłosierdzia?... Czy pan naprawdę myśli, że nic nie wiem o początkach pańskiej kariery?! Nie ma tak dobrze — zebrałem trochę informacji na ten temat... Nie mówiąc już o pańskiej wielce chwalebnej działalności tu, w Dandaracie. Kazał pan porywać dzieci rodzicom, na pana polecenie skazywano je na zagładę, oszpecano okrutnie!.. Ile z nich skończyło śmiercią samobójczą?! Wszystko mam zapisane. I ani myślę sam jeden odpowiadać za te zbrodnie.

Przez jakiś czas panowie w milczeniu spoglądali jeden na drugiego jak dwa koguty przed kolejnym starciem.

Lecz wreszcie rozsądek wziął górę. Brownlaugh poufale poklepał Peartha po ramieniu i oświadczył, uśmiechając się sarkastycznie:

— Cóż, wyłożyliśmy karty na stół. Obaj mamy swoje mocne atuty. Dlatego nie będziemy się kłócić. Trzeba coś wymyślić, babu Bharawa.

— Od tego trzeba było zacząć! — zawołał Pearth.

— A co do Ariela, myślę, że najlepiej będzie, jeśli z nim skończymy...

— ... jeśli wykończymy go — sprecyzował Pearth.

— I to jak najszybciej.

Panowie przystąpili do omówienia najpilniejszych, wymagających wspólnego działania posunięć.

Rozdział dwunasty

PASAŻEROWIE NA GAPE

Ariel uniósł się ponad targowiskiem i skierował ku zaroślom. Huczało mu w skroniach. Szarad jednak ważył sporo, co utrudniało lot. Żeby móc bardziej efektywnie pruć powietrze,

Ariel przybrał pozycję niemal poziomą, przyciskając Szarada do piersi.

Starął się trzymać linii lasu i unikać otwartych przestrzeni. Lecz las wkrótce się skończył i teraz prawie do samego horyzontu ciągnęły się pola, na których tu i ówdzie sterczały kominy fabryczne. Ariel i Szarad widzieli pracujących na roli wieśniaków, którzy zadzierali głowy do góry i nieruchomieli szeroko rozdziawiając gęby. Niektórzy padali plackiem na ziemię lub rzucali się do ucieczki, ku wielkiej uciechu Szarada. Chłopiec wysuwał język i machał nogami, lecz Ariel myślał tylko o jednym: czy starczy mu sił, żeby dolecieć do dość odległego zagajnika.

Raptem usłyszał gdzieś poza sobą buczenie olbrzymiego trzmiela. Obejrzał się do tyłu i zobaczył zbliżający się samolot, który leciał z niewielką szybkością na małej wysokości. Czyżby to była pogoń? W pierwszej chwili chciał rzucić się kamieniem w dół, lecz wystarczyła sekunda rozważenia, żeby uświadomić sobie, iż jest mało prawdopodobne, że to Pearth ich ściga. W jaki sposób zresztą mógłby pochwycić Ariela w powietrzu? Natomiast nie jest wykluczone, że samolot został wysłany na zwiady. Co będzie, jeśli znajdujący się w nim ludzie zaczną strzelać do nich?...

Tymczasem samolot był już bardzo blisko. Pilot nie mógł nie widzieć Ariela i Szarada. Ariel zdecydował, że najlepiej będzie, jeśli wzniesie się nad samolotem i przepuści go przed sobą.

Gdy samolot przelatywał pod nimi, Szarad zawołał:

— Dada, siadaj na skrzydło!

Szum silników zagłuszył słowa Szarada, lecz Ariel myślał o tym samym: zląduje na skrzydle, gdzie będzie najłatwiej ukryć się przed ewentualną strzelaniną. Przyspieszył lot i zbliżył się do kadłuba, nie wypuszczając z rąk Szarada.

Dopiero po tym, jak chłopiec uczeplił się dłońmi za jakiś występ, Ariel rozluźnił chwyt, po czym również „siadł” na skrzydle. Samolot nieznacznie zanurkował. Teraz mogli odpocząć, lecz Ariel, kierując się względami bezpieczeństwa, jeszcze raz wprowadził swe ciało w stan nieważkości i, szybując ponad Szaradem, mocno związał go ze sobą ręcznikiem. W ten sposób rozpoczęli podróż w charakterze pasażerów na gapę.

Szarad był zachwycony. Wreszcie miał grunt pod nogami! Metalowa powierzchnia była nagrzana przez słońce, i to do tego stopnia, że parzyła ciało, lecz należało się z tym pogodzić. Najważniejsze, że oddalali się na północ, trzymając kurs wzdłuż wybrzeży Zatoki Bengalskiej. Bardzo dobrze. Odlecają daleko od Madrasu bez zbytej utraty sił. Musiał to być pocztowo-pasażerski samolot linii Madras—Kalkuta.

Jedno tylko niepokoiło Ariela: jak się zachowają pasażerowie, gdy zauważą jego i Szarada? Należało mieć się na baczności.

Minęło nie więcej jak pół godziny, gdy z kabiny pilota wychyliła się głowa w hełmie lotniczym i okularach. Czy w ślad za nią nie wysunie się ręka uzbrojona w pistolet? Lecz głowa zniknęła i nie pojawiła się więcej. Bardzo możliwe, że ludzie w samolocie naradzali się. Lotnik nie mógł nie zwrócić uwagi na lekki wstrząs i dodatkowe obciążenie samolotu.

Na horyzoncie ukazała się latarnia morska, a potem kopuła obserwatorium. Jakby znajomy widok... Ariel nie mógł powstrzymać się od krzyku: to był Madras!

Nie mający żadnego doświadczenia życiowego ani jakichkolwiek umiejętności praktycznych Ariel łatwo padł ofiarą okrutnej pomyłki. Samolot leciał nie na północ, do Kalkuty, lecz na południe — do Madrasu. I rzeczywiście — ocean znajdował się po jego lewej ręce. Powinien był zorientować się dużo wcześniej!

Ariel pochwycił na ręce nic nie rozumiejącego Szarada i ześliznął się ze skrzydła głową w dół. Na szczęście pod nimi rozciągały się gęste zarośla bambusu i trzciny.

Ogłuszeni rykiem silników, przez pewien czas nie mogli usłyszeć się nawzajem. Dopiero gdy szum w uszach ustał, Ariel wyjaśnił Szaradowi, dlaczego musieli tak nagle opuścić samolot.

— Teraz za to będziemy mądrzy i doczekamy tutaj zmroku lub mgły, a wtedy, nie zauważeni przez nikogo, wyładujemy na skrzydle samolotu, który będzie leciał na północ. Teraz już na pewno uniknę pomyłki!

Chciało im się jeść, ale przecież tak często głodowali w Dandaracie, że zdążyli się już do tego przyzwyczaić! Szarad pożywił się młodymi pędami trzciny. Bali się, że mogą trafić w ręce wrogów, i przez cały dzień nie opuszczali swojej kryjówki.

Przedwieczorne niebo zasnęło się chmurami. W nocy spadł deszcz, a nad ranem wszystko dokoła otuliła mgła. I raptem we mgle dał się słyszeć szum silników. Ciasno obwiązawszy się ręcznikiem, Ariel i Szarad unieśli się w powietrze. Ulokowanie się na skrzydle samolotu nie było rzeczą łatwą ani bezpieczną. Mało brakowało, żeby ledwo widoczny we mgle samolot strącił ich na ziemię. Uratowali się dzięki temu, że Ariel w porę dał susa w bok i poszybował do przodu. Musiał potem resztkami sił doganiać maszynę w powietrzu, a gdy mu się to wreszcie udało, ostrożnie spuścił się na jej skrzydło, które przechyliło się lekko.

Lecieli w ten sposób prawie cały dzień. Cierpieli bardzo z powodu upału, dokuczał im głód i pragnienie, lecz pamiętali, że z każdą godziną oddalają się coraz bardziej od znieawidzonego Dandaratu i przerażającego Peartha.

Pod wieczór rozpętała się burza. Samolotem rzucało z boku na bok. Maszyna zanurzała się w dziurach powietrznych lub unosiła się na grzbietach powietrznych fal.

Jeden z silniejszych podmuchów wiatru zmiotł podróżników ze skrzydła. Nie starczyło im sił, żeby gonić oddalający się samolot, i Ariel zaczął opuszczać się na ziemię.

— Wreszcie udało nam się odlecieć wystarczająco daleko! — powiedział Ariel.

Rozdział trzynasty

WISZNU I PARIASI

Gdy jeszcze znajdowali się w powietrzu, ujrzeni w dole ruiny długiego budynku. Wylądowali na stercie gruzu w jednym z pomieszczeń, płosząc chmurę kryjących się po kątach nietoperzy, które krążyły jakiś czas nad ich głowami, póki wreszcie się nie uspokoiły. Uciekinierzy wyszukali miejsce, które dałoby im osłonę przed deszczem i wiatrem, i ułożyli się do snu.

Ariel obudził się o świcie. Wstał cicho, żeby nie zbudzić Szarada, przez wyrwę w ścianie wydostał się na zewnątrz i rozejrzał dookoła.

Słońce jeszcze nie wzeszło. Lekkie strzępki mgły snuły się nad ziemią jak nocne zjawy spłoszone pierwszym oddechem poranku. Roślinność była skąpana w rosie. Nie tylko ruiny nieforemnego budynku, ale i cała okolica wyglądała dosyć ponuro. Przez ziejące pęknięcia ścian wysuwało swoje grube, chwytnie korzenie pokraczne drzewo aszat. Tu i ówdzie wśród kwitnących krzewów wznosiły się resztki muru. Dwa zniszczone słupy wskazywały miejsce, gdzie niegdyś znajdowała się brama. Stąd aż do brzegu rzeki ciągnęła się aleja wysadzana drzewami masłowymi. Pod sklepieniem wiekowych drzew wznosiły się kopce, przypominające mogiły

We mgle połyskiwała woda stawu o rozmytych brzegach, z którego strumykami wyciekała woda. Na dnie stawu uwiły łoża korzenie kolendru. Zapadł kwiatów tego drzewa wypełniał cały ogród.

Ogród przechodził w niewielkie poletko kukurydzy; na jego skraju stała chata kryta słomą. Gliniane ściany pociemniały od częstych deszczów.

Zorza zabarwiła mgłę na różowo. Rozległ się świergot ptaków, ożyły wronie gniazda. Pierwszy promień słońca zapalił w kropelce rosy diamentowe błyski. Ariel nie mógł oderwać oczu od tego jaśniejącego na liściu krzaka punkcika. Lecz punkcik wkrótce znikł. Chciwe słońce wypilo kroplę rosy... Ariel uczuł smutek w sercu: piękno i radość są tak nietrwałe... Przysiadł na kamieniu i zamyślił się głęboko.

Dźwięki i odgłosy budzącego się dnia przeszkadzały mu w skupieniu się.

Z chaty za poletkiem kukurydzianym wyszedł staruszek, ubrany w samo dhoti. Nucąc piosenkę, przystąpił do swoich codziennych porannych czynności — obmazywania ścian chaty świeżą gliną.

Zaraz potem z chaty wyszła młodziutka dziewczyna. Na sobie miała szaroniebieskie sari, które musiało być niegdyś błękitnego koloru. Jej czarne włosy były zaplecione w warkocze, w rękę niosła miednicę i kociołek. Naczynia oraz bransoletki opasujące ramiona i kostki dziewczyny podzwaniały w takt jej kroków. Zbliżyła się do strumienia i zaczęła szorować naczynia piaskiem.

Dziewczyna rzucała lękliwe spojrzenia w kierunku ruin, co zaniepokoiło Ariela. Czy ci ludzie nie byli przypadkowymi świadkami lądowania jego i Szarada?

— Chodź do mnie, mój miły! — usłyszał Ariel pieszczotliwy głos i drgnął. Obejrzał się i poprzez zasłonę rzednącej mgły zobaczył przy przeciwległym brzegu stawu młodzieńca

zanurzonego po pas w wodzie. Obok stał bawół. Oczy zwierzęcia były łagodne. Jakby w odpowiedzi na nawoływania młodego człowieka bawół westchnął potężnie i ociągając się wszedł głębiej do wody. Jego szeroka pierś wzburzyła spokojną toń, która pokryła się lekkimi falami.

Młodzieniec zaczął pieczołowicie myć skórę bawołu, który z zadowolenia parsknął i obracał powoli łeb na wszystkie strony. Czy to z powodu tego młodzieńca oboje — staruszek i dziewczyna — tak często spoglądali ku ruinom? Młody człowiek i dziewczyna rzeczywiście spoglądali na siebie, lecz nie zamienili ze sobą ani jednego słowa.

Młodzieniec wykapał bawołu i wyprowadził go ze stawu. Popatrzył na dziewczynę i ruszył zarosła trawą ścieżką, poklepując dłonią lśniący bok zwierzęcia.

Dziewczyna odprowadzała ich wzrokiem, dopóki nie skryli się w zagajniku.

— Dada! Dada Ariel! Gdzie jesteś? — dało się słyszeć wołanie Szarada. Obudziwszy się i nie zobaczywszy przy sobie Ariela, chłopiec zaniepokoił się i wybiegł na podwórze. — Ach, tutaj jesteś, dada! Jestem głodny! Bardzo głodny!

Ariel zauważył, że na widok Szarada dziewczyna wypuściła z rąk kociołek, a potem, porzuciwszy naczynia, zaczęła biec ku chacie. Poły jej sari rozwiewały się odsłaniając mocne smagłe łydki, biły ją po ramionach i plecach a bransolety podzwaniały głośno. Staruszek popatrzył na dziewczynę, strząsnął z rąk glinę i równie pospiesznie skrył się za drzwiami chaty.

— Patrz, coś narobił — odezwał się Ariel, wychodząc zza krzaka. — Zauważono nas.

— Przepraszam, dada, lecz tak się zląkłem, kiedy zobaczyłem, że ciebie nie ma...

— I co teraz zrobimy? Uciekamy? Odlatujemy stąd?

— Jak chcesz — z pokorą odparł Szarad. — Ale ja bardzo jestem głodny! Taki głodny, jak chyba nigdy, nawet na nogach

ustać nie mogę. Przecież nie mieliśmy nic w ustach ani wczoraj, ani przez całą minioną noc... Może ci ludzie dadzą nam garść ryżu?

„Mało prawdopodobne, żeby w takim głuchym zakątku znajdowali się jacyś wspólnicy Peartha — pomyślał Ariel. — No i tak czy owak zawsze można im umknąć! Szarad ma rację — musimy poprosić o trochę jedzenia”. — Również i on odczuwał głód i ubytek sił. Nie odleci daleko, będąc taki słaby!

Gdy tak stał i rozmyślał, drzwi chaty otworzyły się i na progu ukazał się staruszek. Trzymał przed sobą drewnianą tacę, na której stały dwie misy. Łokciem przyciskał do boku matę. Zza jego pleców wyglądała dziewczyna. Przebrała się w nowe sari czerwonego koloru i w ręku niosła wianek. Stąpając uroczyście, ruszyli oboje skrajem pola kukurydzy. Kierowali się ku ruinom. Starzec szedł pierwszy, za nim podążała dziewczyna.

Ariel i Szarad stali i trzymali się za ręce w niemym oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków.

Staruszek zatrzymał się przed nimi w odległości jakichś siedemdziesięciu kroków. Dziewczyna wyjęła spod jego ramienia matę i rozesłała ją na ziemi, a on ustawił na macie swoją tacę. Potem oboje skłonili się przed Arielem do samej ziemi.

— Bądź pozdrowiony, wysłanniku niebios! Pozwól, by moja wnuczka dotknęła czołem twoich stóp. Pobłogosław nas nieznany przybyszu! Tego, kogo bogowie postawili tak wysoko ponad ludźmi, nie może zbrukać bliskość maluczkich. I jeśli nawet nie jesteśmy godni twojego błogosławieństwa, okaż nam tę łaskę i zechciej przyjąć z naszych rąk to oto pożywienie, które przynosimy ci ze szczerego serca!

Ariel nie od razu zrozumiał, dlaczego starzec przemawia do niego z taką czcią. A wygłodzony Szarad, który nie odrywał oczu od tacy, szturchał go w bok i szeptał:

— Chodźmy, dada! Tam jest przypiekany ryż i mleko!...

Ariel zbliżył się do staruszka, który wraz ze swoją wnuczką zaczął spieszenie wycofywać się tyłem.

— Dziękuję wam, dobrzy ludzie — odpowiedział Ariel i zatrzymał się przed stojącą na ziemi tacą. — Proszę was, nie odchodźcie. Z największą przyjemnością weźmiemy udział w waszym porannym posiłku. Szaradzie, weź tacę i matę! Zanieś do domu! — I dodał ciszej: — Ale nie wolno ci zacząć jeść bez mojego pozwolenia!

Staruszek i dziewczyna zatrzymali się, nie przestając bić pokłonów. Gdy Ariel z Szaradem podeszli bliżej, dziewczyna spłonęła rumieńcem i wyciągnęła do Ariela drżące dłonie podając mu wieniec. Zmieszana, przebąkiwała coś niewyraźnie.

Ariel skłonił się, wziął wianek z jej rąk i zawiesił sobie na szyi.

Doszli do chaty, a wtedy promieniejący dumą starzec obszedł swoją siedzibę dookoła i zaprowadził gości na niewielką werandę. Ściana werandy była okopcona od płomieni kaganków. Dziewczyna rozścieliła na podłodze matę. Wszyscy czworo zajęli miejsca, tworząc koło.

— Przynieś syropu cukrowego, placki i więcej ryżu, Lalito — rzekł starzec. Lecz dziewczyna jak zaczarowana wpatrywała się w Ariela, który również zatopił spojrzenie w jej wielkich brązowych oczach, podmalowanych sadzą. — Lalita! — powtórzył starzec. Dziewczyna drgnęła i pospieszyła wykonać polecenie. — Proszę przyjąć posiłek z rąk swojego sługi!

Szarada nie trzeba było dwa razy zapraszać do jedzenia. Ariel jadł z nie mniejszym apetytem.

— Jaka szkoda, że nie mogę doprawić tego ryżu kwaskowatym sokiem z niedojrzałych owoców mango — ciągnął staruszek. — Na mojej działce rosną drzewa mango, proszę spojrzeć — gospodarz wskazał ręką — ale mnie, w moim wieku, trudno jest włązić na drzewa,

Ariel powiódł spojrzeniem za ruchem ręki starca.

— Powiedz mi, babu, jak masz na imię? — spytał.

— Nizmat — odpowiedział zapytany, wzruszony tym, że gość nazwał go babu — ojcem.

— Czy nie ma tu w pobliżu innych ludzi? — pytał Ariel.

— Nie ma. Dopiero za laskiem mieszka pewien młody człowiek, Iszwar, ze swoją niewidomą matką.

„Chyba właśnie jego widziałem nad stawem — pomyślał Ariel. — Ale ten młodzieniec wygląda na niegroźnego. I musi być dobry, skoro tak pieszczotliwie przemawia do zwierzęcia”.

Ariel w myślach obliczył odległość dzielącą go od drzew i rzekł:

— W takim razie przyniosę parę owoców. Nie musiał nawet wstawać — uniósł się w górę z pozycji siedzącej i, wzleciawszy ponad dach, poszybował ku drzewom.

Ogarnęło go niezwykle uczucie nieważkości. Po raz pierwszy niósł się ku obłokom bez obciążenia. Odczuwał tak wielką radość, że gotów był fikać koziołki w powietrzu! Przelatując nad starym drzewem czapetki zanurkował i w locie zerwał parę liści, a potem rzucił je na ziemię. Opanował go nastrój zabawy. Podleciał do drzewa mango, zatoczył krąg nad jego ciężką koroną, opadł niżej i zawisnąwszy w powietrzu w pozycji pionowej, zaczął zrywać pomarańczowożółte, wielkości gęsiego jaja owoce. Czuł się tak, jakby stał na ziemi i zbierał owoce w ogrodzie, a potem lotem jaskółki powrócił na werandę, płosząc gołębice na dachu i przechadzającego się wzdłuż werandy pawia.

Nizmat leżał na macie twarzą do ziemi. Lalita siedziała na podłodze wśród rozrzuconych mis, placuszków i drewnianych talerzy, które musiały wypaść jej z rąk. Natomiast Szarad zaśmiewał się do łez, klepiąc się dłońmi po kolanach. Miał zaczerwienioną buzię i błyszczące oczy. Proszę, w jaki to popłoch wprawia ludzi jego przyjacieli!

Ariel zawstydział się na widok zdumionej twarzy dziewczyny i osłupienia starca.

— Przepraszam, zdaje się, że was przestraszyłem — odezwał się.

— O światłości, będąca pieśczętą moich oczu! Światłości, napęniająca serce moje słodyczą! Radość wielka przenika mnie od stóp do głów! O panie wszechświata! Sprawileś, że stałem się uczestnikiem twojej chwały! O Wisznu, wcielający się w postacię Ramy i Kriszny! Czy to nie dziesiąte twoje wcielenie mogły oglądać oczy moje, które nie widziały dotąd radości życia? — Nizmat uklęknął i wyciągnął do Ariela obie dłonie.

— Ja... Ależ nie, babu Nizmat, nie jestem Wisznu! Jestem zwykłym śmiertelnikiem, takim samym jak ty! Tylko tyle, że umiem latać. Uczyniono ze mnie latającego człowieka, nie pytając mnie o zgodę. Wiesz przecież, że ludzie latają na samolotach, i nie uważasz ich za bogów. Latają także muchy i ważki, i ptaki...

Ariel czuł, że staruszek mu nie wierzy, a nie wierzy dlatego, że nie chce pozbawić się radości obcowania z bóstwem. Nie wolno odbierać mu tych radosnych złudzeń.

— No więc dobrze! Uważaj mnie za kogo chcesz, ale proszę cię, traktuj mnie jak zwykłego człowieka. Rozkazuję ci, abyś tak czynił! Siadaj obok i jedz razem ze mną. I Lalita również. A teraz opowiedz mi o swoim życiu.

— Niech się stanie, jak sobie życzysz! — odparł starzec. — Siadaj, Lalito — nakazał wnuczce. — Jedz, i niech raduje się serce twoje!

Nizmat zaczął opowiadać o swoim życiu.

Należał do najędźniejszych pariasów. Drzwi świątyń były przed nim zamknięte. Nie wolno mu było czerpać wody ze wspólnych studni. Musiał schodzić z drogi, chociażby w błoto i nieczystości, na widok osób nawet z najniższych kast, żeby nie skalać ich swoim oddechem czy spojrzeniem. Głodował przez całe życie — razem ze swoją rodziną. Starszy syn Nizmata, radość jego oczu i podpora starości, zachorował, gdy miał dwadzieścia lat. Żona zawezwała znachora. Ten przez całą noc przypalał chorego rozżarzonym żelazem i wymawiał zaklęcia. Lecz zły duch, który nawiedził syna Nizmata, okazał się silniejszy i chory zmarł o świcie. Taka była wola boska. Żona Nizmata, drugi syn, żona syna i ich dzieci umarli jedno po drugim. Umierali na cholere i malarię, a także z głodu. Została Nizmatowi jedynie wnuczka Lalita. Jej mąż również nie żyje...

— Lalita jest wdową? — zapytał zdumiony Ariel. — Ileż ona ma lat?

— Wkrótce skończy piętnaście. Jest wdową już od trzech lat.

— To dlaczego Lalita nie nosi białej szaty, jak przystało wdowie? Dlaczego nie ogolono jej głowy? Dlaczego w dalszym ciągu nosi szklane bransolety? Dlaczego krewni męża nie rozbili w kawałki tych jej ozdób? — pytał Szarad, lepiej od Ariela obznajomiony z obyczajami kraju.

— Jesteśmy zbyt biedni, żeby przestrzegać wszystkich obrządków i zwyczajów, a poza tym zmarły mąż Lality nie miał żadnych krewnych — odpowiedział Nizmat. — Nasz sąsiad Iszwar kocha Lalitę — ciągnął, a dziewczyna zaczerwieniła się przy tych słowach i opuściła nisko głowę. — Gotów jest się z nią ożenić, ale jego matka nie zgadza się,

żeby syn poślubił wdowę, jak to teraz niekiedy czynią ludzie nie przestrzegający dawnych obyczajów. Niewidoma kobieta pamięta jeszcze te czasy, kiedy wdowy palono żywcem razem z ciałami ich zmarłych mężów. Ona sama też miała być spalona, ale nie dopuścili do tego sahibowie. Mimo to staruszka wierzy niezłomnie w dawne prawo: wdowa nie może wyjść za mąż powtórnie. Dlatego właśnie w naszym kraju spotyka się tak wiele wdów — westchnął Nizmat. — A mój ród wyginie...

Ariel zamyślił się. O tych sprawach nie mówiono im w Dandaracie. Chętnie by się dowiedział, czy Lalita również kocha Iszwara, ale nie zadał tego pytania. Sam nie wiedział, dlaczego: czy nie chciał jeszcze bardziej płoszyć Lality, czy też bał się, że usłyszy z jej ust odpowiedź twierdzącą?...

Chcąc zmienić temat rozmowy, zapytał:

— A co to są za ruiny?

— Kiedyś stała tu fabryka, w której produkowano barwnik roślinny, indygo — odpowiedział Nizmat. — Jej właściciel, sahib, był bardzo okrutny. Umiał wydobywać ten niebieski barwnik z krwi i potu swoich robotników... Sahib przekupił miejscowego radzę Radżkumara, i ten odebrał nam, chłopom, ziemię i oddał ją sahibowi. Pozbawieni ziemi chłopci, żeby nie umrzeć z głodu, musieli pójść do pracy w fabryce, zapomniawszy o różnicach kastowych... Ja też tu pracowałem. Kilku muzułmanów, gospodarzących w sąsiedniej wsi, domagało się zwrotu zagrabionych pól, na których obecnie wysiewano rośliny dające indygo. Fabrykant przyjmował do pracy nie tylko mężczyzn, ale też kobiety i starców, a nawet dzieci od siedmiu lat. Robotnicy umierali... Wreszcie umarł też i sahib. Jedni mówili, że umarł na febrę tropikalną, inni — że ukąsiła go żmija... Ale też gadali, że sahib został uduszony przez jakiegoś muzułmanina. Z mieszkańców trzech wiosek zostało nas przy życiu tylko czworo: ja z wnuczką i ślepa Tara

z synem Iszwarem. Robotnicy, którzy przywędrowali z innych miejscowości, też opuścili te strony... A teraz z fabryki zostały tylko ruiny, które coraz gęściej porastają krzewy i kwiaty. Po śmierci sahiba — ciągnął Nizmat — radża ogłosił, że oddaje nam ziemię w dzierżawę. Musi przecież mieć jakiś dochód: ziemi ma strasznie dużo, a chłopów — tylko dwie nasze rodziny! Ale i Tara, i ja mogliśmy sobie pozwolić na wydzierżawienie jedynie małych kawałków pola, choć wysokość dzierżawy nie była duża... Ot, gdybyśmy mogli połączyć nasze gospodarstwa w jedno, utworzyć jedną rodzinę...

Stary zamilkł. Milczał również Ariel. Szarad dojechał ostatni placuszek. Lalita spod opuszczonych rzes obserwowała Ariela. Czuł na sobie jej wzrok i to napawało go wzruszeniem.

Rozdział czternasty

BOGOWIE TEŻ NIEKIEDY ZAZDROSZCZĄ LUDZIOM

Ariel i Szarad odpoczywali po niedawnych przejściach. Nizmat i Lalita otoczyli obu przyjaciół wielką troską, niemal modląc się do Ariela. Szarad zaczął nazywać Lalitę siostrą — didi. Chłopiec bardzo szybko odzyskał dziecięcą radość życia. Nizmat pokochał go jak zesłanego mu przez bogów syna, a rozpieszczany przez Lalitę, która traktowała go jak młodszego brata, Szarad znalazł tutaj dom rodzinny.

Ariel często zastanawiał się nad przyszłością Szarada i nad swoim losem. Wśród tych prostych, kochających ludzi mógłby czuć się zupełnie dobrze, gdyby odnoszono się do niego tak, jak do Szarada. Nadmiar szacunku, którym go darzono i który graniczył z uwielbieniem i czcią oddawaną tylko bogom, onieśmiałał i był niezmiernie krępujący. Każdego ranka Lalita, skłaniając się do samej ziemi, obdarzała go wieńcem lub wiązką kwiatów, co wyglądało, jakby składała ofiarę

bóstwu. W oczach młodziutkiej wdowy czytał jak w otwartej księdze: z głębi serca darzyła go czcią, połączoną z odrobiną lęku. W tych wielkich piwnych oczach ocienionych długimi rzęsami pragnął ujrzeć odbicie bardziej zwyczajnych, przyjaznych uczuć. Ariel usiłował przekomarzać się z dziewczyną, przekonać ją swoim wyglądem i zachowaniem, że jest zwykłym śmiertelnikiem. Na próżno jednak — wyraz twarzy Lality pozostawał niezmiennie ten sam: poważny, surowy i pełen szacunku. Bardzo to smuciło Ariela.

Szedł do lasu, zaszywał się w największym gąszczu, kładł na trawie i pogrążał się w rozmyślaniach.,

Jakże dziwnie i smutno układa się jego życie! Nie znał swoich rodziców, nie zaznał miłości, przyjaźni i pieczyoty, nie miał prawdziwego dzieciństwa i niczego się nie uczył, z wyjątkiem kilku języków i tekstów świętych ksiąg, które musiał wykuć na pamięć. A potem uczyniono go latającym człowiekiem... Potrafi szybować w powietrzu bardziej swobodnie i lekko niż ptaki! Czyż nie jest to cudowna umiejętność? Czyż nie o tym marzyli ludzie? Czyż nie zdarza się im latać we śnie? Czy to nie z tych rojeń i marzeń sennych zrodziły się samoloty i sterowce? O tak, dobrze być człowiekiem-ptakiem — pod warunkiem, że ten dar nie jest barierą, która odgradza od reszty ludzi. Co czekało go w Dandaracie? Zarówno Pearth, jak i Brownlaugh w dalszym ciągu narzucaliby mu swoją wolę, traktowałiby go jak wypuszczonego na łowy sokoła i demonstrowali publicznie jako „dziw natury". A znów ci prości chłopci, Nizmat i Lalita, widzą w nim bóstwo. I czy tylko oni? A Szarad?... Nie jest wykluczone, że wszyscy ludzie, bez wyjątku, będą go traktować w ten właśnie sposób. Czyż nie posiadał umiejętności, która w oczach ogółu wydaje się czymś nadludzkim i nienaturalnym? Więc zgodzić się na rolę bóstwa? Byłoby to równoznaczne ze skazaniem się na samotność i dręczącą nudę... Lalita, ta miła, delikatna, na wpół

kobieta, na wpół dziewczyna spogląda nań jak na istotę niedosiężną... Bardzo możliwe, że Ariel podoba się Lalicie — ale sama myśl o czymś podobnym wydałaby się jej świętokradztwem! Ta dziewczyna nie wyobraża sobie nawet, że pomiędzy nimi dwojgiem mogłoby zaistnieć coś więcej niż „boska opieka” z jego, a szczerza atencja z jej strony...

Poza tym, nie może pozostać w tych stronach i zamieszkać z nimi na stałe. Szukają go. Jest przecież rajskim ptakiem, który wyfrunął z klatki. Musi często zmieniać miejsca pobytu, uciekać, odlatywać coraz dalej. Na swoje nieszczęście ma jasną skórę, chociaż tak mocno opalił się w skwarnych promieniach tutejszego słońca. Jest zbyt biały jak na Hindusa i w Indiach będzie zwracać na siebie powszechną uwagę. Malowanie ciała gliną jest nieprzyjemne i nie zdaje egzaminu, gdyż deszcz natychmiast zmyje z niego ten nowy kolor skóry. Udawać sahiba, zdobyć ubranie, w jakich chodzą Europejczycy? Mówi przecież po angielsku bez zarzutu... Ale co powie o sobie, jeśli ludzie zaczną go wypytywać? Musi zastanowić się nad tym wszystkim. Zrezygnuje z latania. Chyba że podczas ciemnych nocy, przed świtaniem, kiedy ludzie są pogrążeni we śnie...

Z Szaradem będą musieli się rozstać. Latanie z chłopcem na plecach jest uciążliwe, a poza tym we dwójkę szybciej zwrócą na siebie uwagę. Szarad jest urządzony. Tutaj będą o niego dbać jak o „dar bóstwa”, o zesłanego przez niebiosa syna Nizmata.

A Lalita?... Ariel westchnął. Dziewczyna powinna zakosztować szczęścia, jakie jest dla niej przeznaczone — tego niewiarygodnego, nieosiągalnego szczęścia, jakie tylko może stać się udziałem wdowy w Indiach, i wyjść za mąż za Iszwara. Jest to młodzieniec o dobrym charakterze i da jej szczęście. Ariel im pomoże. Jaka szkoda, że matka Iszwara jest niewidoma! Na pewno nie sprzeciwiałaby się „woli

bóstwa", gdyby mogła zobaczyć Ariela, jak schodzi do niej z obłoków. Ale na pewno opowiedzą jej o wszystkim, i stara Tara uwierzy.

Nad głową Ariela rozległ się przenikliwy krzyk, W gąszczu gałęzi ujrzał dwie małpki o białych bródkach, większą i mniejszą. Większa usiłowała wydrzeć mniejszej jakiś owoc. Mała małpka piszczała, a większa targała ją za uszy, drapała i ciągnęła za ogon. Małpka wołała tak żałośnie, albo może przywoływała na pomoc matkę, że Ariel nie wytrzymał i uniósł się na wysokość koron drzew.

Małpy były przerażone do tego stopnia, że umilkły od razu. A gdy Ariel wyciągnął do nich rękę, rzuciły się w różne strony, skacząc z gałęzi na gałąź i z drzewa na drzewo. Dopiero oddalwszy się znacznie, podniosły krzyk. Był to prawdopodobnie sygnał trwogi, gdyż zaraz odezwały się inne małpy, a także ptaki, zamieszkujące różne części lasu. Ariel uśmiechnął się smutno. „Nawet zwierzęta się mnie boją” — pomyślał i rozejrzał się wokół. Nad jego głową rozpiął się szczelny namiot z soczystych zielonych liści. Pnie drzew spowijały pnące rośliny i przeplatające się ze sobą liany. Promienie słoneczne przebijały się tu i tam poprzez listowie i kładły się plamami złota na porośniętą krzewami i trawą ziemię. Był to głuchy zakątek i nikt nie mógł go tu zobaczyć. Niemniej jednak Ariel nie powinien był latać. Nie wytrzymał! Lawirując pomiędzy splotami lian, zaczął wolno opadać na ziemię. Dał się słyszeć jakiś szelest. Obejrzał się i zobaczył Iszwara. Z ręki młodzieńca wypadła wiązka chrustu, a on sam rzucił się twarzą do ziemi. Ariel opuścił się tuż obok i powiedział:

— Wstań, Iszwarze, i nie bój się mnie!

Iszwar uniósł się nieco. Twarz jego była biała, drżały mu ręce. Oto Bóg zszedł z wysokości i przemówił doń po imieniu! Bogowie wiedzą wszystko!

— Czy kochasz Lalitę, Iszwarze?

— Serce moje przepelnione jest nią po brzegi, jak puchar różanym olejem! — zawołał Iszwar. — Miej litość nade mną, jeśli ta miłość jest grzeszna. A jeśli nie możesz okazać mi swojej łaski, o panie, uwolnij mnie od tego uczucia wraz z życiem!

— Udzielam błogosławieństwa twojej miłości, Iszwarze — przemówił Ariel w tym samym tonie. — Idź więc i opowiedz o wszystkim twojej matce Tarze.

— O panie, twoje słowa napelniają radością serce moje, które usycha z miłości. Lecz niech dobroć twoja i miłosierdzie wypełnią duszę moją bez reszty! Przywróć wzrok matce mojej, aby mogła zobaczyć rozradowane oblicze swojego syna!

Ariel zmieszał się.

— Każdy ma swoją karmę — odpowiedział i uniósł się w powietrze.

Iszwar długo jeszcze klęczał na ziemi i spoglądał na drzewa, wśród których skrył się Ariel.

Tego samego dnia Ariel odbył długą rozmowę z Nizmatem.

Następnie Nizmat przywołał do siebie wnuczkę i rzekł do niej: — Lalito! Nasz dostojny gość pobłogosławił twój związek z Iszwarem. Teraz Tara nie może odmówić. Na pewno się zgodzi!

Policzki Lality okrył rumieniec, w oczach zapaliła się radość. Dziewczyna padła do nóg Ariela i „zdmuchnęła pył ze stóp jego”. Ariel podniósł ją. W spojrzeniu Lality była wdzięczność.

— Bądź więc szczęśliwa! — powiedział Ariel i uśmiechnął się do niej, ale był to uśmiech pełen smutku. Bogowie też niekiedy zazdroszczą ludziom!

Rozdział piętnasty

CZY PRZYDROŻNY KURZ MOŻE MARZYĆ O SŁOŃCU?

— Czy bardzo go kochasz, didi? — spytał Szarad Lalitę. Podlewał właśnie doniczkowe kwiaty na werandzie. Lalita przykucnęła nad naczyniem z żarem i łopatką mieszała jarzyny duszone w oleju.

— Kogo, Szaradzie?

— Swojego narzeczonego, Iszwara!

Lalita zamyśliła się i nie odpowiedziała.

— Dlaczego nic nie mówisz?

— Ponieważ nie wiem, czy go Kocham, Szaradzie — odpowiedziała po chwili.

— Dlaczego więc tak bardzo ucieszyłaś się, gdy Ariel powiedział, że pomoże wam pobrać się? Widziałem, jak zalśniły ci oczy.

Lalita i to pytanie pominęła milczeniem. Ręce jej wyraźnie drżały.

— Jesteś jeszcze mały, Szaradzie, i nie możesz zrozumieć... Iszwar jest bardzo dobry. Wiem, że mnie Kocha, chociaż nie padło między nami wiele słów.

— Dlaczego?

— Matka zabrania mu chodzić do nas i rozmawiać ze mną, a nawet patrzeć na mnie, żeby nie uległ skalaniu. Lecz Iszwar mimo to patrzy i widzę, że mnie naprawdę Kocha, chociaż brak mu odwagi, żeby o tym powiedzieć.

— Przecież on też jest pariasem!

— Owszem, jest pariasem, lecz ród jego zajmuje nieco wyższy szczebel niż moja rodzina. Zostać wdową na całe życie — to coś okropnego, Szaradzie... No i dziadka Nizmata tak bardzo zasmuca myśl, że ród jego wygaśnie... Jest przecież coraz starszy i coraz ciężiej mu pracować. A jeśli Nizmat umrze, co się wtedy stanie ze mną? Nie będę miała innego

wyjścia, tylko się rzucić do wody, jak to robi u nas wiele wdów!

Szarad zamyślił się.

— A może ty kochasz Ariela?

— Zamilknij, Szaradzie! — w lęku wykrzyknęła Lalita Policzki jej powlokła bladość, brwi ściągnęły się. — Nie wolno nawet myśleć o czymś podobnym!

— Dlaczego? — chciał wiedzieć Szarad.

— Czy może marzyć o słońcu i niebie kurz na drodze, zadeptywany stopami przechodniów?

— Słońce rozjaśnia swoimi promieniami zarówno kwiat lotosu, jak też kurz na drodze — odrzekł z powagą Szarad i szelmowsko przymrużył oko. — Ariel nie jest żadnym słońcem, to zwykły człowiek, jak ty czy ja. Tylko że ja nie umiem latać, a jego nauczono.

Przyszedł Nizmat. Szarad niepostrzeżenie wymknął się z werandy i popędził do lasu. Krążył wśród zarośli bambusu jak pies myśliwski, aż w końcu znalazł Ariela, który leżał pod drzewem pogrążony w myślach.

— Muszę ci coś powiedzieć, dada! — Szarad uklęknął obok i powtórzył Arielowi rozmowę z Lalitą.

Pobyt w Dandaracie nauczył Ariela nie ujawniać swoich uczuć, jednak Szarad zauważył, że jego słowa wzruszyły przyjaciela.

— Chodźmy teraz na śniadanie, dada. Nizmat już powrócił z pola.

— Chodźmy więc, Szaradzie! — I Ariel pieszczotliwym gestem zwichrzył chłopcu włosy.

Skierowali się ku chacie.

— Staruszek pracuje i Lalita pracuje, a ja wałkonię się w trawie — poskarżył się Ariel Szaradowi; — Lecz co mam zrobić? Tyle razy proponowałem Nizmatowi, że mu pomogę, ale on nawet słyszeć o tym nie chce.

Stary powitał Ariela jak zawsze z radością i szacunkiem. Obecnie bez reszty pochłaniały go marzenia o weselu wnuczki. Chociaż był bardzo biedny, umyślił wyprawić jej wesele nie gorsze niż u innych ludzi. Powinny być weselne flety, śpiewne zawodzenia w takt dźwięków bajrawi i rozpięty na środku podwórza baldachim z bambusowych źerdzi spowitych girlandami kwiatów. Trzeba by się wystarać o większą ilość kaganków, które z powodzeniem zastąpią kandelabry. Dobrze by było zaprosić orkiestrę dętą, lecz to sporo kosztuje! Girlandy uplotą Lalita i Szarad. Trzeba też wyznaczyć termin wesela, i to możliwie najkrótszy.

— Może odłożymy wesele do święta pudża? — zapytał Ariel.

— Dlaczegoż mamy odkładać je aż do jesieni? — odparł Nizmat. — Im szybciej, tym lepiej. Czy rozmawiałeś już z Tarą, panie?

— Nie... Porozmawiam z nią jutro — odparł Ariel. Był jakiś roztargniony, prawie nie tknął jedzenia, natomiast często spoglądał na Lalitę. Dziewczyna przez cały czas nie podnosiła oczu.

Po śniadaniu Ariel znowu poszedł do lasu. Podczas tych swoich spacerów coraz bardziej oddalał się od chaty Nizmata. Któregoś dnia wyszedł z lasu i zatrzymał się raptownie, uderzony widokiem, który nagle roztoczył się przed jego wzrokiem. Ujrzał oślepiający błysk powierzchni wielkiego sztucznego jeziora w kształcie kwadratu, ujętego w obramowanie z białego kamienia. Na przeciwległym brzegu pierzyły się białe mury pałaców, wielkie jak góry pokryte wysklepioną złotą blachą i lekkie jak koronka. Jeden z pałaców zanurzał białe mury w wodzie jeziora i odbijał się w niej razem ze wszystkimi swoimi precudnie rzeźbionymi krużgankami, lekkimi wieżyczkami o różnej wysokości i odmiennych kształtach, które przypominały jakieś

fantastyczne kwiaty, a także balkonami, wnękami i dziwacznie wygiętymi dachami.

Monumentalne sklepienie środkowej części budowli kończyło się maleńką, cieniutką, rzeźbioną wieżyczką z wydłużoną kopułką. Budowla zaś od dołu do góry pokryta była rzeźbą i arabeskami sprawiającymi wrażenie żywej gry kapryśnych linii. Wszystko to przypominało przedziwne marzenia senne.

Gdy Ariel opowiedział Nizmatowi o tym, co zobaczył, starzec się zdziwił:

— Daleko zapędziłeś się, panie! Te pałace należą do naszego radży Radżkumara.

Zaczarowany świat pałaców przyciągał odtąd Ariela jak magnes. Piękno architektury po raz pierwszy odsłoniło przed nim swoje oblicze i zapadło głęboko w serce.

Często przekradał się w pobliże tajemniczych budowli i poprzez zarośla sycił wzrok ich pięknem, jakby to były żywe stworzenia. Niekiedy dolatywał jego uszu miękki dźwięk gongu, dochodziły głosy ludzkie. Był to tajemniczy świat, zamknięty przed nim na siedem spustów!...

...Tego dnia również, poruszony szalejącą w nim burzą myśli, Ariel nieświadomie skierował kroki ku pałacom. Odgarniał rękami gałęzie i nawet nie słyszał różnogłosego śpiewu i szczebiotu ptaków czy wrzaskliwego nawoływania małp.

„Czy to możliwe, że Lalita mnie kocha? Nie Iszwara, a właśnie mnie?” — myślał, a serce ścisnął mu słodki kurcz, który wstrzymywał oddech.

Czy ma pozostać wśród tych miłych, prostodusznych ludzi, ożenić się z Lalitą i uprawiać ziemię?... Lecz czy przydrożny kurcz potrafi wznieść się ku słońcu? Czy zdobędzie się na to siłą swojej miłości?... Unieszczęśliwi Iszwara. Ale ten młodzieniec jest nieszczęśliwy tak czy owak. Tara nie zgadzała się na jego małżeństwo z Lalitą, może się i teraz nie zgodzić, mimo wszystkich namów Ariela?... Ludzie

niewidomi są nieufni. Przeklęty dar! I co za nieszczęsny los — tak bardzo odróżniać się od innych ludzi!... Może jednak uda mu się przekonać Lalitę? Ale Pearth?... Pearth nie da za wygraną, dopóki nie złapie Ariela i przykuje go do mocnego łańcucha. Nie, nie wolno mu marzyć o własnym szczęściu! Jest skazany na wieczną tułaczkę... Powinien odejść... Zostawić Lalitę... Świergot ptactwa wydał mu się nagle podzwaniem bransoletek, jakie dziewczyna nosiła na smagłych rękach i nogach. Świetlane plamy rzucane przez słońce upodobniły się do jej błyszczących oczu... Aromatyczne podmuchy niosły słodycz jej oddechu... Lalita jakby rozplynęła się nagle w naturze, otoczyła go ze wszystkich stron, opasała sobą, spowiła jak powietrze... Uczuł zawrót głowy...

Rozdział szesnasty ZNOWU W NIEWOLI

Niepostrzeżenie dla siebie samego Ariel skręcił w inną stronę, wyszedł na brzeg jeziora i zaczął iść drogą wiodącą ku pałacom. Tym razem nawet nie zauważył piękna roztaczanego przez te wspaniałe budowle.

Histeryczny krzyk kobiecy wyrwał go z zamyślenia.

Ariel zatrzymał się i rozejrzał wokół.

Po jego lewej ręce ciągnęło się niskie kamienne ogrodzenie oddzielające ogrody radży od drogi. Na wpół nagi mężczyzna o ciemnej skórze zamiatał drogę. Po drugiej stronie muru, w ogrodzie, Ariel zobaczył studnię, a przy niej kobietę, która niewątpliwie należała do kasty „prawowiernych”; ubrana była w zielone jedwabne sari Kobieta z wyrazem przerażenia na twarzy pochylała się nad studnię

Wyrywała z głowy rozczochrane włosy i krzyczała wniebogłosy:

— Mój syn! Ratunku! Mój syn wpadł do studni!

Zamiatacz rzucił miotłę, przeskoczył przez ogrodzenie i podbiegł do studni, chcąc przyjść z pomocą tonącemu, lecz kobieta na jego widok skoczyła do przodu jak rozjuszona lwica i rozrzuciła szeroko ręce:

- Ani mi się waż – krzyczała. – Nie zbliżaj się! Twój oddech jest nieczysty!

- Przecież wzywałam pomocy - odezwał się zdezorientowany zamiatacz i zatrzymał się.

— Niech lepiej mój syn nałyka się wody i utonie, niż ma go zbezcześcić twoje dotknięcie! — z fanatyzmem wykrzyknęła kobieta.

Na wpół nagi mężczyzna, parias, przedstawiciel rodu zamiataczy, spuścił głowę jak zbity pies, wolnym krokiem wrócił do ogrodzenia, przeskoczył przez nie i znowu wziął się do zamykania. Głowa trzęsła mu się w nerwowym tiku.

Kobieta znów zaczęła krzyczeć:

— Ratunku! Na pomoc!

Od strony zamku nadbiegła służba. Składała się jednak również z pariasów. Słudzy, którzy widzieli, w jaki sposób kobieta potraktowała zamiatacza, zatrzymali się w przewidzianej zwyczajem odległości, nie bardzo wiedząc, w czym mogliby być pomocni. Kilku z nich, domyśliwszy się widocznie, że trzeba zawołać na pomoc kogoś należącego do wyższej kasty, pobiegło z powrotem do zamku.

Głos odmówił kobiecie posłuszeństwa, zamilkła i tylko wpatrywała się w studnię z przerażeniem w oczach. Zaległa niesamowita cisza.

I wtedy Ariel usłyszał przygłuszony, żaloszny płacz dziecka, przypominający beczenie jagniątko. Niepomny na nic, wystartował w górę, opisał w powietrzu łuk, wstrzymał lot i zaczął opadać pionowo w studnię. Rozległ się chóralny

okrzyk, po czym widzowie stanęli jak skamieniali. Matka dziecka padła na ziemię obok studni.

Ariel odczuł całym ciałem chłód. Studnia była głęboka. Oślepiiony wcześniej jasnym słońcem, w pierwszej chwili nic nie mógł zobaczyć. Lecz wkrótce dostrzegł wodę na dnie, a w niej — ciemny punkcik. Dziecko musiało poruszać się w wodzie, bo od ciemnego punkcika rozchodziły się połyskliwe kręgi.

Zaczepił o coś ręką. Był to sznur studzienny.

Ariel opadł na dno i znalazł przywiązane do sznura wiadro, które unosiło się na powierzchni wody, przechylone na jedną stronę i już do połowy napełnione wodą. W wiadrze znajdował się chłopczyk w wieku trzech, może czterech lat. Przy każdym poruszeniu się dziecka wiadro napełniało się wodą coraz bardziej. Jeszcze chwila — i chłopczyk z całą pewnością utonąłby.

Ariel pochwycił dziecko i zaczął powoli wznosić się w górę. Woda ściekała z chłopczyka strugami i opadała na dno. Pozieleniałe kamienie ocembrowania były upstrzone wielkimi plamami wilgoci.

Głowę i ramiona Ariela ogarnęły ciepło i jasność. Zmrużył oczy, a następnie przez szparkę w powiekach odszukał miejsce, w którym najwygodniej byłoby położyć uratowane dziecko; znów zamknął oczy, przerzucił ciało ponad brzegiem studni i podleciał do kobiety. Ktoś wyrwał mu dziecko, jednocześnie poczuł, że pochwyciły go czyjeś ręce.

Otworzył szeroko oczy i zobaczył ludzi, wystrojonych w drogie jedwabne tkaniny haftowane złotą nicią. Na odzieniu malinowego koloru rozblęsnął barwami tęczy ogromny diament.

— Odwiążcie wiadro od sznura — rzekł rozkazującym tonem posiadacz diamentu.

Kilkoro sług rzuciło się w kierunku studni; wyciągnęli wiadro i odwiązali sznur.

Ariela oddano pod straż. Związano go mocno sznurem, a tymczasem ludzie ubrani w bogate szaty odeszli na bok, żeby nie ulec skalaniu.

— Zaprowadźcie go do pałacu! — tym samym tonem, co poprzednio, odezwał się mężczyzna z diamentem.

Zanim zdumiony Ariel zdążył cokolwiek powiedzieć, powleczono go do pałacu, związanego i otoczonego zwartym pierścieniem sług, którzy trzymali drugi koniec sznura.

„Wznieść się w powietrze?... Nie dam rady” — myślał Ariel.

Słyszał, jak matka uratowanego przez niego dziecka powiedziała do starej kobiety, która podbiegła do niej:

— Damini! Zabierz Anata i zanieś do mnie, do zenanu/*. Nie powinnam go dotykać. Być może, też już jest nieczysty.

*/ Zenan — kobieta polowa domu, niedostępna dla osób postronnych (Przyp. aut.).

Rozdział siedemnasty KOŚĆ NIEZGODY

— Kiedyż wreszcie wybierzemy się do tej szkoły-sanatorium, mister Boden? Jesteśmy w Madrasie już sześć dni, a ja w dalszym ciągu nic nie wiem o losie brata...

— Cierpliwości, Jane — odparł. Boden, popijając porter do befsztyka, gdyż niezależnie od tego, gdzie się znajduje, Anglik zawsze powinien mieć na obiad swoje ulubione brytyjskie dania i napoje. — Mówiłem już pani, że w szkole obowiązuje kwarantanna. W tym przeklętym kraju co chwila wybuchają jakieś epidemie! Ani się obejrzyysz, człowieku, jak złapiesz coś w rodzaju febry tropikalnej albo jakieś jeszcze gorsze świństwo! Tutaj człowiek styka się z zarazą na każdym kroku.

Lokaj może podać swojemu panu na pięknie dekorowanym półmisku cholere, roznosiciel gazet wręczy kupującemu wraz ze świeżym numerem gazety dzumę.

— Myślałam, że nosicielami dzumy są gryzonie i ich pasożyty — powiedziała Jane, która wyczytała coś niecoś na temat Indii ze swoich książek, i odsunęła talerz z nie dojedzoną rybą.

— Najniebezpieczniejszą postacią tej choroby, tak zwaną dzumą płucną, można się zarazić przez dotyk. Czyżby pani o tym nie słyszała? Dlatego właśnie radziłem pani nie wychodzić na ulicę i nie czytać gazet.

— Mój pobyt tutaj tak czy owak przypomina więzienie — odparła Jane i westchnęła. — Przyjechać do Indii i nie zobaczyć nic prócz dachów!... — Skinęła ręką w kierunku chaotycznej zabudowy Czarnego Miasta, najędzniejszej dzielnicy Madrasu, która rozlokowała się po drugiej stronie rzeczki Kuwam.

Znajdowali się na płaskim dachu siedmiopiętrowego hotelu, urządzonego z europejskim komfortem. Płócienny daszek w pomarańczowo-zielone pasy chronił siedzących przed palącymi promieniami słońca. Pomiedzy stolikami stały palmy w donicach i wazony z kwiatami. Na stolikach szumiały elektryczne wiatraczki. W wiaderkach z białego aliażu roznoszono orzeźwiające napoje chłodzone lodem.

Hotel wznosił się niedaleko od rzeczki Kuwam. Z okien swojego pokoju Jane mogła obserwować malownicze scenki z życia Czarnego Miasta. Wzdłuż wąskich krętych uliczek przemierzał się tłum o ciemnym, czekoladowym i żółto-pomarańczowym odcieniu skóry, w wielobarwnych strojach, i Jane na podstawie przeczytanych książek usiłowała określić, do jakiej kasty należą ci wszyscy ludzie. Przed jej oczami przesuwwały się zaprzęgi osłów, bawołów i koni; poskrzypywały drabiniaste wozy, biegały psy. Słyszała przenikliwe nawoływania sprzedawców lodów, lemoniady i

girland kwiatowych. Przygrywały flety, głucho stękał bęben, żebracy ciągnęli swoje śpiewki, sanjasi śpiewnym głosem deklamowali święte hymny, usiłując przyciągnąć słuchaczy. Wszędzie ze zręcznością małpek uwijały się na wpół nagie dzieciaki.

Nagrzane słońcem płaskie dachy w ciągu dnia były puste. Ale wystarczyło, by zaszło słońce, zapaliły się wielkie gwiazdy i na niebie pojawił się księżyc, ten niezwykle indyjski księżyc, który zanurzał wszystko dokoła w baśniowej zielonkawej poświacie i węgielnej czerni cieni — ulice pustoszały, natomiast płaskie dachy domów zapełniały się ludźmi, którzy pragnęli odetchnąć orzeźwiającym wieczornym i nocnym powietrzem. Wynoszono na dach maty, poduszki, półmiski z jedzeniem; prowadzono ożywione rozmowy. Z dachu na dach krzykliwie przekazywano ostatnie nowości. Mówiono o śmierci, chorobach, narodzinach, weselach i swataniach, kłótniach rodzinnych, nabytkach i stratach gospodarczych. Dzięki temu telegrafowi bez drutu wszystkie wydarzenia dnia momentalnie stawały się tajemnicą publiczną Czarnego Miasta.

Gdyby Jane rozumiała miejscowe narzecza, mogłaby usłyszeć ciekawe rozmowy, dotyczące człowieka-ptaka, który niepokoił wszystkie umysły. Lecz dla Jane wszystko to było jakąś „chińszczyzną”, która działała jej na nerwy.

Często, za często nawet, ulicami miasta przeciągały konduktory pogrzebowe. Ostre dźwięki fletów napełniały serce udręką. Ciała zmarłych wynoszono za miasto, aby tam dokonać ich spalenia. Kobiety w białych żałobnych strojach łkały głośno... W tej części miasta ludzie umierali chyba o wiele częściej, niż przychodzili na świat.

Jane w pośpiechu odchodziła od okna, nie chcąc patrzeć na to obfite żniwo śmierci.

Nic więc dziwnego, że Bodenowi udało się skutecznie zastraszyć dziewczynę. Od czasu przyjazdu Jane zwiedziła jedynie madraski ogród botaniczny, który zadziwił ją bogactwem flory tropikalnej. W drodze powrotnej do hotelu Jane miała szczęście zobaczyć słonia z czaprakiem na grzbiecie i siedzącym na nim poganiaczem. „A może to jest zwykły słoń z cyrku?” — pomyślała wtedy.

— I pan Dotaller podziewa się gdzieś całymi dniami — odezwała się Jane, w zamyśleniu obierając banan ze skórki. Odżywiała się prawie wyłącznie bananami i jajami, uważając, że są to produkty najbardziej bezpieczne, jeśli chodzi o możliwość zarażenia się.

— Mr. Dotaller nie siedzi z założonymi rękami, tak samo jak i ja — zaprotestował Boden, który już był na etapie ulubionych koktajli i likierów. — Obaj spodziewamy się uradować wkrótce panią pomyślną wiadomością...

Trzeba przyznać, że ani Boden, ani Dotaller nie zasypiali gruszek w popiele. W każdym razie ich umysły pracowały bardzo intensywnie.

W trakcie podróży panowie patrzyli na siebie wilkiem. Każdy z nich usiłował przeniknąć charakter i poznać słabe strony współtowarzysza podróży. Ich cele były różne. Boden pragnął, żeby Aureliusz został uznany za niepoczytalnego, ale zachował życie, a nawet żył jak najdłużej. Dotallera bardziej urządziła śmierć Aureliusza, jako że wtedy majątek zmarłego stawał się własnością Jane. Od Jane zaś Dotaller otrzymał nieograniczone pełnomocnictwo w sprawie zarządzania jej osobistym majątkiem. Wykorzystując niedoświadczenie życiowe dziewczyny, Dotaller mógł bezkarnie przerzucać pieniądze z jej konta do własnej kieszeni.

Boden często wpadał w dłuższe zamyślenie. W czasie podróży nie miał przed sobą tak dobrze znanych, swoich oczu swojego

wspólnika Haslona i dlatego trudno mu było podjąć jakąś stanowczą decyzję.

Co robić? Otworzyć Jane oczy na postępowanie Dotallera czy też raczej wejść z nim w spółkę. Szkopuł w tym, że Jane do tego stopnia nie ufała panom Bodenowi i Haslonowi, że nawet w wypadku zrezygnowania z usług Dotallera nie powierzyłaby prowadzenia swoich interesów tej szanownej spółce. Lecz czym można by zainteresować Dotallera? Zawrzeć trójprzymierze Boden — Haslon — Dotaller i dzielić zyski na trzy części? Fortuna Aureliusza Galtona znacznie jednak przewyższała majątek jego siostry i dlatego dla Bodena z Haslonem takie trójprzymierze nie było zbyt korzystne. Trzeba by wymyślić jakąś ekstra kombinację... Jakże bardzo brakowało Bodenowi wpatrzonych weń oczu wspólnika!

Mimo to Boden zaczął przygotowywać grunt pod ewentualne porozumienie. Dotaller uchylał się od jakiegokolwiek wiążącej wypowiedzi, a po przyjeździe do Madrasu w ogóle zaczął prowadzić samodzielną politykę.

Pearth, z którym Boden widział się prawie codziennie, oczywiście bez wiedzy Jane, powiedział mu kiedyś, że Dotaller czynił w jego, Peartha, obecności pewne aluzje: gdyby okazało się, że poszukiwany przez nich Ariel postradał życie, Pearth otrzymałby większą sumę pieniędzy. Z kolei ten krętacz Pearth nie omieszkał dać Bodenowi do zrozumienia, iż pozostanie przy życiu czy też śmierć Aureliusza zależą wyłącznie od tego, który z panów — Boden czy Dotaller — okaże się bardziej szczodry.

— Przynajmniej należałoby odnaleźć Ariela — powiedział Boden do Peartha.

— I cóż pan wówczas uczyni? — spytał Pearth.

— Chcę sądownie przeprowadzić ubezwłasnowolnienie, jako osoby chorej psychicznie, potem przewieźć go do Londynu i

trzymać w ścisłej izolacji. Proszę nie zapominać, że jestem jego opiekunem! — poirytowanym tonem odparł Boden.

Odpowiedź ta nie przypadła do gustu dwulicowemu Pearthowi-Bharawie. Latający człowiek stanowił cenny nabytek dla Towarzystwa Teozoficznego, a tym samym również dla niego, Peartha, osobiście. Czy mają więc pozbyć się tej szansy i wypuścić Ariela z rąk albo może też zabić?! No, ale oczywiście lepiej zabić, niż wypuścić.

Pearth nie podzielił się z Bodenem tymi myślami, chociaż w skrytości doszedł do wniosku, że mimo wszystko będzie najlepiej, jeśli dogada się właśnie z Bodenem, gdy nadejdzie odpowiedni czas. Niech sobie Boden po uzyskaniu dożywotniej opieki nad Arielem dysponuje jego majątkiem! Arielem natomiast „zaopiekują się” teozofowie, jeśli nawet będzie to słono kosztowało. Ośrodek dyspozycyjny w Londynie zgodzi się na wszystko — był tego pewien.

Ale przede wszystkim trzeba odnaleźć Ariela, Pearth został powiadomiony o tym, że Ariel i Szarad odbyli podróż a skrzydle samolotu lecącego do Madrasu, ale zrezygnowali z tego na krótko przed końcem podróży. Tutaj ślad uciekinierów urwał się.

— Wszystko wskazuje na to, że obaj nadal przebywają blisko miasta — powiedział Pearth. — Głód zmusi ich do opuszczenia kryjówki. Rozesłałem moich agentów do wszystkich okolicznych osiedli.

Boden wyraził swoje wątpliwości:

— Przecież Ariel może gdzieś polecieć!

— Mając na plecach Szarada nie uleci zbyt daleko, a Szarada nie zostawi — stanowczo odparł Pearth.

Żaden z nich nie wiedział w tym momencie, że Ariel i Szarad zdążyli tymczasem odlecieć na odbywającym powrotny rejs samolocie do Kalkuty — na północny wschód.

— W takim razie ostatnia sprawa — rzekł Boden. — Uważam, panie Pearth, że w każdym wypadku powinien pan zobaczyć się z miss Galton. Nie mogę przecież zaprowadzić jej do nie istniejącej szkoły-sanatorium. Pan powinien wziąć na siebie rolę dyrektora tego mitycznego sanatorium. — Boden przystąpił do objaśnień, w jaki sposób należy zachować się wobec Jane i jak z nią rozmawiać.

Spotkanie Peartha z Jane odbyło się tego samego dnia.

W europejskim ubraniu i wielkich rogowych okularach Pearth robił wrażenie solidnego — jego wygląd wzbudzał zaufanie. Przeprosił Jane, że nie mógł odwiedzić jej wcześniej, tłumacząc się kwarantanną w szkole, i wyraził dziewczynie swoje współczucie z powodu tragicznego losu jej cierpiącego na chorobę umysłową brata. W szkole-sanatorium zrobiono wszystko, ce tylko było możliwe, by przywrócić Aureliuszowi zdrowie, leczyli go najlepsi psychiatrzy, lecz niestety, choroba okazała się zbyt uporczywa. W czasie kolejnego nawrotu szaleństwa, mimo najściślejszego nadzoru, Aureliusz uciekł z sanatorium. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że chorzy umysłowo przejawiają nadzwyczajny spryt, odwagę i pomysłowość. Aureliusz przedostał się na dach jednego z budynków, skoczył stamtąd na drzewo i zniknął. Lecz miss Galton nie powinna się zamartwiać z tego powodu. Znajdą go na pewno. W tym celu przedsięwzięte zostały wszelkie środki. Jane zamierzała wypytać szczegółowo Peartha o rodzaj schorzenia Aureliusza, lecz w tym samym momencie nieoczekiwanie zjawił się Dotaller, który nie pokazywał się w hotelu przez ostatnie trzy doby. Wyglądał na zmęczonego i był wyraźnie zdenerwowany. Nawet nie zdążył ogolić się i przebrać po podróży.

— Aureliusz się znalazł! — zawołał, nawet nie przywitawszy się, i rzucił się na fotel.

Posypały się pytania:

— Gdzie? W jaki sposób?

— Jestem śmiertelnie znużony. Umieram z pragnienia!

Jane podała mu szklankę wody.

— Stokrotne dzięki. Otóż poszukiwania rozpocząłem od tego, że zaraz w pierwszym dniu pobytu w Madrasie udałem się do swojego kolegi, mecenasa Woolstone, który mieszka w Indiach od dwudziestu lat i zna ten kraj jak własną kieszeń. Ma też rozległe stosunki. Poprosiłem go, żeby natychmiast mnie powiadomił, jeśli usłyszy coś nowego na temat latającego człowieka.

— Latającego człowieka?... — powtórzyła zdziwiona Jane.

— Właśnie. Chodzi oczywiście o Aureliusza. To jest jego mania, czyżby pani o tym nie wiedziała? Wyobraża sobie, że umie latać... No i trzy dni temu Woolstone zaprosił mnie do siebie i poinformował, że odwiedził go klient z Udajpuru. Ten klient słyszał od swojego znajomego, który był na przyjęciu u tamtejszego radży, że ów radża ma u siebie latającego człowieka! Niestety, nie znam szczegółów, chociaż udało mi się złapać w ten sposób koniec nici.

— Dlaczego ukrył to pan przed nami? — z niezadowoleniem w głosie spytał Boden.

— Ponieważ nie wolno mi było tracić ani chwili, chyba pan to rozumie — odparował rozdrażniony Dotaller.

— Trzeba było zatelegrafować z drogi, pomogliśmy panu — denerwował się Boden, lecz Dotaller zbył tę replikę milczeniem i ciągnął swoją opowieść:

— Prosto od Woolstone'a pojechałem na lotnisko i poleciałem do Kalkuty, a stamtąd do Udajpuru. Odszukałem tam znajomego Woolstone'a i dowiedziawszy się od niego, gdzie znajduje się rezydencja radży, udałem się tam jak najrychlej. Radża, o którym mówią, że jest typowym wschodnim despotą i pyszałkiem, nie raczył mnie przyjąć, ale udało mi się przekupić jednego z jego sług i dowiedzieć się, że w pałacu

rzeczywiście znajduje się latający człowiek. Nie powiedziano mi jednak, w jaki sposób tam trafił. Ponoć ten człowiek-ptak bardzo bawi radzę. Uzyskawszy tę wiadomość, natychmiast udałem się w drogę powrotną i nie zwlekając zjawiłem się tutaj, pragnąc powiadomić państwa o swoim odkryciu. Cóż więc ma mi pan do zarzucenia, mister Boden?

— Wrócił pan tak szybko tylko dlatego, że radza nie zechciał pana przyjąć i nasza pomoc okazała się niezbędna — zjadliwie zauważył Boden.

— A gdyby nawet?... Nie widzę w tym nic złego — odparł Dotaller. — Gdyby radza udzielił mi audiencji i wydał Aureliusza, wrócilibyśmy razem z chłopcem — i na tym polegałaby cała różnica.

Boden nie uważał za stosowne kontynuować sprzeczki. Było dla niego jednak jasne, a i dla Peartha również, że Dotaller usiłował pochwycić w swoje ręce wszystkie nici. Na szczęście, nie udało mu się to.

Dotaller bynajmniej nie opowiedział wszystkiego, czego się dowiedział, co zobaczył i co zdziałał.

Tak jak mówił, udało mu się ustalić miejsce pobytu Aureliusza. Znane mu były również okoliczności, towarzyszące zjawieniu się Aureliusza w pałacu radży, chociaż Dotaller nie uwierzył, że młodzieniec umie latać. Natomiast z radżą sprytny adwokat nawet nie usiłował się zobaczyć. Przyświecał mu zgoła inny cel. Dotaller wszedł w konszachty ze służbą pałacową, rekrutującą się z najniższych i najbardziej pogardzanych kast, licząc na to, że znajdzie się wśród nich ktoś, z kim można będzie dogadać się, i zaproponował pieniądze w zamian za zabicie Aureliusza. Lecz słudzy radży byli tak bardzo zastraszeni, że propozycja sahiba wprawiała ich w śmiertelne przerażenie. Sahibom wszystko zawsze uchodzi na sucho, natomiast gdyby radza dowiedział

się o zdradzie i przestępstwie, tubylczych służących czekają najstraszliwsze tortury.

„Gdybyś przyobiegał mi, panie, sztabę złota wielkości tego pałacu, którego wierzchołek gubi się w chmurach, też bym się nie zgodził” — odpowiedział Dotallerowi siwobrody staruszek ogrodnik. Inni odpowiadali w tym samym duchu.

Dotaller zrozumiał w lot, że z tymi ludźmi nic nie wskóra. No i nie jest wykluczone, że w obawie przed odpowiedzialnością słudzy doniosą swojemu panu o zamiarach sahiba! To zadecydowało, że Dotaller nie zagrażał długo miejsca w posiadłościach radży.

Był pewien, że nie sprawiłoby mu większych trudności otrzymać audiencję u radży, który, idąc za przykładem innych miejscowych książątek, chętnie przyjmował u siebie sahibów. Ale to jeszcze nie znaczy, że wydano by mu Aureliusza. Słudzy twierdzili jednogłośnie, iż radża bardzo sobie ceni człowieka-ptaka. Gdyby nawet uwolnił Aureliusza — co zyska na tym on, Dotaller? Czy może ma go pozbawić życia własnoręcznie? Adwokat był zbyt ostrożny, by stać się bezpośrednim sprawcą zabójstwa. Natomiast jeśli Aureliusz zginie w pałacu radży, Dotaller pozostanie na uboczu. Co innego, gdyby Aureliusz przepadł bez śladu zaraz po tym, jak radża odda go w ręce Dotallera! Dotaller mógłby wtedy rozpowszechnić wersję o ucieczce Aureliusza i jego późniejszej przypadkowej śmierci. Ale nie na darmo był adwokatem! Wiedział ze swojej praktyki obrońcy sądowego, że najmniejsze przeoczenie czy drobny nawet błąd popełniony przez przestępcę prowadzi do nieodwracalnych następstw i że zdarza się, iż nieraz po wielu latach zostają wykryte zbrodnie, o których już wszyscy dawno zapomnieli. Nie, nie godzi się dżentelmenowi brudzić rąk krwią! Od tego są inni, którymi należy umiejętnie pokierować!

Ostatecznie cóż, jeśli Aureliusz zostanie przy życiu? Najważniejsze — to wyrwać go z rąk Bodena i Peartha. Chłopak wkrótce będzie pełnoletni. Dotaller przy pomocy Jane postara się tak poprowadzić sprawę, żeby sąd uznał Aureliusza za całkowicie normalnego. Opieka zostanie zniesiona. Młodzieniec zamieszka z Jane, przy czym nie ulega najmniejszej wątpliwości, że udzieli Dotallerowi pełnomocnictwa do zarządzania swoimi kapitałami, jak to uczyniła jego siostra.

Dotaller przystąpił do ułożenia nowego planu. Jeśli zjawią się u radży wszyscy troje — siostra Aureliusza, jego opiekun i Dotaller — i przedstawią mu swoje prawa do Aureliusza, nie kryjąc bynajmniej, że jest synem lorda i wielkiego przemysłowca, radża będzie musiał ustąpić. Jane będzie chciała mieć odtąd brata przy sobie... Wszystko zapowiada się jak najlepiej.

— Jak już wspomniałem państwu — kontynuował Dotaller po krótkiej chwili milczenia — ten radża jest despotą i pyszałkiem. Ale jeśli przybędzie do niego pani, mias Jane, i pan, mister Boden...

— A co nie mówiłem?! — nie wytrzymał Boden. — Bez nas niewiele pan wskóra!

— A czyż kiedykolwiek twierdziłem inaczej? Czy chce pan doprowadzić do kłótni, mister Boden?

— Ja również powinienem pojechać — oświadczył Pearth.

— Pana obecność nie jest konieczna, jak mi się wydaje — z grymasem oświadczył Dotaller.

— Konieczna, i to bardzo! — nalegał Pearth. — Jako dyrektor szkoły-sanatorium, gdzie Aureliusz Galton przebywał na kuracji, mogę zaświadczyć przed radżą, że młodzieniec jest niepoczytalny i że powinien przebywać w specjalnym zakładzie zamkniętym.

Boden, wychodząc z założenia, że Dotaller jest obecnie jego najniebezpieczniejszym przeciwnikiem, doszedł do wniosku, że nie zaszkodzi, jeśli będzie miał przy sobie sojusznika, i poparł Peartha w jego żądaniach. Jane nie sprzeciwiała się, i Dotaller był zmuszony zgodzić się także.

Postanowiono nie tracić czasu i wybrać się w podróż samolotem jeszcze tego samego dnia.

Dotaller wziął na siebie rolę przewodnika. Bez większych przygód podróżnicy dotarli w pobliże baśniowych pałaców radży.

Rozdział osiemnasty

NIEUDANE POSZUKIWANIA

Nareszcie Jane zobaczyła prawdziwe Indie! Chociaż była bardzo podekscytowana czekającym ją spotkaniem z chorym bratem, którego nie widziała od lat, urzekło ją piękno pałaców i ogrodów radży. Jakby specjalnie na jej cześć, przed głównym pałacem oprowadzano słonie w czaprakach, bogato haftowanych złotem. Były to najprawdziwsze słonie, na pewno nie z cyrku!

Radża, ubrany w garnitur, przyjął gości bardzo uprzejmie i zaprosił ich do gabinetu urządzonego w europejskim stylu. Jane czuła się rozczarowana z tego powodu. Była ciekawa, w jaki sposób będą porozumiewali się z radżą, lecz okazało się, że gospodarz świetnie mówi po angielsku. Niemniej jednak był to typowy człowiek Wschodu. Śnieżnobiały gors krochmalonej koszuli podkreślał smagłość jego twarzy. Jane pomyślała, że tak mógłby wyglądać Otello.

Boden przedstawił krótko cel ich wizyty. W miarę jak mówił, na twarzy radży malowało się coraz większe zakłopotanie.

— Bardzo mi przykro — odezwał się, gdy Boden skończył mówić. — A to z tego powodu, że zostałem pozbawiony

przyjemności spełnienia prośby państwa. Aureliusz Galton, gdyż, jak się dowiaduję, tak właśnie nazywa się ten cudowny młodzieniec, rzeczywiście przez pewien czas przebywał w moim pałacu, lecz obecnie nie ma go tutaj... I ja... doprawdy, nic więcej nie mam do powiedzenia... Aureliusz Galton zniknął.

Nieoczekiwana wiadomość zaskoczyła wszystkich. Jane, Boden, Pearth i Dotaller zasypali radzę niezliczonymi pytaniami, ale gospodarz, nerwowo skubiąc kędzierzawą brodę, uparcie twierdził to samo:

— Naprawdę nie jestem w stanie dodać nic więcej do tego, co już państwu powiedziałem. Słudzy donieśli mi, że młodzieniec zniknął ubiegłej nocy, i więcej nie słyszałem o nim... Czy mogę zaproponować państwu herbatę? Droga na pewno była męcząca... Nie? W takim razie, czy zechcą państwo obejrzeć moją kolekcję brylantów?

— Sir! — zawołał Boden. — Żywię głębokie przekonanie, iż pan zdaje sobie sprawę, jaka ogromna odpowiedzialność...

Nie skończył, ujmująca maska fałszywej europejskości spadła z twarzy radzy. Z jego oczu posypały się iskry. Boden zakrztusił się i zbladł.

— Żywię niezachwiane przekonanie, iż pan również odpowiada za swoje słowa, sir! — przerwał radza Bodenowi.

— Uważałbym za uwłaczające mojej godności, gdyby pan pozwolił sobie na domniemanie, że moje słowa — mówiący specjalnie podkreślił to „moje” — mogą rozmijać się z prawdą!

Wszyscy zrozumieli, że rozmowa jest skończona i że niczego od radzy się nie dowiedzą. Pożegnanie w przeciwieństwie do spotkania było chłodne i sztywne.

Gdy schodzili po marmurowych schodach, usłanych kobiercami i tonących w kwiatach, Boden odezwał się cicho do Jane pragnąc pocieszyć ją i siebie:

- Niech się pani nie zamartwia, Jane. Wygląda na to, że Aureliusz dokonał kolejnej ucieczki. Smutna sprawa, bez wątpienia, ale jestem pewny, że go odszukamy. To kwestia kilku dni. Nie mógł odle... uciec daleko.

Jane westchnęła.

— Radza nie chce się rozstać z człowiekiem-ptakiem. Musiał go gdzieś ukryć — mówił Pearth do Dotallera, gdy szli przez park wzdłuż niskiego ogrodzenia. — Postawimy na nogi wszystkich, od kogo to zależy i jeśli zajdzie potrzeba, dotrzemy nawet do wicekróla, aż uzyskamy nakaz przeprowadzenia rewizji w pałacu i wydania nam Aureliusza! Dotaller szedł pogrążony we własnych myślach. Pearth w milczeniu wysunął się naprzód.

Nagle jego uszu doszedł głos, który dolatywał zza ogrodzenia. Kilka słów wymówionych w języku hindi sprawiło, że Pearth zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać.

Na środku ulicy stał zamiatacz, a obok niego szczupły starzec i dziewczyna.

— Niech przy następnym wcieleniu pojawię się na świat jako najędźniejszy z płazów, jeśli kłamię! — zaklinał się zamiatacz, wyraźnie oburzony okazanym niedowierzaniem. — Mówił mi to człowiek, który sam, własnymi rękoma, związywał sznurem człowieka-ptaka, zanim na rozkaz radży wrzucono tego nieszczęśnika do głębokiej studni!

Starzec machnął ręką, na jego pomarszczonej twarzy odmalował się ból:

— To już koniec. Chodźmy, Lalito! Lecz dziewczyna nie ruszyła się z miejsca. Zrozpaczona spojrzała na starca i powiedziała stanowczo:

— On nie może umrzeć!... Powiedział przecież: „Czekaj na mnie, Lalito”, więc będę czekała...

— Co z panem, mister Pearth? — zawołał Dotaller, podchodząc do Peartha. Spojrzał na jego pobladłą twarz i dodał z trwogą, zniżając głos: — Czy coś się stało?

— Nie, nic... Po prostu atak serca... Zdarza mi się to od czasu do czasu. Zaraz przejdzie...

Dotaller popatrzył na niego nieufnie.

Wieczorem, gdy przed wejściem do hotelu czekał już na nich samochód, Pearth zdecydował się na ujawnienie tajemnicy.

Powiedział do Bodena:

— Mister Boden! Powód naszych kłótni przestał istnieć. Ariela, czyli Aureliusza Galtona, nie ma już wśród żyjących. Został zabity z rozkazu radży.

Pearth opowiedział o podsłuchanej rozmowie. Za ścianą rozległ się rozdzierający krzyk. Cienkie ściany prowincjonalnych hoteli w Indiach natychmiast zdradzają każdą tajemnicę!

Pearth i Boden zastali Jane tonącą we łzach. Zwabiony hałasem, zjawił się Dotaller. Kiedy dowiedział się, co się stało z Aureliuszem, z wielkim trudem zdołał ukryć uczucie radości. Dla niego wszystko ułożyło się jak najlepiej!

Rozdział dziewiętnasty

GNIEW WŁADCY

Anat, chłopczyk, którego Ariel wyciągnął ze studni, był synem Mohity — człowieka z diamentem, głównego doradcy i ulubieńca radży.

Fakt, że się jest ulubieńcem radży, daje niemałe korzyści. Radża Radżkumar posiadał tak wielkie skarby, że nawet sam miał jedynie nikłe pojęcie o ich wartości. Niewielu Europejczyków wie o tym, że niektórzy spośród radżów hinduskich należą do największych bogaczy świata i że tacy znani miliarderzy, jak Rockefellerowie, Morganowie,

Rotszyldowie czy Vanderbiltowie w porównaniu z nimi są właściwie biedakami. Przez wieki całe, z pokolenia na pokolenie, radżowie gromadzili swoje bogactwa, których trzon stanowią klejnoty i złoto.

O tych bogactwach niewiele na ogół wiadomo, ale tylko dlatego, że radżowie nie muszą wyprzedawać rodzinnych klejnotów, a gdyby nawet musieli, to i tak nie zawsze byłoby to możliwe, gdyż na światowej giełdzie niewiele znalazłoby się kupców skłonnych do nabycia takich kamieni, jak Wielki Mogoł czy Regent Majątek nieruchomy radżów w postaci pałaców i posiadłości ziemskich też jest nie do pogardzenia, chociaż ani umywa się do wartości owych stosów brylantów i diamentów.

Nic w tym dziwnego, że hinduscy radżowie mogą wynagradzać swoich faworytów o wiele szcudrzej, niż mogliby kiedykolwiek sobie na to pozwolić najpotężniejsi i najbogatsi królowie Europy!

Lecz na życzliwość i miłość radży trzeba zasłużyć, czyniąc zadość wszystkim jego wymaganiom. Jak wszyscy ludzie wiodący próżniaczy tryb życia we własnym zamkniętym świecie, o którym pisał Wolter, że jest „światem pozbawionym perspektyw”, radża panicznie bał się nudy, chociaż był człowiekiem wykształconym i świetnie mówił po angielsku. Jego żona Szjama mówiła po francusku jak rodowita paryżanka. Oboje kilka razy odwiedzili Europę, w tym Londyn, Paryż i Berlin. Lecz zarówno frak i smoking, które musiały zastąpić wygodny strój narodowy, jak też teatry, rauty, kuchnia europejska i w ogóle cały styl życia w Europie okazały się mocno krępujące, a rozrywki wręcz nie do przyjęcia! Dlatego też radża za każdym razem przynaglał żonę do wcześniejszego powrotu.

Powróciwszy do domu i dokonawszy obrządku oczyszczenia, radża zrzucał z siebie niewygodne ubranie i wzdychał z ulgą,

teraz dopiero odczuwając pełnię szczęścia. Całymi dniami wylegiwał się na tapczanie, ubrany w lekki strój domowy, a chłopiec sługa stał nad nim z wachlarzem z liści palmowych. Radża brał do ręki nabyte w Europie książki i czasopisma, wybierał lekturę „łżejszego kalibru” i zagłębiał się w czytaniu. Można być Europejczykiem nie wyjeżdżając z Indii!

Radża był na swój sposób „oświeconym władcą absolutnym”. Należał do stowarzyszenia religijnego „Brahma Samaż”, nie oddawał czci bożkom, niezbyt gorliwie wypełniał uciążliwe obrządkie religijne, jadał dziczyznę przyrządzoną przez muzułmańskiego kucharza, śledził nowości wydawnicze i czytał dzieła filozoficzne, zgadzając się zarówno z Rousseau, jak też z Nietzsche. Lubił przebywać w towarzystwie sahibów i przyjaźnił się z wieloma w z nich.

Po paru dniach wylegiwania się na tapczanie z nową książką zaczynał odczuwać wyraźnie, że wąż nudy znów wkradł się w jego serce.

I wtedy właśnie na scenę wkraczał Mohita, który zdążył już poznać pana na wylot.

— No i co, Mohito? — zapytywał radża, niedbałym gestem odrzucając książkę na dywan.

Mohita „zdmuchiwał pył” ze stóp władcy i śpieszył go powitać używając górnolotnych wyrażen, a następnie krótko referował mu o sprawach gospodarskich — nowych umowach, jakie zostały zawarte z sahibami czy z chłopami, o pobraniu opłat za dzierżawę i posunięciach w stosunku do opieszających dłużników.

Lecz tego dnia radża słuchał Monity z roztargnieniem i przerywał mu co chwila, wciąż powtarzając swoje: „No i co, Mohito?”

— Chłopcy i dziewczynki z zespołu tanecznego przygotowali nowe tańce.

Radża przypomniał sobie oglądany w Paryżu kankan i uśmiechnął się:

— Stare jak świat. A zresztą, niech będzie.

Mohita klasnął w dłonie. Aksamitna zasłona, opadająca z wysokiego sklepienia, rozsunała się i do komnaty z podzwanianiem bransoletek, bębenków i dzwoneczków wbiegły dziewczynki w leciutkich muślinowych sukienkach i chłopcy w barwnych ubrankach.

Dzieci zaczęły tańczyć w takt dźwięków fletu. Ruchy ich były pełne gracji. Na przestraszonych twarzyczkach zastygł uśmiech.

— Stare jak świat! — powtórzył radża i machnął ręką. Flety zamilkły, dzieci przerwały taniec i zbiły się w gromadkę jak przestraszone owieczki.

Radża zaczął opowiadać Mohicie o kankanie, o strojach tańczących ten taniec kobiet i wyczynianych przez nie wygibasach: „Rozumiesz, nogi mają wyżej głowy, i wszystkie falbanki tylko fruują!” — i zaraz rozkazał, by dziewczynki przebrano w takie same stroje — sute spódnice i pantofle na bardzo wysokich obcasach — i nauczono je tańczyć kankana. Zakłopotany Mohita skłonił się nisko.

— Masz coś jeszcze?

Tańce w wykonaniu garbusów, kulawych i ślepców.

To było coś nowego.

Dzieci wybiegły nie kryjąc radości, że wszystko skończyło się dobrze: nikt nie dostał batów i żadne z nich nie zostało osadzone w podziemiu o chlebie i wodzie, jak to zdarzało się nieraz.

Dały się słyszeć głuchoe odgłosy bębna i do pokoju wbiegł tłumek niezwykle wyglądających ludzi w błazeńskich strojach, uszytych ze skrawków różnokolorowych materiałów. Kuleli, potykali się i padali na podłogę wydając jęki. I gdzie ten Mohita znalazł tyle potworności?! Garbusy z ogromnymi

głowami o ustach jak u żaby rzucali się na kulawych, popychając ich swoimi garbami i zbijając z nóg, a potem sami wywracali się na podłogę. Ślepcy naskakiwali na siebie, zderzali się głowami i z wrzaskiem chwyтали się rękoma za bolące miejsca, grzmiwały bębny...

Radża zanosił się śmiechem. Mohita promieniał.

— Poproś tutaj rani Szjamę — rozkazał radża.

Rani zjawiała się w modnej paryskiej toalecie i pantoflach na niezwykle wysokich obcasach. Spojrzała na tańczących i wykrzyknęła:

— Cudownie!

A potem nagle usiadła na podłodze i obejmując rękami kolana dała upust swojej wesołości, tak zapamiętała kołysząc przy tym głową, że zburzyła sobie fryzurę.

Radża zdjął z palca pierścień z ogromnym brylantem i rzucił go Mohicie, który pochwycił w locie skrzący się dar i skłonił się do samej ziemi.

Jeden ze ślepców potracony przez garbusa upadł na wznak i uderzył głową o podstawę kolumny. W jego wrzasku nie było udawania. Krzyczał:

— A żebyście wszyscy okuleli, dręczyciele przekłęci! Twarz radży natychmiast pociemniała, jak zresztą i twarz Mohity: gdy chmura przysłoni słońce, ziemię okrywają cienie.

- On bynajmniej nie ciebie miał na myśli, panie, lecz tych garbusów! - pośpieszył z wyjaśnieniem Mohita.

Ale radża odwrócił się twarzą do ściany i mruknął w złości:

— Wlepić mu setkę batów! I zostawcie mnie samego.

Wszyscy wyszli. Dobrze, że Mohita zdążył otrzymać pierścień, zanim jego pan okazał swój gniew!

Mohita polecił sługom, by od niego dołożyli ślepcowi drugie sto batów. Ta ilość była wystarczająca, żeby raz na zawsze uwolnić biedaka od wszystkich przykrych niespodzianek, jakie miało dla niego w zanadrzu życie!

Mohita był rozdrażniony, gdyż przygotował dla radży jeszcze parę „numerów”, w tym walkę nagich niewolników, uzbrojonych w żelazne drągi z hakami na końcach. Radża szczególnie lubił tę rozrywkę. Gdy niewolnicy zaczęli zadawać sobie rany i ich smagłe ciała zboczyła krew — zwolennik Rousseau wpadł w prawdziwy szał — oczy mu płonęły i rozdymały się nozdrza.

— Wal go! Drap! Moocniej!... Tak, o tak! — zachęcał swoich gladiatorów do dalszej walki i bardzo był zmartwiony, gdy jeden z nich padał bez życia i przedstawienie siłą rzeczy musiało być przerwane.

Poza tym Mohita przygotował na dzisiaj polowanie na tygrysy. Na radzę czekał wspaniały słoń z ogromnymi kłami, na które były nasadzone ostro zakończone miedziane groty.

Lecz radża nie raczył wezwać do siebie Mohity powtórnie i główny doradca zachodził w głowę, w jaki sposób ma odzyskać utraconą łaskę swojego pana.

Właśnie w tym czasie zdarzył się wypadek z jego synem Anatem. Gdy służący zawiadomili Mohitę, że jego syn wpadł do studni, ten natychmiast pobiegł do ogrodu i widział na własne oczy, jak Ariel nadlatuje od strony drogi, pogrąża się w studni i wyciąga chłopca. Najmniej martwił się Mohita o syna, było to dziecko zrodzone z jego pierwszej, już nie kochanej żony, a żon Mohita miał aż trzy.

Natomiast latający człowiek wielce zadziwił Mohitę. Nie zastanawiał się nad tym, czy człowiek-ptak jest dziwem natury, czy też lata przy pomocy jakiejś nowej kuglarskiej sztuczki. Najważniejsze, że było to zupełnie nowe, nie znane dotąd widowisko, nowa rozrywka dla radży! Mając u boku takiego człowieka-ptaka, niezależnie od tego, kim i czym on właściwie jest — Mohita bez lęku stanie przed groźnym obliczem swego władcy. Ujrawszy to dziwo, radża zapomni o tym, co było, i znowu obdarzy Mohitę swoją łaską.

Więc Mohita kazał skępować latającego człowieka sznurem nawet gdyby okazał się nowym wcieleniem Knszny!

Rozdział dwudziesty

POKÓJ ZOSTAJE PRZYWRÓCONY

Mohita poprowadził związanego i otoczonego służbą pałacową Ariela do bocznego wejścia wiodącego do kuchni gdzie pracowała niezliczona rzesza kucharzy o czarnym, czekoladowym i żółtopomarańczowym odcieniu skóry. Wszyscy byli półnaczy i mieli na głowach czapki kucharskie. Mohita z Arielem i służbą weszli na wąskie schody, prowadzące na piętro, i przeszli przez zenan. Wszędzie kręciły się hałaśliwe gromadki dzieci, pilnowanych przez służbę. Zza półprzymkniętych drzwi jednej z komnat przyglądała się im niemłoda kobieta w okularach, przywiązanych z jednej strony do ucha czerwoną nitką. Podłoga innej komnaty była zasłana granatowymi i białymi chodnikami i dywanikami, na których rozrzucono barwne jedwabne poduszki. Na niskiej otomance siedziała młoda dziewczyna. Na twarz miała zarzucony koniec niebieskiej szarfy. Drżała na całym ciele, a z oczu spływały jej łzy, które wielkimi kroplami spadały na kolana. Obok dziewczyny stał starzec w białym odzieniu; miał na czole znaki przynależności kastowej, wymalowane czerwoną i żółtą glinką. Dawał dziewczynie surową reprimendę — kto wie, może była więźniem jak on, Ariel?

Galerią z lekkimi, wymyślnymi w kształcie kolumnami, pomiędzy którymi roztaczał się widok na spokojną lustrzaną gładź jeziora, przeszli do apartamentów radży. Ogromne sale o sklepieniach zdobionych sztukaterią, z kolumnami i wnękami gęsto pokrytymi arabeskami i wzorami ze stylizowanych kwiatów, zwierząt i ptaków następowały jedna po drugiej, jak jakieś fantastyczne obrazki w kalejdoskopie.

Ariel miał wrażenie, że śni! Mocno pachniało atarem — wonnym olejkiem zmieszany z wyciągiem z róży dalmatyńskiej i korzennym zapachem kwitnących rododendronów, które rosły w olbrzymich wazonach ozdobionych błyszczącą kolorową glazurą. Ten feeryczny widok przyprawił Ariela o zawrót głowy.

— Zatrzymajcie się — rozkazał Mohita strażnikom, gdy znaleźli się przed szkarłatną zasłoną w złote pierścienia

Spoza zasłony dochodził czyjś gniewny głos. Sługa szarpnął koniec sznura, który krępował ręce Ariela. Chłopiec zatrzymał się, a Mohita, wyraźnie zdenerwowany, zniknął za zasłoną.

Kłaniając się raz po raz do samej ziemi, postępował w kierunku radży, którego twarz chmurzyła się coraz bardziej.

Mohita nie dostrzegał niczego, prócz oblicza swojego władcy.

— Nie posyłałem po ciebie, Mohito. Po coś więc przyszedł?

— spytał radża surowo.

Mohita, wciąż kłaniając się i wyginając na wszystkie strony podszedł do władcy i szeptem powiedział mu coś na ucho. Na twarzy radży odmalował się wyraz zaskoczenia, niedowierzania i wreszcie ciekawości, a po chwili znów wzięło górę zaskoczenie i następnie niedowierzanie. Mohita z niepokojem śledził te wszystkie przemiany. „Żeby tylko nie kazał iść precz!” — pomyślał.

— Dobrze. Chcę go widzieć. Ale jeśli oszukałeś mnie, Mohito, pamiętaj: jeszcze dzisiaj twoje żony będą musiały włożyć białe szaty wdów!

Mohita, nawet nie wysłuchawszy radży do końca, rzucił się ku kotarze i kazał wprowadzić Ariela.

Ariel wszedł do sali i zamarł w miejscu, oślepiiony. Jaskrawe światło słoneczne, które przenikało skądś z góry, wydobywało blask ze złoconych ścian i pozwoliło iskrzyć się klejnotom, którymi były przybrane szaty ludzi, stojących obok wijących się spiralnie, jakby unoszących w powietrzu kolumn. Na

malinowych kobiercach i poduszkach, pod ciemnoniebieskim baldachimem, spoczywała ogromna bryła złota rozciągająca blask tęczy.

Gdy przyszło opamiętanie, Ariel mógł się przekonać, że owa bryła złota jest człowiekiem, a mianowicie radzą we własnej osobie. Władca miał na sobie haftowane złotem szaty. Brylanty i diamenty tego stroju musiały kosztować miliony, a jaśniejący na jego czole brylant był tak ogromny, że byłyby trudności z jego wyceną!

Radza miał ciemną skórę, płaski nos i grube, prawie murzyńskie wargi, chociaż w jego żyłach płynęła, co potwierdza kronika genealogiczna jego rodu, najczystsza krew Hindusa!

Radza w milczeniu wlepił w Ariela czarne błyszczące oczy. Jedyne szkoła, jaką przeszedł w Dandaracie, pomogła młodzieńcowi wytrzymać to spojrzenie.

Następnie radza przeniósł spojrzenie na otaczających go ludzi, których stroje mogły iść w zawody z upierzeniem pawi i papug, jeśli chodzi o różnorodność i intensywność kolorów. Potem nakazał Arielowi podejść bliżej. Słudzy poszturchiwali go w plecy.

— Kim jesteś? — zapytał radza.

Ariel nie wiedział, jak się ma zachować, i milczał.

— Kim jesteś? — radza ponowił pytanie, tym razem po angielsku, myśląc, że Ariel nie zna języka hindi.

Młodzieniec milczał w dalszym ciągu.

Teraz Mohita zadał mu to samo pytanie w języku bengali i marathi, a potem przeszedł z języków aryjskich na drawidyjskie — telugu i tamil, a wreszcie na tybeto-birmańskie... Bez rezultatu.

Radza zmarszczył czoło i odezwał się:

— Albo jest głuchy, albo uparty. Ale ja go zmuszę do mówienia! — I oczy jego błysnęły. — Ponoć umiesz latać? — spytał, znów przechodząc na język hindi.

Mohita nie wytrzymał, podszedł do Ariela i uderzył go w kark.

— Mówże wreszcie, ośle, jeśli nie chcesz, żeby cię pozbawiono języka na zawsze!

Wargi Ariela drgnęły, lecz nie odezwał się ani słowem. Doszedł do wniosku, że jeśli będzie udawał głuchego i nie zdradzi się ze swoją umiejętnością latania, może będzie puszczony wolno.

Radża wyrwał z ręki sługi wachlarz, którym ten powiewał nad jego głową, i rzucił nim w Mohitę. Zaczął krzyczeć i tupać nogami:

— Niegodziwcze! Przyprowadziłeś mi tu jakiegoś półgłówka?

— Litości, panie mojego życia! — wykrzyknął Mohita i rzucił się przed radzą na kolana. — Na pewno nie skłamałem! Spytaj ich — wskazał na służbę — spytaj moją żonę Bintajbę-sini! Wszyscy widzieli, jak ten człowiek czy też ucieleśniony duch szybował w powietrzu! Każ go wychłostać, to zaraz zacznie mówić i latać!

— Na pewno nie uniknie chłosty, ale przede wszystkim otrzymasz ją ty! — Radża klasnął w dłonie,

Zasłona z prawej strony tronu rozsunała się. Obok radży stanął czarny jak heban ogromny kędzierzawy mężczyzna z kańczugiem o siedmiu rzemiennych ogonach w rękę, gotowy do natychmiastowego wykonania każdego rozkazu władcy.

Radża w milczeniu wskazał mu Mohitę. Kat uniósł kańczug, aż rzemienie zaświszczały w powietrzu, i uderzył.

Leżący na podłodze Mohita wrzasnął wniebogłosy i skulił się cały, chowając pod siebie ręce i nogi.

Ariel wyprostował się i zaczął mówić.

— Wstrzymajcie się, nie róbcie tego!... Tak, to prawda: umiem latać! — I uniósł się w górę.

Kańczug kata znieruchomiał w powietrzu, a przestraszony radża podał się do tyłu, na poduszki, po czym zawołał na służbę:

— Trzymajcie sznur, a mocno! Jeśli umknie, wszystkich skrócę o głowę!

Ariel opadł na podłogę. Mohita postękiwał, lecz jego oblicze promieniało. Burza minęła! Podniósł się na czworaki i zaraz usiadł na podłodze.

— Ktoś ty? — znowu zapytał radża, z pewnym respektem spoglądając na Ariela, Ariel, który lękał się, że może być odesłany z powrotem do Dandaratu, odezwał się:

— Nie wiem, kim jestem i skąd się tutaj wzięłem.

Radża był zbity z tropu.

— Jak to nie wiesz? Przecież przyleciałeś do mojego ogrodu od strony drogi. Gdzie więc przebywałeś przedtem?

— Wiem o tym tyle, co nowo narodzone dziecko. Uświadomiłem sobie, że istnieję, dopiero na tej drodze, i stamtąd też przybyłem — Ariel mówił co bądź, co mu przyszło do głowy.

— A skąd wiesz o nowo narodzonych dzieciach? — pytał radża.

Ariel zmieszał się i nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

Wszystko ci się chyba poplątało - odezwał się radża, ale w jego głosie nie było już gniewu. Latający człowiek zawładnął jego wyobraźnią.

Z tym cudownym młodzieńcem należy obchodzić się jak z jajkiem! Piękny nabytek! Ani faraonowie, ani najwięksi cesarze czy też królowie nie mieli podobnej zabawki. Gdyby się jeszcze udało odpowiednio wytresować tego człowieka-ptaka!...

— Jak ci na imię?

Ariel pomyślał chwilę i odpowiedział:

— Siddha.

Było to imię ascety dysponującego nadnaturalnymi mocami.

— Siddha? Niech będzie Siddha — rzekł po chwili radża.

— O miłościwy panie! — przypomniał o swojej obecności Mohita, do którego szczęście się znowu uśmiechnęło.

Radża obdarzył go łaskawym spojrzeniem i rzekł:

— Niech skarbnik wyda ci kror rupii... i jeszcze siedemset lakhów/* rupii, w zamian za siedem ran na ciele, jakie przed chwilą otrzymałeś.

Mohita skłonił się do samej ziemi. Oczywiście, nie ma co się łudzić, radża nie da mu aż tyle tysięcy rupii, ale tak czy owak nagroda go nie ominie.

*/ Kror — sto lakhów; lakh — sto tysięcy rupii (przy p. aut.).

— Posłuchaj, Siddha. Zostań u mnie, a nie pożałujesz.

Do sali weszła rani Szjama.

Była ubrana w narodowy strój hinduski. Jej czoło opasywała złota, z wielką precyzją wykonana obręcz, którą przytrzymywała wpięta w czarne włosy brosza, iskrząca się od drogich kamieni — wielkich szmaragdów i krwawych rubinów. Na szyi miała ciężki naszyjnik z kutego złota. Nogi aż do kostek opinały platynowe obręcze, z których zwisały brzękadelka. Na sobie miała jaskrawozieloną suknię, taką, jakie powinny nosić kobiety „prawowiernych”. Ręce od barku aż do nadgarstka były przysłonięte złotymi bransoletkami przeplatanymi jedwabnymi sznurkami, od których aż do przegubów dłoni zwisały kruche szklane ozdoby. Wśród tych klejnotów miejscowego wyrobu na rękach rani Szjamy można było zobaczyć kilka złotych bransolet wysadzanych drogimi kamieniami, wykonanych przez najlepszych złotników Paryża.

Patrząc na nią trudno było sobie wyobrazić, że ta kobieta, przypominająca królową z bajki, umie nosić europejskie ubiory i pantofle na wysokich obcasach.

— Posłuchaj, Szjamo... — zaczął radża. — Mohita zdobył dla mnie nowe cudeńko.

Przy tych słowach zaufany człowiek radży zaczął uśmiechać się i kłaniać. Władca odzyskał dobry humor i chciał załagodzić swój poprzedni wybuch gniewu, chwając Mohitę w obecności małżonki.

— Patrz, ten młodzieniec umie latać! — ciągnął radża, wskazując na Ariela palcem z nanizanymi nań aż do środkowego zgięcia pierścieniami.

— Więc to on! Doszło do mnie, że ten młody człowiek uratował Anata. Trzeba mu to odpowiednio wynagrodzić! — powiedziała Szjama podchodząc do Ariela. — Dlaczego jest skrepowany sznurem? Biedny!... A jaki przystojny!... Proszę natychmiast rozwiązać mu ręce! — rozkazała sługom.

— Tak, uwolnijcie mu ręce, ale obwiążcie sznurem wokół pasa — spiesznie dodał radża, niespokojnie kręcąc się wśród poduszek. — I trzymajcie mocno koniec sznura! A teraz, Siddha, pokaż nam, co potrafisz.

Tym razem Ariel wzbił się w powietrze od razu. Słudzy powoli popuszczali sznur, jakby kierowali balonem, Ariel wzniósł się aż pod sufit i zaczął opisywać na tej wysokości koła, oglądając przy tym piękne sztukaterie.

Radża oparłszy się plecami o poduszki obserwował go z zaciekawieniem nie pozbawionym niepokoju. Szjama odeszła trochę dalej, żeby lepiej widzieć, i patrzyła na człowieka-ptaka zafascynowana, aż twarz jej powlokła się bladością.

— Nadzwyczajnie! — zawołała.

— Wystarczy, Siddha! Wracaj!

Ariel wylądował na podłodze.

— Co to wszystko znaczy? — pytała podekscytowana Szjama.

— Kim on właściwie jest? Bogiem? Człowiekiem?

- Siddha nie chce nam o tym powiedzieć — odparł radża. —
Lecz wreszcie powie i zamieszka z nami. Czyż nie tak Siddha? I nie odleciś od nas? Czyś bóstwo, czyś człowiek —
nigdzie nie będzie ci tak dobrze jak u mnie. Nie uciekniesz,
prawda?

— Nie!

— No to sprawa załatwiona. I nie obrażaj się, jeśli będziemy
cię mimo wszystko trochę pilnować.

— A może jesteś głodny, Siddha? — przyjaznym tonem
zapytała Szjama.

Ariel spojrzał na nią z wdzięcznością. Tylko kobieta mogła o
tym pomyśleć! Mylił się jednak: Szjama była dobra z natury,
lecz w tym wypadku przyświecał jej ukryty cel. Zadając to
pytanie, myślała jednocześnie: „Bogowie nie potrzebują
jedzenia”. Z odpowiedzi Siddhy można będzie
wynioskować, kim jest naprawdę: bóstwem czy
człowiekiem.

— Owszem, jestem trochę głodny — szczerze odpowiedział
Ariel i uśmiechnął się do niej.

„Więc jednak nie jest bóstwem!” — pomyślała Szjama.

Tymczasem radża półgłosem wydawał sekretne i dokładne
polecenia, dotyczące zamieszkania Siddhy w pałacu, a także
pilnowania go. Na koniec zdjął z palca dwa pierścienie i rzucił
je Mohicie. Pokój został przywrócony.

Rozdział dwudziesty pierwszy

LATAJĄCY CZŁOWIEK WYRAŻA ZGODĘ

Ariela odprowadzono do pokoju, który przylegał do sypialni
radży. Władca życzył sobie mieć Siddhę w pobliżu.

Do obsługi latającej istoty przydzielono dwanaście osób, jakby to był następca tronu. Słudzy zresztą pełnili jednocześnie obowiązki dozorców.

Z głębokim ukłonem zapytano, czy wielmożny pan Siddha zechce zażyć kąpieli z wonnościami, a następnie przyodziano go w kosztowne szaty i przyniesiono obfity i smaczny posiłek. Na deser podano rzadko tutaj spotykane owoce, między innymi birmańskie mangostany, których Ariel nigdy przedtem nie jadł. Nie wiedząc, w jaki sposób się je spożywa, w zakłopotaniu ugniatał owoce w palcach, skubał je, próbował nadgryźć. Usługujący przy stole szacowny siwy Hindus o dumnej postawie bramina poradził mu kryjąc uśmiech:

— Rozetnij je nożem, panie, i skosztuj mięszu. — A jednocześnie pomyślał: „Niewiele wie, jak na bóstwo!”

Po obiedzie Ariel z przyjemnością wyciągnął się na tapczanie. Smagły chłopiec stanął u jego wezgłowia i wprowadził w ruch wachlarz. Za wysokim, opatrzonym kratą oknem przelatywały jaskółki, i Ariel szczerze im pozazdrościł.

Jest mu tutaj bez wątpienia lepiej niż w Dandaracie, a jednak nie czuje się zadowolony. Zdażył zorientować się, jakiego pokroju człowiekiem jest radża, z taką łatwością przechodzący od łaskawości do okrucieństwa! Teraz jest mu dobrze, ale co będzie jutro?... Z jaką radością zamieniłby tę złotą klatkę na skromną chatynkę Nizmata! Ciekaw był, co myślą o nim oni wszyscy — staruszek, Lalita i Szarad? Zniknął przecież tak nagle... Czyżby był skazany na wieczną wędrówkę z jednej klatki do drugiej? Dlaczego nie jest wolny, tak jak jaskółki? Gdyby nie żelazna krata, wyfrunąłby oknem i odleciał razem z tymi ptakami w błękitną przestrzeń nieba!

W ciągu dnia radża kilkakrotnie zaglądał do pokoju Ariela i dowiadywał się łaskawie, jak się czuje, czy smakowały mu potrawy i czy jest zadowolony ze sług.

Radża płonął z niecierpliwości, pragnąc nacieszyć się nową zabawką, ale Szjama przekonała go, że nie należy niepokoić Siddhy — niech odpoczywa przez cały dzisiejszy dzień. Radża, pomimo że był typowym wschodnim despotą, często ustępował ukochanej małżonce, którą zaliczano do najpiękniejszych i najmądrzejszych kobiet w Indiach, a która była bardzo pomocna swojemu mężowi w jego interesach z sahibami. Jej umiejętnie i w porę rzucona uwaga i czarujący uśmiech często okazywały się w tym względzie o wiele skuteczniejsze niż wszystkie jego zabiegi.

Nocą, gdyż budził go najłżejszy szelest, Ariel widział obok swego łoża radżę, w szlafroku i w pantoflach z zagiętymi do góry nosami. Na drugi dzień z samego rana uchyliły się drzwi i wszedł radża w tym samym szlafroku i z plikiem gazet w rękę, przysiadł obok Ariela i powiedział:

- Jednak dowiedzieliśmy się o tobie coś niecoś, Siddha! Osobiście nie lubię czytać gazet, ale mój sekretarz okazał mi wzmiankę o latającym człowieku. Nie ulega wątpliwości, że to o tobie mowa. No i oczywiście nie dopiero wczoraj, na drodze wiodącej do mego pałacu, zjawiłeś się na tym świecie, Siddha!... Posłuchaj mnie, niezależnie od tego, kim jesteś naprawdę — ciągnął, a głos jego przypominał pieszczotliwe i łagodne gruchanie gołębia — zaufaj mi, a dobrze na tym wyjdiesz... Chodźmy, pokażę ci coś. Ale, jak uprzedzałem, nie obrażaj się, jeśli z początku, zanim znajdziemy wspólny język i zostaniemy przyjaciółmi, będę cię prowadził na uwięzi. Moi kawale i złotnicy starali się przez całą noc, aż sporządzili ten oto złoty łańcuch. Jest jednak trochę za ciężki, no i też niezbyt mocny. Trzeba było zrobić inny — żelazny ze złotą obręczą, jakby pasem. Paresz! — zawołał.

Wszedł sługa, niosąc podzwaniający łańcuch. Założył Arielowi złotą obręcz, zamknął ją w pasie na kluczyk, po czym kluczyk i koniec łańcucha wręczył radży.

— Chodźmy! — powtórzył radza, mocno ściskając w rękę łańcuch.

Poprowadził Ariela przez nie kończącą się amfiladę sal przybranych złotem, marmurem, kością słoniową i majoliką. Wszędzie była mozaika, sztukaterie, inkrustacje, wazy, posągi, kwiaty...

Ściany jednej z sal od podłogi po sufit były wyłożone bursztynem, innej — kryształem górskim, jeszcze innej — płytkami z kości słoniowej. Nad drzwiami sterczały w górę ogromne kły słonia w złotej oprawie, pokryte delikatną koronką rzeźby.

Opuścili „słoniową salę” i zaczęli iść schodami w dół. Trwało to dość długo, aż wreszcie dotarli do podziemi. Radza zapalił kaganiec i zapuścił się w korytarz jako pierwszy, oświetlając drogę. Znów schody, jeszcze jedno i jeszcze niżej położone podziemie... Wreszcie stanęli przed żelaznymi drzwiami, pokrytymi płaskorzeźbą przedstawiającą fantastyczne węże i smoki.

— Znajdujemy się pod powierzchnią sztucznego jeziora, które już widziałeś — odezwał się radza i otworzył ciężkie drzwi. — Wejdz, proszę.

„Czy aby radza nie chce wsadzić mnie do lochu?” — przemknęło przez myśl Arielowi, gdy wchodził do ciemnego pomieszczenia.

Raptem rozległ się trzask i rozblysnęło oślepiające światło.

Wzdłuż ścian nisko sklepionego pomieszczenia rzędem stały szkatuły z okutymi miedzią pokrywami. W pewnym momencie wszystkie pokrywy uniosły się do góry i zdumionym oczom Ariela ukazał się widok, jaki rzadko może być udziałem zwykłego śmiertelnika. Niektóre szkatułki były wypełnione po brzegi wielkimi rubinami i wyglądały, jakby nalano do nich krwi; inne zawierały szmaragdy w odcieniu morskiej wody; w jeszcze innych skrzyły się kolorami tęczy

diamenty i brylanty... Stały tu puzdra pełne topazów, chryzelitów, pereł, turkusów, korundów, agatów, szafirów, granatów, chryzoprazów, akwamarynów, turmalinów... Kamienie, wszędzie kamienie — czerwone, niebieskie, czarne, zielone, żółte, połyskliwe i matowe...

Nieco dalej stały skrzynie ze sztabami złota, złotym piaskiem, srebrem i platyną. Wydawało się wprost nieprawdopodobne, żeby takie skarby mogły być zebrane w jednym miejscu i należeć do jednego człowieka!

— Czy rozumiesz, Siddha, co to znaczy — mieć na własność te ładne kamyczki i złoto? One zapewniają władzę nad ludźmi! Wsuwasz jeden taki kamyczek w podstawioną łapę — i każdy urzędnik-sahib zrobi odtąd dla ciebie wszystko, co zechcesz. Dostarczyłem im niemało takich kamyczków... Więc, Siddha, niezależnie od tego, kim właściwie jesteś i jaka jest twoja przeszłość, mogę zatrzymać cię u siebie, jeśli oczywiście tego zapragniesz. Będziesz miał u mnie to, czego nie znajdziesz gdzie indziej. Zastanów się nad tym. Możesz nie spieszyć z odpowiedzią. Przyjdę do ciebie po śniadaniu.

Wrócili do pałacu.

Ariel pozostał sam w pokoju. Najbardziej przerażała go myśl, że mógłby znowu wpaść w ręce Peartha. I nikt prócz radży nie zdoła mu pomóc, jeśli Pearth dowie się, gdzie się obecnie znajduje - był tego pewny. Jak na razie, radża jest do niego dobrze usposobiony. Dlaczegoż by nie zdać się na niego we wszystkim?! Lalita mieszka w pobliżu, znajdzie sposób, by się z nią zobaczyć. „Jeśli natomiast łaska radży zamieni się w gniew... — Ariel uśmiechnął się i wzleciał pod sufit. — Czy naprawdę nie zdołam mu uciec?”

Gdy radża zjawił się u niego po śniadaniu, Ariel szczerze opowiedział mu o wszystkim, co wiedział o sobie, a także o szkole Dandarata. Radżę bardzo zainteresowała opowieść Ariela, a przede wszystkim to, co mówił o szkole. Spytał:

— A czy są tam może jeszcze jacyś inni cudowni młodzieńcy, no, tacy jak ty?

— Są tacy, których ciała emanują poświatę lub wydzielają aromat, i inni, którzy odgadują przyszłość i czytają cudze myśli...

— Trzeba będzie koniecznie powiedzieć o tym Mohicie. Ale ty, młodzieńcze, tak czy owak bijesz ich wszystkich na głowę. Więc zgadzasz się pozostać u mnie z dobrej woli? Jeśli tak, każę usunąć kraty z okien i wrzucę ten łańcuch do stawu.

„A jeśli nie zgodzę się, wrzucisz do stawu mnie” — pomyślał Ariel i odrzekł:

— Zgadzam się. Ale powiedz mi, kim jesteś i jak się nazywasz?

Radza roześmiał się.

— Mówisz tak, jakbyś naprawdę spadł z nieba! Jestem radza Radzkumar. Pozwalam ci mówić do mnie po imieniu. Mimo wszystko niezwykły z ciebie człowiek, Arielu, chociaż jesteś ludzką istotą! Bardzo się cieszę, wiesz? Daję ci całkowitą swobodę poruszania się w obrębie pałacu i ogrodów. Ale nie dalej, pamiętaj! Dajesz słowo, że nie uciekniesz?

Ariel pomyślał o Lalicie, o której nic nie wspomniał radzy w czasie swojego opowiadania, i chciał prosić o pozwolenie odwiedzenia najbliższych okolic. Doszedł jednak do wniosku, że na taką prośbę jest jeszcze za wcześnie. Odpowiedział więc:

— Daję słowo.

Radza nie ukrywał zadowolenia. Człowiek-ptak dostarczy mu więcej przyjemności, jeśli będzie latać bez łańcucha. A o to przecież chodziło przede wszystkim!

Tego samego dnia z okna zdjęto kratę, a łańcuch wrzucono do stawu.

Rozdział dwudziesty drugi

NOWA ZABAWKA

Wyglądało na to, że radża, wiecznie niesyty zabaw, stracił głowę na punkcie Siddhy-Ariela. Przestały go interesować nie tylko sprawy administracyjne, lecz także ukochane do niedawna rozrywki — walki gladiatorów i polowania. Cały czas, od rana do wieczora, spędzał w towarzystwie Ariela, który musiał pokazywać mu różne sztuczki i wciąż wymyślać nowe powietrzne akrobacje. Ariel potulnie, a nawet z przyjemnością wykonywał wszystkie polecenia radży.

Radża zwoływał swoich domowników do największej i najwyższej komnaty i, rozwalony na poduszkach, wydawał komendy:

— Wznies się pod sufit, Arielu! Opisuj koła w powietrzu! Na stojąco! Na leżąco! Szybciej! Jeszcze szybciej! Wywróć koziółka! Do mnie, Arielu! Weź małpkę i polataj z nią!

Ariel chwycił małpkę i wzbijał się do góry. Przestraszona małpka piszczała przeraźliwie i wrywała mu się z rąk. Widzowie zaśmiewali się do łez, a radża najgłośniej. Któregoś dnia małpka podrapała Ariela i zdołała mu się wymknąć. Całe szczęście, że spadła na poduszki, niemniej jednak uderzyła się mocno i piszczała przez dłuższy czas.

Ariel chwycił tresowane gołębie i papugi, wypuszczał je z rąk pod sufitem, a potem gonił, wywracając w powietrzu koziółki jak gołąb płasacz.

Musiał także wznosić się w powietrze, mając przy sobie chłopca lub dziewczynkę. Chłopcy byli tym zachwyceni, ale dziewczynki piszczały nie mniej przeraźliwie niż małpki.

małpki. Często zabierał w powietrze półmiski za słodyczami i kwiaty; kwiaty rozrzucał wśród widzów i potem zręcznie chwycił je w locie.

Kiedy radży zabrakło już pomysłów i nic już nie można było wymyślić nowego, całe towarzystwo przenosiło się z pałacu

do parku. Radza nadzwyczaj upodobał sobie następujący „numer”:

Ariel powoli się nad ziemią, dosięga wierzchołka kopułki wieńczącej wieżyczkę na dachu pałacu i gwałtownie rzuca się głową w dół, do jeziora. W ostatniej chwili, tuż nad jego powierzchnią, obraca się w powietrzu całym ciałem, dotyka stopami wody i zaczyna „iść” po niej, kierując się ku brzegowi, gdzie stoi radza.

Arielowi również podobała się ta zabawa. Oto wznosi się wzdłuż muru, ogląda dekoracje ścienne, sztukaterie, pęknięcia, gniazda jaskółek... W oczach migają poszczególne kondygnacje budowli, kolumny, krużganki, balkony... Ariel posyła uśmiechy ludziom, którzy wyglądają przez okna. Kiedyś złapał w locie różę, którą podała mu na wyciągniętej dłoni stojąca w oknie rani Szjama. Lekko skłonił przed nią głowę i już nie wypuścił kwiatu z ręki.

Wznosi się coraz wyżej i wyżej...

I oto już stoi na samym wierzchołku tej mającej kształt jajka kopułki i nadstawia pierś podmuchom wiatru. Nad głową ma jasne niebo, wokół rozciąga się niezmierna przestrzeń ziemi, śmigłe jaskółki ze świstem prują powietrze... W dole połyskują lustra jezior i stawów, zielenieją kępy drzew i wspaniałe parki. W takich chwilach chciało mu się śpiewać. Stał i myślał o tym, że zaraz, w tej chwili odleci stąd, kierując się ku chatynce Lality. Lecz nie, jeszcze nie teraz... Na dole stoi radza, jest wielkości mrówki — zadarł głowę, patrzy, czeka, aż Ariel skoczy... Trzeba skakać!

Dziwna rzecz! Startując z ziemi, był wewnętrznie spokojny i pełen radości, natomiast gdy miał skoczyć ze znacznej wysokości — odczuwał lęk i ucisk w piersi. Może tak właśnie czuje się skoczek spadochronowy, pełen obaw co do sprawności swojego spadochronu, który może zawieść w

krytycznym momencie i nie otworzyć się?... Czy Ariela nie zawiedzie jego cudowna umiejętność — możliwość latania?...

Tłumił w sobie instynkt samozachowawczy i rzucał z wieżyczki głową w dół. Po chwili hamował rozpęd ciała i powstrzymywał lot. Nigdy nie miał z tym żadnych trudności. Czyli wszystko w porządku!

Całkowicie uspokojony kontynuował podróż ku ziemi.

— Ozłocić go trzeba! Co ja mówię, tego byłoby za mało! — wykrzykiwał radża w zachwycie i przystępował do wymyślania nowych zabaw z Arielem.

Trzeba by zaprowadzić chłopca do małpiarni, jak nazywano ruiny starego pałacu, które objęły w posiadanie stada małp. Zwierzęta przyzwyczały się do ludzi, i to do takiego stopnia, że przyjmowały z ich rąk jedzenie, chociaż nie pozwalały się złapać. Ariel mógłby łowić młode małpy. Ileż to będzie śmiechu i zamieszania! Albo też można zabrać Ariela na polowanie na tygrysy... Radża ujrzał siebie siedzącego na słoni, ujrzał tygrysa, który rzuca się na słonia i chce go chwycić zębami za szyję... Ale w tej samej chwili nadlatuje Ariel, zawisa nad tygrysem i zagłębia w jego karku nóż...

Z pomocą Ariela można by było łowić ptaki w lasach... Młodzieniec mógłby też przelatywać przez obręcze spowite kwiatami... Albo wśród ciemnej nocy wzlatywać wysoko z latarnią w ręku i rzucać stamtąd kwiaty... Albo dlaczegoż by sam radża nie miał odbyć takiej podróży powietrznej w towarzystwie Ariela?

Radża przymykał oczy z zadowolenia. W wyobraźni widział nie kończący się łańcuch rozrywek tego rodzaju. Można by zaprosić do wzięcia w nich udziału piastujących wysokie godności sahibów i co znakomitszych sąsiadów... Bogowie wyraźnie chcą się przysłużyć wspaniałemu radży Radżkumarowi!

Nie tylko radża, lecz także pozostali mieszkańcy pałacu byli urzeczeni i zachwyceni Arielem-Siddhą. Imię jego nie schodziło z ust: „Słyszeliście o sztuczce, jaką wczoraj wykonał Siddha?... Widzieliście, jak chodzi po suficie głową w dół? A jak w nocy zapalał ogień w powietrzu nad wielkim jeziorem?...”

Na jego temat krążyło mnóstwo opowieści. Ogół go podziwiał, chociaż znaleźli się również tacy, którzy mu zazdrościli; nie brakowało też głosów współczucia: „Mimo wszystko jest zamknięty w klatce, i cóż z tego, że jest to klatka ze złota? Będąc na jego miejscu - szeptano sobie poufale – pochwyciłbym mieszek, napełnił go brylantami, ile by się tylko dało unieść, i tyle by mnie tutaj widzieli!”

Słuchy o tym, że radża Radżkumar ma u siebie latającego człowieka, rozchodziły się po okolicy. Wieści te doszły niebawem do Nizmata i jego wnuczki, a wreszcie również i do adwokata Dotallera.

Rozdział dwudziesty trzeci

MOHITA GROMADZI DOWODY OBCIĄŻAJĄCE

Pałace radży zamieszkiwała niezliczona rzesza ludzi, lecz wśród nich wszystkich był tylko jeden człowiek, który spoglądał na Ariela ponurym wzrokiem i z nie ukrywaną niechęcią. Był to Mohita.

Początkowo Mohita na równi z innymi cieszył się, że dostarczona przez niego zabawka ma takie powodzenie. Wkrótce jednak przekonał się, że myśli radży są zajęte całkowicie i wyłącznie Arielem. Siddha-Ariel odsunął wszystkich w cień, jakby rzeczywiście spadł do pałacu prosto z nieba, i niebawem stał się jedynym faworytem. Radża obsypywał go drogocennymi prezentami, chociaż młodzieniec nie wiedział, co ma z nimi zrobić. Mohita został zapomniany

przez niewdzięcznego władcę i coraz bardziej zieleniał z zazdrości. Z początku miał nadzieję, że niestały i kapryśny radża znudzi się Arielem, jak wcześniej czy później nudziły go wszystkie dotychczasowe „zabawki”. Lecz dar Ariela krył w sobie niewyczerpaną pomysłowość. Człowiek-ptak zadziwiał wszystkich wciąż nowymi sztuczkami. W pałacu odbywały się nieustanne zabawy, jedna ciekawsza od drugiej. Radża wysyłał zaproszenia do sąsiadów, nababów i radżów, oraz do wysokich urzędników administracji angielskiej, których jednakże prosił o nierozgłaszanie tego, co zobaczą, i o zachowanie dyskrecji wobec dziennikarzy.

Wyrachowany i zawistny Mohita cierpiał niewypowiedziane męki. Wreszcie powziął decyzję: tak czy inaczej, ale z Siddhą-Arielem należy skończyć definitywnie!

Z początku przemyślał nad zabiciem chłopca w jakimś ustronnym miejscu, lecz było to zbyt ryzykowne. Trzeba było więc wymyślić coś bardziej wyrafinowanego.

Wyglądało na to, że okoliczności sprzyjają tym zamysłom.

Rani Szjama, tak samo jak wszyscy w pałacu, żywo interesowała się Arielem. Ta nieco ekscentryczna, lecz o dobrym sercu kobieta litowała się nad nim, gdyż bardziej niż ktokolwiek zdawała sobie sprawę, co musi odczuwać ten „rajski ptak”, zamknięty w złotych komnatach radży Radżkumara. Okazywała Arielowi wiele zrozumienia, troszczyła się o jego wygody i domagała się od męża, żeby zapewniał Arielowi niezbędny odpoczynek. Gdy jakieś wyjątkowo nie cierpiące zwłoki sprawy odrywały radżę od zabawy z nowym ulubieńcem, rani Szjama zapraszała go do swoich pokoi i prowadziła z nim długie przyjazne rozmowy. Rozpytywała Ariela o jego dotychczasowe życie, pilnie czytała prasę, wyszukując nowych wzmianek o latającym człowieku, i zbierała o nim informacje. W ten sposób zrodziła

się myśl, żeby, gdy dowie się o Arielu wszystkiego, co tylko będzie możliwe, odnaleźć jego rodzinę i zwrócić jej chłopca. Chociaż ich pokoje znajdowały się na tym samym piętrze, chcąc przejść z pokoju Ariela do apartamentów Szjamy, trzeba było zejść na parter, a potem znowu wchodzić schodami na drugie piętro. Ariel wybrał drogę o wiele krótszą. Gdy rani Szjama pragnęła go widzieć, Ariel zjawiał się na jej wołanie, przelatując po prostu ze swojego balkonu na balkon pokoju Szjamy. Szjama nie uważała za konieczne zachowywać te spotkania w tajemnicy, mniemając iż „żona Cezara jest ponad podejrzenia”.

Te powietrzne wędrówki nie uszły uwagi Mohity, do którego obowiązków należało, między innymi, szpiegowanie mieszkańców pałacu. W jego umyśle dojrzał plan.

Mohita żywił skrytą nienawiść do Szjamy, która odpłacała mu pięknym za nadobne. Każde z nich kierowało się własnymi racjami. Mohita poczuł niechęć do rani za to, że miała ona wpływ na swojego męża, a to nie mogło się podobać pierwszemu doradcy, który pragnął podporządkować sobie radzę całkowicie i w tym celu sprzyjał wszelkim przejawom najniższych instynktów i gustów despoty. Szjama ze swej strony poczuła odrazę do Mohity, gdy przekonała się, że jest to zły, małostkowy i sprzedajny człowiek.

Pomiędzy Szjamą a Mohitą od dawna toczyła się skryta walka, która od czasu do czasu przybierała formę otwartej potyczki.

I oto Monicie nadarzyła się okazja ustrzelenia za jednym zamachem dwóch zajęcy: pozbycia się zarówno nowego faworyta, jak też rani Szjamy. Dopiero wtedy jego wpływ na radzę będzie całkowity! Plan wydawał się o tyle realny, że radza, człowiek gwałtowny i samolubny, był bardzo zazdrosny o swoją małżonkę. Na tym tle pewnego razu w Paryżu o mało nie doszło do skandalu towarzyskiego, a w Indiach — do

śmierci pewnego wysoko postawionego sahiba. Chcąc zatuszować sprawę, radża był zmuszony rozstać się z wielu ślicznymi kamykami!

Wywołać zazdrość radży, zagrać na tym wypróbowanym instrumencie?... Na to Mohita był zbyt przebiegły i ostrożny. Sama zazdrość nie wystarczy: radża bardzo chwali sobie Ariela. A nuż zacznie sprawdzać, zastanawiać się... Sprawa może wziąć w łeb, a sprytna Szjama wyjdzie z niej obronną ręką. I kim właściwie jest ten cały Ariel? Żaden książę krwi czy jakiś ważny sahib, żeby radża miał być o niego zazdrosny! Najwięcej tutaj zdziała się sprytem. Należy skompromitować Ariela w oczach radży, a jednocześnie tak wszystko urządzić, żeby niezadowolenie i podejrzenia możnowładcy spadły na młodzieńca także z jeszcze innego powodu. Jeśli uda się zniechęcić radżę do Ariela, wtedy byle przewinienie z jego strony wywoła wybuch gniewu Radżkumara. Odtąd Mohita nie tylko osobiście szpiegował Ariela, ale także rozkazał swoim pomocnikom, aby nie spuszczały z niego oka. Inwigilacja u Mohity zorganizowana była wzorowo.

W krótkim czasie Mohita zebrał dość pokaźny materiał. Zauważył mianowicie, a pomocnicy również mu o tym donieśli, że Ariel wszystkie wolne chwile spędza w towarzystwie sług pałacowych, pariasów. Ludzie ci przypominali mu Nizmata, Lalitę i Szarada, dlatego też w miarę upływu czasu nawiązywał z nimi coraz bardziej serdeczne stosunki.

Ariel kochał dzieci i chętnie z nimi przestawał, i nie sprawiało mu różnicy, że były wśród nich dzieci z najniższych kast — zamiataczy, obdzieraczy skór czy sprzątaczy stajni słoni. Bawił się z nimi, demonstrując swoją umiejętność latania, i obdzielał je słodyczami ze stołu radży.

Najwięcej serca okazywał Ariel choremu wnukowi starego ogrodnika. Chłopczyk ten bardzo przypominał mu Szarada.

Malec zwichnął nogę i nie mógł chodzić. Ariel często brał go na ręce, wznosił się w powietrze, szybując na niewielkiej wysokości ponad grządkami kwiatów, i kołysał chłopca w ramionach jak na huśtawce. Mały był tym zachwycony. Otaczał szyję Ariela chudymi rączynami i śmiał się radośnie. Obserwujący tę scenę inni słudzy radzy uśmiechali się i ukradkiem ocierali łzy. Ich miłość i szacunek dla Ariela wzrosły jeszcze bardziej, gdy pewnego razu stary ogrodnik pokazał im wielki szmaragd i powiedział:

— Ten kamień ofiarował mi Ariel, żebym go sprzedał i za uzyskane pieniądze przywiózł z miasta jakiegoś dobrego doktora, bo nasz konował tylko męczy mojego wnuka i wcale nie potrafi go wyleczyć!

— Ale w jaki sposób Ariel zdobył taki szmaragd? — dziwili się słudzy.

— To jest prezent od radzy — odpowiedział ogrodnik.

Szmaragd przechodził z rąk do rąk, roztaczając blask na ciemnej skórze dłoni.

— Taki kamyczek nie tylko na doktora wystarczy, ale i na sprawienie wesela — mówili ludzie.

— Człowiekiem ci jest czy też bóstwem, jedno jest pewne: nawet bogowie się tak nad człowiekiem nie ulitują jak Ariel!

I kiedy ta niezwykła istota zlatywała ku nim z okna swojego pokoju, słudzy śpieszyli opowiedzieć jej o swoich troskach i potrzebach w słowach pełnych dziecięcej prostoty. Prezenty od radzy zawsze przechodziły w ich ręce.

„No, ślicznie! — myślał Mohita. — Ariel rozrzuca na prawo i lewo prezenty od radzy! I komuż je przekazuje?! Tym psom, pariasom! To się nie może spodobać naszemu władcy. Trzeba będzie mu powiedzieć, że zginał mój pierścień. Uczynić pewną aluzję... Że niby Ariel zawsze może zajrzeć do każdego z pokoi na każdym z pięter. Zajrzeć i wejść, gdy nie ma nikogo... Służba użala się przed nim. Wszyscy widzą w nim

obrońcę... A on pociesza ich, współczuje im i w ten sposób demoralizuje. Tylko tego jeszcze brakowało, żeby ta zaraza, szerząca się po miastach, przeniknęła tu do nas! Dzisiaj służba zanoszą skargi — jutro zaczną stawiać żądania... Radza powinien położyć temu kres!"

Lecz, jak na razie, Mohita nic nie powiedział radzy, zbierał materiał obciążający.

Wkrótce miało miejsce następujące wydarzenie:

Radzę odwiedził jakiś ważny obcokrajowiec, turysta interesujący się „egzotyką”. Gospodarz urządził na jego cześć walkę gladiatorów. Z powodu tych walk pomiędzy radzą a jego żoną wybuchały częste kłótnie. Rani Szjama nie mogła znieść tych krwawych widowisk, i chociaż wciąż besztła za nie męża i Mohitę, walki odbywały się w dalszym ciągu, lecz już bez jej udziału. Również tym razem radza zaprosił na nie swojego gościa w czasie nieobecności małżonki, która wybrała się na przejażdżkę samochodem.

Radza miał przy sobie Ariela, który stał się jego nieodstępnym towarzyszem. „Numer” z Arielem radza zachowywał na sam koniec, na deser.

Na arenie toczyła się zażarta walka. Polała się krew. Radza z rozdętymi nozdrzami i płonącymi oczami, okrzykami podjudzał walczących.

Jeden z gladiatorów, ciężko raniony przez swojego towarzysza, upadł na ziemię. Zwycięzca uniósł już nad nim swój żelazny oręż, chcąc zadać ostatni cios, ale w tej samej chwili Ariel na oczach zdumionego gościa przemknął w powietrzu i chwycił zapaśnika za rękę. Ranny wykorzystał ten moment i na czworakach umknął z areny.

Twarz radzy pociemniała z gniewu. Ariel samowolnie wmieszał się do walki, i to w najbardziej interesującym momencie! Jednocześnie zerwał własny „numer”, wznosząc

się w powietrze w nie przewidzianym programem momencie!
Zepsuł całe przedstawienie!

Radża wyrwał z rąk przybocznego strażnika oszczep i zamierzył się nim w Ariela. Ariel zauważył ten ruch i wzbił się w górę nad areną.

W tym momencie dał się słyszeć głos rani Szjamy:

— Brut! Bete norie! Dzikie zwierzę!

Wszyscy się obejrzeni. W zamieszaniu, jakie nastąpiło, nikt nie zauważył samochodu, który podjechał do areny, a w którym siedziała rani. Mohita już zdążył porozumieć się z kierowcą!

Radża zagryzł wargi. Kiedyż wreszcie pani małżonka przestanie wtrącać się do jego spraw?! I jak śmie besztać go przy obcokrajowcu, i do tego po francusku — w języku zrozumiałym dla gościa Europejczyka?!

— Nie wtrącaj się! Nie powinno cię to obchodzić! — wrzasnął radża wściekły i rzucił oszczepem w kierunku samochodu. Ostrze z brzękiem przebiło przednią szybę, obsypując odłamkami szkła kierowcę, który jednak zdążył uskoczyć w bok.

Dostojny gość wyjął naperfumowaną chustkę i wycierał nią pot z twarzy, usiłując ukryć uśmiezek. Poszcęściło mu się i oto jest świadkiem interesującej scenki z dziedziny egzotycznej obyczajowości!

Mohita stał za plecami radży i zacierał ręce. Był to pierwszy konflikt między radżą i Arielem. I nie ostatni pomiędzy małżonkami. Kto wie, może sprawa z miejsca weźmie pomyslny obrót i okaże się, że była to ostatnia kłótnia radży z Szjamą?...

Mohita już od pewnego czasu sprytnie sączył w serce radży jad nienawiści ku rani Szjamie, dając mu do zrozumienia, iż żona nie powinna chodzić mężowi po głowie, że pan i władca znalazł się pod pantoflem i ludzie zaczynają się z tego śmiać i że dobrze by było, gdyby radża jak najszybciej odzyskał

wolność i uczynił nową rani piętnastoletnią córkę ich sąsiada radży, piękną jak księżyc w pełni i łagodną jak gołębek...

Lecz i po tym wydarzeniu Mohita nie odkrył swoich kart, czekając, aż Arielowi znowu powinie się noga. Nie musiał czekać długo.

Od pierwszego dnia zamieszkania w pałacu radży Ariel bardzo tęsknił za Szaradem, Lalitą i Nizmatem. Nie wystarczała radość, jaką dawała mu możliwość latania! Po nocach, gdy radża spał, Ariel podchodził do okna. Zanurzone w blasku księżyca drzemały przypałacowe ogrody, nieruchomo trwały liście palm i kwiaty lilii i lotosów rosnących nad stawem... Kręciło się w głowie od wydzielanych przez nie woni. Może Lalita również nie śpi i myśli o nim, wpatrzona w księżyc? Może ich spojrzenia spotykają się na tej srebrnej tarczy, zawieszanej na granatowym firmamencie? Ariel cichutko, jak puszek unoszony lekkim dmuchnięciem, pomykał nad podłogą, a następnie wylatywał oknem. Z początku bardzo powoli, a później coraz szybciej unosił się wzdłuż pałacowego muru i wreszcie dosięgał dachu... Przed oczami przesuwwały się znajome gniazda jaskółek... Jeszcze wyżej!... Daleko w dole rozpościerały się przed nim niezmiernie połacie kraju, który jest piękny jak marzenie senne. Ariel wznosił ręce, wpatrzony w księżyc i granatową głębię nieba, na którym migotały gwiazdy, a potem przenosił wzrok na kwitnącą w dole ziemię. Pod nim białała wstęga muru, który otaczał posiadłości radży. Pałace, oglądane z tej wysokości, traciły swój wspaniały wygląd, a ich dachy upodabniały się do sterty fantastycznych owoców o dziwacznych kształtach. Dalej ciągnęły się lasy, wśród których zagubiła się uboga chatka Lality. Jeśli się wzniesie troszeczkę wyżej, z pewnością zobaczy drogę wśród lasów i staw, który oddzielało od chaty niewielkie poletko...

— Lalito! — zawołał pewnego razu Ariel na cały głos. Znajdował się na takiej wysokości, że z pewnością nikt z ziemi nie mógł go usłyszeć.

Zapomniawszy o danej radzy obietnicy i nawet o tym, że może być obserwowany, Ariel poszybował ponad lasem, kierując się ku temu miejscu, w którym zostało jego serce.

Chatę Nizmata odnalazł bez trudu. W oknach było ciemno. Lalita i staruszek spali wewnątrz, w izbie, a Szarad na werandzie. Ariel odczuł przemożne pragnienie przypaść do łoża uratowanego przez siebie dziecka, obudzić je... Nie, jeszcze nie teraz... Wywoła to popłoch w pałacu i tym razem może nie uda mu się umknąć prześladowaniom Peartha... Ariel westchnął głęboko, delikatnie ucałował śpiącego Szarada w głowę... Rozejrzał się dokoła, podleciał do drzewa mango, zerwał parę owoców i ułożył je obok pośłania Szarada. Potem pożegnał się w myślach z bliskimi i wyruszył w drogę powrotną.

„Wrócił jednak! Szkoda... — mruknął Mohita, czatujący na płaskim dachu niewielkiego pałacyku, w którym mieszkał ze swoją rodziną. — No, ale tak czy owak Ariel nie dotrzymuje danego słowa i lata gdzieś po nocach. A to mi wystarczy!”

Rozdział dwudziesty czwarty BURZA W PAŁACU

Mohita wybrał moment, kiedy Ariel znajdował się w komnacie rani Szjamy, a radża był szczególnie czymś zdenerwowany, i przystąpił do dzieła.

Krygując się i wzdychając z obłudą, zapewniał radzę, że nikogo nie oskarża i niczego nie sugeruje, chociaż obowiązek wiernego sługi nakazuje mu otworzyć oczy pana i władcy na pewne rzeczy, które dzieją się w pałacu, a które jemu, Mohicie, nie bardzo przypadły do gustu. Może nie ma w nich

nic złego, mimo to nie można przejść nad niektórymi sprawami do porządku dziennego.

Tu Mohita zaczął przedstawiać różne fakty, opatrując je pełnym zastrzeżeń komentarzem.

Najpierw opowiedział radży o Arielu — o prezentach, które darowuje sługom, o jego podejrzanych konszachtach z pariasami i nocnych wyprawach powietrznych. Potem, zachowując ostrożność w doborze słów, zaczął mówić o postępowaniu rani Szjamy.

Zobaczywszy go po raz pierwszy, rani uznała, że Ariel jest nadzwyczaj przystojny. Bo czyż nie powiedziała tego na głos? I czyż z miejsca — co za nadzwyczajna troskliwość! — nie zapytała go, czy nie jest głodny? Gdy Ariel przelatywał przez komnaty pałacowe i sypał z góry kwiaty, najpiękniejsze róże spadały na kolana Szjamy. Czy była to jedynie oznaka szacunku ze strony Ariela? I czy tylko szacunku? Jakie uczucia kierowały Szjamą, gdy chwyciła te kwiaty w powietrzu i podnosiła do twarzy — czy może nawet do ust? I może po to, aby je całować?! A jaki zachwyt malował się na jej twarzy, gdy obserwowała latającego młodzieńca! Jaki miała wyraz oczu! Radża nie zauważył tego wszystkiego, ale cóż, jest zaślepiiony w Arielu. Lecz oczy Mohity widzą wszystko.. I czyż rani Szjama nie wręczyła Arielowi kwiatu osobiście, w momencie gdy ten piękny młodzian wzlatywał ku kopule na dachu pałacu? Ariel zachował kwiat otrzymany od rani...

Ariel zbyt często przebywa w towarzystwie sług pałacowych. Nie wiadomo, czy nie przygotowuje jakiego spisku i czy rani Szjama nie sprzyja tym zamiarom. A kto wie, czy sama nie bierze w nim udziału, nastając na życie swego władcy?

Ostatnio rani i Ariel spotykają się nader często, i wcale się z tym nie kryją, jakby dla podkreślenia, że rani nie dba o swoją cześć i honor kobiety i o dobre imię swojego wysoko

postawionego małżonka. Ariel odwiedza zenan, który według prawa powinien być niedostępny dla obcych.

Radży krew uderzyła do głowy. Jego ciemne oblicze przybrało odcień fioleto.

— To kłamstwo! — zawołał chrypliwym głosem. — Stawką w tej grze jest twoja głowa, Mohito!

— Cóż znaczy moja głowa, gdy chodzi o honor pana mojej duszy! Udaj się na pokoje rani Szjamy, o panie, a przekonasz się osobiście, że nie kłamię! Może ci sprawi przyjemność, gdy usłyszysz, jak gruchają z Arielem, niby para zakochanych gołąbków, czy też szykują, niewdzięcznicy, spisek przeciw twojej osobie!

Radża wstał z miejsca, targany wzbierającym w nim gniewem. Nogi ugiwały się pod nim, twarz wykrzywił skurcz — wyglądała strasznie, jakby niewidzialne błyskawice oświetlały ją niebieskawym płomieniem. Miotany wściekłością i żądzą zemsty, skierował się do pokojów rani Szjamy. Mohita szedł za nim krok w krok.

Radża uchylił zasłonę.

Szjama i Ariel siedzieli na poduszkach przy wychodzącym na balkon oknie. Przed nimi na niskim stoliczku z laki stała złota taca z owocami. Ariel coś opowiadał, Szjama słuchała z zainteresowaniem, nie spuszczając oczu z jego twarzy.

Powietrzem wstrząsnął gardłowy okrzyk. Ariel i Szjama, przestraszeni, obrócili głowy ku wejściu i zobaczyli radżę.

Radżkumar skoczył na Ariela jak tygrys, przewrócił go na poduszki i chwycił za gardło. Szjama rzuciła się ku mężowi. Mohita zagwizdał — wszystko miał już przygotowane zawnazu. Do komnaty wpadli słudzy.

— Związać mi niewdzięcznika i jawnogrzesznicę! — rozkazał im radża. — Ariela do wieży, a tę niegodziwą wtrącić do lochu!

Radza chciał powiedzieć, że Ariela należy wrzucić do podziemi, a Szjamę umieścić w wieży, lecz w gniewie dopuścił się przejęzyczenia, Mohita zwrócił na ten błąd uwagę i chciał go naprawić.

— Czy dobrze ciebie zrozumiałem, mój władco? — spytał.

Radzy przyszło do głowy, że Mohita pragnie stanąć w obronie rani, i krzyknął:

— Wykonać, co powiedziałem!

Mohita ugryzł się w język i wycofał.

Szjama wyprostowała się. Była blada, oczy pały jej gniewem.

— Nikczemniku! — zawołała, patrząc na męża z pogardą. Następnie podbiegła do Mohity i wymierzyła mu policzek. — Nędznik!

Słudzy stali niezdecydowani, bojąc się dotknąć małżonki radzy; kilkoro z nich na dany przez Mohitę znak podeszło do Ariela.

— Dlaczego stoicie? Skórę zedrę! — krzyczał wściekły radza. Słudzy, poszturchując się wzajemnie, zaczęli zbliżać się do rani Szjamy.

Szjama błyskawicznym ruchem wydobyla z fałd odzienia sztylet. Błysnęła klinga.

— Zabiję się, zanim ktokolwiek mnie dotknie! — zawołała z groźbą w głosie i skierowała ostrze ku piersi.

Słudzy zastygli w miejscu.

Dalszego ciągu tej sceny Ariel już nie zobaczył. Otoczono go, związano i wyniesiono z pokoju.

Ariel nie stawiał oporu. Zdumiał go hart ducha, jaki ujawnił się w proteście Szjamy; ogarnęła go niemoc.

Wrzucono go do okrągłej wieży.

Drzwi zostały zamknięte.

Przez jakiś czas Ariel leżał nieruchomo na podłodze w pobliżu okna. Niedawne przeżycia wstrząsnęły nim. Bolał go kark, mąciło mu się w głowie.

Gdy powróciła jasność myśli, Ariel zaczął zastanawiać się nad tym, co się wydarzyło. Widocznie Mohita śledził go i doniósł radży o jego wyprawach poza granice posiadłości. Lecz w czym zawiniła rani Szjama?... O co jest podejrzana? Więc tak się to musiało skończyć! Jego gościna u radży dobiegła kresu. Był niezdecydowany, wahał się i spotkała go za to sroga kara. Należało już dawno wyfrunąć z tej klatki!

Biedna, dobra rani Szjama! Czyżby i ona padła ofiarą jakichś podłych intryg i knowań?... Nie pozwolono jej słowa powiedzieć na swoje usprawiedliwienie... Uciec?... Żelazne drzwi zamknięte na głucho, w oknie gruba krata...

Leżąc na podłodze Ariel widział fragment parku, kamienne ogrodzenie i przebiegającą tuż za nim drogę.

Jakaś dziewczyna zatrzymała się na drodze przy murze i uważnie obserwuje pałac.

Ariel drgnął — poznał Lalitę.

Wiść o tym, że Ariel przebywa w pałacu radży, doszła również do Lality, i dziewczyna często zakradała się w pobliże pałacu.

Poszcęściło się jej, gdyż widziała, jak Ariel latał ponad kopułą pałacu. Nie uszło także jej uwagi, że piękna kobieta wręczyła mu kwiat, gdy przelatywał obok okna. Na ten widok serce Lality ścisnął żal. Czy śmie marzyć o słońcu kurz na drodze, zdeptywany stopami przechodniów?! Ariel z pewnością znalazł w pałacu godną siebie wybrankę!

Lecz, z drugiej strony, owoce mango, które tak nieoczekiwanie pojawiły się obok posłania Szarada, były bez wątpienia darem Ariela. To znaczy, że przylatywał tu, do nich! To znaczy, że nie zapomniał!... I Lalita odczuła wielką chęć chociażby z daleka ujrzeć Ariela.

Dzisiaj w pałacu było jakoś niespokojnie. Dochodziły do niej podniesione głosy, ludzie biegali po dziedzińcu i parku. Lecz Ariela nigdzie nie było widać. Lalita już chciała odejść, gdy niespodziewanie usłyszała jego głos.

— Lalito! To ja. Ariel! Jeśli uda mi się wydostać stąd, przylecę do ciebie! Czekaj na mnie! — z tyłu dał się słyszeć zgrzyt zasuw, i Ariel pośpiesznie opuścił głowę na podłogę.

Lalita usłyszała ten głos i zadrżała.

Ariel został uwięziony. Co to wszystko ma znaczyć?...

Rozdział dwudziesty piąty

WŁADCY MAJĄ ZMIENNE USPOSOBIENIE ;

Słudzy wsadzili Ariela do worka, szczelnie zawiązali i gdzieś ponieśli. Pomocnik Mohity ochryłym głosem wydawał polecenia.

Worek był stary, przetarty. Ariel zobaczył światło i poczuł powiew świeżego powietrza. Zrozumiał, że wyniesiono go na dziedziniec. Potem światło przygasło, powietrze stało się stęchłe i chłodne... Niesiono go długimi korytarzami, potem były strome schody; znów jakieś przejścia, stopnie... Wreszcie poczuł dotyk chłodnych płyt. Zabłysło żółte światło kaganka. Worek rozwiązano, słudzy w milczeniu wsunęli do niego dwa ciężkie kamienie. W oczach jednego ze sług Ariel zauważył łzy, a na pozostałych twarzach — nieme współczucie. Lecz pomocnik Mohity nie odstąpił o krok i uważnie śledził każdy ruch swoich ludzi. Ariel zobaczył kamienne ocembrowanie studni: „Tutaj więc ma dokonać swego żywota latający człowiek” — pomyślał z goryczą.

Dwaj słudzy związali worek, podnieśli Ariela i, nie mogąc powstrzymać jęku, wrzucili go do głębokiej studni.

A tymczasem w pałacu, w pokoju Szjamy, Mohita, pełzając na kolanach za swoim władcą, bił się pięściami po twarzy i wykrzykiwał:

— Zmiłuj się nade mną, panie!

Radza ciskał się po pokoju, kopniakami odpędzał od siebie Mohitę i wołał:

— To ty, ty jeden jesteś winien wszystkiemu! Nikczemny, podły gadzie! Pozbawiłeś mnie najpiękniejszej ozdoby mojego pałacu, mojej największej pociechy — człowieka-ptaka! Zmieszałeś z błotem zarówno jego, jak też tę najczystsza pod słońcem kobietę! Jeśli Szjama umrze, a wygląda na to, że tak właśnie się stanie...

— Bogowie zachowają ją przy życiu, panie i władco! Doktor powiedział...

— Ach ty, obłudny niewolniku! Przeklęty niech będzie ten twój jęzor, skoro nie zawahałeś się oszkalować niewinnej kobiety! Niech wrzody pokryją to twoje żądło żmii!!

Zmusiłeś mnie do popełnienia przestępstwa, ty przeklęty psie! Ludzie nie kłamią w obliczu śmierci, a ona zdążyła mi powiedzieć...

— Ona nie umrze, nie umrze, dostojny panie!...

— ...że nie poczuwa się do żadnej winy i że to ty, podły złoczyńco, oczerniłeś ją w moich oczach! Ale już przejrzałem twoją grę! — Radza klasnął w dłonie.

— Litości, mój władco! Wysłuchaj mnie...

— Doczekałeś się, gadzino! Zabrać mi stąd to nędzne stworzenie! — krzyknął radza do sług, którzy wbiegli do pokoju. — Rzucić go do klatki z tygrysami! O, wiele uciechy mi sprawisz tym widowiskiem!

Słudzy pochwycili Mohitę, który wydał ze siebie przeraźliwy skowyt, jakby już znalazł się oko w oko z tygrysem. Lecz gdy tylko wyniesiono go do innego pomieszczenia, przestał wrzeszczeć i zwrócił się do sług przyciszonym głosem:

— Nie musicie rzucać mnie tygrysom na pożarcie zaraz dzisiaj. Poczekać z tym do jutra. Każdy z was otrzyma po tysiącu rupii. Do jutra gniew radży minie i władca srogo was ukarze, jeśli okażecie zbyt ni pośpiech z tym wrzuceniem mnie do klatki. Jeszcze mu będę potrzebny! I wam będę potrzebny... Słyszysz, co mówię, Bankimie? Słyszysz, Ganendro?... Tysiąc rupii dla każdego! Jestem pewny, że jutro radża zapyta was: „A gdzie się podział mój ukochany Mohita?” Nie ma Mohity! „Kto śmiało wrzucić Mohitę do klatki z tygrysami? Nakazuję odrąbać temu komuś głowę!” Ale jeśli oszczędzicie mnie, radża na pewno powie inaczej: „Jak to dobrze, że nie zabiliście mojego drogiego Mohity!” I szczerze was za to wynagrodzi... A na wszelki wypadek nakarmcie tygrysy do przesyty. Tak, żeby nie mogły przełknąć ani kęsa więcej! Żeby te zwierzaki nawet patrzeć na mnie nie mogły!

Wypadki te miały miejsce wieczorem, w przeddzień wizyty, jaką Boden, Pearth, Dotaller i Jane złożyli radży.

Rozdział dwudziesty szósty WALKA O ŻYCIE

Studnia była głęboka. Ariel leciał w dół przez kilka sekund. Po wielu wysiłkach udało mu się nieco zahamować szybkość spadania. Ale czy zdoła wznieść się w górę?... Kamienie ścigały na dno...

Worek z głośnym pluśnięciem uderzył o taflę wody. Przez ciało Ariela przebiegły dreszcze — woda była zimna. Pragnąc zapobiec zbędnej utracie sił, starał się trzymać głowę tuż nad powierzchnią. Tkanina, z której był uszyty worek, nasiąkła wodą i prawie nie przepuszczała powietrza, stęchłego i na tej głębokości prawie pozbawionego tlenu. Arielowi groziło nie tylko utonięcie, ale wcześniej uduszenie.

Gdy przebrzmiał łoskot towarzyszący upadkowi, w ciszy, która potem nastąpiła, rozległy się głosy:

— Koniec!... Szkoda!...

— A mówiłeś, Akszaju, że jeśli nawet Ariel nie jest bogiem, to w każdym razie jest blisko spokrewniony z bogami. Gdyby tak było, nie pozwoliłby się utopić jak szczenię...

— Dzisiaj on, jutro któryś z nas...

Na tym zakończyły się mowy pogrzebowe. Rozległ się odgłos oddalających się kroków, trzasnęły zamykane drzwi.

Ariel otworzył szeroko usta i spróbował wzlecieć w górę. Miał wrażenie, że ciało mu się rozrywa na kawałki. Na krótki moment stracił świadomość. Kamienie ściągały go w dół... Zanurzył się w zimnej wodzie i odzyskał przytomność.

Przez głowę przemknęła myśl: „Jeśli nie uda mi się wzbić w górę od razu — zginę!” Wstrzymał oddech, zacisnął zęby, złączył dłonie i począł się unosić ruchem powolniejszym niż poprzednio. Było to zmaganie się dwóch sił, z których jedna ciągnęła w górę, a druga w dół.

Bał się, że straci przytomność, że nie zdoła przeciwstawić się sile, która porywa w dół, tam, gdzie czyha śmierć...

W górę, w dół, znowu w górę, jeszcze wyżej i jeszcze trochę...

Po ciele Ariela ściekał pot, raz po raz przenikały go dreszcze.

W ustach poczuł słony smak krwi, a oczach — kłujący ból.

Wyżej! Wyżej!

Czuł, że traci siły... napięte do granic wytrzymałości mięśnie odmawiały posłuszeństwa... Czy ma zrezygnować, przerwać tę straszną mękę?... W głowie szumi, słychać jakieś dzwonienie, jakieś zgrzyty... Może to pękają naczynia krwionośne? A to co?... Błyska niebieskawa stal sztyletu, oślepia, powoduje ból w oczach... Spaść w dół, przestać istnieć...

A jeśli mimo wszystko zdoła się uratować?

Ariel usiłuje dotknąć palcami ocembrowania studni, lecz ręce natrafiają na próżnię. Wznosi się coraz wyżej i w pewnym momencie uderza o coś głową. Co to może być? Czyżby słudzy, zanim odeszli, przykryli otwór studni płytą kamienną? W takim razie nie ma dla niego ratunku...

W ostatnim przebłysku świadomości domyśla się, że uderzył głową o daszek nad studnią. Żeby tylko nie zlecieć z powrotem do wody!...

Ariel traci przytomność.

Minął dłuższy czas, zanim odzyskał świadomość, i wtedy przekonał się, że leży na czymś twardym i suchym. Przepęłniła go radość: to, że wyszedł żywy ze studni, zawdzięcza wyłącznie umiejętności latania!

Tak, ale przecież wciąż jeszcze znajduje się w worku obciążonym kamieniami i jest skrępowany sznurem...

Spróbował oswobodzić ręce, lecz okazało się, że sznur był zaciągnięty na martwy węzeł. Udało mu się jedynie przegryźć w worku niewielki otwór, zapewniając sobie lepszy dostęp powietrza. Ale co dalej?...

Zaczął czołgać się wzdłuż muru, skręcił za róg i dopełznął do jakichś drzwi, które wymacał poprzez tkaninę, i spróbował je otworzyć. Bezskutecznie. Posuwając się dalej w tym samym kierunku, skręcił za następny narożnik. Mur zdawał się nie mieć końca, wydłużał się w jakiś korytarz... Może jest to droga na wolność?... Ariel powoli posuwał się naprzód, odpoczywając co chwila i często popadając w omdlenie. Worek przetarł się, porobiły się w nim dziury. Krępujące ciało węzły zaczęły się obluźniać.

Poczuł powiew świeżego powietrza, które napłynęło do dusznych i ciepłych podziemi, i po krótkim czasie rzeczywiście wymacał jakiś otwór w murze. Spróbował wyjść przezeń, lecz przejście było tak wąskie, że mógł przecisnąć na zewnątrz tylko głowę.

Czołgając się, minął kilka takich samych wyłomów, które z całą pewnością pełniły rolę otworów wentylacyjnych. Wreszcie znalazł otwór na tyle szeroki, że mógł się przez niego przecisnąć. Sfatygowany worek rozdarł się w końcu, kamienie wypadły. Ariel lekko wzleciał w górę, dotarł do zakrętu murów i od razu znalazł się w strudze świeżego powietrza.

Ogarnięty radością, odetchnął szeroko pełną piersią.

Teraz trzeba ustalić kierunek... Zwrócił oczy w tę stronę, gdzie na niebie błyszczała zorza. Tam jest wschód. Z tyłu za nim — zachód, na prawo — południe i północ na lewo... W którą stronę powinien się skierować? Naturalnie, tam gdzie mieszkają Lalita, Nizmat i Szarad! Skręcił ku drodze.

Gdy przelatywał nad parkiem i studnią, z której niedawno wyciągnął chłopczyka, usłyszał pełen zdumienia okrzyk;

— A jednak on jest spokrewniony z bogami! — wołał któryś ze sług, kiwając głową. Był to Akszaj. — Leć sobie, leć, gołąbeczku! — powitał sługa Ariela. — Nikomu nie powiem, że ciebie widziałem! Ale ty też nie kłuj tu więcej oczu swoim widokiem! Jakoś twoi niebiańscy krewniacy nie kwapili się przyjść ci z pomocą w ciężkiej chwili!

Jednak Ariel nie tylko że nie słyszał tych słów, ale nawet nie poznał człowieka stojącego przy studni: jego uwaga i myśli były zajęte czymś innym. Mimo że leciał bez obciążenia, czuł, że traci siły. Przeżycia poprzedniego dnia, koszmarna noc i niehumaniczny wysiłek fizyczny mocno dały mu się we znaki.

Czuł, że nie doleci do chaty dobrego Nizmata... Opadł w dół, w przydrożne krzaki, i zapadł w ciężki sen.

Rozdział dwudziesty siódmy
ODNALEZIONY!

Wraz ze wschodem słońca na drodze zaczęli pojawiać się wieśniacy, wędrowni mnisi, dźwigające kosze osły...

Dochodziło południe, gdy na drodze ukazał się zakurzony samochód, w którym w towarzystwie trzech mężczyzn siedziała młoda dziewczyna. Na ten widok zalęknieni wieśniacy schodzili na pobocze i kłaniali się nisko.

— Proszę zatrzymać wóz, James — zwrócił się do kierowcy jeden z trzech sahibów, w momencie gdy samochód zbliżał się do leżącego w przydrożnym rowie człowieka. — Myślę, że miało tutaj miejsce przestępstwo. Niech państwo spojrzą, ma zakrwawioną głowę!

Siedząca w samochodzie dziewczyna zbladła.

— A cóż to nas może obchodzić, mister Dotaller! — sprzeciwił się niemłody sahib, podobny do puchacza. — Na drogach Indii ginie wiele ludzi, zabitych z ręki swoich bliźnich! Przecież to dzikusy! Proszę jechać dalej, James!

Maszyna zerwała się do przodu.

— Zatrzymać się, James! — gniewnie krzyknął Dotaller, — Proszę włączyć wsteczny bieg! Nie wolno nam postąpić w ten sposób, mister Boden. Proszę zwrócić uwagę, że to biały człowiek! A jeśli to Anglik? I może nawet jeszcze oddycha?.. Te bestie tubylcy myślą tylko o tym, jak by wyprawić w zaświaty któregoś z sahibów! Jak pan chce, ale ja wysiadam. Obejrzę go.

Samochód zatrzymał się.

— Jęczy! Jeszcze żyje! — zawołał Dotaller. — Są tu jakieś sznury, trzeba go natychmiast rozwiązać... — ciągnął i pochyliwszy się nad leżącym z wyrazem obrzydzenia na twarzy, obciął zwisające z jego dłoni i stóp kawałki sznura. — Ej, wy tam! Chodźcie no tu który! — zawołał, zwracając się do chłopów, którzy zatrzymali się w pewnej odległości.

Gest, którym Dotaller zilustrował swoje słowa, był zrozumiały dla ludzi nie znających języka angielskiego, niemniej żaden z wieśniaków nawet się nie poruszył.

— Osły! Tchórze! Gamonie! — wyzywał Dotaller. — James, niech pan będzie tak dobry i pomoże mi!

Wtem Pearth zawołał głosem pełnym przerażenia:

— Przecież to on!...

— To znaczy kto? — szybko spytała dziewczyna, a jej twarz pobladła jeszcze bardziej.

— On... Pani nieszczęsny brat, Ariel... Aureliusz Galton...

Jane wydała krótki okrzyk i oparła się plecami o siedzenie. Boden i Pearth pośpieszyli do leżącego. Wspólnym wysiłkiem przenieśli Ariela do samochodu. Jane, patrząc na brata, w milczeniu załamywała ręce.

Ariel był nieprzytomny.

— Jedźmy, James! — rozkazał Dotaller.

Rozległ się ostry dźwięk klaksonu. Tłum rozpierchł się i samochód ruszył z miejsca,

Gromadka wieśniaków pozostała w tyle, samochód nabierał szybkości. W tym momencie przechodząca drogą dziewczyna, ubrana w ubogie sari, wyciągnęła przed siebie ręce i krzyknęła:

— Ariel!

Nieruchomą twarz Ariela ożywił uśmiech, jednak powieki pozostały zamknięte.

„No, tego tylko brakowało! Jakaś żebraczka... woła go po imieniu!” — pomyślała Jane.

„Tę sprawę trzeba będzie wyjaśnić!” — rozważał w myślach Pearth, odprowadzając żebraczkę pełnym zdziwienia spojrzeniem.

Rozdział dwudziesty ósmy
ZNOWU NA WOLNOŚCI

Ariel został odwieziony do hotelu w miasteczku znajdującym się w odległości paru mil od rezydencji radży.

Położono go do łóżka i wezwano lekarza.

Bredził w gorączce. Jane ani na krok nie opuszczała brata.

Dawała mu pić i nacierała skronie aromatycznym octem.

Patrząc na jego twarz, na której malowało się cierpienie, dziewczyna myślała: „Żeby tylko nie umarł!”

Dotaller myślał: „Żeby umarł!”

Pearth myślał: „No, teraz już nie wypuszczę go z rąk!”

Boden... Lecz Boden z dala od swoich oczu swojego wspólnika przestał rozumować logicznie. „Żeby się tylko dało wyciągnąć z tego wszystkiego jakąś korzyść... Lecz w jaki sposób?...”

Lekarz zbadał Ariela i odezwał się po angielsku:

— Gorączka... Bardzo możliwe, że na tle nerwowym... Musiał przeżyć jakiś wielki wstrząs...

— To oczywiście — odezwał się z kąta pokoju Pearth.

— Czy to jest bardzo niebezpieczne? — zapytała Jane.

— O nie, proszę pani, jeśli to jest wstrząs na tle nerwowym, niebezpieczeństwo jest minimalne, natomiast jeśli...

Lekarza bardzo zastanowił krwotok z nosa, uszu i gardła, który, sądząc z objawów, musiał niedawno wystąpić u chorego. Nie mógł zrozumieć, jaka mogła być tego przyczyna, i dlatego postarał się ukryć zakłopotanie, w jakie wprawilo go to odkrycie. Przepisał lekarstwa i oddalił się pośpiesznie.

Pearth nie odchodził od łóżka Ariela. Cały czas przysłuchiwał się jego majaczeniom:

— Sztylet... Szjama... Targnęła się na własne życie... Jakie to podłe!... Lalita... Ale najważniejsze, że umiem latać... Ucieknę i zabiorę cię ze sobą...

„Czy przypadkiem nie mówi o tej dziewczynie, którą spotkaliśmy na drodze?” — myślała Jane.

Pearth zwrócił się do niej:

— Sama pani widzi, Jane, że pani brat cierpi na chorobę umysłową. Oplatała go myśl, że potrafi latać jak ptak.

Na dźwięk głosu Peartha Ariel drgnął, twarz wykrzywił mu skurcz. Otworzył oczy i krzyknął przerażony:

— Pearth! Bharawa! Znowu Dandarat?! — po czym ponownie utracił świadomość.

— O czym on mówił?... Coś go musiało zdenerwować — pytała Jane, którą przestraszył krzyk brata i wyraz jego twarzy. — Co to jest Dandarat?

— Ludzie w gorączce plotą trzy po trzy, powtarzają wszystko, co im tylko przyjdzie do głowy — odparł Pearth, ale na wszelki wypadek odszedł od łóżka Ariela i usiadł tak, żeby chory nie mógł go zobaczyć.

Diagnoza lekarza była trafna: Ariel doznał jedynie silnego szoku nerwowego. I jak to się zdarza w podobnych wypadkach, o przesileniu w chorobie zdecydował traf; głos i widok Peartha, a także myśl o tym, że znowu znalazł się w Dandaracie, obudziły w Arielu instynkt samozachowawczy. Gorączka spadła, chory przestał majaczyć i szybko odzyskiwał siły. Nauczywszy się w czasie pobytu w Dandaracie ukrywać swoje myśli i uczucia, postanowił nie ujawniać, że znowu jest przytomny. Zaczął symulować stany gorączkowe, a jednocześnie ukradkiem obserwował otoczenie. Zauważył siedzącą obok dziewczynę o miłej powierzchowności i pomyślał, że musi to być pielęgniarka. Zlustrował niepostrzeżenie pokój i westchnął z ulgą, przekonawszy się, że nie jest w Dandaracie. Znaczyło to, że może spróbować uciec od Peartha, któremu mimo wszystko udało się go wyśledzić.

Z sąsiedniego pokoju dochodziły podniecone głosy: Dotaller i Boden wdali się w sprzeczkę o Ariela. Pearth nie wytrzymał i przyłączył się do nich. W pokoju pozostała jedynie

dziewczyna. Ach, żeby też zechciała wyjść!... Okno jest otwarte, Pearth uważając, że Ariel jest ciężko chory, nie zatroszczył się o to, by je zamknąć. Jest bardzo słaby, to prawda, jednak filiżanka mocnego bulionu dodała mu sił. I co właściwie ryzykuje? Czyż nie znajduje się w rękach Peartha?

Ariel nagle uniósł się nad łóżkiem, w tej samej leżącej pozycji i w dalszym ciągu okryty prześcieradłem. Dziewczyna, przerażona, krzyknęła. Opisawszy w powietrzu półkole, Ariel skierował się do okna i wyleciał na zewnątrz...

Pearth rzucił się do okna i zobaczył chłopca na tle błękitnego nieba, szybującego wysoko ponad wierzchołkami palm.

— Ten łobuz znów wystrychnął mnie na dudka! — krzyknął z wściekłością w głosie.

— Więc to prawda? Mój Boże!... Ale to takie niepojęte... Aureliusz umie latać? Mój brat Aureliusz Galton jest latającym człowiekiem?!

— A żeby pani wiedziała! — krzyknął Pearth w twarz dziewczynie. — Umie latać i odlatuje, kiedy chce! A niech to wszyscy diabli! To ja uczyniłem z niego latającego człowieka, na swoje i pani nieszczęście, jeśli chce pani wiedzieć!...

Rozdział dwudziesty dziewiąty

WALKA POWIETRZNA

Szybkość, z jaką leciał Ariel, pozbawiała go tchu. Pochwyciwszy brzeg prześcieradła, owinał się nim szczelnie, uważając, żeby tkanina nie wydymała się i nie utrudniała lotu. Tylko przy łokciu powiewał mu biały rożek prześcieradła, który wyglądał jak skrzydło, i mieszkańcy małej miejsciny ze zdziwieniem obserwowali przelot nie znanego im białego ptaka.

W dole Ariel widział płaskie dachy, wąskie kręte ulice, ogrody i wznoszącą się poza miastem górę, którą porastał las. Za górą

rozciągała się piaszczysta dolina, a jeszcze dalej ciemną zielenią zarysowywały się lasy.

Wyzwoliwszy się ze strasznej niewoli, Ariel nawet nie pomyślał, gdzie się skierować. Pragnął jedynie uciec jak najdalej.

Silny podmuch gorącego wiatru z lewej strony zaczął znosić Ariela w bok, przeszkadzając w locie. Nagle człowiek-ptak ujrzał nadciągające spoza powleczonego niebieskawą mgłą horyzontu szare, podobne do kłębow dymu cielska chmur. Zanosiło się na burzę. Zmienił kierunek lotu i maksymalnie zwiększył szybkość.

Leciał już prawie godzinę. Odczuwał wielkie zmęczenie. Słońce paliło niemiłosiernie. Chciało się pić i jeść.

Trzeba zejść w dół i odpocząć.

Spojrzał na ziemię, wypatrując miejsca, gdzie mógłby wylądować. Błyszczały tory kolejowe, wśród wysokich zabudowań z czerwonej cegły wznosiły się kominy fabryczne, wokół budynków przycupnęły ubogie lepianki osady robotniczej...

Dalej, jak najdalej od ludzi! W dole ciągnęły się pola, na widnokręgu ciemniały plamy lasów i srebrzyste zakole rzeki. Skierował się w tamtą stronę.

Uprawne zagony powoli zostawały w tyle. Ariel widział już przed sobą zarośla trzciny. Ale co będzie, jeśli zauważą go ludzie?... Trzeba opuścić się tutaj, wypatrzeć jakieś ustronne miejsce...

Raptem nad jego głową rozległ się szum i głuchy łopot skrzydeł. Ariel ujrzał wielkiego orła, który szybował tuż nad nim. Pęd powietrza muskał chłopcu twarz, ogłuszał go trzepot skrzydeł... Błyszczące ślepią były utkwione w jego twarzy. Ptak rozwarł ostry dziób i wystawił do przodu drapieżne szpony. Ariel rzucił się w bok, orzeł pognał za nim.

Rozgorzała walka powietrzna. Orzeł atakował, spadając błyskawicznie na człowieka, człowiek równie błyskawicznie uchylał się przed ciosami i, opisując niewielkie półkola, usiłował z góry pochwycić ptaka za skrzydła lub szyję. Orzeł zręcznie wywijał mu się z rąk, a nawet drasnął go w nogę. Rozsierdzony Ariel znalazł sposób, by drugą nogą zadać mu cios po grzbiecie. Orzeł przeokołkował w powietrzu.

Należało teraz błyskawicznie poznać styl walki i taktykę nieprzyjaciela.

Człowiek wkrótce przekonał się, że przewaga orła polega na umiejętności atakowania z góry ze złożonymi skrzydłami i szybkim locie w linii prostej. Natomiast ptak wyraźnie tracił szybkość przy zwrotach, a ogromne skrzydła opóźniały skuteczność jego ruchów; najwięcej jednak czasu potrzebował orzeł na przestawienie się z lotu poziomego do szybowania w pionie. Chodziło tu oczywiście o sekundy — cóż kiedy o wyniku walki mogły zdecydować dosłownie ułamki sekund! Ariel zrozumiał, że najbezpieczniej będzie wykorzystać przewagę wysokości. Rozpoczęła się walka o to, by znaleźć się nad przeciwnikiem.

Ogromny ptak i człowiek, koziółkując, wznosili się coraz wyżej. Obaj przeciwnicy byli już porządnie zmęczeni. Wycieńczony chorobą Ariel czuł, że chwilami traci siły. Niezliczoną ilość razy dosłownie cudem prześlizgiwał się pod czyhającymi nań szponami; orzeł raz po raz boleśnie smagał go po twarzy szorstkim upierzeniem. W końcu ptak uderzył Ariela skrzydłem w głowę. Ten na moment stracił przytomność, lecz już po chwili znalazł się nad orłem i chwycił go za szyję. Orzeł poderwał się do góry i nawet przeokołkował w powietrzu, usiłując się uwolnić, lecz dał za wygraną. Wystraszony ptak skierował się ku widniejącym w linii prostej, za lasem, góróm.

Ariel próbował pokierować lotem, zasłaniając dłonią jedno oko ptaka lub obracając mu głowę w pożądanym kierunku, ale orzeł nie rozumiał, czego się od niego wymaga, i tylko miotał się bezradnie we wszystkie strony. Ariel zrezygnował. Lecieli tak ku górom, gdy Ariel ujrzał w dole rzekę. Wreszcie mógł zaspokoić dręczące go pragnienie i to było w tej chwili najważniejsze.

Wylądowali na leśnej polanie w pobliżu rzeki. Ariel natychmiast wzbił się w górę i ukrył w zaroślach trzciny. Orzeł, który ciężko spadł w trawę, leżał jakiś czas nieruchomo z rozłożonymi skrzydłami. Otwierał i zamykał dziób i patrzył przed siebie ogłupiałym wzrokiem. Wreszcie pokonany król przestworzy ocknął się, złożył skrzydła, rozprostował je i wzniósł się w powietrze, odprowadzany spojrzeniem Ariela.

Rozdział trzydziesty OBCY NIEBU I ZIEMI

Gdy ucichł łopot skrzydeł, Ariel usłyszał dźwięki fujarki i spojrzawszy w dół, zobaczył sielski obrazek.

Na mulistym brzegu rzeki pasło się stado bawołów. Wielki samiec o niebieskawym odcieniu skóry i z zagiętymi rogami zanurzył się w mule po szyję; inne bawoły poszły jego śladem i wkrótce sponad grzędawiska wystawały jedynie płaskie łby tych zwierząt.

Na skarpie bawili się pólnadzy pastuszkowie, całkowicie pochłonięci swoimi dziecięcymi sprawami. Jedni z nich lepili z rzecznej gliny domki, twierdze, pałace i figurki bawołów i wtykali w ręce glinianych ludzików patyczki z sitowia. Niektórzy wyplatali z trawy koszyczki i wsadzali do nich świerszcze. Inni znów nawlekali na nitkę koraliki z czarnych i czerwonych orzeszków, łapali żaby, grali na własnoręcznie

wykonanych fujarkach i śpiewali piosenki o skocznych lub zawodzących melodiach.

Ariel, niepomny na głód i pragnienie, przez pewien czas z zaciekawieniem i zazdrością obserwował pastuszków. Na swój sposób byli szczęśliwi, spędzając dzieciństwo na łonie przyrody. Nikt ich nie prześladował, nie zadaje cierpień i nie usiłuje zastraszyć, jak dzieci w Dandaracie... A on? Nie miał wcale dzieciństwa, jeśli nie liczyć odległych, prawie zupełnie zatartych przez czas wspomnień o spowitym mgłami mieście, pokoju z dywanem, zabawkach i małej dziewczynce o jasnych włoskach... Wspomnień, na które nakłada się złowieszczy cień ubranego na czarno mężczyzny, który — we śnie czy też na jawie — podeptał jego zabawki, z okrucieństwem sadysty podeptał jego dziecinne lata...

Ariel przypomniał sobie swoją chorobę i prześladowające go majaki. Przecież to wydarzyło się zaledwie wczoraj, a może nawet dzisiaj. Wśród osób otaczających jego łóżko był pewien starszy jegomość, którego twarz dziwnie przypominała oblicze owego ubranego na czarno mężczyzny, chociaż ten miał na sobie biały garnitur. A może były to majaczenia? Stał obok Peartha — złowrogi starzec z nosem jak dziób i oczami sowy. Ale skąd się wziął w jego pokoju?... Był tam również inny mężczyzna, wysoki i gładko wygolony, który nie spuszczał z Ariela złych oczu... Czego ci ludzie chcą i co ich łączy?... Jedynie dziewczyna spoglądała na niego ze współczuciem. Musi być dobra, jak Lalita, Nizmat czy Szjama. Mało, bardzo mało jest na świecie dobrych ludzi!

Daleki odgłos grzmotu zwrócił jego myśli ku rzeczywistości. Było parno i niezwykle duszno. Znowu poczuł głód i pragnienie. A pastuszkowie, jakby na złość przerwali swoje zabawy, powyjmowali z toreb i koszyków ryżowe placuszki, orzechy kokosowe i winogrona, usiedli w kółko i zabrali się do jedzenia.

Poprosić o coś do zjedzenia?... Ale jeśli dzieciaki widziały, jak leciał na orle, z całą pewnością uciekną przerażone. Uciekną, ale może zostawią placuszki? Ariel wstał, owinał się prześcieradłem i podszedł do dzieci.

Na widok nieznanego białego człowieka dzieci stały się czujne: Ariel odezwał się do nich:

— Witajcie, braciszku! Jestem biednym akrobatą. Chcecie, pokażę wam zabawną sztuczkę?

Stanął na rękach, a potem przeniósł ciężar ciała na palce rąk i wreszcie na wskazujący palec lewej dłoni. Wytrzymał w tej pozycji dobrą minutę, po czym znowu stanął na nogach.

Dzieciarnia była zachwycona. Tak wspaniałej sztuczki nie pokazywał żaden jarmarczny akrobatą! A kiedy Ariel podskoczył i wywinął w powietrzu cały szereg koziółków, by po chwili znowu stanąć na ziemi, ich podziw sięgnął szczytu. Przekrzykując się, jeden przez drugiego wsuwali mu do rąk placuszki, suszone winogrona i orzechy kokosowe. Ariel napił się wody i nieźle sobie podjadł.

Grzmot odezwał się całkiem blisko. Ariel bardzo chciał pozostać wśród dzieci, lecz strach przed Pearthem gnał go naprzód.

Pożegnał się i zniknął w leśnym zagajniku. Gdy oddalił się na tyle, że brzeg rzeki, dzieci i bawoły stały się zupełnie niewidoczne zza drzew, wzleciał ponad lasem i uważnie rozejrzał się wokół.

Chmury zaciągnęły już połowę nieba, kładąc mroczny cień na pola, którymi Ariel szedł przed chwilą. Wiatr nadlatywał porywami. „Bardzo dobrze! Ten wiatr, goniący przed sobą chmury, pomoże mi uciec od prześladowców na znaczną odległość!” Ariel wzniósł się jeszcze wyżej, sięgając niemal granatowych chmur.

Wtem pochwycił go huraganowy podmuch wiatru, rzucił w dół, a następnie w spiralnych skrętach porwał w górę, w

największe kłębowisko chmur. Ariel usiłował stawiać wiatrowi opór, lecz okazało się, że nie jest to w jego mocy. Pragnąc oszczędzić sił, postanowił zdać się na łaskę cyklonu. W końcu niczym mu to nie grozi, nie może przecież spaść na ziemię i zabić się! Gdy huragan uspokoi się i nie będzie go niósł, polecą dalej sam.

Ariel wprowadził ciało w stan nieważkości i poczuł, że wiatr ucichł zupełnie. Było mu lekko oddychać, nie czuł też najmniejszego ruchu powietrza. „To dlatego, że szybkość, z jaką lecę, równa się szybkości cyklonu” — domyślił się Ariel. Ale gdy spojrzał w dół, przebiegł go dreszcz. Chociaż szybował na znacznej wysokości, prędkość, z jaką pomykały znajdujące się pod nim pola, góry, lasy, rzeki i wioski — była zastraszająca... Gdy natomiast podniósł wzrok do góry — wydawało mu się, że spadają nań z nieba granatowe góry i brunatne skały, przeplatane licznymi błyskawicami... I raptem to wszystko naprawdę runęło na niego, otoczyło, zawirowało... Niebo i ziemia zdawały się zamieniać miejscami. Wokół wisiała siwawa mgła, którą przecinały oślepiające błyski. Zewsząd dobiegał grzmot, nagle zrywające się nawałnice bluzgały ulewą raz z góry, raz z dołu czy z boku... Przeciwnie wiatry podchwytywały Ariela i obracały nim w kółko jak zerwanym z drzewa liściem. Woda zalewała mu uszy, usta i nos, w głowie miał zamęt.

Wreszcie natrafił na prąd powietrzny ustępujący i wtedy ulewa i wichura uciszyły się jak na zawołanie. Ariel spadał na ziemię w strumieniu powietrza i deszczu. Wystarczyło jednak, że odrobinę przyhamował swój lot, a znowu runęły na niego fale powietrza i strugi wody, spychając go w dół.

Nieoczekiwanie ujrzał ziemię. Była całkiem blisko — nie, nie ziemia, lecz bezkresne ciemne morze, rozświetlone rozbłyskami piorunów. Czyżby huragan zniósł go nad ocean?... I jak długo potrafi utrzymać się na powierzchni

wody?... Nie, to nie jest ocean. W świetle błyskawicy Ariel ujrzał wierzchołki drzew i dachy domów. Powódź!...

Złote promienie zachodzącego słońca wyłowiły z mroku jakąś wysepkę. Tam!... Musi tam dotrzeć za wszelką cenę! Pokonując opór wiatru, Ariel leci w kierunku wysepki. Już widzi chaty ubogiej wioski... Chmury znowu przysłaniają słońce, lecz huragan pomknął dalej, wiatr ucichł i tylko deszcz pada w dalszym ciągu, chociaż ulewa straciła na sile.

Ariel opuszcza się na ziemię w pobliżu altanki ogrodowej, którą spowijają liany. Obok siebie słyszy ciężki oddech.

Był to bawół. Miał błyszczącą od deszczu niebieskawą sierść i rozdęte boki. Leżał tutaj, przygnany z daleka przez powódź i zmęczony walką z żywiołem.

Odpucawszy trochę, Ariel wstaje i idzie przez kałuże pełne żab, tonąc w błocie rozmytej drogi, w poszukiwaniu ludzkich siedlisk. Bambusy poskrzypują w ostatnich porywach wiatru... Jakaś chata. Ulewa zniszczyła gliniany płot i słupy przy bramie. Skrzydła wrót bezsilnie zwisają na zawiasach.

Podwórze porośla trawa. Dach o darniowym pokryciu zapadł się. Ariel wstępuje na werandę i wchodzi do środka płosząc szarą jaszczurkę. Po podłodze uganiają maleńkie skorpiony. Ściany domu pokryła pleśń. Wąskie schody prowadzą na dach.

W kącie przycupnął zupełnie nagi starzec, w swojej nieruchomości przypominający rzeźbioną figurę. Siedział utkwivszy oczy w ziemi w takiej pozie, jakby nad czymś intensywnie rozmyślał, prawdziwy szkielet obciążony skórą, z długą białą brodą!

— Sanjasi! — zwrócił się do niego Ariel.

Minęło trochę czasu, zanim starzec ocknął się z zamyślenia. Podniósł głowę i utkwivł w Arielu niewidzące jasne oczy, przypominające kolorem ślepie bawołu. Odezwał się śpiewnym głosem:

— O, radości znalezienia nieskończonego w skończonym!..

— Po czym znowu spuścił wzrok.

Tutaj Ariel na pewno nie znajdzie pomocy i dachu nad głową.
Wyszedł z chaty,

Tymczasem ściemniło się zupełnie. Ariel przeszedł przez całą wieś i przekonał się, że jest na wpół zrujnowana i opuszczona. Tylko w jednej jedynej chacie paliło się przyćmione światełko kaganka. W tle przesuwwały się cztery białe zjawy. Były to kobiety — obmywaczki zwłok, które przyszły do chaty zmarłego.

Ariela ogarnęło uczucie całkowitej samotności i zagubienia. Nie wytrzymał i zapłakał — chyba po raz pierwszy od czasów dzieciństwa, kiedy to ubrany na czarno mężczyzna rozrzucił nogą jego zabawki.

Niepomny na to, że nadchodzi noc, wzbił się w górę i poszybował ponad zalaną wodą martwą równiną, usiłując nie patrzeć w dół.

Ostatnie chmury pośpiesznie znikwały za widnokrzem.

Przed oczami Ariela w bezkresnych głębiach granatowego nocnego nieba zapaliła się jasna gwiazda. Poleciał do niej, jakby to było jego światło przewodnie.

A więc ku gwiazdom! Jak najdalej od ziemi i ludzi!...

Rozdział trzydziesty pierwszy

W DŻUNGLI

Ariel obudził się i zobaczył, że wisi w powietrzu, pod samym sufitem na wpół rozwalonej świątyni. W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, w jaki sposób znalazł się tutaj, ale potem przypomniał sobie martwą, zalaną wodą pustynię, w której odbijały się gwiazdy i ponad którą leciał bardzo długo — prawie całą noc, aż do momentu, kiedy na horyzoncie poza lśniąca ciemnogramatową taflą wody ukazała się czarna linia

lasów. Wtedy powiedział sobie: „Szybciej! Będę mógł wreszcie odpocząć!” — i zwiększył szybkość lotu.

Gdy wreszcie osiągnął skraj lasu, był tak zmęczony, że nawet nie szukał jakiegoś suchego miejsca, tylko podleciał do wielkiego drzewa o bujnych gałęziach i urządził się na nim jak w gnieździe. Przyłożył głowę do pnia i momentalnie zasnął.

Gdy obudziły go pierwsze promienie słońca, przekonał się ku swojemu wielkiemu zdziwieniu, że wisi w powietrzu obok drzewa. We śnie podświadomie musiał wykonać jakiś ruch i odsunął się od swojej podpory. A że wprowadził ciało w stan nieważkości, nim zasnął — nie spadł na ziemię, tylko spokojnie zawisł pomiędzy niebem a ziemią. Było to doniosłe odkrycie. Przekonał się, że może spać w powietrzu! Ta umiejętność okazała się bardzo przydatna.

Wszystko wokół przysłaniała poranna mgła, przez którą prześwitywały pąsowopomarańczowe promienie wschodzącego słońca. Rozśpiewały się ptaki, a w gałęziach obok rozwrzeszczały się małpy. W dole, przy grubych krętych korzeniach drzewa, grzała się w słońcu ogromna kobra. Ariel pomyślał, że miałby się z pyszna, gdyby spadł w czasie snu na ziemię!

Kobra napiła się wody z kałuży, a potem uniosła łeb na jedną trzecią długości swojego ciała i zakołysała głową. Rozejrzała się i zobaczyła w trawie ptaszka o barwnym upierzeniu. Ariel zauważył to i chciał zapobiec nieszczęściu, leci nim zdążył ptaszka wypłoszyć — kobra błyskawicznym ruchem rzuciła się na upatrzoną ofiarę i połknęła ją.

„W ten sam sposób poluje na mnie Pearth! — przemknęło mu przez myśl. — Z tym że kobra jest głodna. A czym się kieruje Pearth?”

Ariel również był głodny, nastał więc czas, by pomyśleć o zdobyciu pożywienia.

Znowu wzbił się ponad wierzchołki drzew i zobaczył, że jest na skraju dziewiczej dżungli. Jak okiem sięgnąć, we wszystkie strony rozchodziły się fale zielonego morza, na które składały się skupiska ogromnych drzew. Ariel poszybował nad tym morzem zieleni i wkrótce zobaczył w dole wolną, pozbawioną drzew przestrzeń, a na niej ruiny świątyni z prymitywnie ociosanymi kolumnami, które oplatały zwoje lian. Niżej rosły gęste krzaki.

Dobrze byłoby zamieszkać tutaj! Przez dziurę w zapadniętym dachu Ariel opuścił się do środka.

Ogarnęło go wilgotne i stęchłe powietrze. Dach zachował się częściowo i mógł dać schronienie w czasie niepogody czy ulewy tropikalnej. W rogu najmniej zniszczonej części świątyni stał posąg zasiadającego w krześle tronowym Indry, wysokości trzech ludzi. Bóstwo złożyło dłonie na kolanach. Jedna jego noga dotykała ziemi, stopa drugiej była wywinięta na zewnątrz. Oczy były przymknięte, głowę zdobiła mitra, a pierś — naszyjnik. Po obu stronach posągu stały figury pomniejszych bóstw, każda wysokości człowieka. Na kolanach Indry można urządzić legowisko z chrustu, liści i mchu.

Komnata, w której stał posąg, była wąska i długa. Kolumnada, biegnąca po prawej stronie, oddzielała ją od sąsiedniego pomieszczenia o niskim łukowym sklepieniu, natomiast ściana z lewej strony właściwie nie istniała, strop podtrzymywały jedynie cztery filary. Było to dogodne przejście dla dzikich zwierząt. Ale czyż wokół nie czyhają na niego dzikie zwierzęta?

Ariel opuścił świątynię i zaczął polatywać od drzewa do drzewa, jak pszczoła w poszukiwaniu miododajnych kwiatów. Ucieszył się, gdyż okazało się, że dżungla obfituje w jadalne owoce. Obok tryskało źródło. Nie bez racji wzniesiono świątynię w tym właśnie miejscu! Trawa nad brzegami potoku

była przygnieciona, widać było liczne tropy — zwierzęta przychodziły tu do wodopoju,

Ariel zaczął urządzać swoje nowe mieszkanie. Zanim zapadł wieczór, zdążył nawet uzbierać owoce na zapas, na wypadek niepogody, po czym na kolanach Indry przygotował posłanie z gałązek i mchu. Ale wkrótce przekonał się, że nie jest jedynym mieszkańcem świątyni. Prócz chmary skorpionów, jaszczurek i nietoperzy, które zauważył jeszcze za dnia, lokatorami ruin były również żmije. Te gady złaziły się tutaj ze wszystkich stron, po całodziennym polowaniu. Żmije zwijały się w kłębuszki, żeby przez noc zachować ciepłotę ciała. W krótkim czasie podłoga świątyni była dosłownie usiana tymi kłębuszkami. Żmije syczały, układając się do snu. Rude nietoperze, żerujące na drzewach owocowych, latały chmarą po pomieszczeniu i trącały skrzydłami nowego sublokatora. Gdy zlatywały nisko nad podłogę, zaniepokojone żmije syczały na nie. Tak bliskie sąsiedztwo niezliczonej ilości jadowitych gadów nie jest zbyt bezpieczne, nawet gdy się spędza noc na kolanach Indry. Ariel przypomniał sobie swoje poranne odkrycie i postanowił, że będzie spał pod sufitem świątyni, nad głową bóstwa.

Z początku budziły go odgłosy zwierząt i ptaków prowadzących nocny tryb życia, lecz z biegiem czasu przyzwyczał się i do nich.

W ten sposób Ariel rozpoczął nowe życie w dżungli.

Przez kilka pierwszych dni cieszył się na myśl, że zdołał odlecieć tak daleko od swoich prześladowców, wybierając towarzystwo dzikich zwierząt i żmij. Ale wieczorami, gdy zasypiał, zaczynała go dręczyć samotność, i wtedy wspominał swoich nielicznych przyjaciół — Lalitę, Nizmata i Szarada. Było za wcześnie na powrót do nich, należało odczekać jakiś czas, aż Pearth zaniecha poszukiwań przekonany, że tym razem Ariel wymknął mu się na dobre.

Teraz, gdy nie musiał bać się spotkania z ludźmi, mógł do woli cieszyć się swoją umiejętnością latania. Dotychczas albo uciekał przed prześladowaniami, albo zabawiał swoją sztuką innych. Natomiast tutaj, w dżungli, mógł sobie latać do woli, dla samej przyjemności latania.

Zwykle o wschodzie słońca Ariel szybko wlatywał w błękit przestworzy, zmieniając wilgotne i ciężkie powietrze dżungli na lekkie i orzeźwiające, i wraz z rannymi ptakami śpiewał swoją pieśń poranka. Co jakiś czas wybierał się też w dłuższą podróż powietrzną. Cieszył wzrok grą światła na tle obłoków i czarowną urodą nocy księżycowych. Przepęłniało go słodkie uczucie wolności, przestrzeni i lekkości. Mógł szybować w ten sposób godzinami, aż własne ciało przypominało mu, że jest bądź co bądź więźniem ziemi, który odczuwa zmęczenie, pragnienie czy potrzebę snu. Wtedy wracał do swojej kryjówki.

Pewnej gwiazdzistej nocy Ariel spróbował spać pod gołym niebem, wysoko ponad lasem, ale obudziwszy się stwierdził, że wiatr, który zerwał się w nocy, poniósł go daleko od miejsca, w którym zasnął, tak że miał trudności ze znalezieniem drogi powrotnej. Od tego czasu bał się zasypiać w powietrzu, pod gołym niebem.

Dni mijały i Ariel zadomowił się w dżungli na dobre. Zgłębił przyzwyczajenia i sposób życia ptaków i zwierząt, z niektórymi z nich był na wojennej stopie, z innymi zaprzyjaźnił się. Któregoś dnia nad strumykiem wypatrzył go tygrys i skoczył w jego kierunku, tak że Ariel ledwo zdążył umknąć w powietrze. Tygrys powtórzył skok, pragnąc dosięgnąć wiszącego w powietrzu człowieka. Ariel uniósł się wyżej, a rozdrażniony tygrys zaczął wykonywać szaleńcze podskoki, wciąż usiłując pochwycić upatrzoną ofiarę. Ariel nie mógł się powstrzymać, żeby nie podreńczyć się ze zwierzęciem, aż rozżłoszczony niepowodzeniem tygrys skrył

się w dżungli. Latający człowiek jeszcze przez dłuższy czas prześladował go swoimi okrzykami. Małpy i papugi z wielką ochotą wzięły udział w ściągnięciu hańby na głowę króla dżungli.

Znalazł tutaj także przyjaciół. Małpy, które z początku uciekały przed nim i rzucały w niego wszystkim, co tylko miały pod ręką, wkrótce zaprzyjaźniły się z Arielem i przychodziły do niego w odwiedziny, a młodzieniec również przylatywał do ich gniazd, przynosząc w darze szczególnie piękne owoce. Para papug, która bardzo często towarzyszyła mu w podróżach ponad lasem, wykrzykiwała na powitanie gardłowymi głosami: „Arriel! Arriel!”

Ariel nauczył papugi wymawiać imiona Lality, Nizmata i Szarada i wydawało mu się niekiedy, że rozmawia z przyjaciółmi.

Był świadkiem groźnych potyczek słoni i bawołów z tygrysami, obserwował też ogromne stada dzikich słoni. Oglądane z pewnej wysokości wyglądały jak gromada szczurów, a ich trąby przypominały zarzucone na głowę ogony! Podlatywał bliżej i słyszał głucho stąpanie potężnych nóg, trzask łamanych drzew, uderzenia kłów, suchy szelest pofałdowanej skóry i ocierających się o siebie trąb, a także trąbienie i ryki. Widział setki wachlujących uszu, uniesionych do góry trąb i bez przerwy poruszających się ogonów. Przyglądał się ogromnym starym słoniom z białymi kłami tkwiącymi w fałdach i załamaniach skóry liśćmi i gałązkami, a także słoniom z jednym tylko kłem i z bliznami na szyi — świadectwem minionych potyczek. Widział czarne słońta — wiercipięty, stale kręcące się pod brzuchami matek-słonic, i młode słonie, którym dopiero wyrzynały się kły.

Wkrótce Ariel stał się prawdziwym leśnym człowiekiem. Odrosły mu włosy, chodził i latał nago, mając jedynie opaskę

z liści na biodrach. Koszulę i prześcieradło z wielką pieczołowitością przechowywał pod kamieniami.

Całymi dniami, otoczony gromadą ptaków i małp, śmigał z drzewa na drzewo w poszukiwaniu pokarmu, przy lada niebezpieczeństwie unosząc się wysoko w powietrze. I mógłby dokonać żywota w tej dżungli, lecz na szczęście nie doszło do tego. Do uratowania go przyczyniły się... wytresowane przez niego papugi, które od rana do wieczora wykrzykiwały: „Lalita! Nizmat! Szarad!” Te okrzyki budziły w sercu chłopaka uczucie radości, ale także i ciężkie wyrzuty sumienia, gdyż zmuszały go do zastanowienia się nad swoim dalszym losem.

To, co wydarzyło się w pałacu radży, a następnie spotkanie z Pearthem wywarło wielki wpływ na rozwój jego osobowości. Ariel jakby od razu wkroczył w wiek dojrzały, pozbywając się sztucznie zaszczepionego mu infantylizmu, chociaż może sam nie w pełni zdawał sobie sprawę z zachodzących w nim przemian.

Przez całe dotychczasowe życie był biernym narzędziem w rękach innych ludzi. W Dandaracie nauczył się jedynie udawania, ukrywania swoich myśli i nastrojów. Po ucieczce z Dandaratu żył w ciągłym strachu przed czyhającym na niego Pearthem. Sparaliżowany tym lękiem nawet nie pomyślał o czynnym przeciwstawieniu się losowi, o tym, żeby walczyć o swoje prawo do życia, żyć tak, jak tego pragnie, a nie tak, jak zadecydują o tym inni.

Strach przygnał go w tę dżunglę, pozbawił towarzystwa innych ludzi i skazał na samotność. I kiedy to sobie uświadomił — obudził się w nim protest i duma człowieka. O nie, nie pozostanie w dżungli! Wróci do ludzi i wywalczy sobie prawo do życia wśród nich!

Dlaczegoż by nie miał wykorzystać w tym celu swojego niezwykłego daru? Latający człowiek może wiele zdziałać!

Co mianowicie — tego Ariel jeszcze nie wiedział, gdyż miał zbyt słabe wyobrażenie o życiu innych ludzi. „Czas pokaże, do czego jestem zdatny” — postanowił i zaczął przygotowywać się do drogi.

Znalazł orzech, którego sok zabarwiał skórę na brązowy kolor. Tak wymalowany Ariel mógł śmiało uchodzić zarówno za Hindusa, jak też za mocno opalonego Europejczyka. Farba nieco przybladła po kąpieli, ale nie zeszła całkowicie. Przyjrzał się swojej koszuli i prześcieradłu, wyprał je i nawet spróbował wyprasować nagrzanymi w słońcu kamieniami. Zaopatrzony w trochę owoców, pewnego poranka wyruszył w drogę.

Rozdział trzydziesty drugi

NEOFITA

Pastor Edwin Kingsley zdjął okulary, westchnął, odchylił się na oparcie fotela i uniósł wzrok. Na wprost niego na ścianie wisiał portret króla, który miał podłużną anglosaską twarz i odziedziczone po przodkach wielkie, nieco wyłupiaste oczy. Obok wisiał portret wicekróla Indii, lorda o surowym obliczu i cienkich wargach, i podobizna biskupa Canterbury w szatach liturgicznych. Król i wicekról odwrócili głowy nieco w bok, jakby nie życząc sobie widzieć pastora, natomiast biskup patrzył mu prosto w oczy. Kingsley, misjonarz, który nie spełnił pokładanych w nim nadziei, wyczytał w tym spojrzeniu wyrzut.

A co dopiero powie jego przewielebność, tak dotychczas łaskawy dla Kingsleya, gdy przeczyta jego ostatnie sprawozdanie?!

Pastor pocił się nad tym sprawozdaniem całe trzy tygodnie, usiłując przedstawić zaistniałą sytuację w możliwie korzystnym dla siebie świetle.

Nawrócenie mieszkańców Indii na wiarę Chrystusową z początku zapowiadało się nader pomyślnie. Kingsley w swoich sprawozdaniach dawał do zrozumienia, że nadzwyczajne powodzenie misji wiąże się z jego osobistymi zaletami: gorliwością szerzyciela nowej wiary i talentem kaznodziei.

W rzeczywistości sprawa przedstawiała się nieco inaczej. Pastor Kingsley istotnie pozyskiwał dla swojego Chrystusowego stada nowe owieczki, lecz rekrutowały się one wyłącznie z najniższych, ogólnie pogardzanych kast. Dla tych „bałwochwalców” przejście na wiarę chrześcijańską było o tyle korzystne, że trochę polepszało ich sytuację pozbawionych wszelkich praw pariasów. Niepoślednią rolę odgrywały tu także srebrne krzyżyki i tanie podarunki, jakie otrzymywali przy chrzcie neofici. Ale potem to wszystko uległo zmianie. Niektóre hinduskie stowarzyszenia religijne, zaniepokojone rosnącą liczbą nawracających się na chrześcijaństwo, wprowadziły specjalny, usankcjonowany prawem „obrzadek oczyszczania”, który pozwalał pariasom wznieść się o jeden szczebel wyżej w hierarchii kastowej. I chociaż podobne novum wywołało sprzeciw bardziej konserwatywnych stowarzyszeń, skupiających „prawowiernych”, cieszyło się ono wielkim powodzeniem. Odtąd wielu pariasów wołało obrzadek oczyszczania od chrztu. Sukcesy pastora Kingsleya jako misjonarza okazały się krótkotrwałe. Coraz trudniej było pozyskiwać prozelitów. Odsuwali się od wiary Chrystusowej również nowo nawróceni.

Sytuacja, w jakiej znalazł się pastor Kingsley, była nie do pozazdroszczenia. Stracił apetyt i sen. W ciągu dnia biedził się nad przemyślnym sprawozdaniem, po nocach medytował nad sposobami, które mogłyby uratować jego dzieło. Wygłaszał kunsztownie przygotowane kazania i wyprawiał się do

najdalszych zakątków swojej parafii, lecz bez skutku. Do tych pogan i bałwochwalców można przemówić jedynie za pomocą cudu, który udowodniłby przewagę chrześcijańskiego Boga nad miejscowymi bóstwami!

Ba, ale skąd wziąć jakiś cud?'

— John! Śniadanie dla pana Kingsleya! — usłyszał pastor głos swojej siostry, starej panny, Florentyny Kingsley.

Do pokoju wszedł hinduski chłopak, niosąc tacę z parującym dzbankiem, filiżanką i jajecznicą na grzance.

Był to chrześniak „ciotuni Florentyny”, jak wołano na plebanii siostrę pastora. Nazywał się Paresz, ale na chrzcie otrzymał imię John. Miał na sobie srebrny pas — podarunek od matki chrzestnej. Ochrzcił się właściwie wyłącznie po to, by otrzymać ten pas w prezencie. Na szyi nosił krzyżyk i srebrny amulet, który otrzymał w spadku po nieżyjących rodzicach i z którym za nic w świecie nie chciał się rozstać.

Biorąc z rąk chłopca filiżankę z kawą, pastor popatrzył na krzyżyk i na amulet, westchnął i pomyślał: „Wszyscy oni jednacy! Na piersi krzyż, obok amulet, a w sercu...”

— Mister Kingsley jest w tej chwili zajęty... — dał się słyszeć z drugiego pokoju głos córki pastora, Zuzanny, która rozmawiała z kimś w języku hindi.

Pastor Kingsley przybrał czujną postawę. A może to jakiś Hindus, który słyszał jego kazanie i pragnie się nawrócić? Zapomniawszy o śniadaniu, szybko narzucił szlafrok na pidżamę i pośpieszył do przedpokoju.

Znalazł się twarzą w twarz ze smukłym ciemnoskórym młodzieńcem o pięknej twarzy z długimi włosami jak u pustelnika, który miał na sobie jedynie koszulę i jakiś dziwny biały płaszcz. Doprawdy, zadziwiające ubiory noszą ci tubylcy!

— Chcesz ze mną mówić? — zapytał pastor.

— Tak — skromnie odrzekł młodzieniec, spuszczać oczy.
— Chciałbym zamienić z panem parę słów. Lecz, zdaje się, przyszedłem nie w porę?

Zuzanna, dziewczyna prawie dwudziestoletnia, ubrana w płócienną suknię i z ogoloną po przebytych tyfusie głową, ponurym wzrokiem spoglądała to na ojca, to na młodzieńca.

Pastor, dowiedziawszy się, że młody człowiek pragnie odbyć z nim poważną rozmowę, zaprosił go do swojego gabinetu.

Nieoczekiwany gość wymienił swoje imię — Binoy. Jest Hindusem, sierotą, i chciałby poświęcić się służbie bożej. Zgłębił naukę braminów, buddyzmu i Koran, ale musi przyznać się, że te religie nie spełniły jego oczekiwań. Wie, co to jest chrześcijaństwo, ale pragnie zapoznać się z dogmatami tej wiary bardziej szczegółowo. Co do religii rozpowszechnionych w jego ojczystym kraju — nie podoba mu się, że ich bogowie nie potwierdzają swojego istnienia w sposób widoczny, namacalny i nie śpieszą z pomocą ludziom.

Pastor zasepił się i pomyślał: „Jak na tubylca jest stosunkowo dobrze rozwinięty umysłowo, ale umysł ma praktyczny. To diabelskie nasienie łaknie znaków niebieskich i cudów. Takich nie zbędziesz byle czym! Lecz mimo wszystko spróbuję go przekonać, iż Bóg objawia się nam nie tylko w cudach — że też wszyscy naraz zapragnęli ujrzeć te cuda!... Najważniejsze to nie wypuścić go z rąk i ochrzcić za wszelką cenę! Nawet za cenę większą niż wartość srebrnego krzyżyka! W sprawozdaniu powinny figurować imiona nowo nawróconych”.

— Omówię z tobą tę kwestię, mój młody przyjacielu — serdecznym tonem odezwał się pastor. — Musimy w tym celu widywać się częściej. Gdzie mieszkasz?

— Jestem wędrowcem, który szuka prawdziwego Boga — rzekł na to gość.

Pastor namyślał się chwilę, po czym obwieścił z tryumfem:

— Zostaniesz tutaj, Binoy! Tak, właśnie! Nie pożałuję kąta i garści ryżu człowiekowi poszukującemu Boga! Florentyno! — zawołał, a gdy do pokoju weszła chuda kobieta w czarnej sukni, zwrócił się do niej; — To jest Binoy. Mam niepełną nadzieję, że wkrótce zostanie twoim synem chrzestnym. Zamieszka tymczasem u nas. Proszę zaprowadzić go do mansardy.

Ciotunia Florentyna przyjrzała się młodzieńcowi z nie ukrywaną ciekawością, po czym skinęła głową:

— Chodźmy.

Po ich wyjściu do gabinetu wpadła Zuzanna.

— Posłuchaj, ojcze! — wołała ze wzburzeniem. — Odnoszę wrażenie, że w swojej gorliwości misjonarza zapominasz o całym świecie! Czyż nie można było umieścić tego włóczęgi w domku stróża kościelnego? Ci brudni Cyganie są nosicielami zakaźnych chorób! Mało ci, że zachorowałam na tyfus? Brakowało nam tu tylko cholery albo dżumy!

— Ani jeden włos nie spadnie z głowy człowieka wbrew woli Najwyższego — pouczającym tonem wymówił mister Kingsley, starając się ukryć zmieszanie.

— Ani jeden włos? Zapominasz, że mam ogoloną głowę. Możesz tak mówić w swoich kazaniach, ale nie życzę sobie, żeby w naszym domu mieszkali żebracy!

— Trudno, tak musi być, córko moja. Cóż nam pozostaje?— Każdy zawód pociąga za sobą te czy inne niebezpieczeństwa. A gdybym był lekarzem? Przecież odwiedzam umierających, niosę im pociechę...

Pastor, który we wszystkim ustępował córce, tym razem przejawiał niespodziewany opór. Binoy pozostał na plebanii.

Ariel przygotowywał swój plan od dłuższego czasu. Jeszcze w Dandaracie żywił niejasne domysły co do roli, jaką mu wyznaczono jako latającemu człowiekowi. Chciano demonstrować jego cudowne właściwości, co z kolei miało

pomóc w podtrzymaniu upadającej wiary i nastrojów religijnych. A więc równie dobrze może wykorzystać tę umiejętność do własnych celów! Musi znaleźć sobie jakieś tymczasowe schronienie, rozejrzeć się, poznać bliżej ludzi, może nawet zebrać trochę pieniędzy, zanim rozpocznie życie na własną rękę. Dalsze plany nie rysowały się zbyt jasno i chociaż ulegały częstym zmianom, niezmiennie figurowali w nich Lalita, Nizmat i Szarad.

Przelatując w nocy ponad tym niewielkim miastem, Ariel ujrzał wysoką dzwonnice kościoła. Wtedy właśnie, zgodnie z wcześniej obmyślonym planem, postanowił uczynić pierwszy krok ku ludzkiej społeczności.

Bardzo szybko wyczuł, że Zuzanna żywi wobec niego nieprzyjemne uczucia. Dziewczyna unikała spotkań z nim i zaledwie raczyła odpowiadać na ukłony. Za to ciotunia Florentyna, którą Zuzanna nazywała „misjonarzem w spódnicy”, roztoczyła nad Binoyem swoje opiekuńcze skrzydła.

Wieczorami pastor prowadził z młodzieńcem długie rozmowy. Nie chciał zadrażnień z córką i nie zapraszał więcej Binoya do swojego gabinetu, lecz szedł do niego na górę, gdzie gość mieszkał w całkowitym odosobnieniu. Binoy miał niezwykle skromne wymagania jeśli chodzi o jedzenie, a całymi dniami ślęczał nad Biblią i katechizmem. Taka gorliwość i szybkie postępy wielce radowały pastora, który ani przypuszczał, że jego uczeń doskonale zna historię religii, była to bowiem jedyna wiedza, jaką wyniósł z Dandaratu.

W niedługim czasie Binoy został uroczyście ochrzczony i otrzymał jeszcze jedno imię — Benjamin — Ben, jak w skrócie nazywał go pastor i jak zaczęła na niego wołać również ciotunia Florentyna. W dalszym ciągu mieszkał u pastora, a to po to, by umocnić swą wiarę, i wkrótce umocnił

ją tak, że ledwo nie wyprawił na tamten świat swojego opiekuna!

Rozdział trzydziesty trzeci CUD

Zdarzyło się to pewnego niedzielnego przedpołudnia. Pastor właśnie wygłaszał kazanie w prawie pustym kościele. Mówił na temat wiary, cudów i ingerencji boskiej w ludzkie sprawy.

— I jeśli wszechpotężny Bóg nie zawsze przychodzi ludziom z pomocą, dzieje się tak, ponieważ w prośbach naszych, jakie do Niego zanosimy, nie ma dostatecznej siły wiary. Gdyż zaprawdę powiadam wam, jak mówi Pismo Święte — jeśli wiara nasza będzie wielkości ziarenka gorczycy i każecie górze onej, by ruszyła ze swojego miejsca, góra na pewno poruszy się i przejdzie na inne miejsce, albowiem nie masz w tym nic niemożliwego...

Gdy pastor doszedł do tego miejsca, siedzący w pierwszej ławce Ben-Ariel nieoczekiwanie stanął na środku kościoła, ścisnął w rękę książkę do nabożeństwa, wznosił do nieba oczy i zawołał:

— Wierzę, o Panie, iż uczynisz zgodnie z wiarą moją! Unieś mnie ponad ziemię, błagam Cię!

Wszyscy zebrani w kościele zobaczyli, że młodzieniec zakołysał się całym ciałem i uniósł w powietrze. Jego nogi oderwały się od podłogi i zawisły w próżni na wysokości około dwóch stóp. Ciało jego wznosiło się pionowo i opadało w powietrzu, a on sam nie przestawał dziękować Bogu.

Pastor musiał uchwycić się za poręcz kazalnicy, żeby nie upaść. Twarz mu zbladła, dolna szczęka zaczęła latać.

W kościele zaległa taka cisza, że słychać było śmigot skrzydeł przelatujących za oknem jaskółek. Wszyscy siedzieli jak skamieniali, a potem nagle ludzi ogarnął szal. Rozległ się

histeryczny, szaleńczy lament, który wprawił w drżenie mury kościoła. Uczestniczący w nabożeństwie zerwali się ze swoich miejsc. Jedni, ogarnięci paniką, z krzykiem rzucali się na kolana przed Benem i wyciągali do niego ręce, inni bili się w piersi i śmiejąc się i płacząc na przemian wykrzykiwali:

— Bóg się objawił! Objawił! Objawił!

Gdybyż tę scenę mógł zobaczyć Pearth, który nie bez powodu, razem ze swoją londyńską dyspozyturą, pokładał takie nadzieje w latającym człowieku!

Ariel stał i uśmiechał się z zażenowaniem, jakby nie w pełni zdawał sobie sprawę z tego, co zaszło.

Pastor podniósł rękę, usiłując przywrócić porządek, chociaż sam był wstrząśnięty nie mniej niż inni. Machnął gwałtownie ręką i zsunął się z ambony, gdyż nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Zelektryzowany niezwykłym wydarzeniem, nie mogąc złapać tchu, usiadł na podłodze obok schodów.

Ubrana w amazonkę Zuzanna wracała konno z porannej przejażdżki. Harcowała po polach na swojej bułanej klaczy, gdy ludzie modlili się w kościele i słuchali kazania jej ojca.

Mister Kingsley miał wiele kłopotów ze swoją krnąbrną i rozkapryszoną córką. Zuzanna nienawidziła gospodarskich zajęć, natomiast pasjonowały ją polowania i jazda konna, a także amatorskie przedstawienia w gronie znajomych Anglików. Wyśmiewała filantropijne zapędy ciotuni Florentyny i wygadywała różne okropne rzeczy. Ojciec wzdragał się wewnętrznie, gdy córka wygłaszała takie zdania, jak na przykład to, że ponad wszystkich filozofów świata stawia Czarwaków — wulgarnych materialistów, którzy twierdzą, iż ciało i dusza stanowią jedno i to samo. Zuzanna nienawidziła Indii i marzyła o powrocie do Londynu. Pastor tłumaczył te dziwactwa swojej córki wpływem tutejszego, zgubnego dla Europejczyków, klimatu, a także jej wiekiem.

„Wyjdzie za mąż i wszystko jej minie, jak ręką odjął” — uspokajał sam siebie.

Chociaż nabożeństwo jeszcze się nie skończyło, z drzwi kościoła wylęgał tłum. Ludzie krzyczeli i wymachiwali rękoma. „Może to pożar?” — pomyślała Zuzanna. Spięła klacz ostrogami i w tej samej chwili zobaczyła chłopca, Johna, który mieszkał w ich domu, by „wzmocnić swoją wiarę w Chrystusa”. Wymagało to widocznie wykonania całej czarnej domowej roboty, jaka spadła na jego barki, być może po to, żeby chłopak „pogłębił w sobie poczucie chrześcijańskiej pokory i uległości”.

— Hej, Gipsy! — powstrzymując klacz zawołała Zuzanna, jakby przywoływała psa.

Dziewczyna uważała, że „ta małpka” nie jest godna imienia John, jakie noszą sahibowie, i wołała na chłopca „Gipsy”, czyli Cygan. Uważała, że wszyscy Hindusi to Cyganie, a gdy ojciec próbował zaprzeczać, mówiła: „Niech papa poczyta sobie Antropogeografię Ratzela!”

John przybiegł do Zuzanny w podskokach.

— Co się tam stało? — zapytała, wskazując szpicrutą w kierunku kościoła.

— Ach, panienko! Tam się dzieją, panienko, takie rzeczy, że, panienko...

Zniecierpliwiona Zuzanna machnęła szpicrutą ponad głowę Johna.

— Ben... To znaczy Binoy, panienko, podskoczył wysoko w górę, w powietrze, panienko, i wszyscy bardzo się przestraszyli — wyrzucił z siebie chłopiec jednym tchem

— Nie gadaj głupstw!

— Kiedy to prawda, panienko. O, tak to wyglądało... — John zaczął podskakiwać. — Bardzo to mu zgrabnie wyszło. Jakby stał na jakiejś niewidzialnej ławce! — I John znowu

podskoczył, starając się trzymać jak najdalej od szpicruty Zuzanny.

Oparty na ramieniu stróża kościelnego, z kościoła chwiejnym krokiem wyszedł pastor.

— Ojczy! Co się tu stało? — pytała zaniepokojona nie na żarty Zuzanna. Kochała ojca, chociaż w głębi duszy gardziła nim trochę z powodu jego słabości charakteru.

Pastor w milczeniu kierował się ku domowi, Zuzanna jechała obok, poklepując szpicrutą szyję konia.

— Powiedzże wreszcie!

— Potem, potem, moje dziecko — słabym głosem odpowiedział pastor. — Muszę... muszę przyjść do siebie po tym wszystkim...

— Najlepszy sposób dowiedzenia się, co się dzieje w kościele, to chodzenie do kościoła — zamruczał pod nosem stróż, rzuciwszy niechętne spojrzenie na podcięty koński ogon.

Zuzanna trzasnęła szpicrutą w powietrzu i krzyknęła:

— Gipsy! Gdzie się podział ten diabełek?

John, rzeczywiście podobny do Cyganiątka, wybiegł z kuchni ze ścierką w dłoni.

— Odprowadź konia do stajni — rozkazała dziewczyna, poprawiając fałdy amazonki. — A, jesteś, ciotuniu! Może wreszcie dowiem się, o co tu chodzi. Dlaczego ciotunia płacze? Stało się coś?

— To z radości, Suzy. Pan pozwolił, abym była świadkiem cudu!

— Cu-udu? — przeciągnęła Zuzanna. — Te podskoki Binoya — to ma być cud?

Ciotunia zmarszczyła brwi i nawet pobladła nieco.

— Nie mów tak, Suzy. Bóg cię ukarze za te słowa! Przecież nie widziałaś! Ben jest wielkim świętym! I wcale nie skakał, lecz wznosił się w powietrze. Wszyscy widzieli... Nasz Pan w niebiosach dokonał cudu, gdyż wielka była wiara Bena.

— No naturalnie, mogłam się spodziewać, że tak właśnie powiesz! — Zuzanna westchnęła. — Zawsze twierdziłam, że z ciotuni robi się fanatyczka, a to nie jest zbyt bezpieczne!

— Ach ty, bezbożnico! — z oburzeniem zawołała stara panna i natychmiast dodała tonem pełnym pokory: — Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni. Niech Bóg w swoim miłosierdziu wybaczy tobie i mnie! — i skierowała się ku domowi.

Zamyślona Zuzanna przystanąła na ścieżce w ogródku przed domem. Z daleka zobaczyła zbliżający się tłum ludzi.

— Święty! Sanjasi! O, pobłogosław mnie! Racz dotknąć swojego syna! Dozwól dotknąć stóp twoich! — rozlegały się głosy.

Wieśniacy zatrzymali się w odległości kilkudziesięciu stóp, nie wążąc się zbliżyć ku domowi. Z cizby wyszedł Ben-Ariel. Ludzie odprowadzili go ukłonami i zawrócili na drogę, nie przestając rozprawiać podnieconymi głosami.

Ariel ze spuszczoną głową wszedł do ogródka, zmierzając ku werandzie.

— Posłuchaj, Binoy, czy jak tam się nazywasz — zwróciła się Zuzanna do młodzieńca.

Ariel zatrzymał się.

— Jaki to kawał odstawiłeś w kościele?

— Babu... To znaczy pastor, mister Kingsley, nauczał, że wiara czyni cuda... Bóg chrześcijan jest najpotężniejszy na świecie. Pełen wiary, zwróciłem się więc do naszego Pana, by zechciał mnie wesprzeć w moich usiłowaniach, i rzeczywiście uniosłem się nad podłogą; on mnie wysłuchał.

To wszystko.

— A więc to Bóg podniósł cię nad podłogą? W jaki sposób? Podtrzymał cię własnoręcznie pod pachy czy też chwycił cię za włosy?

Ariel milczał. Zuzanna również zamilkła, a potem uśmiechnęła się z rozdętymi nozdrzami i zaczęła prawie krzyczeć:

— Bzdury! Nie wierzę! No proszę, wykonaj tę sztuczkę jeszcze raz, tutaj, jeśli nie chcesz, bym nazwała cię kłamcą!

Ariel westchnął, spojrział ku furtce, przeniósł wzrok na grządkę goździków i lekko nastąpił na kwiatek, który nawet nie pochylił się. Stąpając po kwiatach, przeszedł w ten sposób wzdłuż całej rabatki, a potem wszedł na ścieżkę, zatrzymał się i popatrzył na Zuzannę niewinnym spojrzeniem.

— Ciekawa sztuczka — powiedziała Zuzanna, usiłując ukryć zmieszanie. — Ale nie wyobrażaj sobie, że mnie przekonałeś, jakoby umiesz czynić cuda.

— Zrobiłem tylko to, co mi pani kazała — odpowiedział potulnym tonem.

— Cóż... pięknie! A w jaki sposób zamierzasz wykorzystać te swoje sztuczki?

— Bóg mi wskaże właściwą drogę.

Zuzanna tupnęła nogą.

— Nie cierpię świętoszków! — zawołała, a potem ciągnęła dalej w zamyśleniu: — Powiedzmy, że masz jakieś tam swoje sposoby, że robisz to, co robisz, i nie posługujesz się hipnozą. No i co dalej? Czy rzeczywiście zamierzasz czynić te swoje cuda po to, aby wprawiać w histerię stare baby i wiekowych starców w kościele albo też zadziwiać naiwne dziewczeczki, fruując z kwiatka na kwiatek jak motylek? Albo może masz zamiar zarabiać pieniądze, produkując się za miedziaki na jarmarkach? Prawdziwy mężczyzna powinien wykonywać prawdziwy zawód. Będąc na twoim miejscu, wstąpiłabym do straży pożarnej! Właśnie, do straży pożarnej! Ratowałabym ludzi, wyciągając ich z płonących domów, wlatywałam na wyższe piętra, tam gdzie nie sięgają drabiny strażackie. Albo też poszłabym pracować w charakterze ratownika wodniaka.

W żadnym wypadku nie udawałabym cudotwórcy i nie żyłabym na łaskawym chlebie w jakimś zabitym deskami miasteczku!

— Bardzo możliwe, że tak właśnie postąpię — odpowiedział Ariel.

Nisko się skłonił i wszedł do domu.

„Sprytny krętacz!” — pomyślała Zuzanna, w zadumie spoglądając na kwiaty.

Rozdział trzydziesty czwarty SENSACJA

Wróciwszy do domu, pastor dość długo przechadzał się po swoim gabinecie, co chwila potrącając nogą lekkie krzesła i stoliki z trzciny bambusowej. Jak wielu przybywających do Indii Anglików, Kingsley nie postarał się o jakieś bardziej solidne umeblowanie, uważając, że jest to jego tymczasowe miejsce zamieszkania, i w ten sposób mijały lata.

Pastor był w paskudnym nastroju. Wyłamywał palce, aż trzeszczały stawy, i co chwila chwycił się za głowę.

Co się właściwie wydarzyło? Cud? Jedno z owych cudownych zjawisk, o których tak wiele i z taką swadą opowiadał w swoich kazaniach? Przypomniwał sobie okrzyk, jaki rozległ się w kościele: „Objawił się nam Bóg!” Ale to przecież niemożliwe! Jego trzeźwy umysł Anglika dwudziestego wieku przeciwstawiał się koncepcji cudu. Ale w takim razie to by znaczyło, że ten, kto nie wierzy w cuda, tym samym nie wierzy w istnienie Boga. Ta myśl, która tak nagle przyszła mu do głowy, była wprost przerażająca!

Pastor wiedział, że religia jest potrzebna. Był jednym z urzędników, którzy przykładowo wykonywali swoje obowiązki. Prostym ludziom potrzebna jest religia, potrzebny jest im Bóg i wiara w cuda, inaczej trudno byłoby sobie z nimi poradzić.

Do jego obowiązków jako pastora należało podtrzymywanie tej wiary. I oto raptem zjawia się ten młokos Ben i wywraca wszystko do góry nogami! A co najgorsze — stawia jego, pastora, w wyjątkowo niezręcznej sytuacji! Ben oczywiście nie może zmusić pastora Kingsleya, by uwierzył w cuda, czynione jakoby przez Boga i Stwórcę. Lecz dobrze byłoby wiedzieć, co się kryje za tym nadprzyrodzonym zjawiskiem. Jak należy je rozumieć? Jak się zachować na przyszłość?

Oczywiście, najlepiej byłoby wykorzystać umiejętności Bena do własnych celów. Jest to myśl kusząca, ale niebezpieczna. Pastor ryzykuje, że skompromitowana zostanie nie tylko jego osoba, ale również cała działalność misjonarska i w ogóle Anglicy. A dobrze byłoby wykorzystać go... Mógłby nawrócić na wiarę Chrystusa nowe rzesze pogan i wystąpić ze wspaniałym sprawozdaniem!

W tym samym czasie, gdy pastor któryś tam raz z rzędu przemierzał swój gabinet, pogrążona w błogim nastroju ciotunia Florentyna stała przed Arielem w jego pokoju. Złożyła ręce jak do modlitwy i patrząc na niego w zachwycie powtarzała:

— Więc to by znaczyło, że potrafisz poruszać góry? Proszę cię, miły Benie, dokonaj tego cudu! Widzisz tę górę?— ciotunia wskazała głową okno. — Spraw, by odsunęła się nieco dalej. Zasłania słońce, które przez to nigdy nie dociera do mojego pokoju. Chcę mieć u siebie słońce!

— Ależ to mogłoby zgubić ludzi i zwierzęta i wszystko, co żyje na tej górze i w jej pobliżu — wymijająco odpowiedział Ariel.

Ciotunia zamyśliła się. Ogarnęło ją pragnienie ujrzania cudu.

— No to w takim razie niech chociaż ten stół poruszy się z miejsca!.. I czy mógłbyś przywrócić mi młodość? Albo przenieść mnie do Anglii?.., To niech przynajmniej na jedno twoje skinienie zakwitnie na nowo ten zwiędły kwiatek...

A najlepiej ulecz mnie z kamicy żółciowej!

— Nie wolno nadużywać łaski pańskiej! — odpowiedział Ariel, który miał dość tych uprzykrzonych próśb ciotuni Florentyny.

— Jak to nadużywać? Kamienie żółciowe przysparzają mi wiele cierpień, a ponieważ boję się operacji...

— To by oznaczało, iż Bóg ukarał szanowną panią, zsyłając na nią tę kamice!

Florentyna zamilkła, przebierając w pamięci popełnione grzechy, za które mogłaby być ukarana kamice. Swoją drogą jacy to nieustępliwi ludzie, ci cudotwórcy!... Zaproponować, że mu się odwdzięczy jakimś prezentem? Jeszcze się obrazi, powie, że to jest świętokupstwo... Ach, gdyby się jej udało zdobyć na własność odrobineczkę tej jego wiary, tyle, ile mierzy ziarenko gorczycy!...

— Posłuchaj, Ben, i nie gniewaj się na mnie. Może mógłbyś odstąpić mi nieco tej twojej wiary, chociażby najmniejszą jej cząsteczkę, najmniejszy pyłek?

— To zależy wyłącznie od pani. Wiercie, a będzie wam dane. Ciotunia Florentyna przymknęła oczy, zacisnęła pięści i aż poczerwieniała z wysiłku.

— Wierzę, że mogę wznieść się w powietrze! Wierzę, o mój Boże, wierzę!... — Ciotunia uniosła się na czubkach palców.

— Czy to już?... Och, strach mnie ogarnia... Wygląda na to, że się unoszę... Wierzę, wierzę, wierzę, wierzę! — Florentyna mocno zacisnęła powieki.

Ariel, całkowicie straciwszy cierpliwość, pochwycił ciotunię Florentynę i posadził ją na szafie, po czym wybiegł z pokoju. Na schodach zderzył się z pastorem Kingsleyem i omal go nie przewrócił.

— Pozwól ze mną, Ben!

Pastor zaprowadził Ariela do gabinetu i poprosił, by usiadł w fotelu, a sam zaczął spacerować tam i z powrotem. Wreszcie odezwał się:

— Powiedz mi, Ben, jak ty to robisz?

— Wiara dodaje mi skrzydeł — skromnie odparł zapytany.

Pastor już miał wybuchnąć, ale się powstrzymał.

— Pokaż stopy! — rozkazał.

Kingsley schylił się i postępując zaczął oglądać stopy Ariela — całkiem zwyczajne ludzkie stopy, na których nie było żadnych sprężynek czy jakichś innych urządzeń.

— A może to fakirzy nauczyli cię lewitacji? — spytał pastor, chociaż zawsze twierdził, że lewitacja jest czczym wymysłem żądnych sensacji turystów. Ale teraz gotów był przyznać, że fakirzy zdolni są do czynienia cudów tego rodzaju, chociaż najprawdopodobniej są to jedynie jakieś sprytne sztuczki. Łatwiej mu było uwierzyć w to niż w cuda czynione przez chrześcijańskiego Boga!

— Nie wiem, co to jest lewitacja — odrzekł w prostocie ducha Ariel.

— Cóż, dobrze... Lecz jeśli okłamujesz mnie, okłamujesz tym samym Pana Boga i On cię za to ukarze i ześle na ciebie trąd. Ale jeśli nie kłamiesz, to czy pragniesz służyć Najwyższemu?

— Życie moje należy do Tego, który czyni cuda — odpowiedział Ariel.

— Dobrze. Możesz odejść.

Gdy Ariel wyszedł, pastor przemówił, zwracając się sam do siebie:

— Kości zostały rzucone. Będzie, co ma być. Jakkolwiek by było, jest to najlepsze wyjście z sytuacji. Wykorzystam Bena do swoich celów, niezależnie od tego, co znaczą te jego sztuczki, zaszczepię wiarę chrześcijańską wśród tysięcy pogan, napiszę wspaniałe sprawozdanie i wrócę do Anglii okryty chwałą wielkiego misjonarza. Mój następca na tej

placówce jakoś będzie musiał poradzić sobie z tym wszystkim!

Kingsley widział już w wyobraźni zaszczyty i nagrody, jakimi zostanie obsypany, rektorat w stolicy, a kto wie, może nawet stolec biskupi...

Do gabinetu wbiegła Zuzanna, wymachując plikiem gazet.

— Ojczy! Zawsze mówiłam, że ten twój Ben to oszust! Patrz, co piszą w gazetach na temat latającego człowieka! Nie ulega wątpliwości, że to chodzi o niego.

— Ale on jednak lata, ten człowiek?

— I cóż z tego? Lotnicy latają i owady latają, ale żaden z nich nie sięga po laury cudotwórcy!

— Posłuchaj, Zuzanno. Jeśli chcesz jak najszybciej powrócić do Londynu, nikomu nie pokazuj, co tu piszą, i z nikim nie rozmawiaj o Benie, i w ogóle postaraj się do niczego nie wtrącać. Proszę cię o to... Jest to kwestia zaledwie kilku dni. A potem pojedziemy do Anglii, masz na to moje słowo, i już na zawsze!

Gdy Ariel powrócił do swojego pokoju, nie zobaczył ciotuni na szafie. Zdawszy się na swoją wiarę, Florentyna chciała opuścić się na podłogę płynnym ruchem, ale nie udało się jej: spadła i stłukła sobie kolano. Czyniąc więc sobie wyrzuty z powodu niedostatecznie silnej wiary w Boga, odeszła do swojego pokoju, do którego nigdy nie zaglądało słońce.

Wiadomość o cudzie w kościele rozeszła się po całej okolicy. Można było przypuszczać, że ludzie poszaleli na punkcie Ariela.

Ciotunia Florentyna cały czas albo podskakiwała z przyciętymi oczami, albo też, utkwivszy wzrok w rondel lub nożyczki, mruzczała do siebie:

— Unieść się do góry! Unieść się natychmiast!... Wierzę!

Obok pieca kuchennego wykrzykując skakał John, bez powodzenia usiłując wznieść się w powietrze:

— Wierzę! Hop!... Coś za mało tej wiary... Jeszcze! Wierzę! Hop! Jeszcze! O, teraz jest jej więcej! Wierzę! Hop!

Po wsiach ludzie zeskakiwali z dachów domów, usiłowali chodzić po wodzie, wydawali fanatyczne okrzyki „Wierzę!”, spadali odnosząc obrażenia i grzęzli w mule...

Niestety. Nikt nie mógł powiedzieć o sobie, że jego wiara jest dostateczna i że osiągnęła przepisową wielkość ziarenka gorczycy! Czy może potęga wiary była złudą? Coraz głośniejsz mówili o tym poszkodowani...

Nie wolno było tracić czasu. Pastor umieścił na drzwiach kościoła zawiadomienie o mającym się odbyć uroczystym nabożeństwie z okazji cudu, jaki został im zesłany przez niebiosy.

Rozdział trzydziesty piąty RZECZOWA ROZMOWA

Pastor Kingsley tryumfował. Powodzenie „cudu” przeszło wszelkie oczekiwania. Niewielki kościół, w którym teraz codziennie było odprawiane nabożeństwo, nie mógł pomieścić wszystkich przybyłych. Pastor wygłaszał przekonujące kazania na temat siły wiary i potęgi chrześcijańskiego Boga, który udowodnił oto swoją przewagę nad wszystkimi pogańskimi bożkami.

Na wiarę chrześcijańską nawracały się teraz dziesiątki i setki Hindusów. Sprawozdanie pastora zapowiadało się coraz bardziej obiecująco.

Co prawda, parafianie niezbyt uważnie słuchali kazań pastora, z niecierpliwością oczekując ukazania się cudownego młodzieńca. Ariel występował przed zdumionymi widzami na każdym nabożeństwie po kazaniu.

Neofici dokuczali pastorowi pytaniami, co trzeba zrobić, by jak najszybciej zgromadzić taki „zapas” wiary, który pozwala

czynić cuda. Pytali, dlaczego nikt prócz Bena nie posiada tak cudownych właściwości? Pastor wyjaśniał, jak umiał, apelował o cierpliwość, udzielał rad, a nawet ułożył coś w rodzaju podręcznika dla pragnących umocnić swoją wiarę.

Ludzie mamrotali w pośpiechu wyuczone na pamięć modlitwy, których sensu nie rozumieli, i marzyli o cudach, jakie będą mogli czynić, gdy w należyty sposób umocnią swoją wiarę. Należy powiedzieć, że większość z nich bynajmniej nie marzyła o przesuwaniu gór czy zatrzymaniu słońca, a jedynie o nowym domu, nowym sari, bawole czy ośle, a także o codziennej garści ryżu i wyleczeniu się z chorób. Nikt nie zamarzył o królestwie niebieskim.

Seanse, podczas których były demonstrowane „cuda”, trzeba było przenieść na otwartą przestrzeń, gdyż kościół nie mieścił wszystkich chętnych. Z biegiem czasu zaczęli się na nich zjawiać Europejczycy — z początku miejscowi sahibowie, a potem również przyjezdni obcokrajowcy.

Uwagę pastora zwróciło dwóch mężczyzn mówiących z typowym amerykańskim akcentem. Wyraźnie interesowała ich osoba Bena. „Z całą pewnością to dziennikarze. Mogą mi wszystko popsuć!” — z niepokojem myślał Kingsley. Ta obawa nie była nieuzasadniona.

Któregoś dnia ci dwaj podeszli do Ariela. Nie zwracając uwagi na panujący wokół hałas i gwar tłumu, jeden z nich odezwał się po angielsku:

— Czy nie zechciałby pan poświęcić nam paru minut swojego cennego czasu? Chcielibyśmy porozmawiać na poważne tematy.

Ku zdziwieniu pastora Ben natychmiast odpowiedział najczystszą angielszczyzną:

— Jestem do dyspozycji panów! — Po czym wszyscy trzej wydostali się z tłumu i skierowali ku zaparkowanemu przy drodze wspaniałemu samochodowi amerykańskiej produkcji.

Pastor zobaczył, że Ariel i jego towarzysze zajęli miejsca w samochodzie, lecz nie odjechali, tylko pograżyli się w rozmowie.

Po zakończonej rozmowie Ariel pożegnał się z Amerykanami i wysiadł z samochodu.

— Z kim rozmawiałeś? — zapytał pastor Ariela po powrocie do domu.

— Z dwoma przyjezdnymi panami.

— Tak, widziałem, że to przyjezdni. Ale o czym rozmawialiście?

— Ci panowie zainteresowali się moją osobą — odparł Ariel.

— Wkrótce będę musiał pana opuścić, mister Kingsley. Serdecznie panu dziękuję za wszystko, co pan dla mnie uczynił, za udzielenie schronienia i okazywaną troskę.

Pastor zamyślił się. Najważniejsza sprawa została załatwiona, a że on sam również sposobi się do wyjazdu, może rzeczywiście będzie lepiej, jeśli Ben pożegna ich pierwszy.

— No, cóż. Jesteś wolnym człowiekiem, Ben, i sam rozporządzasz swoją osobą. Kiedy zamierzasz nas opuścić?

— Jutro. Jeśli pan uważa to za konieczne, mogę jeszcze po raz ostatni zademonstrować cud.

— Bardzo ci się to chwali, mój chłopcze — serdecznie odezwał się pastor i pośpieszył do pokoju córki, aby podzielić się tą niewątpliwie dla niej przyjemną wiadomością.

— Ben odjeżdża!

— Ach, papo, zawsze musisz powiedzieć coś, co mnie wyprowadza z równowagi!

Ojciec popatrzył na córkę ze zdziwieniem i pomyślał, że kobieta była i pozostanie dla mężczyzny wieczną zagadką, nawet jeśli jest to jego rodzona córka!

Rozdział trzydziesty szósty

OSTATNI POKAZ

Pastor Kingsley, pragnąc w odpowiedni sposób uczcić zakończenie swojej działalności misyjnej na terenie Indii, postanowił dać przy udziale Bena ostatnie „przedstawienie galowe”. Miał to być pokaz wzniesienia się świętego w niebo, podobnie jak to uczynił prorok Enoch, który jeszcze za życia został powołany do królestwa niebieskiego.

Pokaz powinien wywołać wzmożenie nastrojów religijnych wśród ludności, a jednocześnie stanowić dogodny pretekst do odejścia Bena.

Obszerne sprawozdanie z działalności misyjnej zostało zaopatrzone w doniesienia o wielkiej liczbie nawróconych na wiarę Chrystusową. Biskup będzie zadowolony i nagrodzi trudy apostołskie Kingsleya wedle zasług. Pastor zacierał ręce, pełen najlepszych oczekiwań. Ben chętnie się zgodził i wszystko zapowiadało się jak najlepiej. Święty wzniesie się do nieba, a pastor zapakuje walizki i tego samego dnia odjedzie do Anglii.

O świcie tego dnia, w którym miała się odbyć uroczystość, na wielkiej łące przed kościołem rozlokowały się grupki wieśniaków i mieszczuchów. Nawet pastuchy przygnały swoje stada bliżej do zagajnika, pragnąc być świadkami nadzwyczajnego widowiska. Z myślą o miejscowych sahibach ustawiono kilka rzędów krzeseł.

Zanim wybiła godzina dziesiąta, przed kościołem zebrały się niezliczone tłumy. Wielu przyjechało z daleka, wierzchem na bawołach, koniach i osłach. Ludzie wspinali się na furmanki, dzieciaki włąziły na drzewa.

Ciotunia Florentyna uszyła dla Bena długie odzienie, na wzór szat, w jakich malarze przedstawiają Chrystusa, a Zuzanna — któż mógłby się spodziewać czegoś podobnego! — uplotła mu wieniec z ciemnoczerwonych goździków.

Tak ubrany, Ariel ukazał się tłumom. Efekt przeszedł wszelkie oczekiwania.

Rozległy się powitalne okrzyki. Pastor wszedł na specjalnie zbudowaną ambonę i uczynił krótki gest. W tłumie zaległa pełna pietyzmu cisza. Z kościoła, którego drzwi i okna zostały szeroko otwarte, rozległy się dźwięki organów. Gdy muzyka umilkła, pastor rozpoczął kazanie, chociaż wyraźnie podekscytowany tłum nie mógł doczekać się jego zakończenia. Pastor musiał więc skrócić swoje wystąpienie.

Ariel wyszedł na środek zielonej łąki, uśmiechnął się, wznosił w górę ręce i powoli zaczął unosić się nad ziemią. Leciutki wietrzyk powiewał połami jego długich szat i igrał w układających się w loki włosach. Było to widowisko, które zatykało dech w piersi.

Przez kilka sekund tłum w milczeniu, jak zaczarowany, obserwował lot Ariela, po czym zafalował i zawrzał. Ludzie rzucili się na kolana, wyciągali w górę ręce i krzyczeli w ekstazie: „O, Panie, dlaczego nas opuszczasz?!” W powszechnym odczuciu Ariel uchodził za boga! Matki unosiły dzieci na ręku i wołały: „Pobłogosław dziecię, Panie!”

Ariel doleciał do wysokiej dzwonnicy, zawisł w powietrzu, gestem rąk prosząc zebranych o ciszę, i gdy tłum się uspokoił, odezwał się głośno:

— Uwaga! Uwaga! Cyrk Chattfielda jest najlepszym cyrkiem w Ameryce i na całym świecie! Uwaga! Już za kilka dni cyrk rozpocznie przedstawienia w naszym mieście! Prosimy nie zwlekać z nabyciem biletów wstępu! Czekają was wielkie emocje, ciekawsze i bardziej atrakcyjne od jakichkolwiek „cudów”!

Następnie Ariel rzucił w tłum wianek, który spadł pod nogi osłupiałej ciotuni Florentyny, wzbił się na znaczną wysokość, przeleciał nad iglicą wieńczącą wieżę kościelną i zniknął za zagajnikiem.

Wkrótce doleciał stamtąd głośny dźwięk klaksonu samochodowego. Jakiś przestraszony osioł wydał przeciągły ryk: „I go go! I go go!...” Zawtórowały mu inne osły, jakby się śmiejąc z pastora Kingsleya, który dał się okpić w taki sposób!

Rozdział trzydziesty siódmy

MIESZKANIEC NIEBA PODPISUJE KONTRAKT

Ariel nie zobaczył, co się działo potem na łące przed kościołem i nawet nie pomyślał o tym, że jego występ oznaczał całkowite fiasko działalności misyjnej pastora Kingsleya. Pastor mógł teraz oczekiwać najgorszego — nawet zesłania do najbardziej zapadłej parafii w prowincjonalnej Anglii!

Syn dyrektora amerykańskich zjednoczonych przedsiębiorstw cyrkowych James Chattfield i dyrektor zarządu wędrownych cyrków Edwin Gregg przybyli do Indii na czele dziesięciu zespołów cyrkowych. Ci dwaj panowie byli odpowiedzialni za występy, jakie odbywały się w namiotach cyrkowych, a przy okazji penetrowali „miejscowy rynek”. Zasadniczym celem ich przyjazdu było zwerbowanie na terenie Indii nowych wykonawców, którzy mogliby wystąpić w Ameryce. Publiczność cyrkowa domaga się wciąż nowych atrakcji, a tymczasem artyści europejscy, ci wszyscy popisujący się na występach gościnnych, woltyżerzy, akrobaci, ekwilibryści czy iluzjoniści, prawie nie odbiegają swoją sztuką od cyrkowców amerykańskich! W tych warunkach egzotyka miałaby szansę powodzenia. Dlatego też Chattfield i Gregg w każdym hinduskim mieście czy nawet wsi, przez które musieli przejeżdżać, odwiedzali bazyry, targowiska i miejsca, gdzie odbywały się obchody jakichś świąt narodowych, i studiowali miejscowy folklor, a także sztukę jarmarcznych akrobatów, zaklinaczy węży, śpiewaków, muzyków i fakirów, a potem

wybierali spośród nich najlepszych i werbowali do swojego cyrku.

Hindusi niezbyt chętnie zgadzali się na porzucanie rodzinnych stron i daleką podróż, ale Gregg pokazywał im dolary, obiecywał karierę, kusił wielkimi zarobkami, i w ten sposób udało im się zebrać nawet dość liczny zespół egzotycznych artystów.

Wraz z Chattfieldem opracowali już nawet wstępnie program efektownego widowiska pod tytułem „Tajemnice Indii”, w którym na tle wspaniałej dekoracji miały wystąpić małpy, papugi, bawoły, słonie i krokodyle, a także fakirzy.

Któregoś dnia w ręce Chattfielda wpadła miejscowa gazeta w języku angielskim, w której był wydrukowany artykuł pod tytułem: „Kim właściwie jest ten człowiek?” Była w nim mowa o tajemniczym latającym człowieku, który od czasu do czasu pojawiał się to w jednym, to w drugim miejscu i w równie niezrozumiały sposób znikał, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu.

Chattfield przeczytał artykuł i śmiejąc się pokazał go Greggowi.

— Ma pan te swoje „tajemnice Indii”, mister Gregg!

Miejscowe gazety nie mają widocznie o czym pisać, skoro zamieszczają takie głupstwa. Wynika z tego, że hinduska publiczność jest jeszcze bardziej naiwna i głupia niż amerykańska. Tak spreparowanej kaczki dziennikarskiej nie puściłby żaden z naszych gazeciarzy!

Gregg uważnie przestudiował artykuł i powiedział:

— Dobrze by było włączyć tego latającego człowieka w skład naszego zespołu.

— No myślę! — James Chattfield pokładał się ze śmiechu.

— Ależ ja mówię poważnie — odparł Gregg. — Rozmawiałem na temat tego latającego człowieka z paroma

spośród zwerbowanych przez nas Hindusów i wszyscy oni twierdzą, że nie jest to czczy wymysł!

— Ale żaden z nich nie widział go oczywiście na oczy?

— Zaklinacz węży... w żaden sposób nie mogę zapamiętać jego imienia... zapewniał mnie, że widział człowieka-ptaka w momencie, gdy tamten porywał z jarmarku jakiegoś chłopca i potem odleciał z nim w niewiadomym kierunku.

Chattfield kręcił głową z niedowierzaniem. Wkrótce jednak musiał uwierzyć w istnienie latającego człowieka. Na trasie, którą posuwali się ze swoim objazdowym cyrkiem, spotykali coraz więcej ludzi, którzy zapewniali ich, że na własne oczy widzieli tego latającego młodzieńca, i nawet wymieniali nazwę miejscowości, w której powinien się teraz znajdować. Zaintrygowany nie na żarty Chattfield wydał nawet decyzję o zmianie trasy, a to w celu odnalezienia człowieka-ptaka.

W ten sposób doszło do spotkania pod kościołem. Najpierw Chattfield i Gregg odbyli z Arielem krótką rozmowę w samochodzie, a potem przystąpiono do poważnego omówienia całej sprawy.

Praktyczni Jankesi nawet nie zainteresowali się, kim właściwie jest Ariel, dlaczego i w jaki sposób lata i jaką ma przeszłość. Gdyby Ariel powiedział im, że jest pozbawionym ciała duchem czy też aniołem — James Chattfield, nie namyślając się nawet pół sekundy, odpowiedziałby mu w sposób następujący: „All right! Proponuję panu kontrakt. Jakie są pańskie warunki?”

Rozmowę Chattfielda z Arielem cechowała taka właśnie rzeczowość.

— Mister... mister?...

— Ben — odparł Ariel.

— All right, mister Ben. Interesuje nas jedynie to, że pan umie latać. Pragniemy zaproponować panu pracę. Będzie pan sobie latać w Ameryce i otrzymywać przyzwoite wynagrodzenie.

Ariel wiedział, że Ameryka znajduje się daleko od Indii. Lecz tam, za oceanem, będzie całkowicie bezpieczny. W jego interesie jest przyjąć tę propozycję, a dopiero potem wrócić tutaj i zabrać przyjaciół. Los wyraźnie uśmiechnął się do niego.

Nie namyślał się długo i wyraził zgodę.

Ta odpowiedź wprowadziła Chattfielda w zakłopotanie. A może rzeczywiście mają do czynienia z aniołem?... Zgodził się i wcale nie spierał o wysokość wynagrodzenia, ba, nawet nie zainteresował się, ile mu będą płacili! Czyżby ten oryginał nie rozumiał, że jest „sans pair”, jak mówią Francuzi, że nikt mu nie dorównuje i że z tego tytułu mógłby zażądać najwyższej sumy? A jeśli nie jest aniołem ani idiotą, najprawdopodobniej jest przestępcą, który pragnie dać nogę za ocean, tam gdzie widocznie nie może dolecieć o własnych siłach... Gregg mówił o porwaniu jakiegoś chłopca, coś w tym musi być... Ale czy w końcu to nie wszystko jedno? Najważniejsze, że jest okazja do zrobienia wielkich pieniędzy.

Starszy i doświadczony Gregg rozgryzł wkrótce Ariela: ten młody człowiek nie znał życia i po prostu nie wiedział, ile jest wart.

— Jeszcze będziemy mieli sposobność, by porozmawiać o warunkach pańskiego engagement. — Gregg wtrącił się do rozmowy w obawie, że synek dyrektora zdradzi się w jakiś sposób przed Arielem i ten dowie się, że jest właściwie unikatem. — Co do wynagrodzenia, na pewno się zgodzimy!

— Chciałbym tylko...

Chattfield i Gregg stali się czujni.

— Słuchamy pana.

— Zanim wyruszymy za ocean, chciałbym odwiedzić parę miejsc. Pragnę spotkać się z przyjaciółmi, i zobaczyć pewną osobę... Bardzo prawdopodobne, iż będzie mi potrzebna pomoc panów. Czy mogę liczyć...

— Ależ oczywiście! Jesteśmy do pana dyspozycji, to się rozumie samo przez się. Wszystko, co pan zechce!

— No i co pan na to, Gregg? — spytał Chattfield, gdy pozostali sami.

— Powiem tylko tyle: znaleźliśmy prawdziwy skarb, mister Chattfield. Doprawdy, Indie to kraina cudów!

— Należałoby pomyśleć o reklamie — zauważył James. Reklama to było jego hobby.

— Ten pastor minął się z powołaniem. Powinien był zostać reżyserem w cyrku. Wymyślił pierwszorzędny numer! Ale dlaczego nie mielibyśmy wykorzystać tego jego pomysłu do reklamy naszych występów? Trzeba omówić sprawę z Benem. Niech do wysokości, powiedzmy, pięćdziesięciu metrów pracuje dla pastora, a wyżej — dla nas. Przecież kupiliśmy Bena. Będzie zachwalał nasz cyrk spod obłoków!

Gregg jednakże sprzeciwił się, gdyż uważał ten pomysł za mało przydatny, a nawet nietaktowny. Uparty James nalegał i Gregg w końcu musiał ustąpić.

Stary Gregg miał rację. „Niebiańska reklama” przyczyniła im niemało kłopotów i zmartwień. Mieli nawet do czynienia z przedstawicielami władz kościelnych i administracją angielską.

Natomiast Gregg okazał się nieustępliwy w innej sprawie. Chattfield, pogrążony w marzeniach o tym, w jaki sposób zaprezentują Ariela w Ameryce, chciał zawiadomić telegraficznie Amerykanów o rychłym przybyciu latającego człowieka, określając go jako „fenomen na skalę światową”.

Gregg, który zjadł zęby na pracy w cyrku i dokładnie zgłębił psychologię widowni, sprzeciwiał się temu stanowczo. Publiczność zechce oglądać latającego człowieka, nie ma co do tego wątpliwości. Na pierwsze pokazy lotów na aeroplanie też waliły tłumy! Na tej imprezie można z pewnością nieźle zarobić, nie wolno jednak zapominać, że ludzie w końcu

przyzwyczajają się do wszystkiego! Czy dzisiaj znajdą się tacy, którzy zechcą bulić forszę, żeby popatrzeć na szybujący samolot? To samo będzie z latającym człowiekiem. Widz, który zobaczy jego występ raz czy drugi, nie da się na to nabrać po raz trzeci.

— Ależ my zdążymy do tego czasu zarobić miliony! — gorączkował się James.

— A dlaczego nie mielibyśmy zarobić grubych milionów? — zaoponował Gregg.

— W jaki sposób? Jak pan zamierza wykorzystać Bena?

— Przede wszystkim niech pan zapomni, że Ben umie latać. Nie trzeba zawiadamiać Ameryki i podczas podróży też niech pan nikomu o nim nie wspomina. Proszę mnie dobrze zrozumieć: publiczność jest wybredna, wcześniej czy później znudzi się jej wszystko prócz jednego — walki. Tak, walki z jej atmosferą rywalizacji, nagłą zmianą sytuacji i niewiadomym finałem. Przed klatką z najbardziej cudacznym zwierzęciem widz zatrzyma się jedynie na chwilę, ale na byle głupie walki kogutów gotów jest patrzeć godzinami! Emocje biorą górę, ludzie denerwują się, zaczynają robić zakłady...

— Wydaje mi się, że zaczynam rozumieć. Pan chyba ma rację — po namyśle powiedział Chattfield.

— W stu procentach — z przekonaniem odrzekł Gregg.

Znalazwszy bezcenny skarb w osobie Bena, Chattfield i Gregg postanowili, że sprawę dalszych występów w Indiach przekażą w ręce długoletniego kierownika jednego z cyrków, a sami bezzwłocznie powrócą z Benem do Ameryki.

Gdy opuścili to zagubione wśród gór miasteczko, w którym pastor samotnie musiał stawiać czoło kłopotom, James spytał Ariela, dokąd chciałby się teraz udać.

Ariel szczerze opowiedział Amerykanom swoją historię. Słuchając go, Chattfield wpadł w prawdziwy zachwyty i co chwila przerywał opowieść wybuchami śmiechu.

Gregg tymczasem myślał tak: „Wygląda na to, że Ben-Ariel padł ofiarą czyichś niecznych knowań. Może jest synem bogatych i znanych rodziców? Nie można wykluczyć tej ewentualności. Lalita? Przedmiot naiwnych młodzieńczych uniesień, nic ponadto. Dlaczego nie mielibyśmy odwiedzić tej młodziutkiej wdowy? Ostatecznie, moglibyśmy zabrać do Ameryki całą trójkę — Lalitę, Nizmata i Szarada i jakoś wkręcić do naszego interesu. Tak, ale Ariel pragnie odwiedzić Dandarata i zobaczyć się z Pearthem!... Lepiej by było tego uniknąć. Wszystko wskazuje na to, że ten Pearth jest wielce niebezpiecznym przeciwnikiem. Obaj z Chattfieldem staniemy oczywiście w obronie Ariela i nie dopuścimy, by Pearth znowu przechwycił go w swoje ręce, ale tak czy owak ryzyko jest ogromne. Ariel, który chętnie zgodził się na wyjazd do Ameryki, żeby tylko znaleźć się jak najdalej od Peartha, teraz sam szuka spotkania z tym człowiekiem. W jakim celu? Jak twierdzi Ariel — ponoć po to, by poznać tajemnicę swojego urodzenia, która bez wątpienia znana jest Pearthowi. Niech będzie... Ale jeśli Ariel, gdy już pozna tę tajemnicę, zechce wrócić na łono rodziny i odmówi wyjazdu do Ameryki?...”

Gregg podzielił się swoimi obawami z Chattfieldem i tym razem panowie bardzo szybko i zgodnie doszli do wniosku, iż należy zapobiec wizycie Ariela w Dandaracie i jego rozmowie z Pearthem. I to za wszelką cenę. A na wypadek, gdyby Ariel mimo wszystko usiłował zobaczyć się z Pearthem i chciał dowiedzieć się od niego o swoim pochodzeniu, należy wziąć od młodzieńca zobowiązanie, iż będzie pracował w ich cyrku co najmniej przez rok. Tylko pod takim warunkiem Chattfield i Gregg obiecują mu swoją pomoc przy spotkaniu z Pearthem. Ariel przyjął ten warunek bez zastrzeżeń.

Rozdział trzydziesty ósmy

WSZYSTKO PRZEMIJA JAK SEN

Wieczorem, w świetle zachodzącego słońca, ukazał się oczom podróżnych marmurowy, zwieńczony złotymi kopułami zespół pałaców Radżkumara. Na ten widok serce Ariela zabiło mocno, gdyż nie był mu obojętny dalszy los rani Szjamy... Gdy przejeżdżali obok pałaców, uważnie patrzył na balkony i mógłby przysiąc, że na jednym z nich zobaczył Szjamę, chociaż mogła to być jakaś inna, podobna do niej kobieta. Potrzebował zaledwie minuty, by przelecieć z samochodu na balkon — ale nie uczynił tego, ponieważ dał Chattfieldowi słowo honoru, że nie będzie latać.

Ukazało się sztuczne jezioro i zagajnik, za którym była chatynka Nizmata. Wzruszenie Ariela sięgało szczytu — pragnął wzbić się w powietrze i pędzić przyjaciółom na spotkanie. Nie chcąc krępować ich swoją obecnością, Gregg kazał szoferowi zatrzymać samochód pod drzewami mango, z których Ariel niegdyś zrywał owoce dla Szarada.

Młodzieniec wysiadł z samochodu i od razu zobaczył Szarada i Lalitę. Rzucił się ku nim, ledwo dotykając stopami ziemi. Gregg odezwał się do Chattfielda:

— Niech pan patrzy, co za szybkość! Zrobimy z niego mistrza świata w sprincie!

Lalita i Szarad, siedzący na stopniach ganku, podnieśli się na widok zbliżającego się sahiba. W pierwszej chwili nie poznali Ariela, ale potem Szarad wykrzyknął:

— Dada! — i rzucił się na spotkanie przyjaciela. Zatrzymał się jednak zmieszany: Ariel nosił europejski garnitur uszyty przez pierwszorzędnego krawca i białą panamę. Włosy miał krótko przystrzyżone.

— Cóż to, nie poznajesz mnie? — śmiejąc się zawołał Ariel, po czym wziął chłopca w ramiona i ucałował kilka razy. Szarad mocno chwycił go za rękę.

Lalita, która również poznała Ariela, schyliła się do ziemi, wykonując pranam (Pranam — powitanie, jakie należy się starszemu ze strony młodszego (przyp. aut.)). Znow wyrósł pomiędzy nimi ten mur jej uwielbienia!... Chciał objąć Lalitę, powiedzieć jej, że ją kocha i pragnie, by została jego żoną, lecz jej ukłon jakby sparaliżował jego ruchy i myśli.

— Witaj, Lalito!... Jak widzisz, spełniam swoje obietnice — w zażenowaniu mówił Ariel, podchodząc do dziewczyny. — Przyjechałem do was... A gdzież to Nizmat?

— Nizmat jest bardzo chory — odpowiedziała Lalita, z zachwytem wpatrując się w Ariela.

Ariel nie zwlekając wszedł do izby. W nadchodzącym zmroku dostrzegł leżącego na macie Nizmata i przywitał się z nim. Oczy starca rozbłysły radością.

— To ty, panie? Lalita miała rację, nie mogłeś umrzeć! I przyszedłeś do mnie... Dzięki ci, dzięki!... — mówienie sprawiało mu trudność. — Umieram, jak widzisz...

— Nie umrzesz, Nizmacie! — odparł Ariel, ujmując wychudzoną rękę starca.

— Wszystko, co zostało zrodzone, musi kiedyś umrzeć — spokojnie odpowiedział Nizmat. — Uschnięte kwiaty nie powinny ranić swoim widokiem oczu, i dlatego się je spala...

Ariel zaczął uspokajać staruszkę. Wprost przeciwnie, Nizmat wkrótce wróci do zdrowia. Ariel przyśle do niego doktora, a potem Nizmat, gdy już odzyska siły, przyjedzie do Ameryki razem z Lalitą i Szaradem. Ariel kocha Lalitę i chciałby ją poślubić.

Nizmat zamyślił się, przymknąwszy powieki i wykonując rękoma powolne ruchy, jakby coś od siebie odsuwał. Potem zaczął mówić. Podziękował Arielowi za tak wielki zaszczyt, jaki im czyni swoją propozycją, i powiedział, że los Lality bardzo mu leży na sercu. Ta dziewczyna oświadczyła stanowczo, że więcej nie wyjdzie za mąż. Przecież ślepa Tara

uprzedzała, że przeklnie swojego syna, jeśli ten ożeni się z Lalitą. I Lalita pierwsza odmówiła Iszwarowi, a wtedy zrozpaczony Iszwar odszedł do miasta i nikt go od tamtego czasu nie widział. Co się stanie z Lalitą, gdy Nizmat umrze?... Ale też nie wolno zapominać, że uboga dziewczyna nie nadaje się na narzeczoną dla bogów, półbogów i sahibów.

— Sam Kriszna czułby się szczęśliwy, mając taką żonę! — gorąco zaprotestował Ariel.

— Ale czy żona czułaby się szczęśliwa w tak niedobranym małżeństwie?

Ariel wpadł w zakłopotanie, ale usiłował przekonać Nizmata, że taki związek jest możliwy.

Rozumiał jednak dobrze, że na razie nie może zabrać stąd dziewczyny. Nie wolno zostawić Nizmata samego, zdając go na wyłączną opiekę Szarada.

— Wrócimy do tej sprawy później — powiedział strapiony i wyszedł na werandę. Ujął dłoń Lality i przemówił do niej:

— Lalito! Przyślę tu do was lekarza i dziadek na pewno wyzdrowieje. Ale w żadnym wypadku nie wzywajcie znachora. Zabije Nizmata, tak jak zabił jego syna. Teraz muszę wyjechać, ale wrócę, na pewno wrócę, Lalito. I zabiorę was do siebie. Gdy tylko dziadek wróci do zdrowia, chcę, żebyś została moją żoną!

Nie odrywał oczu od bladej twarzy Lality. Ta twarz była cudownie piękna, chociaż więcej w niej było cierpienia i lęku niż radości. Ariel uczył ból w sercu. Tak bardzo pragnął uczynić tę dziewczynę szczęśliwą!

— Dlaczego nic nie mówisz, Lalito?

— Nie wiem, co mam ci odpowiedzieć, panie mój.

— Ale przecież... kochasz mnie?

Dziewczyna stała nieruchomo ze spuszczonej oczami. Jej dłoń drżała w dłoni Ariela.

— Ona cały czas czekała na ciebie! Mówiła tylko o tobie! — zawołał Szarad. — Wyjedziemy stąd! Wszyscy razem!

— Poczekajcie chwilę, zaraz wrócę — powiedział Ariel i szybkim krokiem skierował się ku oczekującemu samochodowi.

— Przepraszam najmocniej, ale panowie, jeśli się nie mylę, obiecali mi trochę pieniędzy... — zaczął w zakłopotaniu. — Mój przyjaciel, stary Nizmat, jest bardzo chory, potrzebuje na lekarza i lekarstwa...

Gregg bez słowa sprzeciwu wręczył Arielowi kilka dużych banknotów i przypomniał mu, że muszą pośpieszyć się z odjazdem. W tej chwili Gregga najmniej interesowały pieniądze, najpilniejszą sprawą było wywiezienie stąd Ariela. I jeśli dla biednej hinduskiej rodziny była to suma pokaźna, to w skali obrotów amerykańskiego zjednoczenia przedsiębiorstw cyrkowych stanowiła zaledwie skromniutką pozycję.

Ariel z uczuciem niekłamanej wdzięczności przyjął pieniądze. „Byłem bardzo niemądry — myślał wracając do chaty. — Trzeba było od razu wziąć od nich pieniądze i kupić prezenty dla wszystkich. Fajkę i dobry tytoń dla Nizmata, szarfę i bransolety dla Lality i koszulę z dzianiny w paski dla Szarada. Na pewno by się bardzo ucieszyli!... Przyślę im to wszystko...”

— Masz, Nizmacie, weź te pieniądze — powiedział, stając przy łóżku starca. — Musisz koniecznie zawezwać lekarza! I dobrze się odżywiaj. Będę przysyłał wam pieniądze. Wracaj szybko do zdrowia, Nizmacie, i do widzenia!

— Dzięki ci. Żegnaj! — odpowiedział Nizmat.

Ariel podszedł do stojącej na werandzie Lality i złożył pocałunek na jej czole.

— Żegnaj, moja Lalito! Dbaj o dziadka i o Szarada. Będę wam przysyłał pieniądze i paczki, będę pisał listy i wkrótce wrócę tu po was!

Dziewczyna patrzyła gdzieś w przestrzeń. Gdy odezwała się, głos jej brzmiał jak w malignie:

— Będę czekała na ciebie, lecz sny przemijają... Wszystko mija, jak sen!...

Ariel spojrzał na nią ze zdziwieniem, a potem uśmiechnął się i zawołał:

— O nie, ten sen nie przeminie, miła moja! Czekaj na mnie!

— Zabierz mnie ze sobą, dada! — błagał Szarad, tuląc się do Ariela.

— Bardzo bym się cieszył, gdybyś towarzyszył mi w podróży, Szaradzie. Ale czy Lalita poradzi sobie sama z chorym dziadkiem?

— Tak, to prawda — westchnął Szarad. — Musimy poczekać, aż dziadek wyzdrowieje, i wtedy wszyscy przyjedziemy do ciebie.

— Nie, to ja przylecę po was.

Krokiem powolnym, z ciężkim sercem wracał Ariel do samochodu.

Rozległ się dźwięk klaksonu i auto ruszyło z miejsca.

Ariel siedział pogrążony w głębokiej zadumie. Dlaczego musiał zostawić swoich przyjaciół? Dlaczego musi jechać do dalekiej, nie znanej Ameryki? Co go tam czeka? Czy nie powinien jednak pozostać z Lalitą, Szaradem i Nizmatem?.. Tak, ale wtedy znów by się stał bezbronnym człowiekiem-ptakiem, igraszką losu, ofiarą w ręku złych ludzi. Tutaj niechybnie czekała go zguba, jego i Lalitę... Decyzja, jaką podjął, była słuszna. Najpierw trzeba wywalczyć sobie miejsce na ziemi, stanąć na nogi, dowiedzieć się wszystkiego o sobie i swojej przeszłości i dopiero potem połączyć się z przyjaciółmi, wtedy już na zawsze.

Jechał, a w jego uszach wciąż dźwięczały tajemnicze słowa Lality:

„Sny przemijają... Wszystko mija, jak sen...”

Rozdział trzydziesty dziewiąty

„WZNIOSŁA” ROZMOWA

Zarówno Pearth, jak też towarzystwo teozoficzne z biegiem czasu pogodzili się z myślą o utracie Ariela. Latający człowiek sprawił, że opinia publiczna jeszcze raz zajęła się jego osobą w związku z „cudem pastora Kingsleya” — który, jak doniosła prasa, okazał się sprytnie obmyślona reklamą amerykańskiego zjednoczenia przedsiębiorstw cyrkowych — po czym zniknął, z całą pewnością uprowadzony przez tych amerykańskich cyrkowców. Pearth doskonale rozumiał, że nie zdoła wyrwać go z ich rąk; natomiast mógłby to uczynić opiekun Ariela, Boden. Pearth napisał więc zaadresowany do Londynu list do panów Bodena i Haslona, w którym wyjaśnił sytuację.

„Jeśli jeszcze kiedykolwiek usłyszymy o latającym człowieku — pisał — to najprawdopodobniej z terenu Stanów Zjednoczonych, i tam właśnie powinny być skierowane prowadzone przez Panów poszukiwania”.

Pearth kocim krokiem szedł przez dziedziniec Dandaratu, kierując się do swojego gabinetu. Na niebie nie było ani jednej chmurki, słońce dopiero co wzeszło nad widnokretem, ale powietrze było już mocno rozgrzane. Zamarły ostatnie podmuchy orzeźwiającego porannego wietrzyka. Podwórce i budynki szkoły przepęłniała zwykła cisza, jedynie żwir poskrzypywał pod powolnymi krokami Peartha.

Wtem jego czujny słuch ułowił odgłos zbliżających się kroków. Obejrzał się szybko i zobaczył nadchodzącego od

strony bramy Ariela, wydorosłego i ubranego w pierwszorzędnie skrojony biały garnitur.

Ten nieoczekiwany widok poraził Peartha jak grom z jasnego nieba. Ucieszył się, ale natychmiast odzyskał swoją zwykłą czujność: zbyt pewny siebie i zbyt twardy był krok zbliżającego się ku niemu młodego człowieka, za którym w pewnej odległości postępowali jacyś dwaj dżentelmeni!

Pearth wiedział, że na jego wołanie o pomoc niezwłocznie przybiegną wychowawcy, opiekunowie i słudzy. Dlatego też, przywoławszy na twarz wyraz miłego zaskoczenia i udając, że dopiero teraz poznaje Ariela, pośpieszył ku niemu z przyjaźnie wyciągniętymi rękami.

— Jakże się cieszę, że znowu ciebie widzę, Arielu! To bardzo dobrze, że postanowiłeś wrócić do nas! — Mocno ścisnął prawą dłońią przegub lewej ręki Ariela, ale gdy chciał zamknąć w równie przyjacielskim uścisku także jego prawą rękę, Ariel szybko chwycił swoją prawą dłońią przegub lewej ręki Peartha. Stali tak i patrzyli sobie w oczy, spleceni mocnym wzajemnym uściskiem dłoni, i każdy z nich usiłował odgadnąć zamysły drugiego.

„Niech to wszyscy diabli!... Który z nas dwóch jest łowcą, a który zwierzyną?” — myślał zaniepokojony Pearth.

Dżentelmeni, którzy postępowali z tyłu za Arielem, zatrzymali się i z zaciekawieniem obserwowali tę scenę.

— To w takim razie może przejdziemy do mojego gabinetu? Będzie nam tam wygodniej rozmawiać... Czy nie jesteś głodny, Arielu? A może czujesz się zmęczony po podróży? — zapytał Pearth, który ledwo panował nad swoim głosem.

— Mister Pearth! — stanowczo rzekł Ariel, nie odpowiadając na postawione pytania. — Przyszedłem, żeby dowiedzieć się od pana tajemnicy swojego urodzenia. Pan powinien udzielić mi odpowiedzi natychmiast.

Pearth ku własnemu zdziwieniu zaczął zwracać się do Ariela per pan:

— Pan został przywieziony do Dandaratu piętnaście lat temu przez jakiegoś nie znanego mi osobnika. Nie powiedział mi, jak się pan nazywa i nic nie wspomniał o pańskim pochodzeniu. W szkole Dandaratu mamy wiele takich dzieci. Dłoń Ariela zacisnęła się mocniej i Pearth raptem poczuł, że młodzieniec wlatuje razem z nim w powietrze. Ogarnęło go przerażenie, ręce zrobiły się zimne jak lód. Chciał krzyknąć, lecz zrozumiał, że tylko pogorszy tym swoją sytuację. Ariel ma wspólników, bardzo możliwe, że ci dwaj — to płatni mordercy. Ariel porwie go i gdzieś za murami Dandaratu da upust swojej zemście... Więc Pearth uchwycił się kurczowo lewej ręki Ariela, w obawie, że straci ten punkt zaczepienia i spadnie na ziemię.

Ariel uniósł Peartha nad ścieżką, zawisł nieruchomo w powietrzu i oświadczył:

— A więc możemy kontynuować naszą rozmowę, tutaj nikt nam nie przeszkodzi. Niech pan posłucha, mister Pearth!

Głos Ariela brzmiał groźnie, chociaż wyczuwało się w nim zmęczenie — Pearth był dość ciężki.

To łatwo powiedzieć: „Niech pan posłucha!” Pearth dzwonił zębami i w dalszym ciągu zerkał z przerażeniem w dół, na wysypaną żółtym żwirem ścieżkę.

— Jeśli pan natychmiast nie ujawni całej prawdy, dotyczącej mojej osoby, puszcę pana prawą rękę i zacznę kręcić panem młynka, aż pan spadnie i połamie sobie, wszystkie kości. A może woli pan zmierzyć się ze mną — tutaj, w powietrzu?

— Powiem... powiem całą prawdę... — z trudem wykrztusił Pearth, gdyż ze strachu głos odmówił mu posłuszeństwa.

Ariel, nie wypuszczając Peartha, szybko podleciał do zdumionych współtowarzyszy, Chattfielda i Gregga, i oddychając ciężko opuścił się obok nich.

— Mister Gregg... czy będzie pan uprzejmy zanotować zeznania tego oto człowieka?...

Gregg natychmiast wyjął notes i wieczne pióro. Pearth jakimś dziwnym głosem, jakby miał katar, opowiedział wszystko, co mu było wiadomo o Arielu. Podał także adresy Bodena i Jane Galton.

Ariel wypuścił z uścisku dłoni Peartha i powiedział:

— Może pan odejść. Proszę jednak pamiętać, jeśli zeznania są fałszywe...

— Są absolutnie prawdziwe! — wykrzyknął Pearth. Zgarbiony, na uginających się nogach powłókł się przez podwórze do swojego gabinetu.

— Jak pan widzi, dotrzyaliśmy naszej obietnicy. Chcielibyśmy nie wątpić, że pan również dotrzyma swojej — odezwał się James i popatrzył na Ariela pytającym wzrokiem.

— Dotrzymam na pewno. Jadę z panami do Ameryki. Siostra może tam do mnie przyjechać, napiszę do niej — odpowiedział Ariel, po czym razem z obydwoma Amerykanami skierował się do samochodu.

Rozdział czterdziesty

NIEZWYCIĘŻONY BINOY

Chattfield senior wyraził wielkie zadowolenie z powodu indyjskiej „zdobyczy”. Plan Gregga został zaakceptowany w całej rozciągłości przez prezesa zjednoczenia przedsiębiorstw cyrkowych.

Nikt w Ameryce nie może dowiedzieć się, że Binoy-Ben-Ariel-Aureliusz Galton jest człowiekiem, który umie latać! Co prawda, słuchy o nim dotarły nawet do Ameryki, ale donosząca o tym notatka prasowa została skwitowana śmiechem jako kaczka dziennikarska. No i nikt nie znał tutaj Ariela z wyglądu.

Chattfield wytłumaczył Arielowi, na czym będzie polegała jego rola: Ariel w żadnym wypadku nie powinien zdradzić się z tym, że umie latać — natomiast, wykorzystując tę swoją umiejętność, przystąpi do bicia światowych rekordów w biegu, pływaniu, skokach przez płotki i gimnastyce akrobatycznej.

Szkolenie Ariela przebiegało pod kierunkiem Gregga i Chattfielda i trwało dosyć długo. Arielowi oczywiście nie sprawiało żadnej trudności pokonywanie nawet najwyższych przeszkód czy przelatywanie pod kopułą cyrku z jednego trapezu na drugi, umieszczony od pierwszego w znacznej odległości. Trudności w jego wyszkoleniu polegały na czym innym: chodziło o to, by jak mówił mający wielkie doświadczenie Gregg, nie przekroczyć granicy fizycznych możliwości ludzkiego organizmu. Ariel musiał nauczyć się pracować tak, żeby publiczność widziała rzeczy zadziwiające, ale nie nieprawdopodobne. Musi być bardzo uważny: na przykład, przy skoku wzwyż trzeba obliczyć maksymalną wysokość podskoku, żeby być lepszym od aktualnego mistrza w tej dyscyplinie zaledwie o kilka centymetrów!

Obaj Chattfieldowie i Gregg umożliwili mu treningi na bieżni z najlepszymi zawodnikami. Szkolenie odbywało się zawsze na jakimś odludziu. Ariela zapoznano z najrozmaitszymi sposobami, stosowanymi przez poszczególne szkoły biegu i nauczono wszystkich chwytów; natomiast przed trenerami musiał udawać zmęczenie i przerywany oddech.

Domagano się, aby w czasie biegu czy zawodów pływackich, celem podtrzymania napięcia na widowni, Ariel raptem zaczynał udawać, że traci oddech, i pozwalał wyprzedzać się rywalom, aby potem, dosłownie w ostatniej sekundzie, wysunąć się na czoło i dojść do mety jako pierwszy.

Jednym słowem, powinien był zachowywać się jak sprytny gracz, który dopiero w ostatniej chwili ujawnia swoją miażdżącą przewagę!

Numery cyrkowe były przygotowywane w przeznaczonym do tego celu specjalnym namiocie. Chattfielda juniora szczególnie interesowały popisy na koniach — triki jeździeckie i wykonywane w pełnym galopie salto mortale. Jak należało tego oczekiwać, Ariel wyczyniał prawdziwe cuda, tak że stary Gregg, ku niezadowoleniu młodego Chattfielda, musiał wtrącać się co chwila.

— No nie, to już przesada! Nie wolno panu wykonywać poczwórnego salto mortale! — gniewnym głosem powstrzymywał zapędy Ariela.

Zanim jeszcze szkolenie Ariela dobiegło końca, Chattfield junior, nie żałując pieniędzy zjednoczenia — wszystko powinno się zwrócić z nadwyżką! — rozpoczął gigantyczną, nawet jak na stosunki amerykańskie, kampanię reklamową.

Nikt jeszcze nie widział Binoya na oczy, a już wiadano o istnieniu tego „fenomenu odkrytego w tajemniczej dżungli indyjskiej”. Gazety i czasopisma zamieszczały jego podobizny, rozlepiano plakaty i afisze z jego portretami. Amerykanie poznali rysy twarzy Ariela równie dokładnie, jak rysy twarzy swojego prezydenta!

Kibice sportowi marzyli o spotkaniu z nim i dążyli do tego wszelkimi sposobami. Zapaleni gracze z góry robili zakłady, gazety pęczniały od mnóstwa wyszperanych przez dziennikarzy sensacji na temat przyszłych występów „Niezwyciężonego”

„Niezwyciężony Binoy” — taki przydomek Ariel otrzymał niejako tytułem zaliczki, zanim jeszcze wystąpił przed publicznością. Trzeba przyznać, że zasłużył nań, gdyż już pierwsze występy zapoczątkowały pasmo jego rewelacyjnych sukcesów.

Ariel zwyciężał jednego mistrza świata po drugim. Najbardziej zdumiewające było to, że ten młody człowiek ustanawiał nowe światowe rekordy w różnych dyscyplinach sportu. Noszono go na rękach w dosłownym znaczeniu tego słowa — i wtedy Ariel dokładał starań, żeby nadać swojemu ciału normalną wagę. Ale grać i nigdy nie przegrywać — to zbyt ryzykowne. Renomowani zawodnicy, którzy przegrali z Arielem, szemrali i nawet przebąkali coś na temat perfidnego oszustwa. Poza tym różne zakłady zatraciły smak ryzyka.

Chattfieldowie i Gregg doszli do wniosku, że najwyższy czas, aby zastosować wypróbowany w ich zawodzie chwyt, a tym samym wyśrubować zainteresowanie widowni do maksimum: Binoy musiał ponieść szereg „porażek”, po których nastąpiły jeszcze bardziej olśniewające zwycięstwa.

Czas mijał. Ariel odwiedził prawie wszystkie większe miasta amerykańskie, przysparzając przedsiębiorstwu Chattfieldów zysków, o jakich dotychczas nie wspominała historia cyrku!

Chattfield senior coraz pilniej przyglądał się odnoszącemu sukcesy Arielowi, myśląc: „No, ten to już teraz na pewno upomni się o podwyżkę gaży!” Mylił się jednak, jeśli sądził, że Ariela ogarnęła żądza posiadania. Gdy tylko Ariel zaczął dobrze zarabiać, z Ameryki do dalekiego zakątka Indii popłynęły przekazy pieniężne i paczki. Tym razem Ariel nie zapomniał ani o szarfie i bransoletkach dla Lality, ani o ubrankach dla Szarada czy fajce i tytoniu dla Nizmata. Powodzenie nie uderzyło mu do głowy i nie zapomniał o swoich przyjaciółach. Od czasu do czasu otrzymywał od nich listy, pełne wyrazów miłości i wdzięczności. Nizmat wyzdrowiał, wszyscy czekają na niego... I Ariel nieraz gotów był rzucić wszystko i podążyć ku chatce ukrytej w cieniu banianu!

Pomagał finansowo również pracującym w cyrku biedakom. Sława i pieniądze pozwoliły mu ujawnić w całej pełni kierujące nim prawdziwe ludzkie, szlachetne uczucia.

Rozdział czterdziesty pierwszy DWA ŚWIATY

Któregoś dnia, gdy Ariel, po odniesieniu zwycięstwa w jednym z najbardziej trudnych numerów programu, kłaniał się rozentuzjasmowanej widowni, wzrok jego padł na lożę, znajdującą się przy arenie. Ku swojemu zdziwieniu zauważył w niej młodą dziewczynę, która, oparta rękoma o poręcz, patrzyła na niego z wyrazem smutku na twarzy. Ta twarz wydała mu się znajoma. Ależ tak!... Była to ta sama dziewczyna, którą widział w czasie swojej choroby w Indiach, kiedy to znów trafił w ręce Peartha. Siostra! Czyżby to była jego siostra Jane?... No tak, przecież zaraz po przybyciu do Ameryki wysłał pod jej londyńskim adresem telegram...

Ukłoniwszy się widowni niezliczoną ilość razy, Ariel, pełen wzruszenia, udał się do swojej garderoby.

A może się jednak myli?... Zamyślony, zaczął się przebierać, gdy ktoś z obsługi wręczył mu bilet wizytowy, na którym było wydrukowane: „Lady Jane Galton. Londyn”. Niżej widniał dopisek ołówkiem, skreślony zamaszystym, prawie męskim charakterem pisma: „Czekam przed wyjściem. J.G.”

Pamięć podsunęła mu mgliste wspomnienie: „Jane Galton... Tak, to bez wątpienia ona! Moja siostra!”

Ariel szybko przebrał się i wyszedł na ulicę. Zdezorientowany, kluczył wśród zaparkowanych dookoła samochodów. Ktoś z tłumu rozpoznał go, wybuchły owacje. Ariel rozglądał się w zakłopotaniu, z przyzwyczajenia kłaniając się na wszystkie strony.

O, jest!... Ariel podszedł do Jane, nie wiedząc, jak ma się z nią przywitać. Ona pierwsza wyciągnęła do niego rękę. Był to gest oschły, jakby pragnęła w ten sposób zapobiec zbyt żywemu okazaniu przez brata rodzinnych uczuć. Ariel w zakłopotaniu uścisnął podaną mu dłoń, obciążoną brązową gienzową rękawiczką. Zauważył, że siostra nie jest w najlepszym nastroju.

— Zaraz zajedzie samochód — powiedziała Jane.

Pośpiesznie wszedł do wozu. Dopiero gdy wydostali się z sunącego nieprzerwanie huczącego strumienia samochodów, Jane zwróciła ku niemu twarz. Uśmiechnęła się nieznacznie i zapytała:

— Poznałeś mnie, Aureliuszu?

— Oczywiście, Jane! Wtedy, w Indiach, byłaś tak blisko... Gdybym był wówczas wiedział!... — Ujął jej rękę, ale wyrwała mu ją i powiedziała szybko:

— Porozmawiamy o wszystkim w hotelu!

Gdy weszli do apartamentu zajmowanego przez Jane, dziewczyna wzięła brata za obie ręce i ze smutkiem w oczach długo patrzyła mu w twarz. Potem pocałowała go w czoło.

— Nareszcie cię odzyskałam, Aureliuszu!

— A ja ciebie! — odpowiedział, wciąż jeszcze nie mając odwagi pocałować jej. Usiedli.

— Nie pisałam do ciebie, ponieważ chciałam najpierw uzyskać informacje... Tyle już razy mnie wprowadzano w błąd... Ale nie mam cienia wątpliwości, że to ty jesteś moim bratem. Masz, popatrz. Tak wyglądali nasi rodzice.

Jane otworzyła kasetkę i podała Aureliuszowi fotografię. Ujrzał młodą kobietę o smutnych oczach i stojącego obok niej uśmiechającego się zarozumiale korpulentnego mężczyznę w surducie z baretką orderową na piersi.

Ariel nie mógł się powstrzymać od okrzyku:

— Czyżbym miał w przyszłości wyglądać tak jak ojciec?

— Byłoby źle, gdybyś miał wyglądać inaczej — w odpowiedzi Jane zabrzmiał wyrzut.

— Ale te zmarszczki, ten brzuszec...

— Starość nie oszczędza nikogo. Nasz ojciec był człowiekiem godnym szacunku, Aureliusz! — kontynuowała Jane mentorskim tonem. — Właśnie to miałam na myśli. Mówiono o nim: „ten kryształowy człowiek”. W jego żyłach płynęła arystokratyczna krew jednego z najszlachetniejszych rodów Anglii. Był powszechnie szanowanym obywatelem swojego kraju, praktykującym chrześcijaninem i bardzo dobrym gospodarzem... Pozostawił tobie wielki majątek, niestety, znacznie uszczuplony przez opiekunów, Bodena i Haslona, jak stwierdził mister Dotaller.

Ariel zaczął rozumieć, do czego zdąża Jane.

— No więc cóż?... W nas obojgu płynie więc arystokratyczna krew. Wydaje mi się jednak, że nie uczyniłem nic, co mogłoby dać powody do robienia mi jakichkolwiek zarzutów.

Jane westchnęła.

— Nie czynię ci żadnych zarzutów. Ale pewne rzeczy mnie martwią... Co powiedziałby nasz świętej pamięci ojciec, sir Tomasz Galton, gdyby dowiedział się, że jego syn jest cyrkowcem?

Ariel uniósł się oburzeniem:

— Przecież wiesz, Jane, dlaczego tak się stało! Osobiście uważam, że żaden zawód nie hańbi. To jest uczciwy fach i zarabiam całkiem przyzwoicie.

— Naturalnie, nie wolno stawiać znaku równania pomiędzy cyrkowcem, a powiedzmy, bandytą czy fałszerzem pieniędzy — z niezadowoleniem zgodziła się Jane. — Ale to, co może być dobre dla hołoty, jest nie do pomyślenia dla syna lorda. — I nie dopuszczając słowa sprzeciwu z jego strony, ciągnęła dalej: — A to twoje latanie? Teraz nie latasz, ale ja przecież znam sekret twoich sukcesów. Widziałam na własne oczy, jak

odlatywałeś przez okno, wtedy, w Indiach. Człowiek, który lata, upodabnia się do owada czy ptaka, a to jest sprzeczne z wszelkimi prawami boskimi i ludzkimi! Biorąc pod uwagę naszą pozycję, jest w tym coś nieprzyzwoitego. Fruwający lord — ach, pomyśl tylko, Aureliuszu!... Szoking! Coś ohydneho! Nie wiem nawet, jak to określić...

„A przecież latają ludzie aeroplanami!” — chciał zaprzeczyć Ariel, tak jak powiedział kiedyś Lalicie. Ale w oczach Lality był prawie bóstwem, dla Jane zaś wszelka myśl o czymś podobnym była wręcz upokarzająca.

— Wiem, co chcesz mi powiedzieć, Aureliuszu — szybko mówiła dalej Jane. — Oczywiście, nie ponosisz żadnej winy za to, że zrobiono z ciebie jakieś latające monstrum. Ale błędy — swoje i cudze — należy naprawiać. Na szczęście, nikt w Anglii nie zna twojej historii, wszyscy myślą, że studiujesz w Oxfordzie, a więc wszystko jeszcze da się naprawić. Ale ty musisz — i to na zawsze, słyszysz? — zapomnieć o tym, że umiesz latać, jeśli tej twojej wady nie da się usunąć operacyjnie... Zasięgałam w tej materii rady mister Peartha. Niestety, tamten szalony uczonek, który uczynił ciebie latającym człowiekiem... Nie pamiętasz przypadkiem, jak się nazywał?

— Charles Hyde.

— Właśnie. Tego Hyde'a nie ma już wśród żyjących. Zdarzył mu się jakiś wypadek. O ile wiem, on również zapragnął stać się latającym człowiekiem, coś tam poplątał przy eksperymencie, podskoczył do sufitu, spadł i roztrzaskał sobie głowę. Nastąpił wylew krwi do mózgu i śmierć... Śmierć godna takiego szaleńca!... — w głosie Jane dały się słyszeć złośliwe nutki. — A jeśli zwrócimy się do innych uczonych, ryzykujemy, że cała historia nabierze rozgłosu, a poza tym wątpię, czy ktokolwiek zdoła ci pomóc. Dlatego też widzę tylko jedno wyjście: musisz zapomnieć o tej swojej...

ułamności i nigdy nawet nie próbować unosić się w powietrze, nawet gdyby na twoich oczach tonęła dziecko... A poza tym — kontynuowała Jane po krótkiej przerwie — Powinieneś natychmiast zerwać kontrakt z cyrkiem, porzucić ten cygański tryb życia i wrócić ze mną do Anglii.

— Ależ... jestem związany kontraktem...

— Honor rodziny wart więcej niż pieniądze. Myślę, że posiadane przez nas środki pozwolą nam na zapłacenie odszkodowania...

Zamilkła. Ariel również się nie odzywał. Nie zgadzał się z Jane. Inaczej wyobrażał sobie to spotkanie z siostrą! Myślał, że Jane jest inna...

— Uważam, że należy uprzedzić mister Chattfielda i wyrazić zgodę na kilka przedstawień pożegnalnych — zaczął niepewnie.

— W żadnym wypadku! Popęnilibyśmy wielki błąd!

Jak na razie, wszyscy uważają cię za jakiegoś bliżej nieznanego Hindusa. Ale już moje pojawienie się może skierować uwagę ludzi na inne tory, a potem zaczną się dochodzenia... Wiesz przecież, że jesteś nie lada gratką dla dziennikarzy, którzy śledzą każdy twój krok i wciąż usiłują wywęszyć coś nowego z przeszłości „latającego człowieka”. I jeśli dowiedzą się prawdy o nas — będzie to koniec zarówno dla ciebie, jak i dla mnie. Nie zniosę hańby, która okryje naszą rodzinę, i pozostanie mi jedynie ucieczka do klasztoru. Dlatego uważam, że powinniśmy wyjechać stąd natychmiast. Mam już zamówione bilety na statek. Musisz pójść po swoje rzeczy i wrócić tutaj. Twoich cyrkowców zawiadomimy o naszej decyzji, gdy już będziemy na pełnym morzu, a resztę załatwi z nimi Dotaller. To jest naprawdę wyjątkowo uczciwy człowiek!

— Dzisiaj wieczorem jestem wolny, ale jutro mam występ i bilety już są wyprzedane, jak zawsze zresztą. W kasie wisi o tym powiadomienie — z dumą odezwał się Ariel.

— Wielka mi rzecz, zwrócą ludziom pieniądze za bilety i tyle! Przecież możesz nagle zachorować? Dosyć już ci panowie zarobili na tobie i twoich występach!

Ariel pragnął teraz jednego: skończyć wreszcie tę rozmowę.

— Dobrze, Jane, jak sobie życzysz. Przyjadę do ciebie, jak tylko się spakuję — powiedział niecierpliwym tonem.

— Musisz zdążyć przed północą — Jane spojrzała na zegarek i dodała: — Statek wypływa jutro o ósmej. Mamy jeszcze trochę czasu. Teraz opowiem ci bardziej szczegółowo o naszej rodzinie i ludziach, z którymi utrzymuję stosunki towarzyskie, a którzy będą wkrótce również twoimi przyjaciółmi, i o Londynie.

Był już późny wieczór, gdy Ariel powrócił do hotelu. Rozmyślał nad ultimatum, które postawiła mu siostra.

Rozdział czterdziesty drugi NIESZCZEŚLIWA MATKA

Obok drzwi swojego pokoju Ariel zastał młodą, elegancko ubraną kobietę. Oczy miała zaczerwienione od łez, na twarzy malował się niepokój.

— Mister Binoy! — przemówiła kobieta przerywanym ze wzruszenia głosem. — Czekam na pana już tyle godzin... Byłam w cyrku na popołudniowym przedstawieniu, pragnęłam się z panem zobaczyć, ale powiedziano mi, że odjechał pan w towarzystwie jakiejś damy... W administracji cyrku podano mi adres, więc przyjechałam i postanowiłam czekać na pana pod drzwiami... Mój Boże, jakie to było straszne!... Godziny mijały, a przecież każda minuta...

— I przez tyle godzin stała pani tutaj, pod drzwiami? — ze współczuciem zapytał Ariel.

Był już przyzwyczajony, że wciąż go ktoś nagabywał, przede wszystkim wielbicielki i wielbicielki, ale ta kobieta nie była do nich podobna. Nie ulegało wątpliwości, że przywiódł ją tutaj dramat osobisty... Lecz w jaki sposób on, Ariel, może jej być pomocny?

Szybko otworzył drzwi i zaprosił kobietę do pokoju. Tak jak stała, w drogim futrze i kapeluszu, kobieta rzuciła się przed nim na kolana.

— Pan, tylko pan może pomóc nieszczęśliwej matce, która na kolanach śmie pana błagać...

— Proszę, niech pani wstanie! Na Boga!... Proszę usiąść, proszę się uspokoić. Słucham panią.

— Nie wstanę, dopóki pan nie przyrzeknie, że pomoże mi w moim nieszczęściu!... Boże, ile ja wycierpiałam... Kobieta rozplakała się żałośnie.

— Ależ oczywiście, pomogę pani, jeśli tylko będę mógł. Chociaż bardzo się spieszę i mam mało czasu...

— Zabiorę panu najwyżej kwadrans, Arielowi wreszcie udało się podnieść kobietę i posadzić w fotelu. Wyjęła perfumowaną koronkową chusteczkę, którą przyłożyła do oczu, po czym zaczęła opowiadać swoją historię co chwila przerywaną łkaniem.

Mister Binoy jest cudzoziemcem i ma prawo nie orientować się w stosunkach panujących w tej strasznej Ameryce i w tym potwornym mieście, Nowym Jorku. Żaden zamożny człowiek nie może czuć się tutaj bezpieczny... Czy mister Binoy słyszał może o gangsterach? Nie? Amerykański złoczyńca wielkiego kalibru w niczym nie przypomina paryskiego apasza! Czy mówi mu coś nazwisko Al Capone? Nie? Wielu takich jak Al Capone grasuje po Ameryce! Najwięksi z gangsterów to prawdziwi bogacze! Mają własne domy, samochody, jachty i

pokażne konta bankowe. Policja siedzi u nich w kieszeni, więc gangsterzy działają całkiem bezkarnie, rabują banki i na ulicach w biały dzień porywają milionerów i — co już jest całkiem potworne! — ich dzieci... Potem domagają się od rodziców okupu, a gdy go otrzymują, tak czy owak zabijają dziecko... I chociaż to się może wydać dziwne, ale im człowiek w Ameryce jest bogatszy, tym mniej może liczyć na pomoc policji, gdy w grę wchodzi gangsterzy...

Kobieta głęboko westchnęła.

— Proszę mi wybaczyć, jeśli, zdaniem pana, wdałam się w niepotrzebne szczegóły — kontynuowała po chwili. — Ale to konieczne, żeby pan dobrze zrozumiał, w jakiej znalazłam się sytuacji... — znowu przytknęła chusteczkę do oczu. — Nazywam się Warrender. Oboje z mężem należymy do jednych z najbogatszych ludzi w Stanach. Ale największym naszym skarbem jest jedyny syn, Sam. Ma dopiero trzy lata... I ten nasz syn... został.. porwany. Grozi mu straszna śmierć!

Kobieta zaczęła szlochać. Ariel był wstrząśnięty.

— Proszę się uspokoić, Mrs. Warrender! Proszę napić się wody. W czym mógłbym być pani pomocny?

Wypiła parę łyków, żeby jej zadzwoniły o brzeg szklanki.

— Dziękuję... Zaraz wszystko wytłumaczę. Otrzymaliśmy kilka listów, w których bandyci domagają się okupu w wysokości pięciu milionów dolarów. Mąż był zdecydowany zapłacić tę sumę natychmiast, ale mój brat przekonał go, że z tym należy poczekać. Jeśli bandyci otrzymają pieniądze, mogą zabić Sama, mojego malutkiego synka... — Mrs. Warrender zadrżała. — Mark, mój brat, chce grać na zwłokę, by mieć czas na podjęcie jakichś kroków... Policja, ma się rozumieć, została przekupiona przez bandytów. „Robimy wszystko, co w naszej mocy, ale jak dotychczas, nie wpadliśmy na ślad przestępców, którzy porwali syna państwa” — to są słowa szefa policji. Wtedy zwróciliśmy się, a właściwie nie my,

tylko mój brat Mark, gdyż oboje z mężem po prostu straciliśmy głowy... więc Mark wynajął prywatnych detektywów, dobrze im zapłacił i ci panowie dowiedzieli się coś niecoś. Właściwie to nawet sporo. Dowiedzieli się, gdzie znajduje się mój syn. Policja szukała go, czy też udawała, że szuka, w slumsach, na peryferiach miasta i nawet w górach, a on, biedactwo, jest więziony w samym centrum miasta, na dziewięćdziesiątym drugim piętrze jednego z największych wieżowców... Któż by pomyślał!... A teraz najważniejsze...

Pani Warrender zamilkła, popatrzyła na Ariela i zadała mu całkiem nieoczekiwane pytanie:

— Mister Binoy, czy potrafi pan latać?

— Ja? Latać? Skąd ten pomysł!... Dlaczego pani zadaje mi to pytanie?

— Dlatego, że od pana odpowiedzi zależy los mojego synka. To jest oczywiście coś niezwykłego, całkiem nie do pomyślenia. Ale to nie ja wpadłam na ten pomysł, i niech się panu nie wydaje, że oszalałam z rozpacz. Jeden z detektywów, o których panu wspomniałam, osobnik nadzwyczaj spostrzegawczy i roztropny, powiedział mi, że doszedł do wniosku, iż pan umie latać, i że w tym właśnie należy szukać sekretu pana sportowych sukcesów.

Ariel poczuł się zakłopotany i nie wiedział, jak ma zareagować na te słowa, ale kobieta nie zauważyła jego zażenowania i kontynuowała:

— Ten detektyw, Toots, przez dłuższy czas obserwował pana w czasie zawodów i coś tam wyliczał, a poza tym skompletował cały materiał prasowy na temat „latającego człowieka” z Indii... Pan przyjechał z Indii, prawda?... I powiedział nam: „Jedynym człowiekiem, który może uratować synka państwa, jest mister Binoy, jeśli oczywiście się zgodzi. Musicie go państwo o to poprosić!” Więc postanowiłam przyjść tutaj i błagać pana...

Zrobiła ruch, jakby znów chciała uklęknąć, ale Ariel powstrzymał ją.

— Bardzo proszę, niech pani siedzi spokojnie — rzekł niemal rozkazująco. — Niech pani pozwoli, że się zastanowię, czy będę mógł pomóc jej w czymkolwiek.

Więc, jak się okazuje, w Ameryce również znaleźli się ludzie, którzy domyślali się, że to on jest tym latającym człowiekiem! Z tego wynika, że jego cudowna umiejętność wkrótce przestanie być tajemnicą. I wtedy wybuchnie awantura nie z tej ziemi! Można sobie wyobrazić wściekłość graczy, którzy przegrywali, stawiając na jego przeciwników! Odgadnięcie tajemnicy tych sukcesów sportowych pociągnie za sobą odsłonięcie tajemnicy jego urodzenia... I wywoła nowy skandal towarzyski, który tym razem ugodzi w Jane. Bo czyż europejskie przesady są czymś lepszym od azjatyckich zabobonów? Jane nie jest taka, jaką sobie wymarzył, ale to jest jego siostra. Trzeba wyjechać stąd, i im prędzej, tym lepiej — postanowił Ariel.

Ale w jaki sposób ma przedtem spełnić prośbę pani Warrender?

Jest matką i chyba liczy na to, że latający człowiek zdoła uratować jej dziecko, wlatując przez okno na dziewięćdziesiąte drugie piętro drapacza chmur. Jego lot nad miastem będzie natychmiast dostrzeżony przez bardzo wielu ludzi... Jane bez wątpienia oburzyłaby się na samą myśl o czymś podobnym, nawet jeśli jest to jedyna możliwość wyrwania dziecka z rąk gangsterów. Ale Jane nie ma przed oczami twarzy tej nieszczęśliwej matki! Matki malutkiego Sama! Czy ktokolwiek może pozostać obojętny na los bolejącej matki?

Poza tym jest mało prawdopodobne, aby poznano go z twarzy, tym bardziej wieczorem. Umie latać na dużych wysokościach

i wreszcie, czy jutro z samego rana nie opuszcza tego kraju na zawsze?... Jeśli oczywiście zdąży...

— Jestem gotów pomóc pani, Mrs. Warrender, ale niestety, zupełnie nie dysponuję czasem, mam przed sobą najwyżej trzy godziny... Zostałem nagle wezwany...

— Nie zajmie to panu więcej niż dwie godziny — szybko i z ulgą w głosie zawołała pani Warrender. — Wieżowiec, w którym mieszkam, jest niedaleko stąd i w bezpośredniej bliskości tamtego drugiego, gdzie jest więziony mój biedny chłopczyk. Samochód czeka na dole. Pan się zgadza, prawda? Pan mi nie odmówi? — pytała, patrząc błagalnie w oczy Ariela.

Mrs. Warrender mocno uściśniła dłoń młodzieńca. Wyszli w hotelu.

Rozdział czterdziesty trzeci PODSTĘP!

W komfortowo urządzonej mieszkanie jednego z wieżowców, gdzie zaprosiła Ariela pani Warrender, oczekiwał ich detektyw Toots. Znajdowali się tutaj także brat pani Warrender, Mark, i ojciec porwanego dziecka, który wyglądał na kompletnie załamane i zdawał się nie rozumieć, co się do niego mówi. Nie wstając z fotela, wyciągnął do Ariela rękę, z wymuszonym uśmiechem gestem poprosił zebranych o zajęcie miejsc. Miał wyraźne rysy twarzy i krótko przystrzyżone, siwiejące na skroniach włosy.

— Jestem niezmiernie panu wdzięczny, że zechciał nam pan pomóc w nieszczęściu. Ci panowie udzielą wszelkich niezbędnych wskazówek — skinął na Marka i Tootsa. — Ja... po prostu nie jestem w stanie... przepraszam.

— Zadanie nie przedstawia większych trudności — przystąpił do objaśnień Toots — należy jednak działać szybko i

zdecydowanie. Proszę, oto plan miasta i zdjęcie wieżowca. Krzyżykami zazaczyłem piętro, mieszkanie i okno. Okna są stale otwarte. Tutaj ma pan wyrysowany rozkład mieszkania.

Toots krótko, jasno i rzeczowo przedstawił plan operacji.

— Jeśli nie odzyskamy chłopca dzisiaj, jutro już będzie na wszystko za późno. Proszę iść ze mną, pokażę panu miejsce, skąd najwygodniej będzie wystartować.

Z płaskiego dachu, na którym znajdował się ogród Warrenderów, Ariel szybko uniósł się pionowo w górę.

Oto leci po raz pierwszy od bardzo długiego czasu i znowu ogarnia go znajome użucie swobody, lekkości i nieskończoności niebieskich przestrzeni. I miałby się wyrzec tego wszystkiego?! Ach, gdyby można było unieść Lalitę do jakiegoś czarownego, wolnego kraju, gdzie rosną precudne kwiaty i drzewa!... Dlaczego nie zabrał jej ze sobą w dżungłę? Mógłby uwić gniazdo w koronie jakiegoś rozłożystego drzewa i zamieszkać w nim razem z Lalitą i Szaradem...

Ale nie miał czasu na marzenia. W dole tętniło ruchem i zgiełkiem ogromne obce miasto. Nad głową, w granatowym bezmiarze nieba cicho migotały gwiazdy. Ariel znowu popatrzył w dół. Jak na ogromnym planie zobaczył wyspę Manhattan, podzieloną na kwadraciki kwartałów z ciemnymi prostokątami Parku Centralnego, i Broadway, który się ciągnie przez całe miasto. Nabrzeża pocięte zębiskami doków i przystani... A oto szeroka, czarna wstęga Hudsonu, odbijająca światła niezliczonych parowców i statków żeglugi przybrzeżnej... Long Island... Statua Wolności z wiecznie płonącym ogniem... Zalane światłem ulice wyglądały stąd jak świecąca krata. W górę pięły się ciemne, ponure bryły drapaczy chmur; pracowity dzień dobiegł końca, pogasły światła w oknach. Nieprzeliczona rzesza urzędników powróciła do swych domów, natomiast dolne kondygnacje wieżowców płonęły światłem wystaw sklepowych i reklam,

rzucając na mury czerwonawą poświatę. Na dachach pogrążonych w ciemnościach drapaczy chmur migotały świetlne ekrany. Gdzieniegdzie w oknach najwyższych pięter płonęły światła. Ogniki te przypominały wielkie gwiazdy, które spadły z nieba i jeszcze nie zdążyły dolecieć do ziemi.

W oddali, aż do samego horyzontu, rozpościerała się czarna gładzista oceanu z wędrującymi po niej ognikami — światłami parowców. Ariel czuł odświeżający oddech oceanu i z przyjemnością wciągał w płuca czyste powietrze.

Nie bez trudności rozpoznał właściwy wieżowiec, odnalazł piętro, mieszkanie i okno — cel jego wyprawy. Było to okno zaraz za narożnikiem.

Toots nie kłamał: okno było otwarte; paliło się w nim światło. Ariel najpierw zajrzał do środka. Pięknie umeblowany pokój był pusty.

Wleciał do wewnątrz i opuścił się na podłogę. Pokój miał dwoje drzwi: na wprost i na lewo od okna. Drzwi na lewo powinny prowadzić do dzieciennego pokoju. Trzeba tam wejść, chwycić dziecko, owinąć je kołderką, żeby się nie przeziębilo, i wylecieć z powrotem. Jeśli spotka kogoś po drodze, nie powinien wdawać się w żadne rozmowy, tylko działać szybko, korzystając z zamieszania, jakie niewątpliwie wywoła jego pojawienie się.

Ariel skierował się na lewo i cicho otworzył drzwi. Zobaczył dziecienny pokój. W łóżeczku leżało dziecko, a nad nim w pozie pełnej czułości pochylała się młoda kobieta. Dziecko nie spało, kręciło się w łóżeczku i płakało cichutko. Nagle wyciągnęło rączki i zawołało:

— Mamo!

Młoda kobieta wzięła dziecko na ręce i pocałowała je z macierzyńską czułością. Chłopczyk oparł główkę na jej piersi i otoczył rączkami szyję.

— Maleństwo moje, nie płacz! Sam, nie płacz, dziecinko!...

Kobieta stała odwrócona plecami do Ariela. Ariel zatrzymał się niezdecydowany i zdumiony. Nie ulegało wątpliwości, że z dzieckiem jest jego rodzona matka. Ale kim w takim razie jest Mrs. Warrender i jakie dziecko miała na myśli, gdy wymieniała imię malutkiego Sama? Nie będzie przecież porwał dziecka z ramion matki! Kołysząc synka na ręku, kobieta odwróciła się i zobaczyła Ariela. Uśmiechnęła się do niego, pełna ufności przystąpiła bliżej i powitała go słowami: — Nareszcie! Nie mogłam się pana doczekać!

Ariel przestał cokolwiek rozumieć. Tkwił nieruchomo w drzwiach, nie wiedząc, co ma powiedzieć, ani co uczynić.

— Sam od rana skarży się na ból główki — powiedziała kobieta i wyciągnęła ku niemu dziecko. — Nieszczęścia chodzą w parze...

Ariel domyślił się, że matka dziecka bierze go za lekarza. Pragnąc wyjaśnić przynajmniej to jedno nieporozumienie, odezwał się:

— Przykro mi, proszę pani, ale nie jestem lekarzem...

Kobieta zbladła, z całej siły przycisnęła dziecko do piersi, cofnęła się o kilka kroków i pełna lęku zapytała:

— Kim pan jest w takim razie?... Jak pan tu wszedł? Czy to oni pana przysłali? Ci okropni ludzie, którzy chcą pozbawić mnie mojej jedynej pociechy? — zamilkła, wpatrując się w syna przerażonym wzrokiem.

Nie! Ariel zdecydowanie nie nadawał się do tego rodzaju przedsięwzięć! Najlepiej będzie, jeśli zrobi w tył zwrot, pobiegnie do drugiego pokoju i ucieknie przez okno, a ta nieszczęsna kobieta niech myśli, że padła ofiarą halucynacji... Ale przyszło mu w tym momencie do głowy, że chyba został podstępem wciągnięty do jakiejś szajki, planującej nikczemne przestępstwo, i postanowił dowiedzieć się prawdy.

— Przepraszam. Niech się pani niczego nie obawia... Wyjaśnię pani... Wszystko wskazuje na to, że wynikło pewne nieporozumienie.

— George! — zawołała kobieta załamującym się głosem. Zdenerwowanie matki udzieliło się dziecku, które zaczęło płakać.

Dały się słyszeć szybkie kroki i do pokoju wszedł mężczyzna w średnim wieku. Na widok Ariela zbladł tak samo jak jego żona. Stał pomiędzy nią i Arielem w obronnej pozycji i krzyknął:

— Kim pan jest? Czego pan tutaj szuka?... — Potem, przypatrując się Arielowi, wykrzyknął z niekłamanym zdumieniem: — Mister Binoy!

— Z kim mam przyjemność, sir?

— Nazywam się Warrender. Czym mogę służyć?

— Warrender? — z nie mniejszym zdumieniem wykrzyknął Ariel.

Obaj przez dłuższą chwilę wpatrywali się jeden w drugiego w osłupieniu. Wreszcie Ariel, ostatecznie przekonany co do tego, że został oszukany przez ową kobietę w hotelu, postanowił szczerze opowiedzieć o wszystkim rodzicom Sama.

— Muszę z panem pomówić, mister Warrender.

W gabinecie Warrendera Ariel opowiedział o tym, w jaki sposób został wciągnięty w te podłe machinacje. Pomiął milczeniem jedynie to, że umie latać.

— Bandydzi postanowili wykorzystać do swoich celów moją wyjątkową zręczność. Wszedłem do mieszkania państwa... po gzymsie okiennym z sąsiedniego mieszkania. Bardzo się cieszę, że nie stałem się narzędziem w ręku tych nikczemników — zakończył swoją opowieść.

Warrender pokiwał głową. Powiedział:

— Wierzę panu. Został pan wprowadzony w błąd, chociaż działał ze szlachetnych pobudek. Proszę mi wybaczyć, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że pan, pomimo swojego niewątpliwego geniuszu sportowego, nie posiada doświadczenia życiowego i prawie nie zna naszego kraju. Chociaż, z drugiej strony, ten tak sprytnie obmyślony plan mógł zmylić każdego, i nie tylko takiego prostodusznego młodego człowieka, jak pan. Przerazenie ogarnia człowieka na samą myśl... Gdyby przypadkiem moja żona nie weszła do pokoju dziecka, które trochę niedomaga, katastrofa byłaby nie do uniknięcia! Oni na pewno zabiliby dziecko... A poza tym ci spryciarze liczyli na to, że pan, współdziałając z nimi w tym przestępstwie — z własnej woli czy też nie, to obojętne! — znajdzie się całkowicie w ich ręku. Uczyniliby z pana swojego niewolnika, swoje ślepe narzędzie, grożąc, że w każdej chwili mogą wysłać pana na krzesło elektryczne — jest to w tym kraju sposób wykonywania wyroku śmierci na przestępcach — pod zarzutem wszystkich dotychczas popełnianych przez nich zbrodni. Policja nasza jest przekupna... Straszne!... Jeszcze jedna ich próba spaliła na panewce... Ale co będzie jutro?

Teraz mister Warrender opowiedział Arielowi o koszmarze, jaki przeżywają z żoną od miesiąca, i pokazał mu anonimowe listy od porywaczy z żądaniem okupu.

— Zapłaciłem im, i to niemało, ale im więcej płaciłem, tym bardziej wygórowane stawały się ich żądania. Wciąż mi grożą, że porwą dziecko, i to bez względu na przedsięwzięte przeze mnie środki ostrożności. Z własnej willi przeprowadziłem się tutaj, do wieżowca. Wydawało mi się, że w tym mieszkaniu wystarczy uważać jedynie na drzwi, i nie zatroszczyłem się o zabezpieczenie okien. Wynająłem ludzi, żeby mieli oko na odwiedzających ten dom ludzi, ale kto mi zaręczy, że wśród nich nie ma współników tych gangsterów? Wydaje mi się, że

pozostało nam tylko jedno — opuścić ten kraj na zawsze! — zakończył ze smutkiem w głosie.

Ariel spojrział na zegarek. Dochodziła północ. Podniósł się z fotela.

— Wierzę każdemu pana słowu, mister Binoy — powiedział mu na pożegnanie Warrender. — Bandyci nie zachowują się w ten sposób. Może pan spokojnie opuścić moje mieszkanie. Muszę jednak uprzedzić, że w świecie przestępczym karze się za zdradę. A pan ich zdradził. Pana życie jest w niebezpieczeństwie. Najlepiej by było, gdyby pan mógł natychmiast opuścić Nowy Jork albo w ogóle Amerykę.

— Dziękuję za radę, mister Warrender. Tak właśnie zrobię. Pan ma rację. W tym kraju nawet szlachetny uczynek zamienia się w przestępstwo!

Żegnając się z Arielem, Warrender mocno uścisnął mu dłoń — dłoń człowieka, który o mały włos nie skazał jego syna na niechybną śmierć.

Opuściwszy gabinet Warrendera, Ariel w zamyśleniu maszerował długim korytarzem.

W tym przerażającym świecie jego umiejętność latania znajduje tylko jedno zastosowanie! Pearth, radza, pastor, Chattfield, gangsterzy — wszyscy oni widzą w nim jedynie narzędzie dla zaspokojenia swoich egoistycznych celów! I jeśli pozostanie wśród nich, nigdy nie odnajdzie swojej własnej ścieżki, nie zazna niezależności ani samodzielności, nie zbuduje sobie uczciwego i spokojnego życia.

Cudowny dar, o którym tyle ludzi śni i marzy, powoli staje się jego przekleństwem...

Nie! Nie! Uciekać, jak najszybciej uciekać z tego miasta, od tych wszystkich złych i okrutnych ludzi!

Ale co dalej?

Jego sytuacja nie jest do pozazdroszczenia. Być może Warrender lub jego żona mimo wszystko zadzwonili na

policję? Poza tym jest całkiem prawdopodobne, że gangsterzy lub ich wspólnicy pilnują wyjścia z domu... Ariel nie namyślał się długo i opuścił mieszkanie przez jedno z okien wychodzących na podwórze.

Przelatywał nad miastem w szybkim pędzie, aż zobaczył ciemną plamę nie oświetlonej części parku. Skierował się w dół.

Gdy szedł alejką, ujrzał biegnących z naprzeciwka ludzi, którzy musieli widzieć spadający z niebo przedmiot.

— Czy ktoś spadł? — ciężko oddychając, zapytał jeden z nadbiegających.

— To znaczy nie ktoś, tylko coś — sprostował drugi.

I zwrócił się do Ariela: — Czy pan niczego nie zauważył?

— A tak, ja również widziałem... O, tam, za tym ogrodzeniem, tuż przy klombie — odpowiedział Ariel, wskazując ręką kierunek, po czym szybko pobiegł dalej.

Odetchnął z ulgą: wszystko skończyło się dobrze!

Rozdział czterdziesty czwarty WITAJCIE, PRZYJACIELE!

— Dlaczego się spóźniłeś? Gdzie masz swoje rzeczy? Dlaczego tak ciężko oddychasz? — Jane zasypała brata pytaniami.

— Czy jesteś gotowa? Jedźmy wreszcie... Opowiem ci wszystko po drodze... Byłem o krok od katastrofy...

W samochodzie, uwożącym ich do portu, Ariel opowiedział siostrze naprędce wymyśloną historyjkę. Został napadnięty przez bandytów, którzy chcieli go porwać dla okupu. W Ameryce takie rzeczy są na porządku dziennym, Udało mu się ujść cało. W tym celu musiał wykonać gigantyczny skok... Ach nie, oczywiście że nie latał! Cóż znowu!... Był to skok z

jego codziennego repertuaru cyrkowca. Jak to dobrze, że bilety na statek zostały kupione zawczasu!

— Widzisz więc, że miałam rację, gdy nalegałam, żebyśmy wyjechali stąd jak najprędzej! — pouczającym tonem przemówiła Jane.

— Właśnie myślałem o tym samym — szczerze odpowiedział Aureliusz.

— Powinieneś słuchać mnie zawsze i we wszystkim.

Gdy ogromny parowiec transatlantycki wyszedł z portu i pas wody pomiędzy nim a lądem zaczął się wyraźnie poszerzać — Aureliusz odetchnął swobodnie. Jakie to szczęście, że gangsterzy nie umieją latać!

Stał oparty o burtę i patrzył na ginące w oddali, coraz bardziej zacierające się we mgle zarysy i światła miasta, które było równie tajemnicze i przerażające jak daleki Madras...

Podróż trwała wiele dni i nocy. O północy strzałki umieszczonych na statku zegarów przesuwwały się automatycznie o jedną godzinę naprzód. Co jakiś czas powietrzem wstrząsał potężny odgłos syreny, zwiastującej innym statkom zbliżanie się parowca. Pomyślano również o rozrywkach dla pasażerów, takich jak kino czy dansing, ale Jane specjalnie prosiła Ariela, aby nie wychodził ze swojej kajuty. Obawiała się, że na statku mogą znajdować się osoby, które oglądały występy „Niezwycięzonego Binoya, tego fenomenu na skalę światową”. Ariel udał, że jest chory, i grzecznie przesiedział w kajucie całą podróż. Nudził się i wyglądał przez iluminator, obserwując jednostajną gładziznę wód... Jedyłą jego pociechą była myśl o dalekich przyjaciółach. Za nic w świecie nie wyrzekłby się tych wspomnień! Po prostu nie mógł nie myśleć o Lalicie, Szaradzie i Nizmacie.

Któregoś dnia, gdy znajdowali się już niedaleko od brzegów Anglii, Ariel nie wytrzymał i opowiedział Jane o Lalicie. Jane

zażądała, by opisał jej szczegółowo dziewczynę a gdy to uczynił, zamyśliła się i powiedziała:

— Czy to przypadkiem nie owa żebraczka, która krzyczała rozdzierająco, gdy znaleźliśmy cię wtedy obok drogi?

— A tak, bardzo możliwe — odparł zażenowany Ariel. Nie wiedział o tym epizodzie. Czyżby Lalita była wówczas tak blisko?

— Więc cóż właściwie myślisz o tej Lalicie?

— Ja? To biedna dziewczyna, zgoda, ale to nie znaczy, że jest żebraczką. W Indiach żyją w ten sposób miliony ludzi... Lalita jest piękna jak sen. Bardzo ją kocham i nigdy o niej nie zapomnę.

— Czy przypadkiem nie masz zamiaru ożenić się z tym ciemnoskórym kopciuszkiem? — Jane roześmiała się złym śmiechem. — Tego by tylko brakowało! Pięknie! „Sir Aureliusz Galton ma zaszczyt poślubić lady Lakitę!”

— Lalitę, nie Lakitę! — wybuchnął Aureliusz.

Ale Jane, uważając widocznie tę sprzeczkę za bezcelową, powiedziała:

— Musimy pomyśleć o twojej garderobie, Aureliuszu. Zamówimy kilka porządnych ubrań, frak, smoking, surdut... W Ameryce chodziłeś ubrany jak jakiś urzędniczyna. Barbara, moja przyjaciółka, będzie się śmiała, gdy zobaczy cię w tym garniturze.

W czasie podróży, a potem w domu Jane nie dawała bratu chwili spokoju. Czuł się tak, jakby postawiono u jego boku surową guwernantkę, która sztorcuje go z byle powodu: wyraził się nie tak jak należy i zachował się w nieodpowiedni sposób! Kazała mu uśmiechać się w trakcie rozmowy z ludźmi, do których nie czuł najmniejszej sympatii, gdyż tego wymaga bon ton, uczyła go mówić komplementy. Ariel cierpliwie znosił te męczarnie i tylko w myślach nazywał je

tresurą. Najbardziej oburzał Jane sposób, w jaki jej brat odnosił się do służby. Czyniła mu z tego powodu wyrzuty:

— Rozmawiasz z nimi, jakby byli tobie równi!

— A czyż nie są to tacy sami ludzie, jak ja i ty? — pytał Ariel. Więc Jane robiła mu wykłady na temat nierówności klasowych i pouczała, że w stosunkach ze służbą należy być poprawnym, ale zachować dystans. Natomiast w rozmowach z ludźmi ze swojej sfery trzeba starać się być nadzwyczaj miłym.

— Ale jeśli ja akurat nie cierpię tego człowieka? — chciał wiedzieć Ariel.

— Ach, jesteś niemożliwy! Jesteś po prostu źle wychowany!

— wołała w rozpaczy Jane.

Pewnego dnia Ariel w towarzystwie Jane i Dotallera udał się poza miasto, pragnąc obejrzeć stanowiące własność Galtonów cegielnię. Widok, jaki ujrzał, wprowadził go w przygnębienie — zapadnięte w ziemię baraki, gliniasta gleba, ścieki odwadniające i rowy wyrobisk, woda chlupocząca pod pomostem... Jane jednak nie zauważała tego!

Jakaś starsza kobieta, mieszkanka przyfabrycznego osiedla, przechodziła właśnie przez pomost, gdy raptem straciła równowagę i upadła. Ariel pośpieszył kobiecie na ratunek i pomógł jej wstać, lecz zabrudził przy tym swoje giemzowe rękawiczki i płaszcz uszyty przez najlepszego londyńskiego krawca.

Jane, bynajmniej nie skrępowana obecnością Dotallera, natychmiast, na oczach speszonej staruszki, zaczęła besztać brata, który, jej zdaniem, zachował się nieodpowiednio. Ariel milczał ponuro, wycierając chusteczką zabrudzone gliną ręce.

Wkrótce nadszedł dzień, w którym Ariel miał osiągnąć pełnoletność. Przebywali w Anglii od tygodnia i Jane z widocznym ożywieniem przygotowywała się do tej uroczystości, co chwila przypominając bratu, że tego dnia zostanie

wprowadzony do wielkoświatowego towarzystwa. Zaproszenia wysłano do najlepszych arystokratycznych domów.

Z samego rana zjawił się opiekun Ariela, mister Boden, któremu towarzyszył mister Haslon. Ariel stał się świadkiem gwałtownej sceny pomiędzy nimi a Jane, która wszczęła z byłymi opiekunami rozmowę na temat rozliczeń finansowych. Obie strony dały upust swoim namiętnościom. Oczywiście, ani Jane, ani żaden z panów nie krzyczeli i nie wymachiwali rękami. Rozmowa była prowadzona przyciszonymi głosami, słowom towarzyszyły oszczędne gesty. Ale w każdym zdaniu był jad, a w każdym spojrzeniu strzała. W istocie rzeczy było to zwykłe użeranie się dwóch kupczyków, pełne wzajemnych oskarżeń i zniewag.

Scena ta wzbudziła w Arielu niesmak. Nie mógł wytrzymać dłużej i, zniechęcony, udał się do swojego pokoju.

Nerwy jego były napięte do ostateczności. Wydawało mu się, że się dusi. Pomimo chłodnej jesiennej pory, otworzył okno. Pokój wypełniały kłęby mgły i zapach dymu z kominów fabrycznych. Szybko zatrzasnął okiennice i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju. Narastał w nim bunt, w sercu kiełkowała decyzja.

Końcowy akcent uroczystości stał się przysłowiową kropką nad i. Na widok zebranych przy stole gości Ariel doznał uczucia, że ma przed sobą uczestników jakiegoś balu maskowego, jakąś karykaturę społeczeństwa. Wszystko tutaj było fałszywe — uśmiechy, słowa, włosy, zęby i rumieńce na policzkach pań... Świeże, naturalnie wyglądające twarze były rzadkością. Rudowłose dziewczęta o twarzach usianych piegami i długich zębach... Wyfraczeni, chudzi jak szczapa lub dla odmiany ociekający tłuszczem i cierpiący na zadyszkę panowie... Ariel musiał ucisnąć rękę każdego z zaproszonych, do każdego uśmiechnąć się przymilnie, z

każdym zamienić parę ciepłych słów powitania. I przez cały ten czas czuł na sobie taksujące spojrzenia Jane, która pilnie śledziła każdy jego krok, każde wypowiedziane słowo...

Po obiedzie siedzący obok Ariela zrozumiwały, pewny siebie lord Forbes zaczął rozwlekle opowiadać o Indiach i Hindusach, którzy w jego mniemaniu byli wyłącznie „tymi bydlętami” lub „prymitywnymi stworzeniami, które oddają boską cześć krowom”. Ariel starał się panować nad sobą, ale wreszcie nie wytrzymał i wykrzyknął:

— Ci prości, pracowici i uczciwi ludzie zasługują na większy szacunek niż wielu z siedzących przy tym stole, którzy, a propos, żyją kosztem innych ludzi!

Te słowa stały się powodem niesłychanego skandalu. Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Lord Forbes, dygocąc z wściekłości, chciał wrzucić nie dopalone cygaro do skrzyneczki z cygarami. Jane zbladła, a następnie, opanowawszy się całą siłą woli, dołożyła wszelkich starań, by zatuszować nietakt brata.

Dopiero gdy goście wyszli, Jane dała upust swojej wściekłości. Zapomniawszy o wymogach bon ton, krzyczała na cały głos, że wyrzeka się takiego brata, w którego żyłach płynie bynajmniej nie arystokratyczna, a zgoła plebejska krew i że będzie musiała oddać go do zakładu poprawczego, gdzie z niego dopiero zrobią człowieka, albo też ich drogi rozejdą się na zawsze. Ariel zostanie pozbawiony majątku i znajdzie się na ulicy, gdzie z całą pewnością czeka już na niego to towarzystwo, do którego tak go ciągnie!

Ku jej zaskoczeniu, Ariel nie odezwał się ani słowem. Ten jego posępny spokój wydał się Jane podejrzany. Udała, że żałuje nieopatrznie rzuconych słów, i nawet przeprosiła brata, tłumacząc się porywcznością swojego usposobienia.

— Oczywiście, że to nie twoja wina. Nie można przeskoczyć jednym susem z cyrkowej areny do salonów arystokracji. Po

części był to mój błąd. Za wcześnie jeszcze na wprowadzenie ciebie do towarzystwa... Z biegiem czasu sam zrozumiesz...

— Ale ja już zrozumiałem! Zrozumiałem wszystko — odpowiedział siostrze Ariel. — Nie zamartwiaj się, Jane. Odtąd nie będziesz miała ze mną żadnych kłopotów. Jest już późno. Czuję się zmęczony. Dobranoc! — Wyszedł z pokoju, zostawiając siostrę gubiącą się w domysłach.

Ariel zamknął się na klucz i zdenerwowany chodził przez jakiś czas tam i z powrotem po swoich apartamentach. Następnie spakował do małej walizeczki najniezbędniejsze rzeczy i wyszedł z domu.

Ulice spowijała nocna mgła. Nic nie było widać z odległości kilku kroków. Wziął taksówkę i kazał zawieźć się do portu.

Ku swojej wielkiej radości dowiedział się, że za godzinę odpływa wielki parowiec transatlantycki, kursujący pomiędzy Londynem a Bombajem, Kolombo i Madrasem. Kupił bilet trzeciej klasy, gdyż nieznośną wydawała mu się myśl o tym, że mógłby podróżować w towarzystwie takich ludzi jak sir George Forbes, członek Izby Lordów, który stał się powodem ostatniej kłótni z Jane.

Gdy minęła godzina, potężny parowiec transatlantycki wyszedł z portu i skierował się ku brzegom Indii...

Ci, którzy stali na brzegu, długo patrzyli na znikający, rozplywający się w gęstej mgłę ciemny kształt, błyskający smugą światła z iluminatorów. O tej porannej porze statek wydawał się jakimś baśniowym stworem. Przez pewien czas można było jeszcze dostrzec jego słabo migające ogniki, które coraz bardziej bladły i roztopiały się w dali. Wreszcie mgła pochłonęła ostatnie światelko...

Statek, uwożący Ariela, zniknął jak widzenie senne.

Przełożyła Kaja Natalia Sakowicz

POSŁOWIE

Prawnik z wykształcenia, muzyk nie tylko *con amore*, gdyż studiował również w konserwatorium, zdołał zmieścić Aleksander Bielajew w swym niedługim stosunkowo życiu najrozmaitsze zajęcia: dziennikarza, dekoratora w teatrze, inspektora milicji, wychowawcy w domu dziecka, fotografa, bibliotekarza, urzędnika i wreszcie to najważniejsze, wszystko pochłaniające — pisarstwo. Pisarstwo niezwykle pracowite, niemal wyrobnicze,

Życie Bielajewa otarło się o trzy wojny — obie światowe i wojnę domową; trzy rewolucje — roku 1905, później lutową i październikową, zawarło także w sobie wielką tragedię osobistą — blisko trzydzieści lat upartych zmagania z nieuleczalną chorobą, która stopniowo unieruchomiła ciało i wyznaczyła skromną geografie tego życia — jej punkty najważniejsze to naddnieprzański Smoleńsk, gdzie urodził się w marcu 1884, Moskwa, Leningrad oraz pobliskie miasteczko Puszkina. Tam zastała Bielajewa śmierć w styczniu 1942. Praktycznie rzecz ujmując, podróżować mógł głównie po mapie, z marzeń o dalekich wozach udało mu się zrealizować tylko niewielką część (był w Niemczech, w Austrii, we Francji i we Włoszech), a przecież jego egzotyczne opowieści — któż z miłośników robinsonady nie czytał czterokrotnie wydanej u nas *Wyspy zaginionych okrętów* (1927) — pełne obcych nazw doskonale funkcjonujących w kontekście bezbłędnie dobranych realiów, ogarniają wszechświat...

Napisał ich ponad pięćdziesiąt, zdumiewając zarówno bogactwem i wielostronnością swych zainteresowań, w kręgu których znalazły się skomplikowane kwestie futurologiczne z dziedziny biologii, fizyki, medycyny, astronautyki czy radiotechniki, Jak też siłą wyobraźni i różnorodnością form

wypowiedzi, bowiem synkretyzująca rozmaite odmiany gatunkowe science fiction, uprawiana przezeń z autentyczną pasją poszukiwacza owych tematów i nowych rozwiązań, otwiera w tym zakresie znaczne możliwości. Ma więc fantastyka Bielajewa przeróżne oblicza.

Wprowadzenie owego gatunku na grunt kształtującej się dopiero literatury radzieckiej nie było łatwe; wydawał się zbyt odległy od złożonych problemów ówczesnej rzeczywistości, mało ambitny bądź nawet wręcz podejrzany w sferze swej proweniencji, swych powinowactw z trzeciorzędną rozrywką, a więc po prostu niewart rzeczowego rozpatrywania. Nie znalazł przeto Bielajew uznania w oczach nadmiernie pryncypialnej krytyki lat dwudziestych i trzydziestych, znalazł je wszakże — i to niemal natychmiast — w oczach czytelników. A byli wśród nich ludzie tej miary, co znany teoretyk lotów kosmicznych Konstanty Ciołkowski czy też Wiktor Niegowski, wybitny specjalista w dziedzinie terapii stanów agonalnych i śmierci klinicznej. To właśnie on zwrócił uwagę swych studentów na inspirujące naukową myśl medyczną walory powieści Głowa profesora Dowella (1926), książki, która na dwa lata przed dokonaniem w Związku Radzieckim pierwszych prób reanimacji poszczególnych narządów wypreparowanych z organizmu ludzkiego podjęła ową frapującą tematykę, antycypując niejako osiągnięcia współczesnej chirurgii w zakresie transplantacji.

Debiut literacki Bielajewa — była to bowiem jego pierwsza powieść — wzbudził żywe zainteresowanie nie tylko w środowisku medycznym; sensacyjno-kryminalny charakter fabuły, dynamika akcji oraz wyrazisty rysunek psychologiczny postaci — wszystko to zapewniło pionierowi radzieckiej fantastyki naukowej bogaty i zróżnicowany krąg odbiorców. Dominowała w nim — rzecz jasna — młodzież; do niej też w pierwszym rzędzie adresował pisarz swe utwory,

upatrując wartości science fiction nie tyle w prognozowaniu bądź filozofowaniu (choć nie zawsze potrafił uniknąć cokolwiek naiwnego moralizatorstwa, a także nieco truistycznych akcentów socjologizujących), ile w popularyzacji określonej problematyki, w umiejętności stawiania kwestii, aktywizacji twórczej myśli człowieka i wyznaczania kierunków poszukiwań.

Szereg razy wypowiadał się na ten temat w swych refleksjach publicystycznych, starając się sformułować w najogólniejszym bodaj zarysie jeśli już nie teorię preferowanego przez siebie gatunku, to przynajmniej jakąś najprostszą, podstawową jego definicję, w której sprawa realizacji swoistego zamówienia społecznego, sprawa odbioru czytelniczego była jednym z ważniejszych komponentów. Wychodząc z najbardziej nawet z fikcyjnych przesłanek dążył do tego, by świat przedstawiony jego dzieł poddawał się interpretacji w kategoriach, jakimi operuje rzeczywistość pozaliteracka, a więc logicznych oraz empirycznych, nie pozwalając sobie zatem na doraźne wymyślanie jakichkolwiek cudowności, które czytelnik musiałby przyjąć a priori — jak to zwykle ma miejsce w przypadku obcowania ze światem baśniowym — za dobrą monetę. Przy całej tej fantazjo-twórczej brawurze, jaka cechuje większość jego książek, pozostawał Bielajew artystą odznaczającym się szczególnym poczuciem odpowiedzialności za element poznawczy swych wizji literackich; wydaje się, iż był on w równej mierze pisarzem intelektu jak i wyobraźni.

Przejawia się to bardzo wyraźnie w jego obszerniejszych formach narracyjnych, zwłaszcza zaś w takich powieściach, jak klasyczne już niemal — jeśli mowa o specyfice gatunkowej — utopie technicystyczne: *Walka w eterze* (1928), *Cudowne oko* (1935), *Pod niebem Arktyki* (1938), *Laboratorium „W”* (1938) lub też najbardziej chyba

charakterystyczne, wręcz typowe dla prozy science fiction „gwiazdowce”: Skok w próżnię (1933), Statek powietrzny (1936) czy Gwiazda KEC (1936). Nieprzypadkowo też zapewne mówił Konstanty Ciołkowski we wstępie do opisującej wyprawę na Wenus powieści Bielajewa Skok w próżnię, iż spośród wszystkich znanych mu książek poświęconych podróżom międzyplanetarnym — a miał tu oczywiście na myśli błyszczącą nazwiskami Verne'a, Wellsa i innych znakomitych pisarzy fantastykę zachodnioeuropejską — ten właśnie utwór uważa za najbardziej nasycony w aspekcie poznawczym.

Głowa profesora Dowella, która zapoczątkowała tę ogromną popularność, jaką po dzień dzisiejszy cieszą się książki Bielajewa w rozmaitych środowiskach czytelniczych, była nie tylko debiutem artystycznym doświadczonego już wówczas dziennikarza, lecz także pierwszą pozycją na obszernej stosunkowo liście jego utworów o tematyce medycznej. Wyróżnia się wśród nich kilka razy wznawiana w ZSRR, a także ekranizowana w połowie lat sześćdziesiątych — sukces filmu przeszedł wszelkie oczekiwania — powieść Człowiek-amfibia (1928), powszechnie uważana za najlepszą pozycję w dorobku autora, powracającego jednokrotnie w swych późniejszych dokonaniach literackich do przeróżnych zagadnień z zakresu przyszłości medycyny (zwłaszcza chirurgii i endokrynologii) oraz bliskich jej nauk.

Wzmózione zainteresowanie ową tematyką wiązało się bezsprzecznie z dramatem osobistym pisarza dotkniętego gruźlicą kręgosłupa, w następstwie zaś — paraliżem nóg. Nabawił się Bielajew tej ciężkiej choroby próbując w dzieciństwie zdystansować mitycznego Ikara, zostać latającym człowiekiem, który potrafiłby poruszać się w powietrzu bez pomocy jakichkolwiek mechanizmów. Nagły upadek ze znacznej wysokości przekreślił raz na zawsze możliwość

eksperymentów na własnej skórze, ale marzenia pozostały. Urzeczywistnił je bohater ostatniej, eksponującej — podobnie jak to ma miejsce w przypadku człowieka-amfibii — motyw fantastycznej operacji chirurgicznej, powieści Bielajewa — Ariel (1941). Nawiązująca do konwencji tajemniczej baśni Wschodu, opowieść o nowym Ikarze stała się więc dla jej autora swoistą rekompensatą, substytutem nie otrzymanych lub też nie wykorzystanych szans. Wolno mniemać, iż całe jego piarstwo musiało być w jakimś sensie tym właśnie. Nie ulega wątpliwości, iż czas odsunął nas już daleko od niejednej stronicy książek Bielajewa, które dziś, z perspektywy półwiecza, sprawiać mogą niekiedy wrażenie dyletanckich po prostu czy anachronicznych. Wydaje się jednakże, iż wciąż jeszcze pozostało tych stronic dostatecznie wiele, by nie tylko zapewnić autorowi Ariela (notabene wydanego ostatnio na Węgrzech) trwałe miejsce w dziejach coraz popularniejszego obecnie gatunku science fiction, lecz także wzbudzić zainteresowanie, a nawet usatysfakcjonować współczesnego amatora fantastyki.

Ewa Korpała-Kirszak

Ariel

Rozdział pierwszy: Przez kręgi piekieł

Rozdział drugi: Dandarot

Rozdział trzeci: Eksperymenty Mr. Hyde'a

Rozdział czwarty: Przyjaciele

Rozdział piąty: Na nowej drodze życia

Rozdział szósty: W nieznane

Rozdział siódmy: Mr. Boden i Mr. Haslon

Rozdział ósmy: Kłoda na drodze

Rozdział dziewiąty: Mrowisko ludzkie
Rozdział dziesiąty: Nędzarze
Rozdział jedenasty: Karty na stół, czyli jesteście sobie warci
Rozdział dwunasty: Pasażerowie na gapę
Rozdział trzynasty: Wisznu i pariasi
Rozdział czternasty: Bogowie też niekiedy zazdroszczą ludziom
Rozdział piętnasty: Czy przydrożny kurz może marzyć o słońcu?
Rozdział szesnasty: Znowu w niewoli
Rozdział siedemnasty: Kość niezgody
Rozdział osiemnasty: Nieudane poszukiwania
Rozdział dziewiętnasty: Gniew władcy
Rozdział dwudziesty: Pokój zostaje przywrócony
Rozdział dwudziesty pierwszy: Latający człowiek wyraża zgodę
Rozdział dwudziesty drugi: Nowa zabawka
Rozdział dwudziesty trzeci: Mohita gromadzi dowody obciążające
Rozdział dwudziesty czwarty: Burza w pałacu
Rozdział dwudziesty piąty: Władcy mają zmienne usposobienie
Rozdział dwudziesty szósty: Walka o życie
Rozdział dwudziesty siódmy: Odnaleziony!
Rozdział dwudziesty ósmy: Znowu na wolności
Rozdział dwudziesty dziewiąty: Walka powietrzna
Rozdział trzydziesty: Obcy niebu i ziemi
Rozdział trzydziesty pierwszy: W dżungli
Rozdział trzydziesty drugi: Neofita
Rozdział trzydziesty trzeci: Cud
Rozdział trzydziesty czwarty: Sensacja
Rozdział trzydziesty piąty: Rzeczowa rozmowa
Rozdział trzydziesty szósty: Ostatni pokaz

Rozdział trzydziesty siódmy: Mieszkaniec nieba podpisuje kontrakt

Rozdział trzydziesty ósmy: Wszystko przemija jak sen

Rozdział trzydziesty dziewiąty: „Wzniosła” rozmowa

Rozdział czterdziesty: Niezwyciężony Binoy

Rozdział czterdziesty pierwszy: Dwa światy

Rozdział czterdziesty drugi: Nieszczęśliwa matka

Rozdział czterdziesty trzeci: Podstęp!

Rozdział czterdziesty czwarty: Witajcie, przyjaciele!